

Sophie Hannah

DRUGA POŁOWA ŻYJE
DALEJ

Czwartek, 13 grudnia 2007

Nie chciałam mówić jako pierwsza.

Przed trzema sekundami, może czterema, powiedziałam:

- Zgoda.

Teraz Aidan na mnie patrzył. Zwlekając z odpowiedzią, gryzłam się w język, by nie zapytać: Czemu ja? To był twój pomysł. Gdybym zadała to pytanie, pomyślałby, że mu nie ufam, a nie chciałam psuć chwili tak błahą uwagą,

Atmosfera wokół nas była napięta, pełna wyczekiwania. Z naszych lepkich od potu dłoni promieniowała energia.

- Nie musimy mówić wszystkiego - wyszeptał Aidan. - Tylko tyle, ile... będziemy w stanie... - Nie mogąc dokończyć zdania, uznał, że już to zrobił. - Tyle, ile będziemy w stanie - powtórzył, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Jego ciepły oddech kładł się co kilka sekund na mojej skórze jak cofająca się, to znów powracająca fala powietrza. Nie ruszyliśmy się z naszego miejsca u stóp łóżka, przed lustrem, ale nagle wszystko zdało się przyspieszać. Nasze twarze lśniły od potu, jakbyśmy właśnie przebiegli kilka kilometrów, mimo iż wszystkie ruchy, które wykonaliśmy - przez obrotowe, szklane drzwi hotelu, w stronę recepcji, do windy i wzdłuż wąskiego, oświetlonego punktowo korytarza aż do zamkniętych drzwi ze złotymi cyframi „436” - były świadomie spowolnione. Tysiąc uderzeń serca na każdy krok. Oboje wiedzieliśmy, że w tym pokoju coś na nas czeka, coś, czego nie mogliśmy już dłużej odkładać.

- Tyle, ile będziemy w stanie - powtórzyłam słowa Aidana - i bez pytań.

Przytaknęła. Zobaczyłam jego oczy błyszczące w mroku nieoświetlonego pokoju i wiedziałam, ile dla niego znaczy fakt, że się zgodziłam. Nadal czułam lęk, wciąż czaił się gdzieś głęboko we mnie, ale teraz lepiej nad nim panowałam. Wynegocjowałam sobie ustępstwo: bez pytań. Wmówiłam sobie, że panuję nad sytuacją.

- Zrobiłam coś głupiego. Gorzej niż głupiego: coś złego. - Mój głos wydał mi się zbyt głośny, więc go zniżyłam. - Dwojgu ludziom. - Nie umiałabym wymówić ich nazwisk. W ogóle nie spróbowałam. Nie potrafię ich wymówić nawet w myślach. Ograniczam się do „On” i „Ona”.

Wiedziałam, że przekażę Aidanowi jedynie zarys, choć w głowie dźwięczała mi cała opowieść. Nikt nigdy by nie uwierzył, gdybym powiedziała, ile razy ją sobie odtwarzam, szczególnie po szczególe. Jakbym rozdrapywała strup, ale nie do końca. Bardziej przypomina to wbijanie długiego paznokcia w skórę i wygrzebywanie surowego, różowego mięsa z miejsca, którego nigdy nie zostawiłam w spokoju na tyle długo, by zdążył się na nim uformować strup.

Zrobiłam coś złego. Wciąż łudzę się nadzieją, że znajdę sposób na rozpoczęcie wszystkiego od początku, jednocześnie zdając sobie sprawę, że to niemożliwe. Gdybym była niewinna, nic takiego w ogóle by się nie wydarzyło.

- Dawno temu. Zostałam już ukarana. - Głowa mi pękała, jakby w środku pracowało jakieś małe, twarde, obrotowe urządzenie. - Niewspółmiernie do winy. Nigdy... Wciąż nie daje mi to spokoju. Ta niesprawiedliwość... to, co mnie spotkało. Sądziłam, że zdołam uciec, przeprowadzając się gdzieś daleko, ale... - Wzruszyłam ramionami, pozorując spokój, którego wcale nie czułam.

- Najgorsze rzeczy odkładają się najgłębiej i idą za człowiekiem, dokądkolwiek by poszedł - rzekł Aidan.

Jego zrozumienie jeszcze bardziej utrudniało mi zadanie. Uwolniłam ręce z uścisku jego dłoni i usiadłam na krawędzi łóżka. Pokój, który zarezerwowaliśmy, był okropny: miał wysokie, wąskie proporcje budki telefonicznej, a do tego wszędzie - na zasłonach, na narzucie, na krzesłach - pełno było zielono - niebieskiej kratki, której poszczególne kwadraty przedzielały czerwone linie. W oczach mi się mieniło, gdy patrzyłam na ten wzór. Nie musiałam oglądać pozostałych pokoi w hotelu Drummond, by wiedzieć, że wszystkie są identyczne. W naszym wisiały trzy obrazki, jeden nad telewizorem i dwa na pustej ścianie dzielącej sypialnię i łazienkę. Trzy pozbawione wyrazu krajobrazy wprost domagające się zignorowania; trudno było sobie wyobrazić bardziej nijakie kolory. Po drugiej stronie grubego, wielowarstwowego szkła, stanowiącego jedną ze ścian pokoju, Londyn jawił się jako poprzetykana żółcią szara masa. Wiedziałam, że przez nią nie zmrużę oka. Potrzebowałam kompletnej ciemności, pragnęłam być ślepa i niewidzialna.

Po co zwracałam sobie głowę tą udawaną spowiedzią? Jaki był sens wypowiedzenia jedynej wersji zdarzeń, na jaką mogłam się

zdożyć, czyli abstrakcyjnego cienia, bezkształtnego szablonu, który pasowałby do dowolnej opowieści?

- Wybacz mi - zwróciłam się do Aidana. - Nie chodzi o to, że nie chcę, byś o tym wiedział, tylko że... po prostu nie jestem w stanie tego powiedzieć. Nie potrafię wypowiedzieć tych słów.

Kłamstwo. Nie chciałam, by wiedział. Godząc się na wzajemną wymianę tajemnic, pragnęłam jedynie sprawić mu przyjemność, a to dwie różne rzeczy. Gdyby faktycznie zależało mi na spowiedzi, obiecałabym pokazać mu teczkę, którą trzymam w domu pod łóżkiem: stenogramy z rozprawy sądowej, listy, wycinki z gazet:

- Przykro mi, że powiedziałam ci tak niewiele. - Potrzebowałam płaczu. Łez mi nie brakowało, czułam je w sobie, jak blokują mi krtań i piersi, ale nie mogłam ich z siebie wycisnąć.

Aidan ukląkł przede mną, oparł ręce na moich kolanach i spojrzał mi w oczy tak głęboko, że nie mogłam uciec wzrokiem.

- Wcale nie powiedziałaś niewiele. Dla mnie to dużo. Bardzo dużo.

Wtedy zrozumiałam, że nie zamierza złamać naszej umowy i nie będzie zadawał mi pytań. Moje ciało nagle się zapadło, obezwładnione uczuciem ulgi.

Pokazałam po sobie, że nie powiem nic więcej. Aidan najwyraźniej pojął, że doszłam już do końca swojej nie - historii, której mu właściwie nie opowiedziałam. Pocałował mnie i rzekł:

- Cokolwiek zrobiłaś, w niczym nie zmienia to moich uczuć do ciebie. Jestem z ciebie bardzo dumny. Teraz będzie nam łatwiej,

Próbowałam wciągnąć go na łóżko, Nie byłam pewna, z czym miało nam być łatwiej. Mógł mieć na myśli nasze pierwsze zbliżenie albo całą resztę życia razem. Dawne życie zostawiłam za sobą, teraz miałam nowe, z Aidanem. Jakaś część mnie - ogromna, głośna i uparta - nie mogła w to uwierzyć.

Nie niepokoił mnie seks. Już nie. Pomysł Aidana okazał się dobry, lecz nie podziałał całkiem tak, jak on to sobie wyobrażał. Trochę mu się zwierzyłam, ale teraz za wszelką cenę unikałam rozmowy. Pragnęłam kontaktu fizycznego, bo chciałam się dzięki temu odgradzić od nawału słów.

- Zaczekaj. - Aidan wstał.

Teraz była jego kolej. Nie chciałam go słuchać. Jak można czuć to samo do osoby, która wyjawia nam jakiś swój straszny postępek z

przeszłości? Zbyt wiele wiedziałam o tym, jakie potworności ludzie potrafią sobie wyrządzać, by dać teraz Aidanowi takie samo zapewnienie, jakie on dał mnie.

- Dawno temu kogoś zabiłem. - Powiedział to równym, bezbarwnym tonem, jakby czytał z telepromptera, na którym każde słowo pojawiała się osobno, wyrwane z kontekstu.

Pomyślałam coś strasznego: Mężczyznę. Błagam, niech to będzie mężczyzna.

- Zabiłem pewną kobietę - dodał Aidan w odpowiedzi na moje niezadane pytanie.

Miał oczy zalane łzami. Pociągnął nosem i zamrugął.

Czułam, jak moje ciało napęła nowy, niezwykle ostry smutek, i wiedziałam, że nie będę mogła go znieść dłużej niż przez kilka sekund. Byłam zdesperowana, zła, niedowierzająca, ale nie przestraszona.

To się zmieniło, gdy Aidan dodał:

- Miała na mnie Mary. Mary Trelease.

Rozdział 1

Piątek, 29 lutego 2008

Oto i ona. Widzę ją z profilu, ledwie przez chwilę, gdy jej samochód przejeżdża obok mojego, ale jestem pewna, że to ona. Detektyw sierżant Charlotte Zailer. Jeśli minie część parkingu przeznaczoną dla gości, będę wiedziała, że się nie pomyliłam.

Tak też robi. Patrzę, jak jej srebrne audi zwalnia i staje na jednym z miejsc oznaczonych napisem „Tylko dla policji”. Wkładam ręce do kieszeni płaszcza, przez kilka sekund ogrzewam w ich misiowatym cieple zmarznięte do czerwoności dłonie, a w końcu wyciągam wycięty artykuł z „Rawndesley and Spilling Telegraph”. W momencie, gdy Charlotte Zailer, nieświadoma mojej obecności, wysiada z auta, rozkładam artykuł i jeszcze raz patrzę na zdjęcie. Te same wysokie kości policzkowe, te same wąskie, ale pełne usta, ten sam mały, kościsty podbródek. To z pewnością ona, choć zapuściła włosy do ramion i dzisiaj nie ma okularów. No i nie jest zapłakana. Na małej, czarno - białej fotografii jej policzki są zalane łzami. Zastanawia mnie, czemu ich nie otarła, wiedząc, że czekają na nią fotoreporterzy. Może ktoś jej podpowiedział, że wizerunek zrozpaczonej lepiej zagra w mediach.

Zarzuca swoją brązową, skórzaną torebkę na ramię i rusza w kierunku wyniosłego budynku z czerwonej cegły, kryjącego cały parking długim cieniem. Komisariat Policji w Spilling. Daję sobie rozkaz, by iść za nią, ale moje nogi pozostają nieruchome. Cała się trzęsąc, kucam przy swoim samochodzie. Promienie zimowego słońca grzeją moją twarz, przez co całe ciało wydaje mi się wyziębione.

Nie ma żadnego związku między budynkiem, przed którym stoję, a jedynym komisariatem policji, jaki kiedykolwiek wcześniej odwiedziłam - tę myśl muszę sobie powtarzać. To po prostu dwa budynki, nie inne od kin czy restauracji, choć jakoś nigdy nie paraliżuje mnie strach, gdy mijam tutejszy multipleks albo Bay Tree Bistro.

Detektyw sierżant Charlie Zailer idzie wolnym krokiem w stronę wejścia: podwójnych, szklanych drzwi, nad którymi widnieje napis „Recepcja”. Szuka czegoś w torebce. To ten typ torebki, który najmniej mi się podoba - jest długa i miękka, wyposażona w nedorzeczną liczbę suwaków, klamerek i bocznych kieszonek. Wyjmuje z niej paczkę marlboro lights, potem wrzuca ją z powrotem

do środka, wyciąga telefon komórkowy i na chwilę się zatrzymuje, wciskając guziki długim paznokciem kciuka. Teraz mogłabym swobodnie ją dogonić.

Naprzód. Idź. Stoję w miejscu.

Tym razem jest zupełnie inaczej niż wtedy. Tym razem przyszedłam tutaj z własnej woli. Jeśli można to tak nazwać.

Jestem tu, ponieważ jedyną możliwością byłoby pójście do domu Mary.

Czując przyływ frustracji, zaciskam usta, bo zęby mi szcękają. Wszystkie moje książki polecają technikę powtarzania w głowie dodających otuchy mantr. To do niczego. Można sobie w nieskończoność wydawać rozsądne polecenia, ale zupełnie czym innym jest sprawić, by te słowa zapuściły korzenie w umyśle i prawdziwie wpływały na życie. Dlaczego tyle osób uważa, że słowa mają jakąś wrodzoną moc?

Na wierzch mojej świadomości wypływa kłamstwo, które powiedziałam, będąc nastolatką. Mówiłam znajomym, że zaskoczyłam ojca kontrowersyjną opinią na temat Biblii, po czym chwaliłam się przed nimi kłótnią, którą tym wywołałam. „To tylko słowa, tato. Ktoś, może nawet jakaś grupa ludzi, usiadł tysiące lat temu i wszystko zmyślił, wszyściusieńko. Po prostu napisali książkę. Jak Jackie Collins”. Kłamstwo było łatwe, bo od dawna miałam te słowa w głowie, brakowało mi tylko odwagi, by je wypowiedzieć na głos. Koleżanki ze szkoły wiedziały, że Jackie Collins jest moją ulubioną pisarką, choć nie zdawały sobie sprawy, że chowałam jej książki pod łóżkiem, w pustych torebkach po podpaskach.

Obrzydzenie w końcu wytrąca mnie z bezruchu: dociera do mnie, że myślę o swoim ojcu, by odebrać sobie wolę działania i usprawiedliwić własną bierność. Charlotte Zailer kieruje się ku drzwiom, zaraz za nimi zniknie. Zaczynam biec w jej stronę. Coś wpadło mi do buta i rani mnie w stopę. Nie zdążę. Zanim dobiegnę do recepcji, ona zamknie się w swoim biurze, zaparzy sobie kawę i rozpocznie dzień.

- Proszę zaczekać!

Zatrzymuje się i odwraca. Wchodząc po schodach, odpinała guziki płaszcza i teraz widzę, że ma na sobie mundur. Wątpliwość mnie paraliżuje, ale po chwili znów rzucam się w kierunku schodów, kuśtykając. Detektywi nie noszą mundurów. A jeśli to nie ona?

Idzie w moją stronę. Pewnie myśli, że jestem pijana, skoro nie potrafię pokonać parkingu w prostej linii.

- To mnie pani woła?

Inni teraz też na mnie patrzą, ci wysiadający i wsiadający do swoich samochodów. Słyszeli mój krzyk, słyszeli desperację w moim głosie. Mój najgorszy koszmar: zauważona przez wszystkich. Przez obcych. Nie mogę wypowiedzieć słowa. Jestem zdezorientowana, w różnych częściach ciała jednocześnie rozgrzana i zziębnięta. Sama już nie wiem, czy chcę, by to była Charlotte Zailer, czy nie.

Zbliża się do mnie.

- Dobrze się pani czuje? - pyta.

Robię krok w tył. Gdy stoję na lewej nodze, ostry przedmiot w bucie wbija mi się między dwa małe palce.

- Detektyw sierżant Charlotte Zailer?

- Kiedyś tak - mówi, nadal uśmiechnięta, ale już z większą rezerwą. - Teraz jestem tylko sierżantem. Czy my się znamy?

Kręcę głową.

- Ale wie pani, kim jestem.

Wielokrotnie ćwiczyłam w myślach, co jej powiem, lecz ani razu nie zastanawiałam się nad tym, co ona może powiedzieć.

- Jak się pani nazywa?

- Ruth Bussey. - Szukam reakcji świadczącej o tym, że coś się jej przypomniało, ale nic takiego nie znajduję.

- Ruth. Dobrze. Teraz jestem w zespole współpracy ze społecznością Spilling. Mieszkaś w Spilling?

- Tak.

- Ale nie przyszłaś tutaj w lokalnej sprawie, mam rację? Chcesz rozmawiać z detektywem.

Nie mogę pozwolić, by skierowała mnie do kogoś innego. Mimowolnie zaciskam dłoń na trzymanym w kieszeni wycinku z gazety.

- Nie. Muszę z panią. To nie potrwa długo. Patrzy na zegarek.

- O co chodzi? Dlaczego akurat ze mną? Jednak chciałabym wiedzieć, skąd pani wie, kim jestem.

- Chodzi o... mojego chłopaka - mówię jednostajnym tonem. W środku budynku nie będzie mi łatwiej wypowiedzieć tych słów. Jeśli powiem jej, czemu tu przyszłam, przestanie wypytywać mnie o to, skąd znam jej nazwisko.

- On uważa, że kogoś zabił, ale się myli.

Charlotte Zailer mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Myli się? - Wzdycha ciężko. - No dobra, zamieniam się w słuch. Wejź do środka, pogadamy.

Idąc, wiercę stopą wewnątrz buta, by pozbyć się tego, co wbija mi się w miękką skórę pod palcami. Nic z tego. Czuję kleistą wilgoć: krew. Nie myśl o tym, ignoruj. Podążam za sierżantem Zailerem do głównego holu, gdzie jest jeszcze więcej ludzi, niektórzy w mundurach, inni w kurtkach z napisem POLICJA na plecach. Dużo tu koloru niebieskiego: dywan w jodełkę, dwie kanapy z imitacji zamszu ustawione pod kątem prostym w rogu sali. Od jednej ze ścian odstaje długa lada z bladego, lakierowanego drewna sosnowego z półkolistym zakończeniem - niczym bar śniadaniowy wbijający się w środek kuchni.

Sierżant Zailer zatrzymuje się, by zamienić słowo z mężczyzną w średnim wieku, tęgim, z dołeczkiem w podbródku i puszystymi, siwymi włosami. Zwraca się do niej per Charlie, nie Charlotte. Naciskam dłońią na kieszeń płaszcza i słyszę cichy szelest gazety przypominający mi o tym, co mnie z nią łączy - mnie z Charlie - a jednak czuję teraz przemożną samotność i tylko ból wędrujący od skaleczonej stopy przez wszystkie połączenia nerwowe w moim ciele powstrzymuje mnie od ucieczki.

Po tym, co jej powiedziałam, z pewnością by za mną pobiegła. Dogoniłaby mnie i złapała.

- Chodźmy - mówi, skończywszy rozmawiać z siwym mężczyzną.

Kuśtykam za nią. Odczuwam ulgę, gdy jesteśmy już same i idziemy korytarzem ze ścianami z odsłoniętej cegły. Ta część budynku wydaje się o wiele starsza od recepcji. W tle słychać płynącą wodę. Rozglądam się, ale trudno się domyślić źródła tego dźwięku. Na obydwu ścianach korytarza, na wysokości oczu, wiszą przeróżne ilustracje. Po mojej prawej seria oprawionych plakatów - przemoc domowa, wymiana igieł, bezpieczniejsze osiedla. Naprzeciwko również oprawione w ramki czarno - białe szkice różnych ulic Spilling. Jest w nich pewna rozdarta atmosfera, która oddaje ciasny, klaustrofobiczny klimat przecinających się ulic w najstarszej części miasta z jej nierównymi fasadami domów i sklepów, z jezdniami wyłożonymi śliskim brukiem. Robi mi się żal artysty, którego prace

wiszą tutaj wyłącznie ze względu na ich lokalne znaczenie. Nikt nie ceni tych szkiców jako dzieł sztuki.

- Nic ci nie jest? - pyta Charlie Zailer, czekając, aż ją dogonię. - Kulejesz.

- Wczoraj skręciłam sobie kostkę - mówię, a moją twarz zalewa rumieniec.

- Doprawdy? - Odwraca się w moją stronę i staje naprzeciwko mnie, zmuszając, bym się zatrzymała. - Skręcone kostki zazwyczaj puchną. Twoja nie wygląda na spuchniętą. Wygląda na to, że to stopa cię boli. Ruth, czy ktoś zrobił ci krzywdę? Mam wrażenie, że coś jest z tobą bardzo nie tak. Czy to twój chłopak cię skrzywdził?

- Aidan? - Myślę o tym, jak całuje prostą linię różowej blizny, która zaczyna się tuż pod klatką piersiową i biegnie przez cały brzuch. Nigdy nie spytał, skąd ją mam. Ani tej pierwszej nocy w Londynie, ani później.

Nie potrafiłby nikogo skrzywdzić. Jestem tego pewna.

- Aidan? - powtarza za mną Charlie Zailer. - Tak ma na imię twój chłopak?

Przytakuję.

- Czy Aidan zrobił ci krzywdę? - Zaplata ręce i nie pozwala mi dalej iść. I tak nie wiem, dokąd szłyśmy. Nie mam wyboru, muszę poczekać.

- Nie, to jest... mam odcisk na stopie. Boli mnie, jak pocieram nim o wnętrze buta.

- Czemu od razu tego nie powiedziałaś? Po co kłamać, że się skręciło kostkę?

Nie mogę zrozumieć, dlaczego mam zadyszkę. Zaciskam zęby w reakcji na ból stopy i postawę Charlie Zailer. Wiedząc, przez co sama przeszła, sądziłam, że będzie wobec mnie cieplejsza. Rozumiejąca.

- Zrobimy tak - mówi głośnym, wyraźnym tonem, jakby miała do czynienia z małą dziewczynką. - Usiądziesz sobie w jednym z naszych pokoi dla interesantów, a ja zaparzę herbatę i zobaczę, czy mamy jakieś plastry na odciski...

- Nie potrzebuję plastra - odpowiadam. Nowe kropelki potu drażnią moją górną wargę. - Nic mi nie jest, naprawdę. Nie musi pani...

- ...a potem porozmawiamy o twoim chłopaku. O Aidanie.

Znów zaczyna iść. Muszę niemal biec, by za nią nadążyć. Czy to jakiś sprawdzian? Ból jest teraz stały, wyobrażam sobie szeroką, sączącą się ranę między palcami i wetknięty w nią przedmiot, wbijający się głębiej i głębiej z każdym stawianym przeze mnie krokiem. Wysilek, który wkładam w odpychanie od siebie tych myśli, jest niczym sznurek przeciągnięty przez sam środek mojego umysłu i naprężający się wciąż coraz mocniej. Tak bardzo chciałabym móc zamknąć oczy. Słyszę swój oddech, dokładnie czuję powietrze wydostające się z moich płuc i wciągane siłą z powrotem do środka.

Skrećam za róg i obie z Charlie Zailer znajdujemy się w kolejnym korytarzu, zimniejszym od poprzedniego, z oknami po jednej stronie. Tu już nie ma obrazków, jedynie rząd oprawionych certyfikatów. Na każdym widnieje jakaś oficjalna pieczęć, ale są zawieszane zbyt wysoko, bym mogła je przeczytać, bo idziemy zbyt szybko.

Zatrzymuję się, gdy widzę przed sobą bladozielone drzwi. Już to kiedyś robiłam: szłam długim korytarzem w stronę zamkniętych drzwi. Zielonych. Ciemnozielonych.

- Ruth? - Sierżant Zailer woła mnie, pstrykając mi palcami przed twarzą. - Wyglądasz, jakbyś była w szoku. Co ci jest? Aż tak cię boli?

- Nie. Nic mi nie jest.

- Masz astmę? Zapomniałaś inhalatora?

- Astmę? Nie wiem, o czym ona mówi.

- Wszystko w porządku - mówię.

- No to chodźmy. - Widząc, że stoję w miejscu, Charlie Zailer cofa się, bierze mnie za rękę i podtrzymując mi plecy, prowadzi korytarzem, tłumacząc coś o herbacie i kawie, coś zdecydowanie bardziej skomplikowanego niż zwykła propozycja „albo - albo”. Mamrocze „Dzięki”, w nadziei, że to właściwa odpowiedź. Otwiera kluczem zielone drzwi, wskazuje mi krzesło, każe czekać. Nie chcę, by zostawiała mnie samą, ale nie mam też ochoty prosić, żeby została, bo wiem, jak żałośnie by to zabrzmiało.

Oprócz tego, na którym siedzę, w pokoju są jeszcze dwa krzesła, kosz na śmieci i biurko z białym fiołkiem alpejskim. Kwiat się nie mieści w doniczce. Pewnie już od dłuższego czasu, ale ktoś widocznie wciąż go podlewa, inaczej nie miałby tak bujnych liści. Jakim trzeba być durniem, żeby codziennie podlewać kwiatek i nie zauważyć, że trzeba go przesadzić do większej doniczki?

Zielone. Drzwi naszego pokoju w hotelu Drummond w Londynie były zielone. To zaledwie jedna noc mojego życia, jedna noc z trzydziestu ośmiu lat, ale część mnie tam pozostała, zamknięta w chwili, w której Aidan mi powiedział. Część mnie nigdy nie opuściła tego hotelu.

Wszystkie moje książki radzą, by nie marnować czasu na gdybanie, ale próżno w nich szukać wskazówek, co robić, gdy jest się od tego uzależnionym. W aptekach nie ma plastrów, które można by sobie nakleić na ramię i w ten sposób uwolnić od niszczącego nawyku gdybania:

Gdybyśmy tylko nie pojechali w grudniu z Aidanem do Londynu, koszmar, który teraz przeżywam, nigdy by się nie zaczął.

- Mój chłopak powiedział mi, że zabił kobietę, choć tego nie zrobił.

- Podaj mi jej nazwisko i dokładny adres - mówi sierżant Zailer, gotowa zapisać moje zeznania. Ponieważ zwlekam z odpowiedzią, dodaje: - Ruth, jeśli Aidan pobił kogoś tak dotkliwie, że...

- Nie! On jej nawet nie dotknął. - Muszę sprawić, żeby mnie zrozumiała. - Nic jej nie jest. Nikomu nie stała się krzywda. Aidan nawet się do niej nie zbliżył. Jestem tego pewna.

- Nikomu nie stała się krzywda? - Charlie Zailer wydaje się zbита z tropu.

- Zgadza się.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Zastanawia się przez chwilę, po czym uśmiecha się do mnie.

- Dobra. Do twojego chłopaka i tej kobiety wrócimy za chwilę - mówi. - Najpierw wypytam cię o podstawowe sprawy, jeśli nie masz nic przeciwko. - Nagle kompletnie zmienia swój sposób zachowania, nie jest już zniecierpliwiona, podejrzliwa. Porzuciła zbyt głośny, protekcjonalny ton i udaje moją przyjaciółkę. Mogłybyśmy teraz wystąpić wspólnie w teleturnieju. - Nazwisko? Bussey, tak? B - U - S - S - E - Y?

- Tak.

- Drugie imię?

Naprawdę chce to wiedzieć? Czy to jakiś żart?

- Zinta. Śmieje się.

- Poważnie?

- Moja matka jest Łotyszką.
- Ale imię! - mówi. - Zawsze zazdrościłam ludziom oryginalnych drugich imion, bo sama mam na drugie Elizabeth. Adres?
- Blantyre Lodge w parku Blantyre, Spill...
- Mieszkasz w parku?
- W kordegardzie, tuż za bramą wejściową.
- Tym śmiesznym domku z czarno - białymi dachówkami?
- Z deskowanym dachem. Nie poprawiam jej. Przytakuję.
- Codziennie widzę ten dom, jadąc do pracy. Jest twój?
- Nie. Wynajmuję go.
- Zawsze mnie zastanawiało, jak to jest zrobione, że te czerwone liście tak zwisają z krawędzi dachu, jak grzywka. Posadziłaś coś w kominie? Bo rozumiem, że coś może się piąć po ścianie, ale...
- Jakie to ma znaczenie? - wyrzucam z siebie gwałtownie. - Ja tam tylko mieszkam. Niczego nigdzie nie sadziłam.
- Kto jest właścicielem?
- Gmina. - Wzdycham, zdając sobie sprawę, że muszę być cierpliwa niezależnie od tego, jakie to trudne. Jeśli spróbuję wszystko przyspieszyć, ona z pewnością będzie zwalniała. Jej radosna determinacja jest smyczą, do której będę przywiązana tak długo, jak Charlie Zailer zechce.
- Od jak dawna tam mieszkasz, Ruth?
- Od niespełna czterech lat.
- Nigdy nie miałaś problemów z opłaceniem czynszu?
Kolejne dziwne pytanie. Musi mieć jakiś powód, żeby je zadawać.
- Nie.
- Nie korciło cię, żeby kupić ten dom? Wejść na rynek nieruchomości?
- Nigdy... - To niedorzeczne. - Nie jestem gotowa...
- Na taki krok? Na zapuszczenie korzeni? - Charlie Zailer dokańcza z uśmiechem moje myśli. - Rozumiem. Sama dosyć długo miałam ten problem. - Stuka długopisem o twardą okładkę notesu. - Twój poprzedni adres?
- Mogłabym się czegoś napić?
- Zaraz dostaniemy herbatę. Gdzie mieszkałaś przed Blantyre Lodge?
Gapiąc się nieruchomo w blat biurka, recytuję swój dawny adres:

- Popie Street osiemdziesiąt cztery, Lincoln.

- Też wynajmowałaś?

- Nie. Tamten dom był mój.

- Czyli w Lincoln zapuściłaś korzenie. Dlaczego się przeprowadziłaś?

Już mam skłamać, gdy nagle przypominam sobie, jaką idiotkę zrobiłam z siebie przy ostatniej próbie ze skreconą kostką. Wycieram spocone dłonie o dżinsy.

- Czemu zadaje mi pani te wszystkie pytania? Jakie znaczenie ma powód mojej przeprowadzki? Przyszłam tu, żeby powiedzieć o swoim chłopaku.

Otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi wysoki, szczupły mężczyzna o wyglądzie nastolatka. Trzyma w dłoniach dwa kubki z herbatą. Prawdziwe kubki z porcelany - jeden w zielone paski, drugi w brązowe. Mój jest wyszczerbiony na krawędzi.

- W samą porę. - Sierżant Zailer uśmiecha się do kolegi, a potem do mnie. Mężczyzna mówi coś, pokazując na jej notes. Charlie Zailer odpowiada: - Podobno nikomu nie stała się krzywda - i rzuca mu spojrzenie, którego znaczenia nie potrafię rozszyfrować. - Dzięki, Robbie.

Po wyjściu Robbiego sierżant Zailer mówi do mnie:

- Napij się herbaty i spróbuj się odprężyć. Nie ma pośpiechu. Wiem, że chcesz mi o czymś powiedzieć, i obiecuję, że w końcu do tego dojdziemy. Pytania, które zadaję, są standardowe. Nie masz się czym przejmować.

Innymi słowy, będę musiała na nie odpowiedzieć. Jakaż byłam głupia, wyobrażając sobie, że Charlie Zailer jest bardziej wrażliwa od innych policjantów. Po tym, co ją spotkało, prawdopodobnie postanowiła zabetonować w sobie miejsce dawniej zajmowane przez uczucia. Bardzo długo sama próbowałam to zrobić, rozumiem dobrze tę decyzję.

Na szczęście nie pyta mnie ponownie o powód wyprowadzki z Lincoln. Teraz chce się dowiedzieć, czy mam pracę. Nachylam się w przód. Para z herbaty pokrywa moją twarz wilgocią. W pewnym sensie przynosi mi to ulgę.

- Pracuję dla mojego chłopaka - mówię.

- Jak ma na imię? - Uważnie mi się przygląda.

- Wie pani, jak się nazywa.

- Aidan?
- Tak.
- A nazwisko?
- Seed.
- Czym się zajmuje?
- Ma własną firmę, Seed Art Services. Oprawia obrazy.
- A, znam ten szyld. To ten zakład nad rzeką, zgadza się? Niedaleko pubu, jak on się nazywa...?
- Tak.
- Jak długo pracujesz dla Aidana?
- Od sierpnia.
- Gdzie wcześniej pracowałaś? Już po przyjeździe do Spilling. Wmawiam sobie, że to się wkrótce skończy. Nawet najgorsze rzeczy kiedyś się kończą.
- Na początku nie pracowałam. Potem zatrudniłam się w Spilling Gallery.
- Oprawiałaś obrazy?
- Nie. - Wydobywam z siebie to słowo niczym bolesny jęk. Długie, przeciągane na siłę, bezcelowe przesłuchanie jest dla mnie jak niezasłużona kara. - Wtedy jeszcze nie umiałam oprawiać obrazów. Mój szef się tym zajmował. Ja byłam asystentką sprzedaży, recepcjonistką. Ale sprzedawałam też obrazy. Dopiero Aidan mnie gruntownie wyszkolił, gdy zaczęłam u niego pracować.
- I teraz umiesz już oprawiać obrazy. - Charlie Zailer zdaje się cieszyć moim osiągnięciem. - W Lincoln też miałaś pracę?
- Własną firmę. Uśmiecha się zachęcająco.
- Nie umiem czytać w myślach.
- Projektowałam ogrody. Green Haven Gardens - mówię szybko, żeby nie zdążyła zapytać.
- To nie lada zmiana: od projektowania ogrodów do oprawiania dzieł sztuki. Jak się nazywał twój pracodawca w Spilling Gallery?
- Saul Hansard - odpowiadam cicho.
Charlie Zailer odkłada notes i długopis. Przygląda mi się uważnie, kościstymi palcami prawej dłoni obracając pierścieniem na lewej. To pojedynczy diament, drobny ze złotymi szponami dookoła, wyrastającymi ze złotej obrączki. Jest zaręczona. Czuję się wyłączona z jej osobistego szczęścia, choć wiem, że nie mam do niego prawa. To oznaka tego, jak daleko się cofnęłam od Londynu.

Im lepiej się człowiek rozumie, tym łatwiej mu się zmienić, mówią moje książki.

- Zatem ty i Aidan Seed pracujecie razem, oprawiając obrazy w warsztacie nad rzeką. Nigdy was nie zalało? - pyta sierżant Zailer lekkim tonem. - Bo wiem, że pub zalewało. A, już wiem: „Gwiazda”, tak się nazywa ten lokal. Widziałam wasz szyld „Seed Art Services - Oprawa Ochronna”, ale zawsze sądziłam, że ten zakład już nie działa. Ilekroć patrzę, na drzwiach zawsze wisi tabliczka z napisem „Zamknięte”.

Gapię się na nią, nie mogę dłużej tego znieść. Wstaję, trąc nogami biurko i wylewając herbatę. Z jej kubka więcej niż ze swojego.

- Aidan uważa, że zabił kobietę, która nazywa się Mary Trelease - mówię jeszcze raz. - Ja wiem, że tego nie zrobił.

- Zaraz do tego dojdziemy - odpowiada. - Usiądź, Ruth. Zadałam ci pytanie: wasza firma działa, tak?

- Owszem - rzucam, czując upokorzenie. - Pracujemy tam sześć, czasem siedem dni w tygodniu. Na tej tabliczce jest napisane „Otwarte tylko dla umówionych klientów i dostawców”. Mamy za dużo roboty, żeby przyjmować ludzi w najdrobniejszych sprawach. Jeśli ktoś chce oprawić tylko jeden obraz i pół godziny zajmuje mu wybranie ramki i passe - partout, na takim zleceniu jesteśmy stratni.

Charlie Zailer przytakuje.

- W takim razie kogo obsługujecie?

- A dlaczego pani pyta? Na litość boską, jakie to wszystko ma znaczenie? Tutejszych artystów, muzea i galerie, kilka firm...

- Od jak dawna Aidan działa w tym biznesie? Zakład stoi tam już...

- Sześć lat - przerywam jej. - Chce pani wiedzieć, gdzie oboje chodziliśmy do szkoły? Poznać nazwiska panieńskie naszych matek?

- Nie. Ale chętnie dowiem się, gdzie Aidan mieszka. Z tobą?

- Praktycznie tak.

- Od jak dawna?

- Od dwóch miesięcy, może dwóch i pół. - Od naszej nocy w Londynie. - On ma swoje mieszkanie przy warsztacie, choć to bardziej magazyn niż mieszkanie. W rogu jest malutka kuchnia, która ledwo działa. Nie można, na przykład, korzystać jednocześnie z piecyka i z

palników. - Przerywam, nagle sobie uświadamiając, że powiedziałam za dużo.

- Większość kawalerów mogłaby mieszkać w wiadrze z pomyjami, nawet tego nie zauważając. - Sierżant Zailer wybucha śmiechem. - Aidan to... lokum wynajmuje czy jest właścicielem?

- Wynajmuje. - Odgarniam włosy sprzed oczu. - Zanim pani spyta: tak, on też płaci czynsz na czas.

Charlie Zailer zaplata ręce na piersiach i uśmiecha się do mnie.

- No dobrze, Ruth. Dziękuję za twoją cierpliwość. Teraz opowiedz mi o Aidanie i Mary Trelease.

Kiwam głową na zgodę.

- Aidan uważa, że zabił Mary Trelease, ale ty jesteś absolutnie pewna, że ona żyje i nic jej nie jest?

- Zgadza się. - Opieram się wygodniej na krześle, stwierdzając z wdzięcznością, że w końcu mnie zrozumiano.

Charlie mruży powieki.

- Wybacz mi, Ruth, jeśli następne pytanie wyda ci się głupie, ale czy ty... powiedziałaś Aidanowi, że Mary Trelease żyje?

- Tak. - Zaczynam płakać. To silniejsze ode mnie. - Mówiłam mu to wielokrotnie. Mówiłam aż do zdarcia gardła i utraty głosu.

- I co on na to?

- Kręci głową. Jest taki pewny. Mówi, że ona nie może żyć, bo ją zabił.

- Prowadziliście tę rozmowę wiele razy?

- Setki razy. Powiedziałam mu, gdzie ona mieszka. Mógłby tam pojechać i przekonać się, że Mary żyje, ale nie chce tego zrobić. Ani tam nie pojechał, ani nie chce uwierzyć mi na słowo. Już nie wiem, co mam robić.

Charlie Zailer stuka długopisem w policzek.

- To wszystko jest bardzo dziwne, Ruth. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to dziwne?

- Oczywiście, że tak! Nie jestem idiotką.

- Skąd Aidan zna Mary?

- Nie wiem.

- Doskonale - mamrocze pod nosem. - Jesteś pewna, że Aidan cię nie nabiera? Nie powiedział ci tego przypadkiem w prima aprilis? - Widząc moją reakcję, sierżant Zailer przestaje się uśmiechać i mówi: -

Kiedy ci to powiedział? Gdzie byliście, w jakiej sytuacji? Wybacz, Ruth, ale cała ta historia jest dla mnie zdecydowanie zbyt szalona.

- Byliśmy w Londynie. To było w zeszłym roku, trzynastego grudnia.

- Pojechaliście tam z jakiegoś konkretnego powodu?

- Tak, chcieliśmy zobaczyć targi sztuki.

Charlie Zailer przytakuje.

- Mów dalej.

- Byliśmy w hotelu, późnym wieczorem. Wcześniej zjedliśmy kolację i wróciliśmy około wpół do jedenastej. Poszliśmy prosto do pokoju i... wtedy mi powiedział.

- Ni z tego, ni z owego? Bez ostrzeżenia, po prostu: „Byłbym zapomniał, zamordowałem kogoś”?

- Nie „zamordowałem”, tylko „zabiłem”. I nie, nie nagle i bez ostrzeżenia. Aidana coś trapiło. Powiedział, że nasz związek się nie uda, jeżeli oboje nie... jeżeli mi się z czegoś nie zwierzy. Jednak ewidentnie nie chciał tego zrobić. Widziałam, jakie to dla niego trudne. Mnie też było ciężko.

- Dlaczego? - Charlie Zailer pochyla się w przód. - Większość ludzi nie boi się zwierzeń swoich partnerów. Zwłaszcza kobiety umierają z ciekawości. Miałaś jakiś powód, by przypuszczać, że Aidan popełnił okrutną zbrodnię?

- Nie, ja... nie. Nie miałam żadnego powodu. - Większość kobiet. Chodzi jej o ludzi, dla których słowo sekret oznacza kuszącą wiedzę, a nie źródło cierpienia.

- Jakimi słowami się wyraził? Zamykam oczy.

- Powiedział: „Dawno temu kogoś zabiłem. Pewną kobietę. Nazywała się Mary Trelease”.

- „Nazywała się Mary Trelease”? - sierżant Zailer jest zdziwiona. - To tak, jakby mówił o kimś, o kim nigdy wcześniej nie słyszałaś. Nie wiedział, że ją znasz?

Powinnam była przewidzieć to pytanie. Moje myśli zaczynają wirować.

- Ja jej nie znam.

- Co takiego?

- Nie znam Mary Trelease.

- W takim razie... Ruth, jeszcze raz musisz mi wybaczyć, jeśli za tobą nie nadążam, ale skoro jej nie znasz, to skąd mogłaś wiedzieć, że ona żyje, gdy Aidan po raz pierwszy powiedział ci, że ją zabił?

Nie uwierzyłaby mi, gdybym jej to wytłumaczyła. Mimo to zaryzykowałabym, jeśli tylko miałabym pewność, że nie ożywie znów mojego pierwszego spotkania z Mary, że nie rozegra się ono powtórnie. Na samą myśl o tamtym, dniu robi mi się gorąco i wpadam w panikę. Gapię się zakłopotana na niedopitą herbatę, licząc po cichu na inne pytanie, ale Charlie Zailer milczy. Czeka. Gdy już nie mogę dłużej znieść tej ciszy, mówię:

- Wystarczy tylko potwierdzić, że ona żyje. Mieszka przy Megson Crescent piętnaście.

- Osiedle Winstanley?

- Tak, tak mi się wydaje. - Nie mogę sprawiać wrażenia zbyt pewnej po tym, jak stwierdziłam, że jej nie znam.

- Megson Crescent to główny pretendent do miana najgroźniejszej ulicy w Spilling. Większość okien na parterach jest zabita deskami. - Sierżant Zailer unosi brwi. - Rozumiem, że pani Trelease jest raczej ubogą artystką? Nie może zbyt wiele zarabiać na swoich obrazach, jeśli mieszka w takim miejscu.

Zbiera mi się na histeryczny śmiech.

- W ogóle na nich nie zarabia.

- A czy ma jakąś pracę?

- Nie wiem.

- Na pewno? - pyta niezobowiązująco Charlie Zailer, jakby komentowała pogodę. - Myślisz, że nie potrafię poznać, gdy ktoś mnie okłamuje? Myślisz, że nie mam do czynienia z kłamcami na co dzień? Owszem, mam. Każdego dnia spotykam kłamców najwyższej próby. Opowiedzieć ci o niektórych?

- Nie jestem kłamcą. Nie znam Mary i nie znałam jej w dniu, w którym Aidan powiedział mi... powiedział...

- Powiedział ci, że dawno temu ją zabił.

- Zgadza się. - Słyszę swoje własne słowa tak, jakbym to nie ja je wypowiadała, jakby dochodziły z oddali.

- Panikujesz, Ruth, i sypiesz kłamstwami szybciej niż Pinokio. Pamiętasz tę bajkę? - Sierżant Zailer ziewa i opada plecami na oparcie krzesła. - Czy to możliwe, że Aidan zabił inną kobietę o tym samym imieniu i nazwisku? - mówi w końcu tonem tak swobodnym, jakby

zgadywała hasło z krzyżówki. - Wiem, że Trelease to rzadkie nazwisko, ale...

- Nie - odpowiadam łamiącym się głosem. - Opisując mi szczegóły, widziałam, że są mu znane. Mówiłam mu o Megson Crescent, że Mary Trelease jest artystką, około czterdziestki, z długimi, czarnymi, kręconymi włosami upstrzonymi siwizną.. - Jego twarz: pełne rozpoznanie, strach w oczach. - To ta sama kobieta. Ta, którą Aidan sądzi, że zabił. Niczego nie zmyślam. Po co miałabym to robić?

- Ma siwe włosy i tylko czterdzieści lat? Chociaż fakt: mówią, że młodzi ludzie o bardzo ciemnych włosach siwieją najszybciej. - Charlie Zailer dudni palcami w blat biurka i patrzy na mnie zdziwiona. - Zatem ją widziałas? Skoro wiesz, jakie ma włosy, to musiałas ją widzieć. Nawet jeśli nie znacie się osobiście.

Nie odpowiadam.

- A może widziałas ją na zdjęciu? Nie. Myślę, że na własne oczy. Zdjęcie nie dałoby ci takiej pewności. Aidan powiedział ci, że ją zabił, więc musiałas zobaczyć ją osobiście, by przekonać się, że wciąż żyje. Niezniechęcona niemal zerowym prawdopodobieństwem, że ktokolwiek przyznałby się fałszywie do morderstwa, wyruszyłaś na poszukiwania tej kobiety i oto twoim oczom ukazała się ona cała i zdrowa. Tak było?

Cisza między nami jest nieznośna. Próbuję udawać przed sobą, że sierżant Zailer nie ma, że siedzę tu sama.

- Coraz ciekawiej - mamrocze pod nosem. - No dobra, mam pytanie, na które pewnie chętniej mi odpowiesz: co tutaj robisz oprócz tego, że marnujesz mój czas?

- Jak to?

- Po co tu przyszłaś? Aidan nikogo nie zabił - świetnie. Mary Trelease żyje - hip, hip, hura. Czego ode mnie oczekujesz?

Teraz mogę mówić swobodnie.

- Chcę, by pani potwierdziła, że mówię prawdę. Jeśli tak jest, to moglibyście przekonać Aidana. Ja próbowałam i nie udało mi się. Pani jest z policji, musiałby pani uwierzyć.

- Jeśli tak jest? Więc nie jesteś w stu procentach pewna, że Aidan nie zabił tej kobiety... która ciągle żyje. Zdecyduj się wreszcie.

- Jestem tak pewna, jak tylko mogę, ale... jeśli kobieta, którą biorę za Mary Trelease, jest kimś innym? Jeśli... Wiem, że to zabrmi

głupio, lecz może to jakaś inna kobieta, która jest do niej podobna, jakaś krewna albo... - Albo ktoś, kto ją udaje. Nie mówię tego. Wyszłabym na paranoiczkę. - Pewnych faktów sama nie ustalę, a policji jest łatwiej.

Charlie Zailer wzdycha.

- Policja ustala fakty w drodze postępowania w sprawie przestępstw. Według ciebie tutaj nic się nie stało. Nie było żadnego przestępstwa. Zgadza się? - Kilkakrotnie otwiera i zamyka usta, które wydają bąbelkowy dźwięk. Wydaje się nad czymś zastanawiać. A może jest znudzona i śni na jawie? Po kilku sekundach mówi: - Z mojego punktu widzenia są tutaj trzy pytania: Pierwsze: czy Aidan zabił kobietę, o której mówisz, znaną ci jako Mary Trelease?

- Nie zabił. To niemożliwe. Ona żyje.

- Dobrze. Zatem czy zabił inną osobę o tym samym imieniu i nazwisku? W końcu pytanie trzecie: czy Aidan komukolwiek zrobił jakąkolwiek krzywdę? Czy gdzieś leży ludzkie ciało czekające na odkrycie? Chociaż jeżeli zabójstwo popełniono dawno temu, to raczej nie jest to już ciało.

- Aidan nikogo by nie skrzywdził. Znam go.

Napełnia policzki powietrzem, po czym wypuszcza je w jednym wydechu.

- Jeśli masz rację, to powinnaś spotkać się z psychologiem, nie ze mną.

Kręczę przecząco głową.

- On nie jest szalony. Wiem to, bo widzę, jak reaguje na inne rzeczy, normalne codzienne sprawy. Właśnie dlatego tak trudno mi to zrozumieć. - Nagle uświadamiam sobie, że być może sierżant Zailer zadała mi te wszystkie pytania o moją pracę i czynsz za mieszkanie w tym samym celu: by sprawdzić moje reakcje na niewinne pytania. - Słyszała pani o zespole Cotarda?

- Nie, słyszałam o zespole Cobaina.

- To choroba umysłowa albo symptom choroby umysłowej związany z depresją i skrajnym brakiem poczucia własnej wartości. Polega na tym, że człowiek uważa się za martwego.

Charlie Zailer szeroko się uśmiecha.

- Gdybym na to cierpiała, przestałabym się martwić paleniem piętnastu szlugów dziennie.

Nie interesują mnie jej dowcipy.

- O ile mi wiadomo, a sporo na ten temat czytałam, nie istnieją inne odmiany tego syndromu ani inny syndrom polegający na tym, że chory roi sobie, iż zabił innego człowieka. Już jakiś czas temu wykluczyłam wytłumaczenie psychologiczne. Nie podejrzewam Aidana o popełnienie zbrodni. Wiem, że jej nie popełnił i że nie jest do tego zdolny, ale... Martwię się, że coś się stanie, coś naprawdę złego. - Wcześniej nie planowałam, że to powiem. - Boję się i nie wiem, czego.

Charlie Zailer długo mi się przygląda. W końcu mówi:

- Co dokładnie Aidan powiedział ci o tym, co zrobił? O tym, co, według niego, zrobił. Kiedy, dlaczego i gdzie zabił Mary Trelease?

- Powiedziałam już wszystko, co usłyszałam od niego: że zabił ją dawno temu.

- Jak dawno?

- Nie powiedział.

- Jak, dlaczego i gdzie ją zabił?

- Nie powiedział.

- Co ich łączyło? Kiedy i w jakich okolicznościach się poznali?

- Już mówiłam: nie wiem!

- Myślałam, że Aidan postanowił się przed tobą zwierzyć. Czyżby zmienił zdanie w trakcie? Ruth? Co powiedział, gdy spytałaś go o szczegóły?

- Nie pytałam o szczegóły.

- Nie pytałaś? Dlaczego?

- Zadałam... spytałam go tylko, czy to był wypadek. - Nie mogę znieść tego wspomnienia. Jego spojrzenia - jakbym dźgnęła go w serce. Bez pytań. On się trzymał umowy, ja ją złamałam.

- Rozumiem - mówi sierżant Zailer. - Bo nie wierzyłaś, że mógłby skrzywdzić kogoś naumyślnie. I co on na to?

- Nic. Tylko się na mnie patrzył.

- A ty o nic więcej nie pytałaś?

- Nie.

- Szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć. Każdy by pytał. Czemu ty tego nie zrobiłaś?

- Zamierza mi pani pomóc czy nie? - mówię, zbierając resztki sił i nadziei.

- Niby jak mam ci pomóc, jeśli ukrywasz przede mną co najmniej połowę informacji, o których wiesz, że są istotne. Zakładając, że

wszystkiego nie zmyśliłaś. Dziwne zachowanie, jak na kogoś, kto prosi o pomoc. - Charlie Zailer prostuje się w krześle. - Aidan wypowiedział się tobie trzynastego grudnia zeszłego roku. Dlaczego czekałaś do dzisiaj, dwa i pół miesiąca, z przyjściem na policję?

- Miałam nadzieję, że uda mi się go przekonać - odpowiadam, wiedząc, jak naiwnie to brzmi, mimo iż jest prawdą.

- Ja mam taki problem, że wszędzie widzę spiski - mówi sierżant Zailer. - Teraz nie potrafię ustalić, kto tutaj jest osobą wkręcaną: ty czy ja. Jakiś kolosalny dowcip - tak ja to widzę.

Zaraz zemdleję. Czuję ostry ból między łopatkami. Wyobrażam sobie, że wciskam duży, czerwony guzik: stop. Wyobrażam sobie swój palec przytrzymujący guzik w dole - to ma odsunąć złe myśli. Książka, w której polecano tę metodę, kłamała.

Spiski - ich boję się najbardziej. Myliłam się wcześniej: mój koszmar nie zaczął się od podróży do Londynu z Aidanem. Miał swój początek dawniej, o wiele dawniej. Listą możliwych początków jest nieskończona: gdy w moim życiu pojawiła się Mary Trelease, gdy poznałam Jego i Ją, gdy przyszłam na świat jako córka Godfrey'a i Inge Bussey.

Sierżant Zailer unosi w górę rękę.

- Nie bój się: jeśli istnieje jakiekolwiek prawdopodobieństwo, że popełniono zbrodnię, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by się o niej dowiedzieć - mówi. Jej słowa nie przynoszą mi żadnej ulgi. Aidan i Mary Trelease spiskujący wspólnie przeciwko mnie. Jeśli to prawda, to nie chcę jej znać. Nie mogłabym jej znieść. Czy to u niej był w te wszystkie noce, których nie spędzał ze mną?

Wstaję, krzywiąc się z bólu, bo opieram się na skaleczonej stopie.

- Popełniłam błąd, przychodząc do pani. Przepraszam.

- Nie ma za co. Usiądź. Jeśli mam się tym zająć, musimy sporządzić pełne oświadczenie...

- Nie! Nie chcę składać żadnego oświadczenia. Zmieniłam zdanie.

- Ruth, uspokój się.

- Znam prawo. Nie możecie zmusić mnie do zeznawania. Nie zrobiłam nic złego. Nie możecie mnie aresztować. To znaczy, że mogę wyjść.

Kuśtykam do drzwi, otwieram je, idę korytarzem tak szybko, jak tylko mogę, czyli niezbyt szybko. Sierżant Zailer dogania mnie niemal od razu. Idzie przy moim boku, nic nie mówiąc. Tymczasem mijamy

recepcję i wychodzimy na zimne powietrze, które jest jak uderzenie otwartą dłonią w twarz. Gwiżdże pod nosem, przyglądając się swoim długim paznokciom, jakby nasz wspólny spacer był przypadkowy. W końcu odzywa się niezobowiązującym tonem:

- Wiesz, co będzie jutro wieczorem?

- Nie wiem.

- Moje przyjęcie zaręczynowe. Chyba nie... Ta cała afera nie jest z tym w żaden sposób związana, co? Nie wyskoczysz jutro z tortu z okrzykiem „Niespodzianka”, prawda? A jeśli tak, to czy to nie jest przypadkiem sprawka niejakiego Collina Sellersa?

Zatrzymuję się i odwracam twarzą do niej.

- Nie wiem, o kim i o czym pani mówi. Proszę o wszystkim zapomnieć, dobrze? - Wtedy zaczynam biec, naprawdę biec, potęgując ból w stopie. Sierżant Zailer mnie nie goni. Krzyczy za mną, że będzie w kontakcie. Otwieram drzwi swojego samochodu, czując na plecach jej palące spojrzenie.

Wie, gdzie mieszkam, na pewno tego nie odpuści. Ale teraz za mną nie biegnie. Na razie jedynie to się liczy. Jeśli tylko uda mi się na chwilę od niej uciec, nic mi nie będzie. Zamykam drzwi od środka od razu po uruchomieniu silnika. Wrzucam wsteczny i ruszam zbyt szybko, opony piszczą. W końcu jestem na drodze i już jej nie widzę. Dzięki Bogu.

Dopiero po kilku minutach zdaję sobie sprawę, że trzęsę się z zimna. Nie wzięłam płaszcza. Zostawiłam go w komisariacie, na oparciu krzesła. A w kieszeni artykuł o Charlie Zailer.

Rozdział 2

1/3/08

Ktoś będzie musiał coś powiedzieć, pomyślała Charlie. Przemówienie. Boże. Było już za późno; właśnie sobie to uświadomiła. Niczego nie przygotowała, Simon na pewno też nie. Chyba że planował ją zaskoczyć. Oczywiście, że nie planuje, ty debilko - ma o protokole przyjęcia zaręczynowego tak samo blade pojęcie, jak ty. Charlie zaśmiała się pod nosem, wyobrażając sobie Simona stukającego nożem w kieliszek i mówiącego: „Choć nie nawykłem do publicznych wystąpień...”. Czyż istniał lepszy początek dla jego przemówienia? Słowo „nienawykły” zostało chyba wymyślone specjalnie dla Simona Waterhouse'a.

Zmuszę go, pomyślała, przeglądając w głowie listę możliwych grózb. Impreza była jego pomysłem. Zmuszę go, by stanął przed blisko setką ludzi i zadeklarował swoją niesłabnącą miłość do mnie. Charlie odwróciła się plecami do wypełnionej gośćmi sali, do krzyków, tańców i przemieszanych śmiechów. Jakie prawo mieli ci wszyscy ludzie do bycia szczęśliwsiymi od niej?

Napełniła ostatnią szklankę szampanem, podniosła żółty obrus i schyliła się, by schować puste butelki pod stołem. Kucając przy nodze stołu, marzyła o tym, by móc tam zostać na zawsze, a przynajmniej do końca tego wieczoru. Nie miała ochoty stawać przed wszystkimi z uśmiechem typu „to mój wyjątkowy wieczór”.

Inna sprawa, że nie byli to jej goście ani Simona - to był jeden z problemów. Żadne z nich nie zgodziło się zorganizować przyjęcia w swoim domu, więc oni sami, ich przyjaciele, krewni i znajomi gościli tego wieczoru - za opłatą, rzecz jasna - w Wiadrze Słodu w Hamblesford, pubie, którego według wiedzy Charlie nie lubiła ani nawet nie znała żadna z zaproszonych osób. Był to pierwszy lokal, gdzie Charlie uzyskała odpowiedź twierdzącą na pytanie „Czy macie salę do przyjęć?”. Zbyt zajęta innymi obowiązkami, by kontynuować poszukiwania, zdecydowała, że to będzie musiało wystarczyć. Hamblesford było ładnym miasteczkiem ze skwerem, pomnikiem i kościołem pośrodku. Wiadro Słodu miało skrzynki wypełnione żółtymi i czerwonymi kwiatami, pomalowane na biało, kamienne ściany zewnętrzne i dach kryty strzechą. Stało w dogodnym miejscu naprzeciwko strumienia z niewielkim mostem. Wyglądało w sam raz.

Bo dzisiejszy wieczór był jednym wielkim oszustwem. Charlie zdawała sobie z tego sprawę, nawet jeśli Simon pozostawał w tym względzie nieświadomy. Nie rozumiała, czemu nalegał na zorganizowanie przyjęcia zaręczynowego; zupełnie to do niego nie pasowało. Czy naprawdę chciał umieścić ich związek w centrum zainteresowania wszystkich znajomych? Na to wyglądało i Simon milczał jak grób, ilekroć Charlie próbowała go wypytać o motywy jego decyzji. „Przecież to normalne, nie?” - to wszystko, co miał do powiedzenia.

Na pewno nie była to próba przypodobania się matce. Kathleen Waterhouse rzadko wychodziła z domu, właściwie tylko do kościoła i domu starców, gdzie pracowała na pół etatu. Kilka tygodni zajęło Simonowi przekonanie jej, by przysłała na przyjęcie, na co w końcu przystała, ale pod warunkiem, że zostanie jedynie na godzinę. Czy faktycznie zamierzała wyjść o dziewiątej co do minuty? Pojawiła się, zgodnie z przepowiednią Simona, dokładnie o ósmej, ściskając ramię męża, Michaela, cała blada i ze słowami:

- Mój Boże, chyba nie jesteśmy pierwsi?

Simon i Charlie entuzjastycznie zapewnili Kathleen i Michaela, że cieszą się na ich widok, ale ci nie odpowiedzieli podobną deklaracją. Nie przynieśli też prezentu. Charlie czekała na gratulacje, ale Kathleen powiedziała jedynie, przyciskając się do męża, jakby chciała się w niego wtopić:

- Wiesz, że przyjechaliśmy tylko na godzinę, prawda? Simon ci mówił? Nie lubię miejsc, w których ludzie piją i hałasują. - W oczach jej i Michaela odmalowała się groza, gdy zobaczyli rzędy butelek i puszek poustawianych na stole przy wejściu. Na razie, pomyślała Charlie, nie jestem związana małżeństwem z wściekle pobożną abstynentką, ale to się wkrótce zmieni.

Grzebiąc pod stołem, zauważyła obok swojej ręki coś błyszczącego. Odwróciła głowę i ujrzała srebrny but z obcasem tak wysokim, że wyginał w kąt prosty stopę, którą miał podtrzymywać. Nad butem widniała kostka popryskana samoopalaczem.

- Kryjesz się? - Żona detektywa konstabla Colina Sellersa, Stacey, szturchnęła Charlie nogą w bark, prawie ją przewracając. - Pycha! - powiedziała. - Pyszny szampania. Padniesz z wrażenia, jak zobaczysz nasz prezent.

Charlie wątpiła w to z całego serca. Stacey przyczepiła do zderzaka swojego samochodu naklejkę z napisem „Zatrąb, jeśli jesteś napalony”. Do większości rzeczy miała raczej marny gust. Zwłaszcza do mężów - odkąd go Charlie знаła, Colin Sellers bzykał na boku piosenkarkę, Suki Kitson. Wszyscy o tym wiedzieli z wyjątkiem jego gruboskórnej żony.

Charlie poczekała z wyjściem spod stołu, aż Stacey odejdzie. Spojrzała na zegarek. Za kwadrans dziewiąta. Zostało już tylko piętnaście minut z godziny Kathleen. Po obiecany punktualnym wyjściu rodziców Simona można będzie znów pogłośnić muzykę. W tej chwili ledwie było słycać grającą w tle płytę Limited Sympathy. Kathleen poprosiła, by ją ściszone, twierdząc, że od głośnej muzyki dostaje migreny.

Charlie rozejrzała się po sali i zaglądając przez szpary między grupkami gości, szukała wzrokiem swojej przyszłej teściowej. Fe, co za paskudna myśl. Następna okazała się jeszcze paskudniejsza i nieomal przyprawiła ją o łzy. Mc z tego nie będzie. Simon wcale nie chce się ze mną ożenić. W ostatniej chwili się wycofa.

Czyżby sama chciała, by było zbyt późno? Nie po raz pierwszy zadała sobie to pytanie. Czy faktycznie chciała widzieć Simona uwięzionego, przez własną nierozwagę i brak samoobserwacji, w małżeństwie, którego ona pragnęła, ale on nie? Wbiła sobie paznokcie w dłoń, by przerwać potok idiotycznych myśli. Bo to oczywiście było idiotyczne. Jedyna niewątpliwa zaleta Simona to jego inteligencja. Inteligentni ludzie nie składają wielokrotnych propozycji małżeńskich osobom, z którymi nie chcą się pobrać. Czyż nie?

Czy jestem tak głupia, jak Stacey?, zastanawiała się Charlie.

Sala do przyjęć przypominała saunę - dwupoziomową, zaniedbaną saunę z musztardową tapetą w romby i otwieranymi pionowo oknami o tłustych szybach, które były tak stare, że ramy zaczynały gnić. Całe pieniądze, które wydano w ostatnim czasie na Wiadro Słodu, poszły na renowację jego elewacji. Niech żyją pozory, pomyślała Charlie i wzniosła kieliszek w prywatnym toaście. Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś z obsługi, kto mógłby Wyłączyć ogrzewanie.

Simon stał przy oknie i rozmawiał z detektywem konstabłem Chrisem Gibbem i jego żoną, Debbie. Charlie nie udawało się złapać go wzrokiem. Usiłowała telepatycznie wbić mu w mózg słowo

"przemówienie". Gdy to nie podziałało, spróbowała ze słowem „rodzice”. Gdzie się podziewali Kathleen i Michael? Charlie denerwowało to, że przejmują się nimi bardziej niż Simon. Mam nadzieję, że rozmawiają z kimś przyzwoitym. Inspektor Proust i jego żona, Lizzie - to by było nie najgorsze. Z drugiej strony Proust, choć nie pił alkoholu, miał niesamowitą zdolność otwierania konwersacji uwagą, która potrafiła do żywego zranić jego rozmówcę. Jednak będąc w towarzystwie żony, zazwyczaj jej oddawał rolę mówcy, więc może nie skończy się to skandalem.

Charlie bardzo lubiła żonę inspektora. Lizzie była drobna, miała krótko przystrzyżone, białe włosy i - jak na pięćdziesięciokilkuletnią kobietę - zaskakująco młodzieńczy wyraz twarzy. Twardo stąpała po ziemi i umiała się znaleźć w każdej sytuacji - miała naturę rozjemcy, nie agitatora. Charlie czuła się źle, nazywając ją za jej plecami Panią Mroźną; niesprawiedliwe było rozciąganie na nią przezwiska Prousta, zwłaszcza że jej osobiste ciepło stanowiło absolutnie jedyny czynnik, pod którego wpływem lodowate usposobienie męża momentalnie topniało.

Charlie dostrzegła Gilesa i Lizzie Proustów rozmawiających z Colinem Sellersem przy bufecie. Sellers był wyraźnie pijany: czerwony na twarzy i obłany potem. Na Prouście nie robiło to wrażenia, ale akurat to było u niego normalne - wyglądał tak w prawie każdej sytuacji, nie tylko podczas rozmowy ze spoconymi pijakami. Coś zgrzytnęło w umyśle Charlie, jakiś ledwie wyczuwalny dyskomfort pod samą powierzchnią świadomości. Co to było? Coś związanego z Sellersem... Kobieta z wczoraj, ta, która przedstawiła się jako Ruth Bussey. Charlie spytała, czy to Sellers namówił ją do opowiedzenia tej niestworzonej historii o chłopaku, który zabił kogoś, kto wcale nie umarł. Czy był to żart, który zostanie ujawniony podczas imprezy zaręczynowej? Gdyby tylko tak było.

Charlie nie chciała myśleć o tej kobiecie, jakkolwiek naprawdę się nazywała. Do perfekcji opanowała wygląd niewinnego, porzuconego dziecka: długie do pasa, złociste, falujące włosy, wytarte dzwony, etaminowa bluzka z kwiatami wyhaftowanymi wokół kołnierza i irytująco kobiece pantofle ze wstążkami dookoła kostek. Me miała skarpetek ani pończoch - nie dziwota, że nie przestawała się trząść. Chyba że to też była część zmyślnej gry. Te jej błagające spojrzenia, to bezradne wzruszanie ramionami... Charlie prawie

uwierzyła w jej szczerłość. Ale potem znalazła artykuł z gazety na swój temat, schowany w kieszeni płaszcza, który kobieta zostawiła w komisariacie. Musiała na chwilę usiąść i zamknąć oczy, by opanować panikę. Zeszłej nocy niemal w ogóle nie spała, zastanawiając się i martwiąc. Kolejny powód, dla którego nie miała dzisiaj nastroju do zabawy.

Nagle usłyszała śmiech swojej matki i odwróciła się w jej stronę. O nie. Rodzice Simona rozmawiali z jej rodzicami. A raczej ich słuchali. Kathleen i Michael Waterhouse'owie stali skuleni przy ścianie w kolorze żółci. Zdawali się wspierać wzajemnie przed brutalną napaścią. Ojciec Charlie, Howard Zailer, opowiadał jedną ze swoich anegdot. Linda, jej matka, wybuchała w najwłaściwszych momentach głośnym, teatralnym śmiechem. Rodzice Simona ani razu się nie uśmiechnęli.

Charlie nie mogła na to patrzeć. Ściskając w dłoni kieliszek z szampanem, przecisnęła się przez masę ludzi w stronę drzwi prowadzących na schody. Trasa ucieczki. Tuż przed wyjściem odwróciła się i zobaczyła, że Simon ją obserwuje. Szybko uciekł wzrokiem, przytakując słowom Debbie Gibbs. Debbie wyglądała elegancko w długiej, czarnej sukience pod szyję - obcisłej, lecz wysmakowanej. Włosy miała upięte z tyłu w kok.

- Wielkie, kurwa, dzięki - syknęła pod nosem Charlie, zbiegając po schodach i oblewając się szampanem. Zdawała sobie sprawę, że ona sama i Simon byli gospodarzami - w tym sensie, w którym nie był nim właściciel lokalu. Wiedziała, że oboje powinni zabawiać gości, zwracać więcej uwagi na przyjaciół niż na siebie nawzajem, ale czyby go to zabiło, gdyby się do niej uśmiechnął?

Wyszła na zewnątrz, na wieczorny chłód, znalazła murek, usiadła na nim i poczuła przyjemne orzeźwienie, choć wiedziała, że wkrótce zrobi się jej naprawdę zimno. Właśnie zapalała papierosa, gdy usłyszała za sobą kroki. Kate Kombothekra. Mąż Kate, Sam - przezywany przez Gibbsa i Sellersa Robotem z uwagi na miłe, uprzejme usposobienie i chęć zadowolenia każdego - zastąpił Charlie w wydziale śledczym i był nowym przełożonym Simona. Podobnie jak Debbie Gibbs i Stacey Sellers, również Kate ubrała się jak na bal u królowej. Jej połyskująca, zielona sukienka z odkrytymi ramionami miała kolor Morza Śródziemnego w promieniach słońca i szeleściła w

ruchu wokół pełnej figury Kate. Złoty szal i złote balerinki doskonale dopełniały zestaw.

Czyżby żony detektywów z wydziału kryminalnego postanowiły wspólnie wyśmiać żalostną imprezę zaręczynową Charlie, wkładając przesadnie eleganckie stroje, by pokazać, w jakiej farsie muszą brać udział? Charlie żałowała, że nie ma na sobie swojej jedynej sukienki zamiast jasnoczerwonej bluzki w serek, czarnych spodni i czarnych pantofli. Cienki pasek weluru wzdłuż kołnierza bluzki stanowił jedyny elegancki akcent jej stroju, jedyne ustępstwo na rzecz dzisiejszej rzekomej celebracji. Bez niego wyglądałaby tak, jakby szła na jakieś zebranie.

- Widzę, że też nie możesz znieść gorąca - powiedziała Kate, ocierając pot z czoła. - Musiałabym wylać sobie na głowę jedno z twoich wiader lodu, żeby tam zostać.

- To nie moje wiadra lodu. Należą do pubu.

Kate rzuciła Charlie osobliwe spojrzenie, po czym uśmiechnęła się z pełnym zrozumieniem wyrazem twarzy.

- Poznałam twoich przyszłych teściów. Nic dziwnego, że wyglądasz jak trup.

- Wielkie dzięki. - Charlie wzięła długi, głęboki sztach papierosowego dymu, mocno wciągając powietrze, by nadać policzkom prawdziwie trupio czaszkowy wygląd.

- Dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli. Trup emocjonalny. - Jasne włosy Kate i jej lśniąca skóra zawsze wyglądały tak, jakby zespół ekspertów skończył poddawać je zabiegom ledwie kilka sekund wcześniej.

- To zabawne, jak rozmowa z czyimiś rodzicami potrafi rzucić światło na wszystkie najgorsze cechy tej osoby - powiedziała Charlie. Kate ją obraziła i karą było poznanie jednej z jej najbardziej bezczelnych myśli. - Podejrzewasz, że coś jest z drugim człowiekiem głęboko nie tak, a potem poznajesz jego rodziców i myślisz sobie: „No tak, wszystko jasne!”. Ciekawe, czy po rozmowie z moimi rodzicami Simon widzi teraz wyraźnie wszystkie moje wady. I wie, że będą się one pogłębiać z upływem lat.

Kate zachichotała.

- Czasem udaje się dać odpór zarówno genom, jak i wychowaniu - odparła. - Spójrz na Sama. Jest najcieplejszym, najwrażliwszym mężczyzną na świecie, a jego rodzice to para leniwych, samolubnych

kapcanów. Jego bracia i siostry - to samo. Cały klan Kombotheków. Kiedy do nas przychodzą, tkwią nieruchomo w fotelach jak ludzkie odpowiedniki kamiennego kręgu, a ja z Samem im posługujemy. Niczego sami nie robią. Są gorsi niż moi chłopcy, nawet gdy byli maluchami.

Charlie mimowolnie się uśmiechnęła. Miło było wiedzieć, że kobiety o jedwabistych włosach również mają problemy.

- Dostaną to, na co zasłużyli - powiedziała Kate, mrużąc powieki,
- Nie zaproszę ich w tym roku na święta. Jeszcze tego nie wiedzą. Ja już wiem i mam dziewięć miesięcy na to, żeby się tym cieszyć w tajemnicy przed nimi.

- Jest dopiero pierwszy marca. Błagam, nie przypominaj mi o Bożym Narodzeniu. - Co zrobią z Simonem? Czy będzie chciał spędzić święta z Charlie? A może dojdzie do połączenia rodzin Zailerów i Waterhouse'ów? Charlie poczuła, że temperatura krwi spadła jej o kilka stopni.

Sytuacja z rodzicami Sama musiała być poważna, pomyślała Charlie, jeśli Kate zamierzała zawiesić swoją gościnność. Był to typ osoby, której jedyną pasją w życiu wydawało się zgarnianie obcych z ulicy, gotowanie dla nich i nakłanianie, by zostali na noc. Charlie była praktycznie obcym, gdy Kate zaczęła domagać się jej obecności w domu Kombotheków w porze posiłków. Teraz, po niezliczonych wizytach, mogła chyba uznać żonę Sama za dobrą znajomą. Nie szkodzi chyba mieć znajomą, która piecze wyśmienite jabłkowo - żurawinowe ciasto z kruszonką. Kate zawsze powtarzała, że najważniejszym składnikiem jest whisky, ale według Charlie jeszcze bardziej kluczowe było przyjęcie takiej definicji deseru, która nie ograniczałaby się do rozwijania cukierków z celofanu.

- Czy wy z Samem urządzaliście przyjęcie zaręczynowe? Pewnie, że tak - Charlie sama odpowiedziała na swoje pytanie. - Założę się, że było w którymś z waszych domów.

Kate wyrwała się z pochłaniającej ją fantazji na temat zemsty na teściach.

- U moich rodziców. Rodzice Sama nie chcieli... - Zamilkła. - Ale przecież ty mówiłaś, że nie chcesz urządzać u siebie. Simon tak samo.

- No właśnie - powiedziała Charlie. - Co jest z nami nie tak? Kate wzruszyła ramionami.

- Simon nigdy by się nie odprężył we własnym domu. A ty jesteś w środku urządzania. - Uśmiechnęła się szeroko. - Jeśli coś, co nie ma końca, może mieć środek.

- Nie zaczynaj.

- Przecież mówiłam ci, że nieurządzony dom to idealne miejsce na imprezę. Nikt nie zarzyga kosztownej tapety.

- Miałaś rację - odparła Charlie. - Ale ja i tak zrobiłam swoje i zarezerwowałam zatęchłą salę w pubie, bo nie jestem taka, jak ty i Sam. Simon zresztą też. My nie potrafimy nikogo dobrze ugościć. Skoro mamy udawać, że lubimy naszych znajomych, to wolimy robić to na neutralnym gruncie. - Z jakiegoś powodu Charlie sprawiało przyjemność mówienie złośliwości na swój temat. Czuła, że w ten sposób rekompensuje wszystkie te sytuacje, w których wyzłośliwia się na innych. - Czy ktoś przemawiał? - spytała.

- Na naszym przyjęciu? Tak, Sam. Mówił od serca, ale w nieskończoność. A dlaczego? Ty zamierzasz coś powiedzieć? Czy Simon?

- Oczywiście, że nie. My niczego nie robimy zgodnie ze zwyczajem.

Kate nie rozumiała.

- Możesz wygłosić przemówienie, jeśli chcesz. To co, że będzie improwizowane? Często spontaniczne...

- Wolalabym zanurzyć twarz w kwasie - przerwała jej Charlie. - Simon też.

Kate westchnęła i owinęła się ciasniej szalem.

- Założę się, że czułby inaczej, gdyby wiedział, że stać go na dobre przemówienie. Pewność siebie - tylko tego mu brakuje. To dla niego nieznanne terytorium.

- Wygląda na to, że znasz go lepiej niż ja.

- Wiem, że cię uwielbia. I zanim spytasz „To czemu tego nie okazuje?”... cóż, on to robi. Jeśli nie widzisz sygnałów, to dlatego, że źle patrzysz.

- Myślałam, że źle wyglądam - odparła Charlie przez zaciśnięte zęby.

- Simon ma swój własny styl. Potrzebuje trochę czasu, to wszystko. Czasu na przyzwyczajenie się do bycia w związku. Po ślubie będziecie go mieli pod dostatkiem. Mam rację? - Kate powiedziała to tak, jakby proponowała coś niewysłowienie zdrowego:

szybki spacer na świeżym powietrzu. - Przestań się zamartwiać tym, co powinnaś robić, i przestań się porównywać z innymi ludźmi. Kiedy ustalicie datę? Charlie się zaśmiała.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo jesteś osamotniona w tym względzie - odparła. - Tylko ty nie uważasz, że nasz ślub byłby największym błędem od zarania dziejów. Nie wyłączając mnie i Simona, oczywiście.

Kate wyciągnęła papierosa z ust Charlie, upuściła go na ziemię i przydeptała złotą balerinką.

- Powinnaś to rzucić - powiedziała. - Pomyśl o swoich przyszłych dzieciach, jak one będą się czuły, patrząc, jak ich matka umiera.

- Nie zamierzam mieć dzieci.

- Oczywiście, że będziesz je miała - odparła Kate tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Posłuchaj, jeśli chcesz się nad sobą uzalać, to pozwól, że ci w tym dopomogę. Wiesz, od czego aż huczy w tym pubie? Prawie każda rozmowa, w której brałam udział, obracała się wokół tego, czy ty i Simon już to zrobiliście. Osobiście słyszałam dwie przepowiednie, że rozwiedziecie się przed upływem roku, a dobre pięć czy sześć osób twierdziło, że pewnie w ogóle nie dojdzie do ślubu. Wiesz, jaki prezent kupiła wam Stacey Sellers?

Charlie miała paskudne przeczucie, że zaraz się dowie.

- Wibrator. Słyszałam, jak zanosząc się śmiechem, mówi Robbiemu Meakinowi i Jackowi Złośnikowi, że Simon pewnie nie będzie wiedział, co to jest. „Ucieknie, jak go zobaczy”, tak powiedziała.

- Dosyć, wystarczy. - Charlie zeskoczyła z murku i ruszyła w stronę mostu. Zapaliła nowego papierosa. Perspektywa śmierci jej nie martwiła, zwłaszcza że nie będzie komu jej opłakiwać.

Kate poszła za nią.

- A potem dodała: „Przynajmniej Charlie będzie miała się czym zabawiać, jak już Simon zwieje w przestkach”.

- Co za menda.

- Według mnie raczej ślimaczyca - sprostowała Kate. - Sama galareta, zero chrupania. No i będzie miała satysfakcję życia, jeśli wyjdiesz ze swojego przyjęcia zaręczynowego i nie wrócisz. Chcesz, żeby myślała, że wstydzisz się swojego związku z Simonem?

- Wcale się nie wstydzę. - Charlie się zatrzymała. - Nie obchodzi mnie, co sobie wszyscy myślą.

Kate chwyciła ją za ramiona, wykrzywiając twarz od dymu papierosowego.

- Kochasz go bardziej niż większość ludzi kocha swoich małżonków. Dałabyś za niego życie bez chwili zastanowienia.

- Doprawdy?

- Uwierz mi na słowo.

Charlie przytakiwała mimo przemożnej chęci sprzeciwu. Niby czemu miała wierzyć Kate? Czyżby potrafiła ocenić poziom zakochania swoich gości, serwując im norweski omlet?

Kate poluzowała chwyt.

- Posłuchaj - powiedziała. - Jeśli we wszystkich plotkach, które słyszę, tkwi ziarno prawdy - a tak często bywa - to macie z Simonem jakiś problem ze swoim życiem seksualnym. - Zanim Charlie zdążyła powiedzieć jej, żeby zajęła się swoimi sprawami, Kate dodała: - Nie wiem, o co chodzi, i nie chcę wiedzieć. Ale wiem jedno: w miłości i w życiu chodzi nie tylko o seks. A jedynym sposobem na zamknięcie ust plotkarzom jest powrót na salę i przerwanie wszystkich rozmów. Powiedz coś do swoich gości. Nie zostawiaj tego im, nie można im ufać. Stań na krześle - masz płaskie podeszwy - i wygłoś przemówienie.

Charlie zaskoczył jej własny śmiech. „Masz płaskie podeszwy” - naprawdę to powiedziała?

- Char, zaczekaj na mnie! - Głos dobiegł z kępy drzew przy moście.

Charlie zamknęła oczy. Ile Olivia słyszała z całej rozmowy?

- Moja siostra - wyjaśniła zdziwionej Kate.

- Do zobaczenia w środku za nie więcej niż trzy minuty - powiedziała Kate.

- Kto to był? - spytała Olivia.

- Zona Sama Kombothekry. Spóźniłaś się.

- To nie koncert - odparła siostra Charlie. Było to powiedzenie ich ojca. Howard Zailer mówił tak o wszystkim, na co nie chciało mu się przychodzić punktualnie. Nigdy nie używał tych słów w odniesieniu do golfa, w którego grał co najmniej pięć dni w tygodniu. Namiętność Howarda do tej dyscypliny została narzucona jego żonie, choć obydwójce udawali, że jej nagłe zamiłowanie zrodziło się niezależnie od niego, jakimś niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

- To co? Będzie przemówienie? - spytała Olivia.

- Na to wygląda.

Olivia miała na sobie nierozważną, ciasną spódnicę, która krępowała jej nogi i umożliwiała stawianie jedynie drobnych kroczków. Charlie musiała się powstrzymać, by nie wykrzyknąć „Szybciej!”. Miała zamiar wmaszerować z powrotem do pubu i dotkliwie pobić każdego, kto ośmieli się Wątpić w trwałość jej zaręczyn z Simonem. Co za tupet! Jak mogą żłopać szampana, za którego zapłaciliśmy, jednocześnie obgadując nas za plecami? Postanowiła, że przemówienie, które układała już w głowie, idąc z udawaną cierpliwością obok swojej powłóczącej nogami siostry, będzie słownym laniem sprawionym tym wszystkim, którzy na nie zasługiwali. Może nie było to w tradycyjnie rozumianym duchu świętowania, ale przynajmniej czuła się podekscytowana.

Gdy była już na miejscu, stanęła na krześle: Nie musiała w nic stukać ani wołać o ciszę. Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę i wkrótce ludzie zaczęli się nawzajem uciszać.

- Czy ktoś mógłby wyłączyć muzykę? - powiedziała Charlie.

Mężczyzna w białej koszuli z Czarną muszką przytaknął i wyszedł z sali. Nie wiedziała, jak ma na imię, i zastanawiała się, czy on znał jej nazwisko, czy wieści o jej nieudanym życiu seksualnym rozeszły się też między pracowników Wiadra Słodu, którzy obsługiwali dzisiejsze przyjęcie.

Rozejrzawszy się szybko po sali, upewniła się, że Kathleen i Michael Waterhouseowie wyszli. Simon stał z tyłu w rogu, z wyrazem zaniepokojenia na twarzy. Z pewnością miał żal do Charlie, że nie uzgodniła z nim wcześniej swojej decyzji zrobienia z siebie kretyнки na oczach ich znajomych.

Muzyka zamilkła w połowie piosenki. Charlie otworzyła usta. Dwie sekundy wcześniej pamiętała, co zamierzała powiedzieć - a miała zamiar sponiewierać każdego z obecnych - ale wciąż patrzyła nie na tych, na których powinna. Lizzie Proust wpatrywała się w nią, wprost promieniejąc, Kate Kombothekra szeptała „śmiało” z tyłu sali, a Simon właśnie w tym momencie postanowił się uśmiechnąć.

Nie mogę tego zrobić, pomyślała Charlie. Nie mogę ich wszystkich potępić. Nie wszyscy na to zasługują. Najwyżej połowa. Kate mogła przesadzać. Nagle Charlie uderzyła myśl, że potępienie jest czynnością wymagającą nieco większej precyzji.

Stoisz na krześle w samym środku sali. Coś będziesz musiała powiedzieć.

- Opowiem wam historię, której jeszcze nigdy nikomu nie opowiadałam - odezwała się w końcu, myśląc sobie: Co ja, kurwa, robię? Nie opowiadała tej historii z bardzo dobrego powodu: odgrywała w niej rolę pierwszorzędną kretynki. Charlie dostrzegła zmarszczone czoło Olivii. Liv sądziła, że wie wszystko o swojej siostrze. Prawie. Było tylko kilka spraw, które ją ominęły, i to była jedna z nich. - Gdy zaczynałam pracę jako konstabl, poszłam do szkoły podstawowej na pogadankę o bezpieczeństwie na drodze.

- Dyrektorka chyba nie widziała, jak jeździsz! - zawołał Colin Sellers. Wszyscy skwitowali to śmiechem. Charlie mogłaby go ucałować. Był dla niej idealnym, mało wymagającym słuchaczem.

- W klasie, oprócz mnie i trzydziściorga dzieciaków, była też nauczycielka i jej asystentka, młoda dziewczyna...

- Kobieta! - zawołał żeński głos.

- Przepraszam, młoda kobieta, która pracowała równie ciężko jak nauczycielka: wycierała nosy, pomagała rysować znaki drogowe, odprowadzała dzieci do toalety. Na początku lekcji nauczycielka przedstawiła mi się i kazała też każdemu uczniowi powiedzieć mi, jak ma na imię, ale ani słowem nie wspomniała o asystentce, co moim zdaniem było trochę chamskie. Kiedy już skończyłam swoją pogadankę i zbliżała się przerwa, nauczycielka wstała i powiedziała: „A teraz podziękujmy pani Zailer brawami za to, że do nas przyszła i zrobiła nam ten fascynujący wykład”. Wszyscy klaskali. A po chwili dodała: „I złożmy dłonie dla Grace”.

Charlie czuła się zażenowana tym wspomnieniem, nawet po tylu latach. Zobaczyła, że Sam Kombothekra śmieje się do żony, chyba jako jedyny spodziewał się puenty.

- Dzięki Bogu, pomyślałam: nareszcie biedna asystentka, Grace, usłyszy wyrazy uznania dla swojej pracy. Zaczęłam energicznie klaskać, ale nikt inny do mnie nie dołączył. Maluchy patrzyły na mnie jak na wariatkę. I wtedy zdałam sobie sprawę, że wszystkie mają rączki złożone do modlitwy...

Przez rozgrzaną salę przeszła fala chichotu. Charlie usłyszała gardłowy rechot swojego ojca. Jej matka i Olivia stały po jego obu stronach i bacznie mu się przyglądały, by ocenić, jak bardzo jest

rozbawiony, i tym samym ustalić, do jakiego rozbawienia same miały prawo.

Myśl o miłych rzeczach.

Kate Kombothekra pokazywała Charlie uniesione kciuki. Stacey Sellers była w kąćku ust umazana guacamole.

- Tak, tak - ciągnęła Charlie. - Wtedy przypomniałam sobie, że jestem w szkole katolickiej i że Grace jest nie tylko żeńskim imieniem, ale również tytułem modlitwy. Prawda jest taka, że nie wiedziałam absolutnie nic o katolicyzmie, bo wychowali mnie ateistyczni hipisi, dla których bóstwem był Bob Dylan. - Linda i Olivia Zailer przez chwilę wyglądały na zaniepokojone. Gdy Howard ryknął śmiechem, obie się uśmiechnęły, lecz w tej samej chwili rzuciły Charlie ostrzegawcze spojrzenia. - Jeśli miałam jakiegokolwiek pojęcie o katolikach, to takie, że jest to banda pełnych zahamowań dziwaków, którzy zawsze są przekonani, że mają rację. - Charlie odczekała kilka sekund, nim dodała: - I wtedy poznałam Simona.

Sala wybuchnęła śmiechem. Nerwowy chichot Stacey Sellers przebijał się przez ogólny zgiełk. Teraz już za późno, żeby się wycofać, pomyślała Charlie.

- Simon, grzeczny, katolicki chłopiec z pewnością też miał jakieś swoje wyobrażenia na temat hipisów: że wulgarnie się wyrażają, prowadzą swobodny tryb życia, są rozwiązli i zdecydowani zniszczyć siebie i wszystkich dookoła. - Jeden, dwa, trzy. - I wtedy poznał mnie. - Tym razem śmiech był ogłuszający. Charlie starała się nie wziąć go do siebie. - Teraz patrzy na mnie, jakbym zapuściła rogi, więc możliwe, że zerwie zaręczyny. Mam nadzieję, że tak się nie stanie. W przeciwnym razie musielibyśmy zwrócić wszystkie prezenty. - I na koniec dodała: - To by znaczyło, Stacey, że dostaniesz z powrotem swój wibrator, choć wątpię, byś miała z niego jakiś użytek po dwóch naturalnych porodach. Kończąc już... Dziękuję wszystkim za przybycie. Zostało jeszcze dużo alkoholu - bawcie się dobrze!

Jeszcze nie zdążyła zejść z krzesła, a już dostrzegła Simona maszerującego w jej stronę.

- Co ty do cholery... - zaczął mówić, ale jego głos zniknął w potoku słów Lizzie Proust, która pojawiła się między nimi, ciągnąc za sobą Mroźnego.

- To było bez wątpienia najlepsze przemówienie, jakie w życiu słyszałam - powiedziała żona inspektora. - Mam rację, Giles?

- Nie.

- Właśnie, że tak. Byłaś wspaniała! - Lizzie objęła Charlie jedną ręką, drugą nadal trzymając swojego męża. Wyswobodziwszy się z jej uścisku, Charlie straciła już Simona z oczu.

- Chyba nie było to najlepsze przemówienie, jakie słyszał twój narzeczony - powiedział Proust, rzucając jej mroźne spojrzenie.

- Większości ludzi się podobało, sir. - Charlie uśmiechnęła się zdecydowanie. Nie pozwoliła mu zepsuć sobie humoru, tak niedawno poprawionego. Jej przemówienie faktycznie było dobre. Ale gdzie się podział Simon? Chyba nie zdenerwował się na serio?

Muzyka znów zagrała, głośniejsz niż poprzednio i z innej płyty: Carnival II Wyclefa Jeana. Charlie dostrzegła momentalne obrzydzenie na twarzy Prousta i przez chwilę zastanawiała się, czy kiedykolwiek, choćby w młodości, inspektor był człowiekiem otwartym. Poczula czyjąś dłoń zaciskającą się wokół jej ramienia; Debbie Gibbs.

- Chciałabym umieć tak się śmiać z siebie samej - powiedziała. Miała mokre oczy.

- Mogę się z ciebie pośmiać, jeśli chcesz - odparła Charlie. Debbie kręciła głową, nie rozumiejąc dowcipu. Jesteś gliniarzem, nie komikiem, przypomniała Sobie Charlie.

Gdy Debbie odeszła, Charlie odciągnęła na stronę jej siostra.

- Mama i tata nigdy nie byli hipisami.

- To jak to się nazywało? Szampańscy socjaliści? Ludzie z drewnianymi podłogami w domach, chodzący na marsze przeciwko zbrojeniom nuklearnym i jedzący duże ilości makaronu. Taka nazwa byłaby za długa do wymówienia. Teraz łatwiej jest to streścić, odkąd ojciec stał się golfowym nudziarzem.

- Nie zaczynaj, Char.

- Naprawdę interesują cię jego opowieści z pola golfowego?

Gdy Olivia leczyła raka, Howard Zailer był w pełni zaangażowany. Tak samo jak Linda i Charlie. Dopiero na emeryturze jego horyzonty zaczęły się zwięzać. Już w 2006 roku, gdy nazwisko Charlie pojawiało się we wszystkich gazetach, nie miał ochoty prowadzić z nią dłuższych rozmów o tym, przez co przechodziła. W końcu nie zagrażało to jej życiu. Howard nie mógł się spóźnić na partyjkę golfa albo, jeżeli Charlie dzwoniła wieczorami, na kielicha z

kolegami z klubu. „Podam ci mamę - mówił, ilekroć telefonowała. - Potem ją o wszystko wypytam”.

- Wybacz mi, że staram się kochać moją rodzinę mimo jej licznych wad - powiedziała Olivia z obrazą w głosie, przyglądając się siostrze od stóp do głów. - Zwłaszcza że nie doskwiera mi pod tym względem jakieś specjalne bogactwo. Nie mam żadnych krewnych, którzy nie byliby w taki czy inny sposób upierdliwi. Ty pewnie chciałabyś, żebym ucieła wszystkie więzy, oddała się do schroniska, zamknęła w klatce i czekała, aż przyjdzie po mnie nowa, doskonała rodzina.

Charlie zdecydowała, że lepiej uciąć ten wątek.

Olivia miała inne zdanie.

- Każdy z nas ma prawo mówić, co mu leży na sercu, czy tylko ty to możesz robić? Nie miałam zamiaru dzielić się swoją opinią o tym, jaka śmieszna jest ta cała maskarada z twoimi szalonymi zaręczynami...

- Ale rozumiem, że ta strategia uległa jednak zmianie? - odszczeknęła Charlie.

Olivia nie zdążyła odpowiedzieć. Z parteru, z okolic stołu z prezentami, dobiegł wszystkich krzyk. To głos Simona. Każdy, kto go usłyszał, kierował się w stronę schodów, nie chcąc, by go cokolwiek ominęło.

Stacey Sellers płakała. Simon trzymał w dłoni duży wibrator, wymachując nim jak pałką.

- Sądziłaś, że taki prezent będziemy chcieli od ciebie dostać? - wrzasnął, rzucając gumowy przedmiot na podłogę. Wylądował pośród kawałków podartego papieru, tuż obok tego, co zostało z pudełka.

- Nie ma nic zdrożnego w zabawkach z sex - shopu - krzyczała Stacey. - Nie oglądałeś nigdy Seksu w wielkim mieście? Czy ty o niczym nie wiesz?

- Ma rację - szepnęła Olivia na ucho Charlie. - Libido nie jest konieczne, ale poczucie humoru owszem.

- Olivia mówi, że jeśli go nie chcemy, to ona chętnie weźmie - krzyknęła w stronę Simona Charlie.

Simon podniósł głowę.

- Bierz swoje rzeczy - powiedział. - Idziemy.

- Idziemy? Simon, jest dopiero dziewiąta. Nie możemy wyjść, to nasze przyjęcie.

- Mogę robić, co mi się, kurwa, żywnie podoba. Daj mi swoje klucze. Zobaczymy się później.

Klucze? Czyżby zamierzał spędzić noc w jej domu? Musiało mu o to chodzić - to było jednoznaczne. Charlie rozejrzała się wokół siebie, by sprawdzić, czy ktoś się szyderczo uśmiecha. Większość osób była bardziej zainteresowana szlochem Stacey. Nikt z zebranych nie miał prawa wiedzieć, że Simon i Charlie nigdy nie spędzili ze sobą nocy ani że martwiła się, że może się to nigdy nie zdarzyć, nawet po ślubie.

- Pojadę z tobą - powiedziała, zabierając z wieszaka przy schodach swój płaszcz i torebkę.

Olivia była gotowa do skoku.

- Dopiero co przyszłam. Czy Simon nie może poczekać?

Pewnie może, pomyślała Charlie. Niechaj nikt nie mówi o Simonie Waterhousie, że nie może czekać. Czekał już tak długo, że jej serce było bliskie skamienienia. To ona nie mogła już dłużej czekać.

- To jak? Powiesz mi czy nie? - Simon siedział na podłodze w dużym pokoju Charlie, z kolanami podciągniętymi do brody i nieotwartą puszką piwa w dłoni. Jego skóra była szara i ziarnista, a włosy brudne. Czyżby nie wziął prysznic przed wyjściem na przyjęcie?

Charlie stała na środku nieudekorowanego, nieumeblowanego pokoju, powstrzymując się przed wyciem. Omijała ich impreza zaręczynowa, a zamiast niej nurzali się w tej ponurej atmosferze, w drętwej rozmowie.

- Simon, to nie ma znaczenia. Chryste!

- Więc mi nie powiesz? Charlie jęknęła.

- To serial telewizyjny. O czterech kobietach mieszkających w Nowym Jorku. Są przyjaciółkami, bzykają się z wieloma facetami, nic więcej.

- Wszyscy go znają. Wszyscy, tylko nie ja.

- Nieprawda! Są prawdopodobnie całe masy ludzi, którzy nawet o nim nie słyszeli.

- Pełni zahamowań dziwacy, by zacytować twoje wspaniałe przemówienie.

- Ono było wspaniałe. - Charlie chciała uzbroić swój smutek, zamienić go w gniew. - Już wyjaśniłam, czemu się na nie zdecydowałam. Kate Kombothekra powiedziała mi, że wszyscy się z

nas nabijają. Postanowiłam zabrać im zabawki, przyłączając się do chóru.

Simon zerwał się na równe nogi.

- Jadę do domu.

Charlie stanęła między nim a drzwiami.

- Przyjechałeś tu, żeby spytać o Seks w wielkim mieście i wrócić do siebie? Po co tu jesteś, Simon? Czyżbyś podsłuchał kogoś na imprezie, kto obgadywał nasze życie seksualne, a raczej jego brak? Według Kate wszyscy o tym nadawali. Może chciałeś, żeby zobaczyli, jak razem wychodzimy, i wyciągnęli z tego błędny wniosek.

- Problemem jest to, co ty powiedziałaś! - Simon wykrzyknął jej w twarz. - Wulgarni, rozwiązli, zdecydowani zniszczyć siebie. Mam szczęście, że nie było już moich rodziców.

- Boisz się, że tatuś i mamusia dowiedzą się, jaka naprawdę jestem?

- I tak byś to powiedziała, mam rację? Nawet gdyby nadal tam byli.

- Ale ich nie było! Jesteś śmieszny. Jedynym problemem jest twoja próżność.

- Problemem jest twoje przeinaczanie, twój... ekshibicjonizm! Czy ta historia o szkole podstawowej była prawdziwa? Zastanawiam się, skoro cała reszta przemówienia była stekiem bzdur.

- Myślisz, że był to tylko wygodny sposób na to, żeby przyłożyć katolikom?

- Ależ skąd. Przecież ty nikogo nie wybierasz. Potrafisz przyłożyć wszystkiemu, co się rusza. Im bardziej bezbronne, tym lepiej!

Charlie zrobiła krok w tył, oddalając się od jego gniewu. Stacey Sellers dostała pakiet łagodny, pomyślała.

- Kto jest bezbronny?

- Więc to się naprawdę wydarzyło? Nauczycielka powiedziała, żeby złożyć dłonie dla Grace, a ty nie wiedziałaś, o co jej chodzi? Wybacz, ale... - Nagle urwał. Odwrócił się i zaczął trzeć twarz dłońmi.

- Wybacz, ale co?

- Czy nas cokolwiek łączy? Czy zamieszkujemy ten sam wszechświat?

To się nie dzieje naprawdę. To niemożliwe.

- Rób, co uważasz za konieczne - powiedziała Charlie. - Nie będę się starała zmienić twojego zdania. - Zostawiła go samego i poszła na górę.

Będąc już w sypialni, postanowiła, że nie trzaśnie drzwiami, i zamknęła je ostrożnie. Nie była dzieckiem - nie chciała być tak traktowana i nie zamierzała sama się tak zachowywać. Lizzie Proust podobało się jej przemówienie Debbie Gibbs też. Jej okropne przemówienie. Co ją napadło? Wulgarni, rozwiązli... Ostatnią część Simon zapamiętał niedokładnie: zdecydowani zniszczyć siebie i wszystkich dookoła.

- Ojej - wyrwało się jej teraz. Dźwięk opadał ciężko w panującą w pokoju ciszę. Ciekawa była, co Kate Kombothekra sądziła o jej żartach. Uniosłaby kciuki czy opuściła? Zastanawiające - w końcu to ona namówiła ją do wystawienia się na pośmiewisko.

Drzwi się otworzyły.

- Nie będziesz zmieniała mojego zdania w jakiej kwestii? - powiedział Simon. Nie wyglądał na szczęśliwego. Nigdy nie wyglądał na szczęśliwego.

- W kwestii zerwania ze mną. Masz pierścionek. - Charlie ściągnęła go z palca. - Nie będę się wyklócać o najmniejszy brylant świata.

- Wcale nie... nie miałem takiego zamiaru. Przepraszam. Rozgniewałem się.

- Naprawdę? Nie zauważyłam. - Charlie wolałaby umrzeć, niż pozwolić, by zobaczył, jak jej ulżyło. Była na siebie wściekła, że jej ulżyło. Ilu mogłaby teraz znaleźć mężczyzn gotowych do zaręczyn, którzy umieraliby ze śmiechu, słysząc jej anegdotę o asystentce nauczycielki? Miliardy. Na pewno kilkunastu. I większość z nich prawdopodobnie chciałaby pójść z nią do łóżka.

- Miałem zły dzień w pracy - powiedział Simon. - Musiałem wytłumaczyć jednemu facetowi...

- Pierdu pierdu! W stołówce wydali wszystkie steki i ciasta, zanim doszedłeś na początek kolejki?

- Zamknij się i włóż z powrotem ten pierścionek - odparł Simon.

- Tak się składa, że ja też miałam wczoraj fatalny dzień, który kompletnie spieprzył mi dzisiejszy urlop, ale mimo to jestem zdolna zachowywać się jak cywilizowany człowiek. A raczej byłam zdolna, póki na mnie nie wsiadłeś. - Zamrugnęła, by wycisnąć z oczu łzy, i

nałożyła pierścionek na palec. Najmniejszy brylant świata. Nie powinna była tego powiedzieć, bo to nieprawda i niegodziwość. - Przepraszam. Uwielbiam ten pierścionek. Wiesz, że go uwielbiam. - Jeśli nasze małżeństwo ma się stać faktem, pomyślała, jeśli ma się udać, to Simon spyta mnie najpierw o mój fatalny dzień, zanim zaczniesz mówić o swoim.

- Spędziłem całe popołudnie z mężczyzną, który przyznał się do morderstwa - powiedział Simon. - Tyle tylko, że kobieta, którą rzekomo zabił, wcale nie umarła.

Umysł Charlie momentalnie się splaszczyl. Wszystkie inne myśli odleciały.

- Co takiego?

- Wiem, brzmi to dziwnie. Muszę powiedzieć, że trochę mną zatrzęsło. Nie był to człowiek, z którym miło przebywać w jednym pomieszczeniu. - Simon otworzył swoją puszkę piwa. - Ty też chcesz czy to jest ostatnie?

- Mów - usłyszała się Charlie. Było tak, jakby przyjęcie i ich kłótnia nigdy się nie wydarzyły. Znow znalazła się w recepcji komisariatu, usiłując nie patrzeć na wstążki, którymi Ruth Bussey owinęła swoje kostki. Kuśtykająca Ruth Bussey ze swoim kruchym, piskliwym głosem, przestraszona, że stanie się coś złego, ale niemająca pojęcia, co...

Nie, nie, nie. Nie mogłam znowu tak bardzo się pomylić.

- Nie byłem tam od początku - powiedział Simon. - Dopiero dzisiaj mnie w to wciągnęli. Wczoraj gadał z nim Gibbs.

- Wczoraj? O której? Jak się ten facet nazywa?

- Aidan Seed.

- Nie wierzę.

- Znasz go?

- Niezupełnie. O której wczoraj przyszedł?

Simon wykrzywił twarz w zamyśleniu.

- To musiało być między pierwszą a drugą.

Charlie wypuściła powietrze, które trzymała w płucach od dłuższej chwili.

- Za dziesięć dwunasta jego dziewczyna czekała na mnie przed komisariatem, jak przyjechałam do pracy.

- Jego dziewczyna?

- Ruth Bussey. Tak się przedstawiła. Simon przytaknął.

- Wspomniał o niej. Nie po nazwisku, ale mówił o Ruth. W jakiej sprawie do ciebie przyszła?

- Wygląda na to, że w tej samej, co on. Powiedziała mi, że jej chłopak stanowczo twierdzi, iż zabił kobietę, która nazywa się Mary Trelease...

- Zgadza się - potwierdził Simon.

- ...ale że nie mógł tego zrobić, bo Trelease żyje. Najpierw myślałam, że ma nierówno pod sufitem, więc zadałam jej trochę pytań z innej beczki. Im dłużej mówiła...

- Tym wydawała ci się normalniejsza? - wtrącił Simon. - Zatrokana, zdenerwowana, ale zdrowa psychicznie?

- Zatrokana to niedomówienie. Widziałam w życiu niejednego ludzki wrak, ale dawno nie spotkałam nikogo, kto byłby w gorszym stanie niż ta kobieta. Trzęsa się ze strachu, w jednej chwili płakała, potem znów gapiała się w przestrzeń, jakby widziała ducha, często zupełnie niepotrzebnie kłamała. Coś jej się stało w stopę, ale powiedziała mi, że skręciła sobie kostkę. Gdy zwróciłam uwagę, że nie jest spuchnięta, zmieniła historyjkę, mówiąc, że to pęcherz.

Simon chodził po pokoju, przygryzając paznokieć kciuka, jak to zwykł robić, gdy się koncentrował.

- Z Seedem było całkiem na odwrót. Jego zachowanie się nie zmieniało. Był bardzo opanowany. Na początku też myślałem, że nadaje się do czubków, ale... jednak nie wyglądał na chorego, mimo iż upierał się przy niemożliwym i nie przyjmował żadnych argumentów. Dwadzieścia osiem razy powtórzył mi coś, co nie mogło być prawdą. Próbował nawet odwoływać się do logiki, żebym tylko mu uwierzył.

- Jak to? - zapytała Charlie.

- Poprosiłem, by opisał kobietę, którą rzekomo zabił. Zrobił to ze szczegółami. Detal po detalu przedstawił mi rysopis kobiety, z którą dzisiaj rano rozmawiałem.

- Widziałeś się z Mary Trelease? - Ta ewentualność wywołała w Charlie dziwne uczucie, którego nie rozumiała.

- Tak, Gibbs też. Obydwaj widzieliśmy jej paszport i prawo jazdy. Dzisiaj pokazała mi imienny akt własności swojego domu, wszystkie dokumenty od notariusza, wyciągi z konta bankowego.

- Po co tyle tego? - spytała Charlie. - Paszport i prawo jazdy powinny wystarczyć.

- Chyba nie chciała, żebyśmy codziennie przychodzili prosić ją o kolejne dowody. Zebrała cały plik papierów, żeby pokazać mi, jak absurdalne jest to całe zamieszanie. Zachowywała się, jakby... jakby się bała, że ukradnę jej tożsamość czy coś takiego.

- Bała się? Dosłownie? Simon się zastanowił.

- Tak. Pod warstwą wesołości wyczułem jakiś strach. Dwie przestraszone kobiety. Charlie się to nie podobało.

- Jak dałeś się w to wciągnąć? Mówisz, że Seeda najpierw przyjął Gibbs? - Spodziewała się teraz usłyszeć, że Seed osobiście domagał się udziału Simona, że prosił właśnie o niego. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to nie jest jakiś paskudny żart wymierzony w nią. Jeśli Ruth Bussey i Aidan Seed wiedzieli, że jest zaręczona z Simonem.

- Kombothekra powiedział, że Gibbs jest potrzebny przy innym zadaniu - wyjaśnił Simon - Czyli, czytając między wierszami: nie ufał mu w tej sprawie.

- Według niego Gibbs nie potrafi sprawdzić, czy jakaś osoba żyje czy nie?

- Mary Trelease nie chciała wpuścić go do swojego domu - odparł Simon. - Gibbs nie widział go od środka. Co najważniejsze, nie widział głównej sypialni, tej wychodzącej na ulicę. Zgodnie z tym, co wczoraj Seed zeznał Gibbsowi, to tam zostawił martwe ciało Mary Trelease, w łóżku...

- Czekał. Kiedy niby ją zabił?

- Nie chciał tego powiedzieć. Nie podał też powodu. Wyznał tylko, jak to zrobił; udusił ją.

- Według Ruth Bussey, Seed przyznał się do zabicia Trelease „dawno temu”.

Simon kilkakrotnie zamrugął.

- Na pewno?

- Co na pewno? Ja jestem pewna, że tak powiedziała, a ona wydawała się przekonana, że tak właśnie jej wyznał. Zdaje się, że jego słowa brzmiały: „Dawno temu zabiłem kobietę. Nazywała się Mary Trelease”.

- To nie ma sensu - wymamrotał Simon, odwracając się w stronę okna.

I właśnie dlatego Sam Kombothekra nie chciał dawać tej sprawy Gibbsowi, pomyślała Charlie. Większość śledztw prowadzonych przez wydział kryminalny dotyczyła wydarzeń łączących się w jakiś

logiczny ciąg. Ludzie ranili się nawzajem lub zabijali o pieniądze lub narkotyki, a zazwyczaj o jedno i o drugie. Okradali sklepy, zakłócali spokój albo terroryzowali sąsiadów, bo był to dla nich jedyny sposób ucieczki przed beznadziejnym życiem. Ponure, ale przynajmniej elementarnie logiczne.

Charlie chciała spytać Simona, w jaki sposób Seed próbował stosować logikę, by przekonać go do swojej racji, ale ten już mówił:

- Zabił ją dawno temu, zostawił zwłoki w sypialni domu przy Megson Crescent piętnaście i spodziewa się, że je tam znajdziemy, nienaruszone, kilka lat później, po jego przyznaniu się do swojego czynu? Nie. - Charlie patrzyła, jak Simon odrzuca w myślach tę hipotezę. - Trelease nie mieszkała w tym domu kilka lat temu. Kupiła go w dwutysięcznym szóstym od rodziny Millsów.

- Czyli dwa lata temu - zauważyła Charlie, z góry wiedząc, jaką usłyszysz odpowiedź. Czy kiedykolwiek zareaguje na słowa „dwa tysiące sześć” bez małego trzęsienia ziemi w żołądku?

- Słowa „dawno temu” sugerują wcześniejszą datę - rzekł Simon, jak na zawołanie. - Wiesz, że mam rację.

Nie mogła się spierać. Ruth Bussey mówiła, że Seed zwierzył się jej w grudniu, a wówczas 2006 był zaledwie „zeszłym rokiem”.

- Co jeszcze ci powiedział, oprócz tego, że jej zwłoki leżą na łóżku w głównej sypialni i że ją udusił?

- W łóżku, nie na łóżku. Powiedział, że zostawił ją nagą, że była naga, gdy ją zabijał. Leżała pośrodku łóżka, a nie po którejś ze stron. Położył na to duży nacisk. To wszystko, jeśli nie liczyć wielokrotnych zapewnień, że jej nie zgwałcił.

- Ruth Bussey o tym wszystkim nie wspomniała. - Charlie wyjęła papierosa z paczki na parapecie. Nie miała czym go podpalić. - Był z nią w sypialni, gdy się rozbierała? Spali ze sobą?

- Nie powiedział tego.

- Sam był ubrany, gdy ją dusił?

- Nie wiemy.

Charlie wiedziała, że raczej nie wymyśli pytania, którego Simon już by Seedowi nie zadał. O wszystko, co zaniedbał Gibbs, Simon spytał z pewnością wiele razy.

- Na niektóre pytania odpowiadał chętnie i szczegółowo, przy innych nawet nie otwierał ust.

- Jego dziewczyna zachowywała się identycznie - powiedziała Charlie.

- Nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim. - Simon kręcił głową. - Wiesz, jak to zazwyczaj wygląda: ludzie zeznają albo nie. Zdarza się, że z początku milczą, ale jak się ich przyciśnie, to wszystko wyśpiewują. Czasem zarzucają cię kłamstwami, a jak im je wszystkie wytkniesz, kompletnie się zamykają. Aidan Seed nie należy do żadnej z tych grup. To było trochę tak, jakby miał... jakby miał w głowie jakąś listę. Dwie listy: pytania, na które może odpowiadać, i te, których nie wolno mu komentować. Gdy pytałem go o rzeczy z pierwszej listy, wychodził ze skóry, żeby mi pomóc. Tak, jak mówię: dostałem dokładny rysopis Mary Trelease, od malutkiego, karmelowego znamienia pod dolną wargą - sam tak go określił: „w kolorze karmelu” - do drobnych małżowin usznych i szorstkich, kręconych włosów, czarnych, ale przetykanych srebrnymi.

- Jest atrakcyjna? - spytała Charlie. - Nie patrz tak na mnie. Nie chcę wiedzieć, czy ci się podobała. Po prostu jestem ciekawa.

- Nie jest ładna - odparł Simon po chwili namysłu.

- Ale uderzająca? Pociągająca? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Nie tylko Aidan Seed ma w głowie listę pytań, na które woli nie odpowiadać, pomyślała Charlie.

- Powiedział, czy zabił ją w łóżku, czy może później zaniósł tam zwłoki? - spytała, wiedząc, że wróciła do listy tych dozwolonych. Czy jest coś, czego bym nie zrobiła, żeby tylko sprawić mu przyjemność? Czy przeszłoby na wcześniejszą emeryturę i przemierzała kraj z zestawem kijów golfowych, ubrana w ohydne sweterki?

- Powiedział, że była w łóżku, gdy ją zabijał. Ale... Posłuchaj tylko, o czym my mówimy. - Simon wziął łyk piwa. - „Czy zaniósł zwłoki?”. Jeśli Seed i jego dziewczyna są szurnięci, to prawie nam się udało im dorównać. Jakie zwłoki? Mary Trelease żyje.

- Mówiłeś o pytaniach, na które może odpowiadać - powiedziała Charlie. - Niby kto miałby mu na to pozwalać? Ruth Bussey? Ona też chętnie mówiła, ale tylko na niektóre tematy. Jak tylko zadawałam kolejne, logiczne pytania, natychmiast milkła. Nie odpowiadała ani słowem. Nie mówiła nawet: „Przepraszam, nie mogę odpowiedzieć”.

- Czy to możliwe, że jest jeszcze ktoś trzeci? Ktoś, kto decyduje, o czym mogą zeznawać?

- Mary Trelease? - zasugerowała Charlie. Simon odrzucił to machnięciem ręki.

- Po co miałyby kazać im obojgu iść na policję, by zeznali, że Seed ją zabił? Po co mieliby się na to godzić? - Nie czekał na odpowiedź, wiedząc, że Charlie jej nie zna. - Gibbs spytał ją, czy zna niejakiego Aidana Seeda. Zaprzeczyła, ale według niego kłamała. Dzisiaj znowu ją o to spytałem. Powiedziałem, czym się zajmuje i ile ma lat. Odparła, że go nie zna. Wydawała się szczerą, ale z drugiej strony miała cały dzień na dopracowanie swojej wersji. Natomiast Seed na pewno nie grał. Gnębi go jakieś poczucie winy - to oczywiste. Cokolwiek siedzi w jego głowie, nie chciałbym mieć tego w swojej. Wciąż powtarzał: „Jestem mordercą”. Powiedział, że gdy zaciskał dłonie wokół jej szyi i paznokieć lewego kciuka wbijał mu się w prawego kciuka, to miał wrażenie, jakby sam umierał.

- Dokładnie tak powiedział? Simon przytaknął.

- Ale jej nie udusił. Nikt jej nie udusił. - Charlie zadrżała. - Zaczyna mnie to wykańczać. Nieraz słyszałam ludzi przyznających się do zbrodni, których nie popełnili, ale zawsze ktoś jednak te zbrodnie popełnił. Po co ktoś miałby się przyznawać do zabicia kobiety, która nie jest martwa? Według Ruth Bussey, Seed nie mówił jej o szczegółach, o sypialni i uduszeniu. Czemu?

- Pewnie nie chciał obciążać swojej dziewczyny takimi obrazkami - zasugerował Simon.

- Co Seed mówił o swojej relacji z Mary Trelease? Skąd ją znał?

- Widząc wyraz twarzy Simona, Charlie domyśliła się odpowiedzi. - Nie chciał powiedzieć. - Zastanawiała się, o co jeszcze może spytać, jakby właściwy dobór słów miał rzucić na sprawę jakieś nowe światło. Nic nie przychodziło jej do głowy. - Powinniśmy oboje oskarżyć o marnowanie czasu policji - powiedziała.

- To na szczęście nie moja decyzja. Seed nie jest zwyczajnym ściemniaczem. Coś go dręczy, coś rzeczywistego.

Charlie miała to samo wrażenie co do Ruth Bussey, dopóki nie znalazła wycinka z gazety.

- Kombothekra będzie musiał zdecydować, co z tym dalej robić - rzekł Simon. - Gdyby to ode mnie zależało, pewnie bym nie ryzykował i odebrał oświadczenia od wszystkich zaangażowanych. Zwłaszcza od Seeda. Chociaż nie mam pojęcia, co bym potem zrobił z jego zeznaniami. - Zmarszczył czoło, rozważając nową myśl.

- A co ty postanowiłaś zrobić po rozmowie z Ruth Bussey?

Charlie czuła na twarzy narastające ciepło.

- Zawsze grzeszyć zaniedbaniem to moje motto - odparła gorzko.

- Nie zamierzałam nic robić, mimo iż powiedziała mi, że boi się, iż stanie się coś złego. I mimo że ewidentnie coś z nią było nie tak. Nie sprawdziłam nawet, tak jak ty i Gibbs, czy Mary Trelease żyje. - Charlie włożyła trzymanego w dłoni papierosa do ust. Momentalna ulga.

- Nie rozumiem - wyznał Simon. Wyszła z pokoju i zaczęła schodzić na dół.

- Co? - Poszedł za nią. - Powiedziałem coś nie tak?

- Nie. Idę po zapalniczkę.

Na kominku w salonie leżało kilka do wyboru, wszystkie plastikowe i jednorazowe.

- Czego mi nie mówisz? - spytał Simon.

- To pytanie ze złej listy, przykro mi. - Charlie spróbowała się zaśmiać, podpalając papierosa. Cudowna, uspokajająca moc nikotyny zaczynała działać.

- Powiedziałaś, że Ruth Bussey czekała na ciebie przed komisariatem.

- Naprawdę?

- Zbyt inteligentny. Na swoją szkodę i innych.

- Dlaczego właśnie na ciebie?

Charlie podeszła do torebki, którą zostawiła na klamce od drzwi, i wyjęła z niej wycinek z gazety.

- Po rozmowie zostawiła swój płaszcz. Znalazłam to w kieszeni.

Czy Simon miał pojęcie, jak ciężko było jej pokazać mu ten artykuł? Prawdopodobnie wcześniej nigdy go nie widział. Simon nie czytał miejscowych gazet.

Zostawiła go samego w salonie i wyszła z papierosem przez kuchnię na podwórko na tyłach, mimo że było zimno, a ona nie miała na sobie kurtki ani butów. Utkwiła wzrok w swojej „instalacji”, jak ją nazywała Olivia: stercie połamanych mebli, które Charlie wyrzuciła z domu dwa lata temu. „Jak trudno jest wynająć kontener?” - pytała płaczącym tonem Olivia, ilekroć składała siostrze wizytę. Charlie nie wiedziała i nie miała też dostatecznej motywacji, by to sprawdzić. Moi sąsiedzi pewnie codziennie modlą się, żebym się wyprowadziła, myślała. Zwłaszcza ci, którzy zamienili swoje staranne, brukowane

ogródki na śliczne trawniki z kwiatami. Teraz mieli granice wyznaczone według kolorów: czerwone, białe i niebieskie kwiatki poukładane w nieznośnie regularne wzory. Co za strata czasu, gdy się ma ogródek wielkości paznokcia.

Charlie poczuła, że coś jej dotyka i krzyknęła w przerażeniu, nim zorientowała się, że to Simon. Objął ją w pasie.

- I jak? Przeczytałeś?

- Pomówienia - odparł. - Podobnie jak ton, którym sama siebie opisałaś.

- Nie uważasz, że zaniedbaniem było niepodjęcie żadnych czynności po rozmowie z Ruth Bussey? - Wiedziała, że chodziło mu o przemówienie na przyjęciu, ale postanowiła udawać, że nie rozumiała.

- Nie jestem pewien - powiedział Simon. - Jak obydwójce wciąż powtarzamy, nie popełniono żadnej zbrodni. Bussey twierdziła, że Mary Trelease jest cała i zdrowa. Okazuje się, że to prawda.

- Sam Kombothekra każe ci zostawić to w spokoju. To nie sprawa dla policji. Po prostu troje czubków dziwnie się zachowuje. Nic nam do tego.

Simon westchnął.

- Zadowala cię to wyjaśnienie? Seed i Bussey przychodzą do nas tego samego dnia, oddzielnie, żeby opowiedzieć dwie wersje prawie tej samej historii. Chcesz to zostawić?

- Ruth Bussey boi się, że stanie się coś złego. - To wyznanie wciąż wracało do Charlie, odkąd wiedziała już, że cała sprawa nie była żartem pod jej adresem.

- Jedna rzecz będzie musiała się wydarzyć, jeśli mamy coś z tym dalej robić - powiedział Simon.

- Co takiego?

Ciągle mnie dotyka. Wcale nie musiał, ale to zrobił. I nadal robi.

- Coś związanego ze śniegiem.

- Ty, nie my - odparła Charlie. Jedną z korzyści związanych z jej odejściem z wydziału śledczego był fakt, że nie musiała już niczego negocjować z Mroźnym Bałwanem. Próbowwała uniknąć tonu tryumfu w głosie, mówiąc: - Ja już dla niego nie pracuję.

Rozdział 3

Niedziela, 2 marca 2008

Przeraza mnie jakiś dźwięk. Od dawna panującą w moim domu ciszę przerywa ostry dzwonek. Zmęczone myśli nagle nabierają ładu. Adrenalina pomaga mi się ruszyć. Docłapuję do salonu na nogach i rękach, żeby nie stawiać ciężaru ciała na zranionej stopie. Udaje mi się dotrzeć do telefonu przy trzecim sygnale. Ciągle mam przy sobie kołdrę, którą owinęłam się wokół ramion niczym szalem. Nie jestem w stanie powiedzieć „halo”. Nie mogę sobie pozwolić ani na odrobinę nadziei.

- To ja.

Aidan. Zalewa mnie poczucie ulgi. Ściskam mocno słuchawkę, muszę się czegoś trzymać.

- Wracasz? - mówię. Mam wiele pytań, ale to jest najważniejsze.

- Tak - odpowiada. Czekałam na kolejną część: Zawsze do ciebie wrócę, Ruth. Przecież wiesz. Jednak tego nie mówi Ciszę wypełnia bicie mojego serca.

- Gdzie byłeś? - pytam. Nie było go dłużej niż zwykle. Dwie doby.

- Pracowałem.

- Warsztat był pusty. - Cisza. Czyżby żałował, że dał mi klucz? Czekałam, aż poprosi, bym mu go oddała. Dał mi go, gdy zaczęłam u niego pracować. Klucz do warsztatu, ale jednocześnie do jego domu. Była to oznaka zaufania.

Część piątku i soboty spędziłam w zaniedbanym pokoju na tyłach warsztatu, płacząc i czekając, aż Aidan wróci. Odwodniona i przemęczona kilka razy zasypiałam i nagle się budziłam, przekonana, że gdyby wrócił, pojechałby do mojego domu. Sama nie wiem, ile razy jeździłam z jednego końca miasta na drugi, czując, że gdziekolwiek bym go szukała, zawsze spóźnię się o ułamek sekundy.

- Ruth, musimy porozmawiać.

Oczywistość tego stwierdzenia przyprawia mnie o łzy.

- W takim razie przyjeżdż.

- Już jadę. Nigdzie się nie ruszaj. - Rozłącza się, nie dając mi szansy odpowiedzieć. Oczywiście, że nigdzie się nie ruszę. Nie mam dokąd iść.

Czołgam się z powrotem do przedpokoju, gdzie byłam, zanim Aidan zadzwonił, i gdzie tkwiłam po turecku Od szóstej rano, gapiąc

się na mały monitor zamontowany na półce nad drzwiami wejściowymi. Moje ciało jest sztywne i obolałe od siedzenia zbyt długo w jednej pozycji. Spodnia część stopy wygląda jak rozgniecione ciastko ptysiowe. Nie mam siły, by posprzątać dwudniowy bałagan, ale muszę to zrobić.

Pilot do telewizora. Jeśli Aidan znajdzie go na podłodze, będzie wiedział, że oglądam taśmy. Rozgniewa go to. Patrę znów na ekran przestraszona, że jak tylko odrywam od niego wzrok, coś przegapiam. Sekundę później obraz się zmienia: ziarnisty, czarno - biały kadr przedstawiający chodnik przed moim domem, z krzakami angielskiego cisu przystrzyżonymi w abstrakcyjne, kuliste kształty, zostaje zastąpiony widokiem na kępę topoli po drugiej stronie domu i bramę parku. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi. Nikt.

Biorę do ręki pilota, jednocześnie próbując wstać. Wywracam przepelnioną, śmierdzącą popielniczkę, która ostatnio dotrzymywała mi towarzystwa.

- Cholera - mówię pod nosem, żałując, że nie spytałam Aidana, jak daleko jest od domu. Wróci za pięć minut czy za dwie godziny? Oprócz przewróconej popielniczki i jej zawartości leży obok mnie jeszcze butelka po winie i pusta paczka po cienkich papierosach. Przesiąknięty krwią but leży na boku przy drzwiach, gdzie go zrzuciłam w piątek, śpiesząc się do łazienki.

Gdybym powiedziała Charlie Zailer, że coś wpadło mi do buta, odparłaby: „W takim razie to wyjmij”. Jak mogłabym jej wytłumaczyć, że znacznie łatwiej było mi udawać skręconą kostkę?

W wannie wciąż jest trochę krwi. Powinnam była w piątek porządnie ją wyszorować, ale nie mogłam się do tego zmusić. Już dostatecznie ciężko było mi dobiec do łazienki, włożyć stopę pod kran i przekręcić kurek. Gdy wróciłam do domu, okazało się, że bojler znów wysiadł. W domu było równie zimno jak w parku, a woda wypływająca z kranu jeszcze zimniejsza. Z zamkniętymi oczami pocierałam rozdartą, papkowatą tkanę, cała się trzęsąc i próbując wyciągnąć to, czym się skaleczyłam. Stopa nieznośnie bolała polewana zimną cieczą. Zrobiło mi się niedobrze, gdy usłyszałam, jak coś twardego upada na dno wanny.

Idąc na piętach, wyrzucam buty, butelkę i pudełko po papierosach do stojącego przed domem kosza na śmieci. Ruch rozgrzewa nieco moje zziębnięte kości. Zgarniam popiół i niedopałki, po czym je też

wrzucam do kosza. Potem porządnie czyszczę wannę. Co kilka chwil, gdy czuję, że jestem bliska omdlenia, przerywam, żeby odzyskać oddech. Nie jadłam dzisiaj nic oprócz batonika z płatków owsianych i cukierków.

Ruth, musimy porozmawiać:

Muszę być w stałym ruchu, bo inaczej zacznę sobie wyobrażać wszystkie najgorsze rzeczy, które może mieć mi do powiedzenia Aidan. Wpadnę wtedy w panikę.

Już mam wziąć do ręki pilota i odłożyć go na półce obok monitora, gdy słyszę jakiś dźwięk za drzwiami - coś mignęło między drzewami rosnącymi blisko moich okien. Zatrzymuję się i nasłuchuję. Niecałą minutę później kolejny dźwięk, tym razem bliżej - szelest gałęzi. Ktoś stoi pod moim domem. Nie Aidan, on podszedłby prosto do drzwi. Padam na kolana i w takiej pozycji przechodzę do salonu, gdzie chowam się za fotelem.

Charlie Zailer. Zostawiłam płaszcz na policji. Może mi go przyniosła. Modłę się, by to była ona - ktoś, kto nie zrobi mi krzywdy - choć jeszcze w piątek nie mogłam się doczekać, żeby od niej uciec.

Wtedy słyszę śmiech, dwa głosy, których nie poznaję. Wychylam się zza fotela i widzę nastoletniego chłopca za oknem. Rozpina rozporek i odwraca się do tyłu, w stronę ścieżki, by zawołać do swojego kolegi, by na niego poczekał, aż skończy sikać. Jego szyję i podbródek pokrywa wysypka po goleniu. Chłopak ma na sobie dzinsy, spod których wystaje dobre kilka centymetrów bokserek. Zamykam oczy i wspieram się na poręczy fotela. Nikt, kto o mnie wie. Nikt, kto jest mną zainteresowany. Słyszę głos dobiegający z nieco większej odległości. Jego kumpel nazywa go prostytutkiem.

Gdy odchodzi, upewniam się, że nie patrzy za siebie. Poprawia spodnie i drapie się po karku nieświadom mojej obecności. Gdyby się teraz odwrócił, widziałby mnie wyraźnie.

To jedna z cech mojego małego domu, która od początku podobała mi się najbardziej: ten salon wystający w stronę parku, jak jakiś rodzaj gabloty z trzema dużymi, witrażowymi oknami. Malcolm powiedział mi, że po odejściu ostatniego lokatora miał trudności ze znalezieniem następnego.

- Ani cienia prywatności - wyjaśnił. Pokazał na wykusz, gdy przechodziliśmy przez bramę parku, i wymienił pozostałe wady domu, jeszcze zanim miałam szansę przekroczyć próg: w ścieżce tkwiły

słupki, które trzeba składać i rozkładać przy wjeżdżaniu i wyjeżdżaniu samochodem z parku. Salon i sypialnia nie były doskonałymi kwadratami, w obydwu pokojach brakowało jednego rogu, jakby ktoś wyciął dwa trójkąty z przestrzeni domu. - Mówię szczerze - powiedział Malcolm - bo i tak sama pani zauważy.

- Prywatność jest dokładnie tym, czego nie chcę - odparłam. - Jeśli ludzie widzą mnie, a ja ich, to mi odpowiada. - Zaskoczyły mnie moje własne słowa. Nie byłam pewna, czy taka jest prawda, czy też odwrotność tego, czego chcę. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że jeśli będę niewidzialna, nikt nie przyjdzie mi z pomocą, gdy będę jej potrzebowała.

- Niech sobie pani kupi jakieś dobre firanki - doradził Malcolm, a ja się wzdrygnęłam, wyobrażając sobie ludzkie twarze zniekształcone przez wzorzysty, biały materiał: Jego twarz i Jej.

- Nie - odparłam z ostentacją, upewniając się, że Malcolm mnie usłyszał. Wątpię, by miało to dla niego jakiegokolwiek znaczenie, ale ja sama potrzebowałam się utwierdzić w tym postanowieniu. -

Chcę widzieć park za oknem. Będzie moim ogrodem. - Cieszyłam się na myśl o tym, że będę go dzielić z dziećmi, biegaczami, przechodniami. Ogród, którego nie będę musiała nawet dotykać, a i tak będzie zadbany, bo należy do miasta. Piękny teren zielony, który nie był ani ustronny, ani ogrodzony - ideał.

- Ostatni lokator miał takie duże, japońskie parawany - powiedział Malcolm, najwyraźniej nie usłyszawszy, co mówiłam. - Wie pani... te, za którymi ludzie się przebierają. W każdym oknie stał jeden taki parawan.

- Nie zamierzam zasłaniać okien - powtórzyłam, nie wykluczając w myślach, że zdejmę nawet zasłony. Zauważyłam dwie duże, kwadratowe lampy przymocowane do ściany domu po stronie ścieżki, która przecinała park na pół. - Te światła włączają się automatycznie, gdy słońce zachodzi? - spytałam Malcolma. Przytaknął, a ja pomyślałam: zatem będę widziała kolory, nawet po ciemku. Nocami każde z okien domu stanie się olśniewającą martwą naturą drzew, krzewów i kwiatów: bogate, głębokie zielenie, czerwienie i fiolety - wszystko to skąpane w złocistym świetle. Człowiek, który zaprojektował ten park, był profesjonalistą, pomyślałam, patrząc na niebieskie hobbity i tawułki rosnące dookoła dużego tęgosza o różowych krawędziach. - Kiedy mogę się wprowadzić? - spytałam.

- Już pani zdecydowała? Przed obejrzeniem wnętrza? - Malcolm się roześmiał.

Skinęłam potakująco.

- To mój dom - powiedziałam, robiąc krok w tył, by dobrze sobie zapamiętać wygląd małego budynku, którego dach całkowicie oplatały czerwone liście winobluszczu pięciolistkowego. Mogłam tak na niego patrzeć godzinami. Przyjemność płynąca z patrzenia na ów dom była w mojej głowie ściśle związana z zamiarem rekonwalescencji. To właśnie widok pięknego przedmiotu - a konkretnie obrazu - był pierwszym impulsem, który uzmysłowił mi, że mogę powrócić do świata żywych, jeśli tylko zechcę. Blantyre Lodge nie był dziełem sztuki, lecz miejscem zamieszkania, czymś funkcjonalnym, czymś bardzo mi potrzebnym. Dla mnie jednak był też piękny, a wówczas uważałam, że każda piękna rzecz, z którą czułam jakiś związek - która stawała się częścią mojego ducha, jakkolwiek pretensjonalnie by to brzmiało - przybliżała mnie do wyzdrowienia.

Właśnie dlatego stałam bez ruchu i nie przestawałam się przyglądać domowi nawet wtedy, gdy Malcolm poszedł dalej beze mnie. Ilekroć miałam owo wrażenie bycia o jeden krok bliżej, czułam, że niepotrzebny jest żaden pośpiech. Stać mnie było na kilka sekund takiego doświadczenia.

Nie czułam się tak od powrotu z Londynu. Wszystkie moje obrazy, które tak długo kolekcjonowałam, wszystkie rzeźby z drutu i z drewna, cała moja ceramika i abstrakcyjne formy z metalu, którymi wypełniłam swój dom, już od dawna nie robiły na mnie żadnego wrażenia. Dopóki nie dowiem się, co się dzieje z Aidanem, dopóki tego nie naprawię, nic się pod tym względem nie zmieni.

Drzwi otwierają się w chwili, gdy schylam się po pilota. To on. Ma na sobie buty, na które musiał czekać dwa lata - jedna z pierwszych historii, które mi opowiedział - i swoją czarną kurtkę, jedyną kurtkę, z lśniąącymi łąkami na barkach, które nadają mu wygląd operatora śmieciarki z czasów, zanim nastały fluorescencyjne kamizelki.

Otwieram usta, by się odezwać, ale wtedy zdaję sobie sprawę, że zauważył, co trzymam w dłoni.

- Dostyc tego - mówi takim tonem, jakby odnosił się do przyszłości: nie pozwoli mi oglądać więcej taśm. Naciska guzik, wyłączając monitor.

Nikt, kto wszedłby do mojego domu i do któregoś z pokoi, nie zauważyłby zainstalowanego nad drzwiami monitora i magnetowidu, chyba żeby się odwrócił albo podniósł wzrok przy wychodzeniu. Ale i tak nikt tu nie bywa. Nikt mnie nie odwiedza z wyjątkiem Aidana i Malcolma. Towarzyszy mi dziwna świadomość, że dyrektor zarządu parków miejskich potrafiłby z pamięci narysować każdy centymetr kwadratowy tego domu, a moi rodzice nigdy go nie widzieli i nigdy nie zobaczą.

- Znow tu był - mówię Aidanowi. - Dziś rano. Szedł ścieżką i patrzył na dom, jak zawsze.

- Oczywiście, że wrócił. Prowadza tu swojego psa na spacer. Nie rób tego. - Ma zboląły wyraz twarzy. Nie o tym chce ze mną rozmawiać.

- Gdzie byłeś? - pytam.

- W Manchesterze. - Zdejmuje kurtkę. - Jeanette chciała powymieniać kilka ram. Musiałem to zrobić na miejscu.

Zdjął kurtkę. Zostaje.

- Strasznie tu zimno - mówi. - Bojler znowu padł?

Gapię się na niego, chcę uwierzyć w jego wytłumaczenie. Jeanette Golenya jest szefową galerii miejskiej w Manchesterze. Korzystała już dawniej z usług Aidana, z naszych usług. Ze Spilling do Manchesteru jedzie się co najmniej trzy godziny, ale Jeanette zawsze chętnie pokrywa nam koszty podróży i kwaterunku. Aidan jest jedynym znanym jej ramiarzem, który nie obcina rogów. Jest najlepszy w swoim fachu. To też mi powiedział, gdy się pierwszy raz widzieliśmy.

- Spytaj ją, jeśli mi nie wierzysz - mówi.

- Czemu nie zadzwoniłaś? Odchodziłam od zmysłów.

- Przepraszam. - Obejmuje mnie. - Przed wyjazdem do Manchesteru poszedłem na policję - mówi mi na ucho.

Doznaję wstrząsu, jakbym uderzyła twarzą w zimny mur.

- Co?

- Słyszałaś.

Odsuwam się od niego, spoglądam w oczy i widzę, że Zaszła w nim jakaś zmiana. Sprawia wrażenie... nie wiem, jak to opisać.

Uspokojonego. Cicha wojna, która toczyła się w jego głowie od Londynu, dobiegła końca. Sztywnieję w niepewnym oczekiwaniu na jego kolejne zdanie. Nie chcę już żadnych zmian.

W takim razie dlaczego czekałaś na Charlie Zailer przed komisariatem?

- Prędzej czy później i tak by mnie znaleźli. Zawsze tak jest. Nie mogłem znieść czekania, więc sam się zgłosiłem.

- Ja zrobiłam to samo - wyrzucam z siebie. Nie może się rozgniewać, skoro sam poszedł się przyznać.

- Poszłaś na policję?

Mogłabym mu powiedzieć, że czekałam na Charlie Zailer, ale nie robię tego. Brzmiałoby to, jakbym przyznawała się do potajemnego związku.

Aidan się uśmiecha, a jego oczy błyszczą tak samo, jak zawsze, gdy opanowuje go złość lub inne silne uczucie.

- Wierzysz mi - mówi. - Nareszcie uwierzyłaś, że ją zabiłem.

- Nie!

- Owszem. W innym razie nie poszłabyś na policję.

- Nieprawda. Nieprawda! Aidan, co się dzieje? - Zaczynam płakać. - Jak mogę wierzyć, że ją zabiłeś, skoro widziałam ją na własne oczy, całą i zdrową?

Nie odpowiada.

- Co ci powiedzieli na policji? - pytam.

- To samo, co ty. Wczoraj odwiedził mnie detektyw Simon Waterhouse...

- Wczoraj? Ale tutaj? Detektyw przyszedł tutaj? - Podczas gdy ja byłam w warsztacie, wykonując sama pracę dwóch osób i przetrząsając wszystkie możliwe kryjówki w poszukiwaniu obrazu Mary. - Myślałam, że wczoraj byłeś w Manchesterze.

Długa pauza, po której Aidan mówi:

- Nie próbuj mnie przyłapać, Ruth. - Nawet nie próbuje pogodzić tego, co przed chwilą powiedział, ze swoim wcześniejszym kłamstwem.

Wiem, że powinnam to odpuścić, ale nie potrafię.

- Gdzie jest obraz? Co z nim zrobiłeś? Gdzie spędziłeś zeszłą noc? U Mary?

Jego twarz momentalnie blednieje i zastyga.

- Myślisz, że mógłbym tam pójść? Gdyby to ode mnie zależało, zdmuchnąłbym tę zatechłą dziurę z powierzchni ziemi.

Ja też nie dałam rady tam pojechać. Wczoraj wieczorem, gdy Aidan nie wrócił do domu, a ja nie zastałam go w warsztacie i potem bardzo długo tam czekałam, postanowiłam w końcu, że jeszcze raz odwiedzę dom przy Megson Crescent. O wpół do trzeciej nad ranem wsiadłam w samochód. Używając pięty w zranionej stopie do wciskania sprzęgła, wmówiłam sobie, że muszę pojechać do Mary. Już raz to zrobiłam, więc za drugim razem też powinno mi się udać. A jednak było inaczej. Gdy skręciłam w Seeber Street i zobaczyłam ogrodzony siatką plac zabaw osiedla Winstanley, a na nim kilkudziesięcioletnią farbę odpadającą od huśtawki i karuzeli, odruchowo nacisnęłam pedał hamulca. Musiałam zawrócić i pojechać do domu. Jakkolwiek znikoma była szansa znalezienia Aidana w domu Mary, nie potrafiłam podjąć tego ryzyka. Nie zniosłabym tego.

- Po co miałbym wracać do miejsca, w którym ją zabiłem? - pyta Aidan, wykrzywiając twarz w bólu. - Po co?

- Ale... czy ten detektyw nie powiedział ci, że ona żyje? Nie widział się z nią? Nie rozmawiał? - Pytam, czując, że zaczynam tracić kontrolę nad sytuacją. W ostatnim czasie to wrażenie towarzyszyło mi tak często, że niemal zapominałam, iż można czuć inaczej.

- Twierdzi, że rozmawiał. - Aidan chodzi nerwowo po pokoju. - Osoba, którą spotkał, powiedziała mu, że mnie nie zna i nigdy o mnie nie słyszała.

- Jak to „osoba, którą spotkał”? - Ogarnia mnie fala lodowatego strachu. - Nie sprawdził...?

- Pokazała mu paszport i prawo jazdy. Kobieta, z którą rozmawiał, nazywała się Mary Trelease. Podany przez niego rysopis zgadzał się z tym, który ja mu podałem. W każdym szczególe.

- Aidan, ja nic...

- Więc już po wszystkim. - Jego głos jest donośny i sztuczny. - Nie wierzą mi. Z ich punktu widzenia nie ma żadnej sprawy. - Wybucham ponurym śmiechem, drwiąc z samego siebie. - Nikt nie przyjdzie mnie aresztować w środku nocy. Nikt nie wtrąci mnie do więzienia. Powinniśmy to uczcić.

- Aidan...

- Hip, hip, hura na moją cześć. - Nachyla się nade mną, a kropla jego śliny ląduje mi na twarzy. - Otwórz butelkę szampana, kochanie. Nie codziennie twojemu chłopakowi upiecze się morderstwo.

Nie poznałam Aidana przypadkiem. Zaplanowałam to, choć wprowadzenie tego planu w życie kosztowało mnie niesamowitą ilość samodyscypliny. Dwudziestego drugiego sierpnia zeszłego roku wstałam z łóżka, włożyłam T - shirt, džinsy i klapki, w których chodziłam codziennie od dwóch miesięcy, i wsiadłam do samochodu, nie dając sobie czasu na namysł i zmianę zdania.

Szczegółowe informacje o Aidanie miałam zapisane na odwrocie paragonu, w kieszeni spodni. Wiedziałam, gdzie mieści się warsztat Seed Art Services, nie potrzebowałam sobie tego przypominać, ale sądziłam, że ponieważ mam ten adres przy sobie, zanotowany czarno na białym, to trudniej przyjdzie mi odłożyć na później coś, co absolutnie musiałam zrobić. Pozytywna recepcja - tak nazywają to moje książki. Wypróbowałam tę technikę wcześniej i wydawała mi się skuteczna.

Zaparkowałam na końcu Demesne Avenue, gdzie ulica przechodzi w niedokończoną jezdnię biegnącą wzdłuż rzeki. Potem szłam pod nachylonymi drzewami, licząc kroki, żeby nie myśleć o czekającym mnie zadaniu. Po czterdziestu dotarłam przed niewielki, szary budynek z płaskim dachem i szerokimi, drewnianymi drzwiami wypaczonymi u dołu, gdzie drewno, wybrzuszone i popękane, rozszerzało się niczym spódnica. Drzwi były lekko uchylone. Po ich wewnętrznej stronie widoczne były dwa duże, żelazne zawiasy i dwa jeszcze większe rygle. Zzerająca je rdza wyglądała jak jakaś egzotyczna odmiana ciemnobrązowego mchu. Gdyby drzwi były zamknięte, pewnie nie odważyłabym się zapukać.

Saul Hansard, który jeszcze dwa miesiące wcześniej był moim szefem w Spilling Gallery, zapewnił mnie, że Aidan ucieszy się na mój widok. Mógł mi to jednak powiedzieć tysiąc razy, a i tak bym mu nie uwierzyła, bo wszędzie czułam się nieproszonym gościem. Gapiałam się na drzwi warsztatu Aidana i słuchałam dobiegającej ze środka muzyki: Madame George Vana Morrisona. Zapukałam i czekałam, czując, jak serce podchodzi mi do gardła, i zaglądając przez dużą, prostokątną szybę po mojej prawej, rozciągającą się na całą długość jednej ze ścian. Zobaczyłam przez nią neonowe świetlówki, betonową podłogę, kilkadziesiąt opartych o ścianę drewnianych listew

(niektóre były pomalowane, inne nie) i dwa duże stoły. Na jednym z nich widziałam różnokolorowe kawałki materiału przypominającego aksamit, a obok nich małe radio z anteną poplamioną farbą. Na drugim stole leżał ogromny zwój brązowego papieru, nożyczki, obcęgi, nóż do wykładzin, mnóstwo jakichś katalogów, kilka butelek kleju i puszki z farbami. Nie widać było Aidana Seeda.

Cała się trzęsłam mimo upału, byłam podenerwowana i bliska omdlenia. Każdy nerw mojego ciała tkwił w pogotowiu. Dlaczego nic się nie działo? Gdzie on był? Pragnęłam uciec i wmawiałam sobie, że mam świetną wymówkę. Skoro pukałam i nikt nie otworzył, to co miałam robić? Przecież nie mogłam wejść bez zaproszenia. Zacisnęłam palce wokół kluczyków samochodowych. Napięłam palce u nóg i byłam gotowa odejść, czekałam tylko, aż sama dam sobie pozwolenie. No, to idź. Nie chciałam już nigdy wchodzić do żadnego warsztatu oprawy obrazów. Teraz mogłam odejść i nikt by nie zauważył. Aidan Seed, kimkolwiek i gdziekolwiek był, nie wiedziałby nawet, że tu byłam.

Saul Hansard by wiedział.

Zostałam na miejscu i jeszcze raz zapukałam, głośniejsze i natarczywiej niż poprzednio, Saul nigdy by mi nie dał spokoju. Nie miałam już ochoty na wiadomości od niego, na jego ojcowską troskę. Na samą myśl o nim czułam wstyd. Musiałam przekonać go, że wszystko ze mną w porządku i był na to tylko jeden sposób.

To negatywny powód. Wymyśl bardziej pozytywny.

Jeśli w tym wytrwam, powiedziałam sobie, jeśli zdobędę się na odwagę i poproszę Aidana Seeda o pracę, to znowu zacznę zarabiać. Będzie mnie stać na dalszy pobyt w Blantyre Lodge i na kupowanie obrazów. Potrzebowałam tego. W tamtym czasie czytałam do poduszki książkę zatytułowaną A jeśli wszystko się powiedzie? Notka wydawnicza obiecywała, że nauczę się podejmować decyzje kierowane nadzieją, nie strachem.

Zapukałam ponownie i tym razem usłyszałam zniecierpliwiony, głęboki, męski głos krzyczący:

- Już idę - jakby już wiele razy mnie o tym zapewniał, jakbym zachowywała się nierozsądnie. Aidan pojawił się w drzwiach z wytartym, niebieskim ręcznikiem w dłoni. Jego szorstkie dłonie były czerwone i wilgotne, widać chwilę wcześniej je szorował. - Tak? - Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

Najsilniej utkwilo mi w pamieci moje calkowite zaskoczenie jego wygladem. Nie miało to nic wspólnego z atrakcyjnością, choć zauważyłam, że jest nieprzeciętnie przystojny. To jest on, pomyślałam. Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale od razu rozpoznałam jako właściwego człowieka. Właściwego do czego? Tego nie byłam do końca pewna, ale wiedziałam już wtedy, że chcę go tam zatrzymać, że chcę siebie tam zatrzymać wraz z nim tak długo, jak to tylko możliwe.

- Jestem zajęty - powiedział Aidan. - Czego chcesz? Wstrząśnięta jego widokiem niemal zapomniałam, po co do niego przyszedłam.

- Yyy... Saul Hansard ze Spilling Gallery powiedział mi, że szukasz kogoś do pomocy - wybełkotałam, przyglądając się lśniący łatom na jego czarnej kurtce i ciemnemu, kilkudniowemu zarostowi. Jego włosy były tak ciemne, że wpadały w czerń. Dawno ich nie czesał, jeśli w ogóle kiedykolwiek to robił. Blizna na ustach tworzyła z górną wargą kształt przechylnego krzyża, przecinając zarost ukośnie na pół. Gdy stanął bliżej mnie, zauważyłam, że ma ciemnoniebieskie oczy z szarymi plamkami wokół źrenic. Domyślałam się, że ma czterdzieści parę lat.

On też bacznie mi się przyglądał.

- Nieprawda - rzekł. Cały zapał ze mnie uszedł.

- Aha - odparłam cicho.

- To nie znaczy, że nikogo nie potrzebuję. Po prostu nie miałem dotąd czasu, żeby zająć się szukaniem. Pracowałem.

- Czyli... to znaczy, że jesteś zainteresowany...? Skinął ręką na warsztat.

- Sam tego wszystkiego nie ogarnę - powiedział, jakbym go właśnie do tego zmuszała. - A co? Szukasz pracy?

- Tak. Mogę zacząć od zaraz.

- Oprawiasz obrazy?

Jego pytanie zbiło mnie z tropu, ale starałam się tego po sobie nie pokazać. Nie umiałam oprawiać obrazów - przez cały czas, gdy pracowałam dla Saula, nie wykonałam ani jednej ramki - ale czułam, że „nie” byłoby niewłaściwą odpowiedzią. Chciałam przeciągnąć rozmowę z Aidanem tak bardzo, jak przed chwilą pragnęłam stamtąd uciec. Nie mogłam pozwolić na to, by mnie odrzucił. Trochę wystraszyło mnie to, że mam tak silną, irracjonalną potrzebę wobec nieznanego, który nie był mi nic winien.

- Teraz nie pracuję - powiedziałam. - Pomagałam Saulowi w Spilling Gallery, ale nie...

- Jak długo tam byłaś?

- Prawie dwa lata.

- Rozumiem - odparł. Uśmiechał się do mnie, czy ze mnie drwił?

- Co myślisz o umiejętnościach ramiarskich Saula Hansarda?

- Nie wiem... Ja... - A czym się mogą różnić metody jednego ramiarza od metod innego, pomyślałam. Taką odpowiedź też jednak uznałam za nie najlepszą, więc milczałam.

- To od niego się uczyłaś? - spytał Aidan.

- Nie. Tak naprawdę nigdy nie zajmowałam się wyrobem ram.

- Stwierdziłam, że lepiej się przyznać, niż zostać przyłapaną. - Tym zajmował się Saul. Ja prowadziłam jego firmę, odbierałam telefony, zajmowałam się sprzedażą...

- Przez dwa lata nie oparowałaś ani jednego obrazu? Pokręciłam przecząco głową.

Aidan skinął w stronę swojego warsztatu.

- Jeśli cię tam wpuszczę i powiem, żebyś zaczęła pracować, to będziesz wiedziała, co robić?

- Nie.

Odgarnął grzywkę z czoła zaplamioną farbą prawą ręką.

- W takim razie na nic mi się nie przydasz. Ja oprawiam obrazy i potrzebuję ramiarza do pomocy, żeby oparwiać więcej obrazów - mówił powoli, jakby rozmawiał z idiotką.

- Mogę się nauczyć - odparłam. - Szybko się uczę.

- Jesteś recepcjonistką, a ja nie potrzebuję recepcjonistki. Hansard nie słucha, co się do niego mówi. To mnie akurat nie dziwi, ten facet jest roztrzepany. Pewnie to wiesz, skoro u niego pracowałaś.

Czyżby mnie sprawdzał? Nie zamierzałam zdradzać Saula, który zawsze dobrze mnie traktował.

- Nie da się oparwiać obrazów i jednocześnie prowadzić galerii - powiedział Aidan. - Hansard rozmienia się na drobne, a przez to nic mu nie wychodzi. Dlatego pytałem, co sądzisz o jego umiejętnościach. Widziałem jego ramy, są kiepskie. Saul nie używa kartonowych podkładek ani taśmy bezkwasowej.

Musiałam mieć zdumiony wyraz twarzy, bo Aidan ciężko westchnął i dodał:

- Najważniejsza w oprawianiu obrazów jest odwracalność. Trzeba pracować tak, żeby możliwe było cofnięcie wszystkiego i otrzymanie obrazu w niezmiennym stanie, nawet po bardzo długim czasie. To pierwsza rzecz, której musisz się nauczyć.

- To znaczy...? - Brzmiało to jak oferta pracy, chyba że kompletnie źle go zrozumiałam.

- Masz na imię Ruth, tak?

Poczułam nagle, że opuszcza mnie pewność siebie, jakbym na dnie brzucha miała dziurę. Wróciłam myślami do ostatniej wiadomości, jaką nagrał mi Saul: Dałem ci fantastyczne referencje. Jeśli Aidan wie, co dobre, to od razu cię weźmie.

- Dlaczego chcesz tu pracować? Czy to była rozmowa o pracę?

- Wiem, że to brzmi ckliwie, ale uwielbiam sztukę. - Mówiłam szybko, żeby ukryć zdenerwowanie. - Nic innego bardziej mnie...

- Z tego, co słyszałem, potrafisz być ciężarem - przerwał mi surowym, zimnym tonem. - Wkurzyłaś jedną z klientek Hansarda. Saul stracił stałe źródło niezłych dochodów.

Starłam się zachować spokój.

- Kto ci to powiedział?

- Hansard. Niby kto inny?

Nie miał powodu kłamać. Nagła furia przygniotła mnie niczym ołowiany ciężar. Saul namówił mnie, bym przyszła do Aidana, ale nie wspomniał ani słowem o tym, że wcześniej odebrał mi szansę powodzenia. Wlepiłam wzrok w ziemię, przerażona, skupiając się na tym, by nie eksplodować obronnym gniewem. To nie był odosobniony incydent: w mojej głowie funkcjonował jak magnes przyciągający, niczym opiłki żelaza, wszystkie najstraszniejsze momenty mojego życia. Ta sama groza, inne wcielenie. Po tym, co przeszłam, żadna negatywna emocja nie wydawała mi się nowa. Wszystkich ich już zaznałam, rozpoznawałam je momentalnie, jak dobrych krewnych, ilekroć przybywały do mnie z wizytą.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę - powiedziałam i zaczęłam odchodzić.

- Nie radzisz sobie za dobrze z krytyką, co?

Jego prześmiewczy ton sprawił, że zapragnęłam go zabić. Gdybym nie była wściekła na Saula, nie odważyłabym się zrobić tego, na co się wówczas zdecydowałam. Odwaga w znacznej mierze

wynika z gniewu - w której to było książce? Odwróciłam się i podeszłam do Aidana, licząc kroki.

- Najważniejsza w proszeniu ramiarza o pracę jest odwracalność - wyrecytowałam świadomie nadętym tonem. - Trzeba to robić tak, żeby możliwe było cofnięcie wszystkiego. Cofam swoją prośbę o pracę i cofam swoje przyście tutaj. Żegnam.

Pobiegłam do samochodu, a on tym razem już za mną nie wołał. Zamknawszy drzwi z hukiem, siedziałam za kierownicą, ciężko dysząc. Próbowałam przeprowadzić na sobie samej pranie mózgu: myliłam się co do Aidana. Nic w nim nie widziałam, zupełnie nic. Myliłam się też co do Saula. Sądziłam, że mu na mnie zależy, a tymczasem on wystawił mnie do wiatru.

Gdzie teraz mogłam pójść? Co mogłam robić? Na pewno nic związanego z obrazami i artystami, z pracą w galerii. Świat sztuki w Spilling był zbyt mały, co w bolesny sposób uzmysłowiło mi to ostatnie upokorzenie. Jeśli Saul powiedział Aidanowi, to kto jeszcze się dowiedział? Mogłabym pojechać do Londynu, ale wówczas musiałabym rozstać się z moim ukochanym domem. Coś mi podpowiadało, że tracąc go, stracę wszystko.

Mogłabym podjąć dowolny z pospolitych zawodów - pracować w barze szybkiej obsługi albo czyścić toalety. Jednak gdy tylko o tym pomyślałam, od razu stało się dla mnie jasne, że nie dałabym rady. Choć pilnie potrzebowałam pieniędzy, nie byłam typem osoby, która gotowa jest robić wszystko, byle je zdobyć. Nie widziałam sensu w przedłużaniu swojego życia bez powodu. Jeśli nie mogłam robić czegoś, co byłoby dla mnie ważne, wołałabym w ogóle przestać.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce, ale po chwili znów wyłączyłam silnik. Zatrucie tlenkiem węgla. Pewnie najłatwiejszy sposób. W końcu miałam samochód, właśnie w nim siedziałam. Gdybym tylko miała przy sobie dostatecznie długą rurę, zrobiłabym to bez zwłoki, tam na miejscu. I koniec z tym wszystkim.

Moje myśli zaczęły beładnie dryfować. Znów pojawili się w nich On i Ona, ale tym razem bez tarcia. Zastanawiałam się, czy kończąc własne życie, przechylę nieco zawieszoną między nami szalę winy. Miałam już dość skruchy, byłam zmęczona obciążaniem nią wyłącznie siebie i rozdawaniem w porcjach innym ludziom. Chciałam już, by kto inny przejął obowiązki dokonywania dokładnych

pomiarów i skrupulatnych wyliczeń koniecznych do jej właściwej dystrybucji.

Nagle stukanie w szybę sprawiło, że aż podskoczyłam. Widziałam niewyraźnie, kręciło mi się w głowie i z początku nie byłam w stanie dostrzec, kto stoi przy samochodzie. Po chwili rozpoznałam Aidana, który pukał w szybę. Zabawne, pomyślałam. W zaledwie kilka sekund prawie zupełnie o nim zapomniałam. Odplynął w dal wraz z resztą świata, który szykowałam się opuścić. Zignorowałam jego pukanie.

Sam otworzył drzwi auta.

- Co się z tobą dzieje? - spytał. - Fatalnie wyglądasz.

- Zostaw mnie.

- Jesteś chora? Potrzebujesz pomocy?

Musiałam się napić. Cały dzień nic nie piłam i nie jadłam, za bardzo się denerwowałam. Wyobraziłam sobie kubek gorącej herbaty, gazowaną colę, nawet colę bez bąbelków. Zaczęłam płakać. Jak mogę pragnąć śmierci i jednocześnie chcieć się napić coli?, pomyślałam.

- Jestem skończoną kretyką - powiedziałam Aidanowi.

- Swoje CV możesz mi streścić później - odparł. - Słuchaj... nie powinnaś tracić równowagi przez takich typów, jak ja. Mam przyciężkawą technikę prowadzenia rozmów o pracę. Nigdy wcześniej nikt dla mnie nie pracował. Zawsze sam prowadziłem warsztat. - Wzruszył ramionami. - Jeśli ciągle chcesz ten etat, to jest twój.

- Nie chcę - wyszeptałam, próbując otrzeć twarz z łez. Aidan przykucnął obok samochodu.

- Ruth, posłuchaj. Saul cię nie oczerniał, wręcz przeciwnie. Powiedział tylko, że nieumyślnie obraziłaś jedną z jego regularnych klientek, której ani przez chwilę nie oplakiwał. Jeżeli ktoś tak łagodny jak Saul mówi coś takiego... Każdemu przytrafiają się koszmarni klienci. Hansard, ja - każdy ramiarz ci to powie. Są tacy, którzy nie potrafią sami podjąć żadnej decyzji i zmuszają mnie, bym dokonywał wszystkich wyborów, a potem mówią, że nie podoba im się efekt końcowy. Najbardziej nienawidzę neurotyków, którzy zauważają ledwie dostrzegalne drobiny kurzu pod szkłem, każą zdejmować ramę i czyścić szkło, ale za drugą oprawę już nie płacą.

Byłam bliska omdlenia. Czułam wilgotne dłonie ześlizgujące się z kierownicy i opadającą głowę. Aidan mnie złapał.

- Co ci dolega? - spytał. - Chcesz, żebym cię zawiózł do szpitala?
- Nic mi nie jest... - Otrzeźwiałam nagle. - Jestem zmęczona, głodna, spragniona. Pojadę do domu i...

- Nigdzie nie pojedziesz. Nie możesz teraz kierować. Pójdiesz ze mną.

Pomógł mi wysiąść z samochodu, podpierając mnie obiema rękami. Gdy mnie dotknął, poczułam na skórze coś w rodzaju lekkiego elektrycznego ładunku. Odwrócił mnie, skierował we właściwym kierunku, po czym pokuśtykałam z powrotem do warsztatu, opierając się na Aidanie.

- Masz coś bez bąbelków? - wymamrotałam w swoje włosy, które opadły mi na twarz. Wybuchnęłam histerycznym śmiechem. - Moja technika prowadzenia rozmów jest jeszcze cięższa od twojej - powiedziałam. - Tak oto proszę o pracę.

- Słyszałaś: jesteś zatrudniona.

- Nie chcę tu pracować.

- Owszem, chcesz - odparł łagodnym tonem. Gdy dotarliśmy pod drzwi warsztatu, zatrzymał się i spojrzał mi w oczy. - Chcesz i potrzebujesz. I nie mówię tylko o pieniądzach.

- Wcale nie...

- Jestem najlepszy w tym fachu. Właśnie tu powinnaś pracować. Jestem też uparty. Widzisz te buty? - Spojrzałam na jego stopy. - Czekałem na nie dwa lata. Ktoś polecił mi szewca w Hamblesford, który sam je wyrabia. Prawdziwy rzemieślnik. Pojechałem do niego, a on powiedział mi, że ma dwuletnią listę oczekujących. Wpisałem się na nią i czekałem. Mogłem pójść do dowolnego sklepu sprzedającego jakiś masowo produkowany szmelc, jednak tego nie zrobiłem. Czekałem dwa lata, bo wiedziałem, że dostanę najlepszy towar. Chodziłem w starych butach po wodzie, śniegu i błocie, ale wciąż czekałem.

Przez chwilę Aidan zdawał się zakłopotany. Potem ciągnął:

- Hansard powiedział mi, że jesteś pierwsza klasa. Jest do niczego, jeśli chodzi o oprawę obrazów, lecz w sprawach ludzkich mu ufam.

Odpowiedziałam najbardziej prostacką, durną uwagą:

- Szkoda, że ten twój szewc nie miał krasnoludków do pomocy. Aidan kompletnie ją zignorował. Może w dzieciństwie nie czytał Starego szewca i krasnoludków.

- Co wcześniej chciałaś powiedzieć o sztuce? Nic innego bardziej cię...?

- To zabrzmiało głupio.

- I co z tego? - odparł niecierpliwie. - Chcę wiedzieć.

- Mam... lekką obsesję na punkcie sztuki. - Czułam, że oblewam się rumieńcem. - Dlatego zatrudniłam się u Saula.

Aidan zmrużył powieki.

- Sama malujesz?

- Nie. Zupełnie nie. Byłabym beznadziejna. Skinął głową.

- To dobrze. Bo ja potrzebuję ramiarza. - Przeprowadził mnie przez swój zabałaganiony warsztat do jeszcze bardziej zabałaganionego pokoju na tyłach. Szybko przebiegłam wzrokiem po niepościelonym łóżku, po stertach ubrań, książek i płyt kompaktowych, po nieumytych kubkach i talerzach. Zagłuszyłam swojego wewnętrznego krytyka, który mówił: „W porządku, jak się ma dwadzieścia lat, ale nie czterdzieści”. Taką opinię wyraziłby pewnie mój ojciec, a ja nie chciałam mieć z nim nic wspólnego, nawet najbardziej trywialnego poglądu.

Czułam zapach owocowego mydła albo płynu do kąpieli. Rozejrzałam się w poszukiwaniu wanny, ale jej nie znalazłam. Gdzie była łazienka Aidana? Po drugiej stronie warsztatu? Już miałam zapytać, gdy zauważyłam ściany, a gdy już to się stało, nie mogłam uwierzyć, że tak długo nie dostrzegałam jedynej naprawdę przedziwnej rzeczy w tym pomieszczeniu. Na trzech z czterech ścian wisały wyroby Aidana: wyszukane ramy - jedna miała u góry wyrzeźbioną w drewnie koronę - i kilka zupełnie zwyczajnych, z jasnego i ciemnego drewna, płaskie lub lekko zaokrąglone.

Jedno mnie dziwiło: w żadnej z ram nie było obrazu.

Aidan kucał przy miniaturowej lodówce.

- Chcesz kanapkę z serem? - spytał. - Nie mam nic więcej. Do picia jest sok pomarańczowy.

Gdy wstał, zobaczył, że się gapię na ściany.

- Powiedziałem ci, że jestem najlepszy. - Przemierzył pokój i zaczął pokazywać mi poszczególne ramy. - To jest rama palladiańska - powiedział. - Z wystającymi rogami. Oparta na wzorze greckiej świątyni. Ta to jajownik, z oczywistych względów. Widzisz wzór?

- Dlaczego nic w nich nie ma? - zapytałam. - Dlaczego oprawiłeś... pustkę?

Jego twarz przybrała nagle bardziej zacięty wyraz.

- To prawdziwe kolekcjonerskie skarby - odparł. - Nie pustka, ale czarny karton. Deklaracja. Artysta chce cię zmusić do myślenia. - Wargi lekko mu drgnęły, a wtedy wybuchnął śmiechem. - Wkręcąm cię - powiedział. - To tylko podkładka z kartonu.

Nie lubię być obiektem takich żartów. Zażartowawszy, niczego mi w końcu nie wyjaśnił. Nie dowiedziałam się, czemu zawiesił na ścianach puste ramy bez obrazów. Nie obchodziło mnie to jednak. Chciałam tylko napić się soku pomarańczowego i zjeść obiecaną kanapkę z serem. Byłam tak głodna, że z trudem zbierałam myśli. Bałam się też, że śmierdzi mi z ust. Czy ja w ogóle myłam zęby?

Gdy tak stałam w jednopokojowym mieszkaniu Aidana, nagle uderzyło mnie to, jak nisko upadłam w ciągu minionych dwóch miesięcy. Miałam wrażenie, że przygniótł mnie głaz. Jak mogłam do tego dopuścić? Mogłam inaczej się zachowywać. Lepiej.

- O czym myślisz? - spytał Aidan, tnąc ser poplamionym farbą nożem do tkanin.

- O niczym - odparłam pośpiesznie.

- Nie wierzę.

On nie odpowiedział na moje pytanie o ramy, więc ja nie musiałam odpowiadać jemu. Wiedziałam, że on zdaje sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja.

Dał mi kanapkę i szklankę soku. Usiadłam, żeby ją zjeść. Smakowała wybornie.

- Chcesz jeszcze jedną? - zapytał Aidan, zobaczywszy, że wchłonęłam pierwszą, jakbym pierwszy raz w życiu zobaczyła jedzenie.

Przytaknęłam.

- Opowiesz mi o tym, czemu odeszłaś od Hansarda?

- Nie ma o czym opowiadać. Jedna artystka przyszła oprawić swój obraz; spytałam, czy mogę go kupić; odparła, że nie mogę, bo nie jest na sprzedaż - wyrecytowałam drewnianym głosem. - Spytałam, czy mogę kupić inny jej obraz, na co ona powiedziała, że żaden nie jest na sprzedaż.

- Bez sensu - odezwał się Aidan. - Artysta, która nie chce sprzedawać swoich obrazów? Nigdy o niczym takim nie słyszałem.

Zatrzęśłam się. Tak jak ja nigdy nie słyszałam o wieszaniu pustych ram na ścianie.

- I co dalej? Co się stało? - spytał Aidan.

- Oskarżyła mnie o napastowanie. - Wzięłam łyk soku. Miałam nadzieję, że skończymy o tym rozmawiać.

- Wygląda mi to na standardowy fatalny dzień w pracy - rzekł Aidan. - Dlaczego odeszłaś? Hansard stanął po twojej stronie, prawda?

Mówił tak, jakby zgadywał. Saul mu nie powiedział. Aidan podał mi kolejną kanapkę. Były w niej zagłębienia po jego kciuku i palcu wskazującym. Spojrzał na mnie i zmarszczył brwi.

- Będziesz musiała nieco stwardnieć - stwierdził. - Nie chcę, żebyś ode mnie odeszła po pierwszej wizycie jakiegoś spiętego artysty.

Jadłam kanapkę, żeby nie musieć odpowiadać.

- Coś przede mną ukrywasz. - Aidan bacznie mi się przyglądał.

- Mam rację?

Przytaknęłam.

Przez sekundę miał nieufny, może nawet wystraszony wyraz twarzy.

- Jesteś taka sama jak ja - odezwał się w końcu. - Wiedziałem to, jak tylko otworzyłem ci drzwi. Dlatego tak się ciebie czepiałem.

- Położył mi dłoń na ramieniu. - Już dobrze - powiedział. - Nie będę więcej pytać. - Wlepił wzrok w puste ramy na ścianach, jakby zawierał z nimi jakiś milczący pakt.

Uśmiechałam się do niego, gdy się do mnie odwrócił. Odwzajemnił uśmiech. Ustaliwszy podstawowe zasady, mogliśmy oboje trochę się odprężyć. Od tej chwili rozmawialiśmy o sztuce i oprawie obrazów, czyli na tematy, które lubiliśmy poruszać. Aidan zaczął - od razu, jeszcze gdy jadłam kanapkę - wprowadzać mnie w tajniki swojego rzemiosła, mówiąc wszystko, co jego zdaniem powinnam wiedzieć. Powiedział, że wszystkie wzory i pomysły na ramy pochodzą z architektury klasycznej. Spod stert czarnych T - shirtów i wytartych dżinsów wyciągnął zakurzone książki w twardej oprawie, pokazując mi zdjęcia ram w kształcie tabernakulum, przykłady trompe l'oeils i ram kasetonowych i wyjaśnił, co wyróżnia każdą z nich. Złorzeczył na ludzi pokroju Saula, którzy nie kształcą się w historii oprawiania obrazów i nie mają tak wielu książek na ten temat, ale sarknął też na wydawców albumów, w których obrazy

pokazywane są bez ram, zawieszane na czarnym tle, jakby oprawa nie była częścią dzieła.

Pamiętam, że uderzył mnie wtedy jego gniew i determinacja, by upodobnić mój mózg do jego, tak by zawierał te same informacje. Nie licząc, rzecz jasna, brakujących elementów. Nie powiedział mi - ani wówczas, ani później - czemu trzymał na ścianach puste ramy. Ja natomiast nie podałam mu szczegółów swojego odejścia od Saula. Przedstawiłam całe zajście w oczywistym świetle, choć wcale takie nie było - moja reakcja na obraz, moje przekonanie, że muszę go mieć, wszystkie sposoby, na które próbowałam przekonać artystkę, by sprzedała mi któreś ze swoich dzieł, moja natarczywość, która zmusiła ją w końcu do tego, by mnie zaatakować...

Moja wina. Znowu moja wina

No i oczywiście najważniejszy fakt, o którym nie wspomniałam Aidanowi, bo poznałam go o wiele później, że artystka nazywała się Mary Trelease

Rozdział 4

3/3/08

- Dokuczałeś sierżantowi Kombothekrze, Waterhouse?

- Nie dokuczałem, sir.

- Nie napełniałeś jego baku owsianką, nie dolewałeś mu do kawy środków przeczyszczających? - Proust złożył dłonie jak do modlitwy.

- Nie.

- W takim razie czemu z takim trudem przychodzi mu wydanie ci prostej instrukcji? Sierżancie, niech pan to z siebie zrzuci teraz, skoro już ma mnie pan tutaj do pomocy.

Stojący obok Simona Sam Kombothekra przestępował z nogi na nogę. Wyglądał, jakby wolał teraz być w rzeźni, w kontenerze pełnym gruzu - wszędzie, byle nie w biurze Mroźnego.

- Daję ci zeznania w sprawie Nancy Beddoes - wymamrotał pod nosem.

- Słucham? - Na chwilę Simon zapomniał, że w pokoju jest też Proust. - Powiedziałeś mi, że dałeś to Gibbsowi i Sellersowi.

- Sierżant Kombothekra zmienił zdanie - rzekł Proust. - Zdecydował, że to zadanie lepiej wykona pedant wrażliwy na najdrobniejsze szczegóły. O tobie mowa, Waterhouse. Tak się składa, że się z nim zgadzam.

Simon wiedział, co to oznacza. Decyzja nie mogła wyjść od Kombothekry.

- Nie mam nic przeciwko wzięciu w tym udziału, jeżeli wszyscy się dorzucamy - powiedział, jednocześnie robiąc w głowie szybkie wyliczenia. Kombothekra też będzie musiał wykonać swoją część pracy, jeśli zmuszał do niej Simona. Nie odważyłby się wymigać.

- Świetnie. - Proust się uśmiechnął. - Powiedzcie mu, sierżancie, w jakim wymiarze weźmie w tym udział.

Kombothekra wyglądał tak, jakby ktoś dźgnął go rozgrzanym pogrzebaczem.

- Daję ci wszystkie zeznania w sprawie Beddoes.

- Wszystkie? Przecież ich jest ponad dwieście.

- Dwieście siedemdziesiąt sześć - odparł Proust. - W tym wypadku nikt nie będzie się wtrącał, tylko ty, Waterhouse. To będzie jedynie twoja sprawa. Wiem, jak bardzo pasuje ci taki układ. Nikt nie będzie ci się wtrącał, z nikim nie będziesz się musiał wyklócać lub

negocjować. Od dzisiaj twoim wyłącznym polem działania jest Nancy Beddoes. Powiewać na nim będzie tylko twoja flaga.

- Sir, to musi być żart. Dwieście siedemdziesiąt sześć osób, każda w innej części kraju? To mi zajmie kilka miesięcy.

Mroźny przytaknął.

- Wiesz, że nie lubię się chełpić ani wymachiwać ludziom przed nosem swoją nad nimi przewagą, gdy dobry los mi ją prezentuje, wszelako niedbalstwem z mojej strony byłoby nie wspomnieć, że gdybyś był sierżantem, co z pewnością powinieś był już dawno załatwić i z pewnością załatwiłbyś w ciągu paru miesięcy, jeśli tylko przystąpiłbyś do egzaminów...

- Więc o to chodzi?

- Nie przerywaj. Gdybyś był sierżantem, dowodziłbyś swoim zespołem. To ty wydawałbyś innym polecenia.

- Wydawałbym polecenia innemu zespołowi, może setki kilometrów stąd! - Simon z trudem trzymał nerwy na wodzy. Charlie mieszkała w Spilling, jego rodzice też, cały jego świat tu był. Proust nie mógł zmusić go do przeprowadzki, nie mógł narzucić mu awansu, którego on sam nie chciał.

- Powinieś poszerzyć swoje horyzonty, Waterhouse. Kolejny powód, by właśnie tobie dać sprawę Nancy Beddoes. Jak sam powiedziałeś, odebranie wszystkich zeznań będzie wymagało podróży. Nie jesteś ani trochę ciekaw rodzimego kraju? Czy ty kiedykolwiek wyjechałeś na dłużej z Culver Valley?

Simon miał ochotę go zabić, głównie za to, że wystawiał swój spektakl w obecności Kombothekry, który wiedział o tym, że Simon studiował na uniwersytecie w Rawndesley, ale już nie wiedział o tym, że przez wszystkie trzy lata studiów mieszkał z rodzicami. Proust niestety wiedział wszystko, znał wszystkie przykre fakty z dotychczasowego życia Simona. Który z nich zamierzał teraz wywlec na światło dzienne? Wiek, w którym Simon opuścił dom rodzinny? Niedzielne poranki spędzane z matką w kościele, podczas gdy jego koledzy odsypiali sobotnie popijawy?

- Nie mogę uwierzyć, że mówi pan serio, sir - powiedział w końcu.

Proust uśmiechnął się od ucha do ucha. W przeciwieństwie do większości jego dobrych nastrojów, ten nie miał w sobie pierwiastka

nieuchronnej tymczasowości - wręcz przeciwnie: zdawał się solidnie zakorzeniony, może nawet na cały dzień.

- Wyjaśnij mi coś, Waterhouse. Czemuż to reagujesz takim... skołowaceniem, jeśli jest takie słowo, gdy ja proszę cię tylko o to, byś wykonywał swoje obowiązki? - Nie dając Simonowi szansy na odpowiedź, Proust ciągnął: - Nie rozkazuję ci przebrać się w strój goryla i rozdawać banany w publicznych środkach transportu. Proszę cię, byś odebrał zeznania od ludzi, którym Nancy Beddoes sprzedała na eBayu ubrania ukradzione z ekskluzywnych sklepów. Czy to moja wina, że tych osób jest aż tyle? Czy to ja prosiłem panią Beddoes, by zamiast wypełniać obowiązki menedżera funduszy hedgingowych, prowadziła działalność kryminalną? Ta kobieta jest wyjątkowo sumienną przestępczynią. Jakoś nie widać, żeby narzekała na konieczność obsłużenia takiej liczby klientów. Podejdz do tego tak, Waterhouse: ona robiła to dla pieniędzy i ty będziesz miał podobną motywację, bo to jest twoja praca. - Proust wprost promieniał, zadowolony z przejrzystości własnych wniosków. - Zakładam, że skończywszy, będziesz miał serdecznie dosyć odbierania zeznań, więc nie pomyślisz nawet o przesłuchaniu nieodpowiedzialnego marnotrawcy czasu policji w sprawie morderstwa, którego nie było.

- A więc chodzi o Aidana Seeda - powiedział gniewnie Simon. Powinien był się domyślić. Spojrzał na Kombothekrę, który zaledwie godzinę wcześniej się z nim zgodził, że należy odebrać zeznania od Seeda i upewnić się, że sytuacja jest pod kontrolą. Czyżby Kombothekra poruszył ten temat w rozmowie z Mroźnym? Najwyraźniej. Teraz wszystko miało sens: karą Simona była Nancy Beddoes, a Kombothekra płacił za swój grzech uczestnictwem w tym koszmarnym przedstawieniu.

- Trochę jednak żal - rzekł Proust. - Zeznanie Seeda chętnie bym przeczytał. Szkoda, że nie możemy go spisać dla własnej przyjemności. „Nie zamierzam wyjaśnić, czemu zabiłem niejaką Mary Trelease. Nie zamierzam poinformować policji o dniu, w którym ją zabiłem. Nie zamierzam wyjawiać szczegółów mojej wcześniejszej relacji z Mary Trelease”...

- Sir, obaj z Simonem uważamy...

- „nie ZAMIERZAM - głos Prousta wzrósł szybkim crescendo, zagłuszając Kombothekrę - komentować twierdzeń detektywów Chrisa Gibbsa i Simona Waterhouse'a, iż odpowiednio dwudziestego

dziewiątego lutego dwa tysiące ósmego roku oraz pierwszego marca dwa tysiące ósmego roku znaleźli pannę Trelease całą i zdrową w jej domu przy Megson Crescent piętnaście w Spilling, kod pocztowy RY dwadzieścia siedem trzy BH, gdzie okazała im ona kilka dowodów tożsamości potwierdzających, iż faktycznie jest ona Mary Bernadette Trelease, lat czterdzieści...".

- Jeśli wyjątkowość sytuacji ma nas powstrzymać przed odbieraniem zeznań, to od razu się poddajmy, sir - powiedział Simon. Przebiegły sukinsyn. Proust musiał pokazać, że zapamiętał wszystkie fakty, nim postanowił je wyrzucić do kosza.

- Powiedz mi, czemu nie oskarżyliśmy Seeda o marnowanie czasu policji - warknął inspektor. Więc jednak dobry humor był tymczasowy. Mimo to Simon był przekonany, że Mroźny pobił własny rekord; zazwyczaj burza lodowa nadchodziła znacznie wcześniej.

- Trelease powiedziała Gibbsowi, że nie zna Seeda, ale według niego kłamała - odezwał się Kombothekra. - A jeśli Seed ją ciężko pobił i zostawił na pastwę losu i teraz ona boi się cokolwiek powiedzieć, żeby tego znów nie zrobił? - Wyszło mu to niezręcznie, bo nie mówił własnymi słowami. Cytował Simona, rekompensując mu rozkaz w sprawie Nancy Beddoes.

- Czy panna Trelease wyglądała na niedawno zaatakowaną? Jakieś blizny, siniaki, skaleczenia? Czy stwierdzono u niej oznaki unieruchomienia, wałały się po domu rachunki ze szpitala, może przed domem stał zaparkowany wózek inwalidzki?

- Nie - odparł Simon.

- Nie udało się nam znaleźć żadnych dowodów ani poszlak, że Aidan Seed popełnił jakąkolwiek zbrodnię - rzekł Kombothekra. - Nie licząc dowodów ustnych...

- Dowodów ustnych? - wtrącił się Proust. - Macie na myśli kłamstwa, sierżancie?

- Wczoraj spędziłem kilka godzin, przeszukując nierozwiązane sprawy, na wypadek gdyby zagrały w nich jakieś fakty podawane nam przez Seeda i Bussey.

- Zagrały? Ciągnie was do orkiestry, sierżancie? Kombothekra skwitował uśmiechem dowcip inspektora.

- Nie znalazłem niczego, co by pasowało, niezależnie od tego, w jak szerokich ramach się poruszałem: żadnych tajemniczych zgonów,

gdzie ofiara w jakikolwiek sposób przypominałaby Mary Trelease. Nic. Wrzuciliśmy wszystkie trzy nazwiska Seed, Bussey i Trelease - do naszych baz danych. Żadne z nich tam nie figuruje.

- Tak, tak, sierżancie. - Proust machnął ręką. - Nie znaleźliście ich też w obsadzie West Side Story w operze Rawndesley.

- Uważamy z Simonem, że mimo wszystko powinniśmy odebrać zeznanie od Aidana Seeda - powiedział Kombothekra. Nerwowość spowodowana odważną w jego oczach postawą wobec Prousta sprawiała, że sierżant mówił głośniej niż zwykle.

- Nie tylko od Seeda - wtrącił Simon. - Od Bussey i Trelease też.

- Jak cudownie by było, gdybyśmy mogli się tak zabawiać - odparł Proust z udawanym rozmarzeniem w głosie. - Gdybyśmy mieli tyle czasu. Tylko pomyślcie o zeznaniu Mary Trelease: „W dniu, którego niejaki, nieznany mi, Aidan Seed nie chce ujawnić, nie zostałam przez niego zamordowana”. - Proust walnął pięścią w blat biurka. - Co się z wami dzieje? Obaj nażarliście się dwadzieścia lat temu nadgniłej wołowiny?

- Nie, sir. - Kombothekra zrobił krok w tył. Odważna postawa się skończyła.

- Dość już się nasłuchałem o Aidanie Seedzie i naoglądałem waszych żałośnie wyczekujących twarzy. Przykro mi, że Święty Mikołaj nie przyniósł wam tego, co chcieliście, ale objętość każdego rozsądnego komina jest ograniczona i dowolnej ilości bądziewia nie da się w niego wcisnąć. Rozumiemy się? - Proust zamilkł, cały czerwony na twarzy.

Rozsądny komin? Czyżby mówił o sobie? Odkąd Simon go znał, Mroźny miał poważny kłopot z odróżnianiem faktów od opinii. Uważał się za ucieleśnienie uniwersalnej prawdy. Przy budowaniu swojej ostatniej metafory ani na chwilę nie przyszłoby mu do głowy, że bliżej mu do komina niż do bycia rozsądnym.

- Tak jest, sir - powiedział Kombothekra, który prawdopodobnie już od dłuższej chwili biłby pokłony, gdyby nie obecność Simona.

- Świetnie. Więc wynoście się stąd i zajmijcie pracą. Kombothekra rzucił się w stronę drzwi, niewątpliwie sądząc, że

Simon idzie tuż za nim. Gdy sierżant był już za drzwiami, Simon zamknął je od środka.

- Ciągle tu jesteś, Waterhouse.

- Tak, sir.

- Skoro już zadbałeś o tę prywatną audiencję, czy mógłbyś wyświadczyć mi drobną przysługę? Poproś sierżanta Kombothekrę, by nazywał cię detektywem Waterhouse'em, a nie Simonem. Wielokrotnie sam mu o tym mówiłem, ale on upiera się przy używaniu imion. Nie tak dawno wyznał mi, że wolałby, gdybym mówił do niego per Sam. - Proust zacisnął wargi. - Powiedziałem mu: „Gdy między dwojgiem ludzi jest taka bliskość, jak między nami, Sam, zazwyczaj mają dla siebie jakieś miłe zdrobnienia. Moje zdrobnienie dla ciebie brzmi sierżant Kombothekra”.

- Myli się pan co do Aidana Seeda, sir - odezwał się Simon. - Wiem, że nie popełniono dotąd żadnej zbrodni, ale oboje z sierżant Zailer sądzimy, że coś się wydarzy. Dlatego powinniśmy teraz spisać oświadczenia. Musimy się zabezpieczyć, nie wolno nam ignorować naszych obaw. Proszę przeczytać notatkę Gibbsa: twierdzi, że Mary Trelease wyglądała na wystraszoną, gdy po raz pierwszy wymienił nazwisko Seeda. Sierżant Zailer nie ma wątpliwości, że Ruth Bussey czegoś się boi, choć nie chciała powiedzieć jej, czego.

- Ale niczego z tym nie zrobiła - rzucił niecierpliwie Proust.

- Bussey zostawiła w komisariacie swój płaszcz. Sierżant Zailer znalazła w jego kieszeni wycinek z gazety z dwa tysiące szóstego roku. Artykuł był o niej... o...

- Mów po angielsku, Waterhouse. Artykuł był o katastrofalnej pomyłce sierżant Zailer sprzed roku. Nie mylić z jej ostatnim katastrofalnym błędem przyjęcia twoich oświadczeń. Kontynuuj.

- Bussey miała w kieszeni artykuł o tym zdarzeniu. Gdy sierżant Zailer go znalazła i połączyła z niewiarygodną opowieścią, w której pełno było luk... myślała, że to wszystko jakiś wybieg. - Simon wiedział, że ten aspekt sprawy w niczym mu nie pomoże.

- Co takiego? - Proust zmarszczył brwi tak mocno, że jego czoło przypominało akordeon.

- Teraz jest jej głupio, ale ona cały czas reaguje złością i paranoją, jak tylko się wspomni o tamtej sprawie. Myślała, że Ruth Bussey to jakaś dziennikarka śledcza. Widział pan te programy, gdzie biorą na celownik osoby, które ich zdaniem powinny stracić pracę, i zastawiają na nie sidła? Charlie bała się, że obejrzy siebie w telewizji.

- Nie popełniono dotąd żadnej zbrodni - powtórzył powoli Proust.
- Jak się nazywał ten film?

- Słucham?

- No wiesz, grał w nim ten facet... scjentolog poligamista. Jak on się nazywa?

- Nie wiem, sir. - Simon nie oglądał filmów, nie miał do nich cierpliwości.

- Zaawansowany wiek, Waterhouse; fatalna sprawa. Jeśli dobrze pamiętam, to facet miał za zadanie przewidywanie i zapobieganie przestępstwom, zanim zostały popełnione. Fabuła była osadzona w przyszłości. Jak sądzisz, czemu nie zdecydowali się na współczesność?

Simon przełknął bolesny jęk. Me możemy sobie tego darować?

- Pewnie dlatego, że jak dotąd nie opracowano technologii, która umożliwiałaby rozwiązywanie nieistniejących spraw. Ale umieszczając akcję filmu w przyszłości, można udawać, że wszystkie niezbędne ustrojstwa są dostępne. Główny bohater ogląda sobie zwiastuny nadchodzących zabójstw.

- Rozumiem, o co panu chodzi, sir.

- To dobrze.

- Dlaczego Mary Trelease nie chciała wpuścić Gibbsa do domu? - Simon tracił wiarę w sukces. - Dlaczego kazała mu czekać na progu i pokazała swoje dokumenty, stojąc w drzwiach? Mnie co prawda wpuściła, ale była z tego powodu bardzo niezadowolona. Gdy poprosiłem ją o pokazanie mi głównej sypialni, tej, gdzie Seed rzekomo ją zabił i zostawił jej zwłoki, dała mi jasno do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Co ona ma do ukrycia?

- Jednak cię wpuściła, tak? Choć niechętnie. A w sypialni nie znalazłeś niczego prócz dużej liczby obrazów.

- Tak, ale...

- Większość ludzi nie chciałaby, żeby ktoś łąził im buciarami po dywanie, zwłaszcza w pomieszczeniach pełnych dzieł sztuki. Nie widzę w tym żadnej zagadki.

Ostatnia próba, pomyślał Simon i wziął głęboki wdech.

- Dlaczego Ruth Bussey czekała ponad dwa miesiące z pójściem na policję? Seed powiedział jej o zabiciu Mary Trelease trzynastego grudnia zeszłego roku. Dlaczego miała przy sobie ten artykuł o Char... o sierżant Zailer? Dlaczego ona i Seed przyszli do nas z własnej woli, oddzielnie, ale tego samego dnia, składając zeznania, ale jednocześnie jawnie uchylając się od przekazywania pewnych informacji? I dlaczego ich wzajemne zeznania do siebie nie pasują?

Bussey cytowała Seeda, który powiedział jej, że zabił Trelease dawno temu, ale Seed dał Gibbsowi do zrozumienia, że jeśli ten pojedzie na Megson Crescent piętnaście, to znajdzie tam świeże zwłoki.

- Ciało niedawno zmarłej, nie świeże zwłoki - poprawił go Proust.
- Nie stosuj w przypadku ofiary morderstwa tej samej terminologii, której użyłbyś, mówiąc o sałatce owocowej.

- Wie pan, o co mi chodzi, sir. Czytał pan, co Trelease zeznała Gibbsowi: „Dlaczego ciągle pytacie mnie, czy jestem pewna, że nikt mnie nie skrzywdził? Kto? Ten Aidan Seed, o którym nieustannie mi mówicie? Jeśli szukacie ofiary, to jesteście w złym miejscu”. To sugeruje, że jest właściwe miejsce, w którym powinniśmy szukać ofiary Seeda.

- Zastanów się nad tym, Waterhouse. - Proust mówił niemalże sympatycznym tonem. - Dla panny Trelease całkowicie naturalne jest wyjście z założenia, że Seed kogoś skrzywdził. Przychodzą do niej policjanci żywo zainteresowani tym człowiekiem i pytają, czy ona go zna, upewnając się, że nic jej nie jest.

- Może wie o istnieniu innej ofiary Seeda, o kimś, kogo zaatakował lub zabił, choć jej samej nawet nie dotknął. - Simon wytarł ręką pot z karku. Obficie się pocił. - Co z pytaniem, które zadał mi Seed: „Ta kobieta, którą widział pan przy Megson Crescent piętnaście - powiedział jej pan, co wam zeznałem?”. Czytał pan ten fragment?

- Czytałem wszystkie fragmenty. Od góry do dołu. Umiem czytać.

- Według Seeda Mary Trelease nie żyje, on ją zabił. Czemu w ogóle obchodzi go, co powiedziałem rzekomo nieżyjącej kobiecie? Sir, gdyby go pan zobaczył... Zachowywał się jak nawiedzony. Mówił bardzo racjonalnie, jakby miał nadzieję, że przekona mnie, stosując logikę. Wciąż powtarzał: „Jeśli wyjdę od jednego faktu, co do którego mam absolutną pewność, czyli że zabiłem Mary Trelease, wówczas muszę uznać, że to, co mi pan o niej mówi - że jest cała i zdrowa - nie może być prawdą”, Niech pan to przeczyta! - Simon podniósł dokumenty z biurka Prousta i znów je rzucił na blat, szukając notatek, które sam przyniósł. Nie mógł ich znaleźć, ale znał słowa Seeda na pamięć.

- „Jedyne inne wytłumaczenie jest takie, że zabiłem kogoś, kto później powrócił do żywych i teraz jest kobietą, którą pan poznał. Ponieważ nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone, nie mogę przyjąć

takiej wersji". Sir, czy to są według pana normalne zeznania? - spytał Simon. - Komuś stanie się krzywda, jeśli już się nie stała. Mam bardzo złe przeczucie.

Mroźny westchnął.

- Dobra, Waterhouse. Postanowiłeś mnie zmęczyć i udało ci się. Zbierz oświadczenia od całej tej bandy, jeśli cię to uszczęśliwi.

Czy Simonowi się to śniło? Możliwe, że poszło mu tak łatwo? Proust wydał z siebie serię nabzdyczonych dźwięków, poprawiając stertę papierów leżącą na biurku. Patrząc, jak inspektor zmienia zdanie, nawet w najdrobniejszej kwestii, było niczym obserwowanie gigantycznego tankowca przygotowującego się do zmiany kursu.

- Dziękuję, sir.

- Ale najpierw Nancy Beddoes. - Zawsze był jakiś haczyk. - Choć to bezbrzeżnie nudne, musimy w pierwszej kolejności zająć się przestępstwami, które już popełniono. - Inspektor podniósł wzrok. - Co oznacza, że Aidan Seed i spółka będą musieli poczekać, aż wrócisz ze swojej wycieczki krajoznawczej ze wszystkimi dwiema siedemdziesięcioma sześcioma zeznaniami.

- Ależ, sir...

- Ależ koniec rozmowy. Masz atlas drogowy? - Proust sięgnął do kieszeni marynarki wiszącej na oparciu jego krzesła i wyjął z niej banknot dziesięciofuntowy. - Kup sobie. - Rzucił pieniędzmi w Simona. - Już czas nauczyć się, że niektóre mapy mają więcej niż jedną stronę.

Drzwi do domu Ruth Bussey były szeroko otwarte. Czarnego passata, którym w piątek uciekła z komisariatu, nie było widać, ale na skraju trawnika stało zaparkowane zielone daewoo, więc ktoś był w środku. Aidan Seed?

Charlie zeszła z drogi dwóm ubranym w stroje sportowe kobietom, które rozmawiając ze sobą, przebiegły między słupkami i przez główną bramę, po czym zniknęły za rogiem. W końcu podeszła bliżej domu, trzymając w dłoni płaszcz Ruth. Liczyła na kolejną rozmowę z jego właścicielką, ale może tak było nawet lepiej, bo ciekawa też była Aidana Seeda. Chciała zobaczyć, jaki człowiek przyznaje się do zbrodni, której nie popełnił ani on, ani nikt inny.

Dotarła ledwie do niewielkiej werandy, gdy ze środka domu wyskoczył, niemal ją powalając na ziemię, wysoki, szczupły mężczyzna w żółtej, fluorescencyjnej kamizelce narzuconej na szary

garnitur. Miał rzadką brodę i okulary z dużymi szklami. Charlie pomyślała, że wygląda dokładnie tak, jak wyglądałby koziół, gdyby zwierzęta były ludźmi. Gdy ją zobaczył, w jego oczach zaiskrzyło.

- Aha - powiedział.

- Zna mnie pan? - Głupie pytanie. Kto w Spilling jej nie znał? Była odpowiedzialna za najsłynniejszą porażkę w historii tego małego miasta.

- Znam ten płaszcz - powiedział, spuszczać wzrok, by uniknąć spojrzenia Charlie. - Ruth zgubiła go w najgorszym momencie, bo znowu zepsuł się bojler. Nawala regularnie co trzy miesiące, a wtedy stojący tu przed panią McFrajer musi cały dzień beczynnie przy nim stać i czekać na serwisantów. Dam pani dobrą radę: niech się pani trzyma z dala od wynajmowania nieruchomości.

- Czyli pan nie nazywa się Aidan Seed - powiedziała Charlie. Koziół wyciągnął dłoń.

- Malcolm Fenton z Wydziału Parków i Ogrodów. Mogę to od pani wziąć.

Charlie się zawahała. Jeśli odda płaszcz Fentonowi, straci pretekst, by znowu spotkać się z Ruth. Przede wszystkim chciała zapytać o artykuł z gazety. Dlaczego Ruth się nią interesowała? Właśnie miała powiedzieć Fentonowi, że spróbuje złapać ją w pracy, gdy zauważyła, że coś innego przykuło jego uwagę.

- Przynajmniej tym razem na czas. - Popatrzył w dal nad jej głową. - Przepraszam. - Charlie odwróciła się i zobaczyła, jak Malcolm zbiega po schodach werandy. Za bramą parku, zatrzymawszy się przed dwoma czarnymi słupkami, stała biała furgonetka z niebieskim napisem „Bojlery Winchelsea”.

Fenton wyjął z kieszeni duży pęk kluczy, odpiął coś u góry jednego ze słupków i obniżył go do samej ziemi. Mężczyzna siedzący za tłustą szybą furgonetki żuł gumę z takim zacięciem, że Charlie zastanawiała się, czy to na pewno guma, a nie jakiś wewnętrzny narząd wyrwany z brzucha swojego prawowitego właściciela.

Spojrzała na otwarte drzwi i ruszyła w ich stronę.

- Przepraszam - zawołał Fenton. - Wolałbym, żeby pani nie wchodziła. Wiem, że jest pani stróżem prawa, ale jednak. - Miał przepraszający wyraz twarzy. Stróż prawa - czyżby ludzie nadal używali tego sformułowania? - Jeśli zostawi mi pani płaszcz Ruth, dopilnuję, by go dostała.

- Drzwi są szeroko otwarte - powiedziała Charlie. - Domyślam się, że ludzie od bojlera będą wchodzić do środka?

- Oni tu praktycznie mieszkają - odparł Fenton z irytacją w głosie. - Nie chcę wyjść na niewdzięcznego, ale Ruth ceni sobie prywatność. Jestem pewien, że nie chciałaby, bym wpuścił obcą osobę do jej domu. - Westchnął. - Trochę to niezręczne, bo ewidentnie Ruth się przed panią ujawniła, skoro ma pani jej płaszcz, ale... - Szybko uciekł wzrokiem, wyraźnie na siebie zły, że powiedział zbyt dużo. - Nie uprzedziła mnie, że zamierza się z panią spotkać ani że się pani spodziewa, więc chyba nie mogę pani wpuścić.

Jego dobór słów mocno Charlie zaniepokoił. Czyżby Ruth opowiedziała mu o przedziwnym wyznaniu Aidana? Nie, to się nie zgadzało. Ujawniła się przed panią. Fenton zdawał się sugerować, że Ruth jest osobą, którą policja może chcieć się zainteresować, że jest między nimi jakaś wcześniejsza więź. Charlie nie rozumiała.

- Zna pan Mary Trelease? - spytała.

Brak negatywnej reakcji na dźwięk tego nazwiska. Fenton się zastanowił, po czym pokręcił przecząco głową.

- Czy to kamera przemysłowa? - Charlie patrzyła na dach domu. Drugą kamerę zauważyła po przeciwległej stronie werandy, nad oknem parteru. Czy to dlatego niemal całą powierzchnię domu pokrywały liście? Dla kamuflażu? - Kiedy je zainstalowano?

- Dlaczego chce to pani wiedzieć? - spytał Fenton. Zamiast odpowiedzieć, Charlie się uśmiechnęła.

- Park przeżywał niedawno prawdziwą inwazję nastoletnich łobuzów. Ruth zaproponowała zainstalowanie kamer. Rada uznała to za świetny pomysł. - Fenton mówił tak, jakby się tłumaczył.

- Mówiąc, że Ruth ceni sobie prywatność... - zaczęła Charlie.

- Nie podoba mi się ton pani pytań. Ruth to zupełnie zwyczajna kobieta i wspinały najemca. Poważnie podchodzi do swoich obowiązków i tyle. To dzierżawa usługowa. - Fenton westchnął, jakby zdał sobie sprawę, że dał się namówić na powiedzenie więcej, niż chciał. - Najemca domu, w zamian za znacznie obniżony czynsz, ma w razie potrzeby służyć pomocą w parku, zwłaszcza w nagłych wypadkach i poza godzinami pracy. Jeśli ktoś się przewróci i złamie nogę, Ruth powinna aktywnie zadziałać: ma listę ważnych telefonów, ale to ona jest osobą pierwszego kontaktu.

- Większość znanych mi osób, które cenią sobie prywatność, nie zamieszkałaby w parku - powiedziała Charlie, domyślając się, że Ruth zaskoczyła Fentona propozycją zainstalowania kamer. W przeciwnym razie skąd jego defensywna postawa? Czy faktycznie była to propozycja? Może raczej prośba, błaganie? Jakież to informacje o swoim idealnym najemcy Fenton przed nią ukrywał?

Jego opór był oliwą dolaną do ognia. Charlie miała ochotę wbiec do domu Ruth tuż za specami od bojlerów. Jak dużą część jej domu zdążyłaby zobaczyć, nim Fenton by ją z niego wyciągnął? Większość domów ma wyjątkowy, charakterystyczny wygląd; człowiek od razu wie, co jest grane. Charlie westchnęła. Taki sposób działania skończyłby się oficjalną skargą, której teraz nie potrzebowała. Wyjęła z kieszeni płaszcz artykuł z „Rawndesley and Spilling Telegraph” i schowała go do torby.

- Proszę to oddać - warknął Fenton. No tak, znał dobrze historię Charlie, a ona znała ten typ. W normalnych okolicznościach nie odważyłby się odezwać takim tonem do policjantki. Pozwolił sobie na to tylko dlatego, że miał do czynienia z oficerem, który został publicznie zhańbiony i niemal stracił pracę.

Zmieniła zdanie i nie zamierzała zostawiać mu płaszcz.

- Źle bym się czuła, oddając go obcej osobie - powiedziała. - Niech pan powie Ruth, że jeśli chce odzyskać płaszcz, to powinna się ze mną skontaktować.

Po wizycie w parku Blantyre Charlie mówiła sobie, że pojedzie prosto do pracy, by zająć się sprawą, która wisiała jej nad głową od dwóch tygodni: przygotowaniem wstępnej wersji kwestionariusza do nowego badania i napisaniem towarzyszącego mu listu. Powtarzała to sobie w duchu, ale mózg odmawiał jej posłuszeństwa i po chwili jechała już w stronę osiedla Winstanley. Miała dosyć doniesień z drugiej ręki i chciała osobiście poznać ciągle żywą Mary Trelease, zobaczyć, czy jest wystraszona, jak twierdził Gibbs, czy może raczej jest w niej coś, co mogłoby wystraszyć innych.

Na przykład Aidana Seeda. Na tę myśl Charlie ściągnęła brwi. Byłaby to dziwna reakcja na strach: udawanie, że się kogoś zabiło. Chyba że nie mógł znieść myśli o jej istnieniu i dlatego zaczął wszystkim wmawiać, że Mary nie żyje, a siebie obsadził w roli zabójcy, dzięki czemu czuł się odważny, a nie bezbronny... Charlie sama zaśmiała się ze swojej niemądrej teorii. Nie dało się spekulować

i to właśnie czyniło tę sprawę inną od wszystkich, z którymi zetknęła się, odkąd zaczęła pracę w policji. Inną i zdecydowanie trudniejszą do wyrzucenia z głowy. Zazwyczaj potrafiła zbudować jakąś hipotezę, od której zaczynała, nawet jeśli na koniec ta pierwsza koncepcja okazywała się błędna. Ale nie teraz. Nie przychodziło jej na myśl absolutnie nic, co mogłoby wyjaśnić zachowanie Ruth Bussey i Aidana Seeda. Nawet wspólny, głęboki obłąd nie pasował do tej sytuacji. Czuła się głupia, a tego bardzo nie lubiła.

W ślepym zaułku ulicy Megson Crescent trzech młodzi chłopcy z ogolonymi głowami wyczyniali akrobacje na rowerach. Gdy Charlie wysiadła z samochodu i zobaczyli jej mundur, zniknęli tak szybko, że mimowolnie przyszła jej na myśl scena z E.T., w której dzieciaki tak mocno pedałowali, iż w końcu wzbiły się w powietrze.

Zamknęła auto. Głośna, agresywna muzyka dobiegała z jednego z domów przy samym końcu ulicy, niedaleko miejsca, w którym bawili się rowerzyści. Zdawała sobie sprawę, że powinna ich odnaleźć i namówić, by wrócili do szkoły, choć pewnie ich nauczyciele wcale by jej za to nie podziękowali.

Idąc wzdłuż ślepej ulicy, Charlie odliczała nieparzyste numery. Pod piątką i siódmką okna były zabite deskami. W oknie na piętrze, pod numerem dziewięć, zdążyła zauważyć fragmenty dziecięcych twarzy, zanim ktoś gwałtownie zaciągnął zasłony. Wiedziała, że nikt by jej nie otworzył, gdyby zapukała.

Od namierzenia trzech chłopców ważniejsze było ściszenie muzyki. Zbliżając się do domu, z którego dochodziły dźwięki, czuła, że chodnik pod jej nogami drży. Nie mogła uwierzyć, widząc numer na drzwiach: piętnaście. Dudnienie dobiegało z domu Mary Trelease. Ruth Bussey powiedziała, że Mary ma czterdzieści parę lat - co jej strzeliło do głowy, żeby słuchać...? Charlie odepchnęła z zakłopotaniem niedorzeczną myśl. Niby czego mają słuchać czterdziestolatki? Paula Simona z dźwiękiem ściszonej do minimum, żeby nie obudził kota?

Nie usłyszy dzwonka, pomyślała Charlie, ale i tak nacisnęła guzik. Zrobiła kilka kroków w tył, by obejrzeć dom. Podobnie jak inne budynki na tej ulicy, był to brzydki bliźniak z czerwonej cegły z kompletnie płaską fasadą - bez wykuszy, które dodałyby mu trochę charakteru. Spomiędzy popękanych kamiennych płyt prowadzących do drzwi wyrastały chwasty. Z boku domu, tuż obok studzienki, stała

ołowiana donica z martwym drzewkiem. Charlie dotknęła jednej z gałęzi, która rozkruszyła się między jej palcami.

Wyszła z powrotem na ulicę, by spojrzeć na okna na piętrze. Wszystkie zasłony były pozaciągane, cienkie jak chusteczki i krzywo zawieszane. Niektóre miały dziury w miejscach, gdzie materiał zbutwiał, rozdarł się lub spłonął. Patrząc na taki dom, Charlie nigdy nie pomyślałaby, że mieszka w nim artystka. Z trudem przypominała sobie nieliczne znane sobie fakty o sztuce i artystach. Vincent Van Gogh był biedakiem. Olivia zmusiła kiedyś Charlie do obejrzenia fabularyzowanego filmu dokumentalnego na jego temat. Faktycznie, on raczej by nie dbał o stan swoich zasłon.

- To niemożliwe, że już panią wezwali. Nie było mnie zaledwie pięć minut. - Rozgniewana, chuda kobieta z głębokimi zmarszczkami wokół oczu, nosa i ust pojawiła się nagle obok Charlie. Jej naznaczona głębokimi liniami twarz wyglądała tak, jakby ktoś ponacinał ją nożem do tkanin. Kobieta miała znamię w kolorze karmelu, to samo, które opisał Simonowi Aidan Seed, i była ubrana w czarną budrysówkę, czarne spodnie, białe buty sportowe i wełnianą, wyjątkowo włochatą, fioletową czapkę. Charlie zauważyła, że jej uszy były malutkie, niemal bez małżowin - kolejny szczegół opisany przez Aidana. W dłoniach otulonych rękawiczkami kobieta - Mary Trelease - trzymała paczkę czerwonych marlboro, czerwoną, plastikową zapalniczkę i coś, co wyglądało na zielone pudełko.

- Wezwali? - spytała Charlie. Na pierwszy rzut oka Mary Trelease nie robiła wrażenia złowrogiej. Ubierała się jak ktoś, kto nie dba o swój wygląd. Charlie też miała w swoim życiu takie fazy.

- Sąsiedzi. Zaraz ściszę. Proszę mi dać szansę. - Pobiegła w stronę domu, a Charlie poszła za nią. Trudno było nie słyszeć piosenki, która łomotała z głośników. W kółko powtarzało się w niej słowo „survivor” (Survivor (mg.) - ocalała, ocalona. (Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza).) Była to bardziej kategoryczna i płaczliwa wariacja na znany motyw „dał mi w kość, ale ja się nie poddam”, typ piosenki, którą mogłaby napisać Charlie, gdyby tylko umiała komponować - utworu pełnego pozerstwa i brawury.

Po upływie kilku sekund muzyka umilkła, choć w głowie Charlie pozostał ślad po jej pulsującym rytmie. Otwarte drzwi kuchenne wzięła za zaproszenie i już miała wejść do środka, gdy Mary wystraszyła ją, zeskakując z progu na wąską ścieżkę okalającą dom.

- Proszę - powiedziała. - Zadowolona? - Przyglądała się Charlie z pogardą, przenosząc swój nikły ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Wciąż trzymała w dłoniach papierosy, zapalniczkę i zielone pudełko, które teraz rozpoznawalne było jako opakowanie miętowej herbaty.

- Mary Trelease?

- Tak.

- Co to była za piosenka?

- Słucham?

- Piosenka, którą właśnie pani wyłączyła. Jaki ma tytuł? - Jedni ludzie chętnie odpowiadają na niewinne pytania, inni nie. Charlie chciała wiedzieć, do której kategorii należała Mary, nim spyta ją o Aidana Seeda i Ruth Bussey.

- To jakiś żart? Jeśli te małosłowne dupki spod dwunastki...

- Nie przyszedłam w sprawie muzyki - odparła Charlie. - Choć skoro już o tym mowa, to taka głośność jest niedopuszczalna o każdej porze dnia. Po co zostawia ją pani tak głośno, wychodząc z domu?

Mary otworzyła paczkę papierosów, włożyła jednego do ust i zapaliła. Nie poczęstowała Charlie.

- Jeśli nie przyszła pani w sprawie muzyki, to domyślam się, w jakiej.

Jej głos nie pasował do otoczenia. Wcześniej Charlie nie słyszała go przez muzykę. Co osoba posługująca się arystokratyczną angielszczyzną robiła na tym osiedlu? Dlaczego Simon nie zauważył jej akcentu?

- Sierżant Zailer, Charlie Zailer. Pracuję ze społecznością lokalną tej okolicy.

- Zailer? Ta sama sierżant Zailer, o której parę lat temu trąbiły wszystkie media? - Mary otworzyła szeroko piwne oczy.

Charlie przytaknęła, wkładając cały wysiłek w opanowanie dyskomfortu. Większość ludzi reagowała bardziej powściągliwie, nerwowo się kręcąc i uciekając wzrokiem, jak Malcolm Fenton. Ich zakłopotanie pomagało Charlie na chwilę zapomnieć o własnym bólu i upokorzeniu. Powinnam była złożyć dymisję, pomyślała teraz.

Wszyscy jej sprzymierzeńcy, ludzie, którzy tłumaczyli, że nie zrobiła nic złego, i doradzali, by wzięła się w garść - wszyscy oni wyświadczyli jej niedźwiedzią przysługę. Już dwa lata towarzyszyło jej poczucie publicznego ukrywania się. Nie potrafiła sobie wyobrazić trudniejszej sytuacji zawodowej.

- Praca ze społecznością lokalną - powiedziała Mary z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. - To znaczy, że panią zdegradowali?

- Sama się przeniosłam.

- To było krótko po tym, jak przeprowadziłam się do Spilling - odparła Mary. - Zastanawiałam się wtedy, co to za miejsce, ale od tamtej pory chyba nie wybuchł tu już żaden skandal w policji, prawda? - Uśmiechnęła się. - To było wydanie specjalne. - Widząc zakłopotanie Charlie, dodała: - Niech się pani nie przejmuj. Mnie to nie obchodzi. Na pewno miała pani swoje powody.

- Niewątpliwie - potwierdziła szorstko Charlie. - Ale tej sprawy też nie planowałam omawiać.

- Cóż, wybrała pani niewłaściwy dom, nie znajdzie w nim pani żadnej społeczności lokalnej. W ogóle jestem w tej okolicy intruzem pijącym dziwną herbatę. - Mary machnęła Charlie przed oczami zielonym pudełkiem twiningsa. - Trzeba było zobaczyć minę właściciela sklepu na rogu, jak go prosiłam, żeby się w nią zaopatrzył. Można by pomyśleć, że deklarowałam chęć picia krwi niemowląt. - Przyciągnęła papierosa do wąskich warg. Jej palce wskazujący i środkowy były zabarwione na ciemną żółć, niemal brąz.

- To z panią chcę rozmawiać - rzekła Charlie.

- No to już wiem, o czym. - Odpowiedź była gładka i natychmiastowa. - Przyszła pani pytać mnie o mężczyznę, którego nie znam. Niejakiego Aidana Seeda. Detektyw Chris Gibbs był tu w tej samej sprawie w piątek, a detektyw Simon Waterhouse w sobotę. W przeciwieństwie do pani nie łamali gałęzi moich drzew.

- Niczego nie... To drzewo jest martwe - powiedziała Charlie.

- A pani sprawdzała mu tętno? Jeśli suche kwiaty mogą być piękne, to czemu drzewa nie? Lubię swój ogród. Lubię moje martwe drzewo i donicę, w której stoi. Niech pani spojrzy. - Zaprowadziła Charlie do muru oddzielającego jej dom od sąsiedniego. Z jednej ze szczelin wystawało coś, co przypominało zieloną różę, ale z osobliwie gumiatymi liśćmi, prawie kaktusowatymi, z różowymi krawędziami. - Prawda, że piękny? - spytała Mary. - Nazywa się sempervivum. Nie rośnie tu przypadkowo ani przez zaniedbanie. Ktoś go tu zasiał, żeby wyrastał z muru, ale łatwo można wziąć go za chwast. Pani na pewno też tak myślała.

- Mogę na chwilę wejść? - Charlie czuła, że straciła wszelką przewagę, jaką mogła mieć nad Mary. Żałowała, że nie jest w swoim

biurze i nie pomaga Geoffowi Veseyowi w przygotowywaniu kwestionariusza i listu. Innymi słowy: że ich za niego nie pisze. Vesey był przewodniczącym lokalnej organizacji badającej między innymi zaufanie publiczne do policji. Zaufanie Charlie do Veseya wynosiło zero. Facet nie umiał sam ułożyć listy pytań do kwestionariusza.

- Może pani wejść, ale tylko dlatego, że nie pracuję - powiedziała Mary. - Gdybym była zajęta, poprosiłabym panią o wyjście. Jestem malarką. - Spojrzała na Charlie przez zmrużone powieki. - A to już pani wie. Na pewno wie pani o mnie wszystko. - Mimo tych słów, nadal blokowała wejście do domu swoim wąskim ciałem.

- Chrisa Gibbsa pani nie wpuściła - rzekła Charlie. - Simon Waterhouse wszedł z trudem.

- Bo pracowałam nad obrazem, przez który zarwałam całą noc. Jak tylko się pani pozbędę, idę do łóżka. W każdym razie, jeśli to panią interesuje, właśnie dlatego tak głośno puszczałam muzykę. Świątowałam. Ma pani swoją ulubioną piosenkę?

Głupotą byłoby nie odpowiedzieć.

- Trespass. Limited Sympathy.

- Moja jest ta, którą puszczałam, jak pani przyszła.

Charlie nie zamierzała drugi raz pytać o jej tytuł. Jeśli to panią interesuje. Nie interesowało.

- Survivor, Destiny's Child - powiedziała Mary łamiącym się głosem, jak uczeń zmuszony oddać nauczycielowi zakazaną zabawkę. Gdy mówiła, linie przecinające jej twarz zmieniały swój układ, wijąc się wokół ust. Charlie słyszała, że chudzi starzeją się bardziej od otyłych, ale Mary... - Mogłabym powiedzieć pani, co mi się w niej podoba, jednak nie sędzę, by to panią interesowało. Domyślam się, że należy pani do tych osób, które włączają płytę tylko wtedy, gdy mają gości w domu, w dodatku tak cicho, że nikt nic nie słyszy.

- Nie robię tego - odparła Charlie. - Ale nie rozrywam też bębenków swoim sąsiadom.

- Mówiłam już, że świątowałam. Dokończenie udanego dzieła daje wielką radość. Jakby człowiek latał. Chciałam to sobie wynagrodzić, więc włączyłam swój ulubiony utwór i wyszłam za róg po fajki i herbatę. Pogłodziłam tak bardzo po to, żeby słyszeć muzykę przez całą drogę do sklepu. - Mary uśmiechnęła się niewyraźnie, a jej twarz przybrała ten nieobecny wyraz, który widać czasem w oczach kogoś, kto wraca myślami do zdarzenia sprzed lat.

Charlie poczuła lekki strach. Przypomniała sobie słowa Ruth Bussey: „Boję się, że stanie się coś złego”.

- Mogę zobaczyć ten obraz? - spytała. - Ten, który właśnie pani skończyła?

- Nie. - Odruchowa reakcja. Gniew. - Po co? Nie interesuje was moja praca. Tamci dwaj o to nie prosili. Chcecie tylko się upewnić, że jestem tym, kim twierdzą, że jestem. - Mary rzuciła niedopałek na ścieżkę, nie dbając o zgaszenie go. Leżał tam rozżarzony. - Niech pani wejdzie - powiedziała. - Spróbuję jeszcze raz znaleźć swój paszport i prawo jazdy. Tym razem nie będę ich odkładać z powrotem do szuflady, skoro jutro na pewno znów ktoś od was mnie nawiedzi.

Charlie poszła za nią do małej, brązowej kuchni wyposażonej w wolno stojącą kuchenkę elektryczną pokrytą grubą warstwą zaschniętego brudu, poplamiony, blaszany zlew i rząd szafek z niezamykanymi drzwiczkami, które wisiały krzywo na spaczonych zawiasach. Podłoga wyłożona była cętkowanym, brązowym linoleum poprzypalanym papierosami. Nikt nie sprzątał tego domu od dobrych trzydziestu lat, pomyślała Charlie, a po chwili: wygląda gorzej od mojego, a to nie lada osiągnięcie.

- Nie interesują mnie żadne dowody tożsamości - powiedziała. - Moi koledzy pani wierzą i to mi wystarczy.

Mary rozpięła guziki budrysówki i pozwoliła, by kurtka zsunęła się jej z ramion. Gdy opadła na ziemię, kopnęła ją na bok. Ubranie wylądowało w progu drzwi kuchennych,

- Na pół etatu zajmuje się uszczelnianiem drzwi - wyjaśniła zdziwionej Charlie. Jej wyrafinowany sposób mówienia wydawał się kompletnie nie na miejscu w tym zapuszczonym, ciasnym mieszkaniu. Charlie zastanawiała się, czy ma do czynienia z typem osoby, która celowo żyje wśród prawdziwej biedoty, by nadać swojej sztuce walor autentyczności, cały czas pamiętając jednak o możliwości powrotu do posiadłości tatusia w Berkshire.

Mary zdjęła czapkę, uwalniając ogromną, srebrno - czarną czuprynę, która opadła jej na plecy.

- Aidan Seed oprawia obrazy - oznajmiła rzeczowo Charlie, - Czy Chris Gibbs albo Simon Waterhouse to pani powiedział?

- Tak, widzę ten związek: ja maluję obrazy, on je oprawia. Nie znaczy to wcale, że go znam.

- Nie obilo się pani o uszy jego nazwisko? Nie słyszała pani o nim od innych artystów? Wydawało mi się, że w takim małym mieście...

- Nie znam żadnych artystów - odparła Mary. - Proszę nie sądzić, że ponieważ jestem malarką, to należę do jakiegoś świata sztuki. Nienawidzę całego tego cyrku. Przyłączasz się do grupy ludzi, a zanim się obejrzyś, zasiadasz w jakiejś komisji organizującej konkursy i loterie. Tak właśnie wygląda lokalny świat sztuki w mieście jak ta. A w Londynie? Charles Saatchi i inne odpady? Nie ma to nic wspólnego ze sztuką - to czysty marketing. Sztuczne kreowanie apetytu, zero prawdziwego głodu. Nie ma w tym nic prawdziwego.

- Zna pani Ruth Bussey? - spytała Charlie. Zaskoczenie Mary było ewidentne.

- Tak. To znaczy... - Zmarszczyła brwi. - Nie znam jej dobrze. Poznałyśmy się dwukrotnie. Mam nadzieję przekonać ją, by dla mnie pozowała. A co?

- Jak ją pani poznała?

- Dlaczego pani pyta? Czyżby policja interesowała się Ruth?

- Gdyby mogła pani odpowiedzieć na moje...

- To po prostu ktoś, kto był w moim domu. - Głos Mary był teraz nieprzyjemnie skrzekliwy, pełen strachu, pomyślała Charlie. - Czemu pani o nią pyta? Jest w jakiś sposób powiązana z Aidanem Seedem?

- Co by pani powiedziała na małą wymianę? - zaproponowała Charlie. - Pokaże mi pani swoje obrazy, a ja odpowiem na to pytanie. Ja jestem zainteresowana, choć nie mam zielonego pojęcia o sztuce. Wiem tylko tyle, że najlepsze obrazy namalowali nieboszczycy.

Twarz Mary zeszywniała. Gapiąc się na Charlie, spytała:

- To ma być jakaś gra?

- Nie, - Boże, że też musiałam palnąć taką głupotę. Charlie poczuła nagle na całym ciele przejmujący chłód. - No wie pani... Picasso, Rembrandt... Chodzi mi o to, że dzisiaj za sztukę uważa się pociętą na plastry martwą krowę albo kulki ze słoniowego gówna.

- Ja nie jestem nieboszczykiem - powiedziała Mary dobitnie, jakby chciała się upewnić, że Charlie ją zrozumie.

Charlie uważała, że ludziom wierzącym w duchy powinno się konfiskować mózgi. Nie mogła zrozumieć, czemu tak ją płoszyło stanie w kuchni rozpadającego się domu i słuchanie kobiety, która pełnym powagi głosem tłumaczyła jej, że nie umarła.

- Ja żyję, a moje obrazy są świetne - dodała Mary już znacznie spokojniejszym tonem. - Proszę mi wybaczyć ten wybuch, ale zawsze dołączają mnie takie powszechne poglądy: że talent mają tylko sławni albo martwi. Wszyscy geniusze nie żyją. A jeszcze lepiej, jeśli umarli młodo, tragicznie i w ubóstwie.

Charlie wypuściła powoli powietrze z płuc. Simon nie powiedział Mary, co o niej mówił Seed. Gibbs też nie. Co to znaczyło? Co to wszystko znaczyło?

- Uważa pani, że trzeba cierpieć, naprawdę głęboko cierpieć, żeby być prawdziwym artystą? - spytała Mary, wywracając oczyma, zakładając włosy za uszy obiema rękami. Czyżby w jej głosie kryła się pogarda? A może coś innego?

- Nie powiedziałabym, że jedno jest konsekwencją drugiego - odparła Charlie. - Można cierpieć katusze potępionych, a i tak nie umieć rysować ani malować.

Mary najwyraźniej spodobała się ta odpowiedź.

- To prawda - zgodziła się. - Niczego, co naprawdę wielkie, nie da się tak łatwo zredukować. To samo pytanie zadałam detektywowi Waterhouse'owi. Powiedział, że nie wie.

Kolejny drobiazg, o którym Simon nie wspomniał. Na pewno ma na ten temat swoje zdanie, pomyślała Charlie, lecz najwyraźniej nie miał ochoty dzielić się nim z tą przedziwną kobietą.

- Zmieniłam zdanie - powiedziała Mary. - Pokażę pani swoje obrazy. Chcę, by je pani zobaczyła. Ale jest jeden warunek. Ustalmy od razu, że żaden nie jest na sprzedaż. Choćby uznała pani, że któryś obraz byłby idealny do...

- Może się pani o to nie martwić - powiedziała Charlie. - Nie stać mnie na dzieła sztuki. Ile zazwyczaj bierze pani za obraz? Czy to zależy od rozmiaru, czy...?

- Nie sprzedaję obrazów. - Twarz Mary straciła wyraz. Jakby spodziewała się kłopotów, a one nadeszły właśnie teraz. - Nigdy nie sprzedaję swoich obrazów. Nigdy.

- Ale... w takim razie...?

- Chce pani wiedzieć, czemu. O to chce mnie pani spytać; dlaczego? Jeśli o to chodzi, to niech pani pyta.

- Tak naprawdę zastanawiałam się... Czyli wszystkie obrazy są tutaj? W tym domu?

Nastąpiła długa chwila milczenia, nim Mary odparła:

- Prawie wszystkie, tak.

- Od jak dawna pani maluje?

- Zaczęłam w dwutysięcznym roku.

- Zawodowo, tak? A jako dziecko?

- Nie - powiedziała Mary. - W dzieciństwie nie malowałam ani nie rysowałam. Chyba że obowiązkowo, w szkole.

Oczywiście, że niezawodowa. Artystów, którzy nie sprzedają swoich obrazów, trudno nazwać profesjonalistami. Powinnam zadawać inne pytania, pomyślała Charlie. Powinnam pytać o Aidana Seeda i Ruth Bussey, a potem powinnam jechać do pracy. Dlaczego tego nie robię?

Znała odpowiedź, ale dopiero po upływie kilku sekund odważyła się do niej przed sobą przyznać bo teraz i ona czuła... No cóż, „Strach” byłby zbyt mocnym słowem, lecz coś ją wyraźnie niepokoiło w tym domu przy Megson Crescent 15. Możliwe, że powodowała to po prostu zła atmosfera wynikająca z wieloletniego zaniedbania. Cokolwiek to było, Charlie ze wszystkich sił zwalczała w sobie chęć jak najszybszego wyjścia na ulicę.

- Powiedziała, że może pani moje obrazy zobaczyć, a nie wiercić mi o nie dziurę w brzuchu - zaprotestowała Mary. - Jeśli nie będzie pani ostrożna, zmienię zdanie. Zazwyczaj nie pokazuję nikomu swoich prac.

- Więc dlaczego ten wyjątek? Mary przytaknęła.

- To dobre pytanie. - Uśmiechnęła się, jakby znała odpowiedź, ale nie zamierzała się nią dzielić. - Proszę za mną. Większość obrazów jest na piętrze.

Charlie weszła za nią w wąski hol, równie nieatrakcyjny jak kuchnia. Wykładzina podłogowa w czerwono - brązowe zawijasy - ale czarna przy drzwiach wejściowych - zgniła przy ścianach po obu stronach. Tapety w połowie odklejały się od ścian. Były ciemnobezowe z nielicznymi jaśniejszymi plamami i pasami. Kiedyś mogły być kremowo - białe. Mały, niski kaloryfer też stracił już większość swojej ciemnoszarej farby. Charlie zatrzymała się, by popatrzeć na wiszący nad nim obraz, który przedstawiał grubego mężczyznę, kobietę i około czternastoletniego chłopca siedzących przy małym stole. Tylko chłopiec był całkiem ubrany - kobieta miała na sobie koszulę nocną, a mężczyzna piżamę. Kobieta była drobna i szczupła, z ostrymi rysami twarzy. Zakrywała oczy dłońmi i patrzyła

w dół. Jej pozycja sugerowała ból głowy. Nie, raczej kaca - na stole stały puste butelki. Scena poranka po ciężkiej nocy, pomyślała Charlie.

Przy schodach na dole wisiał kolejny obraz przedstawiający tę samą parę, ale bez chłopca. Kobieta czesała włosy przed lustrem, ubrana w białą koszulę nocną na ramiączkach. Dalej, na łóżku, gruby mężczyzna leżał, czytając popołudniówkę.

Obrazy zrobiły na Charlie spore wrażenie. Były zbyt obskurne, by mogły zadowolić konwencjonalne gusta, ale tętniło w nich życie i emanowały większą energią niż goła żarówka, którą włączyła Mary, przechodząc obok. Miały nadzwyczajne kolory - żywe, ale nie radosne. W efekcie panowała na nich atmosfera naświetlonej mocnym reflektorem ponurości.

- To pani prace? - Charlie zaryzykowała przypuszczenie. Mary była już w połowie drogi schodami na górę. Wydała z siebie trudny do zinterpretowania jęk.

- Nie ukradłam ich, jeśli o to pani chodzi,

- Nie, nie. Pytałam...

- Nie. Nie są moje.

Czyli wcale jej źle nie zrozumiała. Grała jedynie na zwłokę.

U szczytu schodów wisiał kolejny obraz, a na ścianie wzdłuż podestu jeszcze dwa: kobieta i chłopiec siedzący po dwóch stronach żółtej kanapy z podartym obiciem, niepatrzący na siebie; mężczyzna stojący przy drzwiach z dłonią przygotowaną do zapukania i z otwartymi ustami. Trzeci obraz przedstawiał dwie nowe osoby: młodego mężczyznę i kobietę w tym samym wieku. Obydwoje mieli ciemne włosy, gęste brwi i kwadratowe czoła. Oboje z nadwagą. Grali w karty, siedząc przy tym samym stole, który widniał na obrazie wiszącym na parterze.

Mary otworzyła jedne z trzech par drzwi na podeście, zrobiła krok w tył i zaprosiła Charlie, by weszła przed nią. Główna sypialnia. Aidan Seed powiedział Simonowi, że właśnie tutaj zabił Mary Trelease, zostawiając zwłoki na środku łóżka. Charlie weszła do pokoju z zaciśniętym gardłem. Jestem głupia, pomyślała. Mary nie otworzyłaby drzwi, gdyby na łóżku leżało martwe ciało.

W środku stało tyle obrazów, że po kilku krokach Charlie musiała się zatrzymać. Wielu z nich nie dało się obejrzeć - albo zasłaniały je inne obrazy, albo stały odwrócone tyłem do wejścia. Charlie usiłowała

obejrzeć, ile tylko mogła. Jeden z obrazów przedstawiał duży, murowany budynek z czworokątną wieżą. Było też wiele portretów, głównie kobiet wyglądających na sterane, pokonane przez życie. O ścianę opierało się kilka brązowo - różowych abstrakcji, które przypominały nieco zbliżenia poranionego ludzkiego ciała, z licznymi przecinającymi się liniami i dziwnymi zagłębieniami. Podobnie jak dzieła wiszące na parterze i na podeście, również i te nie były piękne w konwencjonalnym sensie, ale była z nich niezaprzeczalna moc. Charlie czuła potrzebę patrzenia.

Jak obrazy na parterze,.. Coś jeszcze było niezaprzeczalne, a mimo to Mary temu zaprzeczyła.

- Jeśli namalowała pani te obrazy, to tamte również. - Charlie pokazała na drzwi. - Nawet ja widzę, że to ten sam pędzel.

Mary wyglądała na zbitą z tropu. Po chwili odparła:

- Tak, wszystkie obrazy malowałam ja.

Charlie nie chciała wyjść na zbytniego pedanta, więc nie spytała, czemu w takim razie Mary udawała, że jest inaczej. Czyżby wstydziła się tego, że jej własne obrazy wiszą na ścianach w jej domu? Nie wyglądała na osobę, która przejmowałaby się taką kwestią. W tym pokoju wszystkie obrazy były oprawione; te, które wisiały na ścianach, nie miały ram. Powinno być raczej na odwrót.

- Kim są ci ludzie? - spytała Charlie.

- Ci na obrazach? Głównie sąsiedzi albo byli mieszkańcy tego osiedla. Kolekcja Winstanley. - Uśmiech Mary był niczym drwina z samej siebie. Wskazała na portrety stojące pod przeciwległą ścianą. - Nie pamiętam już większości imion. Płaciłam im, a oni mi pozwolili, to wszystko.

Charlie przyglądała się sportretowanym twarzom, ciekawa, czy rozpozna kogoś, kogo aresztowała.

- Zastanawia się pani, czemu maluję obcych, którzy nic dla mnie nie znaczą - powiedziała Mary, choć Charlie wcale o tym nie myślała.

- Malowanie bliskich jest jak fundowanie sobie załamania nerwowego. Staram się tego unikać, choć nie zawsze jest to możliwe. Bywa, że nałóg bierze górę i trzeba żyć z konsekwencjami.

Charlie dostrzegła napięcie w jej postawie. Mary pochyliła się nieco do przodu, a jej ciało zdawało się teraz trochę mniejsze.

- Gdyby miała pani namalować portret, kogo by pani wybrała? Narzeczonego? - Mary patrzyła na rękę Charlie. - Widziałam pierścionek.

- Naprawdę nie wiem. - Charlie poczuła zalewającą ją falę ciepła. Nigdy w życiu nie namalowałaby Simona. Byłoby to zbyt intymne, zbyt bliskie. Nigdy by jej na to nie pozwolił. Po przyjęciu zaręczynowym został u niej na noc. Spali jedno obok drugiego, ale nie całowali się ani dotykali. Całym kontaktem fizycznym było z jego strony objęcie jej, jeszcze zanim poszli na górę. Mimo to Charlie była zadowolona. Nigdy wcześniej nie udało się jej namówić Simona na to, by został na noc. Jakiś postęp.

- Na pewno nie narzeczonego - powiedziała Mary. - Więc albo nie jest ci dostatecznie bliski, a wówczas radziłabym odwołać zaręczyny, albo wiesz, o czym mówię: fundowanie sobie załamania nerwowego.

- Powiedziała pani, że prawie wszystkie obrazy są tutaj - zmieniła temat Charlie. - Gdzie trzyma pani pozostałe, skoro nie w galeriach?

- Jeden ma Ruth Bussey. Dałam go jej w prezencie. - Na twarzy Mary pojawił się uśmiech. - Pamięta pani to sempervivum przed domem?

Charlie nie pamiętała. Po chwili uświadomiła sobie, że Mary mówi o gumowatej, zielonej róży wystającej z muru.

- To Ruth powiedziała mi, jak się nazywa ta roślina. Wcześniej nie wiedziałam. Nie znam żadnych nazw roślin. Moje doświadczenie z ogrodnictwem jest ograniczone. Raz doprowadziłam ogród do kompletnej ruiny i postanowiłam, że na tym koniec. Wtedy dałam Ruth swój obraz. Dziwnie się czułam, bo od bardzo dawna nikomu nie dałam prezentu, ale pomyślałam sobie, że od niej też coś dostałam: sempervivum. Wieczne życie.

- Nie ma pani w zwyczaju dawania prezentów? - spytała delikatnie Charlie. Natrafiła na jakąś historię i zapragnęła ją poznać.

Gdzie był ogród, o którym wspomniała Mary? Gdzie mieszkała, zanim wprowadziła się na Megson Crescent?

- Nie mam - odparła Mary. - Nie dam pani obrazu ani za darmo, ani za pieniądze. Prezent dla Ruth był formą przeprosin.

- Za co?

- Przeze mnie straciła pracę. To długa historia, której pani nie opowiem. Żadna z nas nie wypada w niej dobrze.

- Chodzi pani o pracę w Spilling Gallery?

- A jakie to ma znaczenie? - spytała nieufnie Mary. Kobieta mocno obwarowana, pomyślała Charlie. Za mocno, by mogła się cieszyć życiem.

- Tak się tylko zastanawiam. To tam pracowała, zanim zatrudniła się u Aidana Seeda.

Charlie nigdy wcześniej nie widziała, by komuś drżała cała twarz, ale to właśnie działo się teraz z twarzą Mary. Zupełnie jakby doznała porażenia prądem.

- Ruth... Ruth pracuje dla Aidana Seeda? - Założyła włosy za ucho, powtarzając tę czynność trzy, cztery razy.

- Również mieszkają razem - powiedziała Charlie. - Są parą. Cała krew odpłynęła z twarzy Mary.

- To nieprawda. Ruth mieszka sama. W domu w parku Blantyre. Dlaczego pani kłamie?

- Nie kłamie. Nie rozumiem. Jakie to ma dla pani znaczenie? Przecież nie zna pani Aidana Seeda.

- Mój obraz. Dałam Ruth mój obraz. - Zagryzła wargę. - Gdzie są moje papierosy? Muszę zapalić. - Nie wykonała żadnego ruchu, by je znaleźć. Jej spojrzenie było puste, oczy biegały na wszystkie strony, nigdzie się nie zatrzymując. - Co zrobił Aidan Seed? Muszę wiedzieć. Dlaczego szuka go policja?

Nie wiedząc, czy przekręca klucz do całej zagadki, czy popełnia katastrofalny błąd, Charlie odparła:

- O ile nam wiadomo, Aidan nikomu nie zrobił krzywdy. Ale on twierdzi co innego. Mówi, że kogoś skrzywdził, bardzo, i że tym kimś była pani.

Mary uniosła głowę, Charlie domyśliła się, że od tej chwili nie zobaczy już u niej najmniejszej emocji. Czyli kolejny wstrząs. Charlie zrobiła krok w jej stronę.

- Uwierz mi, Mary: dla mnie to też jest dziwne. Aidan Seed przyszedł do nas z własnej woli, chcąc przyznać się do popełnionej zbrodni. Opisał panią, pani wygląd, adres, zajęcie...

Mary objęła się mocno rękoma. Ostatni cios, pomyślała Charlie.

- Jest przekonany, że panią zabił - powiedziała.

- Nie mnie. - Mary puściła ramiona i wyprostowała się, wbijając wzrok w Charlie. - Nie mnie.

Rozdział 5

Poniedziałek, 3 marca 2008

Jestem zajęta przycinaniem szkła, gdy dobiega mnie odgłos czyichś kroków na ścieżce przed domem. Podnoszę wzrok i widzę za oknem twarz mężczyzny. Nie poznaję go. Aidan przerywa swoją czynność. Trzyma stopę na pedale piły uciosowej, ale go nie wciska. Zazwyczaj przerywa pracę, tylko gdy musi, gdy klient stoi tuż przed nim i dalsze udawanie, że się go nie zauważyło, byłoby zbyt nieuprzejme nawet według standardów Aidana. Wielu ludzi, którym oprawiamy obrazy, nie lubi Aidana, ale nie chodzą do innego warsztatu. Gdy zaczynałam u niego pracować, powiedział mi: „Możesz być miła dla klientów, jeśli chcesz, ale uprzejmość jest czasochłonna. Twoja praca, nasza praca, polega na chronieniu dzieł sztuki, które ludzie do nas przynoszą. Pamiętaj o tym. Obraz, dopóki go właściwie nie oprawisz, jest zagrożony. Ochrona jest całym sensem oprawiania. Dlatego to robimy - nie dla dekoracji”.

Drewniane drzwi szurają o podłogę, ktoś je otwiera.

- Jest tu kto? - woła głęboki głos.

Już mam odpowiedzieć, gdy widzę w oknie drugą twarz. Powietrze w płucach momentalnie mi zastyga. Charlie Zailer. Co ona tu robi? Czy ona i ten mężczyzna są razem?

- Ruth Bussey, mam rację? Detektyw Simon Waterhouse z wydziału kryminalnego Culver Valley. - Otwiera mały portfel i pokazuje mi odznakę policyjną. Jest przysadzistym mężczyzną o szorstkiej twarzy i dużych dłoniach. Ma za krótkie spodnie, które nie sięgają górnej krawędzi jego butów.

Sierżant Zailer się do mnie uśmiecha. Nie mówi nic o moim płaszczu, ja też się nie odzywam. Nie ma go przy sobie. Gdy przedstawi się Aidanowi, mam nadzieję, że on na mnie nie spojrzy, że nie okaże zaskoczenia.

- Możemy porozmawiać? - mówi.

- Jestem zajęty. - Aidan nie wygląda na zaskoczonego, tylko na posepnego.

- To zajmie tylko chwilę.

- Rozmawiałem z nim w sobotę. - Aidan kiwa głową w kierunku Waterhouse'a. - Nie mam nic do dodania.

- Zgadnij, gdzie spędziłam sporą część dzisiejszego poranka. - Ton głosu Charlie Zailer jest jednocześnie uspokajający i dokuczliwy.

- Nie chce mi się.
- Przy Megson Crescent piętnaście.

Po tych słowach następuje długa cisza. Detektyw Waterhouse i ja patrzymy po sobie, zastanawiając się, czy któreś z nas będzie musiało ją przerwać. Przynajmniej ja się nad tym zastanawiam.

- Pod tym adresem mieszka Mary Trelease. Właśnie z nią spędziłam rano: z Mary Trelease.

Aidan rzuca jej lodowate spojrzenie.

- Jak martwa kobieta może gdziekolwiek mieszkać? - mówi. - Zabiłam ją.

Sierżant Zailer przytakuje.

- Simon, to znaczy detektyw Waterhouse, powiedział mi, że jesteś o tym przekonany. Zapewniam cię, że się mylisz. Spotkałam się z Mary Trelease, rozmawiałam z nią, widziałam, jak chodzi i oddycha.

Aidan przysuwa do siebie zszywacz i wkłada do urządzenia dwie uciosane listwy. Z powrotem w pracy.

- Myślisz, że cię okłamuję?

Nie mogę znieść tej dusznej atmosfery.

- Aidan, odpowiedz!

- Jeśli wskoczysz do mojego auta, zawiozę cię do jej domu, żebyś sam się przekonał, że nic jej nie jest.

- Nie.

- Jak poznałeś Mary? - W głosie sierżant Zailer słychać delikatną natarczywość. - Nie powiedziałeś Simonowi wszystkiego, prawda? Czy mnie powiesz więcej?

- Nie.

- Mary twierdzi, że cię nigdy nie poznała. Jeśli mówi prawdę, to znaczy, że ty jej też nigdy nie poznałeś.

Podnosi wzrok, wściekły, że odrywa się go od pracy.

- Skoro ją zabiłam, to musiałem ją poznać. To prosta logika. - Dlaczego się złości? Jakiej reakcji spodziewał się po policji?

- Dobrze - mówi sierżant Zailer. - W takim razie opowiedz mi o tym, jak ją poznałeś.

Cisza. Patrzę na niego, bezgłośnie namawiając, by odpowiedział, wiedząc jednak, że tego nie zrobi. Moja ostatnia nadzieja mnie opuszcza i nie mogę na to nic poradzić. Jeśli Aidan nie zacznie mówić, nikt nam nie pomoże, nawet policja.

- Aidan? Ile razy spotkałeś się z Mary, zanim ją zabiłeś?

- On nikogo nie zabił - mówię i zaczynam płakać. Sierżant Zailer odwraca się w moją stronę.

- Czy Aidan powiedział ci, że udusił Mary, gdy była naga? Że zostawił jej zwłoki na środku łóżka...?

- Milcz - warczy Aidan.

Przeszywa mnie gwałtowne uczucie mdłości. Z trudem łapię oddech. Uduszona. Naga

- Chyba jej nie mówił - odzywa się Waterhouse. - Jednej rzeczy nie rozumiem: powiedziałaś Ruth, że zabiłaś Mary dawno temu, a mnie - że znajdę jej ciało w łóżku przy Megson Crescent. Naprawdę sądziłaś, że martwe ciało może leżeć w domu nieodkryte przez wiele lat?

Aidan odmierza kawałek nylonowej żyłki do zawieszania i odcina go, jakby nikt nie zadał mu pytania. Nie tylko ignoruje Waterhousea - to trochę więcej. Aidan udaje, że jest w warsztacie sam, w jego głowie zostaliśmy wszyscy wyproszeni.

- Powiedz coś! - wołam do niego.

- Może ty coś powiedz, skoro on nie chce - zachęca mnie sierżant Zailer. - Okłamałaś mnie. Powiedziałaś, że nie znasz Mary

Trelease, a tymczasem ona twierdzi, że zna ciebie. Wyznała mi, że przez nią straciłaś pracę, że z poczucia winy podarowała ci obraz. Tak było?

Przytakuję, starając się nie patrzeć na Aidana. Nie mam pojęcia, jak wiele Mary jej powiedziała.

- Kiedy ją poznałaś?

- W czerwcu zeszłego roku.

- W czerwcu. Więc gdy w grudniu Aidan powiedział ci, że dawno temu ją zabił, ty znałaś ją już od pół roku. Zakładam, że wyjaśniłaś mu jego błąd. Ruth? Mam rację?

- Ja...

- Tak, wyjaśniła - mówi Aidan. - Powiedziałem jej, że się myli. To samo wytłumaczyłem detektywom Gibbsowi i Waterhouse'owi.

- Mary Trelease jest artystką - odzywa się Waterhouse, a ja wypuszczam wstrzymywany oddech. Nie interesuje go Spilling Gallery ani moje starcie z Mary. Nikt nie zmusi mnie, bym o tym mówiła wbrew swojej woli. - W swojej pracy musisz mieć liczne kontakty z ludźmi z tych kręgów. Co o nich sądzisz?

- Niektórzy są w porządku.

- A ci, którzy nie są: co ci w nich nie odpowiada? Aidan wzdycha.

- Traktują mnie jak służącego. - Podnosi w górę dłonie. - Robota manualna. Nie można być wykwalifikowanym profesjonalistą, jeśli ma się brudne dłonie - tak rozumują niektórzy z nich. Spotykam ich w restauracjach, a oni gapią się na mnie, nie rozpoznając mnie czystego. Gdy się z nimi witam i nawiązuję kontakt wzrokowy, widzę wstrząs w ich oczach: pospolity robol w eleganckiej restauracji, kto by pomyślał? Są też tacy, którzy malują wciąż ten sam obraz i myślą, że mają swój oryginalny styl, choć tak naprawdę mają tylko jeden pomysł. No i ci, którzy malują wyłącznie swoimi ulubionymi kolorami, tymi samymi, w których dobierają sobie ubrania i dywany do salonów.

- Naprawdę ich nie lubisz - mówi sierżant Zailer.

- Ustalmy jedną rzecz: nie zabiłem Mary Trelease dlatego, że była artystką. Nie wiedziałem, że nią była, dopiero Ruth mi to powiedziała.

- Gdzie jest obraz, który ci podarowała? - pyta mnie Waterhouse. - Możemy go zobaczyć?

W mojej głowie narasta ciśnienie.

- Już go nie mam.

- Jak to?

Patrzę na Aidana, ale on się ode mnie odwraca i przykłada kolejne dwie listwy pokryte klejem. Dlaczego miałabym go chronić, skoro nie chce mi powiedzieć, przed czym.

- Oddałam ten obraz Aidanowi - mówię. - Od tamtej pory go nie widziałam.

Aidan odsuwa zszywacz.

- Mary Trelease nie żyje - mówi przez zaciśnięte zęby. - Martwi ludzie nie malują obrazów. Ruth kupiła od kogoś obraz. Był brzydki, więc zanieśliśmy go do sklepu z używanymi rzeczami. - Kłamie.

Charlie Zailer robi krok w przód.

- Główna sypialnia domu Mary Trelease jest pełna obrazów. Tak pełna, że z trudem do niej weszłam. Twierdzisz, że nie wiedziałeś, iż jest artystką. Czyżby nie było tam tych obrazów, gdy ją zabijałeś?

- On jej nie zabił! Zaskakuje mnie jego odpowiedź.

- Nie. Nie było tam żadnych obrazów.

Widzę porozumiewawcze spojrzenie między Charlie Zailer a detektywem Waterhouse'em. Są bliscy poddania się.

- Muszę wyjść - mówi Aidan.

- Dokąd? - pytam w tej samej chwili, w której Waterhouse mówi:

- Wierzysz w duchy, Aidan?

- Nie. Wierzę w świat materialny: fakty i nauka. Nie wierzę, że martwe kobiety wracają do życia - odpowiada cicho.

- W takim razie kim, twoim zdaniem, jest kobieta mieszkająca przy Megson Crescent, z którą rozmawiała sierżant Zailer, detektyw Gibbs i ja? Skoro jesteś pewien, że zabiłeś Mary Trelease, wówczas kobieta, która wygląda jak ona, jest właścicielką jej domu, maluje jej obrazy, ma jej paszport, prawo jazdy i inne dokumenty, musi być duchem. I to nieźle wyposażonym.

- Już powiedziałem: nie wierzę w duchy. - Aidan podchodzi do niewielkiej umywalki w rogu i mocno odkręca obydwie kurki. Hydraulika w warsztacie jest bardzo stara i daje tyle samo hałasu co wody. - Przy następnej wizycie lepiej postawcie mi zarzuty, bo na pewno nic już wam nie powiem. - Myje ręce i wyciera je ręcznikiem.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie Ruth - mówi Waterhouse. - Przyznajesz się do morderstwa, ale nie chcesz ujawnić, dokąd wychodzisz?

- Wynoście się.

- Zdaje się, że nadużyliśmy już gościnności, Simon - mówi Charlie Zailer.

- Zrobiliście to, przekraczając próg - odpowiada jej Aidan. Sierżant Zailer, wychodząc, rzuca mu pogardliwe spojrzenie. Waterhouse zostaje.

- To ty przyszedłeś do nas, pamiętasz? Czy może twoja pamięć, oprócz kreowania faktów, które nie zaistniały, usuwa też te, które naprawdę się zdarzyły?

Już go nie ma. Oboje poszli. Aidan trzaska drzwiami i opiera o nie głowę. Odzyskawszy regularny oddech, odzywa się:

- Mówiłaś, że poszłaś na policję. Nie powiedziałaś, że ta policja to Charlie Zailer.

Nie mam już sił udawać, że jej udział był przypadkiem. Niech sobie myśli, co chce.

- Ruth, ona nie jest twoją przyjaciółką. Może być dla ciebie ważna, ale ty dla niej nic nie znaczysz.

- Gdzie jest obraz? Abberton - co z nim zrobiłeś? Powiedz mi, co się dzieje.

- Wierzysz w to, co powiedział Waterhouse? Że moja pamięć kreuje fakty, które nie zaistniały? - Zaczyna iść w moją stronę. - Jeśli coś się nie zdarzyło, to nie może być wspomnieniem. Sądysz, że można przewidywać przyszłość?

- Nie. Co ty mówisz?

- O widzeniu wyraźnego obrazu - jak zdjęcia czy filmu - czegoś, co jeszcze się nie zdarzyło, ale się zdarzy.

- Nie! Przestań! Zaczynam się bać.

- Obrazu mnie, jak duszę tę sukę Trelease, jak zaciskam dłonie na jej szyi...

- Przestań. - Odsuwam się od niego. Wygląda na stanowczego, a jednocześnie potwornie wystraszonego. Jak człowiek wchodzący w ogień.

- Mówią, że ona żyje. Ty twierdzisz to samo, Może wszyscy macie rację, a to znaczy, że obrazy w mojej głowie nie dotyczą przeszłości. A jeśli jej nie zabiłem, lecz dopiero to zrobię?

- Aidan, nie rób tego - błagam, przytulając się do niego. Jest sztywny jak głaz. - To niemożliwe.

- Abberton - mamrocze. - To część serii. Nie namalowała jeszcze wszystkich, może tylko ten jeden, pierwszy. Ale namaluje więcej. Mogę ci powiedzieć, ile ich będzie: dziewięć. Mogę ci powiedzieć, jak się będą nazywały. - Odpycha mnie na bok, zdejmując skuwkę z niebieskiego markera i zaczyna pisać na kartonowej tubie plakatowej. Pisząc, czyta nazwy na głos, jakby był w transie: - Abberton, Blandford, Darville, Elstow, Goundry, Heathcote, Margerison, Rodwell, Winduss.

Gapię się na niego, zastanawiając się, kim jest, w kogo się zmienił. Me oszalał. Naprawdę tak myślałam, gdy mówiłam to Charlie Zailer.

- Aidan, mówisz bez sensu - wołam załamującym się głosem. Ściska mnie za ramię.

- Wróć na Megson Crescent - szepce, trzymając twarz blisko mojej. - Jeśli to przyszłość, to jeszcze może się zmienić, Musi się zmienić. Spraw, żeby nie malowała kolejnych części. Każ jej przestać. Powiedz, żeby wyjechała ze Spilling i zaszła się tam, gdzie jej nie odnajdę...

- Przestań! - krzyczę. - Puść mnie! To nieprawda. Nie można przewidzieć przyszłości! Dlaczego nie chcesz powiedzieć mi prawdy?

- Dlaczego ty nie chcesz mi jej powiedzieć? Co takiego wydarzyło się w galerii Hansarda, że od niego odeszłaś? Co zaszło między tobą a nią? Nigdy mi nie powiedziałaś. Chcesz wiedzieć, co zrobiłem z Abbertanem? Chcesz wiedzieć, dokąd się teraz wybieram? Opowiedz mi całą historię!

- Nie ma o czym mówić! - łkam. Bez pytań: taką mieliśmy umowę. Czy on jeszcze pamięta, jak nam było ze sobą dobrze? Jak świetnie się rozumieliśmy?

Odpycha mnie, jakby nie mógł dłużej znieść mojego dotyku. Idzie w kierunku drzwi, po drodze zabierając kurtkę. Zostaję sama w warsztacie, zamykam drzwi na zamek i wyłączam wszystkie lampy. Kulę się w rogu pokoju przy grzejniku elektrycznym i mówię do siebie szeptem:

- Nie ma o czym mówić - jakbym wypowiadając te słowa na głos, czyniła je prawdziwymi.

Pierwszy raz zwróciłam uwagę na Spilling Gallery dzięki obrazowi wystawionemu w witrynie. Mieszkałam w Culver Valley zaledwie od jedenastu dni, choć uważałam tę okolicę za swój dom, bo nie zamierzałam się już nigdzie ruszać. W dniu, w którym wyjeżdżałam z Lincoln, otworzyłam atlas drogowy na stronie z mapą całej Wielkiej Brytanii, zamknęłam oczy i zaznaczyłam palcem przypadkowe miejsce, którym okazało się Combingham, pozbawione duszy miasteczko leżące niecałe dwadzieścia kilometrów na wschód od Spilling. Składało się wyłącznie z centrów handlowych i rond. Pojechałam tam i od razu mnie zniechęciło. Wsiadłam do samochodu i odjechałam, nie wiedząc, dokąd się skieruję.

Nie wracałam tą samą trasą - brałam przypadkowe zakręty, pokonywałam przypadkowe odległości i znów skręcałam byle gdzie. Prócz brudnego volkswagena passata miałam przy sobie jedynie torbę podręczną, a w niej szczoteczkę do zębów i inne niezbędne przedmioty. Cały mój dobytek został w płatnym magazynie i liczyłam się z tym, że nigdy już go nie odzyskam.

Skręciłam w lewo, potem w prawo, po czym przejechałam prosto jeszcze jakieś dwa kilometry. W końcu, gdy dotarło do mnie, że w którymś momencie będę musiała się zatrzymać, wyznaczyłam sobie limit jazdy w dowolnym kierunku przez trzydzieści minut. Po tym czasie, powiedziałam sobie, dojadę do celu, gdziekolwiek by to było.

O ile tylko nie wyląduję w Lincoln lub w Combingham, wszystko będzie dobrze.

W ten sposób wylądowałam na High Street w Spilling, a samochód stanął na podwójnej żółtej linii, zaledwie kilka metrów od galerii i warsztatu Saula Hansarda, choć wtedy jeszcze go nie zauważyłam. Nie wiem, czy w witrynie wisiały inne obrazy, czy może mój ulubiony już tam był, a ja go nie dostrzegłam, ale gdy przechadzałam się po ulicy, przyglądając się swojemu nowemu domowi, zupełnie nie zwróciłam uwagi na Spilling Gallery. W tamtym czasie mogłabym powiedzieć z dużą dozą pewności, że myśleniu o malarstwie i sztuce poświęciłam może dwadzieścia sekund swojego całego życia, w dodatku większość z tych dwudziestu sekund została na mnie wymuszona przez radio lub telewizję, a w takich sytuacjach na ogół od razu zmieniałam kanały.

Zauważyłam sklep z wełną i mnóstwo drogich butików z ubraniami, oddzielnych dla mężczyzn, kobiet i dzieci. Te sprzedające „odzież dla pań” miały najczęściej długie, eleganckie nazwy, które brzmiały jak imiona księżniczek. Specjalnie nie patrzyłam na małe sklepy z odzieżą ciężową, z fasadą w kolorze pistacji. Wiedziałam, że nigdy nie będzie w zasięgu mojego zainteresowania. Wątpliwe, bym kiedykolwiek urodziła dziecko; zresztą i tak na nie nie zasługiwałam. W okolicy były też trzy lub cztery puby o wybitnie tradycyjnym wyglądzie, każdy z bardziej wyszukany szyldem reklamującym właścicieli jako „dostawców wysokiej jakości jadła”. Moją uwagę przykuła niezależna księgarnia, do której postanowiłam przyjść, jak tylko zorganizuję sobie jakiś nocleg. Nie znałam nikogo w Spilling i zamierzałam unikać wszelkich form życia towarzyskiego, więc wiedziałam, że będę dużo czytać, i że cztery książki, które ze sobą wzięłam, nie wystarczą mi na długo.

Mimo ograniczonej możliwości odczuwania jakiegokolwiek zadowolenia, cieszył mnie widok głównego placu z kościołem po jednej stronie i - po drugiej - ze sklepem muzycznym, gdzie sprzedawano nuty i instrumenty, sklepem z serami i sklepem z upominkami, który nazywał się Niespodzianki i Sekrety. Kościół był piękny i choć nie zamierzałam do niego wchodzić, wiedziałam, że mogę mieszkać w jego sąsiedztwie, podziwiając cenny wkład w lokalny krajobraz. Mimowolnie jednak zastanowiłam się nad tym, ile spośród uczęszczających na msze osób robi to Z własnej woli.

Weszłam do pierwszego pubu, jaki stał na mojej drodze - Brązowej Krowy - bo na zewnątrz wisiał szyld reklamujący pokoje do wynajęcia. Właściciel chętnie zgodził się wynająć mi jeden z nich i spytał, jak długo zamierzam zostać. Otworzyłam usta i w tym momencie zorientowałam się, że nie mam gotowej odpowiedzi. Nie opracowałam żadnego planu.

- Dwa tygodnie? - zaproponowałam niepewnie, szykując się na odmowę.

Oczy mu zapłonęły.

- Fantastycznie - powiedział. - Jeśli będzie pani chciała mieszkać dłużej, to serdecznie zapraszamy.

Do oczu napłynęły mi łzy i musiałam Odwrócić wzrok. Był dla mnie zbyt miły. Ponieważ mnie nie znał, nie mógł wiedzieć, że nie zasługuję na jego uprzejmość. Może zostanę tu tak długo, aż wydam wszystkie pieniądze, a potem skoczę do rzeki, pomyślałam. Żadnej z książek, które przeczytałam przez ostatnie cztery lata - od czasu Jego i Jej - nie udało się skutecznie mnie przekonać, że nie byłoby to pod wieloma względami najlepsze rozwiązanie. Na sprzedaży domu w Lincoln zarobiłam sporą sumę, która starczyłaby mi na rok, może dwa lata opłat za magazyn i czynsz w Brązowej Krowie. Byłby to ciekawy eksperyment: zobaczyć, jak bardzo pragnę przeżyć. Gdybym po wydaniu ostatniego pensa dalej chciała żyć, musiałabym jakoś sobie poradzić. W przeciwnym wypadku nie mogłabym funkcjonować. Pięć lub sześć lat po tym zdarzeniu nikt nie powiedziałby, że nie miałam dosyć czasu do namysłu nad tym, co zrobiłam.

Pierwsze jedenaście dni w Spilling przebiegło bez większych wrażeń. Dużo spałam, chodziłam na krótkie spacerunki po mieście. Codziennie zaglądałam do niezależnej księgarni, którą widziałam pierwszego dnia. „Word on the Street” - albo po prostu „Word”, jak wszyscy w Spilling zdawali się ją nazywać - odpowiadała mojemu wyobrażeniu doskonałej księgarni z używanymi książkami, tyle że sprzedawała nowe pozycje. Sklep miał niskie sufity, trzeszczące podłogi, kilka pięter i każde w innym kształcie, nie całkiem proste alejki prowadzące od książek dla dzieci do poezji i od prozy do historii wojskowości.

W ciągu tygodnia wykupiłam wszystkie tytuły z regału „Umysł, Ciało i Duch”, a kierownik księgarni obiecał uzupełnić swój katalog. Byłam bliska kupienia książki zatytułowanej Wstyd, będącej

pamiętnikiem kobiety, która uciekła przed zaaranżowanym przez rodziców małżeństwem. Zdjęłam ją z półki, po czym zahaczyłam wzrokiem o etykietkę z napisem „Biografie”. To słowo przypomniało mi mojego ojca i musiałam odłożyć książkę z powrotem, choć chciałam ją przeczytać.

Jedenastego dnia rano weszłam do sklepu z serami, ale właścicielka zamiast spytać, co mnie interesuje, rozpoczęła długi monolog.

- Widziałam, jak spaceruje pani po ulicy - powiedziała. - Sporo pani spaceruje. Ogląda pani wszystkie sklepy, ale na ogół nie wchodzi pani do środka. Zastanawiałam się, kiedy wreszcie pani do mnie zajrzy.

To prawie wystarczyło, by skłonić mnie do wyjścia, a na pewno zniechęciło do kupowania sera, lecz nie chciałam być niegrzeczna. Ludzie, którzy nie popełnili w życiu większych błędów, mogą tego nie rozumieć, jednak gdy się już zrobiło coś bardzo złego i poniosło konsekwencje, dobre zachowanie nabiera szczególnej wagi. Postanowiłam nigdy więcej nie robić nic złego, złego w moim mniemaniu i w oczach świata. Wiedziałam, że istnieją ludzie, których nikt nigdy nie potępia: nie kontrowersyjni, zwyczajni ludzie. Właśnie kimś takim pragnęłam się stać.

- Jeśli lubi pani spacerować, to bez sensu jest chodzić w tę i z powrotem w spalinach i zgiełku - powiedziała sprzedawczyni serów.

- Niecałe pięć minut samochodem stąd jest śliczna wiejska okolica, urocza i cicha. Całkowita głusza. Nie spotka się tam żywej duszy. Mogę powiedzieć, jak tam dojechać. Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Nie, dziękuję - po czym szybko wyszłam z sercem walącym jak młot. Nie miałam ochoty nawet zbliżyć się do całkowitej głuszy. Potrzebowałam obecności żywych dusz, i to w jak największej liczbie. Nie zamierzałam się z nimi zaprzyjaźnić, ale chciałam, by były blisko na wypadek, gdybym potrzebowała ich pomocy. Może wybrałam niewłaściwe miejsce, pomyślałam, i zamiast Spilling powinnam była pojechać do Birmingham, Manchesteru albo Londynu. Szłam szybko ulicą, nie odwracając się ku sklepowi z serami. Po chwili zakręciło mi się w głowie i miałam wrażenie, że zaraz upadnę. Zatrzymałam się i oparłam czoło o najbliższą szybę w nadziei, że szkło mnie ochłodzi.

Tak też się stało. Przycisnęłam rozpalone czoło do witryny, wyobrażając sobie chłód przenikający falami z zewnątrz do wnętrza mojej głowy. Kilka sekund później poczułam się lepiej i odkleiłam się od szyby, mocno zakłopotana, że ktoś mógł mnie widzieć. Na szybie, w miejscu, przy którym były moje usta, została para wodna. Za nią, w witrynie, wisiał obraz. Rama była czarna, ale sam obraz długi i czerwony. Z początku myślałam, że czerwień jest jedynym kolorem, lecz potem dostrzegłam wąskie, nieregularne, złote linie schowane za czerwonymi plamami. Odsunawszy się nieco, zobaczyłam, że nie są to wcale plamy, tylko wypełnione fakturą okręgi i owale. Wyglądały trochę jak przerośnięte odciski palców. Każdy miał nieco inną barwę i kształt - niektóre były bardziej pomarańczowe, w innych dostrzegało się niebieski odcień.

Było tam kilkanaście kolorów, nie jeden. Wpatrując się w obraz uważniej, widziałam, że zawiera praktycznie wszystkie odcienie. Ponadto, w zależności od tego, w jakiej odległości od niego się ustawiałam, zmieniały się relacje między utrwalonymi na płótnie, intrygującymi kształtami. Z bliska rozmazana, pomarańczowa kula zdawała się wyskakiwać w przód, ale gdy robiłam kilka kroków do tyłu, na pierwszy plan wysuwały się inne, dłuższe, owalne formy.

Coś we mnie drgnęło, odsuwając na bok pokłady lęku, poczucia winy, wstydu i złości, które zalegały w moim sercu, tłumiąc wszystkie wspomnienia dawnego szczęścia, a wraz z nimi nadzieję na przyszłą radość, bo przecież nie pamiętając w ogóle pewnych uczuć, trudno wierzyć, że się je kiedyś miało lub że jeszcze się ich zazna. Nie chodziło tylko o to, że obraz był piękny, ani o to, że gdy na niego patrzyłam, miałam wrażenie, że część tego piękna jest moja własna. Czułam przede wszystkim, że ktoś próbuje nawiązać ze mną kontakt. Była to więź, pozytywna więź z drugim człowiekiem, artystą - kimś całkowicie niegroźnym, bo go nie znałam i wiedziałam, że raczej nie poznam.

Musiałam mieć ten obraz. Otworzyłam drzwi galerii i powiedziałam siedzącemu w środku mężczyźnie - Saulowi Hansardowi - że chcę kupić obraz z witryny i że zapłacę za niego każdą cenę.

- Naprawdę? - zachichotał. - A jeśli kosztuje siedem i pół tysiąca funtów?

- Nie mam siedmiu i pół tysiąca. Ile on kosztuje?

- Ma pani szczęście. Dwieście pięćdziesiąt. Uśmiechnęłam się szeroko. Szczęście. Czułam je naprawdę, pierwszy raz od czterech lat.

- Kto go namalował? Co przedstawia? Co pan o nim wie?

- Artystka nazywa się Jane Fielder. Mieszka w Yorkshire, Nie mam innych jej obrazów, w przeciwnym razie już bym je pani wciskał. Ten ma tytuł Coś złego. - Mówiąc, zdejmował go ze ściany. - Widzi pani te niewyraźne, złote napisy za czerwonymi odciskami kciuków?

- Odciski kciuków - szepnęłam. Zatem miałam rację.

- No, nie do końca, ale to właśnie mają przedstawiać. Złote napisy dochodzą aż tutaj. Powtórzone dwa wersy: „Kciuk mnie świerzbi, to dowodzi/Że coś złego tu nadchodzi” (Cytat z Makbeta w przekładzie Antoniego Libery.). William Szekspir. - Saul Hansard uśmiechnął się do mnie, po czym się przedstawił. Nie wahałam się przed powiedzeniem, jak się nazywam, bo wydał mi się ewidentnie niegroźny. Niski, w wieku - jak się domyślałam - sześćdziesięciu kilku lat, z miękkimi, rudawozłotymi włosami, dwuogniskowymi okularami na nosie i ubrany w spodnie podtrzymywane czerwonymi szelkami. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że nosił te szelki każdego dnia. Był szczupły i miał tę niemal dziecięcą, prościusienką sylwetkę, typową dla dziesięcioletnich chłopców zbyt wysokich jak na swój wiek.

Przyniosłam Coś złego do swojego pokoju w Brązowej Krowie i Oparłam obraz o ścianę. Oglądanie go stało się moim głównym zajęciem. Od tamtej pory zaczęłam też codziennie zaglądać do Spilling Gallery. Na początku Saul tłumaczył mi przepraszającym tonem, że przez dłuższą czas nie będzie zaopatrywał się w nowe prace, ale mnie to nie przeszkadzało. Dostateczną przyjemność sprawiało mi patrzenie na te obrazy, które miał, bez względu na to, ile razy już je wcześniej oglądałam, i pomimo faktu, iż nie zamierzałam ich kupować. Oczywiście podobały mi się, uważałam większość z nich za dobre, ale nie robiły na mnie takiego wrażenia, jak obraz Jane Fielder.

Gdy okazało się, że Saul też oprawia obrazy, zaczęłam spędzać całe popołudnia w jego warsztacie na tyłach galerii, bo w ten sposób miałam sposobność obcowania z nowymi dziełami. Notorycznie spóźniał się ze swoimi zleceniami i podczas gdy spędzał czas na ukosowanie ram przy nieustającym akompaniamencie radia Classic

FM, ja przeglądałam sterty obrazów czekających na oprawę, szukając czegoś, co podziałałoby na mnie równie mocno jak Coś złego.

Po jakimś miesiącu Saul powiedział do mnie:

- Wybacz moją niedyskrecję, Ruth, ale... ty nie masz pracy, prawda?

Odparłam, że faktycznie nie mam. Tak, jak ja to widziałam, moją pracą było oglądanie obrazów i nie obchodziło mnie, że nikt mi za nią nie płaci.

- Nie chciałabyś przypadkiem pracować tutaj? - spytał. - Na pewno tracę mnóstwo klientów przez to, że jestem tu sam. Ludzie wchodzą do galerii, nikogo nie widzą, bo ja siedzę w warsztacie, więc wychodzą. Pomyślałem sobie, że przydałaby mi się miła osoba, która by...

- Tak - przerwałam mu. - Bardzo bym chciała. Saul się rozpromienił.

- Cóż za szczęśliwe zrządzenie losu - powiedział. Często używa słowa „szczęście”, to jedna z cech, którą najbardziej w nim polubiłam.

- I tak ciągle tu jesteś, więc czemu miałabyś nie dostawać za to pieniędzy? No i zawsze jako pierwsza widziałabyś nowe obrazy.

Od tego momentu moje życie zaczęło się bardzo szybko zmieniać. Wiedziałam, że nie mogę mieszkać dłużej w Brązowej Krowie, że będę potrzebowała czegoś większego, by pomieścić wszystkie obrazy, które zamierzałam kupować. Wynajęłam Blantyre Lodge, odebrałam swoje rzeczy z magazynu, przeprowadziłam w mojej ulubionej księgarni nałot na regały z książkami o sztuce i czytałam, ile mogłam, o znanych artystach i ich pracy.

Co jakiś czas brałam wolne, by pojechać do Silsford, gdzie mieściła się jeszcze jedna galeria sprzedająca współczesne dzieła sztuki. Tam znalazłam drugi obraz, w którym się zakochałam: Drzewo życia namalowane przez Lyndę Thomas. Było wystylizowanym wizerunkiem drzewa z czarnymi gałęziami wijącymi się w górę niczym pukle kręconych włosów. Gdy się zafiksowało na nich wzrok i chodziło po pokoju, widać było wyzierające zza liści metaliczne błyski - czerwone, złote i srebrne. Tło było ciemnogrnatowe, a drzewo, choć ciemne, wyraźnie się na nim wybijało, pełne ukrytej, tajemniczej, ale niegroźnej siły. Obraz nie tchnął sentymentalizmem, choć mógłby, gdyby namalował go mniej utalentowany artysta.

Wszystkim tym podzieliłam się z Saulem, zupełnie się nie wstydząc swoich opinii. Przez całe życie nie miałam zielonego pojęcia o sztuce, ale w tym nagłym zamięłowaniu odnajdywałam pewność siebie. Wiedziałam, że mam rację, bo to czułam. Nie obchodzili mnie krytycy ani eksperci, ani to, czy zgodziliby się ze mną.

Stopniowo zbudowałam sporą kolekcję. Oprócz obrazów zaczęłam kupować rzeźby. Rozluźniłam nieco swoje zasady i pozwalałam sobie również na kupno takich prac, których nie kochałam równie mocno jak Czegoś złego lub Drzewa życia. Kolekcja sztuki, tłumaczyłam sobie, nie musi wcale składać się z dzieł wywołujących efekt o takim samym stopniu natężenia. Poza tym odkryłam, że niektóre obrazy dojrzewają, z czasem odsłaniając nowe wartości. Powiedziałam Saulowi o tej zmianie podejścia, wyjaśniając, że oprócz bratnich dusz człowiek potrzebuje też przyjaciół i znajomych. Zgodził się ze mną.

- A czy ty masz jakichś przyjaciół, Ruth? - spytał z zatroskanym wyrazem twarzy. Zazwyczaj unikał zadawania mi osobistych pytań, więc nie miałam mu za złe tego jednego.

- Mam ciebie - odparłam, nie odrywając wzroku od czasopisma o sztuce, które właśnie czytałam.

- Tak, ale... oprócz mnie. Jest jeszcze ktoś, kogo... widzisz?

- Widuję ciebie - powiedziałam stanowczo, zaczynając czuć dyskomfort. - Dlaczego pytasz? Chyba nie zamierzasz się mnie pozbyć, co? Zamknąć galerii i wyjechać dokądś bez słowa?

- Broń mnie, Panie Boże - odparł Saul. - Przy odrobinie szczęścia będę się tu jeszcze długo kręcił. - Uderzył mnie nietypowy dla niego sposób, w jaki to powiedział. Podniosłam wzrok, by ocenić wyraz jego twarzy, ale niczego z niej nie wyczytałam. Pracowałam u niego już dwa lata. Czyżby martwił się, co ze mną będzie po jego śmierci? Na pewno nie. Nie wiedziałam, ile dokładnie ma lat, ale bez wątplenia mniej niż siedemdziesiąt. Ponieważ nie miałam ochoty myśleć o śmierci Saula, zmieniłam temat na sztukę. Nie interesowała mnie żadna inna rozmowa, a Saul zdawał się lubić nasze dyskusje o malarstwie.

Jak się w końcu okazało, to ja rzuciłam jego, choć nie miałam nigdy takich planów. Był moim jedynym towarzyszem i z czasem go pokochałam.

18 czerwca 2007 roku - jedna z dat na zawsze wyrytych w mojej pamięci - siedziałam za ladą, czytając Martwą naturę z wędzidłem Zbigniewa Herberta, gdy do galerii weszła kobieta. Rozpoznałam ją, bo wcześniej już kilka razy była u Saula, ale nie wiedziałam, jak się nazywa. Należała do tej kategorii klientów, którą razem z Saulem nazywaliśmy „gburami” - ludzi, którzy całkowicie mnie ignorowali i szli prosto na tył galerii, by odnaleźć Saula.

Próbowałam się uśmiechnąć, jak zawsze, gdy widziałam „gbura”, ale i tym razem nie doczekałam się reakcji. Kobieta ubrana była w cygańską spódnicę z frędzlami i białe buty sportowe, a na głowie miała obfitą czuprynę kręconych, czarnych włosów dotkniętych już lekko siwizną. Niosła pod pachą obraz. Gdy mnie mijała, nie mówiąc „dzień dobry”, dostrzegłam tylko tył płótna.

Pokręciłam głową w odpowiedzi na jej gburowatość, po czym wróciłam do lektury. Kilka sekund później stała znowu obok mnie, nadal trzymając obraz.

- Gdzie on jest? - spytała. - Mam obraz do oprawienia. Na dzisiaj byłoby idealnie.

- Tam go nie ma?

- Nie, chyba że jest niewidzialny.

- To nie wiem. Musiał na chwilę wyjść.

- A widziałaś, żeby wychodził? - rzuciła z niecierpliwością.

- Nie, ale...

- Jak długo go nie będzie?

- Niedługo. - Uśmiechnęłam się. - Pewnie poszedł na pocztę.

Mogę w czymś pomóc?

Spojrzała na mnie, jakbym była śmieciem na jej drodze.

- Na razie słabo ci idzie - odparła. - Poczekam pięć minut. Jeśli Saul nie wróci, będę musiała iść. Nie zamierzam marnować tutaj całego dnia. Mam mnóstwo pracy. - Oparła obraz o moje biurko i zaczęła przechadzać się po galerii, oglądając prace, które zawiesiliśmy z Saulem kilka dni wcześniej. - Słabe - powiedziała głośno o pierwszym, do którego podeszła. Potem minęła szybkim krokiem wszystkie pozostałe, komentując każdy jednym słowem. - Fatalny. Kiepski. Pretensjonalny. Bezsensowny. Ohydny. Widzę, że nic się tutaj nie zmieniło.

Jej obraz był wysoki. Oparła go o tę część biurka, za którą siedziałam - być może celowo, by zasłonił mi widok sali. Na odwrocie

płótna ktoś nagryzmolił słowo „Abberton” drukowanymi literami. Zastanawiałam się, czy to jej nazwisko.

Jej nieskrywana pogarda dla wszystkich prac, które zobaczyła, wzbudziła we mnie ciekawość obrazu, który przyniosła do oprawienia. Czy namalowała go sama, czy ktoś inny - najwyraźniej uważała, że jest wart tego, by go kupić. Nikt nie oprawia prac, których nie ceni. Wstałam z krzesła i obeszałam biurko, by się przyjrzeć. Musiała zauważyć mój ruch, bo momentalnie się obróciła. Spodnia część jej spódnicy zaszeleściła, kreśląc w powietrzu duże koło. Zauważyłam w niej dziurę. Twarz kobiety wykrzywiła się w podejrzliwym grymasie.

- Co ty robisz? - powiedziała. Czyżby myślała, że jestem przyklejona do krzesła? Niby czemu miałabym się nie poruszać swobodnie po galerii, tak jak ona? Przecież tam pracowałam.

Patrząc na obraz, miałam takie samo uczucie, jak przy pierwszym kontakcie z Czymś złym, tyle że o wiele silniejsze. To była momentalna hipnoza, magnetyczne przyciąganie. Nie do końca zdawałam sobie sprawę, co widzę. Tło - pomalowane ciemną zielenią, brązem, fioletem i szarością, co sprawiało, że ledwie można było coś w nim rozpoznać, jakby je okryto cieniem - stanowiła ulica z domami po obu stronach, zakończona pętlą o wyolbrzymionym kształcie. Wyglądała niemal jak koniec stryczka, w którym ulica - ślepa: Megson Crescent, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałam - stanowiła resztę sznura.

Niemiała kobieta najwyraźniej zauważyła moją reakcję, bo powiedziała:

- Nie musisz mówić, że jest dobry. Wiem, że jest dobry. Byłam pod zbyt wielkim wrażeniem, by cokolwiek powiedzieć.

Na środku obrazu na ciemnej ulicy stała postać o nieokreślonej płci. Oprócz sylwetki nie było w niej nic ludzkiego. Część płótna wewnątrz cienkiej, czarnej linii oddzielającej ją od reszty obrazu wypełniała dziwna masa stwardniałych piór, kawałków materiału - być może gazy - białych lub pokolorowanych. Wzburzony anioł, pomyślałam sobie. Obraz powinien być groteskowy, ale był najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałam.

- To pani? - spytałam.

Powiedziała, że tak.

- Wspaniały.

Pochlebstwo zazwyczaj rozmiękczało nawet najtwardszych „gburów”, ale na nią nie podziało. Co kilka sekund spoglądała zatroskana na drzwi, jakby chciała telepatycznie sprowadzić Saula do galerii. Wyciągnęłam dłoń.

- Ruth Bussey - powiedziałam. - Nigdy nie zostałam sobie przedstawiona, choć już tu panią widziałam.

- Nie zostałam - przyznała mi rację. Nazywa się pani Abberton? Zauważyłam...

- Nie. Abberton to postać z obrazu. - Nie przedstawiła się. Widząc, że się w nią wpatruję, uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: „Masz jakiś problem?”.

Odwróciłam się w stronę obrazu.

- Czy jest...?

- Nie, nie jest na sprzedaż.

- Aha. - Byłam potwornie rozczarowana i nie wiedziałam, co począć. Nie mogłam się jej sprzeciwić, w końcu był to jej obraz, ale z drugiej strony wiedziałam, że muszę go mieć. Musiałam wziąć go ze sobą do domu.

- Idę - oświadczyła. - Powiedz Saulowi, że musi wprowadzić w życie nowy biznesplan. Taki, w którym istnieje wyraźna różnica między otwartą galerią a zamkniętą.

Właśnie miałam zapytać ją, jak się nazywa, gdy zauważyłam, że podnosi swój obraz, i zdałam sobie sprawę, że chce go zabrać. Byłam bliska krzyku.

- Proszę poczekać - poprosiłam. - Mimo iż nie jest na sprzedaż, mogłaby pani... mogłaby pani coś mi o nim opowiedzieć? Skąd pomysł? Kim jest Abberton?

Znów głośno westchnęła.

- Nikim. Absolutnie nikim. Nikim.

- Robi pani czasem kopie swoich oryginałów? - spytałam. - Niektórzy artyści...

- Nie ja - odparła szybko. - Nie możesz kupić tego obrazu, Ruth Bussey. - Jej skóra wyglądała jak arkusz papieru, który ktoś dokładnie zagiął, a potem rozprostował. Nie podobał mi się sposób, w jaki wypowiedziała moje imię i nazwisko, zwłaszcza że nie podzieliła się ze mną swoim. - Już daj sobie spokój. Kup inny obraz.

Myślałam, że zaświeciła mi światelko w tunelu.

- Ma pani inne obrazy, które mogłabym obejrzeć i które są na sprzedaż?

Szczęka jej opadła i zobaczyłam rząd białych, trochę nierównych zębów.

- Nie chodziło mi o moje obrazy - powiedziała podniesionym głosem. Powinnam była już wtedy całkowicie się wycofać, ale nie miało to dla mnie sensu. Chyba nie gniewa się na mnie za to, że uważam ją za wspaniałą artystkę, pomyślałam. Musiałam zadawać niewłaściwe pytania, źle je formułować. Żaden artysta nie wpada w złość, gdy okazuje się zainteresowanie jego pracą - to się po prostu nie zdarza. Gdyby tylko udało mi się przekonać tę kobietę, że mówię poważnie, że nie jestem tylko jakąś durną recepcjonistką...

Zabrała swój obraz i odmaszerowała z powrotem na tył galerii. Postanowiłam spróbować jeszcze raz. Przeszłam za nią do warsztatu Saula i oniemiałam, widząc, co tam robi. Na stole leżał rozłożony czyjś obraz, a ona się o niego opierała - opierała się o akwarelowy krajobraz, którego namalowanie zajęło komuś tydzień, jeśli nie miesiąc - pisząc list do Saula. Używała do tego długopisu, wciskając go z wściekłością, jakby w ten sposób chciała uniknąć wszelkich wątpliwości co do treści swojej notatki.

- Proszę się o to nie opierać - powiedziałam, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę.

Przerwała pisanie.

- Co proszę?

- To jest czyjś obraz!

- To czyjś oburzająco zły obraz. A teraz na jego pierwszym planie są moje trafne uwagi, co po wielekroć zwiększa jego wartość.

Zrobiła to naumyślnie. Przeczytałam słowa, które chciała przekazać Saulowi. Większość z nich była przekleństwami. Gdyby po jednym spojrzeniu na tę wiadomość nie zdecydował, że już nigdy niczego dla niej nie oprawi, uznałabym, że coś z nim jest nie tak. Spojrzałam na dół płótna, sądząc, że znajdę jej podpis, ale go tam nie było. Przerwałam jej, nim zdążyła się podpisać.

Uznałam w końcu, że nie chcę kupować jej obrazu. Nie mogłabym się nim cieszyć, wiedząc, że jego autorka potrafi tak bezmyślnie zniszczyć cudzą pracę.

Czułam się rozgniewana, bardziej, niż wydawało mi się uzasadnione. Została mi odebrana radość z obrazu, choć zobaczyłam

go po raz pierwszy zaledwie pięć minut temu. Co więcej, miałam wrażenie, że odebrano mi radość ze sztuki - czegoś, co zaczęło już uśmierzać mój najgłębszy ból. Teraz była już zatruta.

- Dlaczego niszczy pani cudzą pracę? - spytałam, nie mogąc się powstrzymać. - Nie może pani znieść myśli, że kto inny też ma talent?

Odwróciłam się i zaczęłam iść w stronę części galeryjnej, cała się trzęsąc. Kilka sekund później moją głową szarpnęło w tył, jakbym zahaczyła o coś kucykiem. Zawylałam z bólu. To była ona. Obróciła mnie twarzą do siebie i przycisnęła do ściany, uderzając moimi plecami w wiszący na niej obraz, który spadł na podłogę. Szkło pękło i rozpadło się wokół moich nóg. Ona zdewastuje galerię, pomyślałam. Wszystkie nasze obrazy. I będzie to moja wina. Jak zawsze. Co ja powiem Saulowi?

Jedną dłoń trzymała płasko na mojej klatce piersiowej, a drugą chowała za plecami. Wtedy zaczęłam się naprawdę bać. Co w niej trzymała? Chwilę wcześniej była w warsztacie Saula, gdzie pełno jest noży. Pił.

- Proszę - powiedziałam. - Proszę, nie rób mi krzywdy.

- Kim jesteś? - spytała. - Czego ode mnie chcesz?

- Niczego. Ja tylko... Przepraszam. Nie rób mi krzywdy. Puść mnie! - W mojej głowie rozpętała się burza. Znowu te same słowa. Te same, które wielokrotnie powtarzałam, gdy Ona odklejała taśmę z moich ust: nie rób mi krzywdy, proszę, puść mnie. Przestałam być świadoma kobiety o szaro - czarnych włosach, nie widziałam już galerii. Teraźniejszość rozplynęła się w przeszłości. Już nigdy nie będzie nikogo poza Nim i Nią; ich atak będzie zawsze trwał, w takiej lub innej formie.

Ręka kobiety o szalonej czuprynie wyłoniła się zza jej pleców. Zobaczyłam puszkę: farba. Czerwona. Moje ciało zdawało się tracić kształt, jakby przestawało funkcjonować. Przystawiła mi swoją broń do twarzy i prysnęła. Zaczęłam krzyczeć. Farba dostała się do moich ust i oczu, a gdy je zamknęłam, kobieta dalej pryskała. Czułam ciężką wilgoć na całej twarzy i szyi, gryzącą i twardniejącą. Spróbowałam wykonać jakiś ruch, ale bezskutecznie.

- Co do licha...? - Głos Saula.

Usłyszałam chłapanięcie i metaliczny dźwięk, coś toczącego się po podłodze. Usiłowałam otworzyć oczy, ale widziałam tylko cienkie,

czerwone kreski w miejscach, gdzie farba posklejała mi rzęsy. Kobieta w końcu poluzowała chwyt.

- Przepraszam, przepraszam - wymamrotałam.

Teraz oboje z Saulem się przekrzykiwali, mówiąc rzeczy, których nie chciałam słyszeć. Musiałam dotrzeć do drzwi, musiałam wyjść. Nie zabrałam płaszcza ani torebki. Byłam wolna, więc uciekłam.

Zatrzymałam się dopiero przed domem. Nie miałam przy sobie kluczy - zostały w torebce i usiadłam na trawniku przed Blantyre Lodge, trzęsąc się w deszczu. Wydawało mi się, że trwa to kilka godzin. Mogłam usiąść na werandzie, ale chciałam się zmoczyć, zmyć z siebie wszystko, co się wydarzyło. W którymś momencie pojawił się Saul z moimi rzeczami. Próbował ze mną rozmawiać, ale mu nie pozwoliłam. Zakryłam dłońmi uszy. Byłam w hysterii. Całą moją twarz wciąż pokrywała czerwona farba, naciągając mi skórę niczym maska. Ulewa jej nie usunęła. Farba, którą ramiarze pokrywają listwy, jest gęsta i oleista; niełatwo ją zmyć. Wybiegający z parku ludzie, którzy uciekali przed nagłą burzą, gapili się na mnie, po czym szybko odwracali wzrok. Jeden mały chłopiec pokazał mi palcem i zdążył się zaśmiać, nim jego matka go powstrzymała. Nie obchodziło mnie to. Nikt nie mógł mnie tu dopaść. Ani szalona artystka, ani On i Ona. Nie w samym środku publicznego parku.

W końcu Saul sobie poszedł. Od tamtej pory z nim nie rozmawiałam, choć całymi tygodniami po tym okropnym zdarzeniu regularnie nagrywał mi się na sekretarkę. Rozumiał, że nie chcę wrócić do galerii i dlatego się do niego nie odzywam ani nie chcę rozmawiać o całym zajściu, ale - jak mówił - czuł potrzebę dzwonienia do mnie od czasu do czasu, mimo że nie odbierałam telefonu. Chciał, bym wiedziała, że o mnie nie zapomniał i że wciąż jestem dla niego ważna.

Ostatnia wiadomość, nagrana w sierpniu zeszłego roku, była inna. Słyszałam zmianę w jego głosie. Nie było już w nim smutku, lecz determinacja. Podał mi nazwisko i adres Aidana, mówiąc, że potrzebuje on kogoś do pomocy.

- Moja strata będzie jego korzyścią - powiedział. - I twoją, mam nadzieję. Proszę cię, Ruth. Zrób to dla mnie i dla siebie. Nie wiem, co ci się przytrafiło w przeszłości. Nie jestem głupcem: wiem, że coś kryjesz. Może powinienem był spytać... W każdym razie nie pozwolę,

byś zrujnowała sobie resztę życia. Spotkaj się z Aidanem. On się tobą zaopiekuje.

Pamiętam, że śmiałam się z tych słów, siedząc po ciemku w swoim domu i paląc kolejnego papierosa. Zaopiekuje się mną przy takiej liczbie osób zdecydowanych wyrządzić mi krzywdę? On i Ona, do tego jeszcze wywijająca puszką czerwonej farby szalona artystka o srebrno - czarnych włosach, której nazwiska nie znałam... Wszyscy wiedzieli, że nie warto się mną opiekować, bo jestem zbyt żalosna i bezbronna, by sama się sobą zająć. Aidan Seed - tego byłam pewna - stwierdziłby to samo.

Rozdział 6

3/3/08

Simon rozmawiał przez telefon z Samem Kombothekra, gdy zobaczył samochód Aidana Seeda wyjeżdżający z Demesne Avenue na Rawndesley Road. Za kierownicą siedział Seed i wydawało się, że jechał sam.

- Muszę kończyć - uciął rozmowę Simon, rzucając telefon na fotel pasażera. Nie był pewien, wychodząc z warsztatu, czy Seed zamierza podróżować pieszo, czy zakurzonym, czarnym volvem kombi, które stało zaparkowane pod kątem czterdziestu pięciu stopni do budynku.

- Chyba nie zamierzasz czekać? - spytała wówczas Charlie. - Przecież on się nigdzie nie wybiera. Skłamał, żeby się nas pozbyć.

- Zobaczymy - odparł Simon. - Ja tak nie uważam.

- Ty zobaczysz - poprawiła go Charlie. - Ja muszę wracać do mojego pasjonującego kwestionariusza. Zadzwoń do mnie, jak coś się wydarzy.

Simon cieszył się, że Seed postanowił pojechać samochodem. Łatwiej się śledzi kogoś, kto siedząc za kierownicą, zamknięty w prywatnej przestrzeni, patrzy prawie wyłącznie na drogę przed sobą.

Jadąc za czarnym volvem, Simon przypomniał sobie wszystkie kłamstwa, którymi przed chwilą poczęstował Kombothekrę, i poczuł coś, co czuł niezwykle rzadko: był z siebie dumny. Przedstawiona przez niego wersja zdarzeń zawierała wszystko, co każdy sierżant chciałby usłyszeć: dwieście siedemdziesiąt sześć adresów podzielonych na regiony, plan podróży, nowiusieńki atlas drogowy kupiony na koszt Mroźnego. Ani słowa prawdy. Simon wrzucił dziesięciofuntowy banknot, który dał mu Proust, do kosza na śmieci. Pewnie razem z nim swoją karierę, ale teraz się tym nie przejmował.

Seed jechał osiemdziesiąt na godzinę po High Street, na której obowiązywało ograniczenie do pięćdziesięciu. Wkrótce Simon musiał dobić do stu trzydziestu, żeby nie zgubić Seeda na drodze szybkiego ruchu. Dlaczego się tak śpieszył? Czy ta podróż - o której, jak się okazało, Ruth nic nie wiedziała - miała związek z nieoczekiwaną wizytą Simona i Charlie? Na pewno nie jechał na Megson Crescent - to było w przeciwnym kierunku. Może do Rawndesley.

Pod nieobecność Prousta - Mroźny wymuszał na nim obronę własnych instynktownych podejrzeń - Simon odnosił się z pogardą do swojego głosu wewnętrznego. Skąd brało się w nim to przekonanie, że

jeśli nie zadziała szybko, stanie się coś bardzo złego? Skąd to poczucie, że Seed, Bussey i Trelease balansowali na krawędzi jakiejś tragedii, której tylko on mógł zapobiec? Nadęty dupek, powiedziałyby teraz Charlie.

Na rondzie Ruffers Well Seed nie pojechał prosto w stronę Rawndesley, jak się tego spodziewał Simon. Skręcił w prawo. Simon przepuścił jeden samochód i pojechał za volvem. Czyżby Seed kierował się do autostrady A1? Północ czy południe? Stawiał na północ.

Jednak południe. To tyle, jeśli idzie o instynkt. Mijając za Seedem kolejne zjazdy z autostrady, Simon zdawał sobie sprawę z rosnącego prawdopodobieństwa, iż jego obiekt wybiera się do Londynu.

- Cholera - wymamrotał pod nosem.

Był dobrym kierowcą w każdym miasteczku, mieście, wiosce, w każdej części kraju, z wyjątkiem stolicy. Londyn jest inny, tamtejsi kierowcy kierowali się dziwnymi zasadami, jeśli w ogóle je mieli, Od egzaminu na prawo jazdy, który zdał w wieku siedemnastu lat, Simon uczestniczył w dwóch wypadkach samochodowych; obydwie zdarzyły się w centrum Londynu. Za każdym razem śledził podejrzanego i za każdym razem rozbijał swój samochód, tracąc obiekt z oczu. Nie dzisiaj, powtarzał sobie w duchu. Aidana Seeda nie zgubi.

Niecałe półtorej godziny później widział już drogowskazy na Highgate Wood i West End. Była piąta i robiło się ciemno. Świetnie.

Centrum Londynu w godzinie szczytu. Z punktu widzenia ruchu samochodowego nie mógł mieć większego pecha. Simon tak głęboko rozpaczał nad swoim losem, że nie zauważył, gdy Seed skręcił w lewo. Pędził dalej i musiał zawrócić. Seed wjechał w boczną ulicę odchodzącą od Muswell Hill Road. Jej nazwa zaczynała się na „R”. Jadąc z powrotem, Simon minął wjazd do Highgate Wood. Ruskington Road - to musiało być to. Skręcił w prawo. Pokonał połowę długości ulicy, gdy dostrzegł Seeda idącego w jego stronę. Przygotował się na konfrontację, ale Seed go nie zauważył. Szedł ze spuszczoną głową. Minawszy Seeda, Simon zatrzymał się i obserwował go w tylnym lusterku. Na końcu ulicy Seed skręcił w lewo.

Dlaczego wybrał Ruskington Road?, zastanawiał się Simon. Kiedyś mieszkała tu Olivia, siostra Charlie. Wyprowadziła się po tym, jak jej sąsiad z dołu, a w rezultacie i cały dom, pojawił się w

tandetnym popołudniowym programie telewizyjnym o nieruchomościach. Simon widział samochód Seeda zaparkowany kilka metrów dalej, po drugiej stronie jezdni, przed numerem dwadzieścia trzy - pomalowanym na biało, trzypiętrowym szeregowcu podzielonym na mieszkania. Światło widać było za zasłonami w jednym z okien piwnicy i w najwyższej lukarnie.

Czy Seed znał któregoś z mieszkańców tego lub jednego z okolicznych budynków?

Simon wysiadł z samochodu, zamknął go i pobiegł w kierunku Muswell Hill Road. Bał się, że nie zdąży, ale skręciwszy za róg, dostrzegł barczystą sylwetkę Seeda idącego w dół wzgórza. Simon podbiegł, by go dogonić. Udało mu się to dosyć szybko, ale uważał, by za bardzo się nie zbliżyć. Za każdym razem, gdy Seed przechodził obok latarni, błyszczące łąty na jego kurtce lśniły w sztucznym świetle. Simon poklepał się po kieszeniach. Zapomniał telefonu, zostawił go na fotelu pasażera. Cholera. W ciągu najbliższych trzydziestu minut Charlie będzie próbowała się z nim skontaktować. Od jakiegoś czasu potrafił przewidzieć, kiedy do niego zadzwoni. Podobało mu się to, że wiedział, co ona robi.

Seed skręcił z głównej drogi i szedł dalej mniejszą ścieżką dla pieszych, ale nadal w dół wzniesienia. Nie tylko on. Większość z dwudziestu kilku osób dzielących go od Simona podążało w tę samą stronę. Trasa okazała się skrótem do stacji metra Highgate.

Seed stanął z tyłu kolejki po bilety, a Simon skrył się za furgonetką sprzedającą kawę, koktajle mleczne i soki owocowe. Gdy Seed minął bramkę, Simon machnął swoją odznaką przed oczami stojącej obok barierek kobiety ubranej we fluorescencyjną kamizelkę.

- Wydział kryminalny. Szybko. - Przepuściła go, otwierając szeroko oczy, Pewnie teraz się martwi, że w metrze jest bomba, pomyślał Simon, ale nie miał czasu na wyjaśnienia.

Jeździła tamtędy tylko linia Północna, kierunek południowy lub północny. Na pewno południe, zgadywał Simon. W przeciwnym razie Seed dojechałby do samego celu samochodem, W High Bar - net czy Finchley było równie łatwo o miejsce do parkowania jak w okolicy Highgate i Muswell Hill. Nie widział już Seeda, więc miał nadzieję, że obstawił właściwy kierunek. Zamiast iść na południowy peron, został trochę z tyłu, czekając na pociąg. Słyszając, że nadjeżdża, ruszył naprzód i szybkimi krokami przemierzył peron.

Dostrzegł Seeda w grupce ludzi stłoczonych przy drzwiach do wagonu. Simon zdawał sobie sprawę z ryzyka: w każdej chwili Seed mógł się odwrócić i go zauważyć, ale co z tego? Żadne prawo nie zabraniało podróży do Londynu. Seed nie musiał się tłumaczyć przed Simonem i vice versa.

Na każdej stacji Simon wychylał się z wagonu, by sprawdzić, kto wysiadał. Seed nie wysiadł na Archway, Tufnell Park ani Kentish Town, choć pasażerów było tak wielu, że trudno było stwierdzić to z pewnością. Camden Town: nie, Mornington Crescent: nie. Leicester Square, domyślał się Simon. Ludzie przyjeżdżający do Londynu na wieczór na ogół kierowali się do West Endu. Co sobie myślał Proust? Że z Simona jest jakiś kmiotek, który dostaje zadyszki, jak tylko wyjeżdża poza granice Spilling? Co za palant.

Simon musiał się sprężyć, gdy wystawiwszy głowę na stacji Euston, zobaczył Seeda idącego wzdłuż peronu zgodnie z drogowskazami do wyjścia. Wyskoczył z pociągu i ruszył za nim. Euston... Co jest w Euston? Przeklinał się w duchu za nieumiejętność przewidzenia, co Seed zrobi.

Wyjechał za nim ruchomymi schodami na główną halę stacji Euston, gdzie było jak w ulu. Na środku hali stało kilkaset osób wpatrzonych w tablice informacyjne. Wokół tej masy wirowało kolejne kilkaset ciał - ci, którzy już wiedzieli, gdzie stoją ich pociągi, i ci, którzy wchodzili i wychodzili z tutejszych sklepów. Simon nie odrywał wzroku od błyszczących łat na kurtce Seeda i pilnował się, by nie znaleźć się w jego polu widzenia.

Seed wszedł do sklepu WHSmith i coś w nim kupił. Simon widział, że była to gazeta, ale nie dostrzegł tytułu. Co dalej? Przez główną halę stacji. Seed szedł zwawo, jak ktoś, kto dobrze wie, dokąd zmierza. Nie włókł się, nie kręcił bez celu po sklepach, jak wielu innych pasażerów. Miał wyraźny cel. To nie jego pierwszy wypad w te strony. Wypad dokąd? Simon nie był pewien.

Patrzył, jak Seed idzie do części gastronomicznej i podchodzi do jednego ze stanowisk. Po krótkiej rozmowie z kobietą ubraną w czerwony mundurek i czerwoną czapkę Seed przeszedł do kasy, zapłacił - najwyraźniej za nic - po czym zajął miejsce przy niewielkim stoliku, siadając plecami do Simona. Otworzył gazetę. Simon podszedł bliżej i dostrzegł tytuł: „Independent”. Jakies pięć minut

później kobieta w czerwonym uniformie przyniosła do stolika talerz z jedzeniem.

Simon żałował, że zostawił telefon w samochodzie. Zadzwoiłby teraz do Charlie. I co by powiedział? Ze Aidan Seed przyjechał na kolację do Euston? Zsikałaby się ze śmiechu.

Seed musiał dokądś jechać. Nikt nie jeździ ze Spilling do Londynu, żeby zjeść kolację w dworcowej jadłodajni. No tak, powiedziała by Charlie, nikt też nie przyznaje się do zamordowania kobiet, które nie są martwe.

Simon drżał z zimna - płaszcz też zostawił w aucie. Robił się też głodny. Aż jęknął, widząc, że Seed wstaje, by zamówić więcej jedzenia. Dwa pączki i kawę. Chciwy sukinsyn. Seed zajął znów miejsce przy stoliku. Najwyraźniej nigdzie mu się nie spieszyło.

W końcu o szóstej dwadzieścia pięć podniósł się z krzesła i przeciągnął. Wyszedł z części gastronomicznej bez swojej gazety i skierował się prosto do wyjścia ze stacji. Simon wyszedł za nim na Euston Road. Trzymał się nieco z tyłu, choć nie było takiej potrzeby: na chodniku tłoczyło się tyle ludzi śpieszących w obydwu kierunkach, że Seed musiałby mieć niezwykley fart, by dostrzec Simona, nawet gdyby spojrzał w jego stronę.

Simon przeszedł na drugą stronę ulicy, wpatrując się nieustannie w lśniącą kurtkę przed sobą. Nadchodząca z naprzeciwka kobieta zderzyła się z nim, uderzając swoim barkiem w jego ramię. Simon wymamrotał przeprosiny, lecz kobieta nie zareagowała, choć to ona zawiniła. Nie mógł uwierzyć, jak nieuprzejmi są niektórzy ludzie. Szybko sobie uświadamiając, że jego umysł dryfuje, odepchnął od siebie tę myśl.

Czarna kurtka zniknęła. Jak Seed mógł się zapaść pod ziemię? Chodnik był zatłoczony, ale nie aż do tego stopnia. To niemożliwe, by Simon stracił swój obiekt z oczu w ułamku sekundy, w którym myślał o tej przeklętej kobiecie.

Dwoje ludzi idących przed nim, mężczyzna i kobieta, skręciło w prawo i obeszło szeroki budynek z dużymi oknami rozmieszczonymi symetrycznie wzdłuż fasady, Simon spojrzał w tamtą stronę, bo była to jedyna możliwość. Skoro Seed nie szedł przed nim, za nim ani po drugiej stronie ulicy...

Zobaczył go, jak wchodzi przez boczne drzwi u szczytu betonowych schodów. Seed zatrzymał się, widząc mężczyznę i

kobietę, powiedział im „Dzień dobry”, lecz nie było to przywitanie przyjaciół, pomyślał Simon. Znali się, ale nie za dobrze.

Gdy wszyscy troje zniknęli w środku, Simon zbliżył się do drzwi i zobaczył, że są lekko uchylone. Zajrzał do szerokiego, pustego foyer z recepcją po jednej stronie i kasą po drugiej. Za głównym holem ciągnął się korytarz prowadzący do następnych drzwi. Zamkniętych. Wisiał na nich plakat, którego napisu Simon nie mógł dostrzec, a obok stał stolik pokryty ulotkami, książkami i pastelowymi broszurkami.

W pewnej chwili minęli Simona trzej starsi mężczyźni z długimi, potarganymi włosami i zmierzwionymi brodami. Wchodząc do środka, zostawili za sobą zapach zatęchłego potu pomieszany z wonią alkoholu. Bezdomni, pomyślał Simon. Gdy weszli do środka, Simon się ruszył. Na plakacie wiszącym na drzwiach na drugim końcu korytarza było napisane „Droga Kwaków”.

„Ścieżka duchowa na nasze czasy”, głosił plakat. „W każdy poniedziałek, Dom Przyjaciół, Euston, 18:30. Zapraszamy wszystkich”. Na dole widniał adres strony internetowej: www.quakerquest.org. Simon wziął ze stolika ulotkę, która stanowiła miniaturową wersję plakatu, ale zawierała więcej tekstu. „Czy szukasz ścieżki rozwoju duchowego, która jest łatwa, radykalna i współczesna? Kwakrowie rozumieją twoje potrzeby. Oferujemy serię sześciu otwartych spotkań, podczas których omówione zostaną takie tematy, jak równość, pokój, Bóg, praktyka duchowa i wiara w działanie. Będziemy dzielić się osobistymi i zbiorowymi doświadczeniami poprzez prezentacje, dyskusje, pytania i doświadczenie praktyki kwaków”.

Simon rzucił okiem na tytuły książek: Światło, które świeci, Cudowny fakt kultu kwaków, Bóg jest ciszą. Spojrzał na zamknięte drzwi. Po dobiegających ze środka dźwiękach domyślił się, że w sali dyskutuje ze sobą jakieś dwadzieścia, może trzydzieści osób. Co parę chwil Simon czuł zapach jajek. Czyżby jedli kanapki? To dlatego przyszli tu trzej bezdomni? Dla darmowego jedzenia?

Simon wziął do ręki broszurę zatytułowaną Porady i zapytania: Doroczne Spotkanie Religijnego Stowarzyszenia Przyjaciół (Kwaków) w Wielkiej Brytanii. Książeczka zawierała akapity wypełnione duchową mądrością, ponumerowane od jednego do czterdziestu dwóch. Poniżej czterdziestego drugiego akapitu był cytat z niejakiego Georgea Foksa, datowany na rok 1656, dotyczący

świecenia ludziom dobrym przykładem i radosnego życia z Bogiem. Simon przerzucał kartki, czytając co krótsze fragmenty. Numer jedenasty go rozgniewał: „Bądź wobec siebie szczery. Jakież to trudne do przełknięcia prawdy ci umykają? Gdy odnajdziesz w sobie jakieś wady, nie pozwól, by ci podcięły skrzydła. Wspólne czczenie Boga zapewnia nas o Jego miłości i daje nam siłę, byśmy szli dalej naprzód z nieślabnącą odwagą”.

Nie pozwól, by wady podcięły ci skrzydła? Ani słowa o tym, co zrobić z tymi wadami, jak się ich pozbyć lub zamienić na szlachetniejsze cechy charakteru. Pierwszy raz w dorosłym życiu Simon zateśknił za swoim młodzieńczym katolicyzmem.

Stał bez ruchu na korytarzu i nasłuchiwał. Panujący za drzwiami harmider stopniowo ucichł i zaczęła przemawiać jakaś kobieta. Zwyczajowe powitanie, plan na wieczór - Simon słyszał prawie wszystko. Zmarszczył brwi, słysząc nazwisko Franka Zappy. Uznał, że się przesłyszał. A jednak nie, znowu się pojawiło. Kobieta pytała, czy wszyscy słyszeli o Franku Zappie. Przedziwne. Z tego, co Simon słyszał, nikt nie powiedział, że nie zna Zappy, ale mimo to kobieta wyjaśniła, o kim mowa.

- Pan Zappa podobno radził kiedyś: „Jeśli chcesz się skontaktować z Bogiem, dzwoń bezpośrednio” - powiedziała do publiczności.

Kilka osób się zaśmiało. Teraz odezwał się męski głos:

- My, Przyjaciele, zgadzamy się z panem Zappą. Bóg nie potrzebuje pomocy człowieka w jedwabnym stroju proszącego was o pieniądze, Kwakryzm to wiara oparta na doświadczeniu. Ufamy tylko temu, czego sami doświadczyliśmy. Kwakrzy mają kontakt z Bogiem bez pośredników - innymi słowy, łączymy się z nim bezpośrednio. Nie mamy świętej księgi, kościołów ani duchownych, żadnego oficjalnego wyznania wiary i nie używamy zawsze tych samych słów. Mamy inne sposoby na definiowanie swojego doświadczenia tej potężnej „inności”. „Boskość” to jedno, a „Bóg” drugie. „Światło”...

- Może pan wejść. - Simon odwrócił się i stanął twarzą w twarz z pracownikiem ochrony, starszym mężczyzną o zapadniętej klatce piersiowej. - Zawsze ktoś się spóźnia.

- Tu mi dobrze.

- Jak pan chce. Ale oni nie gryzą. - Ochroniarz zaczął odchodzić.

- Dzieje się tu dzisiaj jeszcze coś innego? - zawołał za nim Simon.
- W tym budynku?

- Nie. Tylko Droga Kwaków.

Simon mu podziękował. W takim razie nie było wątpliwości: Aidan Seed siedział w tej sali. Człowiek, który patrzył Simonowi prosto w oczy i zapewniał, że wierzy wyłącznie w materialny świat, w fakty i dowody naukowe.

Upewniając się, że ochroniarz go nie widzi, Simon uchylił lekko drzwi, robiąc dostateczną szczelinę, by dogodnie przez nią obserwować zebranie. Zobaczył krzesła ustawione w półkoliste rzędy i plecy słuchających - niektóre wyprostowane, inne zgarbione. Seed siedział na środku pierwszego rzędu. Simon nie mógł widzieć jego twarzy.

Za rzędami krzesel widać było głowę i klatkę piersiową kobiety, która wspomniała o Franku Zappie. Mówiła teraz o czymś, co określała „posługą słowa”. Była młoda, młodsza od Simona. Miała ładną, lalkowatą twarz, która go zaskoczyła. Zmarszczył brwi. Czyżby spodziewał się, że wszyscy uczestnicy Drogi Kwaków okażą się brzydzy jak noc? Miała kasztanowe, lśniące włosy z przedziałkiem pośrodku, upięte w kucyk. Przypominała trochę Oliwkę z kreskówek z Popeye'em, ale wydawała się od niej znacznie atrakcyjniejsza. Ubrana była w niebieską bluzę, a na jej szyi wisiała prostokątna, niebieska odznaka z plastiku z dużą, białą literą K.

Drugi mówca, mężczyzna, miał taki sam uniform. Był łysy, gruby i spocony. Gdy kobieta skończyła mówić, przejął pałeczkę, by opisać, czym dla niego jest kult.

- To pod każdym względem wyrzutnia - powiedział - która wystrzeliwuje mnie w świat. - Wypowiedziawszy swoją kwestię, zrobił krok w tył i stał z uśmiechem na ustach.

- Gdy wszystkie stałe centra zebranych osób spotykają się na środku, nazywamy to „spotkaniem zbiorowym” - powiedziała dziewczyna Popeye'a. - Spotykając się, mamy szansę poznać w sobie nawzajem to, co wieczne. Ale... - zrobiła pauzę i zachichotała, jakby właśnie przypomniał się jej sprośny dowcip. Simon pomyślał o komentarzach, które czyniłby pewnie Sellers, gdyby tu z nim przyszedł. Chciałbym się spotkać z twoim stałym centrum, malutka. Itp.

- Wracając na chwilę do kwestii posługi słowa: miałam pewną zabawną przygodę, którą wam opowiem, choć jest dla mnie nieco kłopotliwa - powiedziała kobieta. - Czasami w ciszy i bezruchu człowiek zaczyna dostawać takie niby wiadomości. Niektórymi można się dzielić z przyjaciółmi, inne są przeznaczone tylko dla nas. Z czasem uczymy się odróżniać jedne od drugich, ale bywa, że przychodzi do nas wiadomość, która zdaje się nas lekko drażnić.

Chichot, który przebiegł wśród słuchaczy, miał w sobie sporą dozę zrozumienia. Najwyraźniej na sali było sporo osób, które dostawały drażniące wiadomości od... jak to nazwał ten spocony koleś? Potężna Inność. Palanty, pomyślał Simon, nim zdążył się powstrzymać. Postanowił być bardziej tolerancyjny i wyrozumiały, jak tylko wyjdzie z tego przekłętą zebrania.

- Pewnego dnia, idąc na spotkanie, byłam mocno rozgorączkowana i poruszona. Rano miałam głupią kłótnię ze swoim chłopakiem - ciągnęła Oliwka - Przyłapałam go na myciu sztućców i wkładaniu ich do szuflady bez wycierania. Jak mi powiedział, że nie ma sensu ich wycierać, bo i tak same wyschną, wpadłam w szał. Podczas spotkania tego samego dnia zaczęłam słyszeć głos w swojej głowie. Mówił mi: „Sztućce nie są wieczne” - Zaśmiała się, a wraz z nią śmiała się publiczność. - Wiedziałam, że tą wiadomością nie powinnam się dzielić, że to prywatny żart pod moim adresem. Byłam za niego niezwykle wdzięczna. To nie przypadek, że „wdzięczność” i „wieczność” brzmią tak podobnie.

Jej rozpromieniony wyraz twarzy przyprawiał Simona o mdłości. Rozległy się brawa. Simon zobaczył i usłyszał dostatecznie dużo. Miał już się wycofać, gdy zauważył, że Aidan Seed obraca się w krześle. Nie bił brawa, jak inni. Był jedyną osobą, która nie brała udziału w owacji.

Seed sprawiał wrażenie zbrzydzonego. Nawet ze znacznej odległości, z profilu i przez ledwie uchylone drzwi nie sposób było pomylić odrazy rysującej się na jego twarzy z jakimkolwiek innym uczuciem.

- Nie należysz do nich - wyszeptał pod nosem Simon. - Nigdy nie będziesz jednym z nich. Więc co tu robisz?

Nie spodziewał się odpowiedzi ani od Seeda, który go nie słyszał, ani od wyższego bytu, jakkolwiek chętnego przekazać mu poufną wiadomość. Nie zdziwił się więc, gdy jej nie usłyszał.

Wyszedł na zewnątrz, zatrzymał taksówkę i kazał kierowcy zabrać go z powrotem do Muswell Hill przy Ruskington Road.

Charlie patrzyła, jak drzwi warsztatu Seed Art Service otwierają się z powolnym skrzypieniem. Kilka sekund później Ruth Bussey wystrzeliła z ciemnego wnętrza, jakby ktoś ją z niego wypchnął. Miała japonki na gołych stopach - bez skarpetek czy pończoch - i ciągle utykała. Charlie nie przestawała się zastanawiać, po co ktoś miałby udawać, że skręcił kostkę.

Pospieszyła w stronę Ruth, chcąc złapać ją, zanim ta wsiądzie do auta. Nie dbała przy tym o to, jak oczywiste będzie, że wyszła z krzaków nad rzeką, gdzie mogła zajmować się tylko jednym: szpiegowaniem.

- Ruth!

Ruth odwróciła się z głośnym jękiem, po czym oparła się bezwładnie o swojego passata, przyciskając dłoń do klatki piersiowej.

- Pukałam i pukałam - powiedziała Charlie. - Od wpół do szóstej. Ale ty o tym wiesz, prawda? Cały czas byłeś w środku, siedząc w ciemnościach za zamkniętymi drzwiami.

- Myślałam - wytłumaczyła się Ruth. Jej głos zanikał w mroźnym wietrze, który zakrywał jej twarz kosmykami włosów. - Próbowałam podjąć jakąś decyzję.

- Udało się?

- Tak. - Po spuchniętych powiekach i spierzchniętej górnej wardze nietrudno było poznać, że istotną rolę w tym procesie odegrał płacz. - Nie byłam z panią całkiem szczerą i donikąd mnie to nie zawiodło. Sądziłam, że mnie pani wyśmiej, jeśli powiem całą historię.

- Gdzie jest Aidan? - spytała szorstko Charlie. Czego się spodziewała ta głupia gęś? Kolorowej kartki z napisem „Dziękujemy za zaprzestanie kłamstw”?

- Nie wiem, gdzie jest ani kiedy wróci. Nie jestem świadoma wielu innych rzeczy, ale jestem gotowa powiedzieć wszystko, co wiem, jeśli mi pani pomoże. Musi mi pani pomóc. - Ruth chwyciła Charlie za rękę - Powiedział, że ją zabije.

- Co takiego? - Podobnych słów nie można zignorować, choćby wypowiedziała je najmniej wiarygodna osoba na świecie, pomyślała Charlie, a Ruth Bussey mogła być taką osobą. - Kto powiedział, że kogo zabije?

- Aidan. Mary. Nazwał ją „tą suką”. Nie ma go w Manchesterze. Dzwoniłam do Jeanette w City Art Galery. Nie było go tam w zeszły weekend...

- Zwolnij, Ruth. Gadasz bez sensu.

Ruth cała się trzęsła pod swoją pogniecioną, białą koszulą. Charlie miała jej płaszcz w bagażniku audi.

- Zostaw swój samochód - powiedziała. - Zawiozę cię do domu i tam porozmawiamy.

Tak czy inaczej, zamierzała dostać się do środka tej przeklętej kordegardy. Cały dzień wkurzała ją myśl o Malcolmie Fentonie zagradzającym jej drogę.

- Jestem śledzona - powiedziała Ruth, gdy obie z Charlie szły do jej auta. - Nie, to nie to. Nie śledzona. Nie chodzi za mną, gdy wychodzę do miasta, ale mijają ciągle mój dom. Z czarnym labradorem na smyczy. - Zaczawszy w końcu mówić, zdawała się niezdolna do przerwania, słowa wypływały z jej ust monotonnym strumieniem, jakby pragnęła jedynie wreszcie się ich pozbyć. - Pierwszy raz zauważyłam go w czerwcu. Codziennie tam był. Potem zniknął na całe miesiące. Myślałam, że przestał mnie śledzić, lecz wczoraj znowu się pojawił. Mogę go pani pokazać, nagrałam go na taśmę. Dzisiaj rano też go widziałam. Aidan twierdzi, że on po prostu wychodzi z psem na spacer. Niecierpliwi się, gdy o nim mówię, nazywa mnie paranoiczką, ale on go nigdy nie widział, nie wie, jak ten człowiek patrzy na mój dom.

Charlie przystanąła. Musiała się zatrzymać, żeby nic jej nie ominęło. Ruth ledwie się ruszała i wreszcie przestała się trząść. Zdawała się nieświadoma chłodu.

- Czy ten mężczyzna kiedykolwiek ci groził? Podchodził do ciebie albo do domu?

- Nie.

- Czy to nie normalne, że ludzie idący przez park patrzą na twój dom? To nietypowy budynek. Sama wielokrotnie go oglądałam i zastanawiałam się, kto w nim mieszka.

- Mówi pani jak Aidan. On twierdzi, że wszyscy, którzy wchodzą lub wychodzą przez bramę parku, patrzą na kordegardę. Ma rację - niemal wszyscy to robią. Ale ten mężczyzna patrzy inaczej.

Aidan Seed, głos rozsądku, pomyślała Charlie. Jeśli nie liczyć tej drobnostki, że uważa się za mordercę żyjącej kobiety.

- Na głowie nosi czerwoną czapkę z wełny z pomponem na czubku. Nawet latem. To nie jest normalne.

- Nie jestem pewna, czy normalność istnieje - odparła Charlie. Na pewno nigdzie w bezpośrednim sąsiedztwie twojej osoby, mogłaby dodać.

Ruth gapiła się w przestrzeń szeroko otwartymi oczyma.

- Nosi tę czapkę, bo nadaje mu głupi, komiczny wygląd. Żaden człowiek, który tak się ubiera, nie może być groźny, tak mam myśleć.

- Ruth, jaka jest dzisiaj temperatura? Ty masz na sobie klapki bez skarpetek, bez pończoch. Jesteś chodzącym dowodem na to, że można się dziwnie ubierać, a mimo to nikogo nie śledzić. - Charlie nie była zła, jak mogło się wydawać, ale pewna gwałtowność sformułowań była potrzebna w walce z irracjonalnym strachem Ruth Bussey. Czy Ruth była zdrowa na umyśle? A Aidan Seed? Gdyby tylko w obu wypadkach odpowiedź brzmiała „nie”, wszystko stałoby się jasne.

Z wyjątkiem zachowania Mary Trelease. „Nie mnie”, powiedziała Mary, gdy Charlie zrelacjonowała jej zeznania Aidana, w których twierdził, że ją zabił. Oczywiście Charlie spytała, czy chce przez to powiedzieć, że zabił kogoś innego. Mary zaprzeczyła - „po prostu twierdę, że ponad wszelką wątpliwość nie jestem martwa” - ale Charlie coś się nie podobało. Wyraz twarzy Mary...

Ten mężczyzna patrzy inaczej.

Charlie skłamałaby, mówiąc Ruth, że samo tylko spojrzenie nie może stanowić powodu do podejrzeń, choć akurat w wypadku mężczyzny w czerwonej czapce sądziła, że nie ma się czym przejmować.

- Ja nigdy nie noszę skarpetek - rzekła Ruth. - Rodzice całe życie kazali mi nosić skarpetki i kamizelki. Mieli obsesję na punkcie utrzymywania temperatury ciała. Nasz dom był jak piekarnik, przez cały rok ogrzewany centralnie i piecykami gazowymi. - Zaczęła dzwonić zębami.

Charlie musiała nacisnąć guzik w breloczku dwukrotnie, nim kierunkowskazy zamrugały: otwarte. Bateria w pilocie była bliska rozładowania. Od dawna planowała kupić zapasową i włożyć do schowka, ale w końcu nigdy się tym nie zajęła. Otworzyła bagażnik i podała Ruth jej płaszcz.

- Może rodzice faceta z labradorem nie pozwalali mu nosić wełnianych czapek, nawet w zimie - powiedziała.

Ruth się nie uśmiechnęła.

Gdy siedziały już w aucie i jechały do domu Ruth, Charlie zapytała:

- Powiesz mi, dlaczego miałaś w kieszeni artykuł na mój temat?

- Przeszukała pani moje kieszenie. Wiedziałam, że to pani zrobi. - Ruth zdawała się kurczyć. - Przykro mi z powodu tego... co się pani przytrafiło. To musiało być straszne. Na zdjęciu wygląda pani na załamana.

- Nie będziemy rozmawiać o mnie - odparła stanowczo Charlie.

- To dlatego w piątek czekałam właśnie na panią. Byłam w takim stanie, że nie mogłabym rozmawiać z nikim innym. Wiedząc, przez co pani przeszła, sądziłam, że mnie pani zrozumie.

- Przykro mi, jeśli cię zawiodłam.

Charlie myślała o sekwencji wydarzeń: artykuł został wydrukowany, w 2006 roku, podobnie jak kilkaset innych tekstów we wszystkich gazetach kraju, z rozkoszą rozwodzających się nad najdrobniejszymi detalami incydentu, który w tamtym czasie wydawał się jej końcem życia. Aidan Seed o zamordowaniu Mary Trelease powiedział Ruth w grudniu 2007 roku. Czy Charlie miała uwierzyć, że Ruth wycięła ten artykuł z ponadrocznym wyprzedzeniem, trzymając go w szufladzie na wypadek, gdyby w niedalekiej przyszłości musiała spotkać się z wrażliwym na ludzkie cierpienie oficerem policji? Nie mogła o to zapytać, nie pokazując jednocześnie, jak bardzo jest wzburzona. Poczwała nagłą potrzebę oddalenia rozmowy od tej kwestii, nawet jeśli ceną za ten manewr miała być niewiedza. Powiedziała szorstko:

- Jestem wyrozumiała w sprawach, które mogę pojąć. Wybacz, że jestem posłańcem niosącym „niewygodną informację zwrotną”, jak to nazywamy w policji, ale wasze zachowanie z Aidanem jak dotychczas nie ma najmniejszego sensu. Może nawet osiągnęło już ujemną wartość na skali niedorzeczności.

Ruth skręcała dłonie, trzymając je między nogami. Milczała. Jechały przez centrum miasta. We wszystkich witrynach sklepów przy High Street widać było skomplikowane instalacje z jajek wielkanocnych.

- Czy coś się zmieniło? - zapytała Charlie. - Co miałaś na myśli, mówiąc, że Aidan groził zabiciem Mary? Myślałam, że zabił ją dawno temu.

- To nie była groźba - odparła Ruth. - Zapytał mnie, czy według mnie możliwe jest przepowiadanie przyszłości. Gdy powiedziałam mu, że na pewno nie jest możliwe, wmawiał mi, że to jedyne wytłumaczenie: wszyscy przekonują go, że Mary Trelease żyje, a tymczasem jego pamięć o tym, jak ją zabijał, jest tak żywa. Skoro to nie wspomnienie, to...

- Przeczucie? - spytała Charlie znużonym głosem. - Nie spodoba ci się ta sugestia, ale może Aidan wygaduje te wszystkie dyrdymały tylko po to, żeby cię wystraszyć? Odtrącić? Złe przeczucia, morderstwa, których nie było...

- Nie wiem. Nie sędzę. Wątpię, by umiał symulować ten strach, który widziałam w jego oczach. Był przerażony tym, co może zrobić. Kazał mi pojechać do domu Mary i namówić ją, by wyjechała w miejsce, w którym jej nie znajdzie. - Charlie czuła na sobie spojrzenie Ruth. Wyczekujące, pełne nadziei na wytłumaczenie, którego Charlie nie potrafiła jej dać. Chyba że to Ruth, a nie Aidan, udaje strach. - Przynajmniej oznacza to, że nie jest u niej.

- Jak to?

- Niedawno myślałam, że masz rację. Ilekroć Aidan nie wracał na noc do domu, zastanawiałam się, czy jest z nią. Wyobrażałam sobie, że we dwójkę spiskują, by doprowadzić mnie do obłądu. Wiedziałam, gdzie ona mieszka. Mogłam tam pojechać, ale się nie odważyłam. Bałam się, że go u niej znajdę. Gdyby do niej jeździł, chyba nie namawiałby mnie, żebym też ją odwiedziła?

Charlie zamknęła oczy, po czym otworzyła je znowu, przypominając sobie, że prowadzi samochód. Jak trudno byłoby ustawić kilku mundurowych przed Megson Crescent 15? Nawet gdyby się jej udało, tego rodzaju ochrona musiałaby być uzasadniona. Charlie podejrzewała, że mogłaby zdobyć najwyżej dzień, ale czy takie zamieszanie warte było zachodu? I na co by się to zdało, gdyby Aidan Seed wybrał następny dzień na spełnienie swojej obietnicy, wizji, czegokolwiek?

Ruth płakała.

- Ciągle się boję - powiedziała. - Boję się, że coś się stanie, ale nie wiem co. To nic konkretnego. Nie uważam, że Aidan kogokolwiek zabił ani że to zrobi i pójdzie do więzienia. Mogłabym z tym żyć.

- Wymieniasz rzeczy, których się nie boisz - zauważyła Charlie. - Nam bardziej by pomogło, gdybyś skupiła się na tych innych.

Ruth skubała naskórek wokół paznokci.

- Coś tak strasznego, że nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić. Nie śmierć. Jest wiele znacznie gorszych rzeczy.

Słowo „wiele” Charlie uznała za przesadzone.

- Wiem tylko, że jest jakieś zagrożenie i że... że się zbliża.

- Posłuchaj mnie, Ruth. Nie jedź do Mary. Czy jest jakieś miejsce, w którym...?

- Aidan powiedział jeszcze coś, gdy mówił mi o wizjach zdarzeń, które dopiero nastąpią. Obraz, który dała mi Mary, ten który Aidan rzekomo dał na biednych, nazywa się Abberton. Taki ma tytuł. Aidan twierdzi, że to pierwsza część serii. Powiedział, że będzie ich dziewięć, ale Mary jeszcze ich wszystkich nie namalowała. Wymienił nazwy pozostałych: Blandford, Darville, Elstow, Goundry, Heathcote, Margerison, Rodwell, Winduss. Powiedział to, żeby udowodnić, że widzi przyszłość.

Charlie nie miała pojęcia, jak na to zareagować. Słyszając, jak Ruth wymienia tytuły w kolejności alfabetycznej, poczuła się nieswojo. Osiem tytułów nienamalowanych jeszcze obrazów? To wszystko dodatkowo komplikowało całą sytuację, wynosząc ją ponad poziom zwykłej groźby: Powiedz jej, że ją zabiję.

- Mężczyzna, z którym jesteś zaręczona - odezwała się Ruth. - Kochasz go bezwarunkowo? Wybaczyłabyś mu wszystko?

Charlie poczuła się zaszczuta. Skąd dzisiaj u wszystkich ta ciekawość jej związku z Simonem? Najpierw Mary, teraz Ruth.

- Nie ma pani pojęcia, jak bardzo kocham Aidana. Gdyby ta miłość umarła, zostałabym z niczym. Ale to nie znaczy, że jest bezwarunkowa. - Ruth spojrzała na Charlie, która czuła teraz na twarzy jej ciężki oddech. - Gdy powiedział mi, że zabił Mary Trelease, nie zachowałam się najlepiej.

- A kto by się dobrze zachował? - odparła Charlie. Bezwarunkowo? Tak. Wybaczyć wszystko? Na pewno nie, nie każde wykroczenie. - Miłość nie oznacza odpuszczania każdej winy - powiedziała, zadowolona ze swojej kompromisowej odpowiedzi.

- Właśnie że tak - zaprotestowała gorąco Ruth. - Oznacza, a ja nie wiem, czy jestem do tego zdolna. Boję się prawdy, ale jeśli jej nie poznam, to do końca życia będę się zamęczać wyobrażaniem sobie najgorszego. Co się stanie, gdy dowiem się czegoś, co zabije - moją miłość do Aidana? Wtedy będę wiedziała na pewno, że nie jestem nic

warta, że nie ma we mnie dosyć miłości, by komukolwiek wybaczyć. Wszystko będzie skończone. Wszystko.

Charlie niemal się uśmiechnęła. Spędzając z tą kobietą więcej czasu, w końcu, przez kontrast, zacznie uważać siebie za niepoprawną optymistkę.

Ruth zamknęła oczy i potarła dłonią kark.

- Zapytała mnie pani - powiedziała smutnym głosem, który ledwie było słycać. - Właśnie tego się boję.

Salon w Blantyre Lodge nie był mały, ale takie sprawiał wrażenie przez nadmierną liczbę sprzętów. Podczas gdy Ruth parzyła herbatę w kuchni, Charlie zaczęła sporządzać w głowie inwentarz. Zastanawiała się, jak duży był dom Ruth w Lincoln, że bez trudu to wszystko pomieścił: książki, lampy, lustra, świece, czasopisma ogrodnicze, sześć niewielkich, perskich dywanów, więcej egzotycznych roślin niż w ogrodzie botanicznym. Była tam też deska do prasowania, drabiny i suszarka do ubrań. Na małej sofie leżały trzy narzuty i osiem haftowanych poduszek. Jedna z nich była złota i miała wyhaftowane dwa zielone buty, z których wystawały kawałki tkaniny przedstawiające różowe łydki. Jakie dziwne, pomyślała Charlie - tyle wysiłku w stworzenie wzoru, a efekt wygląda, jakby komuś obcięło nogi nad kostkami.

Wciśnięte pomiędzy drugą kanapą a oknem stało staromodne biurko z ciemnego drewna - na nim komputer - a obok, o dziwo, ławka ogrodowa przypominająca te, w które są wyposażone wszystkie ogródki piwne: do połowy ciemnozielona, a w połowie z czystego drewna. Na dokładkę był tam też okazałych rozmiarów fotel z uszakami. Całą jedną ścianę pokrywały drewniane półki służące za gablotkę dla ceramiki, kamiennych figurek, kilku zestawów rosyjskich lalek, dziwnych drewnianych kształtów, głów jeleni, lwów i orłów wykonanych z cienkiego, srebrnego i złotego drutu oraz mnóstwa kolorowych rzeźb z plastiku, które były prawie rozpoznawalne - jako kwadraty, koła i trójkąty - ale każda na końcu stawała się abstrakcyjna, jakby nie miała już ochoty być zwykłym kształtem i przybierała nieokreśloną formę. Gdyby Ruth uznała, że musi kupić jeszcze jeden metalowy model króliczej głowy, nie miałaby gdzie go postawić. Wyglądało to tak, jakby właściciel gmaszyska z ośmioma łazienkami z dnia na dzień został zmuszony do przeprowadzenia się ze wszystkimi rzeczami do mniejszego domu.

Na ścianach wisiało co najmniej trzydzieści obrazów, głównie małych, choć ze dwa były ogromne i według Charlie powinny raczej zawisnąć nad kominkiem jakiejś sali balowej.

Największy z obrazów wprost uderzał nieprzystępnością i rozmiarem. Oprawiony był w prostokątną, połączoną ramę, z której rogów wystawały cztery mniejsze prostokąty. Przedstawiał kobietę z długimi, ciemnymi włosami, ubraną w białą sukienkę. Kobieta patrzyła ze spokojem, ale w środku jej sukienki był otwór, z którego wyzierała wykrzywiona w grymasie twarz gapiąca się z otwartymi ustami.

Charlie się wzdrygnęła i szybko skoncentrowała uwagę na mniej niepokojącym obrazie dużego byka z kanciastą sylwetką, stojącego przed dzwonnica z różowego kamienia. Ruth weszła do pokoju, niosąc dwa kubki herbaty. Charlie wolałaby podwójną wódkę.

- Ta rama imituje witki brzoźowe - powiedziała Ruth, widząc, że Charlie ogląda byka. - Widzi pani wzór? Aidan powiedział mi, że jest oparty na rzymskim symbolu władzy: różgach związanych wstążką. Osobno słabe, razem silne. Mówił, że on i ja jesteśmy tacy sami.

- To Aidan kupił ci wszystkie te obrazy? - spytała Charlie.

- Nie. Sama je kupiłam, ale Aidan oprawił. Niektóre na nowo. Uważa, że większość obrazów nie jest właściwie oprawiona. - Ruth przysiadła na krawędzi jednej z kanap.

Charlie nie chciała siadać. Przejęcie, z jakim mówiła Ruth, nie było dla niej przyjemne. To samo czuła na myśl, że prędzej czy później będzie musiała znowu spytać ją o artykuł z gazety. Wyczuwała, że przy odrobinie nalegania Ruth w końcu jej odpowie i bała się tej odpowiedzi. Im dłużej się tym martwiła, tym mniej wierzyła w istnienie jakiegoś niewinnego powodu, dla którego Ruth nosiła wycinek w kieszeni.

- Powiedz mi o tym, jak straciłaś pracę w Spilling Gallery.

- Mary pani nie mówiła?

- Niezupełnie. Dała tylko do zrozumienia, że to ona zawiniła. Ruth pokręciła głową.

- To była moja wina - powiedziała ze smutkiem. - Niepotrzebnie... - przerwała. - Czy kiedykolwiek żałuje pani, że nie zrobiła niemal wszystkiego na odwrót?

Innej osobie Charlie odpowiedziałaby bez zająknięcia „tak”, ale Ruth już i tak wiedziała na jej temat zbyt wiele.

- Opowiedz mi o tym - rzuciła sucho. - Jeśli chcesz, żebym ci pomogła, powiedz mi wszystko, co w piątek przemilczałaś.

Ruth spuściła wzrok. Przez chwilę Charlie zdawało się, że odmówi, ale w końcu zaczęła:

- Mary zjawiała się pewnego dnia w galerii. Wtedy nie wiedziałam, jak się nazywa. Dowiedziałam się znacznie później.

To już było coś.

- Miała ze sobą obraz, swój własny. Chciała, by Saul, mój szef, go oprawił. Z tyłu było napisane drukowanymi literami: „Abberton”. Była na nim jakaś... jakaś osoba, sylwetka bez twarzy, Nie dało się stwierdzić płci. Widoczny był tylko zarys: głowa, ręce...

- Wiem mniej więcej, jak jest zbudowane ludzkie ciało - powiedziała Charlie. Czyli nie było żadnego penisa wystającego z płótna, pomyślała.

- Spytałam, kim jest Abberton, a Mary nie chciała odpowiedzieć. Rozgniewała się. Chciałam kupić ten obraz, ale ona odmówiła sprzedania mi go, a gdy spytałam... - Ruth odstawiła kubek i zakryła dłońmi twarz. Po kilku sekundach podjęła: - Przepraszam. Gdy spytałam, czy mogę kupić inny z jej obrazów, nie Abberton, odparła, że nie.

- Kiedy to było? - zapytała Charlie.

- W czerwcu zeszłego roku. Zaatakowała mnie, fizycznie. Wybiegłam z galerii i już nigdy tam nie wróciłam. Potem znalazłam nową pracę i...

- Zaczekaj... Potem jeszcze widziałaś się z Mary, prawda? Byłaś u niej w domu. Pytałaś jeszcze raz, kim jest Abberton? - Jaki był związek między Abbertonem a ośmioma innymi nazwiskami wymienionymi przez Aidana? Dziewięć osób znanych Aidanowi i Mary?

- Nie. - Ruth się trzęsła.

- Dlaczego? Zakładam, że wasze stosunki się polepszyły. Mary powiedziała mi, że próbuje cię namówić do zapozowania.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jeśli ktoś tytułuje obraz nazwiskiem, a maluje jedynie zarys sylwetki, to co to oznaczają? - Charlie odniosła wrażenie, że było to pytanie, które Ruth zadała sobie nie po raz pierwszy, - Ktoś taki z pewnością ma jakieś bolesne, problematyczne skojarzenie z tą osobą, coś, o czym woli zapomnieć.

- Oglądałam dzisiaj rano jej obrazy i nie widziałam żadnych zarysów - odparła Charlie. - Głównie ludzi z twarzami.

- Chodzi pani o obrazy na ścianach? Te z rodziną?

- Czy to rodzina Mary?

- Nie - odrzekła Ruth. - Sądzę, że to ludzie, którzy dawniej mieszkali w jej domu.

Charlie zastanawiała się, po co Mary tyle razy ich malowała. Wspomniała coś o nawyku malowania bliskich osób. Jak fundowanie sobie załamania nerwowego.

- Są wspaniałe, prawda? - powiedziała Ruth. - Widziała pani ten z chłopcem piszącym długopisem na ścianie?

- Nie. A gdzie on wisi?

Ruth ściągnęła brwi, próbując sobie przypomnieć.

- W jednym z pokoi na parterze.

Przed wejściem na piętro Charlie widziała jedynie kuchnię i hol.

- Co ten chłopiec pisał?

- „Joy Division”. Nie wiem, co to znaczy.

- Love Will Tear Us Apart - wyrwało się instynktownie Charlie.

- Co takiego? - Ruth się wystraszyła. - Dlaczego to pani powiedziała?

- To tytuł najsłynniejszej piosenki Joy Division. Tylko nie proś mnie, żebym ci ją zaśpiewała.

Ruth milczała. Miała wyraz twarzy osoby zapędzonej w ślepy zaułek.

- Joy Division to nazwa zespołu - odezwała się Charlie, starając się uniknąć pogardy w głosie. - Nigdy o nich nie słyszałaś?

- Jako nastolatka nie słuchałam muzyki pop. Wszyscy moi znajomi oglądali MTV, ale w naszym domu było to właściwie zabronione.

- Jak to „właściwie”? Ruth westchnęła.

- Moi rodzice nigdy nie mówili mi wprost, że nie wolno mi czegoś robić. Ich metody kontroli umysłu były bardziej wyszukane. Jakoś zawsze wiedziałam, że muszę udawać obojętność wobec rzeczy, którym się sprzeciwiali. - Podniosła wzrok, by spojrzeć na Charlie. - Czy twoi rodzice byli surowi?

- Dawniej tak myślałam. Próbowali powstrzymać mnie przed robieniem moich ulubionych rzeczy: paleniem fajek, upijaniem się i zaciąganiem do swojego pokoju ledwo znanych mi chłopaków.

Charlie nie miała ochoty mówić o swojej młodości, ale Ruth patrzyła na nią z zapalem w oczach.

- Codziennie nowa kłótnia. Moja siostra była tą dobrą: nie piła, nie paliła, nie bzykała. Nigdy nie stawiała się reżimowi, który przez to wyglądał na sprawiedliwy. A tymczasem ja wychodziłam na balona. Jej największym tryumfem było obalenie twierdzeń współczesnej medycyny i samodzielne pokonanie raka szyjki macicy. Ja nie umiem nawet rzucić palenia.

Ruth przytakiwała. Zamknij jadaczkę, rozkazała sobie w duchu Charlie. Poczwała nagłą potrzebę cofnięcia części wysączzonej przed chwilą trucizny.

- Strasznie jest to przyznać, ale moi rodzice pewnie jednak mieli rację - powiedziała. - Bez interwencji mamy i taty chlałabym codziennie tanie wino i organizowała w domu orgie.

- W moim domu nie było kłótni - odparła Ruth. - Obowiązywała zawsze jedna opinia. Nigdy nie słyszałam, by moja matka spierała się o coś z ojcem.

- Cóż... - Charlie szukała w głowie dobrej odpowiedzi, zastanawiając się z zakłopotaniem, jak obie dotarły do tego punktu. Nie były przyjaciółkami, a wymieniały się osobistymi wyznaniem. Czego Ruth oczekiwała w zamian za opowieści o nieszczęśliwym dzieciństwie? Nie, to było niewłaściwe pytanie. Co Ruth miała do zaoferowania w zamian za gotowość Charlie do wysłuchiwanie tych opowieści? Wciąż dręczyło ją wiele pytań i bardziej przyjazne nastawienie Ruth bardzo by jej pomogło. - Wszystkie programy telewizyjne typu Niania właśnie to doradzają - rzekła wreszcie. - Rodzice powinni się nawzajem wspierać, a nie podkopywać.

- To kompletna bzdura - zaprzeczyła żarliwie Ruth. - Jeśli dziecko nigdy nie widzi sporów między rodzicami, to skąd ma nabrać przekonania, że dobrze jest mieć własne zdanie? Ja dorastałam, sądząc, że jeśli powiem „nie zgadzam się z tobą”, to cały świat się zawali.

Moi rodzice czytali wyłącznie Biblię lub biografie, głównie biografie chrześcijańskich męczenników, więc i ja udawałam, że je czytam. Książki, którymi faktycznie się interesowałam, ukrywałam w miejscach, w których nie mogli ich znaleźć. Zawsze chorowałam z zazdrości, słysząc moich znajomych, jak wydzierają się na swoich rodziców, że ich nienawidzą, i ich rodziców wrzeszczących w

odpowiedzi: „Tak długo, jak mieszkasz pod naszym dachem, będziesz się stosować do naszych zasad”. Oni przynajmniej szczerze mówili, czego pragną.

Chrześcijanie, pomyślała Charlie: czyste zło. Rzymianie mieli świetny pomysł z rzucaniem ich lwom na pożarcie. Jaka szkoda, że nie przyszła jej ta kwestia do głowy, gdy przemawiała na imprezie zaręczynowej. W kontrowersyjnych kwestiach ledwie dotknęła powierzchni. Simon zdecydowanie przesadził.

- W piątek panią okłamałam, bo nie miałam wyboru - powiedziała Ruth. Wzięła do ręki kubek z herbatą i napiła się. - Nie potępiam kłamców, o ile jest w ich życiu jakaś irracjonalna blokada powstrzymująca ich przed byciem tym, kim chcą być.

- Jak teraz układa ci się z rodzicami? - spytała Charlie.

- Nie widzimy się już. Nie rozmawialiśmy od mojego wyjazdu z Lincoln. Po latach lęku przed zrobieniem tego w końcu złamałam im serce. Nie - poprawiła się. - Wcale im go nie złamałam. Usunęłam się poza zasięg ich trucizny. Jeśli przez to postanowią mieć złamane serce, to ich wybór.

Charlie zauważyła liczbę pojedynczą, użytą dwukrotnie w krótkiej wypowiedzi: serce, nie serca. Ruth mówiła dalej:

- Niektórzy ludzie po prostu odmawiają przejrzenia się w lustrze, które im się stawia. To ich decyzja. Domyślam się, że taką właśnie podjęli moi rodzice. Mam adres skrzynki pocztowej. Był na liście, który im wysłałam po przeprowadzce do Spilling. Nigdy z niego nie skorzystali.

- Mieszkają w Lincoln? - spytała Charlie. Nic dziwnego, że Ruth stamtąd zwiła.

- Niedaleko. W Gainsborough.

- Dużo za sobą zostawiłaś. Sprawdziłam dziś w Google'u Green Haven Gardem. Zdaje się, że miałaś świetnie prosperującą firmę.

Ruth szarpnęła całym ciałem, jakby ją postrzelono. Charlie nie była zdziwiona. Dobrze знаła to uczucie, gdy człowiek dowiaduje się, że ktoś interesuje się nim ponad miarę. Tak bardzo, że nosi w kieszeni wycięty z gazety artykuł na jego temat. Odepchnęła tę myśl.

- Organiczna hodowla bez chemikaliów na długo, nim stało się to modne - powiedziała. - I zdobyłaś trzy nagrody Brytyjskiego Stowarzyszenia Architektów Zieleni.

- Wygrałam główną nagrodę trzy razy z rzędu - poprawiła ją Ruth, patrząc na nią podejrzliwie.

- Nie czytałam uważnie - odparła Charlie. - Miałam na to dwie sekundy między ważnymi spotkaniami. Mogłam nie uchwycić co ważniejszych detali.

- Po co interesuje się pani Green Haven Gardens? Ten rozdział mojego życia jest już zamknięty.

- Dlaczego z tego zrezygnowałaś?

- Nie miałam ochoty dłużej się tym zajmować.

Charlie przytaknęła. Była to jakaś odpowiedź, ale jednocześnie nie była nią. Miała nadzieję, że Ruth nie zacznie żałować, iż ujawniła już tyle informacji na swój temat.

- Pokażę pani tę taśmę - powiedziała Ruth, wstając.

W pierwszej chwili Charlie nie wiedziała, o co jej chodzi. Potem sobie przypomniała: mężczyzna w czerwonej czapce z pomponem. Wywróciła oczyma za plecami Ruth, ale nie miała serca powiedzieć jej wprost, jak chore jest obserwowanie człowieka, który ogląda jej dom, czasem obok niego przechodząc. Wyszła za Ruth do głównego holu i zobaczyła to, co uszło jej uwagi, gdy wchodziła do domu. Nad drzwiami wejściowymi ozdobionymi nietypową szybą w liściaste wzory wisiała półka z telewizorem, magnetowidem i rzędem kaset ponumerowanych od jednego do trzydziestu jeden. Jedna na każdy dzień miesiąca?

Podczas gdy Ruth sięgała, by włożyć kasetę do odtwarzacza, Charlie obejrzała przedpokój. Oprócz drzwi prowadzących do salonu były jeszcze trzy inne: kuchenne, łazienkowe i - najprawdopodobniej - sypialniane. Tylko jedna para była lekko uchylona i przez szparę Charlie zobaczyła kawałek lśniącego, rdzawoczerwonego materiału i różową poduszkę. To musiała być sypialnia. Upewniwszy się, że Ruth nadal jest zajęta uruchamianiem magnetowidu, Charlie pchnęła lekko drzwi, otwierając je nieco szerzej.

Tak, była to sypialnia Ruth. Ruth i Aidana, choć jedynym dowodem na obecność mężczyzny był leżący na podłodze pękaty zegarek ze skórzanym paskiem. Wszystko inne aż tryskało kobiecością: ozdobne butelki z perfumami ustawione w rzędzie na parapecie okiennym, różowy szal z woalu rzucony na łóżko, jedwabne zasłony, też różowe, porozrzucana wszędzie biała, koronkowa bielizna, różowy termofor w kształcie serca. Nawet stojące w

krzywych stertach książki z pomarszczonymi grzbietami wyglądały dziewczęco. Wśród tytułów Charlie dostrzegła Wyglądnięte kobiety i Publiczne uśmiechy, prywatne łzy.

Ruth przewijała taśmę.

- Przepraszam - powiedziała. - Pilot jest zepsuty. Muszę trzymać wciśnięty guzik, bo inaczej nie działa. Dlatego tyle to trwa.

- Nie ma problemu - zapewniła ją Charlie.

Zajrzała do sypialni, by zobaczyć, co jest za drzwiami i niemal wykrzyknęła, cofając się w szoku do przedpokoju. Co do kurwy... ? Jej umysł zakręcił się niczym kołowrotek. To było coś absurdalnego, coś pasującego do sennego koszmaru - zbyt ekstremalnego i zbyt niedorzecznego, by mogło się zdarzyć na jawie. A jednak; Charlie wiedziała dobrze, co zobaczyła.

Prawie całą ścianę sypialni Ruth pokrywały wycinki z gazet na jej temat - Charlie.

Przymknęła drzwi, czując, jak wali jej serce. W głowie zapulsowały jej znowu wszystkie tytuły prasowe, zdania, które prześladowały ją przez dwa lata, sformułowania, o których każdego dnia starała się nie myśleć: barwnie złożone słowne ataki na jej osobę, wyselekcjonowane przez tanich pismaków pod względem siły rażenia lub aliteracyjnego uroku.

Tytuły, którymi Ruth wykleiła ścianę swojej sypialni. Dlaczego? Były tam też nowsze artykuły - Charlie mogłaby przysiąc, choć nie zamierzała znów zaglądać za drzwi, by sprawdzić daty - o jej powrocie do pracy, o założonym forum dyskusyjnym dotyczącym przestępstw finansowych. Nie, nie wyobraziła sobie tego. Do tego jeszcze fotografie Charlie płaczącej podczas konferencji prasowej w 2006 roku, parę zdjęć w mundurze już po przeniesieniu z wydziału śledczego, z uśmiechem mówiącym: „ale jestem dumna z tego, ile zrobiłam dla lokalnej społeczności”. Czuła, że zaraz zwymiotuje.

- O, jest - odezwała się Ruth.

Charlie wiedziała, że nie ma zbyt wiele czasu na odzyskanie równowagi i ukrycie swojego stanu, a wszystkie instynkty podpowiadały jej głośno, by go ukryła, by się wycofała i głęboko schowała. Żądanie od Ruth natychmiastowego wyjaśnienia wiązałoby się z takim odsłonięciem własnych emocji, którego w obecnym stanie wstrząsu nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. Nie, musi za wszelką cenę uniknąć konfrontacji, bo inaczej spowoduje katastrofę: rzuci się z

pięściami na Ruth albo popadnie w histerię. Później. Zajmij się tym później.

Zaciekle mrugała powiekami, by wysuszyć łzy, które pojawiły się nie wiadomo skąd. Usiłowała skupić uwagę na białych, uginających się lekko pośrodku półkach z książkami, które nadawały korytarzowi wygląd dwa razy węższego niż w rzeczywistości. Najwyraźniej Ruth kolekcjonowała poradniki psychologiczne w chwilach, gdy nie zajmowała się archiwizowaniem upadku Charlie. Gdyby nie fatalny nastrój, Charlie rozbawiłyby pewnie tytuły niektórych książek: A jeśli wszystko się uda?, Potęga chwili, Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz.

Nie była pewna, co myśleć. Miała tylko ochotę zwymiotować i jak najszybciej opuścić ten dom.

- Poprosiłam właściciela o zainstalowanie kamery przemysłowej, gdy pierwszy raz zobaczyłam tego mężczyznę - powiedziała Ruth. - Uważał, że robię z igły widły, ale w końcu się zgodził. Ponieważ od jakiegoś czasu park nawiedzały grupy chuliganów, udało mi się przekonać Malcolma, że upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Jak już zainstalowaliśmy kamery, mężczyzna przestał się pojawiać. Nagrałam go na kasetę dopiero wczoraj.

Charlie zastanawiała się, czy Ruth ma w domu kasety wideo z nią sprzed dwóch lat, stare wiadomości telewizyjne, nagrania z jej konferencji prasowej i długi wywiad, którego udzieliła za namową biura prasowego policji, gdy w dwa miesiące po wybuchu skandalu opinia publiczna była wciąż zdecydowanie przeciwko niej.

Później. Nie teraz, Teraz trzeba było myśleć o innych rzeczach, na przykład o kontrataku: o zdobyciu wszystkich możliwych informacji na temat Ruth Bussey i użyciu ich do zniszczenia jej żalosego życia. Teraz, mówiła sobie w duchu Charlie, miała przewagę nad Ruth, która nie wiedziała, że ona wie.

Patrzyła, jak zmienia się ziarnisty obraz na ekranie. Mężczyzna w czerwonej czapce z pomponem i z czarnym psem na smyczy podchodził w stronę domu.

- Czy Aidan to widział? - spytała. Jeśli facet w czapce faktycznie szpiegował Ruth, to czy Aidan o tym wiedział? Czy znał tego człowieka? Szpiegowanie kogoś, kto szpiegował innych, kto włamał się do ich prywatnego cierpienia i...

- Nie - odparła Ruth. - Pokazałam to tylko Malcolmowi, a teraz pokazuję pani. Już od miesiący nie jestem w stanie porozmawiać z Aidanem. - Ruth sprawiała wrażenie głęboko osamotnionej.

- Uznałam, że jeśli Malcolm zobaczy, jak wygląda ten człowiek, to będzie miał na niego baczenie. Często jest tu pod moją nieobecność taki mój Anioł Stróż. Opiekuje się domem. Niech pani spojrzy. Teraz widać twarz.

Malcolm. Musiał widzieć wystawę na ścianie sypialni. Nic dziwnego, że tak zareagował, gdy Charlie zjawiała się tu we własnej osobie. Ewidentnie Ruth się przed panią ujawniła... Nie powiedziała mi, że zamierzała nawiązać kontakt. Czy Malcolm Fenton znał przyczynę fascynacji swojej lokatorki osobą Charlie? A Aidan Seed? Na pewno, skoro dzielił z nią łóżko. Jaka mogła być przyczyna? Ile jeszcze osób widziało tę ścianę? Fachowcy, którzy naprawiali bojler? Czy oni też rozpoznali Charlie dziś rano?

Oczy miała utkwione w ekranie, ale nie patrzyła na niego. Głos Ruth przeciął jej myśli i Charlie zdała sobie sprawę, że ominął ją niemal cały pokaz.

- Proszę spojrzeć. Teraz widać wyraźnie jego twarz. Widzi pani, jak patrzy na okna?

Nie. To niemożliwe.

A jednak to on. Czapka z pomponem czy bez pompona - to on. Z czarnym labradorem, na miłość boską. Więc teraz Ruth nie wiedziała już o dwóch rzeczach, które wiedziała Charlie.

- Pewnie jakiś zwykły ciekawski - powiedziała. Jeśli Ruth dostrzegła zmianę w jej głosie lub zachowaniu, to nie dała tego po sobie poznać. Charlie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miała do kogoś mniejsze zaufanie niż do tej obcej kobiety, która gapiała się na nią szeroko otwartymi oczyma, najwyraźniej czekając na jakąś pomoc. - Dlaczego odszukałaś Mary Trelease? - zapytała nagle.

- Słucham? - Ruth zatrzymała taśmę.

- Powiedziałaś, że cię zaatakowała. Wybiegłaś z galerii i nigdy do niej nie wróciłaś. Dla mnie to brzmi jak mocny wstrząs. A jednak poszłaś potem do jej domu. Po co? - Zamierzam wetknąć palec w każdą lukę twoich zeznań, suko, i ciągnąć tak mocno, aż całość pęknie, a wtedy popatrzę sobie, jak się rozpadasz na kawałki.

- Po obraz - odparła Ruth. - Dla Aidana. Ale to było później. Znacznie później.

- No dobrze, więc co się działo potem? Po twojej kłótni z Mary i odejściu z galerii? To było sześć miesięcy przed tym, jak Aidan powiedział ci, że zabił Mary Trelease, zgadza się?

- Nie mogę powiedzieć wszystkiego, co chce pani wiedzieć. - Charlie słyszała w głosie Ruth paniczny strach. - Powiem wszystko, co ja wiem, wszystko, co się zdarzyło. Ale nie wyjaśnię przyczyn ani sensu.

- Wystarczy mi każda opowieść, która nie będzie kłamstwem.

- Koniec kłamstw - obiecała Ruth. - Potem pojechałam z Aidanem na targi sztuki w Londynie.

Rozdział 7

Poniedziałek, 3 marca 2008

Targi sztuki Access 2 w Alexandra Palace w Londynie były moimi pierwszymi. Nie wiedziałam nawet, że są takie imprezy, dopóki Aidan mi o nich nie powiedział. Jeden z artystów, którym oparwia obrazy, miał tam mieć swoje stoisko i podarował mi dwa bilety. Aidan otworzył kopertę któregoś dnia w pracy - musiał to być październik albo listopad. Dziwne, że tego jednego szczegółu nie potrafię sobie przypomnieć. Wszystko inne w związku z targami trwale zapadło mi w pamięć.

Zobaczyłam, że patrzy na coś, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Co? - spytałam.

Podał mi kopertę. Otworzyłam ją i wyjęłam ze środka dwie prostokątne, sztywne kartki i zgiętą na pół ulotkę.

- Targi Access 2? Co to takiego?

Odczekał, aż przeczytam treść ulotki, bo wiedział, że znajdę tam wszystkie niezbędne informacje. Nigdy nie byliśmy z Aidanem dobrzy w odpowiadaniu na pytania.

- Tu jest napisane, że wystawiać będzie trzystu artystów - powiedziałam.

- Byłaś kiedyś w labiryncie?

- Takim jak w Hampton Court?

- Może być taki - odparł Aidan. - Wyobraź sobie labirynt w Hampton Court, tyle że większy. Zamiast żywoplotu wyobraź sobie niekończące się rzędy stanowisk, gdzie sprzedaje się obrazy, grafiki, rzeźby. Jest ich tyle, że gdy już się znajdziesz w środku, zaczniesz się martwić tym, jak wyjść. Zaczynasz chodzić trochę szybciej, niepewna, czy w danej alejce byłaś już dziesięć razy, czy ani razu.

Oglądasz tyle obrazów, że przestajesz je widzieć. To wizualny odpowiednik przejedzenia słodyczami. Dochodzi do tego, że nie jesteś w stanie znieść więcej dzieł.

- Na pewno bym tak nie czuła - powiedziałam.

- ...ale nie masz wyboru, bo gdziekolwiek spojrzysz, znajdziesz więcej tego samego: setki artystów i galerii próbujących opchnąć swoje towary.

- Przestań! - Specjalnie się ze mną droczył. - Módl się, żeby nie okazało się coś innego. - Doznałam lekkiego, trzepoczącego uczucia w żołądku. To, co opisywał Aidan, odpowiadało mojemu

wyobrażeniu raju. Od razu zaczęłam snuć fantazje o znajdowaniu wyjątkowych obrazów. Już od kilku miesięcy - od Abbertona, o którym starałam się nie myśleć - nic nie wywarło na mnie większego wrażenia, ale przywykłam do oglądania dziewięciu, może dziesięciu obrazów za jednym razem, najwyżej dwudziestu. Więcej nie pomieściłyby ściany niewielkiej galerii.

- Muszę tam pojechać - powiedziałam, ściskając bilety, jakbym się bała, że ktoś mi je zabierze.

- Zaczynają się w czwartek trzynastego grudnia - rzekł Aidan. - Musisz tylko wydebić od swojego szefa dzień urlopu. A, nie... poczekaj. To ja jestem twoim szefem. - Udał, że się nad tym zastanawia. - Dobra, masz ten urlop.

- Nie potrzebuję urlopu. Tutaj jest napisane, że targi są w weekend. Moglibyśmy pojechać w niedzielę. - Czasami pracowaliśmy w soboty, jeśli mieliśmy dużo zleceń, a zazwyczaj mieliśmy ich sporo.

- Nie. Weź wolne w czwartek. Jeśli chcesz zobaczyć targi sztuki, musisz być na otwarciu.

- Przecież do niedzieli nie znikną wszystkie obrazy - zaprotestowałam. - Poza tym to, co mi się najbardziej podoba, nigdy się nie sprzedaje. Chyba że ja jestem kupcem.

- Nie o to chodzi - odparł Aidan. - Musisz zobaczyć obrazy, zanim którekolwiek zostaną kupione. Jak zaczną się na nich pojawiać czerwone naklejki, człowiek inaczej na nie patrzy: zwycięzcy i przegrani. Dzieła popularne i odrzucone.

- W takim razie zobaczymy całość - zaproponowałam, podskakując na palcach stóp, zbyt podekscytowana, by stać bez ruchu. - Od czwartku do niedzieli. Jak będziemy mieli cztery dni, to zobaczymy wszystko i nie będę musiała wybierać zbyt szybko ani martwić się, że coś mnie ominęło.

Z twarzy Aidana znikło zadowolenie.

- Masz rację - powiedział. - Trzeba by zostać na dłużej, żeby obejrzeć całość, ale... Ruth, ja nie dam rady. Nie mogę zamknąć warsztatu nawet na jeden dzień. Zbyt wiele osób na mnie liczy.

- Aha. - Wprost słyszałam swoje rozczarowanie opadające głucho na ziemię jak niezdarnie rzucona piłka. Nie wyobrażałam sobie tych targów bez Aidana. Od sierpnia, kiedy się poznaliśmy, byliśmy nierozłączni. - Naprawdę?

- Dobra, chrzanić to - powiedział, zmieniając zdanie tak gwałtownie, że początkowo nie byłam pewna, o co mu chodzi.

- To znaczy... że pojedziesz?

- Tak, ale tylko na czwartek i piątek. Wrócę w piątek wieczorem. Jak będzie trzeba, to przepracuję całą sobotę i niedzielę, żeby nadrobić czas.

Uśmiechnęłam się.

- I nikt nie będzie musiał czekać dłużej.

Aidan udaje pogardę dla naszych klientów, ale sędzę, że w głębi duszy ich podziwia. Może nawet nieco im zazdrości. Nie wierzę, że nie czuje z nimi żadnej więzi, skoro jego własne podejście do pracy jest tak twórcze. Oprawiając coś dla mnie, nie używa nigdy gotowych listew, lecz zawsze zaczyna od zera. To samo dla siebie: wszystkie ramki, które wiszą na ścianach jego pokoju za warsztatem, są ręcznie robione - te bez obrazów. „To moje jedyne dzieła sztuki”, powiedział kiedyś. „Zanim ramy zaczęto produkować masowo, uważano je za dzieła sztuki, a ramiarze uchodzili za artystów. Dawniej ramy były droższe od obrazów”.

- Wrócę z tobą w piątek i będę ci pomagać . - powiedziałam. - Dwa dni wystarczą.

- Musimy już teraz zacząć trening, jak maratończycy - odparł Aidan. - Tylko tak uda nam się zwiedzić całe targi. Nie wkładaj butów na wysokich obcasach.

Zaśmiałam się. Aidan rzucił mi to swoje spojrzenie, które aż ścisnęło mnie za serce. Wiedziałam, że chce mnie objąć i pocałować, ale nie ma odwagi. Ja też jej nie miałam. Wtedy dużo czasu spędzaliśmy, przyglądając się sobie, jakbyśmy byli oddzieleni szybą.

- Tak bardzo cię kocham - powiedział, a ja odparłam tym samym. Robiliśmy to zamiast dotykania i nam wydawało się to normalne. Wiedziałam, że inne pary całują się i trzymają za ręce, a dopiero potem deklarują sobie nawzajem miłość, ale nic mnie to nie obchodziło. Liczyliśmy się tylko my - ja i Aidan. Byliśmy doskonali, w sam raz. To inni niewłaściwie prowadzili swoje związki.

Aidan wrócił do nakładania płatków złota.

- Wynajmiemy sobie hotel w Londynie? - spytał, nie dając po sobie poznać żadnych uczuć. Wiedziałam, o co mu chodzi. Powiedziałam tak.

Po tej rozmowie myślałam o targach codziennie. Nieustannie rozmawialiśmy o nich z Aidanem. Sprawdziliśmy w internecie listę artystów, którzy zamierzali się wystawić. O niektórych Aidan już słyszał. Całkiem sporo było kiedyś jego klientami, paru nadal oprawiało u niego swoje obrazy. Chciał pokazać mi ich strony internetowe, ale nie miałam ochoty ich oglądać. Wolałam zobaczyć wszystko za pierwszym razem trzynastego grudnia, w dniu otwarcia targów. Im bardziej się zbliżał, tym częściej martwiłam się, co będę czuła, gdy obydwie te rzeczy miną - targi i nasza noc w hotelu. Nie chciałam nawet myśleć, że coś, czego tak gorąco wyczekiwałam, wkrótce stanie się przeszłością.

W czwartek wstaliśmy o czwartej rano, spakowaliśmy się do mojej czarnej torby podręcznej i pojechaliśmy samochodem do Rawndesley, gdzie o szóstej złapaliśmy pociąg do Londynu, by zdążyć przed oficjalnym otwarciem targów. Zjedliśmy gorące śniadanie w barze przy stacji King Cross wypełnionym przez grupki mężczyzn pijących piwo i głośno bekających.

- Nie rozumiem, jak można robić to tak wcześnie rano - powiedziała do Aidana, co skłoniło go do zamówienia butelki szampana.

- Pić można na różne sposoby - odparł. - To nasza pierwsza wspólna podróż. Powinniśmy ją uczcić.

- No i jedziemy na targi sztuki - przypomniałam mu. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Aidan? Coś nie tak?

- Nic. Nic - powtórzył. Za drugim razem zabrzmiał bardziej przekonująco. - Jeśli chcesz spędzić dwa dni na oglądaniu dzieł sztuki, to ja też. Stresuję się tylko na myśl, że nie pracuję.

- Odrobimy to w sobotę i niedzielę - obiecałam. - Ze wszystkim zdążymy. Nie mamy aż tyle pracy. - Chciałam zetrzeć z jego twarzy grymas zmartwienia. - Musisz nauczyć się być swoim najlepszym przyjacielem - powiedziałam. Czytałam wtedy książkę pod tytułem Bądź swoim własnym trenerem i taka właśnie była jedna z zawartych w niej porad. - Czy swojemu najlepszemu przyjacielowi powiedziałbyś, że powinien spędzać każdą wolną chwilę na pracy, czy raczej zasugerowałbyś, że zasługuje od czasu do czasu na odpoczynek i odrobinę luksusu?

Aidan się uśmiechnął.

- Kazałbym mu wziąć się do prawdziwych książek, zamiast czytać durne poradniki, od których jest najwyraźniej uzależniony - zazartował. - Są lepsze sposoby pomagania sobie niż badanie własnej psyche. Jednym z tych sposobów jest ciężka praca. To bym powiedział swojemu przyjacielowi.

Dałam mu kuksańca w żebra. Nie przeszkadzały mi jego kpiny. Cieszyłam się tym, że potrafimy się sprzeczać, nie mając do siebie pretensji.

Dotarliśmy do Alexandra Palace na dziesięć minut przed otwarciem targów. Byliśmy jedynymi gośćmi.

- Jak jacyś fanatycy - rzekł Aidan.

Odparłam, że jestem dumna ze swojego fanatyzmu. Byliśmy podchmieleni, śpiący, ociężali i najedzeni jajkami na boczku i kaszanką, ale wiedziałam, że strząsnę z siebie tę fizyczną ospałość, jak tylko wejść do środka. Wiedziałam, że ruszę jak koń wyścigowy.

W obszernym foyer dwie kobiety siedzące za stołem sprzedawały bilety i programy. Już miałam wystrzelić przez podwójne drzwi do głównej sali, ale Aidan mnie powstrzymał.

- Poczekaj - powiedział. - Chcę ci coś pokazać. - Kupił program, otworzył na ostatniej stronie i rozłożył ją, żebyśmy mogła dobrze się przyjrzeć. - Tylko w ten sposób docenisz ogrom tego, w co zaraz wejdziemy. - Mapa targów zajmowała całą trzecią stronę okładki, do tego jeszcze dodatkowo rozkładaną. Stoiska były na niej przedstawione jako małe, białe kwadraciki z czarnymi liczbami. Było ich w sumie czterysta sześćdziesiąt osiem i wypełniały dwie wielkie, połączone hale. Z tyłu mapki widniała lista wszystkich numerów stoisk z przypisanymi do nich nazwiskami artystów lub nazwami galerii.

- Aidan! - Ścisnęłam go za rękę. - Jest tu Jane Fielder. Stoisko sto siedemdziesiąt jeden. - Nie mogłam uwierzyć, że przegapiłam jej nazwisko, gdy patrzyliśmy wcześniej na listę wystawców.

- Kto?

- No wiesz. Coś złego. Czerwone odciski kciuków, pierwszy obraz, jaki kupiłam.

- Twoja ulubiona artystka. - Aidan udął zmartwienie. - Z jej stoiska niewiele zostanie, jak się do niego dobierzesz. Lepiej wynajmę ciężarówkę i zatrudnię na drugi etat do sprzątania biur.

- Myślisz, że będzie tu osobiście?

- Czasem są, czasem nie. No to gdzie chcesz zacząć?

- Jane Fielder - odrzekłam bez wahania. Początkowo korzystaliśmy z planu, ale stoisko 171 było na drugim końcu hali i nie mogłam przechodzić obok innych obrazów, nie patrząc na nie. Wciąż coś przykuwało moją uwagę. Większość stoisk należących do osób prywatnych, nie do galerii, obsługiwana była przez samych artystów i wszyscy oni chętnie odpowiadali na moje pytania. W porze lunchu nadal byliśmy daleko od stoiska 171, a ja zaczynałam tracić rachubę wszystkich obrazów, które uznałam za ciekawe, ale przed kupnem chciałam obejrzeć ponownie.

- Muszę zapisać sobie numery stoisk, do których muszę wrócić - powiedziała Aidanowi. - Możemy wrócić do wejścia i zacząć od początku?

Aidan się roześmiał.

- Mówiłem ci, że to labirynt. Możemy zrobić, co chcemy, ale... - Co?

- Może po prostu sobie zwiedzajmy. Jutro będziemy mieli mnóstwo czasu na spisywanie numerów. - Widząc moje zniecierpliwienie takim podejściem, dodał: - Wiem, że widziałas sporo obrazów, które chcesz obejrzeć jeszcze raz, i że spotkałaś fajnych ludzi, ale tego jeszcze nie znalazłaś.

- Czego?

- Tego. Obrazu, który chciałabyś zdobyć za wszelką cenę.

Resztę dnia spędziliśmy na swobodnym zwiedzaniu i rozmowach z artystami. A raczej ja rozmawiałam. Aidan trzymał się raczej z tyłu. Między stoiskami ostrzegł mnie przed zbyt wielką wylewnością.

- Robisz artystom zbyt wielką nadzieję - powiedział.

- Ale mnie się podobają ich prace - odparłam. - Dlaczego mam ukrywać swój entuzjazm? Jestem pewna, że cieszą ich pochwały, nawet jeśli w końcu nie sprzedają obrazu.

Aidan pokręcił przecząco głową.

- Pochwały minus sprzedaż równa się kłamstwa. Tak to widzą ci ludzie. Dopóki nie wyjmiesz portfela, nie uwierzą w ani jedno twoje słowo.

Po lunchu - zjedzonej na szybko kanapce w kafejce przy wejściu - znalazłam stanowisko, które mnie oczarowało. Artystka nazywała się Gloria Stetbay i była przerażająco elegancka. Nie udało mi się z nią porozmawiać. Stała otoczona ciasną grupą ludzi, którzy raczej nie

przyjmowali nowych członków. Wśród obrazów Stetbay dominowały abstrakcje, które uświadomiły mi przeciętność większości abstrakcyjnych prac, jakie widziałam do tej pory. Jej kompozycje przypominały wielokolorowe wydmy o gęstej fakturze. Wydawało mi się, jakbym patrzyła na powierzchnie obcych, błyszczących planet. W porównaniu z jej barwami i fakturami wszystkie inne obrazy sprawiały wrażenie anemicznych. Aidan zamachał mi przed oczami jakąś ulotką.

- Jesteś w dobrym towarzystwie - powiedział. - Jej obrazy są w prywatnej kolekcji Charlesa Saatchiego. - Nie obchodził mnie Charles Saatchi. - Czy to jest to? - spytał Aidan. - Czyżbyśmy trafili w dziesiątkę?

- Nie mogę. Najtańszy obraz kosztuje dwa tysiące i wcale nie jest najlepszy. Nie powiem ci, ile kosztuje mój ulubiony.

- Kupię ci każdy, który pokażesz - odparł, zaskoczony, że w ogóle musi mi to mówić. - Który ci się najbardziej podoba?

- Nie. Jest za drogi.

- Nic nie jest za drogie, jeśli tego chcesz - rzekł poważnym tonem.

Wciąż staliśmy w stoisku Glorii Stetbay. Obok nas dwie Amerykanki rozmawiały o innych targach sztuki, które miały licznieszą publiczność pierwszego dnia.

- Londyn już nie jest taki, jak kiedyś - mówiła jedna z nich. - Nawet Frieze zaczyna wyglądać, jakby za bardzo się starali. I o co chodzi z tymi żyletkami? Nagle wszyscy zaczęli pokrywać płótna żyletkami. To ma być ostrość wyrazu?

- Zanim cię poznałem, nie wiedziałem, co to znaczy mieć w sobie pozytywne uczucia - powiedział Aidan, nie dbając o to, czy ktoś oprócz mnie go słyszy. - Uwielbiam to, jak ty uwielbiasz sztukę. Uwielbiam to, jak chcesz ją kupować: nie jako inwestycję ani sposób na podniesienie statusu, ale jako talizman. Kochasz ją i chcesz mieć blisko siebie, by oddalić złe duchy. Dla ciebie sztuka jest magiczna, prawda?

Przytaknęłam. Nigdy tak sobie tego nie tłumaczyłam, lecz Aidan miał rację.

- Tym samym ty jesteś dla ranie - powiedział. - Zamierzałem trochę z tym poczekać, ale nie wytrzymam. Wyjdiesz za mnie?

Nie zareagowałam tak, jak powinny reagować kobiety. Nie zachowałam spokoju, mówiąc, że to przemyśle. Zaczęłam krzyczeć i wymachiwać rękami jak idiotka.

- Czy to znaczy „tak”? - spytał Aidan, jakby mógł być co do tego niepewny. Ja nie miałam ani cienia wątpliwości. Jednak on wyglądał na zmartwionego.

- Nie chcesz poczekać z odpowiedzią do jutra? - spytał. Wiedziałam, co ma na myśli: przyjechaliśmy do Londynu między innymi po to, by po raz pierwszy pójść ze sobą do łóżka. To nie był pierwszy znak z jego strony, że trochę go to niepokoi.

- Nie chcę - odparłam. - Na pewno nie zmienię zdania.

- Nie mów tak. - Był jeszcze bardziej zaniepokojony. Zamiast pierścionka zaręczynowego kupił mi obraz Glorii Stetbay, który najbardziej mi się podobał. Nie dotarliśmy w końcu do stoiska Jane Fielder. Przechadzaliśmy się bez celu, w dobrych nastrojach, dyskutując o oglądanych obrazach, spierając się o to, które miały treść, a z których ziało pustką. Gdy wspominam tamten dzień - a zdarza się to często - wszystko to jawi mi się jako oddzielone od tego, co stało się później, jakby w pewnym momencie 13 grudnia jeden świat się zamknął, a otworzył nowy - straszny, przerażający świat, którego nie chciałam znać.

Pamiętam dokładną godzinę, o której się to zaczęło: wpół do jedenastej wieczorem. Jedliśmy kolację w indyjskiej restauracji Zamzana. Obraz Glorii Stetbay mieliśmy przy sobie, oparliśmy go o ścianę, żeby podziwiać go, jedząc. Potem poszliśmy do hotelu Drummond. Przy recepcji Aidan stał z tyłu i zostawił mi zapłacenie za pokój i podpisanie formularzy. Byłam doskonale świadoma jego obecności, czułam, że stoi tuż za mną, słuchając każdego mojego słowa, wyłapując najmniejszy niuans w głosie, mimo iż mówiłam o rzeczach takich, jak poranna pobudka czy gazety:

- Nie, dziękuję. Tak, „Independent”, jeśli można.

Gdy dostałam w końcu klucz do naszego pokoju, odwróciłam się do Aidana. Miał poważny wyraz twarzy. Był gotowy.

- Napijemy się czegoś, nim pójdziemy na górę? - zaproponowałam. - Na pewno bar jest jeszcze otwarty.

Pokręcił głową, a ja poczułam się jak tchórz. Za długo to odkładaliśmy - to był nasz problem. Teraz zbyt wiele zależało od powodzenia.

W milczeniu weszliśmy do windy i wjechaliśmy na czwarte piętro. Dzięki Bogu nie było w niej nikogo prócz nas. Nie zniosłabym obecności innych osób. Kiedy drzwi się otworzyły, postanowiłam iść pierwsza, kierując się strzałkami na owalnych, mosiężnych tabliczkach. Chciałam pokazać Aidanowi, że jestem równie odważna jak on. Szło mi świetnie aż do momentu, gdy musiałam otworzyć drzwi pokoju tą głupią kartą magnetyczną. Malutka lampka świeciła wciąż na czerwono, potęgując moją frustrację. Gdy nie powiodło mi się za trzecim razem, dłonie miałam tak spocone i śliskie, że nie mogłam nawet wyjąć karty z zamka. W końcu Aidan wkroczył do akcji. Jemu lampka od razu zaświeciła na zielono. Weszliśmy do środka.

Staliśmy obok podwójnego łóżka, patrząc sobie w oczy.

- I co teraz? - odezwałam się. Aidan wzruszył ramionami.

- Pewnie powinniśmy się dotknąć, czy coś takiego.

Powinno mi być dostrzec w tym absurd, być może śmiech rozładowałby nieco napięcie, ale jego słowa stanowiły pierwsze bezpośrednie nawiązanie do czterech miesięcy bolesnej, tęsknej wstrzemięźliwości, którą oboje znosiliśmy. Wypowiedziane przez Aidana zdanie wystarczyło, by przebić dzielącą nas, niewidzialną barierę. Podbiegłam do niego i rzuciłam się całym ciężarem na jego klatkę piersiową. Minęło kilka sekund - przerażająca otchłań, która zdawała się rosnąć i rosnąć - nim poczułam na plecach dotyk jego rąk. Dopiero wtedy odważyłam się odetchnąć. Całowaliśmy się. Przez ponad godzinę tylko się całowaliśmy, stojąc przy łóżku z czarną torbą u nóg.

W końcu musieliśmy przestać, bo nasze usta były obolałe, zaczerwienione.

- Jak się czujesz? - spytałam.

- Dobrze - odparł. - Lepiej. A ty?

- Ciągle się boję. - Zainspirowana jego szczerym wyznaniem, również postawiłam na otwartość. - Nie bardzo wiem, jak mamy przejść do... następnego etapu.

- Ja też nie - odrzekł.

- Jak to robią inne pary? - Myślałam sobie: jak ja to robiłam z innymi? Z siedemnastoma innymi przed Aidanem. Kiedyś wydawało mi się to łatwe. Gdy pierwszy raz Aidan zaprosił mnie do restauracji, rozmawialiśmy o swoich poprzednich związkach. Powiedział mi, że

nie przeżył niczego poważnego, tylko sporo nic nieznaczących przygód, z których nic nie wynikało.

- Nie ma takich par, jak my - powiedział teraz. - Od razu wiedzieliśmy, co nas łączy. Zobaczyłem to w twoich oczach, gdy zeszłego lata stanęłaś w progu mojego warsztatu. Ty widziałaś to we mnie.

Przytaknęłam milcząco. Jego nowo odkryta szczerość wprawiała mnie w zakłopotanie.

- Oboje byliśmy w piekle i zdołaliśmy się z niego wygrzebać. Całe życie pragnąłem tylko jednego: zakopać wszystko to, przez co przeszedłem. Wydaje mi się, że ty potrzebujesz tego samego.

- Aidan, ja nie...

- Nie zadawaliśmy sobie pytań, nie wywieraliśmy presji. Moim zdaniem trochę za bardzo szanowaliśmy nawzajem swoją prywatność.

Jego słowa na nowo obudziły we mnie tchórza i przestało mi zależeć na powodzeniu.

- Nie pytaj mnie - wyszeptałam. - Nie mogę.

- Nie uda nam się - powiedział. Słyszałam w jego głosie rozpacz, jakby coś wewnątrz niego pękło. Przestraszyłam się tego. - Nie uda nam się, jeśli Oboje będziemy ukrywać wszystko, co istotne.

- Kochamy się. - Głos mi się załamywał. - To liczy się najbardziej i tego nie ukrywamy.

- Wiesz, co mam na myśli. Rozumiem, że się boisz. Ja czuję podobnie, ale uważam, że powinniśmy sobie powiedzieć. - Aidan odchrząknął. - Ja chcę, jeśli ty też się zgodzisz.

Teraz będzie nam łatwiej, Tak powiedział, gdy się w końcu zgodziłam. Gdy zdecydowałam, że chcę. Jeśli chodziło mu o seks, to miał rację. Od samego początku był naturalny i taki pozostał: namiętny, intensywny, łączący. Stał się naszym schronieniem, bezpiecznym, ciemnym miejscem, do którego uciekamy, gdy oślepiająca jasność wszystkiego, co nas dzieli, bezlitośnie bije nas po oczach. Co za ironia: jedyna rzecz, której nam brakowało, stała się naszym jedynym spoiwem.

W tamtym pokoju hotelowym Aidan wyznał mi, że dawno temu kogoś zabił, kobietę. Jak tylko wypowiedział jej imię i nazwisko, Mary Trelease, poczułam, jak za serce chwyta mnie przenikliwy chłód. Miałam wrażenie zachwianej równowagi, coś było nie na swoim miejscu.

Od razu wiedziałam, że słyszałam już kiedyś to nazwisko, ale byłam pewna, że nie z ust Aidana. Niemożliwe, by wspomniał niezobowiązująco o kimś, kogo zabił. Czyżby mi się to zdawało? Przez chwilę brałam pod uwagę ewentualność telepatii. Gdyby Aidan zabił Mary Trelease, to nazwisko na zawsze wryłoby się w jego świadomość. Czy to możliwe, że przeniknęło z jego umysłu do mojego bez pośrednictwa słów? W kilka sekund porzuciłam tę teorię. Czy Mary Trelease była znana? To dlatego słyszałam już gdzieś jej nazwisko? Niewiedza, niejasność - to było najgorsze. Nie mogłam znać jej nazwiska, a jednak je znałam. Siedziałam nieruchomo na łóżku, spowita strachem. Chciałam zapytać Aidana, kim była Mary Trelease, lecz ustaliliśmy, że nie będziemy zadawać sobie nawzajem żadnych pytań. Ponadto wszystkie te, które powtarzałam sobie w głowie, wydawały mi się niepoważne.

Wyjawiwszy mi swój sekret, Aidan był w fatalnym stanie. Nie potrafiłam na niego spojrzeć, ale słyszałam. Brzmiało to, jakby się rozpadał, a ja mogłam jedynie siedzieć na materacu z dłońmi wciśniętymi między uda, gapiąc się w podłogę. Aidan i ekstremalna przemoc, śmiertelna przemoc, do siebie nie pasowali. Nie, pomyślałam. Me. Wyobraziłam sobie Jego i Ją, pierwszy raz od lat pozwalając sobie pomyśleć o ich imionach, a wtedy coś zajaśniało mi w głowie jak nigdy dotąd, czyniąc ich realnymi; zupełnie jakbym była w łóżku z nimi dwojgiem, nie z Aidanem. Wszyscy troje zbiegli się w jedno i przestałam ich rozróżniać. Przez ułamek sekundy nienawidziłam wszystkich z równą mocą.

Aidan powtarzał wciąż moje imię:

- Ruth. Ruth? Powiedz coś! Powiedz mi, że mnie kochasz. Proszę cię, Ruth!

Ale nie mogłam odpowiedzieć. Wyciągnął do mnie dłoń, a ja ją odtrąciłam. Siedziałam niczym posąg na krawędzi łóżka, bez ruchu i bez słowa, choć miałam ochotę krzyczeć na niego, bić pięściami i nazwać mordercą. W końcu przestał domagać się ode mnie reakcji i zapanowała między nami ogłuszająca cisza. Odrzuciłam go w chwili, gdy najbardziej potrzebował mojej miłości i oboje doskonale zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Tego żałuję najbardziej. Bez względu na to, co Aidan zrobił bądź czego nie zrobił, nie mogę znieść myśli o tym, jak bardzo go wtedy zawiodłam.

Ale oczywiście on niczego nie zrobił. Nie tylko ja jestem o tym przekonana; policja też tak sądzi.

Nie pamiętam, jak długo trwała ta okropna cisza, wiem tylko, że po jakimś czasie krępujący moje myśli strach zelżał. Przypomniałam sobie, kim jest Aidan: mężczyzną, którego znałam i kochałam. Nawet jeśli kogoś zabił, nie mogło to być morderstwo. Musiał mieć powód! Wstałam, objęłam go i powiedziałam, że to dla mnie nieistotne - że cokolwiek zrobił, nadal go kocham. I zawsze będę go kochała. Nienawidziłam się za te słowa: „to nieistotne” - przecież dotyczyły życia kobiety. Wypowiedziałam je, by zrekompensować mu jakoś swoją zdradę. Jakże mogłam go nienawidzić? Jak mogłam mu uwierzyć? Aidan nie był złym człowiekiem. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy pomyśleć o nim jako o zabójcy. Na pewno się pomylił, wmawiałam sobie. Jeszcze zanim wiedziałam, że powiedział nieprawdę, wierzyłam, że tak musi być.

Kochaliśmy się całymi godzinami, odkładając chwilę, w której słowa znów stałyby się konieczne. Poranne niebo zaczynało prześwitywać przez noc, gdy wreszcie zasnęliśmy. Obudził mnie głos Aidana, który wymawiał moje imię. Otworzyłam oczy. Nie uśmiechał się.

- Już południe - powiedział. - Straciliśmy pół dnia. - Jego spojrzenie było drętwe i surowe. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim oddaleniu i mocno się przestraszyłam.

Ubrałam się w milczeniu. Aidan dał do zrozumienia mową ciała, że nie ma ochoty na rozmowę. Zadzwoił do recepcji, by zamówić taksówkę. Słyszałam, jak mówi: „Jak najszybciej” i „Alexandra Palace”.

- Jedziemy z powrotem na targi? - odezwałam się.

- Po to tu przyjechaliśmy.

- Nie musimy wracać. - Nie miałam na to najmniejszej ochoty. Pragnęłam być sam na sam z Aidanem, a nie w hali pełnej ludzi i hałasu. - Możemy pojechać do domu. Jedźmy do domu.

- Jedziemy do Alexandra Palace - odparł beznamiętnym tonem, jak robot.

Wiedziałam już wtedy, że dzieje się coś bardzo złego. Chciałam spytać go, co jest nie tak, ale zabrzmiałoby to nedorzecznie. Zeszłej nocy przyznał się do zabójstwa. Dla każdego byłoby to bolesne. Dziś musiał radzić sobie z konsekwencjami swojego wyznania. Oboje

musieliśmy z nimi żyć. Przyszło mi do głowy, by zapytać, kto jeszcze o tym wie - ja znałam go zaledwie od kilku miesięcy. Zanim się poznaliśmy, mógł siedzieć w więzieniu. Przede wszystkim pragnęłam przeprosić go za chłód, którym zareagowałam na jego spowiedź, ale tak bardzo bałam się, że mi nie wybaczy, że nie odważyłam się odezwać.

Gdy recepcjonista zadzwonił, by powiedzieć, że taksówka już na nas czeka, spytałam Aidana, czy jego zdaniem bezpiecznie będzie zostawić obraz Glorii Stetbay w hotelu.

- Nie mam pojęcia - rzekł takim tonem, jakby zupełnie go to nie obchodziło. Udawał, że nie zauważył moich łez.

Dotarliśmy na targi i rozpoczęliśmy rutynowe zwiedzanie, chodząc między stoiskami. Patrzyłam na obrazy, nie widząc ich. Aidan nawet nie udawał, że je ogląda. Patrzył tępo przed siebie i maszerował w tę i w tę, jakby ustalił, że wykona jakąś konkretną liczbę kroków i teraz je skrupulatnie odliczał.

W końcu chwyciłam go za ramię:

- Dłużej tego nie zniosę. Dlaczego się tak zachowujemy? Dlaczego nie rozmawiamy?

Widziałam, że zaciska zęby, jakby brzydził się mojego dotyku. Niecałe dwanaście godzin wcześniej namiętnie się kochaliśmy. To nie miało sensu.

- Już i tak powiedziałem za dużo - odparł, nie patrząc na mnie. - Nie powinienem był tego robić. Przepraszam.

- Oczywiście, że powinieneś być. - Wtedy popełniłam błąd. Zapytałam: - Czy to był wypadek? Samoobrona?

W odpowiedzi usłyszałam ostry, pogardliwy śmiech.

- A co byś wolała? Wypadek czy samoobronę?

- Nie chciałam... nie...

- A jeśli ani jedno ani drugie? A jeśli z zimną krwią zamordowałem bezbronną kobietę?

Poczułam, jak moja twarz wykrzywia się w bólu. Bezbronną.

- Nie zrobiłeś tego. Nie mogłeś tego zrobić - mówię słabym głosem.

- Ludzie się zmieniają, Ruth. W miarę upływu lat stają się nowymi ludźmi. Gdybyś kochała człowieka, którym jestem teraz, wybaczyłabyś mi wszystko, co zrobiłem w przeszłości. Ja wybaczyłbym ci każdą winę, każdą. Nie ma takiej zbrodni, której od

razu bym ci nie wybaczył. Najwyraźniej jednak to uczucie nie jest obustronne.

Dyszał ciężko i szybko przy mojej twarzy, czekając na odpowiedź, ale ja się nie odezwałam. Aidan powtarzał wciąż słowa, które unieruchamiały mnie niczym strzały z paralizatora, które tyle razy słyszałam na sali sądowej siedem lat wcześniej: bezbronna kobieta, taśma do pakowania naklejona na usta...

Gdy się w końcu ocknęłam i zdałam sobie sprawę, że mu nie odpowiedziałam, Aidan zdążył odejść.

- Zaczekaj! - zawołałam, lecz on skręcił już za róg. Pobiegłam tak szybko, jak tylko umiałam, nie odrywając wzroku od miejsca, w którym zniknął mi z pola widzenia, ale zdążyłam już wpaść w histerię, cała się trzęsłam i plotłam coś pod nosem, przekonana, że straciłam go na zawsze. Zbyt wiele było tam rogów, zbyt wiele nawzajem przecinających się alejek. Każde skrzyżowanie wyglądało identycznie jak wszystkie inne. Szukałam Aidana w trzech alejkach, jednak nigdzie nie było go widać. W desperacji zaczęłam wypytywać artystów siedzących w białych boksach wśród własnych obrazów.

- Nie widzieliście mojego chłopaka? Mógł tędy przed chwilą iść. Jest wysoki, ma czarną kurtkę z błyszczącymi łątami na barkach.

Nikt go nie widział.

Przemierzałam biegiem wszystkie alejki w obydwu halach. Aidan nie wyszedłby beze mnie. Nie zrobiłby tego. Nie zostawiłby mnie samej. Kompletnie przypadkiem znalazłam się przed stoiskiem Jane Fielder. Nie zapytałam stojącej tam kobiety, czy nazywa się Jane Fielder, nie powiedziałam też, jak bardzo lubię jej obraz, który kupiłam w Spilling Gallery - zdałam sobie sprawę, że myślę wyłącznie o Aidanie. Wszystko, pomyślałam. Wybaczyłabym mu wszystko.

- Czy widziała pani mężczyznę z ciemnymi włosami, wysokiego, w czarnej kurtce z błyszczącymi łątami? - Poklepałam się dłonią po barku.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Ja go widziałam - zawołał ktoś z naprzeciwka. - Szedł tędy jakąś minutę temu. W takiej trochę roboczej kurtce, tak?

Odwróciłam się i zobaczyłam młodą kobietę. Ufarbowane na żółto włosy z czarnymi odrostami i czerwony, wzorzysty szal obwiązany wokół głowy. Chude nogi, jasnoczerwone kabaretki

naciągnięte na czarne rajstopy, ciężkie, czarne buty do pół łydki. Obsługiwała stoisko naprzeciwko, siedząc obok wolno stojącego znaku z napisem „Galeria TiqTaq, Londyn”.

Rzuciłam się w jej stronę, niemal wpadając na nią i przewracając jej krzesło. Zatrzymałam się w ostatniej chwili.

- W którą stronę...? - Przerwałam, gdy coś zwróciło moją uwagę. Zamrugałam, wzięłam głęboki wdech. Nie, nie. Zrobiłam krok w tył. To był jakiś potworny żart.

- W którą stronę poszedł? - dokończyła moje pytanie dziewczyna, widząc, że sama sobie z tym nie radzę. - W tamtą, w kierunku tamtego wyjścia. Nic pani nie jest?

Nic. Musiałam iść, ale brakowało mi sił. Oparłam się o przepierzenie oddzielające stoisko Jane Fielder od sąsiedniego i gapiłam się na wystawę galerii TiqTaq, pocierając czoło lewą dłonią i mocno naciskając palcami na skórę twarzy.

- Ostrożnie, opiera się pani o obraz - usłyszałam za plecami czyjś głos. Nie byłam w stanie nic powiedzieć ani się ruszyć. Mogłam jedynie stać i patrzeć na wiszące naprzeciwko mnie płótno w zielonej, drewnianej ramie. Wyraźnie się wybijało na tle pozostałych. Byłoby tak, nawet gdybym widziała je po raz pierwszy. Należał do innej ligi niż wszystkie dzieła sprzedawane przez TiqTaq.

Abberton. Oprawiony, podpisany, z datą - 2007 rok. Zmusiłam się do zamknięcia oczu, otworzyłam je i spojrzałam jeszcze raz, by upewnić się, że nie mam halucynacji. Podeszłam bliżej, nie widząc nic poza nim. Miałam wrażenie, jakby w całej hali wisiał tylko ten obraz. Teraz zrozumiałam, czemu nazwisko kobiety, którą Aidan rzekomo zabił, brzmiało znajomo, mimo iż sama nigdy mi się nie przedstawiła. Zajmowałam się u Saula robotą papierkową i pewnie wysłałam jej rachunek albo widziałam jej nazwisko na liście zleceń czekających na wykonanie - Saul wszędzie wieszał takie kartki.

To samo nazwisko namalowane było ładnymi, czarnymi literami w prawym dolnym rogu płótna: Mary Trelease.

Jakieś cztery sekundy zajęło mi uświadomienie sobie, że jeśli Mary Trelease namalowała Abbertona w 2007 roku, to Aidan nie mógł zabić jej dawno temu. Popęłnił błąd. Nagle przepęłniło mnie uczucie ulgi. Oczywiście nie był zabójcą. Od początku to wiedziałam. Teraz tylko musiałam go znaleźć i pokazać mu obraz, ale kobieta z

galerii TiqTaq powiedziała, że widziała go idącego w kierunku wyjścia. A jeśli jechał już taksówką na stację King Cross?

Nie chciałam odchodzić od stoiska TiqTaq. Wiedziałam, że nie mogę stracić Abbertona z oczu. Był to mój niepodważalny dowód na to, że Aidan nie zrobił tego, co mu się wydawało. Przyszło mi do głowy, że może być więcej niż jedna Mary Trelease, ale szybko odepchnęłam od siebie tę myśl. Nawet jeżeli faktycznie żyło kilkadziesiąt albo kilkaset kobiet o tym imieniu i nazwisku, to artystka, która zaatakowała mnie w galerii Saula, musiała być tą, o której mówił Aidan. Ona była malarką, on oprawiał obrazy. Oboje mieszkali w Spilling. To nie mógł być przypadek. Może wdali się w bójkę. Może go zaatakowała - co doskonale pasowałoby do jej charakteru - a on się przed nią bronił... W mojej głowie gotowały się najróżniejsze hipotezy, ale na żadnej z nich nie umiałam się skupić. Nadal byłam w szoku, który mącił mój umysł.

- Chcę kupić obraz - zwróciłam się do kobiety z farbowanymi włosami. - Tamten.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Jeśli chciałam zapomnieć o mężczyźnie, którego szukałam, i zamiast tego podnieść jej zysk, to nie zamierzała mnie przed tym powstrzymać.

- Świetnie - powiedziała, choć w jej głosie i zachowaniu trudno było doszukać się prawdziwego entuzjazmu. Nie spojrzała nawet na obraz, który pokazałam. - Niech no tylko znajdę formularz. - Powolnym ruchem, jak ktoś, komu nigdy w życiu się nie śpieszyło, pochyliła się, by otworzyć szufladę biurka.

- Czy mogłaby pani najpierw zaznaczyć go jako sprzedany? - spytałam, usiłując ukryć swoją niecierpliwość. - Nie chcę, by ktokolwiek go oglądał, myśląc, że jest na sprzedaż.

Zaśmiała się.

- Może pani nie zauważyła, ale tłumów to ja tutaj nie mam. Od wczoraj mało kto w ogóle patrzył w moją stronę. - Zdejmując zębami skuwkę z długopisu, powiedziała: - Najpierw ja wypełnię moje pola, a potem pani wypełni swoje. Płaci się całość z góry, to pani wie, prawda? To są targi, więc nie ma systemu zaliczek.

Przytaknęłam.

- Przyjmujemy gotówkę, czeki i wszystkie karty kredytowe. Który obraz panią interesuje?

- Abberton - odparłam. Skłamałam. Wcale mnie nie interesował. Był ostatnią rzeczą na świecie, którą chciałabym mieć. Mary Trelease też nie życzyła sobie, bym go miała. Nie pozostawiła co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie mogłabym zawiesić w swoim domu obrazu, którego autorka nie chciałaby go tam widzieć. Postanowiłam, że jak tylko znajdę Aidana i pokażę mu Abbertona, od razu go komuś oddam. Malcolmowi. Często zachwycał się moją kolekcją.

Żeby tylko Aidan był wciąż w Londynie, pomyślałam. Nie miałam ochoty wieźć Abbertona aż do Spilling. Nie do pomyslenia było dla mnie trzymanie go w domu. Już i tak czułam się przez ten obraz udęczona, mimo iż nawet go nie dotknęłam. Od początku sądziłam, że tkwi w nim jakaś siła - to właśnie mnie do niego ciągnęło - ale po tym, jak jego autorka tak brutalnie mnie upokorzyła, energia bijąca z płótna wydawała mi się wyłącznie negatywna. Było to niedorzeczne, ale bałam się tego obrazu.

- Abberton - powtórzyła niespiesznie kobieta, wpisując tytuł do formularza. - Nazwisko autora?

- Mary Trelease. - Zdziwiło mnie, że muszę jej mówić. Saul Hansard nie musiałby pytać. Jak ta kobieta mogła reprezentować swoich artystów, skoro nie znała nawet tytułów ich prac? Całe jej zachowanie trąciło obojętnością. Zastanawiałam się, jaką prowizję pobierają w TiqTaq. Aidan mówił, że większość galerii liczy sobie pięćdziesiąt procent, nawet jeśli nie podejmują żadnych starań, by wypromować swojego artystę.

- Mary Trelease? - Kobieta spojrzała na mnie z nagłym niepokojem w oczach. Przez chwilę bałam się, że powie mi zaraz coś, co nie mogło być prawdą. Musiała się pani pomylić. Mary Trelease została zabita dawno temu. Zamordowano ją.

Kobieta podeszła do Abbertona i stuknęła w płótno długopisem.

- To ten obraz chce pani kupić? - Niedowierzanie i irytacja w jej głosie dawały mi do zrozumienia, że tylko utrudniam jej życie.

- Tak. - Wyjęłam z portmonetki kartę kredytową, pokazując jej, że nie zamierzam się wycofać z transakcji. Spodziewałam się usłyszeć, że Mary Trelease zabroniła sprzedawać obraz mnie. Ale przecież nie mówiłam tej kobiecie, jak się nazywam. Skąd może wiedzieć, kim jestem?

- Przepraszam, mój błąd - powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Ten obraz już sprzedano.

- Co? Ale... To niemożliwe. Na metce nie ma czerwonej naklejki.
- Zauważyłam po raz pierwszy, że nie ma też na niej ceny. Nic oprócz tytułu i nazwiska Mary Trelease. Wszystkie inne obrazy na stoisku TiqTaq były wycenione, z wyjątkiem kilku oznaczonych jako „Nie na sprzedaż”. Wszystkie też miały wydrukowane metki. Dlaczego etykieta pod obrazem Mary była napisana ręcznie? Czyżby Abberton trafił do stoiska w ostatniej chwili?

- Powtarzam: pomyliłam się. Ktoś kupił ten obraz wczoraj. - Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, ale trzymał się na niej resztkami sił. - Zamierałam dać czerwoną naklejkę, ale zapomniałam. Widocznie byłam czymś zajęta.

- Powiedziała pani, że od wczoraj nikogo tu nie było - wypaliłam.
- Nie wierzę, że sprzedaliście ten obraz. Dlaczego nie chce pani, bym go kupiła? - Musiałam zabrać Abbertona ze sobą. Musiałam. Aidan musiał go zobaczyć. Wiedziałam, że wtedy wszystko między nami wróci do normy, jakby jego wczorajsze wyznanie i dzisiejszy gniew nigdy się nie wydarzyły.

Kobieta otworzyła szeroko oczy, jakby chciała lepiej się przyjrzeć tej dziwaczce, która przed nią stała.

- Myśli pani, że nie chcę zarobić? Bardzo chętnie bym go pani sprzedała, gdyby był na sprzedaż.

Mieszanka konsternacji i desperacji dodała mi skrzydeł i odezwałam się do obcej osoby w sposób, na jaki nigdy bym się nie odważyła, gdyby szło o mniejszą stawkę.

- Proszę mi pokazać formularz sprzedaży - zażądałam. - Chcę zobaczyć pani kopię, żółtą kopię. - Pokazałam palcem na formularz, który zaczęła wypełniać dla mnie. Wszyscy artyści i wszystkie galerie wystawiające na targach miały ten sam formularz z trzema arkuszami: białym, żółtym i zielonym. Poprzedniego dnia widzieliśmy z Aidanem, jak asystentka Glorii Stetbay wypełnia dokument i zatrzymuje żółtą kopię dla siebie.

- Pani chyba żartuje... - Kobieta z farbowanymi włosami spróbowała się zaśmiać, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Podeszłam do niej, a ona stanęła przed obrazem, jakby bała się, że zaraz zedrę go ze ściany.

- Reprezentuje pani Mary Trelease, zgadza się? Skoro jej obraz wisi na tym stoisku, musi pani ją reprezentować. - Aidan nauczył mnie

wszystkiego, co wiem o rynku sztuki. - Jeśli ten obraz sprzedano, to chcę kupić inne jej dzieło. Czy macie inne obrazy Mary Trelease?

- Nie wiem tego. Musiałaby pani zajrzeć do naszej galerii przy Charlotte Street i...

- Czy teraz ktoś tam jest? - Nie zamierzałam się poddawać. Okłamywałam mnie i planowałam zmusić ją, by się do tego przyznała. - Niech pani zadzwoni i spyta. Proszę powiedzieć, że jest tu ktoś, kto chce kupić dowolny obraz autorstwa Mary Trelease, jeśli jest podpisany i datowany i jeśli został namalowany stosunkowo niedawno.

- Nie ma tam nikogo, kto by... Proszę mnie nie... - Coraz bardziej się plątała. Rozłożyła dłonie i powoli je zniżyła w uspokajającym geście. - Szczerze mówiąc, nie sądzę, byśmy mieli inne jej obrazy.

- Reprezentuje ją pani czy nie?

- Nie mogę omawiać szczegółów naszej współpracy z artystą...

- ...który nie chce sprzedawać swoich prac - warknęłam. - Mam rację? Mary Trelease nikomu nie sprzedaje swoich obrazów. Dlaczego? - Byłam pewna, że moje przeczucie jest słuszne. Mary często przynosiła Saulowi obrazy do oprawienia, za każdym razem kompletnie mnie ignorując, ale on nigdy nie wieszał ich w galerii. Zawsze wystawiał obrazy ludzi, dla których robił ramy, twierdząc, że to najlepszy sposób na zareklamowanie swojej pracy. Więc czemu nie Mary Trelease?

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi - odparła kobieta z TiqTaq. - Wiem tylko, że sprzedaliśmy jeden jej obraz. Właśnie ten. - Wetknęła kciuk w płótno Abbertona. - Nic na to nie poradzę. Nie mogę anulować tej transakcji. Bardzo chętnie sprzedam pani dowolny inny obraz z naszej kolekcji. Wszystkie są dostępne.

Pokręciłam głową.

- Jeśli sprzedaliście Abbertona, to kupiec w końcu się tu zjawi, żeby go odebrać, prawda? Wiadomo, kiedy to będzie?

Targi różniły się od wystaw w galeriach, Aidan powiedział mi to poprzedniego dnia. Nie trzeba było czekać do końca imprezy z odebraniem swoich zakupów - można to było zrobić w dowolnym momencie przed końcem ostatniego dnia.

Nie uzyskałam odpowiedzi, więc dalej naciskałam.

- Kupiec się po niego zgłosi czy zapłacił za dostawę do domu? Może to pani dla mnie sprawdzić na żółtym arkuszu?

- Nie, nie mogę. Nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym... Naprawdę nie sądzę, bym potrafiła pani pomóc. Mam nadzieję, że nie będę musiała wzywać ochrony.

Doznałam wstrząsu na myśl, że ktoś może się czuć zagrożony przeze mnie.

- Pójdę sobie - powiedziałam. - Ale... czy mogłaby pani wyświadczyć mi jedną przysługę?

Patrzyła na mnie podejrzliwie, spodziewając się najgorszego.

- Czy mogłaby pani dopilnować, by ten obraz został na miejscu do czasu, aż tu wrócę? Nie chcę go kupić, nie zależy mi na nim. Ale muszę pokazać go swojemu narzeczonemu... Nie wiem, gdzie on teraz jest.

- Temu wysokiemu facetowi w roboczej kurtce, którego pani szukała?

Przytaknęłam.

Kobieta westchnęła, nieco łagodniejąc.

- Postaram się - rzekła - ale jeśli kupiec przyjdzie go odebrać, nie będę mogła wiele wskórać.

Odeszłam, nie mówiąc „dziękuję” i nie żegnając się. Już i tak zmarnowałam dostatecznie dużo czasu. Miała rację. Jeśli faktycznie Abberton został sprzedany, to kupiec mógł się po niego zjawić w każdej chwili. Wybiegłam na ulicę i wystawiłam dłoń, by złapać taksówkę, ale szybko zorientowałam się, że przed budynkiem targów nie ma żadnych taksówek, jedynie kilka osób wyglądających tak, jakby na kogoś czekały. Jedna z nich spojrzała na zegarek, westchnęła i odeszła.

Zacisnęłam zęby. Jakaś taksówka musiała w końcu przyjechać. Potrzebowałam dostać się do hotelu - wiedziałam, że znajdę tam Aidana. Na pewno wrócił, żeby nas wypisać, zabrać naszą torbę i obraz Glorii Stetbay. W oddali pojawiła się taksówka. Jakaś kobieta w szarym garniturze i z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha podeszła do krawężnika, żeby ją zatrzymać. Otworzyła tylne drzwi. Podbiegłam do niej z otwartym portfelem i zaoferowałam dwadzieścia funtów w zamian za oddanie mi kolejki. Wyjaśniłam, że to nagły wypadek. Nie wyglądała na przekonaną, ale wzięła banknot i odstąpiła mi taksówkę.

Przed hotelem kazałam kierowcy poczekać. Nie miałam cierpliwości, by czekać na windę, więc pobiegłam po schodach do pokoju 436. Walłam w drzwi, wołając Aidana.

- Proszę, bądź tutaj - szeptałam do siebie samej. - Proszę.

W końcu drzwi się otworzyły, ale tylko trochę. Usłyszałam kroki. Popchnęłam drzwi do końca, uderzając nimi o ścianę. Aidan stał w pokoju, plecami do mnie. Mniej gościnny byłby chyba tylko, zostawiając mnie samą na korytarzu. Nie obchodziło mnie to. Wiedziałam, że jego uraza zniknie w chwili, gdy powiem mu, co wiem.

- Mary Trelease - wydusiłam z trudem. Gwałtownie się do mnie odwrócił.

- Jak ona wygląda? - spytałam.

- Nie wiem. Zależy od tego, jak długo rozkłada się ludzkie ciało. Trzeba by spytać lekarza sądowego.

- Chuda, gęsta czupryna czarnych, lekko siwiejących, kręconych włosów, wytworny akcent, zepsuta cera, pomarszczona jak u starej kobiety. Jasnobrązowe znamię pod dolną wargą, przypominające kształtem... taki podwójny klucz do śrub albo narysowaną przez dziecko kość.

Aidan zawył, rzucając się na mnie przez cały pokój i zaciskając dłonie na moich ramionach. Krzyknęłam, wystraszona siłą jego reakcji.

- O czym ty mówisz? - powiedział. - Skąd wzięłaś ten rysopis?

- Poznałam ją. Aidan, musisz mnie posłuchać. Nie zabiłeś jej. Ona nie jest martwa. To artystka, prawda? Pamiętasz kobietę, o której ci opowiadałam? Tę, z którą się pokłóciłam w galerii Saula? To była ona! Obraz, który wtedy przyniosła i który chciałam kupić - właśnie go widziałam na targach, w stoisku galerii TiqTaq. Obraz ma tytuł Abberton. To sylwetka człowieka, ale bez twarzy...

Aidan mnie puścił i zatoczył się do tyłu, jakby ktoś go uderzył.

- Nie... - powiedział. Wytarł dłonią białe plamki, które pojawiły się w kącikach jego ust. Zaczął się obficie pocić. - Zamknij się, zamknij się. Kłamiesz. Co ty ze mną wyprawiasz?

- Pomyliłeś się! - zawołałam tryumfalnym tonem. - Nie zabiłeś jej. Ona żyje. Ten obraz, Abberton, został namalowany w dwa tysiące siódmym roku. Nie był oprawiony, gdy ją poznałam pół roku temu, a

teraz jest w ramie. Aidan, ona żyje. - Nie musiałam pytać, czy opisałam właściwą kobietę. Twarz Aidana zbieleła z przerażenia.

- Zabiłam Mary Trelease - rzekł. - Ale może ty od początku to wiedziałaś. Może dlatego pojawiłaś się w moim warsztacie, prosząc o pracę, a teraz mówisz mi o jakimś obrazie. - Furia biła z jego oczu. - Kim jesteś naprawdę, Ruth Zinto Bussey? - Zawarty w tym pytaniu sarkazm wstrząsnął moim sercem. - Jaki miałaś plan? - Podszedł do mnie powolnym krokiem. - Rozkochać mnie w sobie, a potem mnie zniszczyć? Doprowadzić do obłądu? Czy to cały wymiar mojej kary czy mogę się spodziewać czegoś więcej? Zamierzasz iść na policję?

- Nie wiem, o czym mówisz - odparłam zapłakana. - Nie ma żadnego planu. Kocham cię! Nie próbuję cię ukarać, chcę, żebyś wiedział, że nie zrobiłeś nic złego. Pojedź ze mną do Alexandra Palace, pokażę ci ten obraz. Taksówka czeka przed hotelem.

Spojrzał na mnie, przeze mnie.

- Abberton... - wymówił beznamiętnym głosem. - Twierdzisz, że znajdę na targach obraz zatytułowany Abberton i namalowany przez Mary Trelease?

- Tak! Namalowany w dwa tysiące siódmym roku. Ale musimy jechać teraz. Kobieta ze stoiska powiedziała, że ktoś go kupił. Nie wierzę jej, ale nie mam pewności i jeśli ktoś przyjdzie go odebrać...

Aidan wziął portfel i naszą czarną torbę, po czym wyszedł na korytarz, odpychając mnie na bok. Obraz Glorii Stetbay - mój prezent zaręczynowy - zostawił oparty o ścianę. Widząc, jak trzaska za sobą drzwiami, wiedziałam, jaka jest jego odpowiedź na pytanie, które bałam się zadać. Zaręczyny były zerwane. Aidan nie wspomni już o nich ani słowem.

Gdy i ja dotarłam wreszcie do taksówki, Aidan siedział już w środku tak, jakby czekał na mnie od dłuższego czasu: skulony i ponury.

- Wsiadaj - powiedział. Nie rozumiałam. Zachowywał się tak, jakby to on zmuszał mnie do powrotu na targi, chociaż propozycja wyszła ode mnie. - Alexandra Palace - poinstruował kierowcę. - Tak szybko, jak tylko się da.

- Odezwij się do mnie, proszę - błagałam go. - Co się wydarzyło między tobą a Mary Trelease? Dlaczego myślałeś, że ją zabiłeś? Czemu sądzisz, że chcę doprowadzić cię do obłądu? Po co miałabym to robić? - Byłam tak pewna, że koszmar skończy się z chwilą, gdy

powiem mu o Abbertonie, ale okazało się inaczej. Nie mogłam znieść tego rozczarowania. Ukryłam twarz w dłoniach i rozplakałam się.

- Nie płacz - powiedział Aidan. - To ci w niczym nie pomoże.

- Proszę, powiedz mi, co się dzieje!

- Nie powinienem był ci tego mówić. Ani nawet wspominać jej nazwiska.

- Dlaczego mi nie ufasz? Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś. Kocham cię. Powinnam była powiedzieć to wczoraj, jak tylko mi to wyznałeś, ale byłam zdezorientowana. Wiedziałam, że to niemożliwe, że nikogo nie zabiłeś!

- Mów ciszej.

- Dlatego mnie zatkało. Nie dlatego, że zmieniłam swój stosunek do ciebie pod wpływem twoich słów, ale dlatego, że w nie nie wierzyłam. To nazwisko - Mary Trelease. Wiedziałam, że skądś je znam, ale nie mogłam sobie przypomnieć, skąd. Pewnie widziałam je na jakimś rachunku, gdy pracowałam u Saula. - Przerwałam, tracąc oddech.

Aidan na mnie nie patrzył, ale ujął moją dłoń i mocno ją ścisnął. Patrzył przez okno, głęboko nad czymś zamyślony, nad czymś, czego nie mogłam dostrzec, czym nie chciał się ze mną podzielić. Nad czymś ze swojej przeszłości. Niemal szeptem zapytałam:

- Czy ty i Mary Trelease wdaliście się w jakąś... bójkę? - Wyobraziłam sobie, że Aidan ją popycha, ona upada i uderza w coś głową. Aidan panikuje i ucieka, sądząc, że ją zabił...

- Już cicho... - Powoli wypuścił powietrze z płuc. Jakbym była dzieckiem, wciąż dostatecznie małym, by przyjąć pozbawione jakiegokolwiek treści pocieszenie. Wiedziałam, że nie ma sensu zadawać mu kolejnych pytań.

Dojechaliśmy do Alexandra Palace, a ja zapłaciłam kierowcy.

- Pamiętasz numer stoiska? - zapytał mnie Aidan.

- Naprzeciwno Jane Fielder. Numer... numer... - Zamęt w mojej głowie odebrał mi pamięć.

- Sto siedemdziesiąt jeden - powiedział.

Szłam za Aidanem, który przepychał się przez tłum ludzi zwiedzających targi powolnym krokiem, chodzących od stoiska do stoiska, tak jak my dwoje dzień wcześniej. Wydawało mi się, że od tamtego dnia minęła cała wieczność.

- Tam - wyrwało mi się, gdy zobaczyłam z oddali szyld galerii TiqTaq. Spojrzałam na zegarek: trzecia. Do hotelu pojechałam o wpół do drugiej. Serce podeszło mi do gardła, krew pulsowała w uszach.

Dziewczyny z farbowanymi włosami już nie było. Na jej miejscu siedziała starsza kobieta z preraphaelicką fryzurą: długim warkoczem zawiniętym w stożkowaty kok nad karkiem. Ubrana była w biały, lniany kostium przylegający do ciała, czerwony T - shirt z głębokim dekoltem i brązowe sandały z kolorowymi koralikami. Miała opalone dłonie, stopy i twarz. Podchodząc do stoiska, Aidan powiedział:

- Nic tutaj nie wygląda jak obraz, który opisałaś. - Odwrócił się z obrzydzeniem.

Obrazu Mary faktycznie nie było na wystawie. Zamiast niego wisiało dzieło o identycznych rozmiarach przedstawiające nagą kobietę stojącą obok kury. Miała potargane włosy, a ręce i nogi tak grube, jak u rugbisty. Kimkolwiek była, nienawidziłam jej. Nie miała prawa zajmować miejsca, w którym powinien wisieć Abberton. Wiedziałam, że tak się stanie. Wiedziałam. Przez całą drogę do Alexandra Palace miałam uczucie nie nadziei, lecz strachu: byłam przekonana, że obraz Mary Trelease zniknie, choć próbowałam sobie wmówić, że będzie inaczej. Czytałam o negatywnych myślach wywołujących negatywne skutki i teraz obwiniałam siebie za zniknięcie obrazu.

- Kupiec musiał go już zabrać - powiedziałam Aidanowi. - Był tu, przysięgam. - Chwyciłam go za rękę, usiłując zmusić, by na mnie spojrzał, ale on mnie odepchnął.

- Przepraszam - odezwałam się do kobiety z zawiniętym warkoczem dostatecznie głośno, by Aidan słyszał mnie z drugiej strony alejki. - Byłam tutaj przed południem. Rozmawiałam z pani koleżanką, tą z farbowanymi włosami.

- Z Ciarą - odparła kobieta, uśmiechając się. - Już jej nie ma. Nazywam się Jan Garner. Jestem właścicielką galerii TiqTaq. W czym mogę pani pomóc?

- Miała pani obraz pod tytułem Abberton. Namalowany przez Mary Trelease. Wisiał na tej ścianie. - Wskazałam na nagą kobietę z kurą.

Jan Garner pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - Nie mieliśmy takiego obrazu, nie mógł tam wisieć. Musiała się pani pomylić.

Odjęło mi mowę. Mimo doprowadzonej do perfekcji umiejętności obawiania się najgorszego, takiego rozwoju wypadków się nie spodziewałam. Dlaczego ta elegancka, uprzejma, wyrafinowana kobieta kłamała mi w żywe oczy? Musiała zdawać sobie sprawę, że wiem, iż mnie okłamuje.

- Ten obraz był tu dzisiaj jeszcze o wpół do drugiej - naciskałam. - Ta dziewczyna, Ciara, powiedziała mi, że ktoś go wczoraj kupił. Najwyraźniej osoba ta zdążyła go odebrać.

- Nigdy nie lubiłam mówić ludziom, że się mylą, ale niestety nie mam wyboru. Jest pani w błędzie. - Jan Garner wyjęła z jakiejś teczki arkusz papieru. - Proszę spojrzeć, to jest lista wszystkich dzieł, które przywieźliśmy na targi. Są tu tytuły i nazwiska artystów. Na liście nie było obrazu Mary Trelease ani jej nazwiska.

- Ale... on tu był! - Odwróciłam się w stronę Aidana, który odszedł dalej. Po napięciu pleców i barków widać było, że słucha uważnie mojej rozmowy, udając zainteresowanie obrazami z innego stoiska.

Jan Garner pokręciła głową.

- Przykro mi - odrzekła. - Gdy zastępowałam Ciarę, powiedziała mi, że niczego dotąd nie sprzedała. To znaczy, że wiszą tutaj te same obrazy, które wisiały dzisiaj rano. Nic się nie zmieniło. Czy pani...?

Nie usłyszałam drugiej części jej pytania. Aidan zaczął odchodzić, więc pobiegłam, by go dogonić. Bałam się znowu go zgubić.

- Zaczekaj! - krzyknęłam za nim. - Ona kłamie! Przysięgam na swoje życie! Wróć tam ze mną, udowodnię ci to. Zapytamy ludzi z sąsiednich stoisk. Musieli widzieć Abbertona.

- Zamknij się. - Chwycił mnie za ramię i wyprowadził z hali do foyer. - Natychmiast mi to wytłumacz. Wszystko, ze szczegółami.

- Już ci powiedziałam...

- Powiedz jeszcze raz. Abberton. Co na nim jest? Co przedstawia? Co powiedziała ci ta druga kobieta - Ciara? Co się wydarzyło w galerii Saula między tobą a kobietą, którą bierzesz za Mary Trelease? Co sobie powiedziałyście?

- Nie pamiętam dokładnie. To było pół roku temu.

- Nie obchodzi mnie, kiedy to było! - zawył Aidan. Stojący wokół nas ludzie zaczęli się nam przyglądać, więc zniżył głos. - Muszę wiedzieć. Zaczynaj mówić.

Tak, też zrobiłam. Opisałam obraz: stanowiącą tło ulicę namalowaną zieleniami, fioletami i brązami i zarys ludzkiej sylwetki wypełniony przyklejonymi do płótna kawałkami twardego materiału przypominającego gazę. Powiedziałam, że niektóre z nich były pomalowane i wyglądały jak klejnoty. Słuchając mnie, Aidan wydawał ciche jęki przez zaciśnięte zęby, jakby każde słowo sprawiało mu nieznośny ból, ale ilekroć przerywałam, zmartwiona efektem, jaki wywiera na nim mój opis, kazał mi mówić dalej.

Zrelacjonowałam mu swoją rozmowę z Ciarą. Aidan chciał wiedzieć o każdym jej spojrzeniu, każdym geście, o najmniejszym załamaniu w jej głosie. Potem powiedziałam mu tyle, ile tylko mogłam, o zajściu w galerii Saula. Przemilczałam czerwoną farbę.

Przestałam się martwić tym, że niczego nie rozumiem. Aidan był w tym samym położeniu - widziałam to wyraźnie w tym, jak z każdym moim słowem pogłębiają się zmarszczki na jego czole. Jak już zrozumie, powie mi - miałam taką nadzieję. Przynajmniej zdawał mi się wierzyć. Pocieszałam się myślą o tym, że Mary Trelease żyje.

W taksówce, w drodze do stacji King Cross, Aidan nie powiedział ani słowa. Żadne z nas nie wspomniało o obrazie Glorii Stetbay. Cztery tysiące funtów i prawdopodobnie zostanie znaleziony przez pokojówkę i wyrzucony do kosza. Powinnam była po niego wrócić - teraz to wiem. Przestępstwem było go tam zostawić, ale w tamtych okolicznościach nie czułam się uprawniona, by się o ten obraz upomnieć, skoro Aidan postanowił zostawić go w hotelu.

W pociągu, gdy minęło dobre czterdzieści minut od wyruszenia z Londynu, w końcu się odezwał.

- Jak przyjedziemy, zajrzemy najpierw do mnie, weźmiemy kilka rzeczy i pojedziemy do ciebie - rzekł. - Wprowadzam się do twojego domu. Od tej chwili nie spuszczę cię z oka. - Powiedział to tak, jakby ogłaszał wyrok, jakby propozycja zamieszkania ze mną była dla mnie karą, a nie czymś, o czym marzyłam od dnia, kiedy go poznałam.

- Dobrze. - Badałam wzrokiem twarz Aidana, starając się domyślić sensu jego słów. Czyżby się o mnie martwił i chciał być blisko, by mnie chronić? Czyżby sądził, że Mary Trelease nam zagraża? A może nie ufał mi i w związku z tym zamierzał patrzeć na każdy mój ruch?

Czy teraz, wiedząc, że nie zabił Mary Trelease, żałował, że tego nie zrobił?

Nie potrafiłam odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

- Bardzo bym chciała, żebyś ze mną zamieszkał - powiedziałam.
Ale moja kara jeszcze się nie skończyła. Aidan odparł:

- Chcę zobaczyć ten dowód, który mi obiecałaś. Jeśli obraz Abberton naprawdę istnieje, jeśli go nie zmyśliłaś, znajdź go. Znajdź i przynieś, żebym go zobaczył.

Rozdział 8

4/3/08

Simon wiedział, że coś jest nie tak, jak tylko wszedł do gabinetu Prousta. Bardziej niż zwykle: temperatura spadła poniżej zera, a przecież nie otworzył jeszcze ust. Nieznany mu mężczyzna z szarą kopertą w dłoni stał oparty o ścianę za plecami inspektora. Obaj milczeli, najwyraźniej sądząc, że to Simon zacznie rozmowę - czego nie mógł zrobić, bo nie miał bladego pojęcia, po co został wezwany. Postanowił ich przeczekać.

O ile Mroźny nie porzucił jednej ze swoich żelaznych zasad, o których często rozprawiał, mówiąc, jak doskonale mu służą od ponad pięćdziesięciu lat - a taka ewentualność wydała się Simonowi mało prawdopodobna - to otepiający intensywnością zapach wody kolońskiej musiał pochodzić od tego drugiego. Proust odnosił się z rezerwą do pachnących mężczyzn. Simon domyślał się, że ta dezaprobata dotyczyła też zapachu glonów morskich pomieszanych z kwasem.

Mężczyzna był ubrany w jasnobrązowy garnitur, białą koszulę i zielony krawat z jedwabiu lub innego lśniącego materiału. Wyglądał na prawie czterdzieści lat i miał oczy zblazowanego krupiera z Las Vegas, kompletnie niepasujące do jego różowiutkiej, nieskazitelnej twarzy. Dział kadr? Mroźny go nie przedstawił.

- Gdzie byłeś wczoraj po południu i wieczorem? - zapytał Simona.

Nie wie, nie może wiedzieć.

- Pojechałem do Newcastle, zacząłem zbierać zeznania...

- Spytałem jeszcze raz: gdzie byłeś?

Krupier sprawiał wrażenie równie wkurzonego jak Proust. Simon stężał. Czyżby wpadł w tarapaty innego rodzaju i zupełnie nowych rozmiarów? Trudno było powiedzieć. Przy Prouście zawsze miał wrażenie, że dymisja czyha tuż za rogiem. Czy był bliski popełnienia największego błędu w swojej karierze zawodowej? Czyżby już go popełnił?

- Pojechałem za Aidanem Seedem do Londynu, sir. Inspektor przytaknął.

- Mów dalej.

- Sierżant Zailer i ja rozmawialiśmy wczoraj po południu z Seedem i Ruth Bussey. Po tym spotkaniu oboje byliśmy jeszcze bardziej...

- Daruj mi wyjaśnienia. Chcę wiedzieć o wszystkich twoich ruchach od momentu, gdy wsiadłeś do samochodu, by śledzić Seeda, aż do chwili, gdy wróciłeś do domu.

Żałując, że nie wie, kim jest krupier i dlaczego bierze udział w spotkaniu, Simon wykonał polecenie Prousta. Gdy doszedł do momentu, w którym nakrył Seeda w Domu Przyjaciół, inspektor i jego anonimowy gość wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Simon opowiedział o zebraniu kwaków, a krupier poprosił go, by zrelacjonował wszystko, co tam słyszał. Mówił z ciężkim londyńskim akcentem. Simon czekał, że Proust powie „To ja będę zadawał pytania”, ale mocno się rozczarował.

Powiedział wszystko, co pamiętał: wspomniał o dziewczynie Popeye'a, o grubym, spoconym, łysym mężczyźnie, o Franku Zappie, o Potężnej Inności, przytoczył nawet cytaty o tym, że sztuczce nie są wieczne.

- Ile spośród zebranych tam osób mógłbyś dokładnie opisać? - spytał krupier.

- Obydwoje mówców bez problemu - odparł Simon. Gliniarz? - Było tam też trzech kloszardów. Myślę, że przyszli na darmowe żarcie. Ich pewnie też mógłbym opisać, ale niedokładnie.

- Wyszedłeś przed końcem spotkania? - spytał Proust. - Tak.

- O której to było?

- Nie wiem. Koło ósmej.

- I dokąd poszedłeś?

- Z powrotem do Ruskington Road, gdzie zaparkowałem.

- Czy samochód Seeda ciągle tam stał? Przed domem numer dwadzieścia trzy?

- Tak.

- Pojechałeś prosto do domu?

- Nie, sir. Podeszedłem do numeru dwadzieścia trzy i zajrzałem przez okna parteru i przez okno piwnicy.

- Co zobaczyłeś?

- Niewiele. Puste pokoje.

- Puste: bez ludzi czy kompletnie puste?

- Bez ludzi. Były umeblowane,

- Zakładam, że będziesz w stanie podać detektywowi konstablowi Dunningowi pełny opis każdego pokoju, wraz z pełną listą wszystkich mebli.

Detektyw Dunning. Z Londynu?

- Tak jest, sir. Postaram się.

Krupier zrobił krok w przód, otworzył brązową kopertę i położył na biurku powiększoną, kolorową fotografię: fasadę domu przy Ruskington Road 23. Długopisem pokazał na prawy wykusz.

- Patrzyłeś przez to okno?

- Tak.

- Co widziałeś?

- Stół jadalny i krzesła. Na stole był szklany blat. Kredens pod ścianą. - Choć działo się to zeszłego wieczora, Simon nie był pewien. Zajrzał tylko i stwierdził, że w środku nie ma nic interesującego: nie było żadnych półek z książkami o kwakrach, niczego, co łączyłoby dom z osobą Seeda. - Być może jeszcze dywan i... wysoka roślina w doniczce? Tak, była tam roślina.

Dunning i Proust znów po sobie spojrzeli.

- Coś jeszcze? - spytał ten pierwszy.

- Nie pamiętam.

- A co było na ścianach?

- To znaczy chodzi o...?

- Czy coś wisiało na ścianach?

Simon z trudem przywołał w głowie obraz pokoju.

- Nie wiem. Nie zauważyłem.

- Obrazy? Zdjęcia?

- W środku było ciemniej niż na zewnątrz. Jeśli były tam obrazy, nie widziałem... - Przerwał. Nadszedł właśnie najgorszy moment na popełnienie błędu. Myśl. - Coś musiało na nich wisieć - powiedział w końcu.

- A czemuż to? - spytał Proust.

- Tak jak mówię, niczego nie zauważyłem. Gołe ściany na pewno zwróciłyby moją uwagę. Ludzie zazwyczaj coś wieszają, prawda? Powiem tak: nie zauważyłem w tym pokoju niczego dziwnego. Wyglądał na... zamieszkany. Normalny.

- Czy cokolwiek opierało się o ścianę? - zapytał Dunning. Simon nie miał pojęcia, o czym on mówi.

- Nie - odparł. - Na przykład co?

- Twierdzisz, że pokój wyglądał na zamieszkania?

- Zgadza się.

- Zatem nic nie wskazywało na to, że mieszkańcy wprowadzili się do tego domu niedawno?

- Nie. Co na przykład?

- Skrzynie, może jakieś obrazy oparte o ścianę, czekające na zawieszenie? Haczyki, młotek? Tekturowe pudła z napisem „jadalnia”?

- Nie. Nic z tych rzeczy.

Dunning zabrał fotografię i włożył ją z powrotem do koperty.

- Co potem? - spytał Proust.

Złe przeczucia, które dręczyły Simona w związku z tym przesłuchaniem, przybierały na sile z każdym kolejnym pytaniem.

- Poszedłem kupić kebab na wynos z knajpy, którą mijalem, jadąc w tamtą stronę. Nie pytajcie mnie, gdzie była i jak się nazywała. Na skrzyżowaniu Ruskington Road i Muswell Hill trzeba skręcić w prawo i jechać prosto jakieś czterysta metrów. Kupiłem kebab, wróciłem na Ruskington Road i siedziałem w samochodzie, czekając na Seeda.

- Czyli obserwowałeś samochód Seeda i dom numer dwadzieścia trzy - powiedział Proust.

- Zgadza się.

- Czy Seed wrócił?

- Tak. Około wpół do dziesiątej. On i kobieta, którą widziałem na zebraniu, mówczynie z czarnymi włosami upiętymi z tyłu głowy, szli razem w stronę domu numer dwadzieścia trzy.

- Rozmawiali ze sobą? - spytał Dunning.

- Ona mówiła.

- Słyszałeś coś? - Nie.

- Pamiętasz ton głosu? Potrafiłbyś ocenić jej nastrój?

- Dobry - odparł Simon bez wahania. - Nawijała jak ludzie, którzy są szczęśliwi lub podekscytowani. Zatrzymali się przy samochodzie Seeda. On otworzył bagażnik i coś z niego wyjął...

- Co? - spytał niecierpliwie Dunning.

- Nie widziałem. Stała tam furgonetka, która mi ich zasłaniała. Nie wiem, co Seed wyjął z samochodu, ale wszedł z tym do domu. Drzwi otworzyła kobieta. Puściła Seeda przodem i oboje weszli do środka. Światło zapaliło się w pokoju, który pokazywałeś mi na

zdjęciu. Podjechałem kawalek, żeby zrównać się z budynkiem i zajrzeć do środka, ale musiałem się ruszyć, bo z tyłu nadjeżdżały inne auta. Na Ruskington Road samochody parkują po obu stronach, więc nie ma miejsca na omijanie. Zdażyłem zobaczyć kobietę zaciągającą zasłony i stojącego za nią Aidana Seeda. - Simon spojrzał na Dunninga. - Potem pojechałem do domu. - Odchrząknął, zdając sobie sprawę, że nieumyślnie skłamał. - To znaczy... pojechałem do domu sierżant Zailer.

- Mówi ci coś nazwisko Len Smith? - spytał Dunning.

- Nie. - Simon miał już dosyć. Ten człowiek był detektywem jak on. Współpraca powinna działać w obie strony. - O co chodzi? Coś się tam stało po tym, jak odjechałem?

Dunning wyjął z koperty następne zdjęcie i pokazał je Simonowi.

- Widziałeś kiedyś tę osobę?

Simon gapił się na kobietę z obfitym makijażem i krótkimi włosami, które zdawały się odpływać falami od czoła do tyłu głowy. Mimo kompletnie innego wyglądu od razu ją poznał.

- Tak. To ona, kobieta, która przemawiała na zebraniu kwaków. - Oliwka.

- Ta sama, którą widziałeś, jak wchodzi w towarzystwie Seeda do domu przy Ruskington Road dwadzieścia trzy? - sprecyzował Dunning.

Simon przytaknął.

- Nazywa się Gemma Crowther. Zeszłej nocy została zabita. - Dunning obwieścił to takim tonem, jakby mówił Simonowi o wynikach minionej kolejki ligowej. - Zastrzelona. W jadalni, przed północą. Wtedy dokładnie jej partner, Stephen Elton, przyszedł do domu i znalazł zwłoki. Też był na spotkaniu kwaków, ale został dłużej, żeby posprzątać.

- Łysy grubas? - spytał Simon.

- Nie. - Dunning rzucił na biurko Prousta zdjęcie Oliwki i wyjął z koperty następne, przedstawiające młodego mężczyznę - dwudziestoparoletniego, chyba że fotografia była stara - z wydatnymi policzkami i długimi do ramion, blond włosami. Odrobina makijażu jego dziewczyny i mógłby śpiewać w zespole glamrockowym. - Widziałeś go?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

Dunning dalej trzymał zdjęcie w górze, mówiąc:

- Widziałeś Gemmę Crowther całą i zdrową o wpół do dziesiątej...

- Seed ją zabił - powiedział Simon. Gdy wypowiadał te słowa, zdał sobie sprawę, że powinien był odczekać, zamiast pokazywać Dunningowi, że wyciąga pochopne wnioski przed poznaniem faktów. Za późno. - Złapaliście go?

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię, Waterhouse. Obecny stan jest taki, że mam ciebie na miejscu zbrodni jako ostatnią osobę, która widziała Gemmę Crowther żywą.

- Nie licząc Seeda?

Dunning ciągnął, jakby Simon w ogóle się nie odezwał.

- Mam dwóch świadków, którzy twierdzą, że zachowywałeś się dziwnie przed jej domem: zaglądałeś do okien, siedziałeś w samochodzie, obserwując okolicę. Zanotowali sobie numer rejestracyjny twojego wozu. Wzięli cię za niedoszłego włamywacza, który czeka na właściwy moment.

- Wyjaśniłem już, co tam robiłem.

- Jesteś jedyną osobą, która twierdzi, że Aidan Seed był na zebraniu kwaków, a potem przy Ruskington Road dwadzieścia trzy, a wiem, że masz luźny stosunek do kłamstwa. Przed chwilą byłem świadkiem, jak okłamujesz swojego szefa, gdy pytał cię, co robiłeś wczoraj wieczorem. Słyszałem też, że miewasz napady agresji i zachowania obsesyjne. Jesteś detektywem dłużej ode mnie, sam połącz te fakty i powiedz mi, co o nich sądzisz.

Ostatnimi laty Simon nauczył się widzieć trzymanie nerwów na wodzy jako przejaw siły. Dunning próbował wytrącić go z równowagi, musiał więc zaprząć cały swój gniew w stawienie mu oporu. Od niedawna potrafił zamienić się w skałę - umiał stać się nieprzepuszczalny. Przestał sądzić, że dowodem słabości jest niepowalanie ludzi na ziemię, gdy go wkurzali.

- Nie rozumiem, dlaczego chciało ci się śledzić Aidana Seeda aż do Londynu, zamiast ułatwić życie sobie i innym, wykonując otrzymane polecenia - powiedział Dunning. - Będziesz musiał mi to wyjaśnić. Mężczyzna, który nie popełnił żadnego przestępstwa...

- Doprawdy? Skoro Gemma Crowther zginęła przed północą, a ja widziałem Seeda w jej domu o wpół do dziesiątej...?

- W zebraniu kwaków brało udział trzydzieści siedem osób - odparł Dunning. - Albo wszyscy kłamią, albo nikt z nich nie zna żadnego Aidana Seeda. Według nich i według jej partnera, Stephena Eltona, Crowther opuściła Dom Przyjaciół w towarzystwie Lena Smitha, pracownika opieki społecznej z Maida Vale, który był jej bliskim przyjacielem.

- Czy jego rysopis pasuje do Seeda? - zapytał Simon. - Pracownik opieki społecznej z Maida Vale? Domyślam się, że nie udało się wam go znaleźć?

- Wiem, że Smith uczęszczał na zebrania regularnie od kilku tygodni.

- Nie ma żadnego Lena Smitha! To był Seed - to on jest zabójcą. Widziałem, jak wchodzi z nią do tego domu. O ile któryś z pańskich świadków widział go odjeżdżającego, gdy Crowther jeszcze żyła...

- Żaden z moich świadków nie widział, żebyś ty odjeżdżał wtedy, gdy twierdzisz, że odjechałeś - obwieścił Dunning z uśmiechem zadowolenia, jego pierwszym. - Czyli krótko po wpół do dziesiątej.

- Nie odjechałem o tej godzinie czy świadkowie nie widzieli, żebym odjechał? - odparł gniewnie Simon. - To spora różnica. Spytaj swoich świadków, czy widzieli samochód Seeda przed domem Crowther. Znajdź zdjęcie Seeda i pokaż je ludziom z zebrania kwaków. Powiedzą ci, że to jego znają jako Lena Smitha.

Dunning rzucił mu spojrzenie, które Simon sam wielokrotnie stosował w kontaktach z małomównymi bandziorami.

- To jakiś żart - rzekł Simon. - Ja? Jestem po waszej stronie. Zamykam morderców za kratkami.

Proust siedział skulony nad biurkiem niczym posąg i milczał.

- Pracuję w dwunastoosobowym zespole - powiedział rzeczowo Dunning. - W naszym zespole każdy trzyma się wyznaczonych zadań. Różni detektywi badają różne aspekty śmierci Gemmy Crowther i zgadnij, co ja dostałem. Ciebie, kotku. A to znaczy, że przejedziesz się ze mną na wycieczkę do stolicy, gdzie rozwinięsz opowieść, którą usłyszałem dzisiaj od twojego inspektora: o tobie i sierżant Zailer - twojej narzeczonej, jak rozumiem?

Simonowi nie podobał się sposób, w jaki Dunning to powiedział - jakby jego związek z Charlie był podejrzanym, jakby odejmował im obojgu wiarygodności. Kotku? Czy Dunning naprawdę tak się do niego zwrócił, czy to wyobraźnia płatała mu figle?

- I o waszej wspólnej fiksacji na punkcie Aidana Seeda, jego dziewczyny, Ruth Bussey, i niejkiej Mary Trelease.

- Czyli o osobach, które powinniście przesłuchać - odparł Simon. - Zrobiliście to?

- Wy tłumaczysz mi, skąd w tobie tyle troski o te trzy osoby, i miejmy nadzieję, że twoje wyjaśnienia będą miały więcej sensu niż za pierwszym razem. Na razie, z mojego punktu widzenia, sprawa jest krystalicznie czysta: ktoś na właściwym miejscu we właściwym czasie, zachowujący się podejrzanie i irracjonalnie, a tym kimś jesteś ty. - Nie dając Simonowi chwili na odpowiedź, Dunning dodał: - Gdzie jest sierżant Zailer?

- Nie ma jej w pracy. Jest chora.

- Znaczy w domu?

- O ile mi wiadomo.

- Czy wczoraj była z tobą w Londynie?

- Nie.

- A gdzie?

- W domu Ruth Bussey. - Simon westchnął. - Posłuchaj, to wcale nie musi być problem. Powiem ci, co wiem, i to, czego nie wiem, ale mocno podejrzewam. To samo dotyczy Charlie - sierżant Zailer. Jeśli chcesz zamknąć swoją sprawę, najszybciej zrobisz to z naszą pomocą.

Proust podniósł się z krzesła, wspierając się dłońmi na kolanach. Simon niemal zupełnie zapomniał o jego obecności.

- Skoro mam stracić detektywa Waterhouse'a, to muszę z nim ustalić postęp w prowadzonych przez niego sprawach, żebym mógł je przydzielać innym ludziom. Może nam pan dać chwilę, detektywie Dunning?

- Przydzielać moje sprawy? - powtórzył Simon. Na jak długo Proust spodziewał się go stracić?

- Dobrze. - Dunning ruszył w stronę wyjścia. - Zaczekam za drzwiami.

Gdy byli już sami, Proust powiedział:

- Detektyw Dunning kilka razy próbował dodzwonić się do sierżant Zailer w jej domu, ale bez skutku. Jeśli wiesz, gdzie jest, radzę ci podzielić się z nim tą informacją. - Inspektor wydawał się jakiś nieswój. Zmęczony. Teraz, wyjątkowo, Simon nie miałby nic przeciwko jednemu z jego zwyczajowych wybuchów sarkazmu. Simon nie zamierzał przeproszać za wczoraj; nie było mu przykro.

Jedyny jego błąd to zbyt wczesny wyjazd z Londynu. Mógł ocalić Gemmę Crowther, gdyby został choć o godzinę dłużej.

Wiedział już, co powie Dunningowi o Charlie: gówno. Była w kiepskim stanie i nie miała ochoty na kontakty z ludźmi. Proust przynajmniej nie prosił o informację, jedynie polecił przekazać je Dunningowi. Poprzydzielać moje sprawy.

- Sir, choć chętnie pozbyłbym się ciężaru Nancy Beddoes, to nie widzę potrzeby przydzielania innym moich śledztw. Jest spora szansa, że wrócę do pracy jeszcze dzisiaj.

- Nie ma żadnych szans, Waterhouse, że pojawisz się w tym budynku dzisiaj, jutro czy pojutrze.

Simon pożałował swojej próby rozluźnienia atmosfery.

- Dunning tylko stroszy piórka. Wkrótce będzie inaczej śpiewał. Wie, że mówię prawdę, i zdaje sobie sprawę, że mogę mu pomóc.

- Nie miałem wyboru, musiałem wyjaśnić twoje zainteresowanie Aidanem Seedem - powiedział Proust. - To, żeby była między nami jasność. Jak tylko się dowiedziałem, że byłeś w Londynie, wiedziałem, że ma to związek z Seedem. Przedstawiłem fakty w wyważony sposób i zapewniłem Dunninga, że masz dobry instynkt i spore osiągnięcia na koncie. Nie mogłem udawać, że przez te wszystkie lata nie zdarzały ci się wloty i upadki, ale wszystkie starałem się umieścić we właściwym kontekście. Nie sądzę, bym był w stanie zdziałać więcej.

- Sir... - Simon czuł rosnącą bezradność. - Mówi pan takim tonem, jakbyśmy mieli się już nie zobaczyć. Obydwaj wiemy, że zarzuty o zamordowanie Gemmy Crowther usłyszy Seed.

- Czyżby? - Inspektor odwrócił się od Simona i stanął twarzą w stronę kalendarza wiszącego za jego biurkiem.

- Niech pan zapomni na chwilę o Dunningu, sir. Wiem, że się pan ze mną zgadza. Seed zabił Gemmę Crowther - to musiał być on. Proszę się zastanowić nad tym, co wiemy na pewno: Ruth Bussey bała się, że wydarzy się coś złego. Wczoraj powiedziała Charlie, że ostatnio Seed często jest poza domem i kłamie, tłumacząc, gdzie był. Okazuje się, że udawał kwakra, żeby zbliżyć się do Crowther. Wiedząc, że ją zabije. Mnie mówił, że wierzy wyłącznie w świat materialny, w fakty i dowody naukowe, więc co robił na zebraniu kwaków? Dunning spytał mnie, czy byłbym w stanie ocenić nastrój Gemmy Crowther, ale nie zapytał o samopoczucie Seeda. Podczas gdy

ona nawijała jak katarynka, on patrzył posepnie w ziemię. - Jak człowiek, który wie, że kogoś zabije, gdy tylko okno zakryją zasłony. Simon zatrzymał tę myśl dla siebie, wiedząc, jak zostałyby przyjęta. - Ruth Bussey powiedziała też Charlie, że Seed zmienił swoją wersję wydarzeń: mówił, że nie zabił Mary Trelease, ale że widzi przyszłość, w której ją zabije.

- Waterhouse...

- Sir, musimy potraktować to jako pogroźkę i zadziałać. Proszę mi powiedzieć, że tak się stanie, bez względu na to, czy jeszcze tu będę, czy nie. Nie możemy zostawić tego Dunningowi. Ufa mu pan po tym, co tu nawygadywał? Ja nie. Mary Trelease należy do nas, nie do niego. Dunning ma gdzieś to, że Seed jedzie właśnie ze spluwą na Megson Crescent, podczas gdy on marnuje czas na przeglądanie mojej kartoteki. Ta sprawa kompletnie go przerasta.

- Dostyc - odezwał się cicho Proust. Simon zdecydował jednak, że go podburzy.

- Wczoraj Ruth Bussey powiedziała Charlie, że jakiś facet kręci się pod jej domem, wykazując niezdrowe zainteresowanie. Charlie podejrzewała, że to obsesja, dopóki nie zobaczyła nagrań z kamery przemysłowej.

- Z kamery przemysłowej? - Trudno jest czytać czyjeś plecy, ale widząc nagłe napięcie barków inspektora, Simon odniósł wrażenie, że Proust pożałował swojego pytania i tego, że dał się wciągnąć.

- Bussey mieszka w kordegardzie przy wejściu do parku Blantyre. Ponoć tak się przejmowała tym gościem, że poprosiła właściciela o zainstalowanie kamer. Jak tylko Charlie zobaczyła jego twarz, od razu go rozpoznała. Facet nazywa się Kerry Gatti. Pracuje w First

Call. - Simon wiedział, że Proust słyszał o tej firmie. Czekał, aż inspektor zapyta, w jakim charakterze był tam zatrudniony Gatti, albo skomentuje okrucieństwo rodziców, którzy dali synowi dziewczęce imię. Nic. - To prywatny detektyw, sir - powiedział Simon. Ani śladu reakcji.

- Słyszał pan, co Dunning mówił o partnerze Gemmy Crowther? Wrócił do domu o północy. Spotkanie skończyło się pewnie około dziewiątej. Jak długo można sprzątać salę po zebraniu? Czy chłopak Crowther jest na liście podejrzanych? Może był współnikiem Seeda? Co Dunning powiedział panu, a mnie nie? - Simon podniósł pusty kubek Prousta i zamachnął się, jakby chciał uderzyć nim inspektora w

tył głowy. W końcu odstawił go z hukiem. Nawet to nie wywołało reakcji u Prousta. - Len Smith to na pewno Seed.

- Wezwij detektywa Dunninga - odezwał się Proust. - Swoje wątpliwości możesz omówić z nim: począwszy od alibi chłopaka Gemmy Crowther aż po twoje zdziwienie niespójną postawą metafizyczną Seeda. W końcu odwrócił się do Simona. Powierzchnia jego skóry była nasiąknięta kolorem, a twarz wyglądała jak napełniony krwią pęcherz, który za chwilę pęknie. - Nawet gdybym chciał, nie mógłbym odpowiedzieć na twoje pytania co do tej sprawy, a to przez twój rzekomy w niej udział. Takiego sobie nawarzyłeś piwa, gdy świadomie oszukałeś mnie i sierżanta Kombothekrę, organizując szarżę lekkiej brygady na Londyn. Tak nam wszystkim pościeliłeś. Przykro mi, jeśli ci się to nie podoba.

Simon cieszył się, że Proust w ogóle się odezwał.

- Mary Trelease powiedziała „Nie mnie”, słysząc od Charlie, że Seed przyznał się do zabójstwa. Powiedziała to dwa razy: „Nie mnie”. Według Charlie, próbowała zasugerować, że Seed zabił kogoś innego.

Wzrok Prousta spoczął na szybie wydzielającej jego boks z sali wydziału śledczego. Obserwujący ich z drugiej strony Dunning zobaczył jego spojrzenie i ruszył w kierunku drzwi. Mroźny uniósł dłoń, by go powstrzymać.

- Jaka była odpowiedź Mary Trelease? - zapytał. - Zakładam, że sierżant Zailer poprosiła ją, by doprecyzowała, czy właśnie to miały sugerować jej słowa.

- Zaprzeczyła. Ale to zrozumiałe. Gdyby postanowiła wszystko zeznać, toby zeznawała. Jednak ponieważ się bała, to zaryzykowała tylko niejasną wskazówkę, której sens łatwo rozmyć.

- Gdzie jest dzisiaj sierżant Zailer? Nie w łóżku, prawda?

Simon zbyt długo zwlekał z odpowiedzią. Znacznie szybsza była nagła zmiana w postawie inspektora. Jego oczy się zaszklily, nieruchomiejąc, a mięśnie twarzy momentalnie się rozluźniły. A więc tak to wygląda, gdy jest się spuszczanym ze smyczy, pomyślał Simon w chwili, gdy Proust zapraszał Dunninga, by ten wrócił do jego gabinetu i postawił kropkę nad i.

Dominic Lund zachichotał.

- Jesteś na straconej pozycji - rzekł do Charlie z ustami pełnymi spaghetti bolognese. Strużka oleistego, pomarańczowego sosu spływała mu po podbródku. - Gdyby można było coś tutaj ugrać, to

chętnie wziąłbym twoje pieniądze i się tym zajął, nawet w wypadku gwarantowanej porażki. Lubię takie sprawy. W dodatku zazwyczaj je wygrywam. Ale to? Wiesz, że to smutny żart, prawda? - Wygłosił tę ekspercką opinię, ani razu nie patrząc na Charlie, po czym znowu się roześmiał, jakby chciał zilustrować swoją konkluzję. Charlie zauważyła, że Lund wolał unikać patrzenia ludziom w oczy. Zamówienie podyktował karcie dań, nie stojącej przy stoliku kelnerce.

Był adwokatem specjalizującym się w prawie własności intelektualnej, wspólnikiem w londyńskiej kancelarii Ellinghama Sandlera. Wysoki, śniady, zwalisty, gruby w talii - wyglądał na czterdzieści kilka lat. Zarekomendowała go Olivia. „Wątpię, by dało się coś z tym zrobić - powiedziała dzień wcześniej przez telefon - ale jeśli kogoś pytać, to Dominica Lunda. To cudotwórca. Dobrze mieć go po swojej stronie”.

Charlie świadomie wymazała z pamięci pierwszą część jej wypowiedzi, skupiając się wyłącznie na tym, że jest ktoś, kto może jej pomóc. Cudotwórca. Figurował jako czwarty na liście najbardziej wpływowych prawników w Wielkiej Brytanii - tak twierdziła Olivia. Redaktorka gazety, dla której siostra Charlie często pisywała, dostała ogromną sumę pieniędzy jako zadośćuczynienie po tym, jak konkurencyjne pismo zamieściło zdjęcie przedstawiające ją przed wejściem do kliniki leczenia uzależnień. Zarówno samo zwycięstwo, jak i wysokość odszkodowania były ponoć zasługą Lunda.

Teraz Charlie żałowała, że nie poprosiła siostry o pierwsze trzy nazwiska z listy. Olivia nie wspomniała ani słowem o bezduszości Lunda, o jego kompletnym braku umiejętności społecznych i - co za tym idzie - o całkowitej niemożności przeprowadzenia z nim normalnej rozmowy. Rano, w rozmowie telefonicznej, jego asystentka powiedziała Charlie, że Lund spotka się z nią dzisiaj, ale nie w biurze, lecz na lunchu w Signor Grilli, włoskiej restauracji przy Goodge Street. W odpowiedzi na zdumione milczenie Charlie, kobieta pośpieszyła z wyjaśnieniem: „Tam spotyka nowych klientów. Lubi to miejsce”. Czyżby od początku zakładała, że Charlie już to wie?

Lund przyszedł spóźniony, klepiąc się po kieszeniach i mamrocząc pod nosem, że zapomniał portfela. Powiedział, że może wrócić po niego do biura, ale wtedy stracą z Charlie „wolne okienko”. Charlie odparła, że to nieważne, i wzięła zapłatę rachunku na siebie. Zawsze warto szarpnąć się na cud, pomyślała. Lund rzucił w jej stronę

pobieżne „dziękuję”, nawet na nią nie patrząc. Teraz zastanawiała się, czy nie był to podstęp. Czy wszyscy, którzy prosili go o konsultację, musieli stawiać mu lunch? I dlaczego właśnie w tej hałaśliwej, chaotycznej, ciasnej restauracyjce? Lund prawie w ogóle nie patrzył na to, co pakuje do ust. Głównym obiektem jego uwagi był telefon komórkowy. Leżał na stole przy talerzu. Ilekroć odzywał się sygnał, Lund chwycił urządzenie oburącz i spędzał kilka minut, dysząc nad jego klawiaturą, jakby bawił się wciągającą grą komputerową, której nie da się odłożyć i w której uzyskuje się dodatkowe punkty za całkowite oddanie.

Pizza Charlie leżała nietknięta. Chciała poprosić Lunda, by powtórzył wszystko, co mu mówiła, udowadniając w ten sposób, że słuchał uważnie, nim zdecydował, że jej sprawa nie jest warta zachodu.

- Mówię o całej wystawie - powiedziała. - Te artykuły nie były wciśnięte w żadną szufladę, ale beczelnie wywieszzone. Zakrywają ścianę i każdy, kto wejdzie do tego pokoju, zobaczy sobie pełną... bazę danych na temat najgorszego, najbardziej bolesnego wydarzenia w moim życiu, w mojej przeszłości, A nie widziałam całości. Kto wie, co jeszcze jest w jej... kolekcji? Ta ściana mogła być tylko częścią. W zeszły piątek czekała na mnie przed budynkiem policji...

Zadzwieczał telefon Lunda. Wziął go do ręki i opadł w swoim krześle, rozpoczynając kolejną sesję radosnego naciskania klawiszy, w trakcie której ciężko dyszał, co chwila mamrotał coś pod nosem i całkowicie ignorował Charlie. Skończywszy, podniósł na chwilę wzrok i powiedział:

- Ale miała dobry powód, żeby na ciebie czekać, zgadza się?

- Tego nie wiem. Opowiedziała mi jakąś durną historię o tym, że jej chłopak zamordował kobietę, która wcale nie umarła. I nie chciała powiedzieć, czemu czekała właśnie na mnie. Gdy wczoraj spytałam ją, dlaczego miała w kieszeni płaszcz artykuł na mój temat, nie udzieliła mi wyczerpującej odpowiedzi.

- Panno Zailer...

- Sierżant Zailer - poprawiła go gniewnie.

- Na pani miejscu bym się odprężył. - Lund nawinał kolejne sznurki spaghetti na widelec, maczając długą grzywkę ciemnych włosów w talerzu. Wciągnął kluski, wydając dźwięk odkurzacza i rozbryzgując sos na obrus i koszulę. Nagle podniósł głos i zawołał coś

po włosku pod nie wiadomo czyim adresem, po czym, jak gdyby nigdy nic, przerzucił się z powrotem na angielski. - Mówimy o ścianie sypialni kobiety, która jest w stałym związku. Ile osób może zobaczyć te zdjęcia? Ona, on, może kilkoro bliskich przyjaciół.

- Nie obchodzi mnie, czy ktokolwiek je zobaczy - warknęła Charlie. - Ona nie ma prawa trzymać tych zdjęć. Mam rację? Chce mi pan powiedzieć, że kompletnie mi nieznana dziwaczka - prześladowczyni może swobodnie gromadzić informacje na mój temat i wywieszać je na ścianie dla własnej uciechy, a ja nie mogę jej w żaden sposób przed tym powstrzymać?

- Jeśli zadaje pani to pytanie, to znaczy, że mnie pani nie słuchała.

- Chcę, żeby to wszystko zniszczyła albo przekazała mi, a wtedy ja to zniszczę! - Charlie zdawała sobie sprawę, że prawie krzyczy.

- Pani życzenia nie muszą być uzasadnione prawnie - odparł Lund. Z jego tonu wynikało, że wszystko to w najmniejszym stopniu go nie interesuje. - Niczego w tej sprawie dla siebie nie widzę. Niczego. Po pierwsze, nie ma tu publicznego wystawiania. Gdyby chodziła po mieście, rozklejając zdjęcia na billboardach, to co innego. Ale dom to jej prywatna własność. Wszystkie informacje, które ma na pani temat, były publicznie dostępne w gazetach, które kupowała, jak można założyć. Nie wykradła ich z pani domu, prawda? Nie ma pani u siebie starych gazet i czasopism? „Vogue”, „Elle”, „The English Home”?

- Nie - szczerknęła Charlie. - Czy naprawdę wyglądała na osobę, która ma czas czytać o torebkach i poduszkach? - Trzymanie w domu kilku gazet i czasopism to nie to samo co obsesyjne zbieranie wycinków prasowych na temat jednej osoby. Nie mam u siebie niczego, co naruszałoby czyjąś prywatność, nie.

Lund zniknął pod stołem. Szperał w swojej teczce. Gdy znów pojawił się na powierzchni, trzymał w dłoni pognieciony egzemplarz „Daily Telegraph”. Położył gazetę na pizzy Charlie. Gdy pokazywał palcem na niewielki artykuł u dołu strony, przez papier zaczynała przesiąkać pomarańczowa oliwa.

- David Miliband - powiedział. - Nasz minister spraw zagranicznych. Nie na długo, mam nadzieję. Gdybym chciał wyciąć te trzy akapity na jego temat i przykleić sobie do lustra w łazience, to mogę to zrobić, bo mam prawo. Myśli pani, że Miliband mógłby mnie powstrzymać? Mówiłem to już dwukrotnie, ale powtórzę: argument o

naruszeniu prywatności się tutaj nie utrzyma. Byłoby inaczej, gdyby ta kobieta rozgłaszała na prawo i lewo treść pani osobistego dziennika albo gdyby wykradała pani rzeczy z szuflady na majtki. Inaczej byłoby też, gdyby wykorzystywała zebrane informacje w sposób, który naruszałby pani dobro, ale ona tego nie robi.

- Ta suka mnie prześladowuje! - Charlie zrzuciła gazetę z talerza w stronę Lunda. - Nie uważa pan, że to narusza moje dobro? Ściana w jej sypialni to tylko część całości, część całej gry, której muszę położyć kres! Czekala na mnie przed moim komisariatem, nie chciała wytłumaczyć...

- Z tego, co słyszę, wcale nie drażyła pani tej kwestii. - Lund obracał zuchwą, kryjąc ziewnięcie. Szczeka cicho kliknęła. - Ja kategorycznie zażądałbym od niej wyjaśnień. Pani nawet jej nie powiedziała, że widziała tę ścianę. Dlaczego?

- Bo się bałam jak jasna cholera - syknęła Charlie. Prawda była krępująca, ale skoro nie miała zamiaru już nigdy więcej spotkać się z Dominikiem Lundem, nie miało to większego znaczenia. Co z tego, że czwarty najbardziej wpływowy adwokat na Wyspach zobaczy, iż jest żalostną, strachliwą ofermą? - Nawet pan musi przyznać, że ta kobieta ma na moim punkcie nienaturalną obsesję. Na razie się powstrzymuje. Nie wie, że ja wiem, więc wydaje się jej, że nie musi się śpieszyć. Gdybym powiedziała, co zobaczyłam, mogłaby wyciągnąć nóż i mnie poćwiartować. Skąd miałam wiedzieć, jak zareaguje? Ona nie jest normalna, musiałam się stamtąd wydostać i na spokojnie wszystko przemyśleć.

Charlie wciągnęła mocno powietrze nosem i wytarła oczy, by nawet przed sobą nie przyznać, że płakała. Dwie łzy nie liczyły się jako płacz.

- Chciałam stamtąd uciec, ale nie byłam w stanie, nie od razu. Siedziałam w jej domu przez kolejne dwie godziny, słuchając skomplikowanej opowieści o targach sztuki. Wmawiałam sobie, że zostałam, by lepiej ją rozgryźć, lecz nie o to chodziło. Ja się bałam. Ta kobieta miała mnie na widoku od Bóg wie kiedy, bawiła się ze mną, manipulowała mną i pewnie też innymi ludźmi. Nie mam pojęcia, ile prawdy jest w tej historii o martwej kobiecie, która nie jest martwa - może to być jakaś pułapka. Wczoraj chciała mi coś opowiedzieć i wie pan, co zrobiłam? Słuchałam jak grzeczna dziewczynka w nadziei, że jeśli będę posłuszna, to uda mi się ją przekonać, że jestem jej

przyjaciółką, sojuszniczką, że wtedy zmieni zdanie i nie wprowadzi w życie tego strasznego planu, który najwyraźniej wobec mnie miała.

Wybuch Charlie nie zaskoczył Lunda, ale wręcz go rozbawił.

- Panno Zailer, przepraszam... sierżant Zailer. Ucieka pani od rzeczywistości. Z tego, co pani powiedziała, nie ma powodu podejrzewać, że ta kobieta panią śledzi lub że zamierza wyrządzić pani krzywdę. Po prostu znała pani nazwisko i gdy znalazła się w potrzebie i postanowiła pójść na policję, wybrała panią. To nie jest prześladowanie. Nie chciała wytłumaczyć, czemu miała przy sobie wycinek z gazety - i co z tego? Nie jest przestępstwem unikanie wyjaśnień ani przyklejanie na ścianach artykułów z gazet. Nawet gdyby wszyscy Brytyjczycy postanowili obwiesić swoje ściany całymi szpaltami tekstów na pani temat, nic byśmy na to nie poradzili.

- Dobrze. - Charlie zmusiła się do powolnego, regularnego oddechu. - Rzeczywistość. Mogę myśleć realistycznie.

Lund uniósł brwi, nie kryjąc powątpiewania. Komórka znów zabrzęczała, przyciągając jego uwagę niczym magnes. W mgnieniu oka Charlie stała się niewidzialna. Jeszcze bardziej niewidzialna. Nim Lund skończył bawić się swoim gadżetem, zdążyła doprowadzić się do porządku.

- A może zrobilibyśmy to dyskretnie? - powiedziała. - Nie mógłby pan postraszyć jej jakimś pismem? Zapłacę dowolną sumę.

Na to Lund zareagował: podniósł wzrok i szeroko się uśmiechnął.

- Nie jestem zbirem do wynajęcia. Co pani siostra o mnie naopowiadała?

- Nie proszę, żeby ją pan poturbował. - Charlie starała się nie wpaść w błagalny ton. - Może wystarczyłoby postraszyć ją sprawą sądową, jeśli nie zdejmie tego wszystkiego ze ściany? Nawet jeśli nie mamy żadnych podstaw prawnych, to ona nie będzie tego wiedzieć. Zajmuje się oprawą obrazów, nie prawem. Przestraszy się - każdy by się przestraszył.

Lund wzruszył ramionami, wycierając twarz serwetką. Całą twarz, nie tylko usta. Teraz pomarańczowym tłuszczem wysmarowane były też jego policzki.

- A jeśli pokaże to swojemu adwokatowi, a on powie jej, że to kpina? Moja reputacja na ziemi. Wyjdzie na to, że jestem nieetyczny albo całkowicie trzepnięty. I jeżeli ta kobieta ma głowę na karku, to sprzedałaby całą historię prasie. Ja bym tak zrobił.

- Proszę. Musi być jakieś wyjście. Nie mogę znieść myśli, że to tam wisi. Wciąż mam te artykuły przed oczami, zastanawiam się, kto je ogląda, kto czyta te wszystkie rzeczy na mój temat. Nie potrafi pan tego zrozumieć? Chce mi pan powiedzieć, że to nie jest naruszenie mojego prawa do prywatności?

- Prawo nie dba o to, jak się pani czuje - odparł Lund. - Tak naprawdę to pani chce naruszyć jej prywatność. Na jej miejscu na pewno poszedłbym do mediów. „Napastowała mnie była dziewczyna psychopaty, mówi mieszkanka Spilling”. Kolejne wycinki na jej ścianę, kolejne powody do wstydu dla pani.

- Pierdol się.

- Co takiego? - Lund zmarszczył brwi. - Wybacz, ale nie lubię owijać w bawełnę. - Opadł plecami na oparcie krzesła i utkwiał wzrok w suficie.

Charlie wbijała z całej siły paznokcie w dłonie. Skup się na bólu fizycznym.

- Nie wiedziałam, że to psychopata. Byłam jedną z ofiar tego skurwysyna. - Widząc wyraz twarzy Lunda, dodała: - Nie w taki sposób. Mówię tylko... to nie była moja wina. Śledztwo potwierdziło moją wersję, główniane brukowce obstawały przy swoim.

- Ja to wszystko wiem. - Lund ziewnął. - Mówię ci tylko, jak przedstawiłyby to gazety, gdyby ta kobieta okazała się dostatecznie sprytna, by do nich z tym pójść.

Charlie wstała od stolika.

- Nieważne - powiedziała. - Wyślij mi fakturę za godzinę pozbawiania mnie złudzeń. Za lunch zapłać sam.

Machnął niedbale ręką.

- Dobrze mnie tu znają - odparł. Co to miało znaczyć? - Nie wyżywaj się na mnie, ja próbuję ci pomóc. Najlepiej zrobisz, jeśli o wszystkim zapomnisz: o psychopacie, brukowcach, tej dziwnej kobiecie - o wszystkim. Po co się tym wszystkim przejmujesz? Zapomnij.

Charlie nie mogła oddychać. Lund odrzucił wszystkie jej prośby o pomoc, a teraz próbował ją spławić oklepanymi mądrościami z podręcznika domorosłego psychologa. Miała ochotę go zabić.

Lund uśmiechnął się pod nosem, jakby przypomniał sobie nieprzyzwoity dowcip.

- Olivia mówiła, że wychodzisz za mąż.

Charlie analizowała jego słowa. Jej siostra nie wspomniała, że zna Lunda osobiście.

- Widziałeś się z nią ostatnio?

- W zeszłym tygodniu. Simon, tak? Twój narzeczony? I też gliniarz.

- Jak dobrze znacie się z Olivią? - „Vogue”, „Elle”, „The English Home”... Czasopisma, o których mówił Lund, jej siostra je prenumerowała. .. Nie. Błagam, nie.

- A jak dobrze można kogoś znać? Liv nie może uwierzyć, że wasi rodzice nie próbowali wybić ci tego małżeństwa z głowy - powiedział Lund przyjacielskim tonem. - Podobno ona próbowała, ale ty nie chcesz jej słuchać.

Wnętrznosci Charlie zamieniły się w ołów. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz okazało się, że nie może wydobyć głosu. Nie znalazła ani jednego słowa.

- Moje wrażenie jest takie, że ty nikogo nie słuchasz - dodał Lund, przesuwając wzrok na ekran komórki. Czyżby te wszystkie wiadomości przychodziły od Olivii?

Charlie zdjęła torebkę z oparcia krzesła i wymaszerowała z restauracji. Będąc już na ulicy i idąc szybko w przypadkowo obranym kierunku, zdała sobie sprawę, że zerwała pasek. Usłyszała stłumiony jęk, który musiał wydobyć się z niej. Dokąd iść? Co teraz robić? Na pewno nie pójdzie do mieszkania Olivii. Zamordowałyby siostrę, gdyby ją teraz zobaczyła. Lepiej się najpierw uspokoić. Wyjęła z torebki telefon, upewniając się, że nadal jest wyłączony. Korciło ją, by zadzwonić do Simona, ale wiedziała, że rozmawiając z nim w swoim obecnym stanie, doprowadziłaby tylko do kłótni. Simon, podobnie jak Dominic Lund, nie rozumiał, czemu Charlie nie spytała Ruth otwarcie o wycinki z gazet. Simon uważał sprawę za dziwną, ale nie wiedział, czemu aż tak ją zdenerwowała. On sądzi, że przesadzam.

Gdy bez skutku próbowała zapalić papierosa na zimnym wietrze, jej uwagę przykuł znak uliczny: Charlotte Street. Ile ulic o tej nazwie mogło być w Londynie? Charlie sama odpowiedziała sobie na to pytanie: na pewno więcej niż jedna. Ale zawsze warto jest sprawdzić. Okolica wydawała się właściwa, a w oddali widać było coś, co przypominało galerię.

Wrzuciła niezapalonego papierosa i zapalniczkę z powrotem do torebki i pobiegła. Kilka sekund później prawdopodobieństwo stało

się faktem. Na szybie widniała nazwą napisana pomarańczowymi i brązowymi literami: TiqTaq. To o tej galerii opowiadała Ruth Bussey. Charlie wzięła głęboki wdech i weszła do środka.

Czy wycinek z gazety mógłby ująć za dzieło sztuki? Charlie nie mogła zadać tego pytania opalonej, ubranej w patchworkową kurtkę kobiecie w średnim wieku, siedzącej za wysłużonym, drewnianym biurkiem na tyłach galerii. Kobieta rozmawiała przez telefon, usiłując umówić się na woskowanie nóg. Początkowo nastawiona optymistycznie, powiedziała do słuchawki „Rozumiem”, ale stopniowo traciła cierpliwość, gdy stawało się jasne, że nawet przyszły tydzień jest całkowicie zabukowany. Charlie zastanawiała się, czy patrzy na tę starszą kobietę, którą Ruth Bussey poznała na targach sztuki. Jan coś tam. Właścicielka galerii TiqTaq.

Jeśli tak, to najprawdopodobniej wszystkie wystawione w galerii prace musiały być przez nią zaakceptowane. Widocznie dostrzegła jakąś wartość w oprawionych ramkami rzędach papierowych lalek trzymających się za ręce. Wycinanki były różnokolorowe i w rozmaitych rozmiarach, a ceny wahały się między dwoma a pięcioma tysiącami funtów. Sama mogłabym zrobić coś takiego, pomyślała Charlie. Kilka dużych arkuszy papieru, nożyczki... Co za przekręt.

- Mogę pani w czymś pomóc? - Kobieta skończyła rozmawiać przez telefon. - Opowiedzieć pani o naszej wystawie? Nazywam się Jan Garner. TiqTaq jest moją galerią.

Zatem przynajmniej to było prawdą. W gruncie rzeczy Charlie wierzyła w każde słowo Ruth Bussey. Nawet będąc wobec kogoś uprzedzona, nadal umiała ocenić, kiedy człowiek przestaje kłamać: uczucie ulgi jest widoczne jak na dłoni. Simon się z tym nie zgadzał. Minionej nocy spierali się o to o jakiejś nieludzkiej porze.

- Człowiek, który skłamał raz, pozostaje niewiarygodny - twierdził Simon. - Sprytni kłamcy przyznają się do dawnych kłamstw, by odwrócić twoją uwagę od tych, którymi właśnie cię otumaniają.

Charlie ujęła wyciągniętą dłoń Jan Garner.

- Charlie Zailer - przedstawiła się. - Szczerze mówiąc, liczyłam na pani pomoc w innej kwestii, niezwiązanej z galerią.

- Jeśli tylko będę mogła pomóc - odparła Jan. - Napije się pani herbaty?

Czyżby można to było przeprowadzić na zasadzie koleżeńskiej pogaduszki?, zastanawiała się Charlie. Przydałoby się, bo nie miała oficjalnego powodu, by tu być.

- Tak. Dziękuję.

- Earl Grey, Lady Grey, lapsang, zielona z miętą, zielona z jaśminem, cytrynowo - imbirowa...?

- Earl Grey - odrzekła Charlie. Długa lista wyszukanych gatunków herbaty przypomniawsza Charlie o Olivii, która pijała takie mieszanki, jak koper z pokrzywą, i bez wątpienia kupowałaaby chwasty gotowane w brudnej wodzie z wanny, gdyby tylko odpowiednio je opakowano. Charlie odepchnęła od siebie myśl o siostrze.

Czekając, aż Jan przygotuje herbatę, wzięła ulotkę z plastikowego regału przy wejściu i zaczęła czytać informacje o papierowych lalkach. Dzieło nosiło tytuł Pod skórą. Lalek nie wycięto z kolorowego papieru, jak wcześniej sądziła, ale z kartek atlasów samochodowych, które następnie zostały „przykryte akwarelami”, dzięki czemu każdy rząd wyglądał jak ciągły, niepocięty kawałek papieru. Ile czasu to zajęło?, pomyślała Charlie. I jaki był sens, jeśli nie liczyć oczywistej sugestii, iż pozory mylą? Wielkie odkrycie. Czy ktokolwiek jeszcze potrzebował tak oczywistego przekazu?

Jan wróciła z zaplecza z dwoma wysokimi kubkami herbaty.

- No dobrze, zamieniam się w słuch - powiedziała.

- Czy zna pani prace artystki Mary Trelease?

Uśmiech na twarzy Jan Garner momentalnie stał się wymuszony.

- Zerwałyśmy kontakt - powiedziała.

- Tak się pytam... Widziałam kilka jej prac i...

- Widziała pani obrazy Mary? Gdzie?

- W jej domu. Jan się zaśmiała.

- Wpuściła panią do domu i pokazała swoje obrazy? Zatem domyślam się, że jest pani jej bliską przyjaciółką, jeśli nie jedyną przyjaciółką?

- Nie, to nie to. - Charlie uśmiechnęła się i poszukała schronienia w kubku z herbatą. - Ledwie ją znam. Widziałyśmy się tylko raz. Pojechałam do niej w innej sprawie.

- Ta Mary Trelease, którą ja znam, nie pokazałaby swoich prac obcej osobie. Nikomu ich nie pokazuje. Nie sprzedaje, nie wystawia, nie chce się w żaden sposób promować.

- Jak ją pani poznała? - spytała Charlie.

- Czemu chce pani wiedzieć, jeśli wolno spytać? Przepraszam, jak się pani nazywa?

Charlie postanowiła zagrać w otwarte karty. Jeszcze raz się przedstawiła i powiedziała, że jest z policji w Culver Valley.

- Przepraszam - dodała. - Zbyt przywykłam do strzelania pytaniami. Zapominam, że gdy nie mam na sobie munduru, to powinnam nakłaniać ludzi do udzielania mi odpowiedzi, a nie rozkazywać im, by to robili.

- Mary mieszka w Culver Valley - odparła Jan, bacznie się przyglądając swojej rozmówczyni. - Interesuje się nią pani służbowo czy prywatnie?

Charlie sączyła herbatę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Dzisiaj mam dzień wolny od pracy - przyznała. - Więc pewnie muszę powiedzieć, że prywatnie, choć pierwszy raz usłyszałam nazwisko Mary w związku z... - Przerwała. - Obawiam się, nie mogę pani zbyt wiele wyjawić, ponieważ to jest, a właściwie może być, sprawa dla policji.

- Powiedziała pani, że pojechała do Mary w innej sprawie... - Jan zamilkła, widząc wyraz twarzy Charlie. - To, jak widzę, też tajne?

- Niestety tak. Ale jestem tutaj bardziej jako zainteresowany gość galerii niż jako glina. Nie musi mi pani nic mówić.

- Z chęcią podzielę się z panią swoją skąpą wiedzą na temat Mary. - Jan zdawała się czuć już nieco bezpieczniej. - Na pewno nie jest pani jej przyjaciółką?

Charlie odpowiedziała uśmiechem.

- Jeśli powstrzymuje się pani przed wysączeniem jadu, to niepotrzebnie. Nie obchodzi mnie, jaki ma pani do niej stosunek. Chcę tylko jak najwięcej się dowiedzieć.

Jan skinęła głową.

- Nie słyszałam o niej aż do pewnego dnia w październiku zeszłego roku, gdy zjawiała się tu nagle bez zapowiedzi. Poznała ją pani, więc wie, jakie robi wrażenie: te włosy, ten wyszukany akcent. Jak wściekła królowa bez królestwa. Czułam się przy niej nieco skrępowana.

Witamy w klubie, pomyślała Charlie.

- Przyniosła ze sobą obraz, chciała go oprawić. Powiedziała, że mieszka w Spilling i że pokłóciła się ze swoją dotychczasową galerią, w której zamawiała wszystkie ramy...

- Mówiła, o co ta kłótnia?

- Nie, a ja nie pytałam.

- Przepraszam. Proszę mówić dalej.

- Poinformowała mnie królewskim tonem, że oprawię ten obraz, i nawet powiedziała, ile za to policzę: tyle samo, ile jej poprzedni warsztat. Zaśmiałabym się, gdyby nie mówiła tego tak ewidentnie na serio. Wyjaśniła, że od tej pory będę oprawiała wszystkie jej prace. W tym momencie musiałam jej przerwać, by powiedzieć, że nie zajmujemy się oprawą. Musi pani wiedzieć, że wymagało to ode mnie nie lada odwagi. Kobieta była tu zaledwie pięć minut, a ja już się bałam, co będzie, jak ją zawiode.

Charlie się uśmiechnęła. Przywykła do kontaktów z ludźmi, którzy porozumiewali się koślawymi, niezrozumiałymi zdaniami. Jan Garner stanowiła miły wyjątek.

- Trudno było wytłumaczyć bez uniknięcia protekcyjnego tonu, że w Londynie galerie sprzedające sztukę współczesną nie zajmują się oprawianiem obrazów, choć tak może to wyglądać w Spilling. Artyści, których reprezentuję, dostarczają mi już oprawione prace.

- Jak to przyjęła? - spytała Charlie.

- Och, bardzo źle. Mary zawsze reagowała gwałtownie. Chciałam jej zarekomendować zakłady oprawy, ale się nie zgodziła. Zapytałam, dlaczego przyjechała do Londynu. To w sumie niezbyt długa podróż pociągiem, ale czy nie lepiej byłoby znaleźć innego specjalistę w Spilling? Na pewno jest tam inny zakład oprócz galerii, z którą się poróżniła.

Oprócz Saula Hansarda był tylko jeden ramiarz, o którym wiedziała Charlie: Aidan Seed.

- I co ona na to?

- Że to muszę być ja. Nie chciała wyjaśnić, czemu. Po dziś dzień nie wiem, dlaczego wybrała właśnie moją galerię ani jak się o mnie dowiedziała. Później, gdy nasza współpraca już trochę trwała i lepiej się poznałyśmy, zapytałam ją ponownie, ale znów odmówiła wyjaśnień. - Jan dostrzegła zdziwiony wyraz twarzy Charlie i dodała:

- Ach, przepraszam, nie powiedziałam, że w końcu zgodziłam się zajmować oprawą jej obrazów. Zlecałam to znajomemu. Mary Trelease jest kobietą, która zawsze dostaje to, czego chce.

- Przecież mówiła jej pani, że nie oprawia obrazów. Jak dała się pani przekonać?

- Mary mnie nie przekonała. Zrobił to jej obraz. Abberton. - Jan westchnęła. - Był znakomity. Naprawdę wyjątkowy.

Charlie rzuciła okiem na najbliższą lalkę z papieru.

- Zupełnie inna liga niż to - powiedziała Jan, jakby czytając w jej myślach. - Obrazy Mary - pierwszy, jaki widziałam, i wszystkie kolejne - były żywe. Jednocześnie piękne i brzydkie. Niezwykle namiętne.

- Zatem zgodziła się pani ze względu na jej prace - podsumowała Charlie. Abberton: kolejny prawdziwy wątek w historii Ruth Bussey.

- Nie od razu - sprostowała Jan. - Najpierw próbowałam przekonać ją, by pozwoliła mi siebie reprezentować. Wtedy powiedziała mi, że jak dotąd nie sprzedała żadnego ze swoich obrazów i że nigdy tego nie zrobi. Wtedy też usłyszałam jej zasady: nie wolno mi było pokazywać ludziom jej obrazów i wspominać komukolwiek o jej istnieniu - jak żyję, o niczym takim nie słyszałam! Kompletnie tego nie rozumiałam, ale szybko zdałam sobie sprawę, że jeśli chcę utrzymać z nią jakikolwiek kontakt, będę musiała przestrzegać reguł, które wyznaczyła, a to oznaczało oprawianie jej obrazów. Miałam nadzieję, że z czasem da się przekonać do wystawienia swoich prac, ale tak się nie stało. W każdym razie tak długo, jak z nią współpracowałam. Nie wiem, co teraz robi. Pani ma świeższe informacje. - Jan przyglądała się Charlie z uwagą.

Charlie uznała, że nie zaszkodzi powiedzieć.

- Jest taka sama. Wściekle chroni swoje obrazy przed ludźmi. Nie ma pani pojęcia, czemu tak się zachowuje?

- Mogę tylko zgadywać - odparła Jan. - Strach przed porażką? Lęk przed czynnikami komercyjnymi i ich ewentualnym wpływem na pracę? Zabraniając sprzedaży swojego dzieła, artysta nie musi martwić się o to, czy ktoś je kupi. Jeśli nikt nie zobaczy pani obrazów, nikt też ich nie skrytykuje. Mary kierowała się zasadą, że sztuka nie powinna mieć ceny, ale ja nigdy nie wierzyłam, że mówi to szczerze. Myślę, że się bała, i nie dziwię się jej. Przemysł sztuki jest bezlitosny.

Charlie mimowolnie się uśmiechnęła.

- Mówimy o ludziach, którzy kupują obrazy, prawda? Albo ich nie kupują. Nic groźnego.

- Może się to pani wydawać śmieszne, lecz niektóre historie naprawdę mrozą krew w żyłach. Nie tak dawno pewien młody artysta sprzedał wszystkie swoje obrazy dyplomowemu znanemu na cały świat

kolekcjonerowi. Na ogół gdy dzieje się coś takiego, człowiek jest ustawiony i może swobodnie kierować swoją karierą. Ale w tym wypadku było inaczej. Nastąpił ogromny sprzeciw wobec sytuacji, w których jeden kolekcjoner samodzielnie winduje wartość jakiegoś artysty. Zarówno młody malarz, jak i kupiec stali się obiektem najbardziej jadowitej szeptanki, o jakiej w życiu słyszałam. A ten chłopak, o ironio, jest naprawdę utalentowany. Jego obrazy są świetne.

- Więc skąd ten jad? - spytała Charlie.

- Kiepski moment, to wszystko. Zbyt dużo było podobnych przypadków. Nazywamy to efektem Charlesa Saatchiego. Wystarczy, że kilku artystów zbuduje na nim swoje kariery i zdobędzie światowy rozgłos, by nagle wszyscy nabrali podejrzliwości, pilnując, żeby kolejni nie przecisnęli się przez oczko w sieci.

Charlie wypła resztę herbaty, siląc się na współczucie. Gdyby Charles Saatchi obrzucił ją milionami, miałaby gdzieś, ilu ludzi mieszałoby ją później z błotem. Kupiłaby sobie wysadzone diamentami zatyczki do uszu i wyjechała na Karaiby, gdzie nie dosięgłyby jej pojękiwania zazdrosnych palantów.

Jan otworzyła szeroko oczy, przypominając sobie kolejną historyjkę ze swojego repertuaru.

- Kiedyś, lata temu, reprezentowałam pewnego artystę, który był absolutnie nie z tego świata: utalentowany, ambitny, skazany na sukces.

- Lepszy od Mary Trelease? - Charlie nie mogła się powstrzymać przed tym pytaniem.

Jan zagryzła wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Inny. Nie, nie lepszy. Trudno byłoby wskazać kogoś lepszego od Mary. Mary to prawdziwy geniusz.

- A ten artysta nim nie był?

- Był, bez wątpienia, ale w inny sposób niż Mary. Znacznie bardziej wyciszony. Miał u mnie swoją pierwszą wystawę. Niewiele się po niej spodziewał, ja zresztą też - w tym świecie czas płynie wolno. Zrobiłam, co mogłam, by nagłośnić pokaz, jednak to nigdy nie jest łatwe z debiutantami. Pokaz prywatny miał porządną publiczność, ale nic nadzwyczajnego. Sprzedały się jedynie trzy obrazy. Jednak mimo iż pierwszy dzień nie był zbyt udany, to wkrótce rozeszła się wieść po mieście. Ja zawsze mówię, że jakoś w końcu zawsze

tryumfuje. W ciągu trzech dni sprzedały się wszystkie obrazy z wystawy - co do jednego. W dodatku wszyscy kolekcjonerzy deklarowali chęć kupienia kolejnych, jak tylko się pojawią.

Jan położyła dłoń na szyi, która zdążyła zaróżowieć.

- To był z pewnością najbardziej ekscytujący moment w mojej karierze - powiedziała. - Musiałam opędzać się od kupców. Od kupców w liczbie mnogiej, nie jednego kolekcjonera, który chciał jedynie zyskać rozgłos. - Jan ciężko westchnęła. - Ciężko mi teraz o tym myśleć.

- Co się stało? - spytała Charlie.

- Zadzwoiłam do artysty, żeby powiedzieć mu, że wszystko się sprzedało, a kupcy błagają o więcej. Był uradowany. Sytuacja przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania. Potem czekałam i czekałam, ale on się nie odzywał. Dzwoniłam do niego, lecz nie odpowiadał. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że mnie unika. W pewnej chwili zastanawiałam się nawet, czy mnie przypadkiem nie rzucił, podniecony nagłym sukcesem. Po co miałby płacić prowizję jakiejś galerii, skoro mógł zatrzymać wszystkie pieniądze dla siebie? Ale nie o to chodziło. Gdy go w końcu namierzyłam, powiedział mi, że przestał malować.

- Co? - Charlie tego się nie spodziewała.

- Twierdził, że nie jest w stanie malować. Ilekroć brał pędzel do ręki, zastygał. Próbowalam namówić go na terapię, ale on nie chciał. Wolał całkiem porzucić malowanie. Nie mogłam go do niego zmuszać.

- Palant. - Charlie nie zdążyła się powstrzymać.

- Uznanie pociąga za sobą oczekiwania i presję. - Jan miała smutny wyraz twarzy. - Być może podejście Mary jest rozsądne, choć to jednak prawdziwa tragedia: tyle wspaniałych obrazów i nikt ich nie ogląda, poza nią. Maluje cudowne portrety. Widziała je pani?

- Kilka - odparła Charlie. - Głównie przedstawiających jej sąsiadów.

- Wątpię - odparła Jan ze śmiechem.. - Mary nie obchodzą ludzie, którzy mieli łatwe życie. Powiedziała mi kiedyś: „Chcę malować tylko tych, co naprawdę cierpią”. Więc wyszukiwała osoby ubogie i pokrzywdzone przez los. Było takie jedno osiedle, nie pamiętam nazwy.

- Winstanley?

- Właśnie.

- To jej sąsiedzi - powtórzyła Charlie. - Mary mieszka na tym osiedlu, przy na wpół opuszczonej ślepej uliczce, na której nie chciałaby się pani znaleźć w nocy ani za dnia. W tej okolicy pełno jest... - - Miała zamiar powiedzieć „najgorszych szumowin”, ale się powstrzymała, czując, że Jan nie podziela jej mrocznej wizji marginesów społecznych.

- Ale Mary... - Jan była skonfundowana. - Przecież... zawsze sądziłam, że mieszka gdzieś... no wie pani. Co dziewczyna z Villers robi w takiej okolicy?

- Villers? - Nazwa zaledwie obita się kiedyś Charlie o uszy.

- To żeńska szkoła z internatem w Surrey. Wiem o niej, bo przypadkiem wychowywałam się w sąsiednim miasteczku - wyjaśniła Jan nieco przeproszającym tonem. - Mary chodziła do szkoły z dziedziczkami fortun i córkami filmowych gwiazd. Serio.

- Pochodzi z bogatej rodziny? - Charlie stanął przed oczami dom przy Megson Crescent 15, jego odklejające się tapety i poczerniałe dywany.

Jan się zaśmiała.

- Musi być bogata, skoro stać ją było na edukację w Villers. Mary mówiła, że rok szkolny kosztuje tam około pięćdziesięciu tysięcy. Wiele jej znajomych miało szlacheckie tytuły. Według Mary większość była nierozgarnięta, no ale ona nigdy nie umiała docenić cudzej inteligencji.

- Widziała pani kiedyś inne jej obrazy, poza tymi, które przynosiła do oprawienia? Gdy byłam w jej domu, widziałam na ścianach sporo nieoprawionych płócien. Większość przedstawiała chyba rodzinę, która tam dawniej mieszkała.

Jan była mocno zdziwiona.

- Mary miała obsesję na punkcie oprawiania obrazów. Twierdziła, że dzieło nie jest kompletne bez ramy. Wielokrotnie robiła mi straszne awantury, żądając, by wszystko było oprawione z dnia na dzień. Trochę jakby...

- Co?

- Sama nie wiem. Jakby bała się, że obraz jest zagrożony, dopóki nie osłoni się go szkłem. Albo jakby myślała, że bez ramy jej prace się nie liczą. Jest pani pewna, że nieoprawione obrazy były jej?

- Tak.

- To bardzo dziwne. - Jan pograżyła się w myślach, pocierając dłonią obojczyk. - Nie twierdzę, że jest pani w błędzie, bo styl Mary jest charakterystyczny, ale nie mogę tego zrozumieć. To po prostu dla niej nietypowe zostawić obraz bez oprawy. - Zajrzała do pustego kubka. - Jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję - odparła Charlie. - Za chwilę muszę iść. - Nie wiedziała, jak spytać o targi sztuki Access 2 bez sprawiania wrażenia, że próbuje przyłapać Jan na kłamstwie: znam kobietę, która twierdzi, że ją pani okłamała. - Rozumiem, że już nie oprawia pani jej obrazów? - spytała w końcu. - Co się stało?

- Dwie rzeczy, które wydarzyły się praktycznie jedna za drugą. Mary namalowała coś, co mi się bardzo nie podobało, przeciwko czemu wręcz zaprotestowałam, nie mogąc udawać, że jest inaczej. Bardzo ją to ubodło. Oprawiłam w końcu ten obraz, ale to jej nie wystarczyło. Zdążyła przywyknąć do moich zachwyków nad jej pracami, więc zupełnie się nie spodziewała dezaprobaty - Jednak naprawdę nie mogłam zareagować inaczej.

- Dlaczego?

- Mary namalowała młodą kobietę, która była... hm, martwa. - W głosie Jan pobrzmiwała nuta skruchy. - Nie pamiętam jej nazwiska, choć wtedy je poznałam, bo stanowiło tytuł pracy. Tym razem nie była to sąsiadka, ale ktoś, z kim Mary chodziła do szkoły. Inna dziewczyna z Villers. Pisarka. Napisała jednak tylko jedną powieść, potem się powiesiła, w tragicznie młodym wieku... nie chcę przez to powiedzieć, że późniejsze samobójstwo byłoby mniej tragiczne. Szkoda, że nie pamiętam, jak się nazywała.

- Może była przyjaciółką Mary - zasugerowała Charlie, pamiętając to, co Mary powiedziała jej o malowaniu bliskich sobie osób. Jak fundowanie sobie załamania nerwowego.

- Tak - odparła Jan. - Mówiła, że były nierozłączne, że ta kobieta była dla niej wszystkim, a dla mnie nikim. Jakby to dawało jej więcej praw, a mnie nakazywało milczenie. - Widząc nierozumiejący wyraz twarzy Charlie, dodała: - Przepraszam, nie powiedziałam, co było na obrazie. Mary namalowała ją z pętlą wokół szyi. - Jan się wzdrygnęła. - Całą scenę samobójstwa, ze wszystkimi krwawymi, nieludzkimi detalami. Dzieło było groteskowe. Wątpię, by prawdziwe zwłoki wywołały we mnie podobny wstrząs. Ta biedna dziewczyna... mam jej nazwisko na końcu języka... Przypomnę sobie! - Jan była zła na siebie.

- Wiem, że nie żyje, więc obraz nie wyrządzi jej krzywdy, ale jest jeszcze jej rodzina... Nawet jeśli Mary nikomu go nie pokaże, jeśli wrzuci go na strych...

Myśli Charlie odpłynęły w zakazaną strefę: Ruth Bussey i ściana z wycinkami prasowymi. Jan zrozumiałaby, czemu Charlie domaga się ich zniszczenia. Sama myśl, że tam są, że istnieją, była nieznośna. Bez względu na to, czy ktoś je oglądał, czy nie. Charlie poczuła głęboki chłód na dnie żołądka.

- ...wymusiła na mnie wyrażenie swojej opinii, a potem gwałtownie mnie za nią skarciła - mówiła Jan. - Powtarzała coś o morderstwie, jakbym ją o nie oskarżyła.

- O morderstwie? Przecież powiedziała pani, że ta kobieta się powiesiła.

- „Ktoś by pomyślał, że ją zamordowałam”, „Jestem artystką, nie morderczynią - nie zabiłam jej, tylko namalowałam”. I tym podobne. Tak, zabiła się. Gdy Mary zaczęła mówić o morderstwie, poczułam się dezorientowana, więc spytałam ponownie, by się upewnić.

- I co powiedziała Mary?

- „Postanowiła umrzeć”, jakby ten wybór dawał Mary prawo do namalowania biednej kobiety oszpeconej przez śmierć. - Jan wzruszyła ramionami. - Nie zgodziłam się z nią. Wybranie śmierci i zgoda na namalowanie portretu własnych zwłok to dwie różne rzeczy. Nie uważa pani?

Postanowiła umrzeć. To wcale nie było jednoznaczne z „popełniła samobójstwo”. Mogło oznaczać: „Postanowiła zachowywać się w taki sposób, że musiałam ją zabić”. W swoim poprzednim wcieleniu detektywa Charlie słyszała niezliczone wersje tego samego usprawiedliwienia, zawsze z ust morderców.

- Mary nie zamierzała wybaczyć mi mojego zachowania, które postrzegала jako zdradę - powiedziała Jan. - Zwłaszcza w wypadku tego właśnie obrazu. Widać było wyraźnie, że jest dla niej wyjątkowo ważny. Po tym zdarzeniu nasze relacje mocno się ochłodziły, a później nastąpiła katastrofa na targach sztuki, po której ostatecznie zerwałyśmy kontakt.

- Co się stało?

- Obraz, z którym przyszła do mnie pierwszego dnia, Abberton. Ten też był dla niej niezwykle ważny. Mary miała swoje ulubione prace, właściwie większość artystów je ma. Najważniejsze obrazy i

takie, których można się pozbyć. Oprawiłam Abbertona, ale Mary nie spodobała się wybrana przeze mnie rama. Kilka tygodni później zwróciła mi go, mówiąc, że chce, by drewno zabejcować na zielono. Tak też zrobiłam. Jej słowo było dla mnie rozkazem. Obraz czekał na nią w galerii. Mary powiedziała, że odbierze go, jak tylko skończy pracować nad obecnym. Bardzo nie lubi przerywać pracy.

Gdy po chwili milczenia Jan znów się odezwała, miała posępny wyraz twarzy, a jej głos rwał się.

- Moja ówczesna asystentka, Ciara, samowolnie wrzuciła Abberton na stertę prac, które zabierałyśmy na targi, mimo iż wyraźnie jej wytłumaczyłam, że tego obrazu nie będziemy wystawiać. Zignorowała mój zakaz, mówiąc później, że go nie dosłyszała. Wiedziałam, że kłamie. Moim zdaniem uznała - słusznie - że Abberton to najlepsza praca w naszej galerii i będzie ściągać ludzi do naszego stoiska.

Z tonu Jan Charlie wnioskowała, że sprawa wciąż ją dręczyła. Jeszcze o niej nie zapomniała, co z pewnością ten palant Lund by jej zarekomendował.

- Nie powinnam była polegać na Ciarze przy ustawianiu wystawy. Zachowała się bezmyślnie i bardzo szybko jakaś kobieta zażądała sprzedania obrazu, a ona wpakowała się tylko w jeszcze głębsze tarapaty, udając, że ktoś już go kupił. Podobno ta kobieta zaczęła się dziwnie zachowywać, jakby jej nie wierzyła. Mówiła, że skoro nie może kupić tego obrazu, to chce zobaczyć inne autorstwa tej samej artystki. Wtedy Ciara chyba się naprawdę wystraszyła i zaczęła podejrzewać, że rozmawia ze szpiegiem nasłanym na nas przez Mary.

- To chyba lekka przesada - powiedziała Charlie.

- Nie widziała pani tej kobiety - odparła Jan. - Robiła wrażenie niezrównoważonej. O całej sprawie dowiedziałam się, gdy przyjechałam na targi, by zastąpić Ciarę. Na naszym stoisku nie było śladu po obrazie Mary. Ciara zdążyła go ukryć, więc nie miałam pojęcia, że w ogóle był wystawiony. Byłam przekonana, że Abberton stoi w galerii i czeka na Mary.

- Czyli ta kobieta wróciła? - Charlie usiłowała ukryć fakt, że zna już tę historię.

- Tak. Tym razem przyciągnęła za sobą jakiegoś mężczyznę, ale to też było dziwne, bo on udawał, że z nią nie jest, cały czas stał plecami do nas i przysłuchiwał się naszej rozmowie. W ogóle nie

zdawałam sobie sprawy z jego obecności, dopóki nie zaczął się oddalać, a ona pobiegła za nim. Wcześniej krzyczała na mnie, że rano na stoisku wisiał obraz Mary Trelease i że Ciara ją okłamała. Oczywiście nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Zapewniłam ją, że się myli. Dość szybko wszystkiego się domyśliłam. Chwilę później znalazłam Abbertona schowanego pod stertą grafik, które leżały pod stołem, ale wtedy tej kobiety już nie było.

- Jak się Mary o tym dowiedziała? - spytała Charlie. Wspomnienie wykrzywiło twarz Jan w bolesny grymas.

- Sama jej powiedziałam. Nie miałam wyboru. Nie podejrzewałam, że kobieta z targów była jej szpiegiem, ale nie było całkiem wykluczone, że zna Mary i że jej powie. Uznałam, że powinnam się przyznać.

- Rozumiem, że Mary nie przyjęła tego najlepiej.

- Walnęła słuchawką telefonu. Następnego dnia zjawiała się w galerii, zachowując się jak głuchoniema. Zabrała obraz, nawet na mnie nie patrząc. Nie chciała ze mną rozmawiać. Od tamtej pory nie miałam z nią kontaktu. Nie odbierała moich telefonów, nie odpowiadała na listy. W końcu się poddałam.

- A Ciara? - Charlie była ciekawa.

- Odeszła tydzień po targach - odparła sucho Jan. Charlie doczytała zwolnienie między wierszami.

- Pewnie nie ma pani żadnych zdjęć obrazów, które oprawiła pani dla Mary? - Charlie coraz bardziej intrygował Abberton, o którym już tyle słyszała, Chciała zobaczyć, o co całe to zamieszanie.

- Kiedyś miałam - Jan zniżyła głos, jakby bała się do tego przyznać. - Była to jedna z pierwszych obietnic, jakie wyciągnęła ode mnie Mary: nie zrobię żadnych zdjęć jej obrazów. Kiedy jej to obiecywałam, zamierzałam dotrzymać słowa, ale... gdy oprawiłam Abbertona i pomyślałam, że Mary niedługo go zabierze, sfotografowałam obraz. Nie po to, żeby komukolwiek go pokazać, ale jako pamiątkę po czymś, co wywarło na mnie wielkie wrażenie i zmieniło moje podejście do pracy. Po całym zajściu z Ciarą, po tym, jak Mary trzasnęła słuchawką, gdy jej o nim powiedziałam, usunęłam zdjęcia z pamięci aparatu i komputera. Uznałam, że tak będzie fair - nie powinnam była ich w ogóle robić, wykorzystałam jej zaufanie.

Po tym wszystkim nie mogłam już mieć nadziei na taką relację z Mary, jaką sobie wymarzyłam.

Gdy Jan spojrzała na Charlie, na jej twarzy malował się ból.

- A więc nie - powiedziała. - Nie mam zdjęć Abbertona ani żadnych innych obrazów Mary i każdego dnia zadaję sobie pytanie, czy dobrze zrobiłam. Zabrzmiałoby to śmiesznie - z pewnością dowiedzie się mojego wychowania pod kloszem - ale naciśnięcie klawisza „usuń” w aparacie było jedną z najtrudniejszych decyzji w moim życiu.

Rozdział 9

Wtorek, 4 marca 2008

O czwartej jestem wreszcie gotowa.

Poświęciłam cały dzień na przejrzenie każdego dokumentu w naszym warsztacie. Zaczęłam o szóstej rano. Zamknęłam i zaryglowałam drzwi, po czym usiadłam w holu przy wyłączonych światłach, żeby zakład wydawał się z zewnątrz zamknięty. Miałam przy sobie latarkę, którą przyniosłam z domu. Kilka osób pukało do drzwi, wołając moje imię lub Aidana, ale prawie ich nie słyszałam.

Aidan niezwykle skrupulatnie archiwizuje wszystkie dane i gdy już byłam przekonana, że dysponuję pełną listą jego kontrahentów, zadzwoniłam do każdego, pytając, czy zastałam Aidana, czy był u niego wczoraj wieczorem i czy został na noc. Wszyscy zaprzeczyli.

Aidan ma dwóch przyjaciół, o których wiem. Jeden z nich, Jim Mair, mieszka w Nottingham i pracuje w organizacji pozarządowej. Drugi to David Booth, najlepszy przyjaciel Aidana z czasów szkolnych, którego dobrze znam. Pracuje w browarze w Rawndesley. Uwierzyłam mu, gdy mi powiedział, że nie widział Aidana od zeszłorocznej imprezy przed Bożym Narodzeniem.

Namierzenie Jima Maira zajęło mi trochę czasu. Gdy w końcu mi się udało, usłyszałam, jak mówi zdziwionym głosem, że nie widział Aidana od prawie dziesięciu lat.

Rodzice Aidana nie żyją, a z ojczymem od dawna nie utrzymuje kontaktów. Ma brata i siostrę, starszych od siebie odpowiednio o siedem i dziewięć lat. Wysyłają sobie kartki świąteczne, ale nie odzywają się do siebie. Znalazłam w jego notesie ich numery telefonów i zadzwoniłam, by spytać, czy nie ma u nich Aidana. Obydwoje zaprzeczyli i oboje byli zaniepokojeni taką ewentualnością.

Nie tracę serca. Wiedziałam, że nie znajdę go w żadnym z tych miejsc, u żadnej z tych osób. Od początku byłam pewna, że będę musiała zrobić następny krok.

Po raz drugi wybieram się na Megson Crescent 15. Nie boję się ani Mary, ani tego, że znajdę u niej Aidana. Spodziewam się uczucia ulgi, gdy w końcu potwierdzę swoje najgorsze przypuszczenia, a wiem, że okażą się słuszne. Spisek: najtrudniejsza rzecz do wybaczenia. Spiskującym nie zależy na wybaczeniu, bo nigdy nie zależało im na ofierze ich podchodów.

Bo tylko jedna wersja ma sens: Aidan i Mary wspólnie starają się doprowadzić mnie do obłądu.

Zamykam warsztat na klucz. Gdy wyciągam z kieszeni kluczyki do samochodu, na ziemię upada kawałek papieru: numer telefonu do Charlie Zailer. Poprosiłam ją o niego wczoraj. Z początku wyglądała tak, jakby miała odmówić. Podnoszę świstek, czując wyrzuty sumienia, że ignoruję jej radę: Me jedź do Mary.

Jadę Silsford Road pod sklepieniem koron drzew, które rosną pochyło po obu stronach jezdnii, by spotkać się w środku, tworząc tunel gęstego listowia. W tej okolicy jest pięknie, ale wkrótce drzewa się przerzedzą, powierzchnia drogi drastycznie się pogorszy i zobaczę brudne baraki, przy których mój domek wydawać się będzie ogromny. Nieco dalej minę szkołę podstawową zbudowaną z szarzielonego betonu i przypominającą więzienie i sklep dyskontowy U Boba mieszczący się przy skrzyżowaniu z ulicą, która prowadzi do osiedla Winstanley.

Będąc tu poprzednim razem, jechałam tak wolno, że można mnie było wziąć za faceta zaczepiającego uliczne prostytutki; po prostu robiłam wszystko, by przeciągnąć podróż. Dzisiaj naciskam pedał do dechy. Chcę mieć to za sobą.

Jej dom wygląda tak samo jak wtedy. Nie ma przed nim samochodu Aidana. Nie widzę go nigdzie przy Megson Crescent. Walę w drzwi.

- Otwieraj!

Mary jest w gorszym stanie, niż ją pamiętałam. Ta poorana cera przypominająca krepę, te paskudne, wełniste włosy jak u włóczkowej lalki, której twórca miał kilka dodatkowych kłębków i postanowił zaszaleć. Mam ochotę powyrywać jej z głowy te brzydkie, szorstkie kłaki jeden po drugim.

- Ruth - mówi, ściskając oburącz drzwi, które otwiera, by mnie wpuścić. - Wróciłaś.

Jest zaskoczona. Czyżby sądziła, że do końca życia będę się jej bała?

- Gdzie on jest? - On?

Odpycham ją na bok i wchodzę do środka. W żadnym z pokoi na parterze nikogo nie ma. Jesteśmy tylko ja i Mary W holu. I ludzie na obrazach, wśród nich drobna kobieta o ziemistej cerze i ostrych rysach ściągniętych ku środkowi twarzy. Na jednym z płócien patrzy w

lustro, a jej odbicie gapi się prosto na mnie. Ma nieprzyjemne oblicze, jakby mnie o coś oskarżała.

- Ruth? - Mary dotyka mojego ramienia. - Co się dzieje? Kogo szukasz?

- Aidana. Gdzie on jest? - Zaczynam iść po schodach.

- Aidana Seeda? Mężczyzny, o którego wypytuje mnie policja? - Mary idzie za mną na górę. - Nie znam go.

- Kłamiesz! Był tu wczoraj i w weekend.

- Uspokój się. - Podchodzi bliżej i próbuje mnie objąć.

- Odejdź!

- Dobrze, nie bój się, nie dotknę cię. Możemy usiąść i porozmawiać? Nie wiem, co się stało i o co mnie oskarżasz, ale przysięgam: Aidana tu nie ma.

Odwracam się od niej i mocno popycham drzwi przed sobą, aż uderzają z hukiem w ścianę. Łazienka. Malutka. Nie ma w niej Aidana. Nad sedesem wisi szafka do przesuszania bielizny. Zaczynam wyjmować ręczniki, prześcieradła, poszewki, w końcu całkowicie ją opróżniam.

Nic.

- Gdzie on jest? - pytam ponownie.

- Nie ma go tutaj, Ruth. Zejdźmy na dół i porozmawiajmy. Miałam nadzieję, że mi coś przyniesiesz. - Wykonuje dłonią w powietrzu ruch pisania.

Mój wzrok przesuwają się ku następnym drzwiom, tym, które są za jej plecami.

- Zejdź mi z drogi. Jest tam, tak? Ze wszystkimi obrazami. Uśmiech znika z jej twarzy, usta przybierają kształt prostej linii.

- Twojego Aidana Seeda tu nie ma. Widzę jednak, że nie uwierzysz mi, dopóki nie sprawdzisz osobiście każdego pomieszczenia. Proszę bardzo, czuj się jak u siebie. Będę czekała na dole. Przyjdź do mnie, gdy zechcesz porozmawiać.

Po jej odejściu zaczynam przeszukiwać pokoje. W sypialni opróżniam szuflady i szafę, nie wkładając niczego na miejsce. Patrząc pod łóżko, zaglądam za zapleśniałe zasłony. Nie ma Aidana ani żadnych jego rzeczy.

Jakiś głos w mojej głowie podpowiada mi szeptem: A jeśli się mylisz?

Kolejne drzwi stawiają opór, nie chcą się otworzyć do końca. W pokoju jest zbyt dużo obrazów Mary. Ostrożnie wchodzę do środka. Z dołu dobiega dudniący łomot: muzyka. Słyszę słowo „survivor” raz, dwa razy. Po chwili czuję zapach dymu. Wiem, że stoi w kuchni z papierosem w dłoni i czeka, aż przyznam się do porażki.

Gdyby ktoś chciał się schować w domu Mary, wybrałby to pomieszczenie. Wynosząc obrazy jeden po drugim, stawiam je w sąsiednim pokoju, w sypialni Mary, która musi słyszeć, co robię, a mimo to nie interweniuje. Wkrótce pokój jest przepelniony - płótna zalegają na łóżku i stoją oparte o wszystkie jego cztery boki. Wykorzystałam każdy centymetr kwadratowy, a mimo to główna sypialnia jest nadal niedostępna. Muszę zacząć przenosić obrazy do łazienki.

Bolą mnie ręce, ale nie mogę się poddać, choć wiem już, że nie znajdę tu Aidana.

Przestaję dopiero na widok słowa, które jest mi znajome. Zostało napisane czarnym flamastrem na odwrocie nieoprawionego płótna; BLANDFORD.

Abberton, Blandford, Darville, Elstow, Goundry...

Z trudem zbieram się na odwagę, by dotknąć obrazu i odwrócić go przodem do siebie. Przenika mnie lodowaty dreszcz. Dzieło jest nieukończone, ale Mary namalowała dostatecznie dużo, by nadać mu swój rozpoznawalny charakter. Znów zarys ludzkiej sylwetki, nie wiadomo: męskiej czy kobiecej. Tym razem tylko głowa i ramiona i pustka wewnątrz czarnej linii - na razie. Za plecami tajemniczej postaci widać część tła: sypialnia. Ta, w której teraz stoję - skład obrazów Mary. Zasłony i tapety są te same, ale na obrazie brakuje stert obrazów. Zamiast nich stoi podwójne łóżko, a obok niego krzesło. Na krześle leży szklana popielniczka, nad którą czyjaś dłoń trzyma papierosa z czekającym na strącenie popiołem. ...Heathcote, Margerison, Rodwell, Winduss.

Aidan miał rację. Abberton był pierwszym z serii obrazów. Blandford, choć niedokończony, jest następny. Przepychem się przez resztę płócien, szukając podobnych prac albo chociaż jednej, którą Mary zaczęła, ale niczego nie znajduję. Jak dotąd dotarła zaledwie do drugiej części serii.

Oddycham zbyt szybko i kręci mi się w głowie. Wmawiam sobie, że nie mam się czego bać. Zagadka jest zagadką tylko do chwili, gdy

pozna się odpowiedź. Zapytam Mary - każe, by Wszystko mi wyjaśniła. Musi być jakiś powód, dla którego Aidan znał wszystkie tytuły. Kim jest tych dziewięć osób?

Już mam wyjść z pokoju, gdy zauważam żelazny uchwyt obok krawędzi obrazu przedstawiającego dużą kamienicę z ostrym dachem i czworokątną wieżą. Gdyby nie okna, mógłby ujść za ciemną raketę czekającą na start.

Przesuwam obraz na bok i widzę wbudowane w ścianę niewielkie, pochyłe, drewniane drzwiczki. Otwieram je i moim oczom ukazuje się wnętrze małego kredensu, nie dość dużego, by zmieścić człowieka wzrostu Aidana. Zamykając drzwi, w ostatniej chwili dostrzegam coś na podłodze. Oprawiony obraz leżący twarzą do dołu, z wydrukowaną etykietą z tyłu.

Wyciągam płótno z kredensu i niemal wybucham śmiechem, widząc, że tytuł nie brzmi Darville. Tworzą go imię i nazwisko kobiety: Martha Wyers. Jestem już w trakcie wkładania obrazu z powrotem na miejsce, gdy coś mnie powstrzymuje.

Obracam płótno, po czym wypuszczam je z rąk, jakby poparzyło mi skórę. Obraz upada pod moimi stopami, twarzą do góry. Patrzę na niego przerażona, mimowolnie wydaję z siebie stłumiony krzyk. Czuję się tak, jakbym nagle straciła całą kontrolę nad swoim życiem, jakby obsadzono mnie na pierwszym planie cudzego koszmaru i stopniowo, krok po kroku, głębiej mnie w niego wciągano.

Patrzę na obraz kobiety z zawiązanym na szyi sznurem. To najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Nie są to ludzkie zwłoki, jedynie ich graficzne przedstawienie, ale to bez znaczenia. Mary jest zbyt dobrą malarką. Znalazłam się w bezpośredniej bliskości z Marthą Wyers, kimkolwiek ona jest. Kimkolwiek była.

Widzę wszystko: fakturę sznura, jego postrzępione końcówki. Sposób, w jaki wbija się w ciało. Wybałuszone oczy i fioletooszare oczodoły. Gruby, wystający język. Sine plamy wokół ust i białą, suchą linię pod dolną wargą...

Czuję zapach dymu. Bliżej niż za pierwszym razem. Mary.

- Widzę, że znalazłaś Marthę - mówi.

Najtrudniejszą rzeczą w moim życiu było przebrnięcie przez rozprawę sądową, w trakcie której Ona gapiała się, jakby chciała rzucić się na mnie i wydłubać mi oczy, a On uporczywie spuszczał wzrok, unikając mojego spojrzenia. Zmuszenie się do odwiedzenia Mary

Trelease po raz pierwszy było drugą z tych najcięższych w życiu chwil.

Mozna dokonać każdej, nawet najtrudniejszej rzeczy, jeśli nie sposób sobie wyobrazić swojego życia bez jej dokonania. Aidan powiedział: „Przynieś mi ten obraz, więc nie miałam wyboru. Po wyjeździe do Londynu prawie się do mnie nie odzywał. Wciąż tylko powtarzał, że mnie kocha, lecz kiedy to mówił, jego oczy spowijał jakiś dziwny mrok. Zaczęłam podejrzewać, że używa seksu jako sposobu na uniknięcie rozmowy. Ulga, jaką to dawało, rychło przestała działać i zdałam sobie sprawę, że dłużej nie możemy tak żyć. Ilekroć błagałam go, by się przede mną otworzył, Aidan powtarzał to, co powiedział w Alexandra Palace: „Przynieś mi ten obraz. Przynieś mi Abbertona”.

Sądziłam, że jeśli tylko postawię go przed nim, pokażę napisane na nim nazwisko Mary Trelease i datę, to wreszcie uwierzy, że jej nie zabił, bez względu na to, co innego mogło się między nimi zdarzyć. Nie obchodziła mnie świadomość, że prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, co to było. Pragnęłam jedynie znów być szczęśliwa i chciałam, by Aidan był szczęśliwy. Zgodnie z zapowiedzią, zaraz po naszym powrocie z targów sztuki wprowadził się do kordegardy, a ja ze wszystkich sił starałam się nie patrzeć na tę decyzję jako na spełnienie groźby z Londynu. Tęskniłam za jego dawnym zaufaniem i wiedziałam, że to ja muszę je odzyskać.

Drugiego stycznia, po nieznośnie smutnych świątach Bożego Narodzenia, zebrałam się na odwagę, by zadzwonić do Saula Hansarda.

- Ruth - usłyszałam jego głos w słuchawce. Był wyraźnie ucieszony moim telefonem. Miałam wyrzuty sumienia za wycięcie go ze swojego życia, ale wiedziałam też, że zrobię to jeszcze raz, jak tylko zdobędę potrzebną mi informację. Dźwięk jego głosu sprawił, że poczułam głębokie ukłucie wstydu.

- Mary Trelease - powiedziałam. - Potrzebuję jej adresu.

Powinnam była się domyślić, że go to zmartwi, ale miałam poważne trudności z myśleniem o czymkolwiek innym poza własnymi potrzebami i lękami - własnymi i Aidana.

- Po co? - zapytał delikatnie Saul. - Cokolwiek zamierzasz zrobić, nie sądzę, by był to dobry pomysł.

- Nie chcę robić awantur - zapewniłam go. - Muszę z nią porozmawiać, to wszystko.

Saul powiedział, że kilka sekund po moim wybiegnięciu z galerii zerwał współpracę z Mary. Mówił mi to już wcześniej, w jednej z wielu wiadomości, które nagrał na mojej automatycznej sekretarce, ale najwyraźniej czuł, że powinien wspomnieć o tym jeszcze raz.

- Wiem - odparłam. - Dziękuję.

- To niebezpieczna kobieta, Ruth. Chyba nie muszę ci o tym przypominać.

Poczułam w sercu iskrę paniki. Rozmowa z Saulem przenosiła mnie z powrotem w przeszłość, w ostatnie miejsce, w którym chciałam się znaleźć.

- Nie powiem jej, że mam adres od ciebie - nalegałam. - Proszę cię, Saul. To bardzo ważne.

W końcu się zgodził, tak jak przypuszczałam. Nie mógł jednak znaleźć adresu i powiedział, że będzie musiał go poszukać. Gdy zadzwonił wieczorem, Aidan był w domu i patrzył z drugiego końca pokoju, jak zapisuję adres na kartce.

- No i co? - spytał.

Mogłam wytłumaczyć mu, że skontaktowałam się z Saulem i poprosiłam go o adres Mary, ale tego nie zrobiłam. Przywykliśmy z Aidanem do przekazywania sobie nawzajem tylko najważniejszych informacji,

- Megson Crescent piętnaście - powiedziałam. Twarz Aidana zastygła w grymasie przerażenia.

- Ten sam dom - wymamrotał. W jego głowie nastąpiła jakaś eksplozja, opanował go nowy strach. Wybiegł z pokoju. Z holu dobiegł mnie płacz, jakby tam upadł i nie był w stanie przemieścić się dalej. Zasłoniłam dłońmi uszy, czując kompletną bezradność i myśląc: ten sam dom, w którym co...? Ten sam, w którym zabił Mary?

Zmarli się nie przeprowadzają.... Czy pod tym adresem mieszkała Mary, gdy Aidan ją znał? Czy to w tym domu ją zabił? Ale przecież ona żyła. Sytuacja nie miała najmniejszego sensu bez względu na to, od której strony próbowałam do niej podejść.

Następnego dnia rano nie musiałam mówić Aidanowi, że nie jadę z nim do pracy. Wyszukałam trasę w atlasie i ruszyłam w kierunku osiedla Winstanley. Choć nie da się przewidzieć przyszłości, czasem człowiek czuje jej obecność tuż przed sobą, ciemną i nieznośną, tylko

czekającą, by go wchłonąć. Skóra twarzy zaczęła mnie swędzieć i sztywniała, jak wtedy, gdy Mary spryskała ją czerwoną farbą. Przekręciłam lusterko, by upewnić się, że wszystko jest w porządku, choć na poziomie racjonalnym wiedziałam, że moja twarz będzie wyglądała zwyczajnie. Po zmyciu czerwona farba nie mogła się spontanicznie pojawić. Nie mogła przecież po tylu miesiącach przeniknąć przez skórę na zewnątrz.

Stałam przed domem Mary, a moje ciało było wołającym o pomoc kłębkim nerwów. Zapukałam do drzwi. Kiedy je otworzyła i zobaczyła mnie w progu, głośno westchnęła i spojrzała na mnie z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam rozszyfrować.

- Ruth Bussey - powiedziała wolno. - Wejź. Obejrzyj sobie moją norę i pław się w poczuciu wyższości.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Myśl, iż mogłabym mieć wobec kogokolwiek poczucie wyższości, wydała mi się tak niedorzeczna, że nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź.

- Po naszej kłótni w galerii Saul Hansard wyrzucił mnie na ulicę. Musi być fajnie mieć takiego mężnego obrońcę.

Moją głowę wypełniły dziwne równania: sarkazm równa się agresja równa się atak. Zacisnęłam dłonie w pięści, odwróciłam się i zaczęłam biec.

- Zaczekaj, nie odchodź - zawołała za mną Mary. Zbyt wystraszona, by wiedzieć, dokąd iść, wpadłam na jakąś ścianę i poczułam, że coś ostrego wbija mi się w skórę przez materiał bluzki. Spojrzałam w dół. Na bawełnie pojawiła się mała, czerwona plama.

- Przyniosę ci plaster - powiedziała Mary. - Mam kilka w szafce w łazience, o ile jeszcze się nie zamieniły w pył. Leżą tam, odkąd się tu wprowadziłam. Tak samo jak ten zabójczy chwast/Przywołała mnie do siebie.

Nie mogłam uwierzyć, że zaprasza mnie do środka. By ukryć swoje zmieszanie, wymamrotałam:

- To nie chwast.

- Słucham? - Nic.

Mary podeszła do mnie i dotknęła rośliny, która mnie ukłuła.

- Wiesz, co to jest?

Przytaknęłam, nie patrząc na nią. Widziałam ich setki, choć jak dotąd nie spotkałam się z osobnikiem dość ostrym, by mógł przebić skórę. Cała się trzęsłam, nie mogąc opanować drgawek.

- Powiedz mi.

Wydało mi się to łatwiejsze niż mówienie o prawdziwym celu wizyty.

- Nazywa się sempervivum. Posadzono go tutaj, żeby wyrastał ze ściany. - Czułam się jak idiotka, tak niezdarnie się raniąc. Spodziewałam się, że Mary wybuchnie śmiechem.

- W takim razie lepiej, żebym go nie wyrywała - rzekła niechętnie. - Chodź. Jeśli chcesz wejść. - Uznała za oczywiste, że za nią pójdę. Tak też zrobiłam. Dookoła domu i przez tylne drzwi do kuchni, która wyglądała strasznie. - Jesteś wstrząśnięta stanem mojego domu - powiedziała.

- Nie.

- Od wprowadzenia się niczego tu nie ruszałam. - Potem tłumaczyła coś o uroku znalezionych obiektów, ale nie słuchałam jej całą uwagą. Jak miałam znaleźć Abbertona? Dlaczego nie przewidziałam praktycznej niewykonalności tego zadania? Przez chwilę rozważałam powiedzenie prawdy, ale szybko odrzuciłam tę myśl. Mój chłopak uważa, że cię dawno temu zabił. Czy nie zechciałabyś dać mi obrazu, którego sprzedania w zeszłym roku mi odmówiłaś, bym mogła udowodnić narzeczonemu, że żyjesz?

Mary kazała mi poczekać w kuchni i poszła szukać plastra. Nie potrzebowałam pomocy - moja rana była ledwie widocznym ukłuciem - ale nie chciałam się jej sprzeciwić. Kiedy tylko wyszła, natychmiast poczułam się uwięziona w pokoju, mimo iż drzwi były otwarte. Dla uspokojenia zaczęłam gorączkowo wyliczać w myślach otaczające mnie przedmioty: czajnik, kuchenka mikrofalowa, ścierka z napisem „Villers” i obrazkiem dużego, kamiennego pałacu, cztery pudełka herbaty miętowej stojące jeden na drugim...

Nie mogłam się skupić ani stać w miejscu. Wyszłam do holu, małego, wąskiego i przepełnionego mieszanką odurzających zapachów: dymu, gazu i tłuszczu. Po mojej lewej zobaczyłam kolejne otwarte drzwi, przez które widać było gazowy kominek z giętymi prętami i przyczepionymi do nich nitkami kurzu przypominającymi ozdobę choinkową, która dawno już straciła swój blask. Nad kominkiem wisiał obraz przedstawiający chłopca z flamastrem w dłoni. Chłopiec napisał na ścianie „Joy Division” i teraz stał nieco odsunięty, oceniając swoje dzieło. Jego twarz była niewidoczna. Momentalnie rozpoznałam w obrazie styl Mary. Coś w pozycji

chłopca wywoływało we mnie wrażenie, że za chwilę się odwróci i przyłapie mnie na szpiegowaniu. Całość wprawiała mnie w niepokój i kazała spuścić wzrok. Jak ona to robiła? Jak za pomocą pędzla i kilku farb tworzyła coś tak niezwykłego?

Mary zeskoczyła ze schodów i wylądowała obok mnie, sprawiając, że wykrzyknęłam z trwogą.

- Proszę. Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć. - Trzymała w dłoni plaster. Nie mogłam zrozumieć, czemu nie jest wciąż na mnie wściekła, dlaczego obchodzi ją moje skaleczenie.

Wyciągnęłam rękę po plaster, ale Mary już odklejała od niego ochronne kawałki papieru. Gdy je usunęła, włożyła plaster między zęby i podwinęła moją koszulę. Nie spodziewałam się tego i gwałtownie cofnęłam całe ciało. Uderzyłam plecami w ścianę. Było za późno - widziała bliznę, różową linię dzielącą mój brzuch na pół. Widziała również mój stanik, ponieważ podciągnęła koszulę wyżej, niż było trzeba.

Ale biustonosz jej nie interesował. Widziałam, gdzie wylądował jej wzrok: na mojej zniszczonej skórze. Po operacji usłyszałam pielęgniarkę, która myśląc, że śpię, powiedziała:

- Lepiej, żeby nigdy nie utyla. Ten brzuch z odrobiną tłuszczu będzie wyglądał jak tyłek. - Jej kolega się zaśmiał i nazwał ją wredną suką.

Mary była zafascynowana moją blizną. Patrzyła na nią bez zahamowań. Miałam wielką ochotę wyrwać połę bluzki z jej rąk i zakryć brzuch, ale bałam się przedkładać swoje chęci nad jej własne. Mary chciała patrzeć, a ja wiedziałam, co się dzieje, gdy się jej sprzeciwiam.

Polizwała swój palec, wytarła plamkę krwi z mojej skóry i nakleiła plaster, przyciskając go knykiem. Ona jest nienormalna, pomyślałam sobie, gdy się do mnie uśmiechnęła. Przyszło mi do głowy, że ta tak zwana pomoc może być subtelną formą przemocy. Jeśli jej celem było upokorzenie mnie, to znowu się jej udało.

- Co o nim sądzisz? - spytała, kiwając głową w kierunku obrazu nad kominkiem. - Podoba ci się?

- Tak.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

- To wszystko? Myślałam, że uwielbiasz moje prace. Tak bardzo, że nie mogłaś się powstrzymać przed kupieniem jednej z nich:

- Jest... jest dobry. Wszystkie są dobre. - Dwa inne obrazy wisiały w holu. Jeden przedstawiał mężczyznę, kobietę i chłopca siedzących przy stole, a drugi tego samego mężczyznę i tę samą kobietę - ona patrzyła w lustro, a on leżał na łóżku za jej plecami. Kobieta siedziała plecami do patrzącego, jej twarz widać było jedynie w lustrzanym odbiciu. Wydawało mi się, że ze mnie szydzi, więc się odwróciłam. Na tle wytartych tapet obrazy Mary się wybijały, żywe i hipnotyczne, jak diamenty prześwitujące spod warstwy szlamu. Widok był zgrzytliwy - te płótna tu nie pasowały, wydawały się drastycznie nie na miejscu, ale bez nich ten dom byłby absolutnie bezduszny. Miałam silne wrażenie - jedno z najdziwniejszych uczuć, jakich kiedykolwiek zaznałam - że ten dom potrzebuje obrazów Mary.

- Wiem, nie chciałybyś powiesić ich w swoim domu. - Mary myliła mój podziw z odrazą. - Parszywa rodzinka, lecz takie jest życie w osiedlu Winstanley. Jesteś odważna, że tu przyjechałaś. Ci ludzie już tu nie mieszkają, ale jest mnóstwo innych tego samego sortu, a nawet gorszych.

- Nie jestem odważna - odparłam. Czy ona nie widziała, jak bardzo się boję? Czyżby ze mnie drwiła?

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedziała. - Jestem ci winna przeprosiny za to, co się wydarzyło w czerwcu. Nie chciałam aż tak cię przerazić.

Mów o czymś innym. Błagam, zmień temat. Żuchwa zaczynała mnie boleć, tak mocno ją zaciskałam.

- To ja byłam przerażona. Jak najgorsza egoistka, nie pomyślałam. .. - Nie dokończyła zdania. - Ciebie to nadal dręczy, prawda? To zajście w galerii.

Jak śmiała domagać się ode mnie potwierdzenia? Zaczął we mnie wzbierać gniew, ale próbowałam przytaknąć, jak gdyby nigdy nic. Moja odruchowa reakcja na złość: głęboko ją zakopać, nim zostanie użyta przeciwko mnie. Nie dać jej ujścia. To praktycznie pierwsza rzecz, jakiej nauczyłam się w domu swoich rodziców; nie miałam prawa do swoich naturalnych reakcji, zwłaszcza tych niechrześcijańskich. Wolno mi było okazywać tylko te stany umysłu, które podobały się matce i ojcu, które sprawiały, że byli ze mnie dumni. Gniew, zwłaszcza gniew skierowany przeciwko nim, nie kwalifikował się do tej kategorii.

- Właściwie dlaczego wciąż nie daje ci to spokoju? - Mary czekała na odpowiedź, której nie zamierzałam jej udzielić. - Winisz samą siebie? Czemu to robimy, co? Mam na myśli ludzi w ogóle. Dlaczego interpretujemy każde przykre zdarzenie jako wielką, czarną strzałę wymierzoną prosto w nas i udowadniającą naszą bezwartościowość?

Jej słowa, tak bardzo niespodziewane, przeszły mnie na wylot. Wiedziałam, że długo ich nie zapomnę.

- Gdy się na ciebie rzuciłam, przypomniało ci to coś innego, mam rację? Już kiedyś byłaś ofiarą przemocy, prawda? Twoja reakcja tamtego dnia była ekstremalna i nie wierzę, że to wszystko moja wina. Nie musisz mi odpowiadać, jeśli nie chcesz.

Stałam wbita w ziemię ze wzrokiem utkwionym w plamkę krwi na bluzce.

- To, co zrobiłam, nie miało nic wspólnego z tobą, z twoimi słowami ani zachowaniem - powiedziała Mary. - Żaden atak nie jest nigdy atakiem na ofiarę. Napastnik stosuje przemoc wobec znienawidzonej części siebie.

Ciekawe, co by na to powiedziały ofiary, pomyślałam.

- Nie sprzedaję swoich obrazów. Nigdy tego nie robiłam. Nie lubię nawet, by ludzie je oglądali, chyba że im ufam, a ja nie ufam nikomu; Jestem tchórzem. Byłaś obcą kobietą domagającą się kupna mojego obrazu, poczułam się zagrożona. Bezbronna. - Zapaliła papierosa.

- Dlaczego? - Moja kolej, by czekać na odpowiedź.

Mary nie zdawała się przejmować długą ciszą; Dopiero po jakimś czasie powiedziała:

- Czy jest w twoim życiu coś... w twojej przeszłości... coś, o czym nie jesteś w stanie mówić?

Skąd mogła wiedzieć? Wmówiłam sobie, że nie może wiedzieć.

- Myślę, że jest. - Wskazała palcem na mój brzuch. - Blizna i związana z nią historia. Nie bój się, nie proszę cię, byś mi ją opowiedziała.

Chwila na zaprzeczenie pojawiła się, ale szybko znikła. Właściwie przyznałam Mary rację.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, żeby ją spisać? Tę historię. Przez lata chodziłam na terapię. Przestałam, gdy pojęłam, że zepsutych części nie da się naprawić. To nic, mogę z tym żyć, o ile

moją półgłówną w tej brudnej dziurze można nazwać życiem. Bo tak właśnie jest, mam rację? Wiem, że ty to wiesz, Ruth. Gdy twój świat się zapada i leży w gruzach, tracisz część siebie. Nie wszystko, niestety. Jedna połowa, ta najlepsza, umiera. Druga połowa żyje dalej.

Próbowałam ukryć wrażenie, jakie wywoływały na mnie jej słowa.

- Moja terapeutka powiedziała mi, że nie będę w stanie zrobić kroku do przodu, dopóki nie przestanę rozdzielać winy. Kazała mi opisać swoją historię w trzeciej osobie, pokazując uczucia wszystkich osób, nie tylko swoje. To niby jakiś sposób na dostrzeżenie, że każdy ma swój punkt widzenia, czy coś równie idiotycznego. - Mary zgasiła papierosa na ścianie i od razu zapaliła następnego. - Nie zrobiłam tego. Nie miałam ochoty patrzeć z punktu widzenia innych osób. Rozumiesz?

Gdy mówiła, patrzyłam, jak ból przeszywa jej twarz, i zastanawiałam się, czy ja też czasami tak wyglądam. Mary cicho się zaśmiała.

- Ale zboczyłam z tematu - powiedziała. - Tak to jest, jak się tygodniami z nikim nie rozmawia. Mogę cię namalować?

- Nie - odparłam z niesmakiem. Nie byłam pewna, czy Mary mówi serio.

- Czemu? Masz idealną twarz, jak u wróżki albo anioła. Choć nie widziałam nigdy wróżki ani anioła. - Jej oczy przybrały przebiegły wyraz. - Nie zapomnę, jak wyglądasz. Nie możesz mnie powstrzymać przed namalowaniem cię.

- Proszę cię, nie.

- Niektórzy ludzie nie mają nic do powiedzenia. - Pokazała ręką na postaci z obrazów.

- Nie chcę być malowana - zaprotestowałam. - Gdybym chciała, z pewnością wybrałabym ciebie. - Podobała mi się ta odpowiedź: stanowcza, ale szczodra. Nie mogła mi nic zarzucić.

- Czemuż to? - spytała.

- Ze wszystkich artystów, których dzieła widziałam, ty jesteś najlepsza.

Wyrzuciła z siebie znudzonym głosem listę malarzy:

- Rembrandt Picasso, Klimt, Kandinsky, Hockney, Hirst. Lepsza od nich wszystkich?

- Nigdy nie widziałam ich prac - odparłam. - Tylko zdjęcia w albumach.

W oczach Mary błysnęła jakaś emocja. Tryumf? Gdy się odezwała, jej głos był zachrypnięty.

- Ruth - powiedziała. Gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że bezgłośnie powtarza moje imię jeszcze kilkakrotnie. - Zaczekaj. - Wstała.

Czekałam, co powie, ale najwyraźniej wypowiedziała moje imię tak po prostu, a nie jako wstęp do dłuższego zdania. Znowu poszła na górę. Wróciła, niosąc Abbertona. Gdy go zobaczyłam, serce zaczęło mi mocno bić. W mojej głowie ten obraz związany był ze strasznym dniem w galerii Saula. Później próbowałam o nim nie myśleć, ale gdy mi się przypominał, czułam się zdezorientowana, bezsilna. Teraz, gdy już poznałam Mary, gdy mnie przeprosiła, sytuacja się zmieniła. Coś we mnie uległo przesunięciu.

- Jeśli nadal go chcesz, jest twój - powiedziała Mary. - Gratis. - Co? Ale...

- Wcześniej ci nie ufałam, lecz teraz jest inaczej. - Wyglądała na zakłopotaną, spróbowała się uśmiechnąć. - Każdy, kto wie, że nie widział obrazu, jeśli nie zobaczył oryginału, jest w porządku. Nie uwierzyłabyś, ilu ludzi wieszka sobie w mieszkaniach plakaty z Narodzinami Wenus Botticellego i wyobraża sobie, że ma w domu Narodziny Wenus Botticellego.

Poczułam się źle, jakbym ją oszukała. Przyszłam tutaj, żeby zdobyć Abbertona dla Aidana, nie dla siebie. To ma być jego dowód: imię i nazwisko Mary i data na dole płótna. Mary nie wiedziała o moim ukrytym zamiarze. Próbowałam przekonać samą siebie, że nie robię nic złego. Wyobrażałam sobie, że otwieram usta i wymawiam imię Aidan, by zobaczyć, jak Mary zareaguje. Niewykonalne.

Nie chciałam, by znała jego imię i by wiedziała, że jest moim chłopakiem. Nie chciałam, by wiedziała cokolwiek o nas dwojgu. Gardziłam sobą, czując, że bez względu na to, co Mary powie i zrobi, nigdy jej nie zaufam.

Uniosła dłonie i ułożyła z palców wskazujących i kciuków kształt ramki przed moją twarzą.

- Jaka jest twoja historia, Ruth Bussey? Zanim kogoś namaluję, muszę go poznać. Co się tobie przytrafiło? Skąd masz tę bliznę? - Tym razem nie powiedziała, że nie muszę jej mówić, jeśli nie chcę,

więc sama powtórzyłam to sobie w duchu. - Uważasz, że to twoje milczące cierpienie czyni cię silną, bo sama niesiesz swój ciężar? I co z tego? Jakaż jest zaleta w byciu silnym? Wiesz, co się przydarza silnym ludziom? Ja wiem. Są atakowani przez słabych. Dlaczego twoim zdaniem napadłam cię wtedy w galerii?

Zesztywniałam. Ile czasu zajęłaby mi ucieczka?

- Wydałaś mi się silna, a ja czułam się słaba. Słabi zawsze atakują silnych, tak jest bezpieczniej. To słabi są niebezpieczni, oni tracą nad sobą kontrolę i ranią innych. Silni mogą zawsze odejść. Widzisz: jak zaatakujesz silnego, nie spotka cię żadna kara. Chcesz wiedzieć, skąd moja słabość?

- Nie... nie. - Wzięłam do rąk Abbertona, bojąc się, że Mary zmieni zdanie i odbierze mi go. - Muszę iść.

Mary chwyciła mnie za ramię.

- Opowiedz mi swoją historię, a ja powiem ci swoją. Starłam się nie wpaść w panikę, powtórzyłam tylko, że muszę już iść. Otworzyłam frontowe drzwi i byłam już prawie na zewnątrz. Z Abbertonem pod pachą.

- Kiedyś jeszcze mi powiesz - rzuciła Mary, puszczając chwyt. Pobiegłam do samochodu, łakomie wciągając świeże powietrze, jakbym wypłynęła spod powierzchni wody. Nie obejrzałam się. Wiedziałam, że zobaczę Mary w drzwiach, patrzącą, czekającą. Odjeżdżając, nabrałam pewności co do jednego: obłędne przekonanie Aidana obracało się wokół kobiety, która swoim Szaleństwem dorównywała wszystkiemu, co o niej opowiadał.

Nie wiedziałam, co to dokładnie znaczy, ale coś znaczyć musiało.

Rozdział 10

4/3/08

- To nie jest żaden związek - powiedziała oburzona Olivia. - Może nie zauważyłaś, ale związki to nie jest moja specjalność. I to ci odpowiada, prawda? Moja samotność, bycie na każde twoje zawołanie.

- Nie zwracaj kota ogonem! Nie chcę, żebyś była samotna i...

- Przerazona wizją powiedzenia facetowi, w którym się zakocham, że straciłam macicę i jajniki w walce z rakiem i nie mogę mieć dzieci?

- Zawsze robisz to samo! Wyświetlasz mi przed oczami słowo na „r” i oczekujesz, że się wycofam! - Charlie chciała, by jej siostra podjęła rękawicę i stanęła do walki. Tymczasem Olivia siedziała skulona w swoim malutkim, wyłożonym drogimi tkaninami mieszkanku w Fulham, wciąż w kremowej, atlasowej piżamie, mimo iż zbliżał się już wieczór. Nie przepadała za wysiłkiem fizycznym. Jeśli nie liczyć seksu z Dominikiem Lundem, jak się okazało.

Charlie czuła się jak szkolny osiłek, wrzeszcząc jej nad głową. Wiedziała też, że nie zamierza w najbliższym czasie przestać krzyczeć.

- Możesz sobie wyobrazić, jak się czułam? Najpierw się przed nim otworzyłam, błagając go o pomoc, a potem musiałam siedzieć jak jakaś kretyńska, słuchając monologu o swojej naturze nieudacznika, patrząc, jak go bawi deptanie mojego samopoczucia, jak nurza się w swojej mądrości i mojej bezradności. Wiesz, jak mnie nazwał? Byłą dziewczyną psychopaty. Prawdziwego dżentelmena sobie przygruchałaś. Jak mu powiedziałam, żeby spieprzał, odpalił artylerię: „Aha, nie tylko nie zamierzam kiwnąć palcem w twojej sprawie, ale do tego bzykam twoją siostrę i oboje śmiejemy się z ciebie za twoimi plecami”. Nie przyszło ci do głowy, że ta informacja przyda mi się przed spotkaniem?

- Twój egocentryzm nie zna granic - powiedziała Olivia z twarzą różową od gniewu. - Zaraz wyświetlę ci przed oczami kilka innych słów. Czy ty w ogóle siebie słyszysz?

Charlie nie miała nastroju do słuchania.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie widzę problemu. Potrzebowałaś porady prawnej, więc poleciłam ci Dominika. Nie uprzedziłam cię, bo ty każdą moją decyzję osądzasz tak, jakbym...

- Naprawdę nie stać cię na kogoś lepszego od tego półautystycznego skąpca, który nawet nie patrzy w oczy ludziom, z którymi rozmawia, który celowo zapomina portfela, idąc na lunch, który bawi się kompulsyjnie swoją komórką, tak jak młodzi chłopcy bawią się swoimi siusiakami, który wygląda jak myszołów...

- Myszołów?

- Jak duży, drapieżny ptak. Tylko mi nie mów, że tego nie zauważyłaś. Zachowuje się też jak zwierzę.

- Dobra! - Olivia uniosła obie dłonie. - Tak, nie stać mnie na lepszego. To chciałaś usłyszeć? Udało mu się wytrącić cię z równowagi, więc przyszedł do mnie, żeby zdenerwować mnie. Cel osiągnięty, dobra robota. Zadowolona?

- Śmiało - zachęcała ją Charlie, - Użyj tych słów, którymi mi groziłaś.

- To nic zobowiązującego, Char. Nie spotykamy się znowu tak długo. Chciałam...

- Jak długo to twoim zdaniem nie tak długo?

- Nie wiem, jakieś sześć miesięcy.

- Sześć miesięcy! O zaręczynach z Simonem powiedziałam ci pięprzone trzy sekundy po tym, jak się samą dowiedziałam! Od którego to momentu paradujesz po mieście ze świętoszkowatą miną, rozsiewając wyrazy dezaprobaty, głośno skazując nas na porażkę przy każdej sposobności...

- Paraduję? Ja nie paraduję.

- A ja chcę po prostu być dla odmiany szczęśliwa. Wciąż powtarzasz, że swoje już powiedziałaś i teraz się zamykasz, ale jakoś nigdy ci to nie wychodzi. Nie możesz się powstrzymać przed przypominaniem mi, że Simon jest dziwakiem, że jest sztywny i niezręczny, że nigdy nie powiedział mi, że mnie kocha... - Charlie musiała przerwać, czując narastającą w sobie falę gniewu uniemożliwiającą jej jasne myślenie.

Po chwili odzyskała rezon.

- Niezręczny - powtórzyła cicho. - A tymczasem posuwasz Dominika Lunda? Tchórzostwo i hipokryzja, jak ci się podobają te słowa? Przemykasz chyłkiem, żeby nie wystawić się na ciosy, jednocześnie gorąco mnie potępiając. Ile razy mieszałaś Simona...

- Nie mam nic przeciwko Simonowi! Lubię go. No dobra, uważam, że jesteś stuknięta, chcąc...

- A ja uważam, że ty jesteś stuknięta. Szalona. Bez piątej klepki!
- Dominik ma wybitny umysł. Jest wybitnym...
- Jeśli chcesz, nazywaj go Dominisem. Nie powstrzymuj się. -
Charlie zaczynała się dobrze bawić. Czasami najlepszym sposobem na pozbycie się bólu jest wywołanie go u innych. - Teraz wiesz, jak to jest, gdy ktoś rozrywa na strzępy mężczyznę, którego kochasz - powiedziała.
- Wcale nie wiem, czy go Kocham. To skomplikowane...
- Wiesz, co jeszcze mi powiedział? Że nie słucham innych. To z ust człowieka, który widział mnie raz w życiu.
- Jest spostrzegawczy - odparła Olivia.
- On cytował ciebie!
- Ma niesamowitą pamięć. Jest inteligentniejszy od Simona.
- Litości. Wydorosłej!
- Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że... Kto, jak nie ty, miałby docenić urok inteligentnego mężczyzny.

Ta część Charlie, która potrafiła odczuwać zwyczajne, ludzkie emocje, została odłączona od zasilania. W takich chwilach zazwyczaj próbowała pogorszyć jeszcze sytuację, bo akurat to umiała robić dobrze.

- Zawrzyjmy pakt, dobra? Ty nie przychodzisz na mój ślub, a ja nie przyjdę na twój. Jeśli chodzi o rodziców, to mogą wybierać. Jeden albo drugi. Zależnie od tego, która z nas ich zdaniem wybrała sobie mniej beznadziejnego partnera. Wybiorą ciebie, rzecz jasna, bo się im podlizujesz, czego ja nie robię. Chociaż z drugiej strony jakoś nie widzę, by ojciec opuścił dzień golfa na którykolwiek z naszych ślubów.

- Powiedz to jemu, jeśli masz jakiś problem! Nie odważyłabyś się. Próbujesz mnie z nimi skonfliktować w nadziei na to, że rozpętam jakąś kłótnię, a wtedy ty staniesz sobie z tyłu z niewinnym wyrazem twarzy. To ty jesteś tchórzem, nie ja! I wcale się im nie podlizuję. Mam na uwadze ich uczucia, to nie to samo. - Olivia wytarła oczy dłonią i westchnęła. Drugą dłonią zamknęła ekran laptopa, który leżał obok niej na kanapie. - To tyle, jeśli chodzi o pracę na dziś - powiedziała tonem ofiary.

- Praca? Masz na myśli durne artykułiki w dodatkach do gazet, które i tak wszyscy wyrzucają do kosza? Siedzisz w pizamie o szóstej po południu. Nazywasz to pracą?

Olivia nie wstała z kanapy, ale zdjęła nogi z obicia i wyprostowała plecy.

- Jestem dziennikarką - powiedziała rozdartym głosem. - Piszę o książkach. Książki nie są durne. Moja praca jest warta tyle samo, co twoja.

Akurat.

- Dobra, napisałam kilka artykułów o modzie i zakupach, co ty skrzętnie zachowałam w pamięci, żeby wykorzystać w swojej kampanii udowodnienia mi, że wszystko, co robię, jest niepoważne. - Olivia wytarła oczy.

- Taktyka odwracania uwagi - powiedziała niewzruszonym tonem Charlie. - Nie myśl, że nie widzę, jak ją stosujesz. Zawsze to zauważam. - Charlie sądziła, że jej siostra jest dumna z bycia niepoważną.

- Wiesz co? Nawet mnie nie boli to, że uważasz moją pracę za stratę czasu. Może gdybym robiła to, co ty, myślałabym tak samo o ludziach, którzy nie mają na co dzień kontaktu ze zwłokami i psychopatami. Na pewno bym tak myślała.

- Nie pracuję już w wydziale kryminalnym, choć najwyraźniej nikt tego nie zauważył. - Charlie westchnęła. - Ostatnio mam kontakt wyłącznie z kwestionariuszami i formularzami.

- Boli mnie to, że nawet nie próbujesz udawać! - Olivia była zdecydowana zrzucić kamień z serca. - Nieustannie prezentujesz wizję świata, w której ty jesteś ważna, a ja całkowicie bezwartościowa. I oczekujesz, że się pod nią podpiszę!

- Proszę cię. Kiedy prezentowałam...?

- Cały czas to robisz! Każdym słowem i gestem, każdym grymasem. Wiesz, że piszę książkę?

- Tak, tak. Ja też.

- Mówię serio!

- To samo powtarzałaś, jak byłyśmy nastolatkami. Napisałaś najwyżej jeden akapit.

- No dobrze, to prawda! - Olivia w końcu wstała z kanapy. - Tak jak i to, co powiedział Dominik. Jak to jest, że ty możesz walić prosto z mostu, ale innym masz to za złe? Powiedział ci, że nie ma powodu do wszczynania sprawy, więc zwalasz winę na niego, bo chciałaś usłyszeć coś innego.

- „Nie ma powodu do wszczynania sprawy” - wyszydziła siostrę Charlie. - Widzę, że opanowałaś prawniczy żargon.

- Dominik nazwał cię byłą dziewczyną psychopaty, bo tym jesteś! Zawsze nią pozostaniesz, więc się z tym wreszcie kurwa pogódź. To wcale nie znaczy, że ten opis wyczerpuje całość twojej osobowości. Nie powiedział tego złośliwie i wcale nie pławił się w twojej bezsilności - to jedna wielka bzdura! On po prostu jest... nadzwyczaj bezpośredni. Nie znasz go tak, jak ja.

- Nie. Do tego musiałabym trochę szerzej rozewrzeć nogi, - Charlie nie była gotowa na dojrzałą rozmowę. Jeszcze nie teraz; Świadomość, że w końcu jednak będzie musiała przybrać rozsądny ton, wpędzała ją w furję i popychała ku wyrządzeniu jak największych szkód.

- Nie powinnaś mieć z tym większych trudności - odcięła się Olivia. - Musisz sobie tylko przypomnieć czasy sprzed zaręczyn z Simonem. Miałaś nogi tak szeroko rozwarte, że nie wiem, jak ci się udawało chodzić. Byłaś ludzkim odpowiednikiem rozwidlenia drogi podmiejskiej.

Charlie postanowiła ukryć swój wstrząs. Czy to możliwe, że jej siostra wymyśliła tę obelgę na poczekaniu, czy raczej przyszła jej ona do głowy dawno temu i potem Olivia tylko czekała na właściwą okazję? Czy podzieliła się nią z Lundem? Czy oboje się z niej śmiali?

- Każdy, kto chciał, mógł spróbować z większej odległości i zaliczyć dołek w pierwszej próbie - rzuciła Olivia na dokładkę.

- Slang golfistów - odparła Charlie. - Mama i tata byliby z ciebie dumni. Dominiś powiedział mi, że próbowałaś napuścić ich na mnie i Simona.

- Kolejna bujda. Nie mógł tego powiedzieć. To nieprawda, a on nie kłamie.

- Święty Dominik!

- Mógł co najwyżej wspomnieć o moim zaskoczeniu, że nie wyrazili zmartwienia z powodu twoich planów matrymonialnych. Bo jestem zaskoczona.

- I musiałam tego wysłuchiwać od osoby, do której zwróciłam się z prośbą o pomoc, która, o ile było mi wtedy wiadomo, nie miała żadnego związku z moim życiem! Gdybym wiedziała, że jesteście parą, myślisz, że pozwoliłabym mu...? - Niedokończone pytanie zawisło w powietrzu.

- Pozwoliłabyś mu na co?

Zobaczyć moją desperację. Nie mogła tego powiedzieć. Olivia wiedziała o ścianie w sypialni Ruth Bussey, ale mówiąc o tym siostrze, Charlie nie zdradziła prawdziwego stopnia swojego zaniepokojenia. Rzuciła nonszalanckimi żartami - „Musi być zdrowo jebnięta. Myślisz, że się we mnie buja?” - żeby ukryć głębokość własnego bólu, a na koniec opowiedziała jeszcze historię Ruth, Aidana i Mary Trelease, by odwrócić uwagę od siebie. Ponieważ jednak upokorzyła się już przed Dominikiem Lundem, ten mógł szczegółowo opisać Olivii, jak bardzo nieszczęsna i załamana jest jej siostra. I Charlie nic nie mogła na to poradzić.

- Char, dlaczego aż tak się przejmujesz tą Ruth Bussey? Nie rozumiem tego. OK, ta kobieta jest dziwna, zgadzam się. Ale prawdopodobnie też kompletnie niegroźna.

- Wieszanie na ścianie artykułów prasowych na czyjś temat i zdjęć to zachowanie prześladowców - wyrecytowała beznamiętnie Charlie. - Prześladowcy potrafią wpaść w szal i zaatakować. Bywa, że i zabić. Nie mów mi, że ta kobieta jest niegroźna, nie masz pojęcia o tych sprawach.

- Masz rację - warknęła Olivia. - Pewnie stoi teraz za drzwiami, celując, w nie z kałasznikowa. - Widząc krwiożercze spojrzenie Charlie, wzruszyła ramionami i powiedziała: - Widzisz? Cokolwiek powiem, zawsze jest źle. Mam dosyć bycia twoim workiem treningowym. Tu nie chodzi o mnie ani o Dominika. Ty jesteś wściekła na Simona, który doprowadza cię do rozpacz...

- I znowu to samo!

- Zazdrościsz mi, bo się bzykam, a ty nie, mimo że jesteś zaręczona!

Pole widzenia Charlie zwięzło się do cienkiej szparki. Drgający żarem, czerwony tunel otworzył się przed jej oczami i pozwoliła mu się wciągnąć. Rzuciła się na komputer Olivii, uniosła go nad głowę i cisnęła nim o ścianę. Maszyna rozpadła się z trzaskiem, który był wyjątkowo nieprzyjemny dla ucha - dźwięk nieodwracalnych szkód. Charlie zamknęła oczy, przypominając sobie inny powód wizyty u siostry.

- Cholera - szepnęła. - Ten komputer był mi potrzebny. Spróbujesz go zrestartować? Pójdę zrobić drinka. Masz coś mocnego z alkoholem?

- Nie zapisałam swojej pracy - powiedziała drżącym głosem Olivia. - To trzy dni pisania.

- Przepraszam - przerwała jej Charlie. - Jesteś święta, Dominik Lund jest święty, a ja jestem głównie warta, dobrze? I mówię to z głębi serca. - Poszła do kuchni szukać wódki, wołając przez ramię: - Uruchom tego laptopa.

Nie było wódki, więc musiał jej wystarczyć absynt. Charlie wlała jasnozielony płyn do Szklanki i wzięła dwa głębokie łyki w nadziei, że alkohol zadziała w miarę szybko. Nie dość szybko, jak się okazało. Wypiła resztę i nalala drugą porcję. Wyjęła z kieszeni i włączyła telefon komórkowy. Pięć nieodebranych połączeń od osób, które nie ujawniły swoich numerów. Nietypowe. Była też jedna wiadomość, od Simona. „Gdzie się podziewasz, do cholery? Zadzwoń, jak tylko to odsłuchasz”. Charlie przesłuchała ją ponownie, z nerwów rozboleł ją brzuch. Coś było nie tak. Simon wiedział, gdzie była. Powiedziała mu, że jedzie do Londynu spotkać się z Lundem.

Wybrała numer i nagrała się na sekretarkę, mówiąc, że się martwi, że jest u siostry, i żeby zadzwonił, jak tylko będzie mógł. Potem napiła się absyntu i zadzwoniła do biura numerów, prosząc o kontakt do szkoły Villers w Wrecclesham, w hrabstwie Surrey. Postanowiła, że od razu tam zadzwoni. Tym samym odsunęła w czasie konfrontację z Olivią.

Głos w słuchawce brzmiał tak, jakby należał do kobiety wprost stworzonej do tego, by odbierać telefony z niebywałą uprzejmością. Choć kobieta powiedziała jedynie „Szkoła Villers, dzień dobry”, jej ton zdradzał radość z nadarzającej się okazji, by komuś pomóc. Dzięki temu Charlie pozbyła się lęku przed zadaniem swojego pytania.

- To zabrzmiało nieco dziwnie - powiedziała.

- Nic nie szkodzi. W dziwnych sprawach też mogę pomóc. Zdarza mi się to często - odparła kobieta. Sekretarka, pomyślała Charlie. - Gdyby tylko pani wiedziała, w jakich sprawach ludzie do nas dzwonią.

- Szukam nazwiska waszej byłej uczennicy, która została pisarką, Czy przychodzi pani do głowy ktoś, kto pasuje do tego opisu?

- Przychodzi mi do głowy kilka dziewcząt - odparła kobieta z dumą w głosie. - Powinna pani nas kiedyś odwiedzić i obejrzeć galerię zdjęć absolwentek.

- Może mi pani podać jakieś nazwiska? - Charlie sięgnęła po notes z kartkami A4 i długopis, które Olivia trzymała obok telefonu, choć nie na tyle blisko, by nie trzeba się było po nie schylać, ryzykując zrzuconiem matki telefonu z półki. Kobieta wymieniała nazwiska, a Charlie sporządzała listę. Spośród sześciu osób, o których wspomniała sekretarka szkolna, słyszała tylko o jednej i przy tej od razu postawiła krzyżyk. Ta na pewno nie popełniła samobójstwa, Charlie widziała ją w zeszłym tygodniu w telewizji.

Jak by tu spytać, która z nich nie żyje, nie wychodząc na bezduszną i nie wystraszając tej przemiętej kobiety?

- Czy... według pani rozeznania wszystkie te osoby nadal piszą?

Charlie usłyszała za plecami jęk trwogi, a po nim dźwięk butelki absyntu i szklanki przesuwanych po blacie z dala od niej. Odwróciwszy się, zobaczyła Olivie gapiącą się na nią i odgrywającą zaskoczenie niewielką ilością alkoholu, jaka została w butelce. Charlie zamachała siostrze przed nosem listą pisarek.

- Przykro mi, ale nie wiem, czy będę w stanie pani pomóc. Staramy się utrzymywać kontakt ze wszystkimi dziewczętami, lecz tak wiele ich tu było. Niech no się zastanowię...

- Zapytam inaczej - powiedziała Charlie. - Czy jest wśród nich taka, która z całą pewnością już nie pisze?

Olivia wyrwała jej z ręki długopis. Przy każdym nazwisku na liście napisała krótką uwagę, wywracając oczami na znak, że Charlie powinna takie rzeczy wiedzieć: „Ciągłe pisze nikogo nieinteresujące wiersze o mętnych kałużach”. „Zależy, co rozumiesz przez »ciągłe pisze*«. Podpisuje się pod czterdziestoma książkami rocznie, ale wszystkie zaledwie współtworzyła, czyli pisali je nieznani nikomu niewolnicy”. „Ta jest dobra. Próbowałam pożyczyć ci jedną z jej książek, ale odmówiłaś, bo akcja była osadzona za granicą i w przeszłości”.

- Mogę spytać, czemu się tym pani interesuje? - W dotychczas nieskazitelnym głosie sekretarki pojawiła się ostrożna nuta, która wystarczyła, by przekonać Charlie, że ona i kobieta po drugiej stronie linii myślały w tej jednej chwili o tej samej osobie: pisarce, której samobójstwo namalowała Mary Trelease. Charlie zamknęła oczy. Absynt zaczął dawać o sobie znać. W jej żyłach coś się ruszyło.

- To w pewnym sensie sprawa osobista - powiedziała. - Obiecuję, że wszystko, co mi pani powie, zostanie między nami. Lekkomyślnie dodała: - Sądzę, że wie pani, o kogo mi chodzi.

- Obawiam się, że nie będę mogła pani pomóc. - Chłodno i z niechęcią. Czy ja coś powiedziałam?

Obok nazwiska kobiety, którą Charlie widziała w telewizji, Olivia napisała: „Wygórowane ambicje. Sądzi, że pisanie sztamponowych powieści szpiegowskich daje jej prawo wtrącania się do polityki”. Każde nazwisko na liście miało przy sobie miniesej Olivii, z wyjątkiem jednego: Martha Wyers. Charlie pokazała je palcem. Olivia wzruszyła ramionami, a po chwili, dla rozwiania wszelkich wątpliwości, narysowała przy nim duży znak zapytania.

- Martha Wyers - powiedziała Charlie. - Ona już nie pisze, mam rację?

- Nie mogę pani pomóc - odparła stanowczo kobieta. - Jeśli leży pani na sercu dobro Marthy i tej szkoły, to proszę, niech pani nie draży tej kwestii. Było już dostatecznie dużo cierpienia, nawet bez dziennikarzy grzebiących w poszukiwaniu brudów.

- Nie jestem dziennikarką. Naprawdę, nie zamierzam...

- Nie powinnam była podawać pani jej nazwiska. - Jej słowa brzmiały chropowato i niewyraźnie, jakby mówiła z ustami przyciśniętymi do mikrofonu słuchawki. W końcu się rozłączyła.

- Udało się z laptopem? - spytała siostrę Charlie.

- Słowa ci się rozmywają. Oczywiście, że nie. Jesteś mi winna dziewięćset funtów plus artykuł o tym, dlaczego zakończenia są w beletrystyce równie istotne jak początki.

- Raty, dobra? Niewysokie. Gdzie jest najbliższa kafejka internetowa? - Charlie szła już w stronę drzwi.

- Tutaj - odparła sucho Olivia. - Włączyłam drugiego laptopa, możesz z niego skorzystać. Ale pod jednym warunkiem: nie rzucaj nim, proszę, o ścianę.

- Masz dwa laptopy?

- Czasem drugi się przydaje. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś wandal zniszczy ci pierwszego.

- Powiedziałam już, że jest mi przykro.

- Sarkastycznym tonem, owszem. Nie sądzę, by cię to interesowało, ale drugiego laptopa kupiłam wyłącznie po to, by pisać na nim książkę. Nie chciałam używać go do żadnych innych celów.

Charlie zatrzymała się przy wejściu do dużego pokoju.

- Mogę pójść do kafejki - powiedziała. - Zdecyduj się. Chcesz mi pomóc czy nie? Tylko za cenę pochwał.

- Komputer jest włączony. Korzystaj - odparła zmęczonym głosem Olivia. - Co się dzieje? Jest szansa, że mi powiesz?

Charlie kliknęła na ikonkę przeglądarki internetowej. Gdy pojawiła się strona Google, wpisała w wyszukiwarkę słowa „Martha Wyers, Villers, samobójstwo”. Nie pokazało się nic sensownego. Pierwsza strona wyników składała się z odnośników do artykułów naukowych niejakej dr Marthy Wyers z Uniwersytetu Yale.

- Bez takich - jęknęła Charlie.

- Jesteś pewna, że to nie ta sama osoba? - spytała Olivia, zaglądając siostrze przez ramię.

- Wątpię.

- Sprawdź - poradziła Olivia.

- Dziękuję za wskazówkę. Pewnie, że sprawdzę - odparła ta część Charlie, która od czternastego roku życia była w obecności siostry stale sparaliżowana.

Google pękał w szwach od szczegółów z życia i osiągnięć dr Marthy Wyers. Znalezienie jej CV nie zajęło Charlie dużo czasu: urodzona w 1947 roku w Buffalo. Nigdy nie mieszkała w Wielkiej Brytanii, nie chodziła do Villers...

- To nie ona - powiedziała Olivia. - Nie.

Charlie spróbowała ze słowami „Martha Wyers, brytyjska pisarka, samobójstwo” i „Martha Wyers, brytyjska pisarka, Villers, morderstwo”, ale bez skutku. Pani Martha Wyers z Yale nie pozwalała na najmniejszą konkurencję.

- Możesz się dowiedzieć, prawda? - Charlie zapytała siostrę. - Martha Wyers była pisarką, ty wiesz wszystko o książkach...

- Czy Marthę Wyers zabił prześladowca?

- Co? - Widząc swoją siostrę tak szczerze zaangażowaną, tak pomocną i podekscytowaną, a mimo to czyniącą zupełnie niewłaściwe założenie, Charlie miała ochotę ją uderzyć. Powinna jeszcze raz zadzwonić do Simona. Dlaczego był taki wściekły? To on był jej teraz potrzebny. Czy poszedłby tropem Marthy Wyers?

Powiedziałby, że ześwirowałaś, ot co. Aidan Seed twierdzi, że zabił Mary Trelease. Mary Trelease namalowała Marthę Wyers, która popełniła samobójstwo. Nie ma powodu sadzić, że Seed zabił Marthę

Wyers czy kogokolwiek innego. Tyle tylko, że Jan Garner mówiła o morderstwie i Mary też wspomniała o morderstwie, mówiąc o zmarłej pisarce. - Nie, Marthy Wyers nie zabił prześladowca - odpowiedziała siostrze Charlie niecierpliwym tonem. - W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

- Skoro nie wiesz, czy ją zamordowano, czy popełniła samobójstwo, to szukaj po prostu Marthy Wyers, pisarki. Nie komplikuj spraw.

Nie był to zły pomysł, ale Charlie nie chciała wykonać polecenia siostry, by ta nie wywnioskowała z tego, że miała rację. Na szczęście zadzwonił telefon Olivii, która poszła do kuchni, żeby odebrać.

Charlie wpisała do wyszukiwarki słowa „Martha Wyers, pisarka” i już miała wcisnąć „Enter”, gdy w pokoju pojawiła się jej siostra, czerwona na twarzy i wyraźnie poruszona.

- Dzwonił Simon.

Instynktownie Charlie wstała na równe nogi, wyciągając dłoń po telefon. Dlaczego nie zadzwonił na jej komórkę? Gdy zobaczyła wyraz twarzy Olivii, jej ręka opadła bezwładnie.

- Co? - spytała szeptem.

- Przykro mi, Char - powiedziała jej siostra. - Złe wieści.

Droga Mary

4 marca 2008

Nigdy nie sądziłam, że zrobię to, do czego właśnie usiadłam. Tak jak ty, ja również przez jakiś czas chodziłam na terapię i, podobnie do ciebie, nie osiągnęłam znaczących rezultatów. W przeciwieństwie do twojej terapeutki, moja doradzała mi pisanie listów, ale to chyba sprowadza się do tego samego. Chcesz poznać moją historię - oto ona.

W moim dawnym życiu zajmowałam się projektowaniem ogrodów, przed przyjazdem do Spilling nie miałam nic wspólnego ze sztuką ani z artystami. Prowadziłam świetnie prosperującą firmę i dostawałam za swoją pracę nagrody. W 1999 roku zdobyłam główną nagrodę Brytyjskiego Stowarzyszenia Architektów Zieleni po raz trzeci z rzędu. Był o mnie sześciostronicowy artykuł w czasopiśmie „Dobry Dom”, ze zdjęciami nagrodzonych ogrodów i wywiadami z ich właścicielami. Po tej publikacji popyt na moje usługi wzrósł jeszcze bardziej, miałam nagły napływ nowych klientów i trzyletnią

listę oczekujących. Niektórzy tracili cierpliwość i odchodzili do konkurencji, ale inni chętnie czekali na swoją kolej. Tylko jedna kobieta nie zaliczała się do żadnej z tych dwóch kategorii.

Zadzwoiła do mnie i nagrała wiadomość, mówiąc, że musi pilnie ze mną porozmawiać. Gdy oddzwoniłam, powiedziała mi, że jest chora, i spytała, czy mogę obsłużyć ją poza kolejką. Nie sprecyzowała, co jej dolega, ale zaznaczyła, że nie zostało jej wiele czasu, by cieszyć się swoim ogrodem, a w jego „obecnym kształcie” - powiedziała - „niespecjalnie jest się czym cieszyć”. Początkowo chciałam odpowiedzieć, że powzięłam zobowiązania wobec innych klientów i nie chcę ich zawieść, jednak potem stwierdziłam, że w tak wyjątkowej sytuacji lepiej być elastycznym. Żaden z moich innych klientów nie cierpiał na śmiertelną chorobę.

Kobieta była nauczycielką w szkole podstawowej, miała trzydzieści kilka lat. Zamężna, ale bez dzieci. Mieszkała w miasteczku niedaleko granicy między hrabstwami Leicestershire i Lincolnshire, przy Woodmansterne Lane, wąskiej drodze, wzdłuż której, w pewnej odległości od siebie, stały wille ze sztucznych kamieni, współczesne, ale stylizowane na stare, ukryte za żywopłotami solidnymi jak cementowe ściany i za przypominającymi strażników drzewami o grubych pniach. Kiedy tylko usłyszałam nazwę ulicy, uznałam, że brzmi osobliwie i nieco złowieszczo. Przywiodła mi na myśl srogiego drwala (Skojarzenie związane ze słowem Woodmansterne: woodman (ang.) - drwal, stern - srogi, surowy.). Moja reakcja była zbyt słaba, by móc ją określić jako przeczcucie - mogę tylko powiedzieć, że odniosłam wrażenie, jakiego nigdy wcześniej nie miałam przy zapisywaniu adresu klienta.

Woodmansterne Lane było idealnym miejscem zamieszkania dla lubiących prywatność, jak usłyszałam, znalazłszy się tam po raz pierwszy. Kobieta miała obsesję na punkcie prywatności, wciąż o niej wspominała, przy każdym spotkaniu. Na ścianie przy drzwiach frontowych wisiała owalna tablica z namalowanym napisem „Chata Cherubina”, Nazwa była jej wymysłem. Na nasze pierwsze spotkanie ubrała się w szykowny, szary kostium - taki, jakiego żaden nauczyciel szkoły podstawowej nie musi nosić do pracy - przezroczyście, czarne rajstopy i ogromne kapcie w kształcie psich głów. Wyglądała w nich nedorzecznie.

Do dzisiaj, gdy zamknę oczy, widzę te dwa pieski tak wyraźnie, jakbym na nie patrzyła. Każdy z nich miał język z czerwonej szmatki, zwisający ukośnie z pyska.

Podczas pierwszej wizyty w Chacie Cherubina poznałam jej partnera. Był farmaceutą, który niewiele mówił, ale gdy ona mówiła, a robiła to nieprzerwanie, widziałam, że ocenia moją reakcję na jej słowa. Był od niej atrakcyjniejszy, lepiej ubrany i młodszy. Miał wtedy dwadzieścia sześć lat. Nie przejawiał żadnych dziwaczných cech, za to bez słowa tolerował jej wybryki. Im więcej czasu z nią spędzałam, tym lepiej rozumiałam, jak wiele musiał znosić: w jej domu nie mogły się pojawiać produkty żywnościowe, które nie pochodziły ze sklepu Marks & Spencer; raz na rok kazała mu na nowo wystrajać cały dom, a co trzy lata musiał wymieniać zasłony i dywany; na Boże Narodzenie wysyłała do wszystkich znajomych nudny, jednakowy, autokreacyjny list pełen wykrzykników. Ja też go dostawałam i czytając, nie mogłam uwierzyć, że nie jest parodią. Niektóre z jej domowych sprzętów miały imiona.

Podczas naszej pierwszej rozmowy we trójkę usiłowałam włączyć jej partnera do rozmowy, by dowiedzieć się, jak On sobie wyobraża ich Wspólny ogród, ale ilekroć udawało mi się wyciągnąć z niego jakąś opinię, ona automatycznie mówiła „nie” i go poprawiała. Z tego, co udało mi się ustalić pomiędzy negocjacjami, jemu podobał się w zasadzie obecny stan ich ogrodu. Ogrody frontowy i tylny, odziedziczone po poprzednich właścicielach Chaty Cherubina (wtedy dom nazywał się po prostu „numer osiem”), miały bardzo tradycyjny styl: gęste, zielone trawniki otoczone ze wszystkich stron kwietnikami. Powiedział, że nie miałby nic przeciwko, gdybym wypełniła przerwy między kwietnikami, że jego zdaniem powinny one być pełniejsze - to był jedyny przymiotnik, który przyszedł mu do głowy na opisanie tego, co chciał - ale gdy ja zaczęłam snuć przed nimi wizję bujnego, zmysłowego ogrodu, ochoczo mi przytakiwał.

- Zieleń wokół domu powinna być nieuporządkowana, przypadkowa - zdążył powiedzieć, zanim osadziła go jednym ze swoich „nie”.

- Nie chcę żadnego bałaganu - zaprotestowała. - Jeśli kwiaty, to posadzone według kolorów i w rzędach, a nie gdzie popadnie. Czy mogłaby pani dobrać coś w różach i fioletach? Różowe róże i

fioletowe łupki zamiast piachu? Widziałam to w jakimś czasopiśmie. - Zawsze, mówiąc o ziemi, używała słowa „piach”.

Byłam przyzwyczajona do pracy z klientami, którzy cenili moją opinię i prosili o poradę, i źle bym się czuła, biorąc od nich pieniądze. W zamian za oszpecenie ich ogrodów, Tak taktownie, jak tylko umiałam, wyjaśniłam jej, że moim zdaniem fioletowe łupki to nie najlepszy pomysł.

- Nadają się lepiej do nowocześniejszych projektów - powiedziałam. - Wiem, że państwa dom nie jest stary, ale to przede wszystkim wiejska chata. Sądzę, że nie powinniśmy zbyt daleko odbiegać od tradycyjnego.....

- Nie chodzi o to, co pani sądzi, ale o to, czego ja chcę! - odparła, pokazując mi moje miejsce w szeregu. - To z mojego spadku po cioci Eileen będę wszystko finansowała, więc liczy się moje zdanie. - Nawet wiedząc, że jest chora, miałam trudność z wykrzesaniem choć odrobiny współczucia. Zasugerowałam, że może powinna poszukać innego projektanta. Chlubiałam się swoją pracą, a zaczynałam rozumieć, że ogród, który chce na mnie wymusić, będzie dla mnie powodem do wstydu. Z pewnością nie dostałabym nagrody za projekt, którego ode mnie oczekiwała: pretensjonalny i niepasujący do otoczenia.

- Wybrałam panią ze względu na tę nagrodę - powiedziała, dodając po chwili: - Nie mam czasu na szukanie innego projektanta. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję, to utknięcie w pętli usługowej.

To ostatnie zdanie początkowo mocno mnie zdumiało, aż zdałam sobie sprawę, że to pewnie żargon biznesowy oznaczający niemożność dokończenia jakiejś sprawy. Przyciągnęłam spojrzenie jej partnera i dostrzegłam na jego twarzy ledwie widoczny, znaczący uśmiešek - tak znaczący, na jaki mógł sobie pozwolić.

- A kora drzewna? - spytał, patrząc mi w oczy. - Ktoś w telewizji mówił, że jest dobrą alternatywą dla łupków. W kwietnikach. Równie estetyczna, ale mniej pretensjonalna. - Była to chyba jego najdłuższa wypowiedź, jaką słyszałam podczas całej naszej znajomości.

Przytaknęłam.

- Kora może być - odparłam, choć osobiście wolę tradycyjne kwietniki z ziemią. Zdałam sobie sprawę, że odczuwam chęć przyznawania mu racji dlatego, że ona nigdy tego nie robiła. Był to rodzaj kompensacji.

- Fioletowe łupki - oznajmiła oschłym tonem, jakby całej naszej wymiany zdań w ogóle nie było. - I taki plastikowy ogranicznik do trawników, żeby nie trzeba było przycinać krawędzi. A z tyłu chcę mieć żwirowe rozdroże. Mam zdjęcie, które wycięłam z czasopisma, pokażę pani. Na środku fontanna, czy coś takiego. Może posąg. Coś dalekowschodniego, żeby zrobić klimat wielokulturowości.

Wycinek z czasopisma okazał się zdjęciem ogrodu księcia Walii w Highgrove. Teren ten był na tyle rozległy, że „żwirowe rozdroże” nie wyglądało tam idiotycznie. Gdybym spełniła jej żądanie, z trawnika na tyłach domu zostałyby cztery malutkie, zielone kwadraty. Czysty absurd.

Już chciałam jej to powiedzieć, gdy zauważyłam, że on kręci głową, dając mi do zrozumienia, że dyskusja nie ma sensu. Powinnam była już wtedy wstać i wyjść - i mówię to nie tylko ze względu na późniejsze wydarzenie. Nie miałam wątpliwości, że praca z tą kobietą będzie koszmarem. Musiałam sobie przypominać, że jest chora i że jestem tam też dla niego, nie tylko dla niej. Zdawało mi się, że potrzebuje mojej obecności. Dzisiaj nie mam pojęcia, czy to wrażenie było słuszne, czy może byłam mu obojętna, ale ślepo wierzyłam, że jest inaczej. Jednak wtedy sądziłam, że milcząco prosi mnie, bym została, bym nie zostawiała go samego z misją zaspokajania jej nedorzecznych potrzeb.

Może ciągnęło mnie do niego, bo wiedziałam, jak to jest nie móc swobodnie się wypowiadać we własnym domu. Przypominał mnie samą sprzed dnia, w którym wyprowadziłam się od rodziców. Mój ojciec i matka byli ewangelickimi despotami, specjalistami w dziedzinie szantażu emocjonalnego. Całe dzieciństwo i wczesną młodość spędziłam na udawaniu, że jestem tym, kogo chcieli we mnie widzieć, i tłumieniu swojego prawdziwego „ja”, bo odkąd pamiętałam, wisiała nade mną ta nigdy w pełni niewypowiedziana, ale jakże prawdziwa groźba, że jeśli tylko w czymkolwiek im się sprzeciwię, wyrządzą nam wszystkim niewyobrażalną krzywdę.

Bez wątpienia tamtego dnia w Chacie Cherubina zawiązałam z nim spisek: my przeciwko niej. Tak, zamierzaliśmy dać jej to, czego chciała, ale oboje wiedzieliśmy, że będzie to obrzydliwe i, co ważniejsze, wiedzieliśmy, że to my jesteśmy mądrzy, a ona tępa. Nie tylko mieliśmy tę świadomość, ale też czerpaliśmy z niej satysfakcję. Pomimo tego, co stało się później, jednego jestem pewna: on zdawał

sobie sprawę z naszego skrywanego, wspólnego poczucia wyższości równie dobrze jak ja.

Zgodziłam się zaprojektować ich ogrody i dałam do wypełnienia kwestionariusze. Dawałam je wszystkim swoim klientom, choćby nawet uważali to za zbyt dużą formalność. Wielokrotnie widziałam, że konieczność odpowiedzi na pytania pomagała ludziom lepiej sobie uzmysłwić, czego sami chcieli, a mnie ułatwiała pracę.

Kobieta przekazała kwestionariusz jemu, nawet nie patrząc, co zawiera. Umówiliśmy się na kolejną wizytę za kilka dni, na którą zapowiedziałam zdjęcie wymiarów terenu. Wraz z upływem czasu coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że nie mogę się doczekać kolejnego spotkania z nim. Gdy przybyłam na miejsce, zastałam tylko jego. Był sam, przeproszał mnie i zachowywał się bardziej niezręcznie niż poprzednim razem. Odniosłam wrażenie, że pod jej nieobecność bał się ze mną rozmawiać. Spytałam, gdzie ona jest, a on wzruszył ramionami.

- I tak możesz zmierzyć ogród - powiedział. Nie oddał mi kwestionariusza, jedynie kilka zmiętych kartek papieru. Były pokryte dużym, odręcznym pismem, którego litery pochylały się w lewo.

Zdziwiło mnie, że przepisał wszystkie moje pytania, a pod nimi umieścił odpowiedzi.

- Dlaczego nie napisałeś na formularzu? - spytałam. Znowu wzruszył ramionami. Jego odpowiedzi - a było jasne, że są jego odpowiedziami, nie jej - były krótkie. Na pytanie „Kto będzie korzystał z ogrodu?” - napisał „My”. „Do czego będzie wykorzystywany?” - „Do siedzenia”. Prawie się roześmiałam, widząc jego jednosłowną odpowiedź na moje najdłuższe, najbardziej złożone pytanie: „Chcą państwo zbudować ogród za jednym razem czy stopniowo, rok po roku? Jak szybko ma być gotowy? Jak długo gotowi jesteście czekać, aż dojrzeje?”. Pod odręczną kopią moich słów widniała odpowiedź: „Szybko”.

Dokonałam pomiarów, a gdy weszłam z powrotem do domu, czekał z kieliszkiem czerwonego wina. Sobie też nalał. Nie miałam serca powiedzieć, że muszę wrócić do siebie samochodem. Wydało mi się też dziwne, że nie spytał, czy mam ochotę na wino.

Zaprowadził mnie do salonu, którego wcześniej nie widziałam, zaprojektowanego w okropnym, wymuszonym stylu „wszystko, co najlepsze”. Dywan miał kolor musztardy, a ściany były śnieżnobiałe,

podobnie jak trzy skórzane kanapy ustawione w kształcie kwadratowego nawiasu naprzeciwko groteskowo dużego telewizora, który zdawał się pożerać całą przestrzeń i energię pokoju. Obok jednej z sof stał sześcienny stolik z lustrzanymi powierzchniami, a w sąsiedztwie drugiej leżały jej kapcie - pieski z ohydnyimi, czerwonymi językami. Jediną ozdobą ścian salonu były trzy oprawione fotografie, prawie tak wielkie jak telewizor.

- To nie moja sprawka - powiedział, widząc, że na nie patrzę.

Usiłowałam ukryć swoje zniesmaczenie, ale najwyraźniej nie poszło mi za dobrze. Wszystkie trzy zdjęcia przedstawiały jego i ją, bosych i niewymownie razem szczęśliwych na nieskazitelnie białym tle. Każda fotografia została powiększona tak, że zakrywała większość powierzchni ściany. Na jednej z nich fotograf kazał im biec w stronę aparatu z większej odległości i na końcu się przewrócić: oboje roześmiani, spleceni nogami i rękami. Na innej ona miała poważny wyraz twarzy i zalotnie przechyloną głowę, a on - widziany z profilu - całował ją w policzek: znacząca, intymna chwila, na zawsze utrwalona, powiększona i zawieszona na ścianie z myślą o gościach. Zobaczcie, jacy jesteśmy szczęśliwi.

Byłam tak zajęta oglądaniem zdjęć, że nie zauważyłam go, jak podszedł do mnie z boku i gdy spróbował mnie pocałować, odruchowo odskoczyłam, wylewając trochę wina na dywan. Pobiegł po odplamiacz. Rozpoznałam ten bieg. To byłam ja trzynaście lat temu, słysząca przed domem samochód rodziców godzinę przed zapowiedzianym powrotem i pędząca do sypialni, by ukryć książkę, którą czytałam: Riders autorstwa Jilly Cooper. Udało mi się. Gdy ojciec wchodził do salonu, ja siedziałam już z powrotem w fotelu „zaczytana” w biografii Thomasa Cranmera, z sercem walącym jak młotem.

Odplamiacz zadziałał. Po kilku sekundach czerwonych kropel nie było widać, ale on dalej pryskał na to miejsce białą pianę. Zużył chyba całą puszkę. Stałam zbyt daleko, żeby słyszeć, lecz mimo to doskonale wiedziałam, jakie ma tętno.

Zabrał nasze obydwie kieliszki do kuchni - bezpieczne miejsce, linoleum zamiast dywanu. Jego spojrzenie nagle stało się nieufne. Może wreszcie uzmysłowił sobie to, czego wcześniej nie zarejestrował ze względu na stan emocjonalnego wzburzenia: próbował mnie pocałować, a ja go odrzuciłam.

- Dlaczego z nią jesteś? - spytałam. Wiedziałam, że to niestosowne pytanie, ale atmosfera między nami była dostatecznie napięta, by normalne zasady konwersacji uznać za nieobowiązujące.

- Te zdjęcia nie są takie złe - rzekł, jakbym tylko z ich powodu pytała o jego związek.

- Czy dlatego, że jest chora?

- Chora?

Jakiś chłód chwycił mnie za gardło.

- Powiedziała mi, że jest umierająca. Przytaknął.

- Czasami tak robi.

To mi wystarczyło.

- Nie mogę dla was pracować - stwierdziłam. - Dla niej. - Chciałam, żeby jeszcze raz spróbował mnie pocałować.

- Nie możesz się teraz wycofać. Ona chce twoich usług.

- Nic mnie to nie obchodzi... - zaczęłam mówić.

- Ja ciebie chcę. Chodź, coś ci pokażę.

Byłam w jakimś transie, wychodząc za nim z salonu i idąc po schodach na górę, tłumacząc sobie, że zobaczę to, co chce mi pokazać, a potem wyjdę. Zaprowadził mnie do pakamery ze świetlikiem, w której nie było dostatecznie dużo miejsca nawet na łóżko. Na środku dywanu leżał pomalowany na czerwono i niebiesko model pociągu z trzema wagonami. Obok stało krzesło, a wokół niego kilka stert komiksów: Spiderman, The Incredible Hulk. Pod ścianą zobaczyłam rząd czarnych i brązowych sztybletów.

Na parapecie stał radiomagnetofon otoczony całymi wieżami płyt kompaktowych.

- Mój pokój - powiedział. - To moje. - Pokazał palcem na wiszący na ścianie plakat o rozmiarach i kształcie dużego lustra, długi i prostokątny. Przywiódł mi na myśl sowiecką propagandę, choć widniejące na nim słowa były po francusku - „Etat” na górze i "Exactitude" na dole - nadrukowane grubymi, męskimi literami na czerwono - czarno - szarym obrazku przedstawiającym ogromny pociąg wyjeżdżający z tunelu.

- Ładny - powiedziałam, nie bardzo wiedząc, jak mam zareagować. Ale on się uśmiechnął, więc byłam zadowolona, że skłamałam. Plakat wydawał mi się okropny - surowy, niemal faszystowski w wymowie.

Rzeczywiście wkrótce potem wyszłam, zgodnie z daną sobie obietnicą, ale oboje wiedzieliśmy, że zaprojektuję ich ogród. Gdy weszłam do kuchni po torebkę, zauważyłam swój kwestionariusz - egzemplarz drukowany, ten, który zostawiłam im po pierwszej wizycie - pod stertą czasopism o domu i ogrodzie. Zobaczyłam, że został wypełniony, że pismo było drobne i zaokrąglone, nie duże i pochylone w lewo. Widząc, że go znalazłam i że zaczynam czytać, schował ręce do kieszeni. Nietrudno było odgadnąć, co się stało: oburzyły go jej odpowiedzi, więc przepisał pytania na nowo, by przekazać mi mniej obraźliwą wersję. Ujęła mnie jego delikatność. Myślę, że właśnie wtedy się w nim zakochałam - gdy zobaczyłam, co ona napisała, i zrozumiałam, jaki wysiłek włożył w oszczędzenie mi bólu.

Na pytanie „Jak długo będziecie państwo mieszkali w tym domu? Mam planować na pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat?” odpowiedziała: „Nie jestem wróżką”. Pod pytaniem „Czy potrzebujecie państwo prywatności? W której części ogrodu?” napisała: „Mamy prywatność. Żadnej części naszego ogrodu nie widać z zewnątrz. Tego typu kwestionariusz musi być szkodliwy dla pani interesów. Może by tak pani dostosowała pytania do indywidualnych potrzeb każdego klienta?”.

W kontaktach osobistych była nieuprzejma, ale to było gorsze. To były słowa, nad którymi miała okazję się zastanowić, które przelała na papier. Najbardziej jadowitą odpowiedź zachowała na koniec. Ostatnie pytanie dotyczyło pH gleby i jej struktury, wszelkich mikroklimatów, stref przymrozkowych, miejsc osłoniętych i wietrznych. Wielu z moich klientów nie miało na te tematy pojęcia, więc pisało „Nie wiem”, ale i tak uważałam, że warto o to pytać, bo czasem ludzie wiedzą więcej, niż się można spodziewać i czasami warto otrzymać tego typu informacje z góry.

Pod moim ostatnim pytaniem ona napisała: „Wyjdź czasem z domu!”.

- Przykro mi - powiedział. - To tylko taka jej poza.

- Zawsze się tak zachowuje? - spytałam. Już wcale nie niestosownie, pomyślałam, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Wrócisz, prawda?

- Nie wiem - odparłam.

- Proszę cię. Ja... Obiecuję, że więcej cię nie dotknę. - Zalał się rumieńcem.

Pomyślałam o jego pokoju, o getcie, do którego ograniczyła jego obecność we własnym domu, i przypomniał mi się mój pokój w domu rodziców, o tkaninach zawieszonych na ścianach z wyhaftowanymi przez moją matkę sloganami: „Jezus jest milczącym świadkiem każdej rozmowy”, „Siedem dni bez modlitwy odbiera człowiekowi siłę”. Podejrzewam, że szukałam kogoś, kto doświadczył podobnego bólu jak ja. To samo robiłam kilka lat później z Aidanem, gdy potrzebowałam partnera w jeszcze większym cierpieniu.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi kontynuowałam z nimi współpracę. Podczas moich następnych kilku wizyt w Chacie Cherubina kobieta była obecna, a on przypominał sobie z naszego pierwszego spotkania, obficie częstując mnie wymownymi uśmiezkami w reakcji na jej słowa. Staralam się nie patrzeć na niego, ale nie było to łatwe. Nie mogłam uwierzyć, że to ten Sam człowiek, który pod jej nieobecność zachowywał się jak nieokrzesany uczeń. Już wtedy zaczynałam mieć fantazje erotyczne na jego temat, sny zawierające znacznie więcej niż tylko seks. W mojej wymarzonej wersji zdarzeń los przydzielił mi misję: tylko ją mogłam go od niej uratować. Wyobrażałam sobie, że jeśli go zawiodę, to sam nigdy nie wyrwie się z jej uścisku i nie ucieknie od swojego małego, bezbarwnego życia u jej boku.

Przez następnych kilka tygodni pracowałam nad projektami do ich ogrodu. Podczas pierwszego spotkania powiedziała, że chce mieć coś bliskowschodniego, co okazało się dużym, granitowym posągami Buddy na cokole. Widziała go w jakimś katalogu. Nie próbowałam odwieść jej od tego pomysłu. Jeśli centralnym punktem małego ogródka w hrabstwie Lincolnshire postanowiła uczynić grubego, kamiennego faceta siedzącego na słupie, to proszę bardzo.

Prace rozpoczęły się w marcu 2000 roku i trwały miesiąc. Wzięłam do pomocy architektów zieleni, przeciwko czemu ona początkowo protestowała.

- Sądziałam, że pani wszystko zrobi - powiedziała.

Musiałam jej przypomnieć, że zajmuję się wyłącznie projektowaniem i sadzeniem roślin. Ani razu nie wypomniałam jej kłamstwa, a ona nie wspominała już o swojej zmyślonej chorobie.

Ilekczo zdarzała mi się chwila na osobności z nim, usilnie namawiałam go, by od niej odszedł. Powiedziałam mu, że gdy pierwszy raz spróbował mnie pocałować, chciałam mu odpowiedzieć, ale nie mogłam, bo miał kobietę. Czasami twierdził, że to rozumie, to znowu rzucał się na mnie ze słowami „No, chodź” i próbował objąć, ale mu nie pozwalałam. Tłumaczyłam, że zostając przy niej, decyduje się na los więźnia, a zrywając z nią, mógłby mieć mnie. On odpowiadał, że nie może jej zostawić, co tylko potęgowało moją determinację. Byłam przekonana, że nikt inny oprócz mnie nie będzie w stanie go uwolnić. Musiałam bardziej się starać. Zaczęłam przychodzić do pracy w skąpych strojach, by zaglądał mi w dekolt. Wkładałam krótkie spódniczki i schylałam się, gdy stał za mną, żeby widział moją bieliznę. Chciałam, żeby wiedział, co traci.

Byłam zbyt zaangażowana emocjonalnie, by dostrzec różnicę między miłością a niezdrową obsesją. W moim przekonaniu trwała walka między dobrem a złem: ja byłam dobra, Ona była zła i to ja musiałam wygrać, jeśli miałam go uratować. Bez skrupułów grałam nieczysto, próbując go przekupić pieniędzmi. Powiedziałam mu, ile zarabiam - więcej niż nauczycielka w szkole podstawowej - i zapewniałam, że z finansowego punktu widzenia ze mną będzie mu lepiej niż z nią, przez cały czas winszując sobie szlachetnego odmawiania seksu. Domyślając się, że ona albo nie może mieć dzieci, albo nie chce, by burzyły spokój jej idealnie białego salonu, powiedziałam mu, że chcę mu dać potomstwo. To nie skłoniło go do zerwania z nią, ale sprawiło, że się popłakał.

- Nie mogę - powtarzał wciąż. - Po prostu nie mogę.

Któregoś dnia, gdy oboje byli poza domem, prace w ogrodzie dobiegły końca. Efekt był straszny, ale dokładnie odpowiadał jej wizji: różowe kwiaty w karnych szeregach, fioletowe łupki, żwirowe rozdroże, dalekowschodnie bóstwo. Byli mi winni jakieś dwadzieścia trzy tysiące funtów. Najpierw z pracy wróciła ona, zobaczyła ogród i wybuchnęła płaczem.

- Okropny - powiedziała. - Nie mogę na to patrzeć.

Tego się nie spodziewałam. Gdy ją spytałam, w czym tkwi problem, odparła:

- Nie wiem. Po prostu nie wygląda tak, jak sobie wyobrażałam. Mam nadzieję, że nie spodziewa się pani zapłaty za to coś! - Zaczęła szlochać, wsiadła do samochodu i odjechała. Nie miałam wyboru,

musiałam poczekać na niego. Opowiedziałam mu całe zajście, na co on uniósł brwi, jakby nic wielkiego się nie stało, i rzekł:

- Przejdzie jej. Nie martw się, dostaniesz pieniądze.

- Oczywiście, że dostanę. Podpisaliście umowę.

- Co ja zrobię, jak ciebie zabraknie? - powiedział. Wziął mnie w ramiona i pocałował mocno w usta.

Odepchnęłam go i odparłam:

- Musimy poważnie porozmawiać. - Nareszcie zrozumiał, że musi ją zostawić, pomyślałam.

Znów był rumieniącym się chłopcem. Dotychczas nie mówiłam mu o swoim religijnym wychowaniu. Teraz zamierzałam je wykorzystać. Cierpiałam je przez osiemnaście lat, więc uznałam, że najwyższy czas, by na coś mi się przydało. Powiedziałam mu, że jestem chrześcijanką, że całą sobą pragnę pójść z nim do łóżka, ale że nie potrafiłabym spać z mężczyzną, który ma partnerkę. Głędziłam coś o świętości sakramentu małżeństwa i grzechu cudzołóstwa, powtarzając opinie zasłyszane od rodziców. Nie była jego żoną, ale żyli razem jako mężczyzna i kobieta - zapewniłam go, że w moim odczuciu sprowadza się to do tego samego.

Ani jedno moje słowo nie było szczere. Używałam seksu, a raczej obietnicy seksu, jako argumentu za tym, by rzucił ją dla mnie.

- To znaczy, że chcesz za mnie wyjść? - spytał. Miał przy tym taki wyraz twarzy, jakby wizja ta sprawiała mu ból, wypalała mózg. Nie to miałam na myśli, ale tylko dlatego, że po prostu nie przyszło mi to do głowy. Zobaczyłam prawdę w jego oczach i byłam pewna, że mam rację: on się jej oświadczał, wielokrotnie, ale ona za każdym razem odmawiała.

- Tak - powiedziałam. - Chcę za ciebie wyjść. Zacisnął zęby, złapał się za włosy i zamknął oczy.

- Nie mogę jej zostawić - jęknął.

Wróciłam do domu jak z przegranej bitwy. Trzy dni później dostałam czek na należną mi kwotę. Po upływie kolejnych dwóch tygodni do mnie zadzwonił. Powiedziałam „halo”, po drugiej stronie słysząc tylko ciszę, ale wiedziałam, że to on. Powiedziałam jego imię - zwyczajne, pospolite imię, którego dźwięk nawet teraz, po tych wszystkich latach, wciąż wywołuje we mnie brutalne dreszcze.

Poprosił mnie, bym przyjechała.

- Teraz - powiedział. - Proszę.

- Odszedłeś od niej? Zamierzasz to zrobić? - spytałam. - Tak.

Nie uwierzyłam mu, ale wsiadłam do samochodu i przyjechałam do Chaty Cherubina, bo pragnęłam, by jego słowa się spełniły. Był sam w domu. Poczęstował mnie czerwonym winem. Miało dziwny smak, ale i tak je wypiliśmy. Powiedział mi, że ona wyjechała i nie wróci, po czym próbował namówić, bym poszła z nim na górę. Odmówiłam. W domu nadal były jej rzeczy - psie kapcie, jej wszystkie czasopisma, nawet pamiętnik. Wiedziałam, że mnie okłamuje.

- Chodź się przynajmniej przytulić - nalegał. Prośba wydała mi się niewinna, poza tym pragnienie dotknięcia go po dwóch tygodniach niewidzenia było silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Położyliśmy się na jednej z białych kanap w salonie. Zasypiając w jego objęciach, nie dbałam już o to, że nie powiedział mi prawdy. Rozumiałam, dlaczego postanowił udawać, i uznałam, że wie, co mówi, zapewniając mnie, że ona nie wróci szybko do domu. Może spędza noc u przyjaciół, pomyślałam. Oszukiwałam siebie, sądząc, że może jeszcze od niej odejść, że ewidentnie nie może beze mnie żyć, skoro tak pilnie mnie do siebie wezwał.

Gdy zaczynała mnie opanowywać senność, nie opierałam się jej. Jeśli w ogóle o niej myślałam, to pewnie przypisałam ją winu lub głębokiemu odprężeniu i uczuciu szczęścia. Dopiero później dowiedziałam się, że mnie uspił, wsypując do mojego kieliszka z winem cztery dwumiligramowe tabletki clonazepam.

Obudzony bądź odzyskawszy przytomność, zdałam sobie sprawę, że jestem przywiązana do kamiennego cokołu w tylnym ogrodzie. Moje ręce były skrępowane przy bokach tak, że nie mogłam nimi ruszać. Miałam też coś w ustach, które zostały zaklejone taśmą. Teraz wiem, że była to różowa gąbka. Wiele szczegółów poznałam później, dowiadując się o nich na policji lub podczas rozprawy sądowej.

Nie mogłam krzyczeć ani się ruszyć. Nie rozumiałam, co się ze mną stało ani dlaczego i to było najgorsze. Z początku byłam sama w ogrodzie, sama ze swoim przerażeniem. Potem z domu wyszła ona. Na mój widok się zaśmiała i powiedziała, że wyjmie mi knebel z ust, jeśli obiecuję, że nie będę krzyczeć. Przytaknęłam, bo płakałam i zatkał mi się nos - bałam się, że się uduszę.

Wyjęła mi gąbkę z ust.

- Pieprzyłaś się z moim partnerem, sądząc, że ujdzie ci to płazem
- powiedziała.

Zapewniłam ją, że to nieprawda.

- Przestań kłamać.

Przysięgłam, że z nim nie spałam. Błagałam, by mnie rozwiązała.

- Kazałaś mu ze mną zerwać.

Temu nie mogłam zaprzeczyć. Włożyła mi gąbkę do ust, zakleiła je taśmą i weszła z powrotem do domu.

Gdy znowu wyszła do ogrodu, było już prawie ciemno. Schyliła się i nabrała garść żwiru z jednej ze ścieżek. Rzuciła we mnie małym kamykiem z odległości około metra. Trafiła w mój policzek. Bolało bardziej, niżbym się spodziewała po drobnym kamieniu.

- W niektórych częściach świata kamieniuje się kobiety, które pieprzą się z cudzymi mężczyznami - powiedziała. Wtedy zaczął się prawdziwy koszmar. Nie mogłam powiedzieć nic na swoją obronę. Nie przestawała rzucać we mnie kamykami. Niektóre ciskała z większej odległości, inne z bardzo bliska. Celowała w głowę, w klatkę piersiową, w ręce i nogi. Ciągnęło się to godzinami. Po chwili ból stał się nieznośny.

Wyniosła do ogrodu stół i krzesło, potem butelkę wina, korkociąg i kieliszek. Przez całą noc piła wino - po pierwszej butelce jeszcze dwie następne - i rzucała we mnie żwirem, kamieniami, które sama dla niej zamówiłam. Pokazałam jej dwie próbki o różnych rozmiarach. Dzięki Bogu wybrała te mniejsze. Gdyby były tylko nieco większe, umarłabym - powiedziano mi to później. Nie rzucała nimi bez przerwy. Od czasu do czasu przestawała, siadała przy stole, piła wino i robiła mi wykłady. Powiedziała, że mam szczęście, iż żyję w Anglii, bo to, co mi zgotowała, jest bez porównania lepsze od kary, jaka spotkałaby mnie w innych krajach.

Następnego ranka było jeszcze gorzej. Wyjęła mi gąbkę z ust i włożyła do nich garść żwiru. Kazała mi go jeść. Zdążyłam wypluć, ale ona wetknęła więcej i próbowała we mnie wmusić. W końcu połknęłam, a ona powtórzyła całą czynność jeszcze kilka razy. Spróbowawszy karmienia mnie kamieniami, polubiła je bardziej od rzucania.

Z tego, co działo się później, nie pamiętam za wiele. Zaczęłam na zmianę mdleć i odzyskiwać przytomność, więc straciłam kompletnie poczucie czasu. Później dowiedziałam się, że byłam przywiązana do

tego cokołu przez siedemdziesiąt dwie godziny. W którymś momencie zerwała mi z ust taśmę, a ja wymiotowałam na nią krwią. Rozwścieczyło ją to, więc uderzyła mnie otwartą dłonią w twarz.

Po jakimś czasie zaczęłam czuć w klatce piersiowej i brzuchu palący ból, który zdawał się promieniować na plecy. Byłam nieznośnie spragniona. Czasami, gdy zdejmowała taśmę z moich ust, prosiłam ją o coś do picia, ale ona tylko się ze mnie śmiała. Spodziewałam się, że umrę z odwodnienia, o ile wcześniej się nie uduszę. Zaczęłam wymiotować przezroczysty płyn - wylewał się przez szpary wokół taśmy. Drwiła ze mnie:

- Twierdzisz, że chce ci się pić, a rzygasz wodą. Przelykaj ją, to ugasisz pragnienie.

Straciłam wszelkie panowanie nad własnym umysłem, nie byłam w stanie sklecić zdania. Gdy pozwalała mi mówić, bredziłam bez sensu. Rozumiałam ją, ale sama nie potrafiłam jasno myśleć. Wszystko zdawało się odległe, z wyjątkiem bólu, który zaczął przeszywać mnie falami: silne, niekontrolowane skurcze żołądka były jeszcze gorsze od pragnienia. Potem zaczęłam wydalać połknięte kamienie. Nie mogłam tego powstrzymać. To była istna agonia.

Już po wszystkich lekarze podali mi pełną listę obrażeń. Miałam poważnie okaleczone krtań i przełyk, co doprowadziło do stanu zwanego zapaleniem śródpiersia. Konieczne było chirurgiczne zszycie ran i endoskopia, by wstrzyknąć adrenalinę do ran szarpanych, których szycie było niemożliwe. Miałam szczeliny okołodbytnicze, przebite jelito, zapalenie otrzewnej i niedrożność jelit. Tych słów większość ludzi nigdy nie usłyszy, ale ja słyszałam je po wielokroć, w szpitalu i na sali sądowej. Bez końca świdrowały moją głowę opisy tego, co mi zrobiła. Musiałam przejść laparotomię, po której została mi blizna na brzuchu.

Leżałam w szpitalu trzy tygodnie. Łatwiej mi przejść do tego fragmentu historii, kiedy było już po wszystkim, a ja znalazłam się w rękach ludzi, którzy starali się mi pomóc z równym oddaniem, z jakim ona chciała mnie skrzywdzić. Najdziwniejsze jest to, że w którymś momencie najwyraźniej postanowiła mnie ocalić. Mogła mnie zabić - wystarczyło zostawić moje zmasakrowane ciało na pastwę losu - ale zamiast tego zadzwoniła na policję i z płaczem wezwała radiowóz do swojego domu. Nagranie tej rozmowy zostało odtworzone w sądzie. Powiedziała: „Przyjedźcie szybko, kobieta jest w ciężkim stanie.

Sądzę, że umiera". Policjanci zastali ją w stanie hysterii, pijaną i utrzymującą, że nie wie, skąd półmartwa osoba znalazła się w jej ogrodzie przywiązana do cokołu.

On przyznał się do bezprawnego pozbawienia wolności i ciężkiego uszkodzenia ciała. Potwierdził, że uspił mnie clonazepamem i skrepował, ale nie wyjawiał powodu, dla którego to zrobił. Pomimo iż to ona wyrządziła mi największą krzywdę, to w świetle prawa on też był winien uszkodzenia ciała, jako że spełnił więcej niż tylko pomocniczą rolę w jej ataku na moją osobę. Przyznał się, że wiedział wcześniej o jej planach co do mnie, choć te ponoć ograniczały się do rzucania kamyczkami w zgodzie z szariatem i przewidzianą w nim karą za cudzołóstwo. Zmuszanie mnie do połykania żwiru stanowiło improwizację z jej strony.

Po tej krótkiej chwili słabości, w której ocalała moje życie, dzwoniąc na policję, w sądzie kobieta wróciła do dawnej roli. Wbrew sugestiom swoich adwokatów nie przyznała się do winy, twierdząc, że to on był za wszystko odpowiedzialny, podczas gdy ona o niczym nawet nie wiedziała.

Gdy już doszłam do siebie i wypisano mnie ze szpitala, pragnęłam jedynie o wszystkim zapomnieć w stopniu, w jakim w ogóle było to możliwe. W którymś momencie zdałam sobie jednak sprawę, że ludzie, którzy byli rzekomo po mojej stronie, próbowali obarczyć mnie całkiem nowym ciężarem w postaci publicznie komentowanej rozprawy sądowej. Powiedziano mi, że nie będę w stanie powstrzymać gazet przed drukowaniem mojego nazwiska, ponieważ atak na moją osobę nie miał charakteru seksualnego. Odmówiłam kontaktów z prasą, więc ta przedstawiła jej wersję wydarzeń jako fakt: sypiałam z jej chłopakiem, za co mnie ukamienowała. Na sali sądowej pod gradem pytań podkreślała wielokrotnie, że jestem cudzołożnicą i zasłużyłam na swoją karę, choć trzymała się wersji, wedle której to on wymierzył mi sprawiedliwość, nie ona. Ława przysięgłych jej nie uwierzyła. Dla każdego było oczywiste, że jest dumna ze swojego czynu.

Nie wiem, co on jej powiedział. Nie rozumiem, czemu miałyby jej mówić, że ze sobą spaliśmy, mimo iż tego nie robiliśmy - jakąż miał w tym korzyść? Domyślałam się, że powiedział jej prawdę, ale ona mu nie uwierzyła albo uwierzyła, ale postanowiła udawać, że jest inaczej. W końcu im większe moje przewinienie, tym bardziej uzasadniona jej

reakcja. Nie jestem w stanie tego udowodnić, lecz sądzę; że nie karała mnie za sypanie z jej chłopakiem, bez względu na to, co zeznawała w sądzie. Karała mnie za strach, którego doświadczyła, dowiadując się, że prowadzę kampanię nakierowaną na rozbitcie ich związku. Może mieli kłótnię, po której powiedział jej, że zostawia ją dla mnie i w chwili obezwładniającego przerażenia ujrzała siebie rozpadającą się na kawałki bez niego u boku. W takich momentach człowiek potrafi stracić wszystko, co czyni go tym; kim jest.

Fakt, że moje nazwisko wciąż pojawiał się w gazetach w kontekście kłamliwej wersji zdarzeń, skazywał mnie na piekło za życia. Zdawałam sobie sprawę, że wszyscy o mnie wiedzą - albo myślałam, że tak jest - i że nigdy nie będę w stanie uciec od plotek na swój temat. Pewnego wieczoru słyszałam w lokalnej stacji radiowej, jak słuchacz wyraża na antenie opinię, iż „prawdopodobnie na to zasłużyłam”, że „kobiety powinny trzymać ręce Z dala od cudzej własności”. Potem przyszedł kolejny cios: detektywi powiedzieli mi, że będę musiała pojawić się w sądzie i złożyć przeciwko niej zeznania, Ta wiadomość zwała mnie z nóg - dosłownie. Oczywiście nie chciałam, by uszło jej to płazem, ale też pragnęłam trzymać się od niej z daleka, już nigdy w życiu jej nie spotkać, choćby chroniło mnie nie wiem ilu agentów policji. Nie miałam ochoty siedzieć na sali sądowej i słuchać posterunkowego Jamesa Escritta opisującego stan, w jakim byłam, gdy znalazł mnie w ogrodzie za Chatą Cherubina.

Akta szpitalne były konieczne, by zapewnić wyrok skazujący, a ja musiałam upoważnić szpital do przedstawienia raportu z obrażeń, jakie miałam w dniu przyjęcia. Błagałam, by darowano mi stawanie przed sądem w zamian za zgodę na przedstawienie raportu szpitalnego, ale nie było to możliwe. Powiedziano mi, że bez moich zeznań prokuratura wycofa akt oskarżenia, ponieważ szanse na wyrok skazujący spadłyby poniżej pięćdziesięciu jeden procent. James Escritt, który był moim pierwszym kontaktem przez cały ten czas, nawet po przejęciu sprawy przez wydział kryminalny, robił, co mógł, by umożliwić mi zeznawanie z odrębnego pomieszczenia w sądzie, za pomocą aparatury wideo, ale sędzia odmówił. Miałam pecha - jeszcze więcej pecha - bo do mojej sprawy przydzielono sędziego znanego z nieustępliwości.

W sądzie byłam wrakiem człowieka: cała się trzęsłam, ślinałam, nie byłam w stanie swobodnie poruszać kończynami i miałam

wrażenie, jakby poszczególne części mojego ciała były nieprawidłowo zamocowane i w każdej chwili mogły poodpadać. Przedłużałam proces, dwukrotnie mdlejąc podczas składania zeznań. Moi rodzice chcieli przyjść na rozprawę, ale udało mi się ich przekonać, by zostali w domu. Odkąd byłam dzieckiem, ich obecność w ciężkich chwilach tylko pogarszała moje samopoczucie. Na szczęście zdołałam zniechęcić ich do przyścia, unikając tak nietaktownego, szczerego wyznania. Nie ufałam tym spośród moich znajomych, którzy wyrażali gotowość przybycia i udzielenia mi „moralnego wsparcia”. Podejrzywałam ich o chęć znalezienia się blisko soczystej historii, którą mogliby się później karmić całymi latami.

On zeznał przeciwko niej, potwierdzając moją wersję zdarzeń. Sam nie stanął na ławie oskarżonych, ponieważ od razu przyznał się do winy. Ława przysięgłych uznała ją za winną, na co ona zareagowała płaczem.

- To niesprawiedliwe! - krzyczała. - Dlaczego system zawsze karze ofiary? - On też rozplakał się, słysząc werdykt, mimo iż aktywnie się do niego przyczynił. Widziałam, jak bezgłośnie ją przeprosza. Ją, nie mnie.

Wtedy widziałam ich po raz ostatni. Nie było mnie przy ogłaszaniu wyroku sądu, ale dowiedziałam się o wymiarze kar: siedem lat dla niego, dziesięć dla niej, a to dlatego, że nie przyznała się do winy. Za pośrednictwem przydzielonego mi rodzinnego oficera łącznikowego poinformowałam prokuraturę, że nie życzę sobie więcej żadnych informacji na ich temat. Robiło mi się niedobrze na samą myśl, iż pewnego dnia otrzymam list zawiadamiający mnie, że jedno bądź drugie zostało zwolnione wcześniej za dobre sprawowanie. Nie chciałam wiedzieć.

Zostałam w Lincoln jeszcze przez trzy lata od procesu, czując się, jakby i mnie uwięziono. Każdy napotykanym przeze mnie człowiek zadawał mi wścibskie pytania albo wyglądał na przerażonego tym, że musi ze mną rozmawiać. Nikt nie zamawiał u mnie ogrodów, ale nawet gdybym dostawała zlecenia, nie mogłabym już ich projektować. Mimo to wciąż nie przychodziło mi do głowy wyprowadzenie się do innego miasta i rozpoczęcie nowego życia. Aż do pewnego dnia w 2004 roku.

Pojechałam do domu rodziców na kolację i ten jeden raz zdecydowałam się na odrobinę szczerości, gdy zapytali mnie, jak się czuję.

- Źle - odrzekłam. - Nie sądzę, bym kiedykolwiek poczuła się dobrze.

Zaczęli - wcale mnie tym nie zaskakując - mówić o modlitwie i o proszeniu Jezusa o pomoc. I wtedy moja matka powiedziała:

- On by ci wybaczył. My wybaczyliśmy ci od razu, jak tylko usłyszeliśmy, co się stało. Jezus jest kochający i miłosierny...

Przerwałam jej i zapytałam:

- Co mi wybaczyliście? - wiedząc dobrze, co miała na myśli.

Mogło to być tylko jedno. Dopiero w tamtej chwili dotarło do mnie, że rodzice nie wierzyli w moją wersję wydarzeń. Uwierzyli w jej kłamstwa, w kłamstwa gazet i wieczornych audycji radiowych. Sądzieli, że z nim sypiałam. Po tych wszystkich latach mojego okłamywania i udawania dla ich dobra nie byli w stanie wziąć mojej strony przeciwko kobiecie, która prawie mnie zabiła.

- Nie wierzę w Boga - powiedziałam im. - Ale jeśli istnieje, mam nadzieję, że wam nie wybaczy. Mam nadzieję, że zapali ogień pod waszymi duszami. - Po tylu latach robienia wszystkiego, by ich nie zranić, nagle odczułam przemożną chęć zrównania z ziemią tego ich żalostnego, nieprawdziwego świata, powiedzenia rzeczy, które sprawią im nieznośny ból, których nigdy nie zapomną. Niczego im nie szczędziłam. Wyrządziłam tyle krzywdy, ile tylko mogłam przy użyciu słów, po czym opuściłam ich dom, zostawiając za sobą spustoszenie i jęk.

Niedługo potem przeprowadziłam się do Spilling. Tam było mi nieco lepiej. Nikt nie wiedział nic na mój temat i mogłam wreszcie wymawiać swoje nazwisko, nie widząc w odpowiedzi tych spojrzeń, do których przywykłam w Lincoln. Wysłałam rodzicom adres skrzynki pocztowej, ale nigdy z niego nie skorzystali. Pewnie powinno mnie to martwić, ale tak nie jest. Czuję się wolna. Znalazłam dom w parku Blantyre naprzeciwko ogrodzonego, prywatnego ogrodu. Nie było tam miejsca, w którym można by mnie skępować i torturować. Takie to chore, że właśnie na to zwróciłam uwagę w pierwszej kolejności. Ale życie jest chore. Chore było również wtedy, gdy przysłało cię, Mary, do galerii Saula, byś znowu wszystko zburzyła. Było chore, gdy poszłam do Charlie Zailer i przed

komisariatem do buta wpadł mi kamyk, przecinając skórę tak głęboko, że ledwie byłam w stanie iść. Nie mogłam go wyjąć, nie zniósłabym widoku kamienia, który ranił moją stopę. Nie potrafię nawet wymówić na głos słowa „kamień”. Jestem zdziwiona, że udaje mi się je napisać.

Byłam u Charlie Zailer w miniony piątek. Mówiła ci to? Wiem, że cię odwiedziła, by porozmawiać o Aidanie. Poszłam do niej, bo Aidan powiedział mi, że cię zabił: Byłam wystraszona i nie wiedziałam, co robić. On uważa, że cię udusił, a przynajmniej tak twierdzi. Powiedział detektywom, że gdy to robił, byłaś naga, leżałaś na podwójnym łóżku w głównej sypialni swojego domu. Niedługo po jego wyznaniu odkryłam, kim jesteś: kobietą, która zaatakowała mnie w galerii Saula. Dlaczego mój chłopak twierdził, że zabił kogoś, kto ciągle żyje? Wiem, Mary, że wiesz coś na ten temat. Musisz wiedzieć. Nie obchodzi mnie to, jak trudna jest ta prawda. Chcę zrozumieć.

Ruth

Rozdział 11

Wtorek, 4 marca 2008

- Twoja kolej - mówię do Mary, gdy ta podnosi wzrok znad mojego listu. - Obiecałaś. Sprawiedliwa wymiana, tak powiedziałaś. Gdzie jest Aidan?

- Aidan Seed - odzywa się miękkim głosem. - Mężczyzna, którego, jak twierdzisz, znam.

- Czy to on zabił Marthę Wyers? Ty? Zrobiliście to oboje? Wciąż mam przed oczami ten obraz. Chyba nigdy nie wymażę go z pamięci. Nikt nie namalowałby nieboszczyka w taki sposób, w tak drastycznych szczegółach, gdyby w jakiś sposób nie cieszyła go ta śmierć, gdyby nie chciał się w niej rozsmakować. Z obrazu bije atmosfera tryumfu; nie sądzę, że to sobie wyobraziłam. Chętnie zobaczyłabym go jeszcze raz, ale boję się iść znowu na górę, obawiam się, że gdy wrócę, Mary już nie będzie. Nie zamierzam spuścić z niej wzroku, nie usłyszawszy odpowiedzi na moje pytania.

- Marthę zabiła Martha - mówi, zapalając papierosa. - Powiesiła się. Pewnie myślisz, że jestem chora, tak ją malując.

Puszczam to mimo uszu. Niczego ode mnie nie usłyszysz, dopóki czegoś od niej nie dostanę.

- Ludzie przeżywają żałobę na różne sposoby. - Ton jej głosu staje się oschły, jakby gniewała ją konieczność usprawiedliwiania własnych działań. - Gdy traci się wszystko, pragnie się jakiejś pamiętki.

- Kochałaś Marthę.

- Bardzo. A z drugiej strony nie dość mocno.

- Myślisz, że mogłaś ją uratować?

- Mogłam i powinnam była.

- Co się stało? - pytam, pochylając się do przodu w swoim krześle. Nie wiem, która jest godzina, ale na pewno późna. Na zewnątrz jest już ciemno. Mary nie zaciągnęła zasłon. Co jakiś czas wygląda przez okno na oświetloną latarniami ulicę, przeczesując noc swymi świdrującymi oczyma. Czyżby szukała Aidana?

- Ten mężczyzna - mówi, wymachując mi przed oczami moim listem. - Miałaś kogoś przed nim? Mężczyzn, chłopaków? Dziewczyny? - Uśmiecha się.

Ile jeszcze zada mi pytań, nim odpowie na moje?

- Na początku umawiałam się tylko z grzecznymi chłopcami z chrześcijańskich domów - mówię. - Synami znajomych moich rodziców.

- Dziwię się, że w ogóle pozwalali ci się z kimś spotykać - odpowiada Mary.

- Dopiero odkąd skończyłam szesnaście lat i tylko na randki w miejscach publicznych, jak kino. Kiedy się wyprowadziłam z domu i nie mogli mnie dłużej kontrolować, umawiałam się z każdym, kto nie przypominał mi ludzi, których znałam z kościoła. Im dalej komuś było do tego świata, tym lepiej. Wybierałam takich, którzy zamieniliby chłopców z kościoła w pył.

- Niebezpieczna zabawa.

- Niezupełnie. Nie szanowałam żadnego z nich, zupełnie mi na nich nie zależało. Chciałam tylko udowodnić sobie, że mogę sypiać z kim popadnie i świat się nie zawali. I nie zawalił się. Pierwszym mężczyzną, do którego cokolwiek czułam, był... On.

- A Aidan Seed?

- Co?

- Kochasz go.

- Tak.

Mary się uśmiecha, widząc moje wahanie.

- Mężczyznę, który twierdzi, że zabił kogoś, kto żyje. Mężczyznę, który igra z twoją głową tak poważnie, że niemal doprowadza cię do obłędu.

Nie podoba mi się to.

- Nie widzisz wzoru postępowania?

- Nie jesteś psychoterapeutką - mówię.

Ona nienawidzi Aidana. Nienawidzi go z całych sił. Uzmysławiając to sobie, mam wrażenie, że teoria spiskowa, którą ukułam - Mary i Aidan razem przeciwko mnie - zaczyna się rozpyływać. Z początku czuję ulgę - mogłabym mu wybaczyć wszystko, tylko nie to; absolutnie wszystko - ale wytchnienie nie trwa długo. To nie dość dobre. To wciąż nie bezwarunkowa gotowość wybaczenia mu wszystkiego.

- Ale mogłabym nią być - mówi Mary. - Nie potrzebowałabym żadnego szkolenia. Wystarczyłoby mi doświadczenie, które mam, i mózg, który też mam.

- Zawarłyśmy umowę. Ja powiedziałam ci wszystko.

- Nieprawda.

Skąd ona wie? Umysł wypełniają mi wspomnienia wszystkiego, co przemilczałam: targi sztuki, przepowiednia Aidana dotycząca dziewięciu obrazów, jego usilne prośby, bym pokazała mu Abbertona jako dowód. Po co ktokolwiek, kto wie, że kogoś udusił, miałby prosić o dowód na to, że tego nie zrobił? Ponieważ moje kompletne niezrozumienie sytuacji stało się już normalne, czasami zapominam, jak bardzo to wszystko pozbawione jest sensu. Potem znów sobie przypominam i odczuwam taki wstrząs, jakbym zdawała sobie z tego sprawę po raz pierwszy.

- Zawarliśmy umowę - powtarzam.

Mary wypuszcza powietrze przez zaciśnięte zęby - syk zniesmaczenia.

- Przyszłaś tutaj, żeby usłyszeć prawdę o Aidanie. Sądzisz, że muszę ją znać. Nie obchodzi cię, jak jest straszna. Chcesz wiedzieć.

- Zgadza się.

- Masz jeszcze wybór. Możesz stąd wyjść, zapomnieć o nim i o Marcie. Zapomnieć o mnie. Bezpieczna opcja.

- Nie zależy mi na bezpieczeństwie. Zależy mi na prawdzie.

- Nie znam Aidana Seeda - mówi Mary, patrząc w przestrzeń ponad moją głowę.

Nie. To niemożliwe.

- Ale kiedyś znałam. Dawno temu,

- Nie widziałam Aidana od śmierci Marthy, czyli od dziesiątego kwietnia dwutysięcznego roku. - Mary odkłada mój list na stół i nachyla się nad nim, odgarniając gęste włosy z oczu, - Kiedy były twoje siedemdziesiąt dwie godziny?

Nie muszę pytać, co ma na myśli. Dla mnie ta liczba zawsze oznaczać będzie jedno.

- Później. - Zmuszam się, by dać jej jeszcze jedną informację na swój temat. - Zaczęły się dwudziestego drugiego kwietnia.

- To i tak blisko - mówi Mary. Po chwili jej twarz stygnie. - Aidan był przy tym, jak Martha skoczyła.

Brakuje mi odwagi, by oddychać.

- Nie powstrzymał jej.

- Ty też tam byłaś?

- Troje to już tłum - odpowiada śpiewnym tonem, - Nie sądzę, by Aidan chciał śmierci Marthy, to moja śmierć mu się marzy. Ale może

jednak chciał... Jeśli tak, to z pewnością przestał chcieć, widząc jej skok. Spóźnił się. W takich momentach człowieka zmraża. Wszystko dzieje się zbyt szybko. - Ręce Mary się trzęsą. - Gdy już wisiała, nie byłam w stanie jej podnieść. Próbowałam... - Przerzywa. - Aidan mógł to zrobić, mógł ją unieść, ale nie próbował. Zadzwoił po pogotowie. Pobiegł do telefonu. Uciekł. Widział, że walczę, ale mi nie pomógł. - Ciężko dyszy, złapana w bolesne wspomnienie. - Kompletnie zamarł. Gdy nie można znieść jakiejś sytuacji, człowiek wmawia sobie, że nie jest prawdziwa, że mu się tylko śni. Ja wmawiałam sobie to samo.

- Dlaczego mi o tym nie powiedział? - wyrzywa mi się.

- A czy ty opowiedziałaś mu o Chacie Cherubina?

- Nie.

- Czemu? Kręcę głową.

- Nie mogłabym. - Nikomu nie mogłam powiedzieć. Dopóki nie zostałam do tego zmuszona.

- Może chciał, żebyś nadal go kochała - mówi Mary. - Jak mogłaś go kochać, wiedząc, że stał beczynnie, podczas gdy ktoś umierał?

- Powiedział mi, że zabił ciebie. Dlaczego? Mary pociera wargi kciukiem.

- On chce mojej śmierci. Zamierza mnie zabić albo przynajmniej spróbować. To jest groźba.

- Nieprawda! Aidan nie jest zabójcą.

Mary wybucha śmiechem.

- Nie oszukuj się.

- To nie ma sensu. Gdyby chciał ci grozić, to czemu nie zrobił tego osobiście?

- Bo jest sprytny. Przecież zadzwoniłabym na policję. Grożenie komuś śmiercią jest chyba przestępstwem.

- Nie wiem tego. - Nie mogę trzeźwo myśleć. Nic nie rozumiem.

- Oczywiście, że tak. Musi być. W każdym razie poniósłby konsekwencje, a tego nie chce. Uważa, że dostatecznie się nacierpiał.

- Jak to? Kiedy się nacierpiał?

- W dzieciństwie - mówi Mary takim tonem, jakbym wiedziała, o co chodzi.

Wstydzę się swojej niewiedzy. Aidan nigdy nie chciał rozmawiać o swojej rodzinie, a ja nie nalegałam. Ja też unikałam tematu moich rodziców. Nie pytaj, nie odpowiadaj.

- Próbował ją ratować - mamrocze Mary pod nosem.

- Aidan próbował ratować Marthę?

- Gdy już zadzwonił po karetkę. Nie jest słabeuszem, zresztą sama wiesz. Bez trudu ją zdjął i położył na podłodze. Pewnie kazała mu to zrobić telefonistka z pogotowia: unieść ją lub przeciąć sznur, żeby przestała się dusić.

Nie chcę tego sobie wyobrażać.

- Wielokrotnie o tym myślałam - mówi Mary. - Mężczyzna dzwoni, by powiedzieć, że jakaś kobieta właśnie się na jego oczach powiesiła. Gdybyś była osobą po drugiej stronie linii, co byś pomyślała? Założyłabyś, że najpierw jej pomógł, a dopiero potem zadzwonił na pogotowie, prawda? Słyszac, że ona ciągle wisi, umierając, podczas gdy on marnuje czas przy telefonie, pewnie powiedziałabyś mu, żeby do niej wrócił i spróbował ją uratować. Wzdrygam się.

- Co teraz myślisz o swoim chłopaku? O mężczyźnie, który ratuje umierającą kobietę dopiero po tym, jak każe mu to zrobić anonimowy pracownik pogotowia? O człowieku, który wymyśla perfidną intrygę, by zagrozić mojemu życiu? Czy wiesz, że opisał mnie policji w najdrobniejszym szczególe, łącznie ze znamieniem? - Pokazuje palcem na plamkę brązowej skóry pod dolną wargą, - W ten sposób dał mi do zrozumienia, że wziął mnie na cel. Jeśli powie policji, że mnie udusił, zamordował, to co oni zrobią, znajdując mnie całą i zdrową?

Kaszląc, zapala kolejnego papierosa.

- W każdym razie całą. Pewnie mam już raka płuc, tyle palę. Policjanci nie są specjalnie bystrzy. Aidan wiedział, że wrócą do niego, z zapewnieniem, że jego zeznania są nieprawdziwe. Biedny facet, pomyślał sobie, jaka szkoda. Był tak zdeterminowany, by ich przekonać, że przyszli do mnie dwukrotnie, nawet trzy razy. A jeśli ma rację?, myśleli sobie. Mimo iż wszyscy widzieliśmy tę kobietę, którą rzekomo zamordował, to sprawdzimy jeszcze raz. A potem zjawiasz się ty, mówiąc to samo: Aidan twierdzi, że cię zabił.

Mary wstaje, owijając zmierzwiłone włosy wokół dłoni i prostując je.

- Podły sukinsyn! Wiedział, że wystraszy mnie to bardziej niż bezpośrednia groźba. Jak sądzisz, jak to jest słuchać dyskusji o własnej śmierci, prowadzonych takim tonem, jakby już nastąpiła?

- Dlaczego? - pytam. Rzuca mi dziwne spojrzenie.

A to przecież proste pytanie, zupełnie oczywiste.

- Po co Aidan miałby ci grozić? Dlaczego chce cię zabić?

- Pozwolisz mi zabrać cię w pewne miejsce? - pyta Mary.

- Nie. Dokąd? - Przypomina mi się rada Charlie Zailer: Nie idź do domu Mary.

- Villers. - Nazwa ze ścierki wiszącej w kuchni Mary. Widziałam ją poprzednim razem. - Do mojej starej szkoły. Na jej terenie stoi dom, Garstead Cottage. Maluję w nim, gdy nie ma mnie tutaj. Martha tam pisała. Jej rodzice dzierżawią go od szkoły. Tam będziemy bezpieczni. Martha była pisarką, mówiłam ci? - Nie.

Mary wzdycha i zaczyna pocierać skronie palcami.

- Czyli nie wiesz, jak się poznali z Aidanem.

- Nie. - Skąd miałam wiedzieć? - Dlaczego Martha popełniła samobójstwo?

- Pojedź ze mną do Villers - mówi. - Jeśli chcesz poznać prawdę o mnie, o Marcie i Aidanie, to musisz coś zobaczyć.

Rozdział 12

5/3/08

- Detektyw konstabl Dunning słyszał już ode mnie wszystko, co mam do powiedzenia - powtórzył Simon sierżant Coral Milward. Dunning siedział obok niej, obejmując się ciasno rękami, jakby parodiował pacjenta w kaftanie bezpieczeństwa. Śmierdział tą samą wodą kolońską o zapachu kwasu i glonów, którą zalatywało od niego dzień wcześniej. Jego pomysł na broń chemiczną, pomyślał Simon. Tym lepszą, że legalną.

Dzień wcześniej Dunning przesłuchał Simona i Charlie, razem i osobno. Za każdym razem lokował ich w coraz to bardziej obskurnym pokoju. Ten, w którym siedzieli teraz, był niewiele większy od przenośnej kabiny toaletowej, a jego podłogę wyłożono jakimś rodzajem twardej, tkanej wykładziny przypominającej zaplecione włoski szczotki. Na krawędziach przybrała ona rdzawy kolor, a na środku wystawały z niej pojedyncze kłaczki. Pomieszczenie było nie tylko brzydkie, ale też zbyt nagrzane. Wszyscy się pocili, a Simon najobficiej. Nie przejmował się tym jednak. Pod względem smrodu, jak i w każdej innej kwestii, lubił dawać z siebie wszystko.

- Nie musimy znowu wszystkiego przytaczać - rzekł. - Obydwoje powiedzieliśmy wszystko, co wiemy.

Był w pełni świadom faktów, które Charlie przemilczała: namalowanego przez Mary Trelease pośmiertnego portretu niejakiej Marthy Wyers oraz ściany w sypialni Ruth Bussey. Wiedział też, że jej milczenie spowodowane było wstydem. Prawdopodobnie nie istniał związek między Martha Wyers a morderstwem badanym przez Dunninga i Milward; Charlie nie chciała wyjść na idiotkę, a jeszcze mniejszą ochotę miała na opowiadanie parze niechętnie do niej nastawionych obcych ludzi o wystawie w sypialni Ruth.

Simon czuł dyskomfort w związku ze swoją rolą w tym kłamstwie. Nawet taki dupek jak Neil Dunning miał prawo wykonywać swoją pracę bez przeszkód. Z drugiej strony, gdyby zainteresował się sprawą Bussey i Trelease, co Simon wielokrotnie mu doradzał, wówczas sam dowiedziałby się o Marcie Wyers i wycinkach z gazet i mógłby samodzielnie zdecydować, czy są to istotne wątki.

Poprzedniego dnia Dunning wydawał się jednak chętny wyłącznie do rozmowy o „dziwnym” zachowaniu Simona w poniedziałek.

Upierał się przy takim opisie, mimo iż Simon wyjaśnił mu, że skrajne zachowania są u niego normą. Zabawne, w jakich sytuacjach można się czasem znaleźć. Nigdy się nie spodziewał, że któregoś dnia będzie siedział w obcym komisariacie, opowiadając dzieje swojej własnej nieroztropności innemu detektywowi, by udowodnić, że od dawna ma skłonność do podejmowania dziwnych decyzji, które mimo wszystko nigdy nie doprowadziły do brutalnej śmierci.

Simon wiedział, że Dunning tak naprawdę wcale nie podejrzewa go o zamordowanie Gemmy Crowther, ale Dunning chciał sprawiać takie wrażenie. Coral Milward stanowiła zagadkę. Gruba kobieta w średnim wieku, z krótkimi blond włosami, trzema cienkimi, złotymi łańcuszkami na szyi i złotymi pierścionkami z różowymi kameami nasadzonymi na trzy palce o przyciętych krótko paznokciach. Prawdopodobnie z korala, pomyślał Simon, na cześć imienia. Nigdy wcześniej nie słyszał o niej ani jej nie widział. W przeciwieństwie do Dunninga, często się uśmiechała. Teraz się uśmiechała.

- Nigdy nie prosisz świadków, by powtórzyli zeznania? - zapytała z delikatnie zachodnim akcentem.

- Cieszę się, że powiedziałaś „świadek”, a nie „podejrzany”. Kolejny uśmiech.

- Mówiłam z taktem. Chcę wam pokazać fotografię.

- Lena Smitha? - spytał Simon. - Nie.

- Pokażcie mi zdjęcie Lena Smitha, żebym mógł wam powiedzieć, że człowiek, którego znacie pod tym nazwiskiem, to faktycznie Aidan Seed.

Milward zawahała się, nim odparła:

- Nie mamy zdjęcia Lena Smitha.

- Bo Len Smith nie istnieje. Znaleźliście już Seeda? Szukaliście go? - W tak wyostrej, świetnej formie Simon bywał tylko wtedy, gdy go atakowano. Postanowił wykorzystać sytuację. Na tym w końcu polegało jego całe życie: tryumfowanie nad prześladowcami. Nietrudno znaleźć prześladowcę kiepskiej próby, wystarczy tylko dobrze się rozejrzeć.

Milward spojrzała w notatki.

- Aidan Seed. Ramiarz.

- Ten, który zabił Gemmę Crowtherą. Jedyne Aidan Seed, jakiego znam. Ten, o którym mówię wam do zdarcia gardła. - Simon nie mógł się powstrzymać przed dodaniem: - Gdybym wiedział o istnieniu

innych Aidanów Seedów, powiedziałbym wam. Tak dla jasności. Pokaż to zdjęcie.

- Pokażę - odparła Milward. - Przy okazji: miałeś rację co do samochodu Seeda. Stoi przed domem Gemmy Crowther.

- I będzie tam stał - powiedział Simon. - Seed po niego nie wróci. - Usłyszał, jak Charlie wzdycha. Nie lubiła go w roli proroka. - Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ciągle jest w Londynie. Tam najłatwiej wtopić się w tłum i zniknąć. Poza tym domyśli się, że będziecie go szukać na jego terenie albo - druga ewentualność - na lotniskach i w portach.

- Dosyć - ucięła Milward. - Załóżmy, że masz rację i to Seed jest zabójcą. Po co miałby zostawić swój samochód na miejscu zbrodni? Po pierwsze, potrzebowałby go, żeby stamtąd uciec. Po drugie, auto jest dowodem, że tam był. Gdyby nim odjechał, moglibyśmy nigdy nie wpaść na jego trop.

Simon odliczał punkty na palcach,

- Po pierwsze, nie potrzebował samochodu, jeśli jechał do miasta: nikt nie wjeżdża samochodem do centrum Londynu. My wiemy na pewno, że Seed tego nie robi, udowodnił to w poniedziałek. Sprawdźcie zapisy z kamer przemysłowych między stacją Ruskington Road i Highgate. Na pewno wszedł do metra w ciągu pół godziny od zabicia Crowther albo wskoczył do autobusu przy Muswell Hill Road.

- Simon - odezwała się Charlie. - Nie możesz tego wiedzieć.

- Po drugie, zgadzam się, że samochód stanowi dowód jego obecności na miejscu zbrodni, co może oznaczać jedno z dwojga: albo ma nadzieję, że uznacie go za zaginionego, może nawet martwego, za kolejną ofiarę zabójcy...

- Trochę to naciągane. - Milward zmarszczyła brwi.

- Osobiście wolę drugą ewentualność: wiedział, że jak tylko znajdziecie zwłoki Gemmy Crowther, i tak trafi na pierwsze miejsce na liście podejrzanych, bez względu na to, czy znajdziecie jego samochód, czy nie.

Dunning pocierał nos. Milward znów przybrała radosny wyraz twarzy - uradowana świnka.

- Mam rację, prawda? - spytał Simon. - Macie już związek między Seedem a Gemmą Crowther. Związek, którego nie znaleźlibyście tak szybko, gdybym nie podał wam jego nazwiska.

Cisza po drugiej stronie biurka.

- Nie szkodzi - powiedział. - Nie ma za co. Tak długo będziecie czekać z przeszukaniem samochodu Seeda? Czy może już odstawiliście go na parking policyjny?

- Nie marnujemy strun głosowych - odparła Milward. - Wiesz, że nie mogę ci o niczym mówić. Za to chętnie posłucham twoich przemyśleń.

Simon miał ich wiele.

- Jeśli istnieje jakiś związek między Seedem a Crowther, to czy kryje się w nim motyw do zamordowania jej?

Milward przebiegła językiem po dolnej wardze, nim powiedziała:

- Załóżmy na chwilę, że tak.

- Crowther nie mogła się domyślać - ciągnął Simon. - Znała go jako Lena Smitha i zaprosiła do domu. Nie wiedziała o tym, co ich łączy, i że daje mu to powód, by ją zabić. Jej chłopak też był nieświadomy. Wiedział tylko Seed.

- Bujdy na resorach - odezwał się Dunning, rzucając Simonowi spojrzenie krupiera z Las Vegas, spojrzenie człowieka, który widział już wszystko. Najgorsze, co ludzkość ma do zaoferowania. - Albo Gemma Crowther znała Seeda, albo nie. Jeśli go znała, to zmiana nazwiska nic by mu nie dała. Jeśli nie znała, zmiana była niepotrzebna.

- Stać cię na więcej - odparł Simon. - Chociaż nie wiem. Można znać czyjeś nazwisko, ale nie twarz.

- Nie mamy powodu sądzić, że Gemma znała nazwisko Aidana Seeda, a zatem on nie miał powodu go zmieniać - powiedział Dunning. - To moja pierwsza uwaga. - Odgiął kciuk, parodiując odliczanie. - Uwaga numer dwa: nawet jeśli Aidan Seed i Len Smith to jedna i ta sama osoba, a jest to daleko idące założenie, to skąd wiesz, że Gemma Crowther i jej chłopak, Stephen Elton, nie byli w to wtajemniczeni? - Spojrzenie, jakie skierował na swoją sierżant zdradzało, że bardzo chętnie od niej usłyszałby odpowiedź na to pytanie. - Uwaga trzecia: widziałeś Aidana Seeda W Domu Przyjaciół w piątek wieczorem - to nie oznacza, że podawał się za Lena Smitha. Mogą być dwiema różnymi osobami. Mogli być tam obydwaj.

- Znaleźliście związek między Seedem a ofiarą - Simon zwrócił się do Milward. - Samochód Seeda stoi zaparkowany przed jej domem. Nie samochód Lena Smitha. Seed udawał, że jest kwakrem, żeby się do niej zbliżyć, a potem zabić.

- Chyba że to was okłamał - powiedział Dunning. - Zeznałeś, że gdy mówił o swojej wierze w świat materialny, Ruth Bussey przy tym była.

- Tak. I co z tego?

- Wiedziałeś, że jej rodzice są gorliwymi ewangelikami?

- Nie.

- Tak - wtrąciła Charlie.

- I że od kilku lat nie utrzymują z nią kontaktu?

- Tak.

- Nie - powiedział znowu Simon, niewątpliwie sprawiając Dunningowi wielką satysfakcję.

Dlaczego, do cholery, Charlie nic mu nie powiedziała? Pewnie uznała, że kontekst rodzinny Ruth Bussey nie ma większego znaczenia. Wczoraj wieczorem i dzisiaj rano mieli dostatecznie dużo tematów do rozmów, chociażby taki, czy przypadkiem nie zrujnowali sobie nieodwracalnie karier. Fakt, że nie zostali oficjalnie zawieszani, nie dawał im wielkiej ulgi. Żadne z nich nie było potrzebne w pracy tak długo, jak „pomagali” detektywowi Dunningowi w jego śledztwie. Bardziej oficjalne decyzje musiały poczekać.

- Gdybyś, chcąc zadawać się z kwakrami, miał dziewczynę, która odwróciła się plecami do swojego religijnego pochodzenia, to nie kłamałbyś przed nią? spytał Dunning. - Tym bardziej gdybyś był już jednym z nich lub zamierzał się zaciągnąć?

- Zaciągnąć? - odezwała się Milward. - To nie jest wojsko, Neil.

- Czyli zainteresowaliście się Ruth Bussey - powiedział Simon.

- Już myślałem, że w ogóle nie zarejestrowałeś tego nazwiska. Wiecie, gdzie ona jest? Powinna być jak najdalej od Seeda. Jest niebezpieczny i nie jest kwakrem. Tylko udawał. Nieprawdziwe nazwisko, nieprawdziwa wiara. I dlaczego akurat Len Smith? Czy w przeszłości Seeda jest jakiś Len Smith? Sprawdzaliście to?

- Nie, nie sprawdzaliśmy - odparł beznamiętnie Dunning. Gdy się odzywał, Milward sprawiała wrażenie zakłopotanej. I vice versa. Czyżby między sobą rywalizowali?

- Czy ktokolwiek oprócz Seeda mógł chcieć śmierci Crowther? - zapytał Simon.

- Nie mogę na to odpowiedzieć - odparła Milward w taki sposób, jakby jednak lekko przytakiwała, choć w sposób, którego łatwo mogła się wyprzeć. Czyżby mu się to tylko zdawało?

- Jej chłopak, Stephen Elton. Dlaczego po spotkaniu kwaków nie poszedł z Crowther do domu? Mieszkali razem. Jeśli został, żeby posprzątać, to czemu Crowther i Len Smith na niego nie czekali? Czy Seed i Crowther mieli romans? Czy Elton się dowiedział?

Milward zaplotła ręce przed sobą, czekając aż potok pytań ustanie.

- Co robił Stephen Elton między spotkaniem a północą? Posprzątanie kilku krzeseł i droga do Muswell Hill nie zajęłyby mu o tej porze aż tyle czasu.

- Na pewno?

- Nie wiecie, gdzie się przez ten cały czas podziewał - zgadywał Simon. - Chcielibyście go podejrzewać. Przemoc występuje najczęściej w rodzinie, potem są narkotyki i potyczki gangów. Zatem on też miał powód, by ją zabić, tak?

- Wybaczcie mu - odezwała się Charlie. - Czasem go ponosi.

- Chciałabym usłyszeć wszystko, co wiesz na temat Seeda. - Milward zaczynała się zachowywać tak, jakby w pokoju była tylko ona i Simon. - Poznałeś go. My nie. Zapomnijmy na chwilę o jego samochodzie i obecności na spotkaniu kwaków pod fałszywym nazwiskiem. Co możesz powiedzieć o nim jako o człowieku? Jest typem zabójcy?

- Nie wiemy - odparła Charlie. - Simon nie wie. - Czyżby w jej głosie pobrzmiwała nuta zadowolenia? - Obojgu nam wmawiał, że zabił kobietę, która żyje. Jego dziewczyna od czasu do czasu się go boi, choć wielokrotnie zapewniała nas, że nie skrzywdziłby muchy. Wszystko to już wam mówiliśmy.

- Uważam, że Seed jest typem zabójcy - powiedział Simon. - Zgoda, nie wiem tego na pewno. Ale opisał mi szczegółowo morderstwo. Te szczegóły były zbyt żywe, by dało się je wymyślić. Tak sobie pomyślałem, słuchając go. Jednak Mary Trelease żyje, co oznacza też, że Seed jest kłamcą. Chyba że to po prostu wariat. Jeśli jest kłamcą, to najwyższej próby.

- A jakaż to próba? - zapytała Milward.

- Człowiek, który doskonale, praktycznie bez szwów łączy prawdę z kłamstwem i liczy, że zauważysz prawdę, ale nie szew. Przed Gemmą Crowther zabił inną kobietę, może nawet więcej niż jedną. Może jeszcze zabić Ruth Bussey i Mary Trelease i dlatego musicie je odnaleźć.

- Aidan Seed, ramiarz. W poniedziałek po południu byliście oboje w jego warsztacie.

- Dlaczego wciąż to powtarzasz? - spytał Simon. - Sugerujesz, że Seed tak naprawdę nie zajmuje się oprawą obrazów?

- Jakie zdjęcie chciałaś nam pokazać?

- Dojdziemy do tego - odparła Milward. Zwróciła się do Charlie, która zadała pytanie. - Nie rozumiem twojej roli w tej sprawie. Po pierwszym spotkaniu z Ruth Bussey martwiłaś się o nią, a mimo to nie przyjęłaś oświadczenia. Potem dowiedziałaś się, że Aidan Seed był na policji i rozmawiał z oficerem z wydziału kryminalnego, detektywem...

- Christem Gibbsem - rzekł zmęczonym tonem Simon.

- Zgadza się. Gibbs i detektyw Waterhouse zweryfikowali zeznania Seeda, a detektyw Waterhouse zrelacjonował wyniki tej weryfikacji Seedowi, Koniec filmu, a nawet jeśli nie koniec, to teraz sprawa była już w rękach wydziału kryminalnego. Dlaczego w poniedziałek rano, zamiast pojechać do pracy, złożyłaś wizytę w domu Mary Trelease?

- Pojechałam do niej po drodze do pracy - poprawiła ją Charlie. - Wiedziałam, że Ruth Bussey się boi...

- Ale nie przyjęłaś od niej żadnego oświadczenia - powiedziała Milward.

- Uciekła, nim zdążyłam się do tego zabrać. Miałam złe przeczucia, a po rozmowie z Simonem cała sprawa mocno mnie zaniepokoiła. Chciałam osobiście zobaczyć się z Mary Trelease i usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Milward znowu zajrzała do swoich notatek.

- Po tej rozmowie miałaś wrażenie, że Aidan Seed kogoś zabił, choć oczywiście nie Mary Trelease.

- Zgadza się. Powiedziała „Nie mnie”, wyraźnie dając do zrozumienia, że kogoś jednak zabił. Czy możecie nam powiedzieć, co robicie w sprawie odnalezienia Ruth i Mary? Sam Kombothekra był w obydwu domach i w pracy Ruth Bussey i nie zastał żadnej z nich.

- Czy detektyw inspektor Proust wie, że sierżant Kombothekra wyświadcza wam przysługi, zamiast wykonywać swoje polecenia? - spytała Milward. - Może powinnam go zapytać.

To uciszyło Charlie.

- Być może na prowincji jest inaczej, ale w Londynie oficerowie policji zajmują się sprawami, które im przydzielono, a nie tymi, które im się podobają. Wedle mojego rozeznania, choć mogę się mylić, to wasz wydział kryminalny nie prowadzi śledztwa ani w sprawie Bussey, ani Seeda, ani Trelease. Żadna z tych osób nie jest też obserwowana. Zwłaszcza nie Mary Trelease... Nawet wy, detektywie Waterhouse, nie przekonacie mnie, że Trelease ma jakikolwiek związek z moją sprawą.

- To niemożliwe, żebyś była aż tak głupia - odparł Simon. - Ruth Bussey i Aidan Seed mają wspólną obsesję na punkcie Mary Trelease. Jeśli oni są w to zaangażowani, to ona też. Nie możecie odsunąć jej na bok. Poszukajcie związków między Mary Trelease a Gemmą Crowther, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście.

- Więc teraz to Mary Trelease zamordowała Gemmę Crowther, tak? - rzekł Dunning. - Zdecyduj się wreszcie.

- Dobrze wiesz, że tego nie powiedziałem. - Simon zwrócił się do sierżant Milward. - Wie czy jednak jest zbyt tępy, żeby nadażyć? Jeśli ktoś udaje, że zabił jedną kobietę, a potem zabija inną, to ja w pierwszej kolejności zapytałbym o związek między tymi dwiema kobietami.

Nikt nie prosił nigdy Olivii, by wymieniła swoją listę najokropniejszych słów, ale gdyby miała sporządzić takie zestawienie, „logika” i „badania” znalazłyby się pewnie na wysokich miejscach, jako że zawierają w sobie obietnicę nadmiernego, czasochłonnego wysiłku. Tymczasem teraz właśnie obydwie te zjawiska głęboko ją pochłaniały, w dodatku nieźle ją to bawiło. Niedostatek dobrych programów telewizyjnych robił swoje, ważną rolę grały też koktajle z likieru malinowego. Jej zdaniem nie przeszkadzały one w trzeźwym myśleniu.

W Wikipedii nie było wpisu na temat Marthy Wyers; internetowy świat zdawał się kompletnie nieświadomy jej istnienia. Olivii nie udało się znaleźć żadnych informacji o jej samobójstwie ani morderstwie. Zadzwoiła do kilku znajomych dziennikarzy piszących o literaturze, ale żaden nie potrafił jej pomóc. Paru z nich słyszało, że dzwonią, ale nie wiedzieli, w którym kościele, i mówili to z tak słabym przekonaniem, że Olivia nie bardzo im wierzyła. Najprawdopodobniej wstydzili się przyznać, że nie wiedzą nic o

autorce, która mogła przecież dostać właśnie prestiżową nagrodę albo otrzymać od wydawcy najwyższą zaliczkę w dziejach ludzkości.

Przynajmniej sklep Amazon wiedział, kim jest Martha Wyers. W 1998 roku opublikowała swoją jedyną powieść zatytułowaną Słońce skute lodem. Nie było już dostępnych egzemplarzy, nawet na rynku wtórnym. Druk wstrzymano, a nikt nie reklamował używanych kopii. To dopiero musiała być klapa, pomyślała Olivia. Na stronie produktu widniał krótki opis powieści, który był interesujący, choć nie tak, jak jedyna recenzja czytelnika, z 2 stycznia 2000 roku, zamieszczona przez Sengę McAllister; czteroakapitowy, pięciogwiazdkowy zachwyty nad ponurym, palącym pięknem książki.

Olivia знаła Sengę. Pracowały razem przez jakiś czas, nim siostra Charlie stała się wolnym strzelcem. Senga została w „The Times” i - jak się okazało - pamiętała zarówno Oliwię, jak i Marthę Wyers. Nie wiedziała nic o śmierci pisarki, ale wcale nie była nią zaskoczona. Jej pierwsze pytanie brzmiało:

- Zabiła się?

A więc jednak samobójstwo, pomyślała Olivia, czytając ponownie streszczenie Słońca skutego lodem. Na pewno. Ponure, palące samobójstwo. Nie morderstwo.

Teraz czekała, aż Senga prześle jej mailem tekst długiego artykułu, który napisała kilka lat wcześniej i który zawierał wywiad z Marthą Wyers. Jeszcze przed przeczytaniem jej powieści Senga spotkała się z Wyers i przeprowadziła z nią rozmowę, dochodząc do przekonania, że ma do czynienia z osobą, która może pewnego dnia odebrać sobie życie. Olivia uśmiechnęła się w duchu, ciesząc się ze swojego talentu detektywa.

Na ekranie komputera pojawiła się ikonka nowej wiadomości, którą Olivia od razu otworzyła. Zaczęła czytać artykuł Sengi, ale zauważyła, że jest niekompletny: tytuł, akapit wprowadzający, potem przerwa, a potem fragment tekstu poświęcony Marcie Wyers.

A jeśli...? Próbowała usunąć pomysł z głowy, ale się jej nie udało. Ściskając dłoń w pięść, już teraz wyobraziła sobie, że ma rację. Boże, jakaż z niej inteligentna bestia! Czas na koktajl dla uczczenia sukcesu. Nie, jeszcze nie teraz. Najpierw rzeczy ważne. Nie oskarżajmy Olivii Zailer o przedkładanie chęci na różowego drinka nad bezinteresowną misję szukania prawdy. Napisała do Sengi list, prosząc ją o nadesłanie

pełnego tekstu artykułu. Warto było spróbować. Jeśli okaże się, że nie miała racji, wówczas Charlie nie musiała się o niczym dowiedzieć.

- Miałaś swoją chwilę w świetle jupiterów - powiedziała Milward do Simona chłodnym tonem, z którego wynioskował, że przesłuchująca go sierżant nie pofatygowała się, by sprawdzić związek między Gemmą Crowther a Mary Trelease. Głupia. Nie spodobało się jej, gdy tak ją nazwał. Trudno. - Sierżant Zailer, czy prosiła pani sierżanta Kombothekę, by spróbował odnaleźć Ruth Bussey i Mary Trelease?

- Tak - przyznała się Charlie. - Jeśli powiesz o tym inspektorowi Proustowi, dopilnuj, by wina spadła na mnie, nie na Sama. Nie miał wielkiego wyboru: dałam mu do zrozumienia, że znajdzie je obie w obecności Aidana Seeda, który trzymać je będzie na muszce.

- Twoje niekonwencjonalne metody pracy są legendarne - powiedziała Milward. - Słyszałam, że należy do nich uprawianie seksu z podejrzanymi o morderstwo.

- To źle słyszałaś - odparła Charlie. - Domyślam się, że masz na myśli seryjnego gwałciciela, z którym jakiś czas chodziłam. Nikt nigdy nie podejrzewał go o morderstwo. W każdym razie to nie było nic poważnego, takie tam zaloty.

Simon cały stężał. Czy ona nie umie się powstrzymać?

- Rozumiem - powiedziała z uśmiechem Milward. - Mój błąd.

- Wspomniałaś o fotografii. Gdzie ona jest? Chciałabym ją zobaczyć.

- Zobaczysz.

- Na co czekamy? Nie przyszło ci do głowy, że dając spokój tym gierkom, mogłabyś do czegoś dojść?

- O której godzinie wyszłaś w poniedziałek z domu Ruth Bussey?

- Znowu to samo. O wpół do jedenastej.

- I pojechałaś do domu. - Milward czytała z notatek. - Detektyw Waterhouse dołączył tam do ciebie niedługo po jedenastej. Noc spędziliście razem.

- Tak.

Milward i Dunning na pewno zastanawiali się, co Simon myśli o dzieleniu łóżka - o dzieleniu życia - z byłą kochanką jednego z najbardziej zdeprawowanych psychopatów żyjących pod opieką brytyjskiego więziennictwa. Simon sam się nad tym zastanawiał.

- We wtorek rano zadzwoniłaś do pracy, symulując chorobę. Dlaczego?

- Niczego nie symulowałam. Czułam się chora, potem się polepszyło.

- Polepszyło się na tyle, byś mogła sobie zafundować podróż do Londynu - dodała zjadliwie Milward.

- Tak. Postanowiłam pojechać na zakupy. W Spilling nie mamy prawdziwych sklepów, tylko gliniane chatki, w których można kupić malowane maski.

- Czym pojechałaś?

- Pociągiem. Pod tym względem nic się nie zmieniło od wczoraj.

- Złapałaś osobowy o 9:05 z Rawndesley do stacji King Cross.

- Dojechałam za pięć jedenasta. Zgadza się.

- Co robiłaś w Londynie?

- Trzeci raz: rano chodziłam po galeriach, a po południu spotkałam się z siostrą. Potem zadzwonił Simon i powiedział mi o tym całym zamieszanu, więc tu przyjechałam.

- Całe zamieszanie, czyli morderstwo Gemmy Crowther? - Milward pochyliła się w przód. - Zawsze z taką beztróską wypowiadasz się o śmierci młodych kobiet?

- Nie. Tylko w środy.

- Mój problem, sierżant Zailer, jest taki, że nie rozmawiałam z Ruth Bussey. Możesz mnie okłamywać co do godziny wyjścia od niej z domu. Skąd mam wiedzieć, że nie pojechałaś do Londynu samochodem w poniedziałek wieczorem?

- I że nie zabiłam Gemmy Crowther? Po co miałabym zabijać kobietę, o której istnieniu dowiedziałam się wczoraj po południu? Aha, i jeszcze jeden drobiazg: ja nie zabijam ludzi. Choć nieustannie o tym marzę.

- Detektywa Waterhouse'a, twojego narzeczonego, widziano, jak kręci się wokół domu Gemmy Crowther i zagląda do jej okien zaledwie parę godzin przed jej śmiercią. Załóżmy, że faktycznie pojechałaś do Londynu w poniedziałek wieczorem...

- Możesz to sobie zakładać, ale to nieprawda.

- Nie byłabyś w stanie przedstawić alibi dla detektywa Waterhouse'a, prawda? Skoro nie było cię w domu, to nie możesz wiedzieć, że on wrócił o jedenastej. Jeśli nie był w domu o jedenastej, to znaczy, że nie wyjechał z Muswell Hill o dziewiątej trzydzieści.

Raport patologa stwierdza, że Gemma Crowther umarła nie wcześniej niż o dziesiątej wieczorem. Czy widzisz, do czego zmierzam?

- Niech no sprawdzę: kłamię, by chronić Simona, bo wiem, że zamordował Gemmę Crowther. Trafiłam? Albo wyszłam od Ruth przed dziesiątą trzydzieści, pojechałam do Londynu i zabiłam Gemmę Crowther.

- Żenada - odezwał się Simon. - Przygotuję wam zestawienie nagrań z kamer przemysłowych, jeśli tylko chcecie. Mam dużo czasu, odkąd wypędzono mnie bezterminowo z mojego komisariatu. Dostaniecie całą masę czarno - białych zdjęć, które udowodnią, że oboje byliśmy w miejscach, w których twierdzimy, że byliśmy, wtedy, kiedy twierdzimy, że w nich byliśmy.

- Tylko nie pokazuj im tego, na którym palę szluga przy tabliczce z zakazem palenia - wtrąciła Charlie. - Jeszcze komuś powiedzą.

- Które galerie odwiedziłaś? - spytała ją Milward.

- Nie zwracałam uwagi na nazwy. Tylko się rozglądałam. Aha, jedna z nich miała szyld „TiqTaq”. Innych nie pamiętam. Przykro mi.

- Powiedz im prawdę, na litość boską - powiedział Simon, który miał już dość jej gierek i zaczepnego tonu. - Zjadła lunch z adwokatem, Dominikiem Lundem.

- Chłopakiem mojej siostry - dodała szybko Charlie, uśmiechając się. - To prawda. Jadłam lunch z Dominisem w Signor Grilli, włoskiej restauracji przy Goodge Street.

- I czemu to przemilczałaś? - zapytała Milward.

- To bardzo skomplikowane. Chłopak mojej siostry. - Charlie rzuciła jej wymowne spojrzenie. - Chyba nie muszę tego tłumaczyć.

Simon gapił się na postrzępiony dywan u swoich stóp. O co jej chodziło, do cholery? Z Dominisem?

- Czyli nie odwiedzałaś żadnych galerii - powiedziała Milward.

- Owszem, odwiedzałam. Po lunchu.

- Mary Trelease jest malarką. Aidan Seed oprawia obrazy.

- Wiem.

Milward oblizwała przednie zęby. W końcu powiedziała:

- Nie wierzę, że we wtorek rano poczułaś się chora. Nie wierzę, że jadłaś lunch z Dominikiem Lundem w Signor Grilli, choć może faktycznie spotyka się z twoją siostrą, a ty wiesz, że akurat tego dnia jadł tam lunch. Szczerze mówiąc, wątpię też w to, że przez cały poniedziałek zamartwiałaś się losem Aidana Seeda, Ruth Bussey i

Mary Trelease, zamiast pracować, w dodatku tylko po to, żeby następnego dnia zafundować sobie z niczym niezwiązaną wycieczkę do Londynu. - Milward położyła głośno dłonie na blacie biurka. - Wiem, kiedy dwie osoby kłamią i wy jesteście takimi osobami.

- Genialne - wymamrotał Simon. - Czy kiedykolwiek nas stąd wypuścicie?

- Powinniśmy zrobić przerwę - powiedział Dunning do swojej sierżant.

- Zdjęcie. - Charlie ostentacyjnie ziewnęła.

- Ach tak, prawie o nim zapomniałam. - Milward wyjęła z teczki dużą fotografię i rzuciła ją na stół.

Początkowo Simon nie był pewien, czym dokładnie jest sina miazga, na którą patrzy. Gdy w końcu zrozumiał, musiał policzyć w myślach i zamknąć oczy. Już dawno nie był w sytuacji wymagającej tego zabiegu. Zdążył przyzwyczaić się do zwyczajnie nieprzyjemnych widoków, jakie były częścią jego pracy, ale to zdjęcie było znacznie gorsze. Poczował, jak Charlie obok niego sztywnieje.

Zdjęcie przedstawiało ludzkie usta. Usta Gemmy Crowther, domyślił się Simon. Zdjęcie z autopsji. Obydwie wargi zostały po bokach nacięte, odwinięte i przybite gwoździami do twarzy. Symetrycznie: pięć gwoździ na każdej wardze. Brakowało większości zębów, a zamiast nich wystawały haczyki do wieszania obrazów, przybite w nierównych rzędach do dziąseł. Wyglądały, jakby ktoś postarał się ułożyć je jak najstaranniej, by przypominały zestaw złotych zębów.

Simon usłyszał głos Charlie:

- Powiedzieliście, że ją zastrzelono.

- Bo tak było - odparła Milward. - Zrobił to już po zabiciu ofiary. Nie pytajcie, czemu. Możliwe, że chciał - albo chciała, jeśli to była kobieta - wrobić ramiarza.

- Na litość boską! - powiedziała Charlie. - Macie jakieś postępy? Zabójca jest skończonym psychopata. Musicie go złapać, zamiast marnować czas na zabawę z nami.

- Skąd pochodziły? - zapytał powoli Simon. - Haczyki i gwoździe. Przyniósł je ze sobą czy.

- Czy co? - Milward uniosła wysoko brwi.

- Obrazy w domu Crowther. Wisiały na ścianach, gdy przyjechaliście?

- Jakie obrazy, detektywie? Wielokrotnie był pan proszony o opisanie pokoju, do którego pan zaglądał. Twierdził pan, że nie ma pewności, czy były tam obrazy.

- Powiedzcie nam - warknął Simon. - Wisiały na ścianach?

- Nie - odparła Milward po krótkiej pauzie. - W całym mieszkaniu były jedynie zdjęcia szczęśliwej pary, powiększone do różnych rozmiarów. W każdym pokoju leżały zdjęte i oparte o ściany albo meble. W ścianach zostały tylko otwory, nie było żadnych haczyków ani gwoździ.

- Czyli co? Zastrzelił ją, a potem wybił zęby... Czym? Młotkiem?

- Skąd ten pomysł? - spytała Milward.

- Ja bym użył młotka do zawieszenia zdjęcia na ścianie. Tego on użył. - Simon przytaknął sam sobie. - Czym tak rozciął jej wargi? Nożem do tkanin? Widziałem taki nóż w warsztacie Seeda. - Zrobił pauzę, by wziąć oddech. - Zdjął ze ścian wszystkie zdjęcia, zebrał haczyki i gwoździe i wbił je w jej dziąsła i wargi. Po co? Coś z jej ustami?

- To niewłaściwe pytanie - powiedziała Charlie, wstając z krzesła. Simon zauważył, że jej koszula jest z tyłu ciemna od potu. - Ile zdjęć leżało opartych o ściany? Ile było gwoździ i haczyków w ustach Gemmy Crowther? Czy te liczby się zgadzają?

Milward spojrzała na Dunninga, który zalał się rumieńcem.

- Powinno to być w aktach - powiedział. Podała mu teczkę, a on zaczął przekładać kartki. Im dłużej trwała cisza, tym bardziej był zdenerwowany.

- Nie wiecie, na ilu haczykach wieszala każde zdjęcie - powiedział Simon.

- A ty kiedykolwiek wieszaleś zdjęcie na ścianie? - spytała go Charlie. - Jakiś obrazek? Cokolwiek w ramce?

- Owszem - skłamał, czując rosnącą temperaturę ciała. Przez całe życie przykleił taśmą kilka plakatów.

- Ty wieszalaś, jak sądzę? - Charlie zwróciła się do sierżant Milward.

Ta przytaknęła.

- Ja używam jednego. Nigdy nie wieszalałam czegoś tak ciężkiego, żeby były potrzebne dwa.

- To nie ma nic wspólnego z wagą - zauważył Dunning, rzucając swojej sierżant mordercze spojrzenie. - Na dwóch haczykach znacznie łatwiej zawiesić zdjęcie równo, zwłaszcza jeśli jest duże.

- Myślę, że czegoś tu brakuje - powiedziała Charlie. - O to chodzi w tym morderstwie: dlatego morderca użył haczyków i gwoździ do zmasakrowania twarzy Crowther.

- Po co ktoś miałby kraść tandetne zdjęcie...? - zaczęła Milward.

- Nie zdjęcie - przerwała jej Charlie. - Obraz. Nazywa się Abberton. Namalowała go Mary Trelease.

- Więc to przy tym stoliku siedziałaś z Dominisem.

- Czysty przypadek - powiedziała Charlie z mdłym uśmiechem. Dominowało w niej zobojętnienie. - Albo przypadek, albo to mój specjalny stolik żądy, przy którym umawiam się na wszystkie swoje randki. - Milward zwolniła ich przed trzema kwadransami. Po wyjściu z komisariatu Charlie złapała pierwszą wolną taksówkę i zamówiła kurs na Goodge Street.

Do stolika podszedł mężczyzna, który obsługiwał wczoraj Charlie i Lunda - sam Signor Grilli? Zamiast spytać, co zamawiają, powiedział:

- Dobrze. Widzę, że niegotowi. - Równie dobrze mógł wybrać dosadniejszą wersję: Widzę, że jesteście za bardzo pochłonięci kłótnią, żeby zamówić coś do jedzenia.

- Czy to prawda? - spytał Simon. - Spotykasz się z Lundem?

- To nie zasługuje na moją odpowiedź.

- W takim razie po co to mówisz? Czy twoim nowym hobby jest robienie ze mnie debila na oczach jak największej liczby ludzi?

- Ty debilem? Byłeś gwiazdą. Rolę tej złej grałam ja.

- Zachęcałaś ich, by tobą gardzili! Chępiłaś się czymś, co powinno przyprawiać cię o mdłości. Jakbyś uważała, że bycie dziewczyną gwałciciela to powód do dumy.

- Byłą dziewczyną gwałciciela. - Charlie udawała, że patrzy na kartę dań. Przy sąsiednich stolikach zapadła cisza. Nawet grająca w tle muzyka zdawała się celowo zostawiać mnóstwo pauz między dźwiękami. Charlie mówiła wyraźnie, żeby zaspokoić podsłuchujących. - Zabawne. Wygląda na to, że przeszłam z jednej skrajności w drugą. Od mężczyzny, który uprawia seks z kobietami wbrew ich woli, do takiego, który nie chce przelecieć nawet jednej, nawet swojej narzeczonej, nawet wtedy, gdy go o to błaga ..

- Jeśli nie przestaniesz, to ja wychodzę. - Simon odsunął się od stolika.

- Z restauracji czy z naszego związku? - spytała Charlie. - Chciałabym zrozumieć dokładną naturę twojej groźby.

- Chcesz dostać po buzi?

- Wtedy przynajmniej mnie dotkniesz. - Mówiła półserio.

- Gdy tylko ci to odpowiada, robisz ze mnie wroga. Gdy coś ci psuje nastrój, to ja najbardziej to odczuwam. Wiedziałaś, że nigdy w życiu nie wieszałem obrazka na ścianie.

- Co? Poważnie? - Charlie się zaśmiała. - Naprawdę nie wiedziałam. Jezu, Simon...

- Wiedziałaś i postanowiłaś wystawić mnie na strzał, bo chwilę wcześniej to ciebie wystawili i zmusili do chwalenia się pomyłką, która niemalże zrujnowała ci życie i ciągle jeszcze może je zrujnować. I wydaje się, że ty tego chcesz!

- Przestań. - Charlie ścisnęła oburącz swoją kartę dań.

- Tyle tylko, że wcale nie byłaś pod przymusem. To był twój wybór. Mogłaś powiedzieć „Tak, to prawda, popełniłam błąd. Ale wiążąc się z nim, nie wiedziałam, kim jest”. Dlaczego nie odpowiedziałaś w ten sposób?

- Następnym razem napisz mi scenariusz, dobrze? Dwa lata temu zrobiło to nasze biuro prasowe. Powiedzieli mi, co mam mówić.

- Ta rozmowa nie ma sensu. - Simon wziął do rąk menu i przytrzymał je między swoją twarzą a Charlie. - Zjedzmy coś, zanim znowu nas tam wezwą.

- Myślisz, że wezwą? - Myśl o Dunningu i Milward była niemalże kojąca. Przeciwno nim Charlie i Simon tworzyli sojusz.

- Ja na ich miejscu bym to zrobił. Jesteśmy lepsi od nich.

- Nie jestem głodna - westchnęła Charlie.

- To po co tu przyszliśmy? To był twój pomysł.

- Miałam nadzieję zastać tu Lunda. Chciałam go przekonać, żeby nie mówił Milward, że się z nim bzykam, jeśli go zapyta. Oczywiście marnowałabym tylko czas, Lund wolałby odgryźć sobie rękę, niż mi pomóc, ale skoro już i tak osiągnęłam dzisiaj dno, to nie zaszkodziłoby zejście jeszcze niżej i wyblaganie przysługi u faceta, który... wygląda jak myszołów. - Charlie zakryła twarz dłońmi. Nawet własny głos zaczynał jej działać na zszargane nerwy. Nie było miłe siedzieć po tej gorszej stronie stołu w sali przesłuchań. W dodatku

teraz czuła się, jakby nadal była przesłuchiwana. Stół i pokój się zmieniły, ale atmosfera potępienia została ta sama.

- Powinnaś była podać im prawdziwy powód spotkania z Lundem. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Miałam im powiedzieć, że Ruth Bussey ma u siebie wystawę moich zdjęć, więc pobiegłam po pomoc do prawnika tylko po to, by dowiedzieć się, że głównie można w tej sprawie zrobić? Miałam już dość publicznych upokorzeń jak na jedno życie, dziękuję.

Simon sięgnął nad stolikiem i chwycił ją za przegub dłoni.

- Oni prowadzą śledztwo w sprawie makabrycznego morderstwa. Pewne rzeczy są ważniejsze od twojego poczucia dumy.

- Mojego czego? Myślisz, że chodzi o dumę? Niezły z ciebie detektyw. - Nie cofnęła ręki. Im bardziej Simon się wściekał, tym większe miała wrażenie, że się od niej oddala, jakby jego reakcje nie miały nic wspólnego z nią.

Simon wstał.

- Zamówię pizzę. Na pewno nie chcesz jeść?

- Zjem trochę twojej.

- Nie ma szans Umieram z głodu.

Charlie słyszała, jak Simon zamawia dwie pizze z grzybami. Pomylił się, wymawiając włoską nazwę, co Charlie mu wytknęła, gdy wrócił do stolika.

Ale „dwie” powiedziałem dobrze, a to najważniejsze.

Widziała, że poprawił mu się nastrój, mimo iż niczego nie rozwiązali. Tylko dlatego, że zamówił jedzenie?

- Naprawdę nigdy nie wieszaleś obrazka na ścianie? Czego jeszcze o tobie nie wiem?

- A co chcesz wiedzieć?

- Simon, jestem twoją narzeczoną.

- Wiem.

- Chryste, to jakiś koszmar! No dobra: gdzie chciałbyś mieszkać, gdybyś mógł wybrać dowolne miejsce na ziemi?

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- To się teraz zastanów.

- Mówisz poważnie? Teraz mogę myśleć wyłącznie o zmasakrowanych ustach ze złotymi haczykami zamiast zębów. Uważasz, że to Mary Trelease zabiła Gemmę Crowther, prawda? Bo Crowther miała jej obraz, ten, który Mary dała w prezencie Ruth

Bussey. Czyli co? Bussey dała go Seedowi, a on przekazał go Gemmie Crowther?

Charlie nie chciała o tym rozmawiać. Nie teraz. Miała ochotę powiedzieć Simonowi, że gdyby mogła wybrać dowolne miejsce na ziemi, zamieszkałaby w Torquay. Zawsze się jej tam podobało. Przeżyła tam swój pierwszy i jedyny wakacyjny romans.

Ich pizze nadeszły podejrzenie szybko. Miały temperaturę gdzieś między zimmem a ciepłem. Charlie to nie obchodziło i domyślała się, że Simon też miał to gdzieś. Tę jedną cechę mieli wspólną, choć Simon doprowadził ją do ekstremum. Jedzenie było czymś, co wkładał do ust, żeby nie umrzeć. Nie dbał o smak, o ile mógł się najęść. Jeszcze tydzień temu miałby poważny problem z jedzeniem w obecności Charlie. Teraz czuł się swobodnie, jakby wspólne jedzenie posiłków stało się czymś naturalnym. Podobnie jak w czterech ostatnich nocach, które spędzili razem, Charlie i w tym widziała oznakę postępu.

Gdy kelner odszedł od ich stolika, powiedziała:

- Wiem tylko tyle, że Trelease zazdrośnie strzeże swoich prac. Czy na tyle zazdrośnie, by zabić dla odzyskania jednego ze swoich obrazów? Nie mam pojęcia. Ale haczyki zamiast zębów? To kobieca ręka.

- Nie zgadzam się - odparł Simon, odrywając kawałki pizzy niczym dzikus i wpychając je do ust, jakby nie widział leżących przed nim sztucców.

- Mężczyzna nie wpadłby na taki pomysł. To zbyt... misterne.

- Taki sam jest umysł Seeda. To rzemieślnik. Jakiegokolwiek są jego motywy, nie ma w nich nic prymitywnego ani oczywistego.

Nie mogłyby takie być. Mówimy o człowieku, który przyznał się do nie - morderstwa. O ateście prowadzącym utajony żywot kwakra...

- Może infiltruje wszystkie główne grupy wyznaniowe - powiedziała Charlie. - Może w poniedziałki ma kwaków, we wtorek hinduistów... - Westchnęła, znudzona własnym żartem. - Po lunchu jadę do Spilling pogadać z Kerryem Gattim. Muszę zrobić coś na własny rachunek. Dotrzymasz mi towarzystwa?

- Nie.

Charlie rzuciła mu wymowne spojrzenie.

- Tylko mi nie mów, że jesteś na tyle stuknięty, żeby zbliżyć się do Stephena Eltona. - Wyjęła z torebki telefon i włączyła go, mając

już pewność, że kłótnia z Simonem dobiegła końca. - Olivia - powiedziała, słuchając nagranej wiadomości od siostry. - Chce, żebyśmy przyjechali. Prosiłam ją, żeby dowiedziała się jak najwięcej o Marcie Wyers.

- Czyli osobie, o której nie wspomniałaś naszym kolegom ze stolicy.

- Bo pewnie nie ma żadnego związku ze sprawą.

- Więc nie jedziemy do Olivii?

- Jedziemy. Twierdzi, że znalazła coś, co mnie zainteresuje. Choć z doświadczenia wiem, że może to być zdjęcie nowego dziecka Angeliny Jolie. W takim wypadku zatłukę ją łopata na śmierć.

- Po tym, co przed chwilą widzieliśmy, nie mam nastroju na takie żarty. - Simon skończył jeść i przeniósł uwagę na pizzę Charlie.

Jej telefon zabrzączał, stukając o krawędź talerza. Wzięła go do ręki i powiedziała do słuchawki:

- Olivia?

- Nie - odparł Sam Kombothekra. - Tu Sam. Jest z tobą Simon?

- Tak.

- Dzieją się tu dziwne rzeczy, Charlie. Uznałem, że powinniście wiedzieć. Ale posłuchaj, jeśli Mroźny dowie się, że wam o tym mówiłem...

- Spokojna głowa, Sam. Proust nie podsłuchuje twojego telefonu. Jakie dziwne rzeczy?

- Poznaliście detektyw sierżant Coral Milward?

- Dziś rano.

- Zdaje się, że to nowa bratnia dusza Prousta. Właśnie mi oznajmił, że mój zespół jest pod rozkazami detektywa Dunninga na czas nieokreślony. Bez wytłumaczenia, bez szczegółów.

- Więc nie są tacy głupi, na jakich wyglądają - odparła Charlie. - Będą chcieli, żebyście zajęli się wątkami w Spilling: Bussey, Seed i Trelease. To dobrze. - Spojrzała na Simona. - Znaczy, że biorą nas serio.

- Powiedziałem Proustowi, że to szaleństwo nie zatrudnić do tej sprawy Simona i wiesz, co on na to? „Zakres zaangażowania Waterhouse'a w morderstwo Gemmy Crowther jeszcze nie został do końca ustalony”.

Charlie powtórzyła cytata Simonowi, który pokręcił głową z niesmakiem.

- Spytaj Kombothekrę, co na to odpowiedział.

Charlie chciała podać mu telefon, ale on się cofnął. Czyżby miał żal do Sama?

- Kończ już - wymamrotał.

- Sam, będę musiała...

- Powiedział to tylko dla efektu. Doskonale wie, po co Simon kręcił się w poniedziałek pod domem Crowther: śledził Aidana Seeda, który - jak już wiemy - był na miejscu zbrodni i miał motyw wielkości... wielkości... - Sam zamilkł niezdolny do wymyślenia czegoś ogromnego.

- Motyw? - Charlie szturchnęła Simona, by uważał.

- Nikt wam nie powiedział? - Sam westchnął. - Nie wiem, czemu się dziwię. Kto by chciał zamknąć sprawę, jeśli zamiast tego może zaliczyć trochę punktów?

- Sam, na litość boską! Jaki Seed miał motyw?

- Crowther i jej partner, Stephen Elton, odsiedzieli wyroki za bezprawne pozbawienie wolności i ciężkie uszkodzenie ciała.

- Co?

- Elton wyszedł warunkowo w marcu dwa tysiące piątego roku, Crowther w październiku dwa tysiące szóstego. Ładna mi sprawiedliwość.

Charlie zmarszczyła brwi. To nie było w stylu Sama, który zazwyczaj wychodził ze skóry, żeby znaleźć potencjał i nadzieję na poprawę nawet w najgorszej szumowinie.

- Zagorzały kwakryzm i ciężkie uszkodzenie ciała rzadko idą w parze.

- Jakkolwiek teraz są zagorzali, to w dwutysięcznym roku przywiązali bezbronną kobietę do cokołu w swoim ogrodzie i Gemma Crowther spędziła trzy dni, wmuszając w jej gardło kamyki i rzucając nimi w jej twarz i ciało. Kamyki z ogrodu, który ta kobieta dla nich zaprojektowała. Nie karmili jej, nie dawali pić, nie pozwalali się załatwić, nieomal ją udusili gąbką i taśmą do paczek. Leżała potem trzy tygodnie w szpitalu. Do końca życia straumatyzowana i prawdopodobnie niepłodna.

Kamyki z ogrodu, który zaprojektowała...

- O Boże, Sam...

- Wiem - odetchnął ciężko. - Trochę trudniej teraz oplakiwać śmierć Gemmy Crowther.

- Tą bezbronną kobietą była Ruth Bussey - powiedziała Charlie, patrząc na Simona. - To ona była ich ofiarą.

Rozdział 13

Środa, 5 marca 2008

Po przebudzeniu mam jasny umysł. Od razu wiem, gdzie jestem. Wszystkie szczegóły tego pokoju są znajome, choć po raz pierwszy widziałam je dopiero wczoraj wieczorem: pościel w niebiesko - białą kratkę, beżowy dywan o tak dużych oczkach, że przypomina dywanik łazienkowy. Małe, sześciennie szafki z sosny po obu stronach łóżka, toaletka sosnowa z trzyczęściowym lustrem po jednej stronie pokoju i skrzynia drewniana na pościel po drugiej. Żółte zasłony z czerwono - złotymi opaskami z frędzlami. Z dołu dobiegają mnie dźwięki stukających naczyń i radia.

Jestem w chacie Garstead Cottage na terenie szkoły Villers - w domu, który wynajmują rodzice Marthy Wyers i pozwalają Mary z niego korzystać. Będziemy tam bezpieczne - tak wczoraj powiedziała. Wypadłam ze swojego życia i wylądowałam w cudzym.

Odgarniam pościel. Mam na sobie piżamę, którą rzuciła mi wczoraj Mary. Była już wtedy tak zmęczona, że nie miała sił mówić. Piżama jest różowa i ma na koszuli napis „Minxxx”. Łagodne pojękiwania zwierząt przyciągają mnie do okna. Rozchyłam zasłony i patrzę na skąpany w słońcu widok: pola pełne krów, mur oddzielający gospodarstwo od terenów szkoły, wyposażona w wieżę kamienna bryła głównego budynku szkoły u szczytu pnącej się stromo ścieżki. Budynek, który Mary namalowała. Widziałam ten obraz w jej domu.

Garstead Cottage stoi w zagłębieniu obok ścieżki, zaledwie kilka metrów od głównej bramy Villers. Mieści się jeden poziom poniżej otaczającej ją ziemi, dzięki czemu sprawia wrażenie schowanej. Wczoraj wieczorem Mary powiedziała mi, że nie muszę nawet zasłaniać okien.

- Nikt tu nigdy nie zagląda - wyjaśniła. - Ani dziewczęta, ani nauczyciele. Trochę jak na pustyni.

Drzwi się otwierają i Mary wchodzi do pokoju.

- Późne śniadanie - mówi. - Właściwie prawie lunch. - Ma na sobie szary T - shirt i niebieskie spodnie od piżamy w turecki wzór. Trzyma w dłoniach dużą, granatową, oprawioną materiałem książkę w twardej okładce. Poziomo. Na książce stoi czajniczek, z którego zwisa zielona etykieta na sznurku, a obok niego filiżanka i kanapka wystająca poza krawędzie zbyt małego talerzyka. - Mam nadzieję, że nie codziennie ktoś ci przynosi miętową herbatę i kanapkę na tacy. To

znaczy: na książce - poprawia się. Z kieszeni jej spodni przebija zarys paczki papierosów.

Coś się zmieniło. Już się jej nie boję.

Zaczynają mi się przypominać fragmenty wczorajszego dnia: Mary upierająca się, że nie może mi powiedzieć, że muszę zobaczyć na własne oczy. Nie chciała mówić, kierując samochodem, więc przez jakiś czas słuchałyśmy radia. Potem Mary włączyła płytę i zabrzmiała piosenka Survivor.

- Martha słuchała jej, gdy się powiesiła - powiedziała rzeczowym tonem Mary. - Dziwny wybór, nie uważasz? Jaki samobójca chciałby odbierać sobie życie do tekstu o radzeniu sobie ze stratą, o dojrzewaniu, stawaniu się mądrzejszym i silniejszym?

- Może... - Tylko na tyle było mnie stać. Nie czułam się na siłach, by spekulować.

- Co? Ironia? Nie wydaje mi się. Arogancja: to już bardziej.

Zapytałam ją, co ma na myśli, ale Mary tylko zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Nie dzisiaj - odparła. - Nie, jeśli chcesz, żebyśmy dotarły na miejsce całe i zdrowe. - Sięgnęła do schowka i wyjęła telefon komórkowy, mówiąc, że musi zadzwonić do Villers. Poprosiła o kobietę o imieniu Claire, po czym poinstruowała ją, by wezwała lokalny radiowóz i żeby spotkała się z nami i z policją przed Garstead Cottage za dwie godziny.

- Po co policja? - spytałam.

- Taki mam zwyczaj. - Mary pogłośniła muzykę, żebym nie mogła zadawać kolejnych pytań.

Wjeżdżając na teren szkoły przez dużą, żelazną bramę, zobaczyłyśmy, że radiowóz jest już na miejscu. Claire Draisey, która okazała się dyrektorką internatu, czekała na nas przy bocznym wejściu do chaty, chroniąc się przed deszczem w częściowo zadaszonym budynku gospodarczym przyłączonym do domu. W środku stały dwa stare rowery, konewka i wycięta z kartonu krowa widziana z profilu, krowa z żółtym kolczykiem w uchu. Dopiero później zauważyłam ten dziwny szczegół - w tamtej chwili był chyba najmniej osobliwym aspektem całej sytuacji.

Claire Draisey była ożywiona i wyraźnie zniecierpliwiona.

- Mary, to musi być ostatni raz - powiedziała.

Miała na sobie czerwoną koszulę nocną i kapcie. Wyglądała na wycieńczoną. Ostrzegałam Mary, że wszyscy w Villers będą spali, ale ona zignorowała moje obawy. „Nieustannie coś ich budzi - mówiła. - To szkoła z internatem, trzeba się tego spodziewać. Pracownicy, którzy są na tyle słabi, że potrzebują wypoczynku, nie nocują na terenie szkoły. Za możliwość wysypiania się płacą dezaprobatą ze strony reszty kadry i są pomijani przy rozdzielaniu awansów”.

Najdziwniejsze było to, czego Claire Draisey nie powiedziała: nie zapytała Mary, czego bądź kogo się boi i dlaczego chciała, by policjant sprawdził dom. Policjant też nie pytał. Oboje z dyrektorką internatu zachowywali się w sposób rutynowy, jakby już wcześniej wielokrotnie przechodzili całą tę procedurę. Policjant upewnił się, że wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Następnie wszedł z Mary do środka i sprawdził, czy w środku nikt się nie czai. Mary spytała go, czy nie zaczekałby przed domem do świtu, ale Claire Draisey powiedziała:

- Nie wygłupiaj się, Mary. To oczywiście wykluczone.

- Tym razem dostałam autentyczną pogrózkę - odparła Mary. - Boję się nie tylko o siebie. - Pokazała na mnie, wpędzając mnie w zakłopotanie. Śniadanie i herbata na tacy mają ten sam efekt. Nie chcę lubić Mary, nie po tym, co zrobiła mi w galerii Saula. Jeśli zdolna jest brutalnie mnie zaatakować i mimo to być dobrą osobą, to co mam myśleć o sobie?

Co mam myśleć o Gemmie Crowther i Stephenie Eltonie?

- Mogę wypowiedzieć ich nazwiska - mówię do Mary, gdy ona kładzie mi kanapkę na dłoni. - Ludzie, którzy mieszkali w Chacie Cherubina. Przez całe lata używałam słów „Ona” i „On”. Nawet pisząc do ciebie list, nie mogłam jeszcze podać ich nazwisk. Ale teraz, gdy już znasz całą historię, nie czuję oporu. On nazywał się Stephen Elton, a ona Gemma Crowther.

- Nazywał?

- Nazywa.

Mary przytakuje.

- Wiem.

- Co takiego? - Powietrze wokół mnie rzednieje. Kręci mi się w głowie, jakby brakowało mi tlenu.

- Niejedno mam ci do powiedzenia.

- Nie możesz znać ich nazwisk. To niemożliwe.

- Lepiej usiądź - mówi Mary, schylając się, by podnieść coś z podłogi. Kanapkę. Nie zdałam sobie sprawy, że ją upuściłam. Nadal stoję.

- Po naszym spotkaniu w galerii Saula, gdy próbowałam mnie zmusić do sprzedania ci obrazu, zaczęłam się bać. Byłaś zbyt chętna, nie ufałam ci. Myślałam, że... - Mary milknie i cmoka z niezadowolaniem. - Wmówiłam sobie, że chcesz wyrządzić mi krzywdę. Chciałam... Musiałam się dowiedzieć, kim jesteś i kto cię do tego namówił. Wtedy sądziłam, że mogła to być tylko jedna osoba.

- Aidan? - zgaduję.

- Aidan.

- Ale...

- Nie zrozumiesz tego, jeszcze nie teraz. Najpierw musisz zobaczyć, co Aidan mi zrobił. - Mary siada na łóżku i wyjmuje z kieszeni papierosy i zapalniczkę. - Powiedziałam Saulowi, że chcę do ciebie napisać i przeprosić. Nie chciał podać mi twojego adresu, ale powiedział, jak się nazywasz, i zgodził się, żebym napisała na adres galerii. Naprawdę było mi przykro, a raczej byłam gotowa na skruchę, gdyby okazało się...

- Co?

- Musiałam się dowiedzieć, dlaczego tak bardzo chciałaś kupić ten obraz. To było zbyt nienaturalne: twój upór, jakbyś naprawdę musiała go mieć. Słyszałaś o First Call?

- Nie.

Mary zapala papierosa, wdycha dym.

- To prywatna firma detektywistyczna z Rawndesley. Pracuje tam człowiek, którego kiedyś znałam. Zapłaciłam mu za zdobycie informacji na twój temat. Miał poznać twoją przeszłość, dowiedzieć się wszystkiego, czego tylko mógł.

- Mężczyzna z czerwoną czapką i psem.

- Widziałaś go?

- Przechodził wciąż koło mojego domu. Zaglądał w okna.

- Wyglądał podejrzanie nawet w czapce i z psem? - Mary prawie się uśmiecha. - Będę musiała wyprowadzić go z błędu. - On uważa, że w tym stroju jest niewidzialny. Trochę z niego pajac, ale zrobił, o co go prosiłam. Dowiedziałam się od niego o twoim religijnym wychowaniu i o obsypanej nagrodami firmie ogrodowej. - Robi pauzę, jakby z trudem przychodziło jej powiedzenie oczywistej rzeczy. - I o

tym, co się wydarzyło w kwietniu dwa tysiące. O Gemmie Crowther, Stephenie Eltonie i rozprawie sądowej.

Przechodzą mnie dreszcze, jakby po moim całym ciele wędrowały małe robaki. Obcy człowiek obserwujący mnie z ukrycia i zdający raporty Mary...

- Kiedyś już korzystałam z jego usług i się sprawdził. Wiedziałam, że potrafi odkopać każdy cenny fakt. First Call obsługuje głównie firmy ubezpieczeniowe i operatorów kart kredytowych, ale mają parę osób specjalizujących się w „sprawach, które wymagają absolutnej dyskrecji”. On jest jedną z tych osób.

Mary wzrusza ramionami.

- Co mogę powiedzieć? Jest mi przykro. Śledził cię przez kilka tygodni, podczas których prawie w ogóle nie wychodziłaś z domu.

Gdy mi to powiedział, czułam się strasznie. Nie zamierzałam pozbawić cię pracy i zamienić w samotnicę, ale nie mogłam wiedzieć, co ci się przytrafiło w Lincoln. - Mary zagryza wargę. - Nie sądzę, byś miała teraz ochotę wysłuchiwać mojego gorącego przemówienia na własną obronę. W każdym razie obserwował cię tak długo, aż nabrałam pewności, że nie masz nic wspólnego z Aidanem Seedem. Wtedy go zwolniłam.

- Widziałam go w niedzielę. I w poniedziałek - mówię. Jej twarz przybiera hardy wyraz,

- Gdy w piątek jakiś policjant zaczął mnie wypytywać o Aidana, spanikowałam. Myślałam, że mogę mieć spokój, a najwyraźniej było inaczej. Musiałam się dowiedzieć, jaka zaszła zmiana. W poniedziałek rano odwiedziła mnie Charlie Zailer i powiedziała, że jesteś dziewczyną Aidana. Jakieś piętnaście minut po jej wyjściu zadzwonili do mnie z First Call, mówiąc dokładnie to samo.

- W czerwcu zeszłego roku nie znałam Aidana - mówię, zdając sobie sprawę, że to nie ja powinnam się bronić. - Spotkałam go później, w sierpniu. Szukałam pracy, a Saul powiedział, że Aidan potrzebuje kogoś do pomocy.

- Cóż za doskonała ironia - mówi Mary. - To przeze mnie go poznałaś. Kolejny powód do depresji.

Chciałabym powiedzieć jej, że poznanie Aidana było najlepszą rzeczą w moim życiu, ale nie byłoby to szczere wyznanie. Nie potrafię tego z siebie wykrztusić, nie wiedząc, co takiego zrobił. Me bezwarunkowo,

- Wiesz, że Aidan pracował kiedyś dla Saula, nim otworzył własny warsztat? - pyta mnie Mary.

Kręcę przecząco głową.

- Między innymi dlatego sądziłam, że to on pociąga za sznurki. Aż taki zbieg okoliczności nie wydawał mi się możliwy. - W jej oczach płonie żywy ból. - Myślałam, że chcesz kupić ten obraz, żeby dać go jemu.

Uciekam wzrokiem. Nie mam odwagi powiedzieć jej, że dokładnie z takim zamiarem działałam, chociaż dopiero później. Nie w czerwcu zeszłego roku, ale po Bożym Narodzeniu, kiedy pojechałam na Megson Crescent właśnie w tym celu: zdobyć Abbertona, bo chciał go Aidan. Bo go potrzebował.

Mary zaciąga się mocno dymem z papierosa.

- Gdy powiedziałam Saulowi, że zaniepokoił mnie twój upór, wytłumaczył mi, że zawsze tak się zachowujesz, widząc obraz, który zdobywa twoje serce. Właśnie tak go poznałaś, prawda? Opowiedział mi to: spodobał ci się obraz, który wisiał w jego witrynie, i powiedziałaś, że zapłacisz za niego każdą cenę. Wtedy zrozumiałam, że nie próbowałaś mnie przechytryć - że naprawdę zakochałaś się w Abbertonie.

- Wczoraj w twoim domu znalazłam jeszcze jedno płótno. Obraz był niedokończony, ale przypominał nieco Abbertona. Z tyłu widniał inny tytuł; Blandford.

- I co? - Mary strząsa popiół na dywan i rozciera go bosą stopą.

- Czy to... Czy te dwa obrazy tworzą serię?

- Dlaczego chcesz wiedzieć? Tak, to większa seria - mówi szybko.

- A co?

- Ile ich będzie?

Unosi podbródek: obronna postawa mająca trzymać mnie na dystans.

- Jeszcze nie wiem. Zobaczą, ile namaluję, nim stracę impet. Nie mam wyboru, jeśli chcę poznać prawdę.

- Dziewięć - mówię. - Abberton, Blandford, Darville, Elstow, Goundry, Heathcote, Margerison, Rodwell, Winduss.

Mary jęczy, jakbym wbiła jej w serce długą igłę. Całe jej ciało się kurczy.

- Co się dzieje, Mary? Dlaczego te nazwy cię tak przerażają?

- Powiedział ci, tak?

- Co mi powiedział? Kim są te osoby?

Jej wzrok mętnieje.

- Nie wiem, kim były - mówi szeptem. - Nigdy nam nie powiedzieli. Czy to nie dziwne?

- Były? - Słowo przepływa przez mój mózg w zwolnionym tempie. - Oni nie żyją?

Mary próbuje wziąć się w garść.

- Gemma Crowther nie żyje - mówi.

- Co?

- Wiedziałaś, że wyszła z więzienia?

Nie chciałam wiedzieć. Prosiłam, by mi nie mówiono. Przecież napisałam to w swoim liście...

- Ruth?

- Nie. Nie.

W niektórych częściach świata kamieniuje się kobiety, które pieprzą się z cudzymi mężczyznami.

Nie żyje. Czy Mary powiedziała właśnie, że Gemma Crowther nie żyje?

- Nie chciałam mówić ci tego w takich okolicznościach - jąka się Mary. - Gdy zjawiałaś się u mnie wczoraj, byłaś w takim stanie, że nie mogłam ci powiedzieć. Krzyczałaś coś o Aidanie ukrywającym się w moim domu. Nie słuchałabyś mnie. Większość dnia spędziłam z detektywem z Londynu. Przyszedł do mnie zaraz po jego wyjściu. Gemma Crowther została zamordowana, zastrzelona. Dwa razy w głowę i w serce.

Gemma Crowther zamordowana. Tak, to ma sens. Tacy ludzie jak ona zasługują na podobny los. W głowę i w serce.

Próbuję przyswoić tę informację, gdy Mary znów się odzywa:

- Jeśli nadal sądzisz, że chcesz poznać prawdę, to spytaj mnie, kto ją zabił.

Rozdział 14

5/3/08

Olivia wyglądała przez okno w chwili, kiedy Simon i Charlie wysiadali z taksówki. Gdy płacili, stała już przy drzwiach.

- Gównu mnie obchodzi Martha Wyers - powiedział Simon zamiast przywitania. Potem do Charlie: - Powinniśmy rozmawiać z Kerrym Gattim.

- Kerry Gatti? - spytała Olivia. Nie dostała odpowiedzi. - Nie wierzę.

- Chodźmy stąd.

- Na twoim miejscu bym została. - Olivia nie spuszczała wzroku z Simona. - Znalazłam wielki, świecący związek między Martha Wyers a waszą sprawą. Pomagacie policji londyńskiej czy oni pomagają wam?

- Nie twoja sprawa - odparła Charlie. Ciągle nie wybaczyła siostrze za wczoraj. Przykro mi, Char. Złe wieści. Charlie wyobraziła sobie Simona półmartwego, trzymanego pod lufą przez jakiegoś psychopata. Dopiero po chwili Olivia zrezygnowała z grania głęboko wstrząśniętej i zasmuconej i przekazała Charlie wiadomość. Simonowi też nie wybaczyła tego, że nagrał się na telefon jej siostry. Charlie wiedziała, dlaczego nie zadzwonił do niej. Sądził, że wścieknie się na niego za to, że ją wciągnął w całą sprawę, albo że będzie drwić, iż sam dał się złapać.

To, że oboje mieli się nie pokazywać w pracy tak długo, jak będą potrzebni Dunningowi i Milward, było co najwyżej drobną niedogodnością, która z czasem przejdzie w niepamięć. Charlie nie bała się o swoją pracę, a Simona też nikt nie chciałby stracić, nawet ci, którzy osobiście go nie lubili. Nawet nadinspektor i komisarz, którzy nie mogli znieść jego widoku.

- Powiedz, co twoim zdaniem powinniśmy wiedzieć - powiedział Simon zbolalym tonem do Olivii.

- Dziękuję. No więc po pierwsze, choć nie udało mi się znaleźć niczego o śmierci Marthy Wyers, to założyłabym się o milion funtów, że popełniła samobójstwo. Nie zamordowano jej

- To odpowiednik mniej rozrzutnej osoby zakładającej się o piątaka - wtrąciła Charlie.

- W takim razie miliard. Wydała jedną książkę, powieść. Znalazłam ją na Amazonie. Opowiada historię kobiety zakochanej w

mężczyźnie, którego ledwo zna, i ta miłość niszczy jej życie. Streszczenie na Amazonie zawiera nawet słowo „samobójcza”.

- Kurwa mać! - powiedział Simon - Połowa powieści, jakie kiedykolwiek napisano, ma identyczną fabułę. O tym jest Anna Karenina. Tolstoj nie popełnił samobójstwa. Charlie, tracimy tylko czas.

- Posłuchaj mnie, do cholery! - warknęła Olivia. - Jak powiedziałam Sendze McAllister z „The Times”, że Martha Wyers nie żyje, jej pierwszym pytaniem było, czy się zabiła. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, gdy Senga pisała reportaż o sztuce, „The Times” opublikował jej długi artykuł pod tytułem Przyszła Piątka Wspaniałych, złożony z sylwetek młodych osób ze świata sztuki, na które warto było mieć oko w nowym tysiącleciu. Gwiazdy jutra, coś w tym stylu. - Olivia zrobiła pauzę, by wziąć oddech. - Z literatury wzięli Marthę Wyers. Senga sama ją wybrała. Wtedy nie знаła jeszcze powieści, ale zdążyła przeczytać kilka opowiadań i uznała, że ma do czynienia z najwybitniejszą pisarką ostatnich lat.

- Wybitność wymaga oryginalności - powiedział Simon. - Powieść o kobiecie ze złamanym sercem nie jest oryginalna, jeśli została napisana w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym.

- Czy on mówi serio? - Olivia spytała Charlie.

- Mów dalej. Nie zwracaj na niego uwagi.

- Są różne rodzaje złamanego serca, Simon. Mam nadzieję, że nigdy się o tym nie dowiesz.

- Co to ma znaczyć?

- Olivia. - Charlie wymachiwała rękoma przed oczami siostry. - Mów.

- Sendze było trochę wstyd, że wybrała Marthę Wyers. - Olivia rzuciła Simonowi spojrzenie, które oznaczało, że zamierza rozliczyć się z nim przy innej okazji. - Jej pierwsza powieść okazała się jedyną. Po jej wydaniu Wyers zniknęła bez śladu.

- Tak już jest ze śmiercią - powiedziała Charlie. - Bardzo często uniemożliwia dalszą pracę.

- Wyers już nigdy nie napisała innej książki i odeszła w zapomnienie niedługo po tym, jak opublikowano artykuł Sengi. Niektórzy jej znajomi, którzy też wybierali obiecujące postaci do

tamtego artykułu - krytycy muzyczni i teatralni - mieli lepszą rękę. Ich wybrańcy są teraz powszechnie znani.

- Na przykład?

- Pippa Dowd reprezentowała świat muzyki.

- Z Limited Sympathy - wyjaśniła Simonowi Charlie. - On nie zna żadnych zespołów - wytłumaczyła siostrze.

- Z aktorów był Doohan Champion.

- Przecież to kompletne beztalencie!

- I multimilioner - dodała oschle Olivia. - Pewnie nie jest łatwo przewidzieć, czyja kariera zakończy się sukcesem, a kto poniesie klęskę. Nikt nie zna przyszłości. - Widząc wyraz twarzy Simona, dodała szybko: - Senga powiedziała mi coś, co przypomniałam sobie później, gdy przysłała mi mejlem artykuł i zobaczyłam, że brakuje w nim wszystkich opisów z wyjątkiem Marthy Wyers. „Na szczęście nie tylko ja się pomyliłam. Krytyk sztuki i gość od komedii też wyszli na durni”. Pomyślałam sobie: ciekawe, kogo wskazał krytyk sztuki. A jeśli Mary Trelease?

Simon zwrócił się do Charlie.

- Co ona wie o Mary Trelease?

- Niemało - odpowiedziała mu Olivia. - Wiem o Ruth Bussey, która ma obsesję na punkcie Charlie i której chłopak twierdzi, że zabił Mary Trelease, chociaż ona wcale nie jest martwa.

- Opowiedziałaś jej to z nazwiskami?

Charlie uciekła wzrokiem. Normalnie nie wyjawiałaby siostrze aż tyle, ale potrzebowała innego tematu do rozmowy niż wycinki z gazet i związane z nimi uczucia. Miała pod ręką dobrą historię i ją wykorzystała. A historii nie da się ożywić, nie podając nazwisk bohaterów.

- Co z tego, że malarką z artykułu jest Mary Trelease? - zapytał Simon. - Co z tego, że Trelease i Martha Wyers pojawiły się dziewięć lat temu w tym samym tekście prasowym? Co kurwa z tego?

- Olivia próbuje nam pomóc, Simon. - Do siostry Charlie powiedziała: - Związek między Martha Wyers a Mary Trelease nie bardzo nam pomaga. Zresztą już go mamy: obie chodziły do szkoły w Villers. Były rówieśniczkami.

Na twarzy Olivii pojawił się najpierw gniew, potem zagubienie. Po chwili się roześmiała.

- Obydwoje sądzą, że artystą, którego wskazało „The Times”, była Mary Trelease.

Simon zrobił krok w jej stronę. Wyglądał, jakby zaraz miał wyrwać jej z rąk wszystkie papiery.

- Mary czy nie Mary?

- Tak się składa, że nie. Charlie zasznurowała wargi.

- Olivia, co chcesz...

- Zmarnowaliśmy tu już dosyć czasu - zawołał Simon przez ramię, będąc już blisko drzwi. - Chodźmy.

- Tym artystą był Aidan Seed - powiedziała Olivia, wyciągając do siostry wydrukowany artykuł. - Teraz chcesz to przeczytać? Tak - powiedziała z hardym uśmiechem, widząc, że Simon się zatrzymuje.

- Tak myślałam.

Rozdział 15

Środa, 5 marca 2008

- Kiedy zginęła Gemma? - pytam.

- Policjanci nie powiedzieli mi za dużo, ale z ich pytań wnioskuję, że musiał to być poniedziałek, późny wieczór - mówi Mary.

- Chcieli wiedzieć, co wtedy robiłam. - Podchodzi do okna, otwiera je i strząsa na zewnątrz popiół z papierosa. Krowy wciąż jęczą, jakby cierpiały ból.

Czterdzieści osiem godzin temu Gemma jeszcze żyła.

- Dlaczego policja przysłała do ciebie?

Mary zakłada włosy za uszy. Długo się tam nie trzymają, zakrywając jej drobną twarz niczym ciemne chmury.

- Nie uwierzyłam Charlotte Zailer, gdy powiedziała mi, że jesteś dziewczyną Aidana. Uznałam, że to niemożliwe. Gdy First Call to potwierdziło, myślałam, że padnę trupem. Jak się już otrząsnęłam, pojechałam do warsztatu Aidana i czekałam tam w swoim samochodzie. Nieco później pojawiła się Zailer z innym detektywem, którego poznałam - detektywem Waterhouse'em. Był u mnie w sobotę, też w sprawie Aidana. Obydwoje weszli do środka.

- Byłam tam - mówię.

- Po jakimś czasie stamtąd wyszli, ale Waterhouse specjalnie się nie oddalił. Siedział w swoim samochodzie na końcu ulicy. Kilka minut później z domu wyszedł Aidan, wsiadł do auta i odjechał. Waterhouse pojechał za nim, a ja za Waterhouse'em. Wszyscy troje dojechaliśmy w konwoju do Londynu. Do Muswell Hill. - Obserwuje mnie, czekając na reakcję. - Już wtedy zaczęłam mieć przeczucie, że wiem, dokąd Aidan się wybiera, tyle tylko, że nie miało to sensu.

- Dokąd? - pytam, z trudem oddychając. Ileż razy Aidan wyjeżdżał, mówiąc mi, że jedzie do Manchesteru oprawiać obrazy dla Jeanette Golenya. Kłamstwa, wszystko kłamstwa.

- Wiedziałam, że Gemma Crowther i Stephen Elton wyszli warunkowo na wolność. Mój kontakt w First Call to solidny gość. Podał mi ich nowy adres i powiedział, gdzie pracują.

- Pracują?

Mary marszczy brwi.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Tak.

- Stephen zatrudnił się w salonie Forda w Kilburn. Jest jakimś mechanikiem. Gemma Crowther pracuje... pracowała w centrum medycyny alternatywnej Uzdrowisko w Swiss Cottage. Mój detektyw ją tam odwiedził. Zrobiła mu masaż gorącymi kamieniami. - Mary mówi o mężczyźnie w czerwonej czapce i z psem. Człowiek, którego kiedyś znałam. Kiedyś już korzystałam z jego usług - tak o nim mówiła. W końcu docierają do mnie te słowa - Bardzo był z siebie dumny, jak mi o tym opowiadał. Powiedział, że ma świetną pracę. Zabieg doliczył do kosztów, bezczelny sukinsyn.

- Kamienie - powtarzam beznamiętnym głosem.

Mary otwiera usta, ale nic nie mówi. Nie przyszło jej to do głowy. Gemma Crowther uzdrowicielką.

- Stephen był chemikiem, farmaceutą - mówię. - Ona pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej.

- No cóż, mieliby pewne trudności ze znalezieniem podobnego zatrudnienia po tym, co zrobili. Łatwiej się zahaczyć w warsztacie samochodowym czy w jakimś szarłatańskim gabinecie medycyny alternatywnej. W pewnych miejscach uważnie się sprawdza przyszłych pracowników, w innych nie. - Mary wyrzuca niedopałek przez okno i pociera obiema dłońmi kark.

- Zamieszkali w Muswell Hill? Przytakuje.

- Ruskington Road dwadzieścia trzy b. Właśnie tam jechał Aidan w poniedziałek.

- Przecież on nie wiedział o...

- Owszem, Ruth. Wiedział.

Nigdy w to nie uwierzę. Aidan spotykający się za moimi plecami ze Stephenem i Gemmą? Nie.

- Gdy skręcił w Ruskington Road, Waterhouse się zagapił i pojechał dalej główną ulicą. Zanim się zorientował i wrócił, Aidan zdążył zaparkować przed numerem dwudziestym trzecim. Tuż przed domem, jakby należał do niego. Waterhouse mnie nie zauważył. Był zbyt skoncentrowany na Aidanie, który szedł w kierunku głównej ulicy. Żaden z nich mnie nie zobaczył.

- Dlaczego? - wyrywa mi się. - Po co parkował przed domem i szedł dalej na piechotę?

- Nie mam pojęcia - odpowiada niecierpliwie Mary. - Wiem tylko, że Waterhouse poszedł za nim.

- A ty?

- Zostałam. Na piechotę byłoby zbyt ryzykownie. Moje włosy łatwo zauważyć. Jak już zniknęli, zrobiłam mały rekonesans. Dzwonek do mieszkania Stephen'a i Gemmy był podpisany ich nazwiskami: Crowther i Elton. Tak jak w gazetach.

Dzyń. Dzwonek w Chacie Cherubina nazywał się Dzyń.

Obrzydzenie wykrzywia twarz Mary.

- Pod nazwiskami, małymi literami w cudzysłowie napisane było „Woodmansterne”.

Odchrząkuję.

- W Lincoln mieszkali przy Woodmansterne Lane. Chcesz powiedzieć...?

- Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że postanowili nazwać swoje mieszkanie na cześć ulicy, przy której kiedyś mieszkali.

- Tak. To w ich stylu. W jej stylu.

- Nacisnęłam na dzwonek - mówi Mary. - Sama siebie zadziwiłam tą odwagą. Nie pytaj, co zamierzałam powiedzieć, gdyby ktoś otworzył. Nie miałam zielonego pojęcia, to był impuls. Nikogo nie było w domu. - Sięga po kolejnego papierosa, zapala go. - Po prawej od drzwi jest wykusz. Zajrzałam przez niego do środka i zobaczyłam oprawione zdjęcie szczęśliwej pary, jedno z tych, które opisałaś w liście: on całuje ją w policzek.

Czuję żółć podchodzącą mi do gardła. To zdjęcie. Stoję w nieskazitelnym białym salonie Chaty Cherubina, Stephen próbuje mnie pocałować. ..

- Wiedziałam, że to oni First Call przesłało mi kopie relacji z rozprawy, zdjęcia, pełen zestaw. Rozpoznałam ich twarze. Nietrudno zrozumieć, czemu podjął się misji wydobycia go z niewoli to spojrzenie zagubionego chłopca.

- Ciągłe są razem. Zeznawał przeciwko niej, ona próbowała zwalić całą winę na niego, a mimo to nadal są razem. Z tymi zdjęciami na ścianach - Jakby to wszystko się nie wydarzyło.

- Tandetne zdjęcia ze studia fotograficznego nie były jedyną rzeczą, jaką sobie powiesili - mówi Mary jadowitym tonem. - Widziałam jeszcze coś.

- Co takiego? - Kazała mi napisać ten list, na nowo wszystko przeżyć, a przez cały czas wiedziała. Już wcześniej wiedziała.

- Czekałam na ulicy. W samochodzie. Skoro przyjechałam aż do Londynu, to nie zamierzałam się poddawać. Po jakimś czasie znowu pojawił się Simon Waterhouse.

- Zobaczył cię? Mary kręci głową.

- Interesował go tylko dom Crowther i Eltona. Zbadał okolicę, potem wsiadł do samochodu. Jak ja. Około wpół do dziesiątej pojawiła się Gemma Crowther w towarzystwie Aidana.

Staram się opanować dreszcze.

- Aidan otworzył bagażnik swojego samochodu, wyjął coś i zaniósł do domu. Nie widziałam, co to było. Stałam za daleko, poza tym widok zasłaniała mi biała furgonetka zaparkowana za autem Aidana. - Mary owija włosy wokół ręki. - W końcu w środku zapaliło się światło. Gemma zaciągnęła zasłony. Wtedy Waterhouse dał za wygraną. - Jej uśmiech jest pełen pogardy dla kogoś, kto tak łatwo się poddaje.

- A ty nie? - domyślam się.

- Nie. Między zasłonami została wąska szczelina. Można było zajrzeć do środka.

Gemma Crowther i Aidan w jednym pokoju.

Mary czeka, aż ją spytam. Gdy tego nie robię, nie mogę, mówi:

- Usłyszałam walenie. Aidan miał w dłoni młotek. Zawieszał jej obraz na ścianie. Zgadnij, jaki.

Zastygam. Na pewno ten, inaczej Mary by mnie nie pytała. Nie kazałaby zgadywać. Ona obwinia mnie.

- Twój - mówię. - Abberton.

- Mój obraz - potwierdza Mary beznamiętnie. - Tak. W domu obcych ludzi. W domu tych obcych ludzi.

- Dałam go Aidanowi, żeby udowodnić mu, że nie mógł cię zabić. Wciąż powtarzał, że to zrobił, bez względu na to, co mówiłam. A na obrazie był twój podpis i data: dwa tysiące siedem. Aidan twierdził, że zabił cię dawno temu.

- Skąd wiedziałaś, że go podpisałam i opatrzyłam datą? - Mary patrzy na mnie podejrzliwie. - Gdy przyniosłam go do galerii Saula, nie był podpisany.

Opowiadam jej, tak jasno, jak tylko potrafię, o targach Access 2.

- Boże - mamrocze Mary, zagryzając wargę do krwi. Gdy zaciąga się papierosem, na ustniku zostaje czerwony ślad, jakby miała na ustach szminkę.

- Dałam obraz Aidanowi i już nigdy go nie zobaczyłam - mówię. - Nie chciał mi powiedzieć, co z nim zrobił. Mary, przepraszam...

- Prezent to prezent - odpowiada Mary oschle. - Dałam go tobie, ty dałaś Aidanowi, on dał go jej.

- Co zrobiłaś, widząc go na ścianie w jej domu?

- A co mogłam zrobić? Wsiadłam w samochód i pojechałam do domu. Gdy odjeżdżałam, Gemma Crowther jeszcze żyła i była z Aidanem Seedem. To powinno cię przekonać co do twojego chłopaka.

- Dlaczego przyszła do ciebie policja? - Dlaczego nie do mnie? Może próbowali. Wczoraj ignorowałam wszystkich, którzy przychodzili do warsztatu. Wśród tych ludzi mogli być detektywi.

- Jakiś wścibski sąsiad mnie zobaczył, wyszedł z domu i spytał, kim jestem. Powinnam była skłamać, ale nie zdażyłam zebrać myśli. Jak się okazało, miałam fart. Widział, jak odjeżdżam, a potem usłyszał dwa strzały. Waterhousea nie było, mnie nie było - jedyną osobą, która została z Gemmą Crowther, był Aidan. Nawet gliniarze powinni to rozpracować.

Rośnie we mnie jakaś wielka, twarda kula. Dlaczego czuję się, jakbym zawiodła Mary? To jakieś szaleństwo. Nie jestem jej winna lojalności. To Aidana kocham i jemu powinnam ufać. Nigdy świadomie mnie nie skrzywdził, a ona owszem.

Wtedy mnie to uderza: wybaczyłam jej. Jeśli potrafię wybaczyć Mary, to Aidanowi też. Cokolwiek zrobił. A potem? Gdzie jest granica?

- Ruth? Co się dzieje?

- To ja... - mówię.

- Nie rozumiem.

- Cały ten czas czułam... strach. Bałam się, że nie będę potrafiła wybaczyć Aidanowi, gdy poznam wreszcie prawdę, Tak przynajmniej mi się wydawało, ale się myliłam. W rzeczywistości jest dokładnie na odwrót: boję się, że wybaczę mu zbyt łatwo, zresztą nie tylko jemu, wszystkim. Aidanowi, tobie, nawet Stephenowi i Gemmie. W momencie gdy człowiek zaczyna sobie wyobrażać cierpienia i ból innych ludzi... - Coś blokuje moją krtani. Nie mogę mówić.

- Nie sposób przestać im wybaczać? To chciałaś powiedzieć? Zdaję sobie sprawę z tego, że płaczę. Nieważne.

- Moi rodzice mawiali: „Jesteśmy chrześcijanami, Ruth. Chrześcijanie zawsze wybaczą”, ale ja nie chcę wybaczać wszystkim!

- Czemu nie? - pyta Mary poważnym tonem.

- Bo wtedy już tylko ja... tylko ja...

- Uważasz, że nie zasługujesz na przebaczenie? Nie chcesz być jedyna?

Jej zrozumienie wydaje mi się małym cudem.

- Próbowałam wyprać Stephenowi mózg, by odszedł od Gemmy. Robiłam, co mogłam, by ich rozdzielić, cały czas wmawiając sobie, że postępuję honorowo, bo odmawiam mu seksu. - Wycieram dłońmi oczy. - Nie rozumiałam... Seks jest tylko seksem. Jeśli nie, to jest miłością. Tak czy inaczej, nie ma w nim nic toksycznego, jak w przypadku kontrolowania czyichś myśli. Wszystkie chwytaki, które stosowali wobec mnie moi rodzice - wszystkich użyłam na Stephenie. Wiem, że nie można usprawiedliwić tego, co mi zrobili, ale to nie znaczy, że to nie była moja wina ani że sobie na to nie zasłużyłam.

- Jeśli zaczniesz przebaczać wszystkim, może cię ponieść i okaże się, że wybaczyłaś rodzicom - mówi Mary. - I na czym byś wtedy stała? Oni tobie nie przebaczyli, pomimo swoich chrześcijańskich sloganów. Podałaś im swój nowy adres, lecz ani razu do ciebie nie napisali. Szybko cię skreślili, nie ma co, Ludzie, którzy całe życie poświęcili na głoszenie doktryny miłosierdzia.

- Nie tylko głoszenie. Praktykowanie też. Po tym, co mi się stało, odwiedzili mnie w szpitalu i powiedzieli, że wybaczyli Stephenowi i Gemmie, a ja też powinnam im wybaczyć. W ich całym życiu jestem jedyną osobą, dla której nie starczyło im miłosierdzia.

- Co czyni cię jedyną osobą na świecie, która nie zasługuje na wybaczenie, mam rację? Najgorszym człowiekiem na ziemi.

- Tak. - Teraz, gdy już to usłyszałam z ust Mary, czuję się tak, jakby ktoś spuścił ze mnie powietrze, przekłuwając to, co we mnie narastało. Czy to właśnie tego tak bardzo się bałam - że wreszcie to zrozumieć? Pozbywszy się lęku, zostałam już tylko z ulgą i oklapłym, szarym wyczerpaniem. Moje oczy zaczynają się zamykać.

Mary kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Zła odpowiedź - mówi. - Jeśli szukasz oryginalnego spojrzenia, to co powiesz na to: jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek się im postawiła. Nawrzeszczałaś na nich, powiedziałaś rzeczy, które pewnie

niełatwo było im przełknąć. Prawdopodobnie nigdy wcześniej niczego takiego nie doświadczyli. Łatwo jest wybaczać napaści, jeśli samemu nie było się ich ofiarą. „Stephen i Gemma? Nie ma problemu. W końcu oni tylko prawie zabili naszą córkę. Pokrzykiwanie i udowadnianie, że nie mamy racji? Przepraszamy: to niewybaczalne”. Rozumiesz, co mówię?

Tak mi się wydaje. Jeśli wybaczę Stephenowi i Gemmie, będę lepsza od moich rodziców, postąpię bardziej po chrześcijańsku, choć nie jestem chrześcijanką i nie wierzę w Boga. Aidan, Mary, Stephen, Gemma, mama i tata, ja sama. Może potrafię wybaczyć nam wszystkim.

- Chodzi mi o to - ciągnie Mary - że twoi rodzice to dwa wielkie, śmierdzące gówna. Pierdol ich.

Udaje mi się uśmiechnąć.

- Powiedz mi o Aidanie i Marcie - mówię.

Błysk w oczach Mary momentalnie gaśnie, jakby odcięto ją od źródła energii.

- Pod jednym warunkiem - mówi. - To moja historia, więc tylko ja mogę w niej być sędzią, ławą przysięgłych i katem. Jeśli poczujesz potrzebę przebaczenia komuś, zrób to w zaciszu własnej głowy. Nie jestem tak oświecona jak ty.

Przytakuję na zgodę. Mary jest swobodniejsza ode mnie. Nie przejmuje się rozważaniem win. Bierze swoje nieszczęście i robi z nim, co chce. Czy kiedykolwiek będę taka jak ona? Czy już do końca życia będę czuła, że jakiś zewnętrzny, niewidzialny i nieomylny moralny sędzia obserwuje każdy mój ruch?

Mary zapala papierosa.

- Martha i Aidan poznali się na rozmowie o pracę. Stypendium Zwyczajne Sztuk Pięknych, Trinity College w Cambridge. Aidan ją dostał, Martha nie. Robiła dobrą minę do złej gry, aż nikt już nie mógł wytrzymać jej ciągłego biadolenia o tym, że nie dostała tej pracy, bo nie jest dostatecznie zwyczajna. - Mary się uśmiecha. - Mielśmy kiedyś nauczycielkę, która spytała nas, ile telewizorów każda z nas ma w domu. Martha miała najwięcej: siedem. Kobietą wstrząsnęło. Była z niej trochę luddystka, co to hodowała swoje własne warzywa. Spytała Marthę, w których pokojach stały te telewizory, na co Martha wymieniła sześć: jeden z salonów, kuchnia, jej sypialnia, sypialnia rodziców, jej bawialnię i domek letni. Nauczycielka czekała na

siódmy, ale Martha zdała sobie chyba sprawę z tego, jak to zabrzmiało, więc zamilkła. W końcu, zapytana wprost, zalała się rumieńcem i musiała przyznać, że siódmy telewizor był w odrzutowcu.

- Prywatnym odrzutowcu?

- Była wtedy jedyną dziewczyną w Villers, której rodzice mieli własny samolot. Mnóstwo miało helikoptery, ale odrzutowiec? Teraz pewnie wszyscy je mają. Tak czy inaczej, jej uprzywilejowanie nie miało nic wspólnego z tym, że nie dostała tej pracy. Aidan lepiej malował, niż ona pisała, i dobrze to wiedziała.

Ściany pokoju zaczynają się nade mną zamykać.

- Aidan był malarzem?

- Nie powiedział ci? - Nie.

- Nigdy nie widziałas go przy płótnie? Nie pokazywał ci swoich obrazów?

- Nie... On nie maluje. - Słucham opowieści o obcym człowieku, próbując dopasować szczegóły do osoby, którą, jak sądziłam, znam. - Wiedziałabym, gdyby malował. On... - Nie powinnam chcieć jej tego mówić, ale chcę. Nie ma powodu, bym to przemilczała. - Gdy się poznaliśmy, mieszkał w jednym pokoiku na tyłach warsztatu. Wszędzie na ścianach wisiały puste ramy. Ramy, które sam zrobił. Jeszcze tam są, ale puste.

- Czyli przestał - mówi łagodnie Mary, kiwając się w przód i w tył. - To dobrze.

- Po co to zrobił? Po co oprawił pustą przestrzeń? - Dlaczego nie powiedział mi, że wie o Gemmie i Stephenie? Jak się o nich dowiedział?

- Ile jest tych pustych ram?

- Nie wiem... Nigdy ich nie liczyłam.

- Więcej niż dziesięć?

- Tak.

- Blisko stu?

- Nie, znacznie mniej. Nie wiem, może piętnaście, dwadzieścia.

- Wiem, ile ich jest. Następnym razem je policz. Zobacysz, że się nie mylę.

Wszyscy oprócz mnie wiedzą rzeczy, których nie mają prawa wiedzieć. Ja nie wiem nawet o tych, o których z łatwością mogłam wiedzieć. Powinnam była wiedzieć. Czy rodzina Aidana była uboga? Czy był zwyczajnym człowiekiem, by użyć terminu Mary? Próbuję

zebrać w głowie wszystko, co kiedykolwiek mówił mi na temat swojego dzieciństwa: uwielbiał zwierzęta, marzył o tym, żeby mieć kota, ale mu nie pozwolono. Nigdy nie miał własnej sypialni i tego pragnął najbardziej ze wszystkiego: prywatności. Jego brat i siostra byli o wiele starsi od niego i oddaleni niczym obcy ludzie.

- Osiemnaście - mówi Mary. - Osiemnaście pustych ram.

„The Times”, 23 grudnia 1999

PRZYSZŁĄ PIĄTKA WSPANIAŁYCH

Możecie nie znać jeszcze tych nazwisk, ale to się wkrótce zmieni. Od powieściopisarzy i malarzy po piosenkarzy i komików - Senga McAllister rozmawia o sławie i pieniądzach z najbardziej utalentowanymi młodymi Brytyjczykami, którzy już pukają do waszych drzwi.

Aidan Seed, lat 32, malarz. Aidan to wybitny miody talent. Obecnie rezyduje w londyńskiej National Portrait Gallery, a wcześniej spędził dwa lata na godnym pozazdroszczenia Stypendium Zwyczajnym Sztuk Pięknych w Trinity College w Cambridge. Aidan mówi mi, że stanowisko było otwarte dla pisarzy, artystów i kompozytorów, więc musiał walczyć z konkurencją nie tylko ze strony malarzy. Śmieje się na te słowa. „Nie było żadnej walki. Wątpię, bym faktycznie był wtedy najbardziej utalentowanym artystą, po prostu miałem fart. Komuś spodobały się moje rzeczy”. - Skromność to chwalebna cecha, ale prawda jest taka, że światek sztuki wprost huczy od pogłosek o ogromnym talencie Aidana. W lutym będzie miał swoją pierwszą indywidualną wystawę w prestiżowej londyńskiej galerii TiqTaq. Jej właścicielka i marszandka, Jan Garner, uważa go za „niebywale zdolnego”. Pytam Aidana, z czym wiązała się funkcja stypendysty zwyczajnego. „Trinity College słynie przede wszystkim z nauk ścisłych - mówi Aidan. - Stanowisko, które mi dali, było ukłonem w stronę sztuki. Chodziło dosłownie o tradycyjnie pojmowany patronat nad sztukami pięknymi. Nie oczekiwali ode mnie niczego ponad to, bym malował, i płacili mi za to pensję. Wymarzona fucha”. W takim razie czemu „zwyczajny”? „To znaczy tylko tyle, że nie jestem akademikiem - wyjaśnia Aidan. - Nie dali mi tego stanowiska ze względu na moje osiągnięcia naukowe. - Na jego twarzy pojawia się uśmiech. - Chyba nie uważali mnie za zwyczajnego, choć ja akurat taki jestem”.

Aidan jest dumny z robotniczego pochodzenia. Jego matka, Pauline, która umarła, gdy miał dwanaście lat, była sprzątaczką. Wychowywał się w osiedlu komunalnym w Culver Valley. „Pierwszą szczoteczkę do zębów miałem w wieku jedenastu lat - mówi. - Jak tylko wziąłem ją do ręki, zacząłem nią mieszać farby". Ponieważ Pauline była samotną matką, nie stać jej było na kupowanie farb i płócien, więc Aidan musiał wykradać materiały ze szkoły. „Zdawałem sobie sprawę, że to nie w porządku, ale malowanie było nawykiem silniejszym ode mnie. Musiałem malować, choćby nie wiem co". Jego rodzina nie pochwalałaby tego zamiłowania, więc Aidan ukrywał swoje wczesne prace w domu przyjaciela, Jima. „Rodzice Jima byli z całkowicie innego świata niż moi - wspomina Aidan. - Zawsze dopingowali mnie, żebym malował". - Jako dziecko i nastolatek Aidan malował na każdej powierzchni, jaką znalazł: na pudłach tekturowych, paczkach papierosów. Ukończywszy szkołę w wieku szesnastu lat, znalazł pracę w zakładach porcjowania mięsa, gdzie został dość długo, by zaoszczędzić na studia. „Lata spędzone w fabryce były ciężkie - mówi - ale cieszę się, że ich doświadczyłem. Miałem na studiach genialnego nauczyciela, który powiedział mi kiedyś: »Aidan, jeśli chcesz być malarzem, musisz doświadczać życia«. Z całej duszy się z tym zgadzam".

Pomimo niezaprzeczalnego daru, Aidan nigdy nie sprzedał obrazu, choć miewał liczne oferty od potencjalnych kupców. Płótna, z których nie jest zadowolony, a których zgromadził sporo, po prostu zamalowuje. Pracuje powoli i mozolnie, nie rozstając się z daną pracą, aż uzna, że jest doskonała. Odnoszę wrażenie, że w stosunku do własnych dzieł Aidan jest perfekcjonistą. „Pracuję teraz nad kilkoma obrazami. Wszystkie one ewoluują od dłuższego czasu i są jedynymi moimi obrazami, które uważam za naprawdę wartościowe i zasługujące na publiczność". Właśnie te obrazy będą stanowić część łutowej wystawy w galerii TiqTaq. Są ciemne, złowrogie, nastrojowe i w niemodny sposób figuratywne. „Gównu mnie obchodzi moda - mówi Aidan z charakterystyczną dumą w głosie. - Można stosować tradycyjne techniki, a i tak tworzyć coś współczesnego. Nie rozumiem artystów, którzy gotowi są wyrzucić do kosza całe wieki malarskiej wiedzy, jakby w ogóle nie istniała. Moim celem jest budowanie na tym, co działo się wcześniej, a nie zaczynanie od zera. Dla mnie byłaby to beczelność".

Pytam go, czy obrazy wystawione w TiqTaq będą na sprzedaż, czy wreszcie pozwoli ludziom kupić jego prace. Aidan się śmieje. „Chyba nie będę miał wyboru - mówi, dodając już bardziej praktycznym tonem: - Sądzę, że to jeden z celów tej wystawy. Jan [Garner] miałaby ze mną do pogadania, gdybym odmówił sprzedaży". Spragnieni jakości kolekcjonerzy sztuki powinni już teraz ustawiać się w kolejce. Mam przeczucie, że Aidan Seed jest artystą, o którym ludzie będą mówili jeszcze przez kilkadziesiąt lat.

Doohan Champion, lat 24, aktor. Doohan ma ten rodzaj wyrazistej urody, na widok której dziewczęta mdleją. Po raz pierwszy dał się poznać szerszej publiczności w Wielkiej Brytanii jako Toby, niespokojny, nastoletni bohater w filmie Nieznany wędrowiec. Krytycy piali z zachwytem nad nim i od tamtej pory jego sława rosła w błyskawicznym tempie. „Nie muszę już szukać ról - mówi. - Mogę przebierać i kręcić nosem. To wspaniała sytuacja". Wystarczy pobieżne spojrzenie na wczesną karierę Doohana, by stało się jasne, że sława i pieniądze były mu pisane od zawsze. Za namową matki, recepcjonistki w gabinecie dentystycznym, Doohan przeszedł od grania głównych ról w przedstawieniach szkolnych w Leeds do nauki w Eldwick Youth Theatre, uważanym za godnego rywala Narodowego Teatru Młodzieży. Spędził tam cztery lata. „To był świetny sposób na nieodrabianie pracy domowej - śmieje się Doohan. - Ale szybko zakochałem się w grze aktorskiej". Jego pasja została nagrodzona, gdy zdobył Złoty Medal na swoim roku. "Wiedziałem, że jestem na dobrej drodze, bo coraz więcej dziewczyn chciało się ze mną umawiać - żartuje dziś Doohan. - Nie mogłem zmarnować tej szansy!".

Gdy zdobył dyplom, swoje usługi oferowało mu ponad trzydziestu agentów. Dzisiaj Doohan siedzi spokojnie i czeka na falę pozytywnych recenzji jego nowego filmu Połysk węża, który wejdzie na ekrany w przyszłym roku. Gra w nim Izaaka, młodego schizofrenika, któremu, po śmierci ojca - alkoholika, grozi eksmisja z domu rodzinnego. „To bardzo poruszający, mocny film" - mówi Doohan. Pytam go, czy sława jest równie sexy, jak się ludziom zdaje. "Wiesz co? - odpowiada. - Nawet bardziej. Jest na mnie popyt, zbijam fortunę. Nie wymarzyłbym sobie lepszego życia". Ale nagle spuszcza wzrok. „Chociaż nie chciałbym stać się zbyt sławny. Fajnie byłoby wyjść czasem na drinka do lokalnego baru i nie słuchać zacepek".

Przykro mi, Doohan, ale wygląda na to, że o tym możesz już zapomnieć!

Kerry Gatti, lat 30, komik. Na wstępie mówi mi, że jest chłopakiem, nie dziewczyną, choć patrząc na jego okazałą sylwetkę i słysząc niski głos, jakoś nie mam co do tego wątpliwości. Mówi, że od wczesnych lat dziecięcych wstydził się swojego imienia. „Mama myślała, że to jedno z tych imion uniseks, jak Hilary czy Lesley. Szczerze mówiąc, te dwa wcale nie brzmią lepiej. - Kerry się śmieje. - Chłopięce imiona dla chłopców, dziewczęce dla dziewcząt: oto mój manifest". Dlaczego zatem nie zmienił swojego imienia? „Złamałbym serce mamie" - tłumaczy. Kerry ma na koncie niemałe osiągnięcia, odkąd jeszcze na studiach w Plymouth napisał freudowską analizę serialu Siódemka Blake'a. Jest jedną z gwiazd najnowszego hitu komediowego telewizji ITV - serialu Życie po małżeństwie, napisanego przez twórców Ojca Teda. Oprócz tego właśnie wrócił z trasy u boku Steve'a Coogana. Po rozpoczętej jeszcze we wrześniu podróży po całym kraju, w tym po długich występach na West Endzie, Kerry ma prawo wyglądać na wycieńczonego. „Po każdym występie jestem trupem - wyznaje. - Cały twój dzień obraca się wokół tych dwóch wieczornych godzin. Łatwo po jakimś czasie zwariować, ale kalendarz mam zbyt napięty, by znaleźć czas na przyjemności. Niestety". Kerry mówi mi, że zawsze uwielbiał rozśmieszać ludzi. „Robiłem to w szkole zamiast się uczyć. Byłem jednym z tych wkurzających dzieciaków, które się nie przykładają do pracy, ale nie można ich zbyt surowo karać, bo są śmieszne - wszystkim umilają czas. Tak, nawet nauczycielom. Czasem nawet dyrektorowi, chociaż ten typ sprawiłby trudności nawet najwybitniejszemu komikowi". Wszystkie dostępne nam świadectwa i dowody każą sądzić, że tym najwybitniejszym komikiem jest właśnie Kerry Gatti. W trakcie studiów doskonalił swój warsztat w klubach komediowych u boku takich sław, jak Jack Tabiner i Joel Rayner. Przechwycony przez agenta po rześcicie oklaskiwanym występie podczas otwartego wieczoru w klubie Laugh? w londyńskim South Bank Centre, Kerry dostał epizodyczną rolę w serialu komediowym Myślałem, że już nigdy nie spytasz. Serial zdobył nagrodę i wkrótce Kerry znalazł się na trasie promocyjnej po Australii i Nowej Zelandii. „Płynęliśmy sobie po morzu z puszkami piwa w dłoniach, patrząc po sobie i mówiąc: »Za to nam płacą? Zaje***cie!«".

Urodził się w Ladbroke Grove i w wieku ośmiu lat został zapisany do specjalnego programu edukacyjnego dla wybitnie uzdolnionych dzieci. weekendy chciałem grać z kolegami w piłkę, ale musiałem chodzić na warsztaty z Tedem Hughesem - wspomina. - Nie cierpiałem tego". Matka Kerry'ego nigdy nie pracowała. Jego ojciec był ochroniarzem, a obecnie jest współnikiem w firmie detektywistycznej Staplehurst Investigations. „Jest prywatnym detektywem?" - pytam, nie kryjąc ekscytacji. „Tak, tak - śmieje się Kerry. - Ale to same nudy, sprawy finansowe i tym podobne. Nie to, co sobie wyobrażasz: podglądanie nielegalnie gruchających gołąbków. To by było o wiele ciekawsze". Rodzice Kerry'ego nie mieli sami większych szans na zdobycie wykształcenia, więc postanowili, że ich syn osiągnie pod tym względem więcej. „Chcieli, żebym poszedł na uniwersytet i studiował literaturę angielską, ale na to nigdy bym się nie zgodził". Rzucił szkołę w wieku szesnastu lat, ale szybko do niej wrócił, zrozumiał, że bezrobocie nie jest jednak idealnym, bezstresowym sposobem na życie, jak to sobie kiedyś wyobrażał. „No dobra, poddałem się - śmieje się dzisiaj. - Poszedłem na studia, ale nie na filologię angielską, choć było jej trochę na aktorstwie. Uczyli nas jednak wielu praktycznych rzeczy, co mi się bardzo podobało".

Co dalej w karierze Kerry'ego? Epizodyczna rola w nowym serialu komediowym BBC, zatytułowanym Zemsta z fotela. Poza tym zbyt wiele rzeczy, by można je wszystkie wymieniść, jak sam mi mówi leniwym głosem. "W przyszłym roku wszyscy mnie znienawidzą, bo wszędzie będzie mnie pełno". Zapytajcie go, dokąd to wszystko zmierza, a zobaczycie szeroki uśmiech. „Chciałbym zagrać Blake'a w nowej wersji Siódemki Blake'a. To mój najważniejszy cel".

Pippa Dowd, lat 22, piosenkarka. Limited Sympathy to jedyny całkowicie kobiecy zespół z kontraktem w Loose Ship, odlotowej wytwórni prowadzonej przez Nicholasa Van Der Vlieta, który ma na swoim pokładzie też Stonehole i Alison "Whiplash" Steven. Pippa Dowd jest wokalistką Limited Sympathy. „Nie pytaj mnie, do kogo jesteśmy podobni - mówi zgryźliwie, po tym, jak ośmieliłam się zacząć od tego niewątpliwie przewidywalnego pytania. - Nie obchodzi mnie to, że z powodów marketingo wych nie jest dobrze unikać porównań. Na nikim się nie wzorujemy. Posłuchaj naszego albumu, jeśli chcesz wiedzieć, kogo ci przypominam". Już go przesłuchałam i teraz zdobywam się na odwagę, żeby powiedzieć uroczej Pippie, że

moim skromnym zdaniem muzyka Limited Sympathy przywodzi na myśl The Smiths, New Order, Prefab Sprout i inne tego typu zespoły. „A jakież to typ? - pyta. - Masz na myśli »dobre kapele«? Tak, mam nadzieję, że należymy do kategorii zespołów, które grają dobrą muzykę”. Mając już na koncie sesję zdjęciową na okładkę pisma „Dazed and Confused”, Pippa i Limited Sympathy spodziewają się ogromnego sukcesu po planowanym na marzec przyszłego roku debiucie ich pierwszego singla pod tytułem Unsound Mind. Czy Pippa celuje w numer jeden na listach przebojów? Zadaję jej to pytanie w nadziei, że będzie mniej kontrowersyjne od poprzedniego. „Ważne jest, by oddzielać cele koncertowe od celów komercyjnych - tłumaczy Pippa. - Jediną rzeczą, nad którą można mieć kontrolę, jest twój własny występ. Poza tym dzieje się, co chce. Chcę być najlepszą na świecie wokalistką i autorką tekstów. Mam ambicję i jestem z tego dumna. Zawsze pragnęłam być najlepsza. Osiągnięcie sukcesu komercyjnego też byłoby miłe, ale nie jest dla mnie tak ważne, jak jakość muzyki”.

Pippa ciężko zapracowała na sukces. Urodziła się we Frome, a wychowała w Bristolu. Do przemysłu muzycznego próbowała się dostać od szesnastego roku życia, kiedy to rzuciła szkołę. „Życie dziwnie się toczy - mówi. - Przez osiem lat ciężko pracowałam i już zaczynałam myśleć o tym, żeby dać sobie spokój. Miałam wszystkiego dość. Niekończące się występy w klubach studenckich nie wpływają dobrze na psychikę. Byłam o krok od rezygnacji i zrobienia czegoś sensownego ze swoim życiem, gdy poznałam dziewczyny”. Mówiąc „dziewczyny”, Pippa ma na myśli pozostałe pięć członkiń zespołu: Cathy Murray, Gabby Bridges, Suzie Ayres, Nehę Davis i Louise Thornton. Pippa poznała je podczas sesji nagraniowej w Butterfly Studios w Brixton. Gabby Bridges, która miała już kontrakt w Sony i otwarte drzwi do Loose Ship, była pod wrażeniem głosu Pippy i zaprosiła ją do swojego nowo powstałego zespołu, który wtedy nosił nazwę Obelisk. Zmiana na Limited Sympathy była pomysłem Pippy. „Obelisk brzmiał głupio - tłumaczy. - Co to w ogóle jest? Jakaś atrakcja turystyczna we Francji? Nie chciałam grać w zespole o takiej nazwie i okazało się, że żadnej z dziewczyn się ona nie podobała. Któregoś dnia narzekałam na rodziców, którzy nigdy nie wspierali mnie w mojej muzycznej karierze. Wspominałam, że gdy byłam naprawdę spłukana, mój ojciec

powiedział, że ma dla mnie ograniczone współczucie, bo sama spowodowałam tę sytuację, goniąc za nierealistycznymi marzeniami, zamiast zostać nudnym jak flaki z olejem księgowym, jak on. To sformułowanie - »ograniczone współczucie« (Po angielsku - limited sympathy.) - utkwilo mi w głowie, bo było takie nieszczerze. Tak naprawdę chciał powiedzieć, że w ogóle mi nie współczuje, więc czemu tak nie postawił sprawy? No w każdym razie zaproponowałam, żebyśmy nazwały tak zespół i dziewczynom się to spodobało". Parę miesięcy później Limited Sympathy miało już kontrakt na trzy płyty.

Oprócz śpiewania Pippie udaje się też jakimś cudem być menedżerką zespołu. „Na początku mieliśmy menedżera - wspomina - ale współpraca się nie układała. Nie był dość skuteczny i w efekcie prawie wszystko musiałam robić sama. W końcu postanowiliśmy się z nim rozstać". - Pierwszy album Limited Sympathy, planowany na styczeń, nosi intrygujący tytuł Dlaczego nie poszedłeś, choć wiedziałeś, że chciałam, byś poszedł? Pippa mówi, że nie może mi wytłumaczyć, skąd ten pomysł. Nie jest to tytuł żadnej z piosenek na płycie. „Postąpiłabym nie fair, opowiadając ci tę historię - tłumaczy. - Tytuł opiera się na czymś, co naprawdę wydarzyło się w związku z naszym byłym menedżerem".

Choć Pippa uparcie unika tematu wymarzonych osiągnięć - „celów komercyjnych", jak je sama nazywa - to poddaje jej pod rozwagę powszechny pogląd, iż dla każdego muzyka optymalnym wyrazem uznania jest umieszczenie jego piosenki w tle odcinka serialu East Enders. „Nie wydaje mi się - odrzuca tę myśl Pippa. - Chyba że zapgrejdą trochę te wnętrza. Widziałeś, jakie ohydne tapety wiszą na ich ścianach? Nie chcę, żeby moje piosenki miały z tym jakikolwiek związek". No to mi się dostało!

Martha Wyers, lat 31, pisarka. Beletrystka Martha Wyers ma na swoim koncie więcej nagród i zaszczytów niż większość ludzi dwa razy od niej starszych. W wieku jedenastu lat zdobyła pierwszą nagrodę w dziecięcym konkursie na opowiadanie i od tamtej pory nie przestaje kolekcjonować trofeów. Ile ich już ma? Pytam ją o to i widzę, że Wyers jest zakłopotana. „Nie wiem, może trzydzieści?" - mówi, oblewając się rumieńcem. Wśród nich jest prestiżowa Kaveney Schmidt Award oraz nagroda Alberta Bennetta za opowiadanie. Teraz spróbowała swoich sił w dłuższej formie. Jej debiutancka powieść, Słońce skute lodem, została wydana przez Picadora w zeszłym roku w

twardej oprawie, a teraz dostępna jest też w miękkiej. Wydawca Peter Straus mówi tak: „To olśniewający debiut. Najlepsza powieść młodej autorki, jaką czytałem od bardzo dawna”. „To bardzo literacka powieść, ale mam nadzieję, że da się ją czytać - mówi Martha. - Gdy ją pisałam, fabuła trzymała mnie w napięciu i chcę, by czytelnicy doświadczyli tego samego”. Chętnie mówi o swojej książce i przyznaje się, że podczas pisania nabawiła się „całkowitej obsesji” na jej punkcie. Powieść opowiada o 27 - letniej Sidonie Kershaw zakochanej bez pamięci w tajemniczym Adamie Sandsie poznanym podczas rozmowy o pracę, o którą oboje się starają (i którą w końcu dostaje Adam). Sidonie nie może przestać o nim myśleć, mimo że zna go zaledwie... No, nieważne. Adam! Nieprzerwanie się za nim ugania, w końcu wystrasza go i odpycha i sama wpada w otchłań rozpacz. Brzmi to trochę dołująco, ośmielam się spostrzec. „Jedynie dołujące książki to te, które są źle napisane - odpowiada stanowczo Martha. - Przypomnij sobie American Psycho. Ta powieść podnosi na duchu, bo jest dziełem sztuki, bo jest tak cudownie napisana, silna i zapadająca w pamięć. Na świecie jest tyle bólu i strachu - emocjonalnego, fizycznego. To pisarze, którzy unikają takich tematów, są dla mnie powodem do depresji”.

Przyszła na świat i wychowała się niedaleko Winchester, więc jest urodzona nie tyle w czepku, ile w fabryce czepków. Jej ojciec jest bankierem inwestycyjnym, a matkę Martha opisuje jako „arystokratkę, która nigdy nie musiałaby pracować”, choć całe życie pracowała, a obecnie prowadzi szkołę T'ai Chi, którą zbudowała od podstaw. Dom rodzinny to pałac w Hampshire z osiemnastoma łazienkami. Ich posiadłość jest regularnie wykorzystywana przez objazdowe grupy teatralne do wystawiania sztuk Szekspira i oper na wolnym powietrzu. Matka Marthy pasjonuje się sztuką i zawsze chciała, by jej córka robiła coś twórczego. Sama będąc absolwentką Villers. wyłącznie dziewczęcej szkoły z internatem w Surrey, posłała do niej Marthę, by podtrzymać rodzinną tradycję. „Uwielbiam Villers - mówi Martha. - Jeśli będę miała córkę, to będzie się tam uczyła”. „Za pensję powieściopisarki?” - pytam. - "Mam szczęście - przyznaje. - Pieniądze nie są problemem dzięki mojej rodzinie. Ale wkurza mnie, gdy ludzie myślą, że z tego powodu moje życie było zawsze łatwe. Problemy finansowe to nie jedyne problemy, jakie miewa człowiek. Znam innych pisarzy, którzy są zawsze spłukani, ale znacznie bardziej

pogodzeni ze sobą niż ja". Czy to znaczy, że ona nie jest szczęśliwa? Większość ludzi byłaby szczęśliwa, mając kontrakt na dwie książki z jedną z najzaciejszych oficyn wydawniczych w kraju i już wydany, obsypany pozytywnymi recenzjami debiut. „Obsesyjnie przejmuję się następną książką. Ciągle nie wiem, o czym będę pisać - przyznaje Martha. - A jeśli nie będzie dobra? Boję się, że napiszę tylko kolejną wersję pierwszej powieści, tyle że gorszą. Niewykluczone, że przed ukończeniem trzydziestego piątego roku życia stanę się publicznie rozpoznawalnym nieudacznikiem". Pytani ją o jej życie miłosne: czy jest w jej życiu odpowiednik Adama Sandsa? "Jeśli pytasz mnie, czy mam chłopaka, to odpowiedź brzmi »nie«. Ale kiedyś przesłam piekło, bo zbyt mocno się w kims zakochałam, więc pod tym względem moja powieść jest autobiograficzna. Widzisz? - uśmiecha się do mnie. - Są takie sytuacje, w których pieniądze na nic się nie przydają".

Mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie, które bardzo chcę zadać wszystkim tym wschodzącym gwiazdom, po części zainspirowana spostrzeżeniami Marthy. Zapraszam ich więc na sesję zbiorową. Pytam, co by zrobili, gdyby musieli wybrać między zawodową sławą, sukcesem, uznaniem, fanami, oklaskami i spełnieniem najdzikszych marzeń związanych z pracą za cenę niespełnionego, pozbawionego szczęścia życia osobistego a pełnią miłości i szczęścia przy całkowitym braku spełnienia zawodowego i jakiegokolwiek kariery. „Dziecinne pytanie" - krzywi się Pippa. Aidan kręci głową. „Źle je zadałaś - mówi. - Tu nie chodzi o sławę i sukces".

„Mów za siebie!" - żartuje Doohan. Proszę Aidana, żeby inaczej sformułował moje pytanie. „Dla mnie liczy się możliwość wykonywania mojej pracy, a nie to, czy osiągnę dzięki niej sukces komercyjny - mówi. - Owszem, miło jest, gdy inni doceniają to, co robię, ale dla mnie ważne jest tylko malowanie". Pytam, czy ważniejsze od szczęścia w życiu osobistym. „Tak - odpowiada. - Gdybym musiał wybierać, wybrałbym pracę ponad wszystko. Twórczą satysfakcję, poczucie, że przez sztukę osiągam coś istotnego. To jest dla mnie najważniejsze i nie dbam, czy świat mnie zauważy, czy nie". Po drugiej stronie spektrum mamy Kerry'ego, który głośno się śmieje, słysząc odpowiedź Aidana. „Czyli odrzuciłbyś program nieustającego szczęścia od świtu do zmierzchu, nawet gdyby nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na twoje obrazy? Ja przeciwnie, stary. W

każdej chwili wybrałbym beztroskie życie zamiast pracy. Nie mam nic przeciwko waszemu dodatkowi o sztuce i oczywiście cieszę się, że o mnie piszecie, ale ja jestem tylko komikiem. Moja praca nie jest aż tak ważna. Nie jestem genialnym lekarzem, który opracowuje lek przeciw nowotworom". Doohan odmawia dokonania wyboru. „Chcę tego i tego - mówi. - I mogę to osiągnąć na warunkach, które stawiasz w swoim pytaniu. Gdy jestem ekstatycznie szczęśliwy, to znaczy, że cieszą mnie wszystkie aspekty mojego życia, w tym także praca. A zatem musi mi iść całkiem nieźle. Mam rację?". Zuchwały chłopak z tego Doohana!

Tylko Martha zdaje się wahać. „Praca - mówi w końcu. - To moja oficjalna odpowiedź". Nie chce powiedzieć więcej. Oczywiście udało jej się mnie zaintrygować. Z pewnością zajrzę do jej powieści. Zamierzam też delektować się niebywałym i zróżnicowanym talentem pozostałej czwórki poszukiwaczy sławy. Wszyscy oni już wkrótce trafią pod strzechy. Ale pamiętajcie: pierwszy raz słyszeliście o nich ode mnie...

Rozdział 16

5/3/08

- To nieistotny szczegół - powiedział detektyw konstabl Chris Gibbs mocno już zniecierpliwionym głosem. Razem z detektywem Colinem Sellersem byli w domu Ruth Bussey Kombothekra kazał im się dobrze rozejrzeć, ale żaden z nich nie wiedział, czego szukają. - Albo laska jest w porządku, albo nie, koniec kropka. Jeśli ma ładne nogi, ładne cycki, ładny tyłek, ładną twarz...

- Nie twierdzą wcale, że byłaby to dla mnie bariera nie do przejścia - przerwał mu Sellers.

- Garb na plecach, sztuczne zęby i trąd nie byłyby dla ciebie barierą nie do przejścia. Przeleciałbyś wszystko, co się rusza. - Gibbs spojrzął w stronę otwartych drzwi wejściowych, za którymi stał niezadowolony Malcolm Fenton, właściciel Blantyre Lodge, czekając, aż będzie mógł zamknąć dom. Pod nosem Gibbs wymamrotał swoją ulubioną parodię Sellersa: - „Dobra, malutka, wytrzymaj się. Przyjechała twoja taksówka. Jest czwarta rano, kochanie, płac za siebie...”.

- Jeśli wstydzisz się odpowiedzieć na pytanie, to nie ma sprawy.

- Sellers poklepał go po plecach. - Rozumiem, stary.

- Już ci odpowiedziałem. Gównu mnie to obchodzi! Zapytaj McFrajera.

Fenton - lub McFrajer, jak go nazywali Gibbs i Sellers, korzystając z ksywki, której on sam używał - pojawił się w przedpokoju.

- Mam już tego dosyć - powiedział. - Ruth tu nie ma i nie zrobiła nic złego. Jeśli sądzicie, że będę tu stał i wysłuchiwał waszych obleśnych pogaduszek, patrząc, jak naruszacie jej prywatność...

- Proszę nam wybaczyć, panie Fenton - powiedział ugodowo Sellers. - Dopilnuję, by na komisariacie mój kolega wrzucił do skarbonki piąta za każde przekleństwo.

- Nie obchodzi cię moje zdanie - mruknął Gibbs, gdy Fenton się w końcu wycofał. - Chcesz po prostu, żebym ja ciebie zapytał. No dobrze, posłuchajmy. - O co im chodzi, do cholery? Wziął do ręki jedno z drucianych zwierzątek Ruth Bussey i skrzywił się, zanim odłożył je na miejsce.

- Nie lubię półśrodków - odparł Sellers. - Brazylijska jest w porządku, naturalna i dzika też. Im dziksza, tym lepiej. Wszystko, co pośrodku...

- Co? Odmówiłbyś?

- Mówię tylko, że lubię skrajności, Wszystko albo nic.

- Brazylijska to nie jest „nic”, zostaje pas startowy. Tobie chodzi o Hollywood.

- Co takiego? Nie wiesz, o czym mówisz. Gibbs kręcił głową.

- Mam swoją teorię - powiedział Sellers. - Kobiety, które wolą półśrodki, a to oznacza większość kobiet, o ile mi wiadomo, te kobiety myślą tylko o sobie, o tym, jak będą wyglądały w bikini. Nic ich nie obchodzi, co lubią faceci. Twierdzisz, że nie robi ci to różnicy, ale w idealnym świecie... - Sellers przerwał, gdy podniósł wzrok znad biurka Ruth Bussey i zobaczył, że Gibbs wyszedł z pokoju. Dalej mówił podniesionym głosem: - Zamierzam przeprowadzić ankietę. Jeśli okaże się, że większość mężczyzn się ze mną zgadza, to trzeba będzie głośno i wyraźnie zakomunikować to naszym kobietom.

- Przymknij się i spójrz na to.

- Gdzie jesteś? - Sellers poszedł szukać Gibbsa. Znalazł go w sypialni i właśnie miał zażartować w sposób, z którego był znany wśród znajomych, gdy zobaczył ścianę. - O żeż kurwa.

- Ma obsesję na punkcie Charlie - powiedział Gibbs. Gdy się odwrócił, zobaczył zadowolony uśmiezek na twarzy Sellersa. Przez chwilę myślał, że jego partner wróci zaraz do rozważań na temat fryzur łonowych u kobiet.

- Nie ma obsesji, wykonuje polecenia - odezwał się Sellers. - Spójrz na to. - Wyszedł do przedpokoju i wrócił, trzymając w jednej dłoni otwartą książkę, a w drugiej zakładkę. - Cieszę się, że nie zwracałem uwagi, jak próbowaliście mnie z McFrajerem popędząć. Popatrz tylko. - Podał książkę Gibbsowi i czekał, patrząc, jak jego partner czyta właściwy fragment.

- I co? Jeśli czyta te bzdury, to znaczy, że ma nierówno pod sufitem. To też - Gibbs skinął na ścianę. - Instrukcję wzięła z książki. Co z tego?

- Może mieć nierówno pod sufitem, ale nie stanowi zagrożenia dla naszej sierżant, a tylko to się liczy, nie? Co ty robisz?

Gibbs przycisnął telefon do ucha.

- Dzwonię do Waterhouse'a. Gdyby jakaś wariatka miała w domu zdjęcia mojej lubej, to chciałbym o tym wiedzieć.

- Nie powinniśmy się z nim...

- Ciągłe to powtarzasz. - Gibbs utkwiał w nim wzrok. - Ty i Mroźny. Jak chcesz, to możesz być jego ulubionym lodowym ludkiem, ale ja jestem po stronie Kombothekry. Waterhouse nie zrobił nic złego. W każdym razie nic ponad normę.

- Nie twierdzę, że zrobił.

- To gdzie twoja lojalność?

- To nie jest nasza decyzja. Jak Mroźny się dowie, że za jego plecami ty i Kombothekra karmiliście Waterhouse'a informacjami, ja nadal będę miał gdzie pracować. - Sellers wyrwał Gibbsowi telefon z dłoni i uniósł do góry. - Ty też możesz uratować skórę, jeśli tylko nie zrobisz nic głupiego.

- Chodzi o Stacey, prawda? O to, co Charlie o niej powiedziała na imprezie. Wibrator i te rzeczy.

- Brak związku.

- Jasne. Z tobą wszystko sprowadza się do cipek. Pamiętasz, jak zaczęła się rozmowa o brazylijskiej depilacji? Zastanawiałeś się nad córką Prousta. Może mu o tym powiem?

Sellers opadł na drzwi. Potrafił rozpoznać przegraną potyczkę. Gibbs uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie przejmuj się, jestem do tego przyzwyczajony. Po prostu pamiętaj, że nie masz prawa uznawać się za lepszego od innych, i będzie słodko. A teraz oddaj mi kurwa mój telefon.

- Gdzie jest sierżant Zailer? - Detektyw sierżant Coral Milward stuknęła pierścionkami o spód biurka. - Nagrałam jej dwie wiadomości. Nie oddzwoniła.

- Wspominała coś o galerii sztuki - odparł Simon. - Gdzie jest detektyw Dunning?

Na dźwięk jego nazwiska Milward spuściła wzrok.

- Na pewno nie w White Cube.

- Gdzie, przepraszam?

- Spytaj sierżant Zailer. Zdaje się, że to koneserka sztuki.

- A Dunning nie?

- Nie mam pojęcia.

- Chodzi o wodę kolońską? - spytał Simon.

- Słucham?

- Twoja niechęć do niego. Z czego się bierze?

Milward wyciągnęła swoje grube ręce spod stołu i zaplotła je na piersiach. Stukanie ustało. Miała na sobie nową koszulę z perłowymi spinkami do mankietów.

- A więc plotki są prawdziwe - powiedziała. - Słyszałam, że przekraczanie granic to twoja specjalność.

- Jestem w każdym razie po twojej stronie. Częściej się uśmiechasz. I mniej śmierdzisz.

- Nie mydl mi oczu, Waterhouse. Czy wypad twojej narzeczonej do galerii sztuki jest związany z moją sprawą?

- Trzeba by ją o to zapytać. Milward nachyliła się w przód.

- Wiemy, że Aidan Seed był artystą. Miał talent, udaną wystawę, po czym zwinął manatki. Dlaczego? Większość ludzi nie przerywa świadomie obiecujących karier. Nie liczę ciebie.

- Nie mam pojęcia.

- Problem w tym, że ci nie wierzę.

Simon wzruszył ramionami.

- To twój problem.

- Saul Hansard też nie wiedział. Jemu akurat wierzę.

- Po co Seed miałby się zwierzać Hansardowi?

Milward wyraźnie pokazywała Simonowi, że rozważa, czy mu powiedzieć. Kazała mu czekać kilka sekund na odpowiedź.

- Seed pracował u Hansarda jako asystent, gdy miał swoją pierwszą i jedyną osobistą wystawę w Londynie. Także wtedy, gdy przestał malować i zajął się oprawianiem.

- Seed pracował u Hansarda? - Simon zmarszczył brwi. - Ruth Bussey pracowała u Hansarda, zanim zatrudniła się u Seed'a.

Milward zdawała się czekać na dalszą część.

- Mary Trelease oprawiała swoje obrazy u Hansarda.

- Ale nie za czasów Seed'a. Później. A jeszcze później przerzuciła się na galerię w Londynie, tę samą, w której Seed miał w lutym dwutysięcznego roku swoją debiutancką wystawę: TiqTaq przy Charlotte Street. Właśnie tam jest teraz sierżant Zailer, mam rację?

- Myślisz, że dotarlibyście tak daleko bez naszej pomocy? - spytał ją Simon.

- A dokąd to ja dotarłam? Dwie trzecie długości ślepej ulicy, jeśli miałabym zgadywać.

- Czy Hansard powiedział wam, że Bussey i Trelease poznały się w jego galerii, miały kłótnię, która skończyła się fizyczną napaścią?

Seed zabił Gemmę Crowther, mszcząc się za to, co zrobiła jego narzeczonej. Z tego samego powodu zabije Mary Trelease. Stephen Elton też może zginąć, chyba że przyznanie się do winy i jednak nieuczestniczenie w ataku na Bussey w Lincoln...

- Wiesz o tym? - Milward się uśmiechnęła. - Dziś rano nie wiedziałeś.

- Bo mi nie powiedzieliście - odparł Simon, starając się trzymać nerwy na wodzy.

- No to kto ci powiedział? Widzisz, mam z tobą ten problem, że ciągle zdajesz się wiedzieć o jotę za dużo. Jeśli dowiem się, że kontaktowałeś się z Bussey, Seedem albo Trelease i nic mi o tym nie powiedziałeś...

- Nie kontaktowałem się. Widzę, że wy też nie. Co robicie, żeby ich odnaleźć?

- Powinieneś się cieszyć, że to nie twój problem - powiedziała Milward. - Mój problem jest taki, że mam głównego podejrzanego...

- Czyli Seeda?

- Nie, nie Seeda.

- Nie było włamania, prawda? To zawęży krąg podejrzanych do Eltona i Seeda.

- Mam podejrzanego i motyw - ciągnęła Milward, jakby Simon się nie odezwał. - Nic przypieczętowanego, ale nie tracę nadziei. Tymczasem na obrzeżach mojej sprawy mam twój mały bałagan: Seed, Trelease, Bussey, Hansard.

- Na obrzeżach? - Simon nie mógł w to uwierzyć. - Jesteś w błędzie. Nie wiem jeszcze, o co tu chodzi, ale jednego jestem pewien: mój bałagan, jak go nazywasz, rozgrywa się na samym środku sceny. Jeśli nie będziecie go tak traktować, do niczego nie dojdziecie.

- Bezczelny z ciebie dupek, Waterhouse.

- Tak mówią.

Milward wyglądała tak, jakby miała ochotę mu przyłożyć.

- Mam motyw - powtórzyła. - Tutaj jestem mocna. A co ty masz? Urojone uduszenie, obrazy znikające z targów sztuki, tajemnicze przepowiednie: Seed wymieniający dziewięć obrazów, których Mary Trelease jeszcze nie namalowała. I mam to traktować serio?

- Nie - odparł Simon. - Masz to zakopać pod ziemią, bo cię przerasta. I nie dziewięć obrazów, tylko osiem. Osiem obrazów, których Mary Trelease jeszcze nie namalowała.

Milward zmarszczyła brwi.

- Dziewięć - powiedziała, zaglądając do notatek.

- Pierwszy, Abberton, już istnieje. Zamknęła głośno teczkę.

- Nie podoba mi się ten... syf wokół mojego śledztwa. Bardzo mi się nie podoba. Skąd Zailer wiedziała, że z domu Crowther zniknął obraz? Skąd wiedziała, że akurat ten obraz?

- Nie wiedziała. Zgadywała.

Milward wypuściła z płuc wstrzymywane od dłuższej chwili powietrze serią krótkich wydechów.

- Znaleźliśmy go w bagażniku samochodu Seeda - powiedziała. - Abberton. Trochę zbyt dziwny, jak na mój gust, ale coś w nim jest. W każdym razie więcej niż w większości rupieci, które uchodzą teraz za sztukę.

Simon kręcił głową, próbując zrozumieć nową informację. Nie, coś się nie zgadzało. Seed mógł chcieć porzucić swoje auto - dziś rano Simon tłumaczył Milward możliwe powody - ale nie obraz, który zabrał z domu po zamordowaniu Crowther, wybiciu jej zębów młotkiem i zastąpieniu haczykami. Abberton był dla niego kluczowy. Musiało tak być. Niemożliwe, że zostawił go w bagażniku.

Rusz głową. Seed dał obraz Crowther - nie mogło być inaczej. Potem ją zabił i zabrał go z powrotem. Dlaczego? Ten element nigdy nie trzymał się kupy. Dlaczego Simon tak długo tego nie widział?

- Stephen Elton twierdzi, że niemożliwe jest, by Len, znany też jako Aidan Seed, zabił Gemmę Crowther. - Głos Milward dochodził do Simona jakby z większej odległości. - Mówi, że wszyscy troje blisko się przyjaźnili. Seed spał często u nich na kanapie, żeby nie jechać późno do domu. I zanim spytasz, odpowiem: nie miał romansu z Crowther. Elton daje sobie uciąć rękę, że Gemma nigdy by go nie zdradziła. Dla niego to poza wszelką dyskusją. W przeciwieństwie do torturowania bezbronnej kobiety - dodała oschle - co najwyraźniej nie dręczyło specjalnie jej sumienia. Widziałam Eltona kłamiącego i mówiącego prawdę. W tej sprawie mówił prawdę.

- Nigdy nie sądziłem, że Seed miał romans z Crowther - powiedział Simon. Widział, w jaki sposób Seed patrzył na nią, gdy szli razem ulicą. Kochanek by tak nie patrzył. Simon był tego pewien, mimo iż sam nigdy nie był niczym kochankiem. Jesteś prawiczką, Simon? - spytała go parę lat temu Charlie. Nie odpowiedział jej do dzisiaj.

Telefon zadzwonił mu w kieszeni.

- Śmiało - zachęciła go Milward. - Jeśli to Zailer...

- To nie ona. - Simon poczuł ulgę, widząc na wyświetlaczu numer Gibbsa, a nie Kombothekry. Ulgę i zaskoczenie. Wysłuchał tego, co miał mu do powiedzenia Gibbs, ograniczając swoje odpowiedzi do absolutnego minimum ze względu na obserwującą go bacznie Milward.

- Wszystko w porządku? - spytała go, widząc, że chowa telefon do kieszeni.

Najlepsze pomysły zawsze przychodziły Simonowi do głowy bystrym strumieniem, jak zastrzyk adrenaliny do mózgu. Tym razem było nie inaczej.

- Co było najpierw: śmierć Crowther czy zmasakrowanie ust?

- Wybicie zębów było pośmiertne. A co? O czym myślisz?

- A co z narzędziami: z pistoletem, młotkiem, nożem, którym rozcięto wargi. Znaleźliście je?

Milward pokręciła przecząco głową, czego Simon się spodziewał. Zabójca zatrzymał je przy sobie, planując ponowne ich użycie. Zabójca, który wiedział, jak zainscenizować spektakl. Zabójca, który lubił melodramat, który kiedyś już zabił...

- Czy mówi ci coś nazwisko Martha Wyers? - spytał.

- Pisarka? - Milward ściągnęła brwi. - A co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

- Słyszałaś o niej?

- Pierwszy raz jakąś godzinę temu. Była z Seedem częścią jakiejś promocji „The Times” i „Vogue”...

- Wiem o tym - przerwał jej Simon. - Mary Trelease namalowała portret martwej Wyers, ze sznurem wokół szyi.

W oczach Milward błysnęła iskra niedowierzania. Po chwili powiedziała:

- Ty nie żartujesz?

- Nie. W tej samej promocji wystąpił też Kerry Gatti, komik. Najwyraźniej nie był zbyt śmieszny, bo porzucił karierę i został prywatnym detektywem. Śledził Ruth Bussey.

Milward zmrużyła powieki.

- Na czyje polecenie? - zapytała w końcu.

- Nie mam pojęcia. Powiedz Proustowi, żeby mnie odwiesił, to wrócę do pracy i się dowiem.

- Sami się dowiemy - powiedziała Milward przez zaciśnięte zęby.
- Muszę to przemyśleć: Mary Trelease namalowała portret Marthy Wyers? Skąd one...?

- Przesłuchaliście ją?

- Mary Trelease? Pracujemy nad tym. - Simon zrozumiał przez to, że Trelease nie ma w jej domu przy Megson Crescent 15.

Milward pochyliła się do przodu.

- Świadkowie, którzy widzieli cię przed domem Crowther, zeznali, że po tobie zjawiała się tam też starsza kobieta. Niestety byli za bardzo zajęci robieniem notatek o tobie, żeby zwrócić uwagę na nią, ale jedna rzecz, jakiej byli pewni, to...

- Zmarszczki i bruzdy na twarzy? - spytał szybko Simon. Milward przytaknęła.

- Rozmawialiśmy z wieloma sąsiadami Trelease z Megson Crescent. Wszyscy chcieli tylko mówić o tym, jak staro wygląda na swój wiek.

Czyli Trelease była w domu Gemmy Crowther w noc, kiedy ją zamordowano.

- Nie sądzę, by samobójstwo Marthy Wyers było samobójstwem - powiedział Simon.

Milward odrzuciła długopis na biurko.

- Nie wiem, czy kazać cię zlinczować, czy zaproponować pracę.

Żadna z tych opcji mu nie odpowiadała. Simon nie chciał pracować dla Coral Milward, ale dla tego pieprzonego zdrajcy Gilesa Prousta.

- Przywróć mnie na moje miejsce - powiedział. - Pozwól mi wam pomóc. Moi ludzie i twoi razem. Wiem, że beze mnie są znacznie mniej skuteczni, - Otwierając usta, nie zamierzał wcale grozić Milward, ale najwyraźniej w tym kierunku zmierzał. Czas postawić sprawę jasno.

- Twój wybór - powiedział. - Jeśli chcesz coś jeszcze ode mnie usłyszeć, to wiesz, co robić

Jan Garner nie uśmiechnęła się, gdy Charlie Zailer wchodziła do jej galerii.

- Lepiej mi było, zanim policja zaczęła mnie odwiedzać co pięć minut - powiedziała - Wy nigdy niczego nie kupujecie. - Stała przy oknie, układając sztuczne róże w zielonym, szklanych wazonie

- różowe, żółte i białe. Do płatków i listków przyklejone były malutkie, przezroczyste koraliki: sztuczne krople wody.

- Wszyscy inni funkcjonariusze, którzy panią odwiedzali, nie mieli ze mną nic wspólnego - odparła Charlie. - To policja londyńska.

- Może mi pani powiedzieć, co się dzieje?

- Ja prawdopodobnie wiem mniej od pani. - Charlie nie dała jej czasu na przyswojenie subtelnej nieuczciwości swojej odpowiedzi.

- Artysta, o którym mi pani opowiadała, ten utalentowany, który rzucił malarstwo po pierwszej wystawie... Czy nazywał się Aidan Seed?

Jan przytaknęła.

- To dlatego Mary Trelease wybrała właśnie pani galerię - wyjaśniła jej Charlie, zdając sobie sprawę, że nie musiała tego robić.

- Mary знаła Aidana? - Wstrząs Jan wydawał się szczery.

- Ona twierdzi, że nie. Czy kiedykolwiek Aidan mówił przy pani o Mary Trelease? Pamięta pani?

- Nie rozmawiałam z nim od ośmiu lat - powiedziała Jan. - Nie sądzę, raczej nie. Chociaż... to zabrzmiało głupio, ale gdy Mary przyszła do mnie w zeszłym roku i kazała mi oprawiać swoje obrazy, to jej nazwisko wydało mi się znajome. Wzięłam to wtedy za deja vu, ale może to Aidan o niej wspominał. Nie przypomnę sobie po tylu latach.

- A Martha Wyers? - spytała Charlie. - Mówił o niej?

Jan wyglądała na zaskoczoną.

- Tak się nazywała martwa pisarka, którą namalowała Mary. Wydobyła pani teraz to nazwisko z mojej pamięci. Nie sądzę, by Aidan o niej opowiadał, nie. Au! Kolec - wyjaśniła, ssąc palec. - Nieprawdziwy, ale ostry. Ludzie pogardzają jedwabnymi kwiatami, ale ja je uwielbiam. Wcale nie są nieprawdziwe, to wyobrażenia. Zawsze się dziwiłam, że ci sami ludzie, którzy kupują obrazy kwiatów i wieszają je na ścianach, nie są w stanie znaleźć w swoich domach miejsca na ręcznie wyrabiane róże, jak te. - Czy gadatliwość Jan skrywała jej zdenerwowanie, czy Charlie się to wydawało?

- Kilka miesięcy przed jego pierwszą wystawą o Aidanie napisali w „The Times” - powiedziała. - W artykule pod tytułem Przyszła Piątka Wspaniałych.

Jan potakiwała.

- To było świetna promocja dla wystawy.

- Nie pamięta pani nazwiska Martha Wyers z tego artykułu?

- Nie - odparła po krótkim wahaniu. - To znaczy, że... ?

- Martha była jedną z tych pięciu osób. Jan upuściła różę i uszczypnęła się w szyję.

- Jest pani pewna? - spytała. - Oczywiście, że tak. Głupie pytanie. Nie potrafiłabym wymienić żadnego z tych nazwisk, oprócz Aidana. Nie zachowałam sobie całego artykułu, tylko ten jeden fragment o nim i o mojej galerii. Zachowuję wszystkie wzmianki o naszych wystawach.

- Wczoraj mówiła pani o prywatnym pokazie - powiedziała Charlie. - To taka zamknięta impreza dla rodziny i znajomych artysty, tak?

- I znajomych galerii. Kolekcjonerów, krytyków, innych marszandów. Wszyscy lubimy robić wrażenie... Tak. - Jan zamilkła. - Ma pani rację.

Charlie miała wrażenie, że następne pytanie, które zamierzała zadać, okaże się zbędne.

- Kilka osób z tej piątki przyszło na prywatny pokaz. Pamiętam, że mi o tym mówił. Nie wiem, czy był zadowolony.

- Dlaczego?

- Była między nimi jakaś scysja, gdy spotkali się po raz drugi na sesję zdjęciową. Nie pamiętam szczegółów, lecz miało to związek z tym, że jedna z tych osób, bądź więcej, oskarżyła Aidana o bycie pretensjonalnym. A on naprawdę taki nie był - powiedziała Jan na jego obronę. - Bywał zbyt szczery i poważny, ale nie było w nim ani grama pretensjonalności.

- Czyli Martha Wyers mogła tam być, na tym prywatnym pokazie? Jan wzruszyła ramionami.

- A Mary Trelease?

- Nie wiem, być może tak. Cały ten wieczór był nieco chaotyczny, wszystkie prywatne pokazy takie są. Miałam mnóstwo zajęć, a galeria pękała w szwach. Nie pamiętam poszczególnych osób, jedynie duży tłum ludzi, niemal zbyt duży jak na ten lokal.

- Czy wydarzyło się tego wieczoru coś, co wydało się pani nietypowe? - spytała Charlie. - Przypomina sobie pani coś takiego?

- Nie sędzę. Dwoje klientów wdało się w dość przewidywalny spór o to, czy kupić jakiś obraz, czy nie. Matka i córka, jak mi się wydaje. Tak, tak. Pamiętam, że pomyślałam sobie, iż nie ośmieliłabym się mówić swojej matce - Panie, świeć nad jej duszą -

jak ma wydać własne pieniądze. To niesamowite, jak bardzo ludziom czasem brakuje taktu - kłócić się tak na oczach artysty. „To nie jest warte dwóch tysięcy funtów!”. „A ja uważam, że jest!”. Zazwyczaj trzymam się z dala od takich sporów, ale tym razem wtrąciłam się, mówiąc córce tej kobiety, że ma nierówno pod sufitem.

Charlie wcale się tak nie wydawało. Dwa tysiące funtów? Czy istniał jakikolwiek powód, dla którego dzieło sztuki powinno tyle kosztować?

- Nie przeszkadza mi, gdy kogoś naprawdę nie stać na obraz - powiedziała Jan. - Ale w tym wypadku nie chodziło o pieniądze. Córka twierdziła, że płótna Aidana są zimne i bezlitosne, że mają „zepsutą duszę”. Nigdy tego nie zapomniałam. Wygadywała bzdury i wyraźnie denerwowała matkę, więc powiedziałam jej, co o niej myślę. Na szczęście Aidan niczego nie słyszał.

- Czy Aidan mówił pani o swoim życiu osobistym? - spytała Charlie.

- Nie. Chyba że żartobliwie.

- Jak to?

- Kiedyś powiedział mi, że ma swoją własną szaloną fankę. Wieszaliśmy wtedy obrazy przed wystawą.

Charlie starała się opanować podniecenie.

- Nie przejmował się tym, rzecz jasna. Mówił tak, jakby mu to wręcz trochę schlebiało. Ale raczej nie na poważnie.

- Pamięta pani, co jeszcze o tym mówił? Twarz Jan przybrała skupiony wyraz.

- Coś o konieczności pójścia jej na ustępstwo, bo ponoć wcale nie przyjmowała odmowy. Oczywiście żartował sobie. Powiedziałam mu chyba: „Życie jest ciężkie, gdy się jest rozchwytywanym”, na co on się roześmiał. Mówił też o losie, o tym, że los wciąż ich do siebie zbliża. Coś w tym stylu.

Nie każdy widziałby w prześladowcy część większego, odgórnego planu, pomyślała Charlie. Dziwne.

- Pamięta pani jego dokładne słowa? - spytała.

Na twarzy Jan pojawiło się zniecierpliwienie, które szybko zmieniła w udawaną irytację.

- To było osiem lat temu. Oczywiście, że nie,

- I nie powiedział, jak się ta szalona fanka nazywa?

- Nie. Przykro mi.

- Nie ma pani żadnych zdjęć z prywatnego pokazu? Mówiła pani, że archiwizuje wszystkie wystawy.

- To dobry pomysł. Zawsze robię zdjęcia. Mam odkopać teczkę?

- Bardzo proszę.

Niewykluczone, że Mary Trelease albo Martha Wyers, albo obie będą przynajmniej na jednej fotografii. A jeśli tak? Kolejny dowód na powiązania między głównymi aktorami, ale wciąż brak jakichkolwiek tropów co do scenariusza lub poszczególnych ról. Czy Marthę i Mary łączyło coś więcej niż tylko fakt, że były rówieśniczkami w Villers? Przyjaźniły się?

Charlie przypomniała sobie wyraz twarzy Mary, gdy mówiła „Nie mnie”. Czy Aidan Seed zabił Marthę Wyers? Powiesił ją? Mordujesz jedną kobietę, a potem po latach udajesz, że udusiłeś jej przyjaciółkę. Nie, to zbyt dziwaczne. I po co kogoś wieszać? Umysł Charlie odruchowo podsunął odpowiedź: by upozorować samobójstwo.

- Czy Martha Wyers mogła być szaloną fanką Aidana? - spytała, nie spodziewając się, że Jan będzie znała odpowiedź.

- Nie mam pojęcia. Pewnie tak. Dlaczego? - Jan wyjęła z szuflady biurka teczkę z szarego papieru.

- Przed śmiercią wydała powieść pod tytułem Słońce skute lodem. To historia kobiety, która zakochuje się w mężczyźnie poznanym na rozmowie o pracę...

- O matko. - Jan otwiera szeroko usta. - Aidan powiedział mi, że poznał tę dziewczynę podczas rozmowy o pracę. Teraz mi to pani przypominała. Jestem pewna. Pamiętam, ponieważ spytałam go, czy nie uważa, że się na niego uwzięła, bo dostał pracę, o którą się ubiegała.

Charlie ostrzegła się w duchu, by nie robić sobie zbyt dużych nadziei. Kolejne powiązanie, kolejne pytania bez odpowiedzi.

- W powieści Marthy mężczyzna, w którym kocha się główna bohaterka, nazywa się Adam Sands. Te same inicjały, co Aidan Seed.

Jan przeglądała teczkę.

- Nic tu nie ma, niestety. Proszę spojrzeć. - Podała Charlie kilka fotografii.

Widok Aidana w tym kontekście był niemal wstrząsający, choć Charlie nie wiedziała do końca, dlaczego. Na zdjęciach miał na sobie garnitur i był szczuplejszy, niż gdy go widziała ostatnio. Aidan

uśmiechał się do obiektywu, ale bez swobody, jakby nie był pewien, czy udźwignie dłużej ciężar tego uśmiechu.

- Sądzi pani, że był szczęśliwym człowiekiem?

- Trudno powiedzieć - odparła Jan. - Czasami był radosny i rozmowny, dusza towarzystwa, ale bywał też wycofany, wręcz posępny. Często miałam wrażenie, że życie było dla niego walką.

- Skąd to odczucie?

- Bałam się, że mnie pani o to zapyta. - Jan uśmiechnęła się z żalem. - Nie wiem. Muszę się zastanowić. - Milczała tak długo, że Charlie zaczęła podejrzewać, że chyba czeka na pozwolenie z jej strony, by móc myśleć. - Było coś w jego sposobie mówienia - odezwała się w końcu. - Wyrażał swoje opinie i dążył do celów tak... stanowczo. Jakby sądził, że tylko wtedy zostanie wysłuchany. Czasami zastanawiałam się nad tym, jaką miał rodzinę. Wiem, że jego brat i siostra są od niego znacznie starsi. Żadne z nich nie przyszło na prywatny pokaz, co mnie mocno zdziwiło. Przez cały miesiąc, kiedy pokazywaliśmy jego obrazy, nie pojawił się w galerii ani jeden z jego krewnych. To prawie niespotykane.

Nie było nic nadzwyczajnego w zdjęciach z wystawy. Jego obrazy, z tego, co Charlie mogła dostrzec, przedstawiały głównie wnętrza, zazwyczaj z kilkorgiem ludzi. Jej uwagę przykuł obraz schodów i kobiety, która zatrzymawszy się w połowie drogi na górę, odwróciła się, by spojrzeć w dół na młodszego mężczyznę, prawie chłopca. Ten uciekał od niej wzrokiem.

- Widzi pani, jak potrafił użyć niemal obezwładniająco tradycyjnych technik malarskich, by stworzyć sceny, które były agresywnie współczesne? - powiedziała Jan.

Obraz był niezwykle realistyczny; mógł niemal ujść za fotografię. Wywarł na Charlie silne wrażenie, ale nie chciałyby powiesić go w swoim domu. Czułaby się przy nim nieswojo. Przedstawiona na nim para - o ile była to para - ewidentnie się kłóciła. Nie było w tej scenie spokoju.

- Jaki tytuł ma ta praca? - spytała, zastanawiając się, czy w nazwie znajdzie jakiś klucz. Gdyby to ona go namalowała, nazwałaby go Ci ludzie są na siebie wkurzeni, bo... - po czym zostałby podany powód. Jaki był sens w malowaniu obrazu pokazującego jakąś scenę, jeśli nikt nie rozumiał, o co w tej scenie chodzi?

Jan wyjęła z teczki lśniąca książeczkę.

- Tutaj ma pani katalog - podała go Charlie.

Na zdjęciu z wystawy obraz ze schodami miał numer 12. Przy tym numerze w katalogu widniał tytuł Podaż i popyt. Nie bardzo jej to pomogło. W katalogu była reprodukcja tej pracy, a także innych płócien, w tym jednego przedstawiającego grubego mężczyznę w wannie, z torsem niczym góra.

- Wszystkie jego tytuły są... - Reszta tego zdania uschła w ustach Charlie, która gapiła się w katalog. Jej ręce się zatrzęsły. Chciała powiedzieć, że tytuły obrazów Aidana są enigmatyczne, że nie tłumaczą treści.

Z wyjątkiem jednego.

Obraz numer 18 miał tytuł Morderstwo Mary Trelease.

Rozdział 17

Środa, 5 marca 2008

- Zakochałaś się w Aidanie, jak tylko go zobaczyłaś? - pyta mnie nagle Mary. - Tak.

- Tak samo jak Martha. Zabawne, że ludzie mierzą w ten sposób siłę swoich uczuć, nie uważasz? Im bardziej są bezpodstawne, im większa pustka u ich źródła, tym większe robią na nich wrażenie. „Zakochałam się od pierwszego wejrzenia”. Wszyscy chcemy móc to powiedzieć, by udowodnić sobie, jak wielką przeżywamy namiętność. A Martha była najgorszym rodzajem głupca - inteligentnym. Świetnie sobie radziła ze słowami i pojęciami, potrafiła zaprząć je do własnych celów, jakiegokolwiek były. W mgnieniu oka przekuła swoją pierwszą reakcję na Aidana, która była pewnie czysto seksualna, na nieodpartą narrację miłości i narzuconego rozdzielenia: okoliczności sytuacji wymusiły, by weszła na rozmowę o pracę w chwili, gdy on z tej rozmowy wychodził, podczas gdy przewodniczący komisji rekrutacyjnej trzymał jej drzwi dostatecznie długo, by ich oczy mogły się spotkać. Oczy i dusze, według Marthy. Była idiotką - dodaje stanowczo, jakby bała się, że umknie mi sedno jej wyводу.

Mary mówi jak nikt inny. Chcę zapytać o osiemnaście pustych ram, ale wcześniej już trzykrotnie zignorowała to pytanie. Wiem, że będzie to robić tak długo, aż będzie gotowa odpowiedzieć, więc pozwałam jej ciągnąć.

- Ta głupia krowa uczyniła to cnotą. Wszystkim naokoło rozpowiadała, że gdyby wymienili z Aidanem choć jedno słowo, magia ich pierwszego spotkania by wyparowała. Z kimś takim nie sposób dyskutować. Gdy zadzwonili do niej z college'u, by powiedzieć, że nie dostała tej pracy, twierdziła, że znała werdykt jeszcze przed ich telefonem. Cieszyła się jego sukcesem, zamiast martwić swoją porażką. No i od tej pory wiedziała, gdzie go znaleźć: Trinity College w Cambridge. I nie traciła czasu na subtelne podejście - napisała do niego, mówiąc, że się w nim kocha. Każdy przynajmniej elementarnie przyzwoity mężczyzna wiedziałby od razu, z jak kruchą osobą ma do czynienia, ale Aidana to nie obchodziło. Odpisał jej, że też ją zauważył. Zauważył! Ona oferuje mu bezwarunkową miłość, a w zamian za to dowiaduje się, że on zarejestrował jej istnienie! Wtedy pojęłam, jak bardzo jest niebezpieczny dla kogoś takiego jak Martha.

- Niebezpieczny?

- Nie powiedział „Ja czuję tak samo” ani „Wybacz, ale nie jestem zainteresowany”. Z jego listu wynikało jasno, że należy do tych mężczyzn, którzy lubią przyciągać kobiety do siebie, składając niepodpartą niczym obietnicę bliskości. - Mary nabiera impetu, ledwie świadoma mojej obecności. - Zaprosił Marthę do Trinity. Tak bardzo nie chciała się spóźnić, że pojechała wcześniejszym pociągiem i była w Cambridge godzinę przed czasem. Miała od niego instrukcję, gdzie znaleźć jego pracownię. Gdy otworzył drzwi i ją w nich zobaczył, powiedział: „Jesteś wcześnie”, i podał jej rękę. Nawet nie pocałował jej w policzek. Przeprosiła go i spytała, czy jest zajęty. On odparł: „Maluję”. I wiesz, co zrobił? Usiadł przy sztaludze i wrócił do pracy. „Możemy rozmawiać”, powiedział, nie odrywając wzroku od płótna. Martha przyjechała do niego aż do Cambridge, a on kazał jej czekać, aż skończy wypełniać czerwone tło obrazu małym pędzelkiem. Powiedziała mi potem, że to była dla niej tortura.

Mary chwyta kosmyk włosów i wkłada go do ust, żując, jakby to były jakieś słodycze.

- Jak skończył malować, zabrał ją na lunch. Na terenie kampusu, wśród tłumu studentów. Powiedział, że jej uwaga mu schlebia, dał jej do zrozumienia, że bardzo mu się podoba, ale stwierdził, że nie chce się z nikim wiązać, bo byłby to dla niego zbyt duży stres. Mógł napisać list i oszczędzić jej podróży, a tak zaczęła się zastanawiać, co mu się nie spodobało w jej wyglądzie. Po lunchu ją odesłał. Bardzo długo codziennie do niego pisała - jej uczucie nie uległo zmianie - ale on prawie nigdy nie odpisywał. Jego rzadkie listy były gawędziarskie, płytkie i krótkie. Ja też napisałam do mego raz czy dwa razy: za każdym razem wylewając na niego kubek pogardy. Mary próbuje się uśmiechnąć.

- Wiesz, jaka jestem, gdy się rozgniewam, Nie mogłam znieść tego, co jej robił, W końcu przestała do niego pisać listy i zabrała się do powieści. Oczywiście powieści o nim i swojej obsesji na jego punkcie. Była to nie tyle książka, ile ćwiczenie z użalania się nad sobą, ale jak się okazało, tylko ja to tak postrzegałam. Powieść została wydana. Gdy pojawił się pierwszy nakład, Martha wysłała Aidanowi egzemplarz. Dwa dni później dostała odpowiedź w formie kartki z podziękowaniami i cytatem z Gore'a Vidala. Znasz to jego słynne zdanie?

Dopiero po kilku sekundach zdaję sobie sprawę, że Mary oczekuje ode mnie reakcji. Nie przychodzi mi nawet do głowy niespełnienie jej życzenia.

- Nie - mówię.

- „Ilekoć moi znajomi osiągają sukces, coś we mnie umiera”.

- To okropne.

- Wiele rzeczy, które ludzie mówią, jest okropnych - mówi zniecierpliwionym głosem. - Jeśli są prawdziwe, to pal je lichu. Ale to jest bzdura, przynajmniej ja tak uważam. Porażki życzę tylko tym, których nie lubię. Ty tak nie masz? - Tym razem nie czeka na odpowiedź. - Każdy normalny człowiek podarłby tę jego kartkę i pojął, co z niego za dupek, ale nie Martha. Wiesz, jak ona do tego podeszła? - Gdy Mary się śmieje, brzmi to tak, jakby się dusiła, walcząc o powietrze. Wygląda na bezwładną, jak włóczkowa lalka, z której wygrzebano wypełnienie. - Przynajmniej uważał ją za znajomą.

- Jak to?

- „Ilekoć znajomi osiągają sukces, coś we mnie umiera”. Martha postanowiła umniejszyć własną krzywdę, interpretując to zdanie jako deklarację przyjaźni, jakiej wcześniej jej nie złożył.

Wzdrygam się. To zbyt osobisty szczegół. Czuję się, jakbym wchodziła z butami w życie prywatne Marthy Wyers, przetrząsając umysł i serce nieszczęśliwej, martwej kobiety. Powinnam kazać Mary przestać. Nie robię tego.

- Napisała mu jeszcze kilka listów, na które nie odpowiedział. - Mary podejmuje znów swoje beznamiętne katalogowanie faktów. Widzianych jej oczami. Ciekawe, co by powiedział Aidan, słysząc jej opowieść. Czy miałby inną wersję? - Wszyscy mówili jej, by o nim zapomniała, co miało katastrofalne skutki dla kogoś takiego jak Martha. Była to najgorsza z możliwych rad.

- Potwierdzała tylko jej przekonanie, że są parą kochanków skazanych na klęskę, walczących z całym światem - mówię. Gdy Mary się do mnie uśmiecha, odczuwam coś, co trudno odróżnić od dumy. Przeraza mnie to. Moja chęć zadowalania innych nie jest bezpieczna. Tak bardzo pragnęłam sprawić przyjemność Aidanowi. I Stephenowi Eltonowi. W obydwu wypadkach przez chwilę sądziłam, że mi się to udaje.

- O co chodzi? - pyta Mary.

Nie chcę mówić jej, co myślę. Już i tak za bardzo się przed nią odśloniłam.

- Nie wierzysz mi? Przytakuję.

- Nie wierzysz. W każdym razie nie do końca. Nie jesteś pewna. To wszystko nie pasuje do tego Aidana, którego znasz. Ten Aidan jest ciepły i kochający. Ale z drugiej strony nie potrafisz wytłumaczyć sobie jego ostatnich zachowań i masz nadzieję, że ja ci je wyjaśnię. Potrzebujesz tej nadziei, więc część ciebie chce, by moje słowa były prawdziwe. Ta część mi wierzy.

Mary ma rację.

- Mówisz tak, jakbym była schizofreniczką - mówię, by ukryć swój dyskomfort.

- Każdy człowiek jest wewnętrznie podzielony. Zwłaszcza jeśli jest zmuszony żyć w nieznośnym bólu. Taki jest skutek traumy: dzieli człowieka na jego zgubę. Potrzeba przeżycia przeciwko pragnieniu samounicestwienia.

Jedna połowa umiera. Druga połowa żyje dalej. Chyba zaczynam rozumieć.

- Czy Martha powiesiła się przez Aidana? - pytam. - Bo ją odrzucił?

- Tak. Ale to było znacznie później. Już po tym, jak poszła z nim do łóżka - mówi Mary. Najwyraźniej nie przychodzi jej do głowy, że może być mi ciężko przyjąć taką informację. - Spotkali się znowu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym. Ktoś postanowił zebrać młodych, obiecujących artystów i pokazać ich w gazecie, jak zwierzęta w cyrku. Wśród nich byli Aidan i Martha. Możesz sobie wyobrazić, jak ona to zinterpretowała.

- Los znowu ich do siebie zbliżył.

- Miała rację. Martha była fatum Aidana, a on jej. Dlaczego ludzie przyjmują, że los ma na sercu ich dobro?

- Ja tak nie uważam.

- Widać jesteś mądrzejsza od Marthy. Ona zaczęła zamieniać się w osobę, która według niej przypadłaby Aidanowi do gustu. Odchudzała się, zmieniła sposób ubierania...

- Powiedział jej, że nie podoba mu się jej wygląd?

- On niczego jej nie mówił! Wszystko sobie ubzdurała. Przez wszystkie lata nie miała dostępu do prawdziwego Aidana, więc wyhodowała sobie w głowie jego alternatywną wersję wraz z

upodobaniami i poglądami, które według niej powinien był mieć. I właśnie tego mężczyznę starała się zadowolić. Ilekroć mówił coś, co nie pasowało do jej wyobrażeń na jego temat, to zamiast pozwolić tej fantazji umrzeć, wypierała swoje prawdziwe uczucia, naginając je do niego. Tak było, gdy dziennikarka „The Times” przeprowadzała z nimi wywiad i zapytała, co wolą: osobiste szczęście czy sukces zawodowy. Aidan powiedział - przy Martcie, wiedząc, co do niego czuje - że nic nigdy nie będzie dla niego ważniejsze od pracy. Ona powtórzyła to samo, by zdobyć jego uznanie, choć w rzeczywistości chętnie by poświęciła nie tylko swoją pracę, ale też rodzinę, przyjaciół, wszystko, żeby tylko być z Aidanem.

Ja też wyrzekłabym się tych rzeczy, gdybym w zamian miała jego takim, jaki był. Przed Londynem. Próbuję zachować neutralny wyraz twarzy, by nie dać po sobie poznać, co myślę, ale Mary jest pochłonięta wspomnieniami i nawet na mnie nie patrzy.

- To był jej śmiertelny błąd - mówi. - Gdyby nie powiedziała tego jednego, drobnego kłamstwa, dzisiaj by żyła.

Rozdział 18

5/3/08

Charlie wycofała się nieco, nie chcąc pokazywać Jan Garner, co przed chwilą przeczytała. Nic dziwnego, że nazwisko Mary Trelease brzmiało znajomo byłej agentce Aidana.

- Muszę wziąć ten katalog - powiedziała Charlie. Jan zmarszczyła brwi.

- Nie mam zapasowego egzemplarza. Mogę zrobić odbitkę i dać pani kopię.

- Będę go strzegła jak oka w głowie i oddam przy najbliższej okazji. - Charlie nie umiała wyjaśnić, czemu kopia by jej nie wystarczyła. Nie byłaby tym samym, co oryginalny katalog ze sztywnego, lśniącego papieru. Musiała pokazać to Simonowi, Dunningowi i Milward.

Świadoma, że Jan jeszcze nie wyraziła zgody, i widząc opór w jej oczach, Charlie podniosła lewą rękę.

- Dam pani w zastaw swój pierścionek zaręczynowy - powiedziała. - Może go pani trzymać, dopóki nie oddam katalogu.

- Nie powinna pani tego robić, to przynosi pecha. Pierścionek zaręczynowy można zdjąć tylko raz: by na jego miejsce włożyć obrączkę.

- Zdejmuję go co wieczór, idąc spać - odparła Charlie. - Nie lubię nosić biżuterii w łóżku.

- To straszne! - jęknęła Jan. Ona też miała pierścionek na palcu serdecznym lewej dłoni: gruby, srebrny z mlecznobiałym kamieniem.

- Rano zawsze wkładam go z powrotem. Nie wierzę w zły los. - Charlie czuła, że tężeje. - Wyjście za męża za faceta, który odmawia seksu i który nigdy nie powiedział „kocham cię” - to uznałabym za pech.

Jan była zbita z tropu.

- Nikt by czegoś takiego nie zrobił - powiedziała.

- Jak dobrze pamięta pani obrazy Aidana z tamtej wystawy?

- Lepiej niż większość moich wystaw. A co?

- Czy któryś z nich był brutalny? Pamięta pani jakieś zamordowane kobiety, coś takiego?

Jan cofnęła się z przerażeniem.

- Nie. Nic w tym stylu.

- Jest pani pewna?

- Całkowicie. W pracach Aidana nie było przemocy, jedynie napięte sytuacje między ludźmi, ułomna komunikacja.

- Pewnie nie pamięta pani, kto kupił który obraz? - Charlie musiała zobaczyć to płótno I to szybko. Miała nadzieję, że nie wylądował w Auckland albo na Sri Lance jako część zbiorów zagranicznego kolekcjonera, który był akurat w Londynie podczas wystawy Aidana.

- Nie pamiętam - odparła Jan. - Ale nie muszę. Lista kupców na pewno jest w teczce. Nie byli to moi zwyczajowi klienci. Na prywatnym pokazie sprzedały się tylko trzy obrazy, ale już następnego dnia kolekcjonerzy przychodzili do mnie i dzwonili, zamawiając prace Aidana na ślepo. Wcześniej nie wierzyłam za bardzo w potęgę ustnej promocji. Całą kolekcję sprzedałam w ciągu trzech dni i wielu z kupujących domagało się więcej prac - chcieli wiedzieć, jak szybko się pojawiają, i rezerwowali sobie prawo pierwokupu. To było coś absolutnie niespotykanego. - Oczy Jan błyszczały Charlie podejrzewała, że wystawa Aidana była momentem szczytowym jej kariery Jej i Seeda. Czowała bicie serca w gardle. Informacja, która ją interesowała, była na wyciągnięcie ręki - w szarym folderze. Za chwilę miała ją zdobyć.

Jan wyjęła z teczki dwie zszyte ze sobą kartki A4. Charlie czekała, aż kobieta odnajdzie na liście tytuł obrazu numer 18, ale tak się nie stało. Jan podała listę Charlie, by sama ją przejrzała.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się jej w oczy, było nazwisko Wyers. Niejaka Cecily Wyers kupiła obraz numer 4, zatytułowany Routine Bites Hard. Coś kliknęło w jej mózgu. Czy gdzieś już słyszała to zdanie. Kombinacja tych trzech słów, właśnie w tej kolejności, wydawała się jej znajoma, ale Charlie nie mogła sobie przypomnieć. Wyraźnie widziała teraz przed oczami twarz Ruth Bussey. Czy to miało coś wspólnego z nią?

Od tego pytania bez odpowiedzi przeszła do następnego: czy Cecily Wyers była krewną Marthy? Czy to możliwe, że dwiema kobietami kłócącymi się o kupno obrazu Aidana były Martha i jej matka? Czy Martha powiedziała przy Jan Garner, że obrazy Aidana mają zepsutą duszę, i została za to skarcona?

Pod nazwiskiem Cecily widniał jej adres: Wynyates, Barnwell St Stephen, Hampshire. Bez numeru telefonu.

- To też będę musiała wziąć - powiedziała Charlie, przewracając kartkę.

Saul Hansard, były szef Ruth Bussey, był wymieniony jako kupiec obrazu numer 10: Sześć zielonych butelek. Numer 18 był ostatni na liście, na dole drugiej strony. Charlie wcale by się nie zdziwiła, gdyby kupcem okazał się Stephen Elton albo Gemma Crowther. Nieprawdopodobieństwo stało się tak zwyczajne, że przestało ją dziwić. Tak przynajmniej sądziła do chwili, gdy zobaczyła, kto kupił Morderstwo Mary Trelease. Nazwisko wywołało w jej mózgu serię mocnych wstrząsów, powodując ślepy chaos zderzających się ze sobą myśli.

Obraz kupił niejaki J.E.J. Abberton.

Rozdział 19

Środa, 5 marca 2008

- Okłamywałaś czasem Aidana, by go zadowolić? - pyta mnie Mary.

- Nie. Nie sędzę. - Kłamałam tylko wtedy, gdy chroniałam siebie. I Aidana.

- Martha owszem. Gdyby pozostała wierna sobie, gdyby powiedziała prawdę, nie zawiązałyby z Aidanem sojuszu przeciwko reszcie i nie poszłyby we dwoje swoją drogą. Nie wylądowałyby razem w łóżku i może Martha cofnęłaby się jeszcze ze skraju przepaści. To spędzona wspólnie noc przeniosła jej miłość do Aidana i związaną z nią rozpacz na głębszy poziom.

- Co się stało? - pytam.

- Piątka Przyszłych Nieudaczników poszła razem na drinka po wywiadzie dla „Timesa”. Znow zaczęli o tym rozmawiać: życie kontra kariera. Skończyło się gorącą kłótnią. Wszyscy za dużo wypili i przyjazna gadka przybrała paskudny obrót. Wszyscy żartowali sobie z Aidana. To, co powiedział dziennikarce o życiu wyłącznie dla pracy, brzmiało pretensjonalnie nawet w uszach Marthy, A ze wszystkiego na świecie Aidan najgorzej znosi, gdy ktoś się z niego śmieje. Słyszałaś o Doohanie Championie?

- Znam to nazwisko. To jakiś sławny człowiek, prawda?

- Bardzo.

- Powiedziałaś „Piątka Przyszłych Nieudaczników”.

- Każdy w końcu ponosi klęskę - mówi z werwą Mary. - Jednym zajmuje to więcej czasu niż innym, to wszystko. Doohan nazwał Aidana zarozumiałym palantem. Martha stanęła w jego obronie. Powiedziała reszcie, że są płytkimi debilami i że jeśli Aidan jest pretensjonalny, to ona też. W końcu na pytanie dziennikarki udzieliła takiej samej odpowiedzi. Atakując krytyków Aidana, spełniła wreszcie swój jedyny cel: zaimponować mu. Odłączyli się od tamtej trójki i, jedząc kolację w Soho, zajęli się rozszarpywaniem na strzępy ich osobowości i twórczych osiągnięć. Na koniec trafili do hotelu wynajętego dla nich przez „Timesa”, a konkretnie do pokoju Aidana.

- Czy wiesz, jak się nazywał ten hotel?

- The Conrad. - Mary rzuca mi dziwne spojrzenie. - W Chelsea Harbour.

Czyli nie Drummond.

- Uprawiali seks, przynajmniej według technicznej definicji tego słowa.

- Co masz na myśli?

- Doszło do penetracji, ale na tym koniec. Aidan nie dał sobie rady.

- Wiesz to od Marthy?

- Później, gdy ją rzucił, Martha wszystkim o tym mówiła, bo nie potrafiła zrozumieć. A ona musiała rozumieć wszystko. Świat musiał mieć sens, bo inaczej sobie z nim nie radziła. Nieudany seks w Londynie nie miał dla niej takiego znaczenia jak to, co się z nim wiązało. Aidan powiedział, że ją kocha, że zakochał się pierwszego dnia w Trinity College.

Mary zeskakuje z parapetu, na którym siedziała, i zaczyna przechadzać się nerwowo po pokoju. W jej głosie słychać ekscytację, jakby na ten moment długo czekała.

- Powiedział jej dokładnie to, co chciała usłyszeć: wiedział, że jest wyjątkowa, i odrzucał jej zaloty tylko dlatego, że bał się siły swoich uczuć. Opowiadał o przyszłości, mówił, że już nigdy nie chce się z nią rozstawać. Z hotelu musiał wyjść wcześniej rano, bo szedł do National Portrait Gallery, w której rezydował. Całując ją na do widzenia, powiedział: „Odezwę się. Niedługo”. - Mary się śmieje. - Martha była pisarką i słowa miały dla niej kolosalne znaczenie. Jeśli twierdzi, że to właśnie powiedział, to znaczy, że to powiedział.

- Nie odezwał się. - Pytanie wychodzi z moich ust w formie zdania orzekającego. Historia, choć nowa, ma dziwnie znajome brzmienie. Aidan zrobił to samo mnie: powiedział, że mnie kocha, poprosił o rękę, całą noc trzymał mnie w ramionach w pokoju hotelowym, a potem, niemal od razu, oddalił się ode mnie, wycofując się coraz bardziej z każdym dniem. Nawet wprowadziwszy się ze swoimi rzeczami do mojego domu, nie przestawał się ode mnie odsuwać.

- Nie odezwał się niedługo - mówi Mary. - Martha do niego pisała i dzwoniła, bez skutku. Nie było żadnej reakcji. W końcu, gdy nic innego nie przychodziło jej do głowy, zaczęła wyczekiwać go przed National Portrait Gallery. Pojawiała się tam codziennie przez tydzień, ale jego nie było. Wreszcie weszła do środka, by o niego zapytać, i dowiedziała się, że jego angaż dobiegł końca w minionym tygodniu. Aidan się przeprowadził i nie podał jej nowego adresu. Właśnie wtedy

zaczęła opowiadać o tym każdemu napotkanemu człowiekowi - kelnerom, barmanom, taksówkarzom. Była żalosna, ale nie dbała o to. Chciała wiedzieć, jak to jest możliwe: jak można w jednej chwili powiedzieć komuś, że się go kocha, a w następnej zniknąć bez słowa?

Dym papierosowy zaczyna mi dokuczać, choć okno jest otwarte, a Mary już jakiś czas temu wypaliła ostatniego. Przychodzi mi do głowy odpowiedź, która wydaje mi się oczywista:

- Mężczyźni mówią różne rzeczy, by zaciągnąć kobietę do łóżka.

- Nie! - ucina Mary. - Martha leżała już w jego łóżku, gdy jej to wszystko powiedział. Była gotowa zrobić dla niego wszystko, bez względu na to, czy mamiłby ją tymi romantycznymi bredniami, czy nie. I dobrze o tym wiedział. Udawał, że się w niej kocha ze względu na własne poczucie dumy. Aidan jest perfekcjonistą i we wszystkim, co robi, musi być najlepszy. Gdy nawalił w łóżku i zrozumiał, że nie uratuje sytuacji fizycznie, zdał sobie sprawę, że powinien jak najszybciej zacząć coś mówić, by zostawić po sobie dobre wrażenie. - Oczy Mary są harde. Dwa szare kamienie. Każde jej słowo ocieka zgorzknieniem. - Cała ta jego gadanina o niegasnącej miłości była jedynie zasłoną dymną. Ani jednego słowa nie mówił szczerze. Zależało mu wyłącznie na tym, by Martha chciała być z nim bardziej niż z kimkolwiek innym. I tak było. Mówiłam: Martha była człowiekiem słów. Nie obchodziło jej to, że seks się nie udał. Aidan spełnił jej marzenia tym, co powiedział. To była najlepsza noc w jej życiu, noc spędzona u boku zakłamanego impotentą, który...

- Dosyć! - Nie mogę tego dłużej znieść. - Gdzie to się stało? Gdzie się powiesiła? Tutaj? - Staram się nie myśleć o tym, jaka byłam spokojna, przekraczając po raz pierwszy próg Garstead Cottage. Jakbym wchodziła do miejsca, które od zawsze było celem mojej wędrówki.

- Na dole - mówi Mary. - Pokażę ci. Chodź.

- Nie! Dlatego mnie tutaj przywiozłaś? Nie chcę!

- Myślisz, że trzymam tam zwłoki Marthy? Nic z tych rzeczy. Tam jest tylko wystawa. Przecież lubisz sztukę. - Nie dając mi czasu na odpowiedź, dodaje śpiewnym tonem, od którego przeszywa mnie dreszcz. - Aidan też miał wystawę. Wysłał Marcie zaproszenie.

- Jak to? Zanim spędzili razem noc? - Jeśli tylko zmuszę ją do mówienia, nie będę musiała oglądać tego, co chce mi pokazać.

- Już po. Kilka tygodni później, gdy Martha wciąż próbowała pogodzić się z faktem, że wbrew obietnicy nie odezwał się do niej. Była prawie gotowa postawić na nim krzyżyk, aż tu nagle zaproszenie na prywatny pokaz wysłane przez jego agentkę. Bez listu, nic osobistego - tylko kartka wydrukowana przez galerię. Głupia krowa znowu zaczęła sobie robić nadzieję. Miała tak dosyć rozpaczania, że chwyciłaby się wszystkiego.

- Poszła na ten pokaz?

- A jak myślisz? Pojechała z nią jej matka, za oficjalny powód podając wsparcie moralne, ale prawdziwy plan był taki, żeby wesprzeć Aidana fortuną Wyersów i nakłonić, by zrobił, co należy - według niej - czyli uszczęśliwił jej córkę.

- Chciała go przekupić?

- Do tego się to sprowadzało. Tylko forma miała być subtelna.

- Widząc mój szok, Mary uśmiecha się znacząco. - Rodziny z Villers robią to nałogowo: skrzynka szampana dla dyrektorki, by patrzyła przychylnie na córeczkę, i tym podobne chwytły. Martha doskonale wiedziała, co knuje jej matka, ale była tak zdesperowana, by odzyskać Aidana, że przymknęła oko na jej zamiary. Podczas pokazu ledwie na nią spojrział. Gdy go w końcu przycisnęła do ściany i spytała, po co ją zapraszał, odparł: „Przecież interesujesz się moimi obrazami. Nie? Tak mi się zdawało. Myślałem, że będziesz chciała przyjść”.

Odzyskuję głos i mówię:

- Nie wierzę, że był taki zimny. - Nikt nie byłby do tego zdolny.

- Owszem, wierzysz - mówi Mary. - Wierzysz, bo to prawda. Gdy Martha się zdenerwowała, wydrwił ją, nazywając pozerką, ale miał nadzieję, że kupi jakiś jego obraz, mimo iż osobiście się między nimi nie ułożyło. Tak powiedział: „nie ułożyło”. Jakby starał się ze wszystkich sił, by było inaczej. Wtedy Martha straciła nad sobą panowanie. Powiedziała, że kłamała: praca wcale nie jest dla niej ważniejsza od życia osobistego. Tamci troje mieli rację - krzyczała - nazywając go zarozumiałym palantem. Trochę to było niezręczne, biorąc pod uwagę, że niektórzy z tej trójki też byli na pokazie. Jeszcze bardziej niezręczne ze względu na Cecily.

Mary kręci z niesmakiem głową.

- Martha w końcu pojęła, że to koniec. Tego wieczoru jej wieloletnia fantazja umarła. Zaprosił ją, wiedząc, co do niego czuje, i

zdając sobie sprawę, że jej uczuć nie odwzajemnia, ale miał nadzieję, że mimo wszystko kupi jeden z jego ponurych obrazów. Po tym nie mogła już dłużej udawać. Ale jej matka nie wiedziała, że gra się skończyła, więc rozpoczęła swoją kampanię: oczarowała Aidana swoim urokiem osobistym, powiedziała, że jest matką Marthy, zrobiła aluzję do wielkości rodzinnej fortuny, wahała się, który obraz kupić, a w końcu ogłosiła, że jest tak niezdecydowana, iż będzie musiała kupić kilka. Martha zabrała ją na stronę i błagała, by niczego nie kupowała, ale Cecily nie chciała słuchać. Jedynym jej ustępstwem było kupienie jednego obrazu zamiast dwóch, ale nie brała słów Marthy na poważnie, gdy ta mówiła, że chce, by pokaz Aidana skończył się porażką. Martha często mówiła pod wpływem emocji rzeczy, których potem żałowała, i Cecily nieraz widziała, jak jej córka zalewa się łzami i wszystko cofa. Nie rozumiała, że tym razem było inaczej. - Mary milknie i zatapia się w myślach.

- Inaczej, bo Martha w końcu straciła nadzieję? - pytam niepewnie, wiedząc, że ja nigdy nie stracę wiary w Aidana, nawet jeśli on już dawno temu stracił wiarę we mnie. Kocham go bez względu na to, co zrobił.

- Inaczej, bo go znienawidziła - mówi Mary z irytacją w głosie, jakby miała mi za złe, że za nią nie nadażam. - Postanowiła zniszczyć siebie i jego jednym gestem: odbierając sobie życie. Martha była miłośniczką wielkich gestów. Zaprosiła Aidana tutaj pod pretekstem zamówienia obrazu. Najpierw odmówił, mówiąc, że maluje z natchnienia, nigdy na zamówienie - znów sprzedał jej tę pretensjonalną, łatwą do przewidzenia gadkę. Zamknęła mu usta, obiecując pięćdziesiąt tysięcy funtów. Okazało się, że wielki artysta dopuszcza możliwość wzięcia łapówki, byle była dostatecznie wysoka. Następnego dnia Martha wysłała mu czek na pięćdziesiąt tysięcy wraz ze wskazówkami, jak dojechać na miejsce, do jej pisarskiej kryjówki.

Nie udaje mi się ukryć szoku.

- Pięćdziesiąt tysięcy? Miała dostęp do takich pieniędzy?

- Nic nie rozumiesz. Dla ludzi takich, jak ja i Martha, dla przeciętnej dziewczyny z Villers, pięćdziesiąt tysięcy to nie są „takie pieniądze”, ale mniej więcej tyle, ile dla ciebie nie wiem... pięćset funtów. - Mary unosi brwi. - Przepraszam. Nie chciałam, by zabrzmiało to aż tak protekcjonalnie.

- Mogę się domyślić reszty - mówię, nie chcąc już dłużej słuchać jej opowieści. - Aidan przyjechał tutaj, a ona powiesiła się na jego oczach.

- Wszystko sobie przygotowała. Stała na stole. Zostawiła otwarte drzwi do chaty, włączyła muzykę...

- Survivor - mówię szeptem.

- Zgadza się. Tak, żeby wiedział, że Martha jest w środku, żeby wszedł do domu i zaczął jej szukać. Znalazł ją w jadalni, stojącą na stole z pętlą na szyi i sznurem przywiązanym do mocowania od lampy. Widząc ją, nie odezwał się ani słowem, a ona powiedziała tylko: „Możesz sobie zatrzymać te pięćdziesiąt tysięcy. Mnie się nie przydadzą”. I skoczyła. - Obydwie nagle prostujemy plecy, gdy Mary wypowiada ostatnie słowo, świadome tego, jak by to było skoczyć ze stołu i zatrzymać się pod wpływem ostrego szarpnięcia, które łamie kark.

- Co ty tam robiłaś? - pytam, próbując odepchnąć od siebie odrażające uczucie pustki, które zostawiła we mnie opowieść Mary.

- Martha i ja byłyśmy nierozłączne - odpowiada głosem pozbawionym barwy.

- Dopóki nie poznała Aidana?

- I potem też.

- Czyli... - Coś nie daje mi spokoju, ale nie potrafię tego uchwycić. Czy Mary była w jadalni, gdy Martha nakładała sobie pętlę na szyję? Czy ją do tego namawiała? Czy stała z boku, przyglądając się wszystkiemu bez słowa? Aidan i Mary, dwie najbliższe osoby w życiu Marthy, oboje artyści. - Czy Aidan wiedział, że ty też jesteś malarką?

- Wtedy nią nie byłam. Przed śmiercią Marthy nigdy niczego nie namalowałam, jeśli nie liczyć misek z owocami, które stawiali mi przed nosem w szkole.

Chcę powiedzieć, że to niemożliwe.

- Ale... - Me wierzę, jesteś zbyt dobra.

- Naprawdę - mówi Mary i klęka przed toaletką, podnosi podbródek i gładzi się po szyi. - To Aidan namówił mnie, bym zaczęła malować. Obydwoje byliśmy przy jej śmierci. Żadne z nas jej nie uratowało. Kompletnie nas to rozbiło i mogliśmy o tym rozmawiać tylko między sobą. Nikt inny by nie zrozumiał. Aidan powiedział mi, że malowanie zawsze było dla niego sposobem na radzenie sobie z

bólem. Nie użył słowa „ból”, tylko „całe to gówno, które zalega w mojej głowie”. W mojej głowie też zalegało gówno, w dużych ilościach, więc posłuchałam jego rady. Pomagał mi, mówił, że jestem dobra, naprawdę dobra. Lepsza nawet od niego.

Mary nagle przerywa.

- Nie ma usprawiedliwienia dla tego, jak łatwo mu wszystko wybaczyłam. Opowiedział mi swoją wersję wypadków, która brzmiała zupełnie inaczej niż wersja Marthy. Nawet wiedząc, jak ją potraktował. .. Jak mówię: nie ma usprawiedliwienia.

- Czy ty i Aidan...

Mary reaguje głośnym chrząknięciem.

- Zaprzyjaźniliśmy się, nic więcej. A raczej: tak mi się wydawało. - Odwraca głowę w bok i patrzy na swoją odbijającą się w lustrze, naznaczoną liniami twarz. - Więc teraz już wiesz, jaka ze mnie egoistka. Nie nienawidziłam Aidana za to, co zrobił Marcie. Próbuję sobie wmawiać, że go nienawidzę, bo w ten sposób poprawiam sobie samopoczucie, ale to nieprawda. Nienawidzę go za to, co zrobił mnie.

Nie mam odwagi zapytać. Mary wstaje.

- Chodź - mówi. - Pokażę ci.

Wychodzę za nią z sypialni. Na korytarzu jest mniej dymu, choć zapach się przedostał. Schodzimy stromymi schodami do dużej kuchni i przez otwarty salon z gabinetem i belkowanym sufitem do wąskiego przedpokoju, na końcu którego widzę zamknięte drzwi. Mary sięga po klucz, który leży na framudze.

- Zamykam je na klucz - mówi. - W środku jest mój największy skarb. Nikt go nie widział oprócz Cecily, Aidana i policji.

- Policji?

- Mam na myśli różnych pechowców z miejscowego komisariatu, którzy przyjeżdżają tu od czasu do czasu, gdy wpadam w paranoję, i sprawdzają, czy Aidan nie ukrywa się gdzieś z tasakiem. Z wyjątkiem tego z wczoraj. On nie wszedł do środka. Mają mnie już tak serdecznie dosyć, że przestali porządnie sprawdzać.

Otwiera drzwi i staje z boku, żebym mogła wejść. Smród oparów farby jest trudny do zniesienia. Z początku nie wiem, na co patrzę. Ogromna sterta: śmieci. Jakby ktoś wyrzucił na podłogę zawartość kontenera z odpadkami i gruzem. Gdzieś w kącie jest puszysty, jak zupełnie do siebie niepasujące pióra różnych ptaków, ale widać też

drewno, jakąś tkaninę, wszystkie możliwe kolory. I kawałki... czy to płótno?

Abberton. Wnętrze sylwetki. Właśnie tym Mary je wykleiła: szmatami i odłamkami z tej sterty.

W jednej chwili widzę kilkanaście drobnych elementów, namalowany uśmiech, paznokieć, kawałek szaro - niebieskiego nieba, plamę w kolorze ludzkiego ciała. Małe krzesło, wysokie i szerokie najwyżej na kilka centymetrów, przecięte na pół.

- Obrazy - mówię. - To były obrazy, płótna. I ramy porąbane na kawałki. Ile...?

Góra jest niemal tak wysoka jak ja. Ktoś polał ją od góry dużą ilością farby tak, że wygląda, jakby była owinięta kolorową nitką. Plamy twardej, wyschniętej farby pokrywają też podłogę. Jakby ktoś stanął obok z puszką farby i wlał ją do środka od góry, aż przepłynęła przez stertę i wyciekła spod spodu. Tymi samymi kolorami zbryzgane są kremowo - złote tapety i trzy duże, oprawione grafiki roślin wiszące na ścianie. Żółty, niebieski, czerwony, biały, zielony, czarny. Na tyłach pokoju stoi stół, który ktoś podsunął pod otwierane pionowo okno i zastawił puszkami z farbą. Na blacie leży też przenośny telefon obok nadajnika, popielniczka, trzy nieotwarte puszki z gotowym daniem Heinza i zardzewiały otwieracz.

- Obrazy - potwierdza Mary. - Ramy. I krosna malarskie.

Jestem porażona rozmiarem tej góry połamanego drewna i pociętych płócien, fragmentów krajobrazów i wnętrz, ludzkich twarzy i ubrań: małżowina uszna, naszyjnik, kieszeń marynarki. Odnoszę wrażenie, że niektóre obrazy zostały celowo pocięte na większe kawałki, by więcej z nich przetrwało. Mrużę powieki, rozmazuję widok i teraz wygląda to jak sterta wielokolorowych klejnotów. Całość zajmuje niemal całą powierzchnię pokoju, zostały tylko dwa wąskie przejścia po bokach.

- Czyje są... były te obrazy? - pytam.

- Moje - mówi Mary. - Wszystkie są moje, znowu. Odzyskałam je. - Odwraca się w moją stronę i uśmiecha. - Witaj na mojej wystawie.

Rozdział 20

5/3/08

Charlie zastała Simona tam, gdzie zapowiadał, że będzie - w barze na stacji King Cross, otoczonego sporą grupą rekrutów w mundurach, którzy wyglądali na starszych, niż byli, i mieli wąsy z piany od piwa, które nie tyle pili, ile wylewali sobie na twarze. Siedział wetknięty w niewielką przestrzeń między stolikiem klejącym się od starego piwa a przechylonym na bok automatem do gry.

Nie było drugiego krzesła, więc Charlie przysunęła sobie jedno z sąsiedniego stolika. Tęskniła za czasami, gdy puby i bary były zadymione. Bez zapachu papierosów przypominały raczej modele naturalnej wielkości, a nie rzeczywiste lokale.

- Nic nie pijesz? - spytała.

Simon pokręcił głową z irytacją. Zamknij się, myślę. Charlie dobrze знаła to spojrzenie.

- Ja poproszę wódkę z sokiem pomarańczowym, dzięki. - Przysiadła na czystszej połowie krzesła, żałując, że nie wybierała uważniej. Widząc, że Simon nie zamierza się ruszyć, westchnęła i powiedziała; - Nienawidzę londyńskich taksiarzy. Nie potrafią się przymknąć. Można by pomyśleć, że widząc mnie z telefonem przy uchu...

- Z kim rozmawiałaś? Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- W jakiej sprawie?

- Dzwonił Gibbs. Byli z Sellersem w domu Bussey. Charlie zamknęła oczy.

- Widzieli ścianę. - Próbowała wmówić sobie, że nie stało się nic złego, nic nowego. Sellers i Gibbs o wszystkim wiedzieli. Wszyscy o wszystkim wiedzieli.

- Nie jest tak źle, jak sądziłaś - powiedział Simon. - Bussey nie włamie się w nocy do twojego domu, żeby zadźgać cię nożem. Ona cię podziwia.

- Podziwia mnie?

- Zbiera poradniki psychologiczne. Jeden z nich dotyczy budowania pewności siebie, nie pamiętam tytułu. Jak Gibbs zadzwonił, rozmawiałem z Milward. Gibbs powiedział, że w tej książce są ćwiczenia, które trzeba robić, żeby nauczyć się siebie kochać. Techniki, zadania, tego typu rzeczy. Praca domowa. Jednym z takich ćwiczeń jest znalezienie kogoś, kogo się podziwia, kto

przeszedł przez jakieś tarapaty i wyszedł z nich silniejszy i mądrzejszy. - Simon wzruszył ramionami. - Rozumiesz. Aha, i mówią tam, że musi to być ktoś sławny, żeby można było zbierać na temat tej osoby materiały z gazet i czasopism.

- Zmyśliłeś to wszystko - powiedziała Charlie.

- Naprawdę myślisz, że to jest coś, co mógłbym wymyślić? W książce był paragon. Bussey kupiła ją we wrześniu dwa tysiące szóstego roku.

- Dokładnie wtedy, gdy byłam sławna - zauważyła Charlie, starając się rozluźnić atmosferę.

- Dokładnie wtedy, gdy sądziłaś, że cały kraj chce twojej śmierci, tak. Myliłaś się. Przynajmniej jedna osoba była po twojej stronie. Jeśli podziwiała sposób, w jaki...

- Następny temat - ostrzegła go Charlie. - Moja pewność siebie to moja sprawa, nie twoja ani Ruth Bussey. - Nagły przyływ silnych uczuć utrudnił jej oddychanie. Spojrzała na dłonie, skubiąc paznokcie. - Czy ta książka kazała pokrywać całą ścianę wrednymi artykułami na temat wybranej gwiazdy mediów? - zapytała. Ale oprócz napaści bulwarówek na ścianie Bussey wisiały też inne artykuły, przypomniała sobie. Nieszkodliwe teksty o jej pracy społecznej, zdjęcia w mundurze i z szerokim uśmiechem. Tak, na pewno tam były. Charlie pozwoliła sobie o nich zapomnieć, bo nie pasowały do najbardziej pesymistycznego scenariusza: że Ruth Bussey pławiła się w jej cierpieniu, że ściana w jej sypialni miała wyłącznie jeden cel - ponownie ją upokorzyć.

- O szczegóły pytaj Gibbisa albo Sellersa - odparł zmęczonym głosem Simon. - Na początku, owszem, wieszasz wszystko, co możesz znaleźć na temat tej osoby, pozytywne i negatywne artykuły, zdjęcia, na których wyglądają świetnie, i takie, na których są w oplakany stan. Wszystko razem. Jeśli nie masz nic do roboty, to spoglądasz na to codziennie i... - Widząc zdumienie na twarzy Charlie, Simon warknął: - Nie patrz tak na mnie, to nie ja pisałem tę książkę. Przekazuję ci tylko to, co słyszałem od Gibbisa.

- Mów dalej - powiedziała Charlie. Zastanawiała się, czy Ruth sporządziła wcześniej listę kandydatek. Jakie inne skompromitowane, znane kobiety trafiły na czołówki gazet we wrześniu 2006 roku? Choć Charlie uważała się za sławną. Mimo to ciekawiło ją, czy miała konkurencję. - Patrzysz na to codziennie i...?

- Skupiasz się na tym, że wybrana przez ciebie osoba nie pozwoliła, by jej błędy ją pokonały. Reszty łatwo się domyślić: zdajesz sobie sprawę, że nikt nie jest doskonały, każdy przeżywa wzloty i upadki i ty też. Gdy to zrozumiesz, możesz zdjąć ze ściany wszystko to, co przedstawia twoją osobę w złym świetle. W miejsce tych artykułów i zdjęć wieszasz swoje ulubione fotografie samej siebie i ją w najlepszej formie, po tym, jak obydwie zatryumfowałyście nad złem. W kilku detalach mogłem się pomylić, ale ogólny sens jest właśnie taki. Piszą tam nawet, że powinna to być ściana sypialni, żeby galeria była pierwszą rzeczą, jaką widzisz po przebudzeniu i ostatnią przed zaśnięciem.

- Coś potwornego - powiedziała Charlie. Jednak poczuła ulgę. Sama myśl, że ktoś ją podziwia... Teraz miała już koronny dowód na to, że Ruth Bussey była wariatką.

- Na stronie z opisem ćwiczenia Bussey napisała twoje nazwisko. Nie schlebia ci to?

- Nic jej nie jest? - Charlie było głupio, że teraz bardziej niż jeszcze kilka minut temu martwi się o jej los. Więc dlatego Ruth przyszła w piątek właśnie do niej. Jeśli twoja idolka z galerii pracuje w policji, a twój chłopak cię przeraża, twierdząc, że kogoś zamordował, to kolejny krok jest oczywisty. A gdy widzisz, że obiekt twojego podziwu nie ma zielonego pojęcia, jak ci pomóc, to co wtedy masz sobie pomyśleć?

- Gibbs powiedział, że nikt nie wie, gdzie jest Bussey. To samo z Seedem i Trelease.

- Bussey nie powiesiła na ścianie swoich zdjęć - powiedziała cicho Charlie. Spojrzała na Simona. - Książka radziła, żeby powiesić swoje ulubione zdjęcia siebie?

- Tak chyba mówił Gibbs. Tak.

Charlie wiedziała, czemu Ruth nie dotarła jeszcze do tego etapu ćwiczenia: osiemnaście miesięcy po roztrwonieniu pieniędzy na poradnik psychologiczny wciąż nie lubiła żadnego ze swoich zdjęć. Korzystne czy niekorzystne - nie miało to znaczenia. Wszystkie fotografie przedstawiały ofiarę, czyli osobę, której należy się napiętnowanie bądź współczucie, zależnie od punktu widzenia. Trafiała kosa na kamień.

- Co? O czym myślisz?

- Nieważne.

Simon wyglądał na zbitego z tropu. Charlie podejrzewała, że zastanawia się, jak usilnie powinien nakłaniać ją do mówienia o swoich uczuciach, i że modli się, by odpowiedź brzmiała: prawie w ogóle.

- Chciałbym mieszkać tam, gdzie mieszkam - powiedział po chwili krępującej ciszy.

- Słucham?

- Pytałaś mnie, gdzie chciałbym mieszkać, gdybym miał wybór. Pobieżne spojrzenie w jego oczy wystarczyło - wiedziała, że mówi serio.

- Tam, gdzie mieszkasz? Chodzi ci o Spilling czy twój dom?

- Mój dom w Spilling. Podoba mi się moje miejsce. Po co miałbym je zmieniać?

- Ja bym zamieszkała w Torquay. - Charlie słyszała, że jej krtań twardnieje. Nie było mowy, żeby wprowadziła się po ślubie do jego domu. Kuchnia była wąska jak rynna, a łazienka była na parterze, za kuchnią. Poza tym budynek stał na samym chodniku. Przechodnie zaglądali do salonu. No i rodzice Simona mieszkali zbyt blisko. Nie ma mowy.

- Nie mógłbym mieszkać nad morzem - odparł. - To jeden wielki, niebieski ślepy zaułek. Czuję się osaczony.

- Nie byłbyś osaczony. - Jakie jeszcze chore opinie przed nią ukrywał? - Mógłbyś wsiąść na jacht.

- Gemmę Crowther zabiła Mary Trelease. Żeby odzyskać obraz, Abberton.

To tyle, jeśli chodzi o naszą osobistą rozmowę, pomyślała Charlie. Do listy rzeczy, które wiedziała o swoim narzeczonym, dodała „nie chciałby mieszkać nad morzem”.

- Była przed jej domem w poniedziałek wieczorem, wtedy, gdy śledziłem Seeda. Ten sam świadek, który widział mnie, zobaczył też Trelease. Została tam jeszcze po tym, jak odjechałem. Wiedziała, że Seed i Crowther są w środku i spędzają wspólnie uroczy wieczór, przy jej obrazie na ścianie.

- Nikt się nie włamał, zapomniałeś?

- Trelease mogła bez trudu przekonać Crowther, by ją wpuściła, albo od początku posłużyła się bronią. Trzymając ją na muszce pistoletu, przeprowadziła ją od drzwi do salonu i tam ją zastrzeliła.

Chciała odzyskać swój obraz, może też czuła zazdrość. Skoro pojechała za Seedem aż do Londynu, można sądzić, że o nim myślała.

- Może to ciebie śledziła - zasugerowała Charlie. - Może to ciebie podziwia najbardziej na świecie. Chociaż nie, to już naprawdę mało prawdopodobne.

Jeśli próbowała wytrącić go z równowagi, to się jej nie udało. Zwykle Simon łatwo się wściekał, ale zupełnie inaczej reagował, będąc pochłoniętym przez jedną ze swoich wizji. Charlie знаła dobrze symptomy: słowne zaczepki spływały po nim jak woda po kaczce. Do tego jeszcze to spojrzenie... Patrząc w jego oczy, można było niemal dostrzec pracę mózgu.

- Trelease zabiła Gemmę Crowther i zmusiła Seeda, żeby dokądś z nią pojechał. Miała pistolet i musiała też mieć samochód.

Dokądkolwiek pojechali, użyli jej auta, ale najpierw Trelease schowała obraz w bagażniku Seeda, żeby rzucić na niego podejrzenie.

- Dlaczego uważasz, że musiała mieć samochód?

- Przecież nie mogła prowadzić Seeda ulicą, przyciskając mu lufę do skroni. Ale w samochodzie mogła go posadzić za kierownicą, usiąść za nim i...

- Nie wierzę!

- Powiedziałaś, że haczyki w dziąsłach Crowther to dzieło kobiety - przypomniał jej Simon. - Crowther została zastrzelona, a potem ktoś starannie wybił jej zęby młotkiem i na ich miejsce powbił haczyki. Porównaj to z tym, co Seed mówił o uduszeniu Mary Trelease: zabójstwo z bliskiej odległości, ona się broniła, naga, tuż obok niego albo pod nim, albo na nim...

- Czyli teraz uważasz, że zabił ją podczas seksu? Kolejny zmyślony szczegół.

- ...Seed czujący, że paznokieć jego kciuka wbija mu się w skórę, gdy zaciskał dłonie na jej gardle...

- Zapominasz, że jest to opis morderstwa, o którym wiemy, że się nie zdarzyło.

- Sądzę, że jednak się zdarzyło - powiedział Simon. - Aidan Seed zabił kogoś w sposób, który mi przedstawił. Nie Mary Trelease, kogoś innego.

- Więc dlaczego twierdzi, że to była Trelease?

- Tego musimy się dowiedzieć. Pierwszy krok jest oczywisty.

- Nie dla mnie - odparła Charlie.

- Seed dorastał w Culver Valley na osiedlu komunalnym. Pisali o tym w „Timesie”. Megson Crescent należała kiedyś do gminy. Seed ma czterdzieści kilka lat. Załóżmy, że nie zabił nikogo, nim skończył jedenaście lat.

- W tamtych czasach zaczynało się tak wcześnie? - spytała ponuro Charlie.

- Mary Trelease kupiła dom przy Megson Crescent piętnaście zaledwie dwa lata temu. Kto wcześniej tam mieszkał? Kto tam zmarł?

Charlie nie odrywała wzroku od Simona.

- A niech mnie - wyszeptwała.

- Skupialiśmy się na nazwisku, zamiast patrzeć na inne szczegóły. Na przykład dom.

- Ale przecież... - Charlie kręciła głową. - Po co składał pełne zeznania z adresem, opisem miejsca zbrodni i metody, a skłamał co do ofiary?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć. Jeszcze nie - odparł Simon. - Ale może się to okazać mniej nedorzeczne, niż się zdaje. Trochę prawdy, trochę fikcji: taka mieszanka zapewnia najlepsze kłamstwo. Śmierć Mary Trelease jest fikcją, bo ona żyje. To wiemy.

- A prawda? - Choć Charlie chciałaby móc wyśmiać jego teorię, nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś w niej jest. Dzisiaj nie było już łóżka w głównej sypialni przy Megson Crescent piętnaście, ale mogło tam stać, nim do domu wprowadziła się Mary. Większość ludzi stawia łóżko w sypialni.

- Aidan Seed zabił kogoś w tym domu - powiedział Simon. - Kogoś, kto tam mieszkał. Dawno temu, tak jak powiedział Ruth Bussey.

Rozdział 21

Środa, 5 marca 2008

- Aidan i ja używaliśmy tego pokoju do malowania - mówi Mary.
- Razem. Potrafiliśmy malować godzinami, nie zamieniając słowa. Po śmierci Marthy dorobiłam dla niego klucz do chaty. Często zostawał na noc. - Odwraca się do mnie. - Spał w pokoju gościnnym, tam gdzie ty.

Pilnuję się, by zachować neutralny wyraz twarzy. Jest w tym pokoju coś, co wydaje mi się nie na miejscu, ale nie wiem co. Gapię się na stertę zniszczonych obrazów i trudno mi uwierzyć, że jest prawdziwa.

- Masz mi za złe, że ci nie powiedziałam? - Po chwili dociera do mnie, że Mary mówi o Aidanie w pokoju gościnnym. - To tylko pokój. Nie wierzę, że pomieszczenia zachowują wspomnienia. Nie istnieje coś takiego, jak atmosfera - to tylko wynalazek ludzkiego umysłu, jak wszystko, co interesujące.

- Dorobiłaś klucz dla Aidana? - Nagle wydaje mi się ważne, by sprawdzić wszystkie fakty. - Przecież to nie twój dom. Nie należy do ciebie.

Mary wzrusza ramionami.

- Co z tego? Ja go używam.

- A matka Marthy? Jaki miała stosunek do tego, że Aidan tu mieszka? - Gdybym miała córkę, która się powiesiła, bo została źle potraktowana przez mężczyznę, to nie chciałabym, by ten mężczyzna przebywał w pobliżu mnie i moich domów.

Gdybym widziała na własne oczy, jak wiesz się moja najlepsza przyjaciółka albo kochanka, albo była kochanka, to na pewno nie chciałabym później spędzać czasu w pokoju, w którym to się stało.

- Nie powiedziałam Cecily - mówi Mary. - Nikt o nim nie wiedział.

- Dlaczego rodzice Marthy nie pozbyli się domku po jej śmierci? Czemu dalej płacą czynsz i użyczają go tobie, mimo że nie jesteś z nimi spokrewniona?

- Jestem pozostałością po życiu Marthy. - Mary się uśmiecha. - Cecily za mną nie przepada, ale i tak chce, bym była blisko jako pamiątka po jej ukochanej córce.

Mój wzrok wraca do stojącej przede mną sterty.

- Ile obrazów pocięłaś, żeby zrobić... to?

- Nie liczyłam. Kilkaset.

- Kto je namalował?

- Ja. Namalowałam je i były moją własnością. Choć przez chwilę wydawało mi się, że sprzedawałam je innym ludziom.

Czekam, aż powie więcej.

- Aidan zawsze mówił mi, gdy moje obrazy nie były dobre. Najgorsze było to, że na ogół miał rację. W końcu dzięki jego pomocy zdarzało mi się to coraz rzadziej. Nie było mu łatwo prawić komplementy, ale krytyka ustała. Pewnego dnia spytał mnie, czy czuję się gotowa mieć swoją pierwszą wystawę. Wspomniał o galerii, o której nigdy nie słyszałam, i powiedział, że zna jej właściciela. Jeśli nie mam nic przeciwko, powiedział, to weźmie moje obrazy do Londynu i pokaże temu człowiekowi. - Mary parska śmiechem. - Oczywiście nie miałam nic przeciwko. Byłam wniebowzięta. Aidan zabrał obrazy, których było osiemnaście, i następnego dnia wrócił ze wspaniałą wiadomością: galeria była mną zainteresowana. Chcieli zrobić mi wystawę.

Patrzę, jak szczęście i ekscytacja wyparowują z jej twarzy w chwili, gdy Mary przypomina sobie, co stało się później.

- Nie wiem, czemu nie chciałam pojechać z Aidanem do Londynu i zobaczyć galerii na własne oczy. Nie zrobiłam tego, o nic nie prosiłam. Aidan powtarzał wciąż „Zostaw to mnie”, więc zostawiałam. Gdy spytałam go, kiedy odbędzie się prywatny pokaz, powiedział, że ta galeria nigdy ich nie organizuje. Dzisiaj wiem, że nie istnieje galeria, która nie robi prywatnych pokazów. Są bardzo ważne z punktu widzenia sprzedaży i promocji. Ale wtedy byłam debiutantką w świecie sztuki. Aidan był tym doświadczonym, który miał wyprzedaną wystawę i rezydował w Trinity College i National Portrait Gallery. Wierzyłam w to, co mi mówił. Powiedziałam, że chcę poznać właściciela galerii, ale mi to odradził. „Ci ludzie nie cierpią artystów kręcących się po galerii przed wystawą”, powiedział. „Lepiej zostań na drugim planie i używaj mnie jako pośrednika”. Zapewnił mnie, że właściciel jest zaintrygowany moją osobą i że powinniśmy jego zainteresowanie podsycać, zachowując dystans. Jak idiotka, dałam się na to nabrać.

- Któregoś dnia pokazał mi katalog wystawy. Nic szczególnego, kilka zagiętych pośrodku, zszytych kartek papieru. Ale były tam tytuły moich obrazów, termin wystawy i notka biograficzna na mój temat.

Byłam taka dumna. - Mary mruga, by wycisnąć z oczu łzy. - Aidan jeździł do Londynu w tę i z powrotem - a przynajmniej tak mi się zdawało - by pilnować wystawy. Ilekroć się tu pojawiał, mówił, że wszystko idzie pomyślnie. Wydawał się naprawdę szczęśliwy z mojego sukcesu. Moje obrazy się sprzedawały, nie mogłam w to uwierzyć. Któregoś dnia Aidan przyjechał do mnie i powiedział, że sprzedały się wszystkie. Nawet... - Ból wykrzywia jej twarz. - Przywiózł nawet listę kupców, żebym zobaczyła, kto kupił jaki obraz. Było na niej dziewięć nazwisk. Chyba nie muszę ci ich wymieniać.

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Skąd mam wiedzieć, kto kupił jej obrazy?

- Pierwszy kupiec nazywał się Abberton - mówi miękko Mary. - Nie wymieniaj pozostałych, proszę. Nie zniosę tego.

Po plecach przebiega mi dreszcz.

- Aidan zabrał mnie tego wieczoru na kolację, by uczcić wyprzedanie kolekcji. I wtedy zdradziłam Marthę.

- Spędziłaś noc z Aidanem. - Wolę powiedzieć to sama, niż usłyszeć z jej ust.

- Nie. - Na jej twarzy pojawia się maska niezadowolenia. - Aidan i ja nigdy nie poszliśmy do łóżka. Martha to zrobiła i wiedziałam, czym to się skończyło.

- Więc jak ją zdradziłaś? - pytam.

- Powiedziałam Aidanowi, że gdybym musiała wybierać między szczęśliwym, spełnionym życiem osobistym a pracą, wybrałabym pracę. Malowanie. Uśmiechał się do mnie, gdy to mówiłam, i oboje wiedzieliśmy, co to oznacza: że to my jesteśmy do siebie podobni, a Martha nigdy nie była taka jak my. Nawet o tym rozmawialiśmy. Aidan powiedział mi, że Martha przyznała się do okłamania dziennikarki, która przeprowadzała z nimi wywiad. - Mary patrzy na mnie przez zmrużone powieki. - Mówiłam ci to?

Przytakuję.

- Udawała, że wybrałaby pisarstwo, choć tak naprawdę zarzuciłaby je bez wahania, gdyby tylko mogła mieć Aidana. On gardził nią za to kłamstwo. Gardził jej płytkim podejściem do pracy. Nie chciał być z kimś takim. Martha nie zasługiwała na Aidana. - Mary zatyka sobie usta dłonią.

- Opowiedz mi o wystawie - mówię. Osiemnaście obrazów. Osiemnaście pustych ram na ścianach w warsztacie Aidana. Chociaż nie wiem, czy jest ich osiemnaście, bo ich nie liczyłam.

- Dzień po naszej uroczystej kolacji, gdy zesłam już na ziemię, zaczęłam zadawać pytania. Kiedy dostanę pieniądze? Czy galeria była pusta, skoro wszystkie obrazy zostały wykupione? Aidan żartował sobie z mojej ignorancji. Wyjaśnił, że wystawa zostaje nietknięta aż do ostatniego dnia. Kupcy dopiero wtedy zabierają swoje obrazy i wtedy też za nie płacą. Kazał mi zawyżyć cenę, by został mi w kieszeni pokaźny dochód po odjęciu prowizji dla galerii. Zażartował, że sam powinien pobrać prowizję, ponieważ sam wszystko zorganizował. Nigdy nie zastanowiło mnie, czemu chciał mi pomóc aż w takim wymiarze. Poświęcał mojej wystawie więcej czasu niż na malowanie swoich obrazów. Gdybym wówczas zadała sobie to pytanie, pewnie przypisałabym jego oddanie swojemu talentowi, który najwyraźniej go oczarował.

Słyszę w jej sarkazmie ton nienawiści do samej siebie.

- Zdawałam sobie sprawę z tego, jaka jestem dobra. Widziałam to. Aidan był artystą, artyści powinni dbać o sztukę bardziej niż o cokolwiek innego. Wierzyłam, że w jego przypadku tak właśnie jest, aż któregoś dnia pojechałam do Londynu odwiedzić koleżankę. Postanowiłam wtedy, że złamię jego zakaz.

- Poszłaś do galerii?

- Nie mogłam się oprzeć. - Mary zwraca się w moją stronę. - A ty byś mogła? Sądziłam, że nic złego się nie stanie, jeśli tylko nie wejść do środka. Zamierzałam tylko zajrzeć przez okno, by zobaczyć swoje obrazy w tym dziwnym, ekscytującym kontekście - w prawdziwej galerii. Chciałam zobaczyć czerwone naklejki na przywieszkach, oznaczające rezerwację kupna... - Jej słowa gasną i w pokoju zapada paraliżująca, gęsta cisza, którą boję się przerwać.

- Mary? Co zobaczyłaś?

Nie odpowiada, więc pytam ponownie.

- Nie powinien był podawać mi nazwy tej galerii. Albo jakąś zmyślić. Jak trudno jest wymyślić nazwę? Aidan nie ma wyobraźni. Dlatego jestem lepszą artystką od niego. Artysta potrzebuje wyobraźni. Connaughton.

- Co to jest?

- Ta galeria. Connaughton Contemporary. Nie było w niej moich obrazów. Pracujący tam mężczyzna nigdy o mnie nie słyszał. Zadzwoiłam do Aidana i gdy mu powiedziałam, co się stało, co zobaczyłam - a raczej: czego nie zobaczyłam - kazał mi przyjechać z powrotem do Garstead Cottage. Jego głos był taki... odstręczający, beznamiętny. W niczym nie przypominał osoby, którą, jak sądziłam, znam. Miałam wrażenie, jakby opanował go jakiś straszliwy, obcy duch, a dawny Aidan został wymazany. Wtedy przypomniałam sobie, że dawny Aidan doprowadził Marthę do samobójstwa. W swojej desperacji, by chwycić się czegoś po jej śmierci, pozwoliłam sobie przymknąć oko na to, co o nim wiedziałam. Straszliwą śmierć Marthy przeżyliśmy wspólnie i przez chwilę tylko to się dla mnie liczyło.

Zamykam oczy i myślę o Londynie, kiedy zmieniło się zachowanie Aidana wobec mnie. Ilekroć moi znajomi osiągają sukces, coś we mnie umiera. Tak napisał w kartce do Marthy, gdy wysłała mu egzemplarz swojej powieści. Czy wystawił Mary na porażkę, bo zazdrościł jej talentu malarskiego? Żałuję, że nie słyszę tej opowieści z jego ust. Wówczas lepiej bym zrozumiała, co nim kierowało.

- Przyjechałam tutaj - mówi cicho Mary. - Drzwi były otwarte. Zawołałam go. Cisza. Zaczęłam go szukać i znalazłam w tym pokoju. Na podłodze obok niego leżała sterta, taka jak ta, tyle że mniejsza. Nie miałam pojęcia, co to było. Wyglądało po prostu na kupę śmieci, chociaż rozpoznawałam jakieś fragmenty - kolory, znane mi kształty. Jednak zrozumiałam wszystko dopiero, gdy Aidan powiedział mi wprost.

Zaczyna przechadzać się powoli wokół góry śmieci.

- Był tak dumny ze swojego planu zniszczenia mnie, że nazwał go „genialnym”. Nigdy nie było żadnej wystawy. Nikt w Londynie nie widział moich prac. Aidan zabierał obrazy - pozwalałam mu je zabierać - i niszczył je jeden po drugim. Dzięki podróży do Londynu i brakowi samokontroli dowiedziałam się wcześniej. Aidan planował to... - Mary kopie stertę obrazów i wydaje z siebie niski jęk, który mnie przeraża, bo brzmi tak, jakby dręczący ją ból miał własny głos, głębszy i bardziej surowy. - Planował swoją niespodziankę na koniec wystawy, czyli dzień, w którym spodziewałam się dostać czek od galerii.

- Przykro mi - mówię, nareszcie rozumiejąc, dlaczego Mary nie sprzedaje swoich obrazów, dlaczego trzyma je wszystkie w domu i nikomu ich nie powierza.

- Stałam w miejscu, w którym ty teraz stoisz, płacząc i błagając, by powiedział, dlaczego to zrobił. Zamiast tego oznajmił, że ma dla mnie kolejną niespodziankę. Była nią lista kupców, ale nie ta, którą już mi pokazywał, nie ta zmyślona, ale prawdziwa, z jego wystawy w TiqTaq. Tych dziewięć nazwisk: Abberton i spółka? To byli kupcy Aidana, nie moi. Wszyscy ludzie, którzy - jak mi się zdawało - zachwycili się moimi pracami, tak naprawdę byli zachwyceni obrazami Aidana.

- Twoje obrazy - mówię bardziej do siebie niż do Mary. - Zarysy ludzkich sylwetek. Bez twarzy, bo ci ludzie nie byli prawdziwi.

- To dlatego Aidan przewidział tytuły kolejnych prac, które Mary miała namalować po Abbertonie.

- Ci, którzy kupili obrazy Aidana, pewnie jednak byli prawdziwi - mówi Mary.

- Dlaczego? Dlaczego wyrządził ci taką krzywdę?

- Nigdy mi tego nie wytłumaczył. To było w tym wszystkim prawie najgorsze. Chwalił się tym, co zrobił, ale nie chciał podać powodu. Jak zwykle unikał mówienia o swoich motywacjach i uczuciach, jeśli nie liczyć momentu, gdy powiedział mi, jak bardzo się cieszył podczas naszej wspólnej kolacji, słysząc, że wolę pracę od życia osobistego. Teraz brzmi to tak pretensjonalnie - malowałam wtedy zaledwie od roku - ale obrazy były już wtedy całym moim życiem. Tylko tym chciałam się zajmować. I tak zostało. Gdy powiedziałam o tym Aidanowi, wiedział, że wybrał najdoskonalszy sposób na wyrządzenie mi nieodwracalnej krzywdy.

Widząc moją dezorientację, być może biorąc ją za niedowierzanie, Mary dodaje:

- Mogę ci podać kilka powodów, jeśli chcesz. Stały się jasne w momencie, gdy zaczął mi grozić. Zanim wyszedł z tego pokoju i zniknął z mojego życia, zbliżył się do mnie, położył dłonie na moim gardle i tak mocno je zacisnął, że myślałam, że umrę. Powiedział: „Już nigdy nie namalujesz żadnego obrazu. Rozumiesz? I nie powiesz nikomu, co się tutaj działo, gdy umarła Martha. Jeśli się dowiem, że zrobiłaś którąś z tych rzeczy, następnym razem na sznurze zawieszysz ty". Mary się wzdyga. - Powiedział, że nie pozwoli nikomu zniszczyć

jego kariery. Zamierzał być gwiazdą i Martha nie mogła nic na to poradzić.

- Przecież... Martha popełniła samobójstwo - mówię niemal nieprzytomna.

- Mógł ją uratować - odpowiada Mary. - Gdy spróbował, po telefonie na pogotowie, było już za późno. Nie chciał, by ktokolwiek się o tym dowiedział. Zastanów się. Nie był to czyn, którym można by się chwalić: akt tchórzostwa prowadzący do śmierci młodej, obiecującej pisarki, która miała przed sobą całe życie.

- Ale do tej pory nikomu nic nie powiedziałaś i gdyby nie zniszczył twoich obrazów, nie miałabyś powodu, żeby...

- I tak mnie nienawidził, na długo przed śmiercią Marthy. Nigdy nie wybaczył mi tych nienawistnych listów, które mu wysłałam, gdy pracował w Trinity i mieszał Marcie w głowie. Przejrzałam go wtedy na wylot. Wiedziałam, że jest wystraszony, głęboko spaczony, nie ma odwagi radzić sobie ze swoimi problemami i woli, by cierpieli inni. Spójrz. - Mary wybiega z pokoju, a ja idę za nią po schodach do jej sypialni. Jest cała pokryta rzuconymi przypadkowo ubraniami i śmierdzi papierosami. Wszystkie szuflady porysowanej komody z mahoniu są pootwierane. Mary wyciąga coś z najniższej z nich. - To lista kupców z wystawy Aidana.

Jest napisana ręcznie, ale czytelna.

- Spójrz na tytuł ostatniego obrazu.

- Morderstwo Mary Trelease - czytam na głos. - Zatyłował tak swój obraz?

- To była pierwsza groźba. Wielką satysfakcję sprawiało mu mówienie mi, że przecież na płótnie nie ma ani mnie, ani żadnego morderstwa. Powiedział, że lubi tytuły, które każą ludziom zgadywać. Czy teraz widzisz więcej sensu w jego przyznaniu się do zabicia mnie? To część gry, którą zaczął wiele lat temu.

Jej pytanie ledwie do mnie dociera. Mój wzrok zafiksował się na nazwisku, którego nie spodziewałam się zobaczyć: Saul Hansard. Saul kupił jeden z obrazów Aidana. Abberton, Blandford, Darville, Elstow - wszystkie one też tam są, pod nagłówkiem „Kupcy”. Cecily Wyers też kupiła jedno płótno, podobnie niejaki Kerry Gatti (Pan).

- Rozumiesz, czemu Aidan chce mnie zabić - mówi Mary pozbawionym życia głosem. - Nie przestałam malować. On owszem. I nie może pozwolić, by uszło mi to płazem. - Zaczyna płakać. - Tak

bardzo się pilnowałam, żeby się nie dowiedział. Nie wystawiałam swoich prac, nie sprzedawałam ich. Robiłam, co mogłam, by utrzymać swoją działalność w tajemnicy, ale i tak się dowiedział. Dzięki tobie. - Mary kładzie mi rękę na ramieniu. - Nie mówię tego oskarżycielskim tonem. Wiem, że w niczym nie zawiniłaś. - Jej paznokcie wbijają się w moją skórę. - Przez kilka lat po tym zajściu malowałam wyłącznie jego. W kółko i na okrągło, z pamięci: wyraz jego twarzy w chwili, gdy mówił mi, co zrobił. Ilekroć kończyłam obraz, od razu go niszczyłam i wrzucałam na stertę. Moją wystawę - dodaje ze smutkiem. - Jedyłą, jaką kiedykolwiek będę miała.

Serce bije mi, jakby ktoś walił nim o wnętrze mojej klatki piersiowej. Gapię się na nazwiska i adresy osób, które kupiły obrazy Aidana, obrazy, których nigdy nie widziałam. Gdybym miała je przed oczami, czy wreszcie zaczęłabym rozumieć? Czy zbliżyłyby mnie do człowieka, którym Aidan jest naprawdę? Próbuję wmówić sobie, że nie, ale bez skutku. Potrzeba zobaczenia tych obrazów narasta we mnie z każdą chwilą, niczym fizyczny głód, którego nie sposób zracjonalizować. Nie mam wątpliwości, gdzie powinnam zacząć: mój przyjaciel, Saul Hansard.

Podnoszę wzrok i patrzę Mary w oczy. Nie muszę nawet prosić. Ona wie. Rozumie.

- Zamówię ci taksówkę - mówi.

Rozdział 22

5/3/08

- Jeśli przyjmiemy założenie, że Seed udusił kogoś, jakąś nieznaną kobietę, w sypialni domu przy Megson Crescent piętnaście, to tym samym odrzucamy tezę, że zabił też Gemmę Crowther - rzekł Simon. Był przed chwilą w barze i wrócił z dwoma piwami, choć Charlie mówiła mu dwa razy, że chce wódkę z sokiem pomarańczowym. - Metody zbyt się między sobą różnią.

- Może to raczej sytuacje były różne - zauważyła Charlie. - Pierwsze zabójstwo mogło być wynikiem nagłych emocji, drugie Seed mógł zaplanować.

Simon przez chwilę milczał. W końcu powiedział:

- Nie mogę stwierdzić, że się mylisz, bo nie mam dowodów, że było inaczej. Ale... sam nie wiem. Nigdy nikogo nie zabiłem, jednak wątpię, by można to było porównać do gotowania: dzisiaj wrzucę fasolkę do mikrofalówki, a jutro ją sobie ugotuję na gazie. Zdaje mi się, że większość zabójców ma tylko jedną metodę. Albo dlatego, że stanowi część rytuału, który jest dla nich ważny, albo dlatego, że ten konkretny sposób wydaje im się jedynym możliwym. Ktoś, kto udusił kobietę w przypływie agresji, nie zabiłby z zimną krwią, posługując się bronią palną. Gdyby odjąć czynnik niekontrolowanego gniewu, może w ogóle by nie zabił. Osoba, która strzela z broni palnej, chce sobie zapewnić absolutną kontrolę. Nie próbowałaby czegoś równie ryzykownego jak uduszenie. W końcu ofiara mogłaby się okazać silniejsza...

- Może - przerwała mu Charlie. - Może to dotyczy większości zabójców, ale jest jeden - nazwijmy go Aidan Seed - który jednak stosował różne metody. Poza tym skąd to przekonanie, że trzeba stracić nad sobą panowanie, żeby kogoś udusić? Coś takiego też można zaplanować.

- Milward powiedziała, że Seed nie jest ich podejrzanym - odparł Simon. - Przynajmniej przyznaj, że to możliwe: Trelease zabiła Crowther albo dlatego, że Seed się z nią spotykał, albo dlatego, że dał jej Abbertona, albo z obydwu powodów. Wiemy, że Trelease trzyma swoje obrazy przy sobie, nie lubi, gdy inni się do nich zbliżają. Wiemy też, że zaatakowała kiedyś Ruth Bussey, dziewczynę Seeda. Niewykluczone zresztą, że ją też już zabiła.

Charlie jęknęła.

- Zaraz powiesz, że Trelease ma obsesję na punkcie Seeda, więc zabija inne kobiety w jego życiu. To daleko posunięta spekulacja nawet jak na twoje standardy.

- Czy twoim zdaniem można założyć, że Adam Sands w powieści Marthy Wyers to Seed? - spytał Simon.

- To na pewno. Dzwoniłam do Trinity College w Cambridge. Martha Wyers ubiegała się tam o stanowisko, które przypadło Seedowi. Poznali się na rozmowie kwalifikacyjnej, tak jak Sands i fikcyjna Martha Wyers.

- W takim razie mam rację - powiedział Simon, jakby stwierdzał fakt oczywisty. - Trelease zamordowała najpierw Wyers, a potem Crowther, bo widziała w nich rywalki. Z tego samego powodu zabije Ruth Bussey, o ile już tego nie zrobiła.

- Jak się w to wszystko wpisuje Abberton? - spytała Charlie.

- Nie wiem.

- I gdzie jest teraz Seed? Twierdzisz, że Trelease kazała mu pojechać dokądś jej samochodem...

- Zabiła go.

- Ach, jak poręcznie - odparła oschle Charlie. - Wszyscy, których wymieniam, twoim zdaniem zginęli z rąk Trelease. Dowody? Brak. I dlatego mówisz to w rozmowie ze mną, a nie z Kombothekra czy Milward.

- Milward nie ma nastroju na słuchanie moich teorii. Dałem dupy. - Patrzył na Charlie, wyzywając ją milcząco, by go skrytykowała. - Już zaczynała mi ufać, a ja ją zaszantażowałem. Praktycznie wywaliła mnie na bruk. Co do Kombothekry... - Simon ciężko westchnął. - Niedawno do mnie zadzwonił, żeby powiedzieć, co się dzieje. Nazwałem go tchórzem.

- Jak to? - Charlie nic nie rozumiała.

- Chodziło mi o całą tę sytuację: my jesteśmy odcięci od informacji, a on je nam potajemnie przekazuje. W moich oczach to dla Kombothekry bardzo wygodny układ. Informuje nas na bieżąco o śledztwie, zdobywając nasze zaufanie. Przecież nie podamy go Proustowi na tacy, skoro tak się dla nas narażał, nie? Może nam powiedzieć tyle, ile zechce, niczego nie ryzykując. Im więcej powie, tym bardziej mu będziemy wdzięczni i chętni, by go chronić. Z naszej strony wygląda to tak, jakby postawił wszystko na jedną kartę, bo jest po naszej stronie. W oczach Prousta jest ciągle grzecznym chłopcem,

który nigdy nie robi fałszywych ruchów. - Simon wzruszył ramionami. - Komuś tak ugodowemu, jak Kombothekra, bardzo łatwo jest sprawiać wrażenie, że się o coś walczy. Tak myślałem aż do telefonu od Gibbsa.

- A teraz?

- Myliłem się - powiedział Simon. - Wygląda na to, że wsparcie, jakiego nam udziela, jest znacznie mniej skrywane, niż myślałem. Sellers i Gibbs wiedzą, że regularnie się z nami kontaktuje. Poza tym zażarcie broni mnie przed Proustem. Noc o tym nie wiedziałem, gdy mu zmywałem głowę.

- Sam nie jest pamiętliwy - powiedziała Charlie. - Przepróś go i opowiedz o swojej nadmuchanej teorii. Moim zdaniem Seed jest sto razy bardziej prawdopodobnym zabójcą Gemmy Crowther. Miał rzeczywisty motyw: Crowther przez trzy dni torturowała jego dziewczynę.

Simon kręcił głową.

- Seed nie jest typem człowieka, który by się mścił, ani takim, który celowo by kogoś skrzywdził. Dlatego wiem, że kogokolwiek zabił przy Megson Crescent piętnaście, to zrobił to spontanicznie, bez planu.

- Co? Skąd ty to wszystko czerpiesz?

- Mówi ci coś nazwisko George Fox? - spytał Simon.

- Nie.

- Urodził się w roku tysiąc sześćset dwudziestym czwartym, zmarł w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym pierwszym. To ojciec założyciel kwakryzmu. Praktycznie sam założył cały ruch. Gemma Crowther miała go w wysokim poważaniu.

- Skąd wiesz?

- Po tym jak Milward mnie wyrzuciła, poszedłem do kafejki internetowej. Od komputerów nie trzeba wyciągać informacji podstępem ani im później dziękować.

Ani się z nimi kochać, pomyślała Charlie. Może Simon wolałby się ożenić z toshibą equium M70. Akurat tę nazwę знаła, bo winna była ten model siostrze.

- Crowther pisała o Foksie na co najmniej czterech kwakerskich stronach internetowych, cytując jego słowa o duchowej mądrości, jakby uważała, że promienie słońca wylatują z jego tyłka. Na jednej z tych stron ktoś zamieścił komentarz pod tytułem „Bzdury”, ganiąc ją

za jej artykuł. Ktoś najwyraźniej niespecjalnie ceniący nauczanie Foksa. Zgadnij, kto.

- Aidan... Aha, Len Smith? Simon pokręcił przecząco głową.

- Seed używał nazwiska Smith podczas spotkań kwaków, gdy udawał, że jest przyjacielem Crowther. W świecie wirtualnym korzystał z innej ksywki. Adam Sands.

Charlie otworzyła szeroko oczy.

- Przedstawiał się nazwiskiem bohatera z powieści Marthy Wyers? - Jakby po tych wszystkich latach zapragnął stać się tą osobą, za którą go miała. Czyżby kierowało nim poczucie winy, bo ona kochała go dostatecznie mocno, by odebrać sobie życie, a on tych uczuć nie odwzajemnił?

- George Fox był zarozumiałym dupkiem, który nikogo nie słuchał - powiedział Simon. - Typ tyрана: zadowolony z siebie, chamski, pozbawiony taktu, nietolerancyjny, pamiętliwy. Zapamiętaj to, bo to ważne. A najgorsze, że Fox odrzucał doktrynę nieuchronności grzechu.

- Zbyt to dla mnie skomplikowane - powiedziała Charlie, zastanawiając się, jaki to wszystko ma związek z Aidanem Seedem.

- Chodzi o przekonanie, że ludzie regularnie dają dupy i muszą prosić Boga o przebaczenie - wyjaśnił Simon. - Ja dorastałem z koncepcją grzechu. Była taką samą częścią mojego dzieciństwa, jak potajemne oglądanie telewizji. Tak wyglądało katolickie wychowanie: odmawianie zdrowaśki za każdą złą myśl i za okłamywanie matki.

- Czyli zdrowaśki to odpowiednik pisania na tablicy, tak? Dziesięć, pięćdziesiąt, sto razy, w zależności od tego, jak ciężki grzech się popełniło?

- Mniej więcej - odparł Simon. - Nienawidziłem tego i do dziś nie zmieniłem swojego podejścia, ale widzę jedną pozytywną rzecz: nacisk na rozróżnienie między dobrem a złem i przekonanie, że złe uczynki należy odkupywać. Trzeba mówić „przepraszam”, trzeba się poprawiać. Ogólny układ jest prosty - Bóg jest szefem, papież stoi zaraz za nim, potem jest twój proboszcz i rodzice, a ty jesteś podpałką czekającą na strącenie w płomień Piekła.

- Brzmi zachęcająco - powiedziała Charlie. - Musiałeś mieć beztróskie dzieciństwo.

- Nie mówię o sobie - odparł Simon, oblewając się rumieńcem, choć ewidentnie jednak mówił o sobie, chyba że Charlie się myliła i to

George Fox oglądał potajemnie telewizję. - Fox twierdził, że ma światło w sobie, a zatem nie jest zdolny do grzechu. Było to właściwie równoznaczne ze stawianiem się na równi z Bogiem. Inni ludzie, istoty mniej wartościowe, grzeszyły, a wówczas Fox skąpił swojego miłosierdzia. Adam Sands miał historię na podparcie tej tezy. Pokażę ci tę stronę, przeczytasz sobie. Był drugi wpływowy kwakier, James Nayler, który narobił sobie kłopotu, pozwalając niektórym ze swoich bardziej oddanych uczennic publicznie się do niego przymilać. Oskarżono go o bluźnierstwo i parodiowanie wjazdu Chrystusa do Jerozolimy.

Charlie przewróciła oczami.

- Niektórym ludziom przydałyby się długie wakacje.

- Naylerowi wymierzono całe mnóstwo okropnych kar za rzekome bluźnierstwo. Został wtrącony do więzienia, napiętnowany, zakuty w dyby i wychłostany. Fox zdystansował się wobec Naylera, gdy ten był w najniższym punkcie swojego życia, a gdy Nayler w końcu wyszedł na wolność jako złamany człowiek, gdy publicznie żałował swoich grzechów i wiele razy odcinał się od dawnych wybryków, pragnąc jedynie pogodzić się z Foksem, ten go odtrącił.

- Mówisz, jakbyś cytował - zauważyła Charlie. - „Odtrącił”?

- Takiego słowa użył Adam Sands. Z jego komentarza widać było wyraźnie, że do pasji doprowadzał go fakt, iż założyciel oświeczonej, pokojowej religii promującej tolerancję i miłosierdzie był gównem wartym hipokrytą, winnym tych samych wad, których nie umiał wybaczyć Naylerowi. Sands, to znaczy Seed, zakończył swój wpis, mówiąc, cytując: „Bez skruchy i przebaczenia nie ma nadziei dla nikogo z nas. Jak może pani chcieć być częścią ruchu założonego przez takiego dupka, jak George Fox?”.

- Crowther odpowiedziała? - spytała Charlie.

- Tak, ale słowami samego Foksa. Był to długi cytat, coś o Nowym Jeruzalem, które jest dostępne tylko dla tych, którzy nie drażnią i nie zasmucają Boga. Ci, którzy to robią, są bestiami i dziwkami opętanymi duchem błędu i jako tacy zostaną zesłani do Babilonu.

- Urocze - wymamrotała Charlie. - Zaczynam rozumieć, co przyciągnęło ludzi pokroju Eltona i Crowther do kwakryzmu.

- Teraz widzisz, czemu nie uważam Seeda za mściwego zabójcę? Jeśli masz kogoś zamordować, po prostu to zrób. Po co udawać przed

ofiara, że się jest jej przyjacielem i prowadzić z nią dyskusje na internetowych forach?

- Mam dla ciebie pytanie - powiedziała Charlie. - Jeśli Seed nie zabił Gemmy Crowther i nigdy nie zamierzał tego zrobić, jeśli nie był ani jej przyjacielem, ani kwakrem, to po co w ogóle się przy niej kręcił? Dlaczego dał jej Abbertona?

Twarz Simona momentalnie sposępniała.

- Nie mam pojęcia - odparł nieuprzejmym tonem, jak zwykle rozwścieczony własną ignorancją.

Charlie otworzyła torebkę, wyjęła z niej katalog z wystawy, który dała jej Jan Garner, i położyła go na stole przed Simonem, zastanawiając się, czy jest teraz w odpowiednim stanie, by zwrócić na niego uwagę. Mogłaby przechwalać się, że w przeciwieństwie do niego poczyniła faktyczne postępy, ale byłoby to zbyt okrutne, a poza tym zaraz i tak miało się okazać oczywiste.

- Morderstwo Mary Trelease - przeczytał na głos Simon. - Olej i akwarele. Dwa tysiące funtów.

Charlie podała mu listę kupców.

- Dwa tysiące funtów osiem lat temu, nie zapominaj. Pan J.E.J. Abberton raczej bez trudu wiąże koniec z końcem. Jest tylko jeden problem: adres, który podał tutaj jako miejsce zamieszkania, nie istnieje.

- Jesteś pewna?

Próbowała się nie obrazić za to pytanie.

- Sprawdzalam to i potwierdzałam w sumie chyba kilka godzin, rozmawiając z biurem numerów. Na wystawie Aidana Seeda było osiemnaście obrazów. Trzy sprzedano ludziom z prawdziwymi adresami: Cecily Wyers, Saul Hansard i Kerry Gatti.

- Myślisz, że Cecily Wyers jest matką Marthy?

- To bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę opowieść Jan Garner o matce i córce kłócących się o kupno obrazu.

Simon potakiwał.

- Cecily, Hansard i Gatti kupili po jednym płótnie, zostało piętnaście. Te poszły do rąk naszych starych znajomych, Dziewiątki Wspaniałych. - Przeczytała nazwiska na głos, poza kolejnością alfabetyczną, do której przywykła. - Pani E. Heathcote, dr Edward Winduss, pan L. Rodwell, Sylvia i Maurice Blandfordowie, pani CA. Goundry, Ruth Margerison, pan J.E.J. Abberton, E. i F. Darville'owie,

profesor Rodney Elstow. Darville'owie kupili cztery obrazy, Rodney Elstow trzy, a dr Edward Winduss dwa. Pozostali kupili po jednym. - Charlie zrobiła pauzę na szybki wdech. - Adresy, które zapisała Jan Garner pod tymi dziewięcioma nazwiskami, nie istnieją. A raczej: osiem z nich nie istnieje w ogóle, a jeden...

- A nie mają zastrzeżonych numerów? - Nie.

- Raczej nie jest prawdopodobne, że żadna z tych dziewięciu osób nie ma telefonu.

- Praktycznie niemożliwe. W każdym razie nie. Kiedy skończyłam z szukaniem numerów telefonów, zadzwoniłam na pocztę. Nie ma takich adresów. Z wyjątkiem Ruth Margerison.

Simon spojrział na listę.

- Garstead Cottage, Aleja, Wrecclesham...

- W Wrecclesham mieści się Villers, szkoła, do której chodziła Wyers i Trelease. Rozmawiając z pocztą, poprosiłam o kod i pełny adres szkoły i zgadnij, co jeszcze wyskoczyło pod nazwą „Villers”. Adres i kod pocztowy Ruth Margerison.

Simon zmarszczył brwi.

- Nie nadążam.

- Teren Villers jest tak rozległy, że obejmuje kilka kodów pocztowych. W sumie jest ponad dwadzieścia budynków i każdy figuruje na poczcie osobno. Jednym z nich jest Garstead Cottage. Stoi przy Alei, która jest pewnie wewnętrzną drogą. Zadzwoniłam do Villers i poprosiłam, by połączono mnie z Ruth Margerison z Garstead Cottage, ale powiedziano mi, że nikt o tym nazwisku tam nie mieszka.

- Spytałaś, kto mieszka?

- Tak, lecz nie dostałam odpowiedzi. Za każdym razem kiedy tam dzwonię, nadziewam się na uprzejmą dyskrecję i zero pomocy. Nikt nie chce rozmawiać o Marcie Wyers.

- Trzeba tam pojechać. - Simon dopił resztkę piwa. - Jesteśmy z policji, będą musieli z nami rozmawiać. Nikt nie wie, że jesteśmy zawieszani.

- Jadąc tutaj, zadzwoniłam do Jan Garner. Spytałam, czy odnotowała przy każdym kupującym sposób zapłaty. Powiedziała, że nie i że nie pamięta. Na zestawieniu nazwisk kupców są tylko ptaszki, które oznaczają, że dana osoba zapłaciła. Ale przynajmniej jeden z kupujących płacił gotówką. To Garner zapamiętała, bo coś takiego prawie nigdy się nie zdarza.

- Skoro adresy nie istnieją, to może kupcy też nie - powiedział Simon.

- Jedno Garner pamiętała: większości z tych osób nie spotkała osobiście. Tylko trzy obrazy sprzedaly się na prywatnym pokazie.

- Cecily Wyers, Saul Hansard i Kerry Gatti?

- Nie była pewna, ale twierdziła, że to możliwe. Większość pozostałych kupców kontaktowała się z nią później, telefonicznie. Płatność i dostawę załatwiały firmy kurierskie i poczta.

- Czy to nietypowe? - spytał Simon.

- Garner twierdzi, że nie. Wzięła to za dowód na to, jak szeroko poniosła się wieść o talencie Aidana. Ludzie kupowali jego obrazy, nawet ich nie znając. Dwóch spośród nich, Elstow i Winduss, zażyczyło sobie prawa pierwokupu na każdy obraz namalowany w przyszłości przez Seeda. Jan zanotowała ten fakt.

- Trochę łatwowierna, nie sądzisz? Tylu kupców, których nawet nie widziała na oczy...

- Zarabiała pieniądze, sprzedając te obrazy. Nie można się spodziewać, że będzie w takiej sytuacji podważała czyjaś wiarygodność - odparła Charlie. - To była najbardziej udana wystawa w jej karierze.

- Villers. - Simon wstał z krzesła, biorąc do ręki swój notes. - To mój następny cel. Jedziesz ze mną?

- Nie powinniśmy najpierw porozmawiać z Milward? - spytała Charlie.

- Jak chcesz, to proszę bardzo - odparł Simon. - Ja sobie daruję. Gdy ją jeszcze raz zobaczę, rzucę się jej do gardła.

Charlie jakoś nie sądziła, że Milward będzie zainteresowana katalogiem z wystawy sprzed kilku lat.

- Nie - powiedziała. - Pojadę do domu. Któreś z nas musi pogadać z Kerryem Gattim. Wygląda na to, że ten kasek trafił się mnie.

- Westchnęła. - Mój szczęśliwy dzień. Jeszcze jeden do kolekcji.

Rozdział 23

Środa, 5 marca 2008

Budzę się gwałtownie, słysząc głośny, męski monolog na temat korków. Radio. Jestem w samochodzie, którego nie poznaję. Szare, skórzane siedzenia i małe drzewko zapachowe zwisające z lusterka, jak w taksówce. Mój mózg powoli składa kawałki układanki: to taksówka, którą zamówiła mi Mary i która wiezie mnie na dworzec.

- Dlaczego jesteśmy na autostradzie? - pytam kierowcę. Przez szczelinę między jego oparciem a zagłówkiem widzę kawałek różowego karku i siwe włosy tak porządne i równiutkie, że przypominają dywan. Kończą się idealnie prostą linią u nasady czaszki. Wszystkie trzy pasy ruchu są unieruchomione. My stoimy na środkowym. Przed nami kilka osób wysiadło ze swoich aut i albo się rozciągają, albo zaglądają przez otwarte okna sąsiednich samochodów, by porozmawiać z innymi kierowcami. Zastanawiam się, jak długo tu jesteśmy, jak długo spałam. Powoli robi się ciemno.

- Jedzie pani do Spilling, tak?

- Zamierzałam pojechać pociągiem - mówię. - Myślałam, że zawiezie mnie pan na dworzec.

- Kazano mi zawieźć panią do domu.

- Nie. - Odpycham od siebie przemożną chęć powrotu w bezpieczne objęcia snu. - Nie mam dość pieniędzy na...

- Nie potrzebuje pani pieniędzy - mówi kierowca, przekręcając lusterko tak, by mnie w nim widzieć. Ma worki pod i nad popielatymi oczami i ciężkie, białe brwi, które odstają, zamiast kłaść się płasko wzdłuż skóry. - Kurs jest na konto klienta. Od pani będę chciał tylko podpis, gdy będziemy już na miejscu. Jeśli w ogóle dojedziemy - dodaje radosnym tonem.

- Konto klienta?

- Villers.

- To jakieś nieporozumienie - mówię mu.

- Nie ma żadnego nieporozumienia, proszę pani. Powiedziano mi, żebym zawiózł panią do Spilling. Niestety wygląda na to, że trochę nam to zajmie. Dwa skrzyżowania przed nami był wypadek i ruch ograniczony jest do jednego pasa. Jeśli chce się pani pić, to w torbie podróżnej z tyłu jest woda. Powiedziałbym pani wcześniej, ale była pani nieprzytomna.

Po mojej prawej, w miejscu na nogi, leży przysadzista, niebieska skrzynka zamykana na suwak. Odpinam pas i pochylam się, by ją otworzyć. W jej schłodzonym wnętrzu jest osiem nieotwartych butelek wody mineralnej.

- Proszę się częstować - mówi kierowca. - Są dla pani, nie dla mnie.

Nic nie rozumiem. Jak mogą być dla mnie? Na co mi osiem butelek wody?

- Nie, dziękuję. - Czuję się nieswojo, będąc przez niego obserwowana. - Naprawdę wolałabym, żeby zawiózł mnie pan na dworzec. - Z tyłu jego fotela jest skórzana kieszeń, z której wystaje błyszczący papier czasopisma z czerwoną okładką: „The Insider”.

- Pierwszy raz w Villers, mam rację? Jest pani za młoda, żeby mieć tam córkę. Rozmowa o pracę, mam rację?

- Odwiedzałam znajomą.

- Pierwszy raz? W takim razie rozumiem, czemu nie jest pani przyzwyczajona do rolls - roycea. Gdyby była pani rodzicem, nauczycielką, a nawet jedną z dziewcząt, byłaby to dla pani norma. Tak między nami, miło jest poznać czasem kogoś, kto nie uważa, że należą mu się największe luksusy. Nie uczyła się pani w Villers, prawda?

- Nie.

- To widać. Villers to nasz główny klient, jesteśmy jedyną firmą, z którą współpracują. Właśnie dlatego: ze względu na jakość naszych usług. Chce pani teraz posłuchać radia? Przepraszam, że wcześniej pani przeszkadzałem, ale słuchałem wiadomości o korkach.

- Nic nie szkodzi. - Rozmowa zabiera mi energię, której nie mam pod dostatkiem. Muszę się zastanowić nad tym, co powiem Saulowi. Tak długo unikając spotkania w cztery oczy, nie mam teraz prawa zjawić się u niego bez zapowiedzi i zarzucić go pytaniami. Jest mi tym trudniej, że wiem, jak bardzo się ucieszy na mój widok i jak chętnie mi na wszystko odpowie. Myślałam, że Saul pokazał mi wszystkie swoje obrazy. Dlaczego ukrył przede mną obraz Aidana? Zanim zostałam zaatakowana przez Mary, czasami jadaliśmy razem kolacje u niego, wraz z jego rodziną, albo w moim domu, gdzie byliśmy tylko we dwoje. Było mi z tym niedobrze, ale w Blantyre Lodge nie ma miejsca na kolację z prawdziwego zdarzenia. Spotykaliśmy się głównie po to, by pokazywać sobie nowo zakupione obrazy.

Żartowaliśmy na temat naszych „kolekcji”, Saul mawiał: „Ty i ja wyznaczamy trendy na przyszłość. Gdy marynowane szkielety niemowląt, wysadzone diamentami czaszki i niepościelone łóżka zostaną wreszcie zdemaskowane jako oszustwo, będziemy w nowej awangardzie. Prawdziwa sztuka znów zasiądzie na królewskim tronie”.

Czy Saul wie, gdzie jest teraz Aidan? Czy wie, dlaczego zatytułował jeden ze swoich obrazów Morderstwo Mary Trelease?

- Program drugi pani odpowiada? - pyta mnie kierowca. - Czy woli pani piosenki? Mam kilka płyt.

Słowo „piosenka” przywodzi mi na myśl muzyczne rymowanki, których uczono mnie w szkole i których nienawidziłam.

- Może być radio - odpowiadam.

- W kieszeni za moim oparciem jest egzemplarz szkolnego pisma - mówi. - Najnowszy numer. Jak się pani znudzi, to zachęcam do lektury. Zobaczysz pani, jak żyje druga połowa.

Jedna połowa umiera, druga połowa żyje dalej.

Wyciągam pismo z kieszeni i zaczynam je przeglądać. Są w nim zdjęcia dziewcząt w żółtych bluzkach i rdzawoczerwonych marynarkach, stojących w szeregach i uśmiechniętych. Każda fotografia ilustruje inne osiągnięcie - pieniądze zebrane na cel dobroczynny, zwycięstwo w międzyszkolnym konkursie oratorskim. Na kolejnej stronie widzę kolejne zdjęcia uczennic, tym razem w żółtych strojach sportowych i kąpielowych. Tutaj dziewczęta trzymają w górze trofea. Widzę Claire Draisey, kobietę, którą poznałam wczoraj wieczorem. Też jest ubrana w żółty dres, bo - jak się dowiaduję z tekstu pod zdjęciem - oprócz nadzorowania internatu Claire trenuje również drużynę netballu i pływania synchronicznego.

Na odwrotnej stronie jest zdjęcie wspólnie wyglądającego budynku w kształcie sześciokąta, z białymi ścianami i dużymi oknami na każdej ze ścian. Już mam przewrócić kartkę, gdy moją uwagę przykuwa nazwisko „Cecily Wyers”. Budynek nazwano jej imieniem. Czytam akapit umieszczony pod fotografią. Jest w nim cytat z Cecily, byłej dziewczyny z Villers, mówiącej, że zawsze pasjonowała ją sztuka i dlatego wraz z mężem postanowiła pokryć większą część kosztów budowy wymarzonej przez szkołę, własnej przestrzeni teatralnej. Wpatruję się w te pięć linijek tekstu jeszcze długo po tym,

jak skończyłam go czytać, jakby mogły powiedzieć mi coś więcej o Marcie Wyers, coś, czego dotąd nie wiedziałam.

Dziwne, że Cecily nazwała budynek swoim imieniem, a nie imieniem swojej tragicznie zmarłej córki.

Już mam zamknąć czasopismo i odłożyć je na miejsce, ale w ostatniej chwili zauważam na dole strony następne nazwisko. Me, to niemożliwe. Patrzę na nie, czekając, aż zniknie, ale nic takiego się nie dzieje. Goundry. Widzę je, choć kontekst nie ma sensu. Czuję kłujący dreszcz przebiegający po moich ramionach, wzdłuż pleców, szyi i z tyłu kolan, jak setki małych igiełek powbijanych w skórę.

Czytam ponownie cały akapit. Goundry nie jest pospolitym nazwiskiem. Wilsona czy Smitha w ogóle bym nie zauważyła. Zostawiam czasopismo, otwieram torebkę i wydaję z niej listę kupców, którą dała mi Mary. Znowu to nazwisko: CA. Goundry. Adres w Wiltshire. Moje serce nagle zaczyna wybijać nieregularny, przeciągnięty rytm - kolejny szczegół przyciąga wzrok. Nie czytałam wcześniej adresów. Byłam zbyt oszołomiona, widząc tych dziewięć nazwisk figurujących na liście tak niewinnie - ludzie, którzy kupili obrazy Aidana w 2000 roku. Adres podany przez Ruth Margerison, która kupiła płótno zatytułowane *Która najpiękniejsza?*, to Garstead Cottage, Aleja, Wrecclesham. Domek Mary. Gapię się na odręcznie napisaną listę. Znam to pismo, to podwinięte „M” w nazwisku Margerison...

Odchrząkuję, zdezorientowana i wystraszona.

- Proszę pana. Kierowca wyłącza radio.

- Tak, słucham?

- Piszą w tym czasopiśmie coś o konkursie młodych talentów.

- Zgadza się. Organizują go co roku w pierwszą niedzielę po walentynkach. Villers jest pod presją, by zacząć przyjmować chłopców, ale dyrektorka i rada się nie zgadzają. Wszystkie statystyki pokazują, że łatwiej jest edukować dziewczęta, gdy w pobliżu nie ma chłopców. No, ale proszę to powiedzieć dziewczętom. Niektórzy rodzice mają takie podejście, że skoro ich córki chcą chłopców, to szkoła powinna zapewnić chłopców. Jak dobre posiłki i prywatne sypialnie w internacie. - Śmieje się. - Pewnie wysłuchuję więcej skarg niż dyrekcja. Ale nie bardzo mogę im pomóc. Jestem tylko kierownicą. Wszyscy oni sądzą, że mogą kupić wszystko, co zechcą, i na ogół faktycznie tak jest, ale w kwestii koedukacji rada szkoły głęboko się

okopała. Nauczyciele wiedzą, komu by się dostało, gdyby wyniki uczniów poleciały na łeb.

Mam ochotę nakrzyczeć na niego, żeby przeszedł do sedna.

- Przy okazji walentynek dużo tych złych uczuć się ujawnia, jak się pani domyśla - mówi, drapiąc się po karku. - Konkurs jest fajną zabawą, dzięki której dziewczęta mają zapomnieć o tym, że nie dostały żadnych kartek od chłopców, bo ci nie mają często pojęcia o ich istnieniu. Wielka szkoda, naprawdę. Ale dziewczyny uwielbiają ten konkurs. To jedyna impreza, w której poszczególne pensjonaty konkurują między sobą. Na ogół zawody odbywają się między szkołami i wtedy dziewczęta muszą stanowić zwarty front. Od pierwszego dnia wbijają im to do głowy: Villers to wielka, szczęśliwa rodzina, która wymaga absolutnej lojalności. I faktycznie jest szczęśliwa, to trzeba przyznać. Chętnie wysłałbym tam moje córki, ale marne na to szanse.

Pensjonaty. Jeszcze raz czytam akapit: „W tym roku, pierwszy raz odkąd zaczęliśmy organizować Walentynkowy Konkurs Młodych Talentów, zwycięskim pensjonatem był Goundry, zdobywając na koniec niesamowitą sumę 379 punktów. Gratulujemy, Goundry! Tradycyjne, wystawne śniadanie zwycięzców odbędzie się 1 marca w jadalni Goundry i nie pozwolimy, by dziewczęta i wychowawczynie z innych pensjonatów próbowały się wkraść na posiłek. Pamiętamy, co się działo w poprzednich latach, i tym razem stawiamy tamę!”.

To głupie, ale i tak go spytam.

- Nie wie pan przypadkiem, ile jest pensjonatów w Villers?

- Oczywiście, że wiem. Wielu rzeczy o szkole nie wiem. Pracuję...

- Ile? - Koncentruję się na jego różowym karku, starając się nie wybiegać myślami dalej.

- Zaraz, niech pomyślę. - Zaczyna stukać palcem w kierownicę. Liczę te stuknięcia i patrzę z paraliżującym niedowierzaniem, gdy mężczyzna zatrzymuje się przy dziewiątym. - Dziewięć.

- Jak się nazywają?

Radosnym głosem, jakby recytował imiona swoich córek - których nie mógłby posłać do Villers - zaczyna wymieniać nazwy pensjonatów, nie zdając sobie sprawy ze strachu, który z każdym jego słowem głębiej wbija się w mój mózg. - Abberton, Blandford, Darville, Elstow, Goundry - ten pensjonat wygrał w tym roku konkurs talentów. Miał niesamowity wynik. Goundry to pensjonat sportowy.

Darville i Margerison są bardziej intelektualne. Winduss to teatr i śpiew, więc oczywiście co roku spodziewają się miażdżącego zwycięstwa.

Fakt, że byłam świadoma, co mnie czeka, w najmniejszym stopniu nie przygotował mnie na wstrząs. Nowa fala potu przykleja mi koszulę do pleców. Me wiem, kim oni byli. Nigdy nam nie powiedzieli. Czy to nie dziwne? Zapomniałam o tych słowach Mary aż do teraz. „Nam”, czyli uczennicom. Dziewczętom nie powiedziano, na czyją cześć ponazywano poszczególne pensjonaty. Byli to prawdopodobnie prawdziwi ludzie.

- Do którego doszedłem? - pyta kierowca. - Ach, tak. Goundry. Potem jest Heathcote, Margerison, to już mówiłem, jeden z bardziej akademickich domów. Rodwell i Winduss to ostatnie dwa.

Stojące dotąd samochody zaczynają ruszać, najpierw powoli, ale stopniowo nabierają szybkości. Przerwy między autami robią się coraz dłuższe.

- Zdaje się, że jedziemy - mówi kierowca.

- Proszę się zatrzymać - wołam drżącym głosem. Przez ten czas, gdy wymieniał dziewięć nazw pensjonatów, wszystko się zmieniło.

- Jesteśmy na autostradzie. Nie mogę stanąć. Nic pani nie jest?

- Nie może pan zjechać na pobocze?

- Jeśli to konieczne. - Pierwszy raz obraca się w swoim fotelu i patrzy na mnie bezpośrednio. Skóra jego twarzy jest tak samo różowa jak kark i opuchnięta wokół plamistych policzków. Ma szarą brodę i białe wąsy, które zakrywają całą powierzchnię między górną wargą a nosem. Twarz doskonale się nadająca do sportretowania - ma więcej kolorów i faktur, niż można uświadczyc u większości ludzi.

Mój umysł przeskakuje do namalowanego przez Mary portretu Marthy Wyers, do różnych faktur i barw, które nadała jej twarzy śmierć: usta otoczone białą skorupą, plamista skóra na podbródku...

Rzucam się do przodu i chwytam zagłówek kierowcy, ciężko i szybko dysząc, czując napływającą pewność. Obraz Marthy... O, mój Boże.

- Wszystko w porządku?

- Niezupełnie. Może się pan zatrzymać na utwardzonym poboczu?

- To trochę niebezpieczne. Niedługo będzie stacja. Mogę tam stanąć.

Odbarwione plamy na podbródku Marthy. Myślałam, że to blizny albo jakiś płyn, który wyciekł z jej ust - wymiociny lub krew. Uciekałam wzrokiem przed detalami, bo nie mogłam znieść groteski.

Zresztą może była tam i krew albo siniaki, ale nie tylko to: jasnobrązowa plamka pod dolną wargą przypominająca kształtem dziecięcy schemat kości. Znamię.

Przypominam sobie farbę rozbryzganą na wierzchu sterty połamanych obrazów, krowy wyjące na polu za domem. Mary przechadzającą się wolnym krokiem dookoła góry śmieci, wydającą niski, niemal zwierzęcy jęk...

- Ma pan telefon komórkowy? - pytam kierowcę. - Muszę zadzwonić. Zapłacę panu.

- Niech pani nie żartuje - mówi. - Bardzo proszę. - Podaje mi aparat. - A pani nie ma? Myślałem, że dzisiaj wszyscy mają komórkę.

- Nie ja - mówię. Tak jak i Aidan. To jedna ze wspólnych cech, które szybko w sobie odnaleźliśmy. Odrzucająca była dla nas myśl, że gdziekolwiek byśmy byli, ktoś mógł zawsze naruszyć naszą prywatność.

Dzwonię do biura numerów i, ścisząc głos, proszę o połączenie z komisariatem policji w Lincoln. Spodziewam się usłyszeć nagrane powitanie, ale odbiera kobieta.

- Dobry wieczór, policja Lincolnshire. W czym mogę pomóc? Proszę o detektywa Jamesa Escritta, szykując się na złe wieści: jego zmiana skończyła się godzinę temu; już tam nie pracuje; nie mają pojęcia, gdzie teraz jest.

Mogę poprosić tylko jego, nikogo innego. Jeśli go nie ma...

- Proszę poczekać - mówi kobieta i parę sekund później słyszę głos, którego nie słyszałam od lat. Brzmi identycznie, jak wtedy.

- Tu Ruth Bussey - mówię, wiedząc, że pamięta mnie tak samo dobrze, jak ja pamiętam jego.

Czekam, aż spyta mnie, co u mnie słyszać, ale on od razu mówi: - Słyszałem wieści.

- Wieści?

- O śmierci Gemmy Crowther.

- To nie ja ją zabiłam - mówię mu. Taksówka zjeżdża lekko na lewo.

- Wiem - mówi Escritt.

- Potrzebuję pomocy. - Po tym wstępie, nie dbając o to, jak moja prośba wyda się dziwna jemu czy mężczyźnie, którego telefonu używam, pytam, czy mógłby sprawdzić moje ogrody. Nie wszystkie, jest ich zbyt wiele. Tylko te, które były pokazywane w czasopiśmie. Te, za które dostałam nagrody. Jest ich trzy. Podaję mu adresy. Po chwili wahania mówię:

- I Chata Cherubina.

Escritt nie pyta o powód ani nie wytyka mi nietypowości mojej prośby.

- Czego mam szukać? - mówi.

- Muszę wiedzieć, czy którykolwiek z nich został ostatnio zniszczony.

- Przez nowych właścicieli? - pyta. - Ruth, nie możesz...

- Nie, nie o to mi chodzi. Mówię o napaści na ogród. Czy właściciele zgłaszali w ostatnim roku jakieś poważne szkody?

Następuje cisza, podczas której Escritt najpewniej zastanawia się, czemu podejrzewam, że ktoś mógł zniszczyć ogród zaprojektowany przeze mnie lata temu. Wie, że moja milcząca odpowiedź oznacza niechęć do tłumaczenia się.

- Większości ludzi bym odmówił.

- Dziękuję.

- Może mi to zająć trochę czasu. Jesteś dostępna pod numerem, z którego dzwonisz?

- Jeszcze przez jakiś czas. Nie wiem, jak długo, ale... tak. Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale czy mógłbyś się pośpieszyć? Jeśli było jakiegokolwiek zgłoszenie...

- Zadzwoń - mówi szorstko Escritt.

Zaciskam telefon w dłoni. Kierowca nie prosi, bym mu go oddała. Nic nie mówi. Wyjmuję z torebki kalendarzyk i wyszukuję numer do Charlie Zailer. Po rozmowie z Jamesem Escrittem mam ochotę skontaktować się jeszcze z kimś, kto mnie zna i zwróci się do mnie per Ruth, nie „proszę pani”.

Nie słyszę sygnału, tylko nagraną wiadomość. Pewnie z kimś rozmawia albo wyłączyła telefon.

- Mówi Ruth Bussey - nagrywam się na pocztę głosową. - Proszę jak najszybciej zadzwonić pod numer... - Przerywam.

- Zero siedem dziewięć sześć osiem cztery cztery dwa zero jeden trzy - mówi kierowca. W jego głosie nie ma ani śladu wcześniejszej życzliwości. Pełen jest za to lęku lub dezaprobaty. Nie jestem pewna.

Powtarzam numer do słuchawki i naciskam czerwony guzik, po czym nachylam się w przód, by rzucić aparat na przednie siedzenie pasażera.

- Dziękuję.

- Stacja benzynowa. Zatrzymujemy się?

Powiedz nie. Wracaj do Spilling. Idź do domu. Niech policja się tym zajmie.

- Wracamy - mówię. - Do Villers. Niech pan jedzie poboczem, jeśli to konieczne. Ale proszę mnie tam jak najszybciej zawieźć.

Rozdział 24

5/3/08

Charlie miała nadzieję, że sprawy będą już dobiegać końca, gdy dojedzie do Spilling Gallery, ale kilka minut przed dziewiątą impreza trwała w najlepsze. Oświetlone wnętrze było ciemne od tłoczących się ciał i jak tylko wysiadła z samochodu, usłyszała charakterystyczny dźwięk: śmiech i zderzające się głosy.

Najpierw zadzwoniła do Saula Hansarda pod numer domowy, który znalazła w książce telefonicznej. Jego dom wymieniony był z nazwy: Stary Młyn. Zgadza się - pamiętała, jak wspominał coś o rozpadającym się budynku, który kupił wraz z żoną i przerobił. Charlie poznała Saula w zeszłym roku, kiedy kierowała inicjatywą wymierzoną w przestępstwa biznesowe. Brała w niej udział większość lokalnych właścicieli sklepów i firm, a Saul należał do najmniej bezczelnych i wymagających.

Dziś wieczorem odbywał się w galerii prywatny pokaz, poinformowała Charlie żona Saula, Breda. Witryny były tak zaparowane, że ledwo było widać wywieszane w nich obrazy. Wchodząc do środka, Charlie znalazła się w samym centrum boju między dwoma zapachami: wina i potu. Teraz wreszcie widziała obrazy - lokalne scenki upiększone nierealistycznie jaskrawymi kolorami i kawałkami złotej folii aluminiowej przyklejonej do każdego płótna, by imitować słońce lub żółte kwiaty rosnące przy drodze. Ohyda, ale idealnie trafiająca w gusta mieszkańców Spilling.

Saul zobaczył Charlie i oderwał się od grupy ludzi, z którymi rozmawiał.

- Cieszę się, że przysłali właśnie ciebie - powiedział. - Chodźmy na zaplecze.

- Kto mnie przysłał? - Charlie zdjęła kurtkę i przełożyła ją sobie przez ramię. Wnętrze galerii było nieznośnie rozgrzane i był to ten rodzaj gęstego, wilgotnego upału, który powstaje tylko tam, gdzie zbyt wiele osób tłoczy się w zbyt małym pomieszczeniu.

Saul jej nie usłyszał, więc powtórzyła pytanie. Wyglądał na zdziwionego.

- Nie przyjechałaś tu na moje wezwanie?

- Nie. A do kogo dzwoniłaś?

Zaplecze okazało się obszernym pokojem, który mógłby należeć do utalentowanego, choć niezdyscyplinowanego dziecka ze

skłonnościami artystycznymi. Wszędzie leżały flamastry, na każdej powierzchni i na podłodze. Na jednego z nich Charlie nadepnęła, przechodząc przez próg. O ściany opierały się duże arkusze białego kartonu zbryzganego farbą, na chwiejnych stertach leżały obrazy, oprawione i bez ram. Wszędzie mnóstwo puszek z farbą w aerozolu, pozasychaną na zewnętrznych ściankach i na blacie stołu, bibuła, głównie podarta, tu i ówdzie zwinięta niedbale w kulę. Wióry, klej...

- Chciałem z kimś porozmawiać - powiedział Saul, pociągając za czerwone szelki, te same, które nosił od zawsze. - Wczoraj i dzisiaj przychodzili do mnie najróżniejsi policjanci i zadawali dziesiątki pytań. Sami na żadne nie odpowiadali. Zacząłem się martwić. Pewne osoby, które są mi bliskie, mogą być w tarapatkach, mogły zaginać albo...

- Chodzi ci o Ruth Bussey, Aidana Seeda i Mary Trelease? Przez chwilę Saul wyglądał na zadowolonego, ale szybko górę wziął lęk.

- Ty też przyszłaś w ich sprawie?

- Nieoficjalnie.

- Mary Trelease nie jest mi bliska - powiedział z namysłem, jakby z trudem przychodziło mu przyznanie się do obojętności. - Choć oczywiście nie życzę jej źle. To bardzo dziwna pani. Trudna. Straciłem przez nią Ruth. Wiesz, że Ruth kiedyś tu pracowała?

- Opowiedziała mi o swoim starciu z Mary Trelease. To było tutaj, prawda?

Saul przytaknął.

- Widziałeś je?

- Tylko sam koniec. Ale to mi wystarczyło.

- Co dokładnie się stało?

- Poczekaj chwilę. Przepraszam. - Saul zdawał się głęboko poruszony. Wcisnął kciuk prawej dłoni we wnętrze lewej, jakby chciał przebić w niej otwór. - Możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy Ruth i Aidan są bezpieczni? Oboje są... Bardzo mi ciężko z myślą, że któreś z nich może mieć kłopoty.

- Nie wiem, czy są bezpieczni - powiedziała Charlie i natychmiast pożałowała swoich słów, widząc, jak fatalny miały wpływ na Saula. - Lepiej zapytaj tych z Londynu.

- Z Londynu? Nie rozmawiałem z nikim z Londynu. - Saul z każdą sekundą robił się bardziej nerwowy. - Do mnie przychodzili miejscowi detektywi. Wielokrotnie widziałem, jak wchodzą do

Brązowej Krowy. I jak wychodzą, nierzadko w znacznie gorszym stanie. Widziałem ich z tobą. Nie pamiętam ich nazwisk. Jeden z nich był wysoki i... sporawy, z północnym akcentem.

- Drugi niski i śniady z twarzą mściwego szczura? - spytała Charlie. Sellers i Gibbs, pomocne skrzaty detektyw Milward. Musieli się nie posiadać z radości, jak zobaczyli na ścianie Ruth Bussey galerię nieszczęść swojego byłej przełożonej. Charlie przypomniała sobie, jak Milward drwiła z tych samych nieszczęść. Poczwała narastający gniew. - Opowiedz mi o kłótni Ruth z Mary - powiedziała.

Saul był zaskoczony.

- Myślałam, że sama ci o tym mówiła.

- Mary przyniosła obraz do oprawienia, Ruth chciała go kupić, Mary nie chciała sprzedać.

- W dużym skrócie, tak. Mary to jedyna artystka, jaką kiedykolwiek znałem, która nie chce sprzedawać swoich obrazów. Nawet ich nie pokazuje. Kiedyś powiedziała mi, że najlepiej by było, gdybym ich nie oglądał podczas oprawiania. Odparłem, że to niemożliwe. Znając ją, nigdy nie ośmieliłbym się zaproponować kupienia jednej z jej prac, choć była wybitnie utalentowana. Powinienem był uprzedzić Ruth. - Wcisnął kciuk głębiej w lewą dłoń.

- Czy Mary znowu zraniła Ruth? Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

- „Znowu”? - spytała Charlie. - Co dokładnie się stało? Jak bardzo Mary ją zraniła?

- Nie złamała jej żadnej kości, jeśli o to ci chodzi. Krzywda była głównie psychologiczna. Mary przycisnęła Ruth do ściany, wzięła pełną puszkę z czerwoną farbą w aerozolu i opryskała jej twarz. Ruth całkowicie się potem wycofała, zamknęła w skorupie. Nie wróciła do pracy, do nikogo się nie odzywała.

- Co przede mną ukrywasz? - Charlie przechyliła głowę, zmuszając go, by spojrzał jej w oczy. - Posłuchaj, w zeszłym tygodniu Ruth przyszła do mnie z prośbą o pomoc. Myślę, że grozi jej niebezpieczeństwo. Cokolwiek mi powiesz, absolutnie wszystko, może zdecydować o tym, że szybciej ją znajdę.

- To ci na pewno nie pomoże.

Charlie zakładała, że nie będzie miała większych problemów z Saulem, a tymczasem on zdawał się obstawać mocno przy swoim, co tylko spotęgowało w niej chęć przełamania jego oporu.

- Nie możesz tego wiedzieć - powiedziała. - Proszę, Saul. Nie pytałabym cię, gdybym nie musiała.

Saul wbił wzrok w podłogę.

- Ruth się zmoczyła, okej? Okropieństwo. Dla niej musiał to być koszmar. Widziałem to ja, Mary i dwie osoby, które weszły do galerii kilka sekund wcześniej. Chciały obejrzyć obrazy, a nie zapłakaną, opryskaną farbą kobietę stojącą w kałuży własnego moczu. - Westchnął ciężko. - Nie powinienem był ci tego mówić. Jak byś się czuła, gdyby ktoś rozpowiadał o tobie takie rzeczy?

- Ludzie wiedzą o mnie rzeczy nieporównywalnie gorsze - odparła gwałtownie Charlie. - Spotkałeś się kiedyś z nazwiskiem Martha Wyers?

Saul zmarszczył czoło.

- Martha... Tak. To pisarka, prawda? Znajoma Aidana. Oboje brali udział w promocji młodych artystów jakiś czas temu. Mieli nawet sesję zdjęciową w gazecie. Piękni, młodzi artyści.

- Poznałeś ją?

- Tak mi się wydaje. Aidan miał wystawę w londyńskiej galerii.

- TiqTaq.

- Zgadza się. - Saul był zaskoczony tym, że Charlie wie. - Martha przyszła chyba na prywatny pokaz. Nie pamiętam, jak wygląda, ale nazwisko brzmi znajomo. Niewykluczone, że Aidan nas sobie przedstawił. W każdym razie pamiętam, że tam była. - Wziął do ręki flamaster i zakręcił nim na blacie stołu, cofając się w myślach o kilka lat. - Chyba nawet z mamą. Tak. Tak było, bo matka opowiadała mi o jej książce.

- Słońce skute lodem.

- Nie pamiętam tytułu, ale matka wprost pękała z dumy, co Marthę wpędzało w zakłopotanie.

- Widziałeś na tym pokazie Mary Trelease? Przez twarz Saula przebiegł dreszcz.

- Dlaczego miałyby tam być? - powiedział. - Mary nie zna Aidana.

- Charlie nie zaprzeczyła, a Saul wyszeptał: - Proszę cię, nie mów mi, że się znają. Nigdy nie posłałbym Ruth do Aidana, gdybym wiedział, że ma jakiegokolwiek powiązania z Mary.

- Kiedy zaczęłaś oprawiać jej obrazy? - szybko spytała go Charlie. Ludzie ze skłonnością do obwiniania samych siebie robią to, nawet gdy inni szczerze im to odradzają - tak podpowiadało jej

doświadczenie. Lepiej było iść dalej i odwrócić jego uwagę od własnych zmartwień, niż pozwolić mu się w nich pławić. O wpół do dziesiątej była umówiona z Kerrym Gattim w pubie w Rawndesley, nie miała czasu do stracenia.

- Jakiś czas temu - odparł Saul. - Dobre trzy, cztery lata. Mógłbym to sprawdzić, ale wątpię, bym miał jeszcze dokumenty z tamtego okresu.

Jakby na dowód swoich słów wziął ze stołu kartkę papieru, wpatrywał się przez chwilę w poorany, drewniany blat, po czym położył ją z powrotem w niemal identycznej pozycji.

- Gdy pierwszy raz się u ciebie pojawiła i przedstawiła jako Mary Trelease, to jej nazwisko nie wydało ci się znajome?

- Nie. A co? Powinno było?

Charlie nie widziała powodu, by mu nie mówić, zwłaszcza że był obecny na prywatnym pokazie, więc sam mógł to zobaczyć.

- Na wystawie Aidana w TiqTaq wisiał obraz zatytułowany Morderstwo Mary Trelease.

Saul był oburzony.

- Co takiego? Przecież...

- Nie zauważyłeś tego tytułu?

- W galerii był wtedy dziki tłum. Chyba nie zwróciłem uwagi na wszystkie tytuły, ale na pewno bym pamiętał obraz przedstawiający morderstwo. Niczego takiego tam nie było. - Nagle Saul blednieje. - Czy Mary została... zabita? - Tym razem nie czekał na odpowiedź. - Ostatni raz widziałem ją rok temu - powiedział, kręcąc głową. - Wystawa Aidana była w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym albo dwutysięcznym roku. Jak to możliwe...

Charlie zwalczała w sobie chęć zwierzenia się Saulowi, że jest tym wszystkim tak samo skołowana jak on, że trwa to od piątku, kiedy Ruth Bussey wciągnęła ją w historię pozbawioną sensu: chronologicznego i każdego innego.

- Na prywatnym pokazie Aidana kupiłeś jeden obraz - powiedziała.

- Tak. Jeśli chcesz go zobaczyć, to nie zobaczysz. Miałem go nie dłużej niż tydzień.

- Jak to?

Saul się zarumienił.

- Domyślam się, że to kolejna informacja, której muszę ci udzielić, jeśli masz znaleźć Ruth, tak?

- Będę dyskretna - zapewniła go Charlie.

- Sprzedałem go. Kilka dni po odebraniu obrazu z TiqTaq odebrałem telefon od kolekcjonera sztuki. Sam siebie uważam za kolekcjonera, ale nigdy nie powiedziałbym tego o sobie w sposób, w jaki ten człowiek to zrobił. Ja robię to wyłącznie dla przyjemności, on był ewidentnie jakąś grubą rybą i zapytał mnie, czy nie zechciałbym odsprzedać mu obrazu, który kupiłem na wystawie

Aidana. Wiedział, ile mnie kosztował, i zaproponował cenę czterokrotnie wyższą. - Na twarzy Saula pojawił się bolesny grymas.

- Przyjąłeś jego ofertę - zgadła Charlie.

- Czułem się fatalnie, ale owszem: wziąłem te pieniądze. Moja galeria nie była wtedy jeszcze tak znana jak dziś. Nawet teraz zdarza mi się mieć kłopoty z płynnością. Najdziwniejsze było to, że tak naprawdę nie bardzo mi się ten obraz podobał. Nigdy nie przyznałem się do tego przed Jan. Jan Garner. Jest właścicielką TiqTaq i moją starą znajomą.

Charlie przytaknęła.

- Według niej Aidan był największym objawieniem od czasu wynalezienia koła, ale ja się do jego prac nie mogłem przekonać. Bardzo go lubiłem jako człowieka, już wtedy dla mnie pracował, lecz w jego obrazach było coś, co zostawiało mnie z uczuciem pustki. Były zbyt... szorstkie pod pewnym względem. Mimowolnie mrużyłem oczy, patrząc na nie z bliska. - Saul wzruszył ramionami. - Niewątpliwie wpłynęło to na moją decyzję, choć wcale nie miałem dzięki temu lepszego samopoczucia. Jeśli już, to gorsze. Następnego dnia przyjechał kurier i zabrał obraz.

- A pieniądze? - spytała Charlie.

- Dostałem je niemal od razu. W ciągu paru godzin od naszej pierwszej rozmowy telefonicznej wpłynęły na moje konto. Osiem tysięcy funtów.

- Takie pieniądze to nie byle co - powiedziała Charlie z wyrozumiałością. Nie było takiego obrazu, którego nie sprzedałaby za osiem tysięcy funtów. Może z wyjątkiem Mony Lisy albo Słoneczników Van Gogha, jedynych sławnych płócien, które przysły jej do głowy.

- Naprawdę uważałem, że dla Aidana lepiej będzie, jeśli jego obraz zawiśnie u prawdziwego kolekcjonera, a nie na ścianie mojego domu - rzekł Saul. - A jednak nigdy mu o tym nie powiedziałem. Zbierałem się do tego, ale w końcu nie znalazłem odwagi. A to znaczyło, że przez cały czas, gdy dla mnie pracował, nie mogłem zaprosić go do siebie na kolację.

- Pewnie nie pamiętasz nazwiska tego kupca? - spytała Charlie bez nadziei na sukces.

- Tak się składa, że pamiętam. Pochodzę z hrabstwa Dorset i ten człowiek nazywał się tak samo jak moje miasteczko. Nikt, kto się w nim nie urodził, nie ma pojęcia, że istnieje. To znaczy: tylko połowę jego nazwy miał w nazwisku ten kolekcjoner. Słyszałaś kiedyś o Blandford Forum?

Charlie nie słyszała. Mimo to wiedziała, które z tych dwóch słów było nazwiskiem tajemniczego kupca, który złożył Saulowi propozycję nie do odrzucenia. Mężczyzny ożenionego z kobietą o imieniu Sylvia i zamieszkałego przy nieistniejącej ulicy.

- Nazywał się Blandford - powiedział Saul. - Nie jestem pewien imienia, ale chyba Maurice. Maurice Blandford.

Pub Łabędź w Rawndesley był tak samo nagrany i zatłoczony jak galeria. Charlie przepchnęła się do baru i zamówiła likier z limy z wodą sodową, bo czuła potrzebę nawodnienia organizmu. Widziała Kerry'ego przy stoliku z dwiema kobietami, czytającego książkę w twardej oprawie. On jej jeszcze nie zauważył. Spóźniła się, ale się za nią nie rozglądał. Pewnie nie obchodziło go, czy w ogóle przyjdzie. Wzięła drinka i rozpychając się łokciami, podeszła do niego, wylewając po drodze część likieru.

- Kerry - powiedziała.

- Chryste - odparł, podnosząc wzrok. - Zamówiłaś w barze próbkę moczu? - Jedna z siedzących przy stoliku kobiet odwróciła się do niego plecami, a druga rzuciła Charlie spojrzenie, które jasno stwierdzało, że nie ma z nim nic wspólnego.

Kerry czytał Krótką historię czasu Stephena Hawkinga. Wystająca ze środka zakładka tkwiła podejrzenie blisko pierwszej strony. Może gdzieś niedaleko piątej.

- Jesteś taki nieprzyjemny przez to, że masz dziewczęce imię, czy dlatego, że nie powiodło ci się w show - biznesie?

Kerry się roześmiał. Jedną z jego najbardziej irytujących cech było to, że najwyraźniej podobało mu się bycie obiektem drwin.

- Nie tylko ja mam na koncie nieudaną karierę. Twoja też jest na skraju upadku, z tego co słyszę. Twoja i twojego narzeczonego.

- Skąd wiesz, że się zaręczyłam? - spytała Charlie niezobowiązującym tonem. Z Kerryem trzeba było udawać, że się jest na wszystko obojętnym. Na tym polegał trik. Jeśli tylko widział, że udało mu się wbić komuś szpilę, wbijał ją jeszcze głębiej. Plusem było to, że można było jemu wbić tyle szpil, ile się chciało. Był jedynym znanym Charlie człowiekiem, który nie wymagał ani miligramu taktu i szacunku.

- Świadomie i jawnie śledzę twoje postępy - powiedział. - A raczej regres. Nie mów mi, że naprawdę chcesz wyjść za tego ponurego jełopa, Waterhouse'a.

- Taki mam plan - odparła.

- Jeśli prawdziwy, to fatalny. Ja osobiście nie wierzę, że to zrobisz. Kręci cię blichtr zaręczyn, ale w ostatniej chwili się wycofasz. Założę się, że nie ustaliliście jeszcze daty ślubu.

Charlie wzięła głęboki wdech.

- Ustaliliśmy czy nie, nie musisz się tym przejmować. Nie jesteś zaproszony. Przykro mi. - Rzuciła mu fałszywy uśmiech.

- Niepotrzebnie - odparł Kerry. - I tak nie mógłbym przyjść. Za bardzo bym się za ciebie wstydził.

- Nigdy w życiu nie rozmawiałeś z Simonem, mam rację? On nie był pewien, czy cię zna.

- No cóż, ja jestem pewien, kim on jest: mózgiem w naczyniu. Żywa legenda jako detektyw, martwa natura jako kandydat na męża. Wie o nas?

Charlie się zaśmiała.

- Tak. Wie o nas, czyli o mnie i kilkuset facetach, których przeleciałam przed zaręczynami. Do którego to grona należysz i ty.

- Ajajaj - jęknął Kerry. - Niegrzeczna dziewczynka.

- Jeśli pytasz o to, czy wie o tobie konkretnie,.. Jak już powiedziałam, Simon nie jest pewien, czy w ogóle cię zna.

- To się wkrótce zmieni. Wyświadczyłem wam dwojgu przysługę, bo taki już jestem miły gość. Jak już was wywalą na bruk i będziecie spłukani, zadzwońcie do Seba w First Call. Powiedziałem mu, że Waterhouse jest dobry. Przez wzgląd na starą przyjaźń skłamałem też,

że ty jesteś dobra. Poproście go ładnie, znajdzie wam zajęcie. Wiem, że to was nie zniechęci, ale prawdopodobnie nie będziecie mieli przyjemności pracować ze mną. Niedługo składam rezygnację i wracam na deski. - Kerry wzruszył ramionami. - Jestem zabawnym kolesiem. Trzeba wykorzystywać swój talent. Przykro mi słyszeć, że od zaręczyn zaniedbałaś swój największy dar. Podobno wzrosła liczba dzwoniących na linię dla samobójców. Teraz już wiem, dlaczego. W swoich najlepszych latach dawałaś wartościowy wkład w życie lokalnej społeczności.

- Znasz Aidana Seeda - powiedziała Charlie. - Byłeś na jego prywatnym pokazie w galerii TiqTaq w dwutysięcznym roku.

- Doprawdy?

- Kupiłeś obraz. Kilka dni później zadzwonił do ciebie kolekcjoner, który chciał go od ciebie odkupić i oferował więcej, niż zapłaciłeś. Znacznie więcej.

- Nie lubiłem Seeda, a jego obleśne obrazy jeszcze mniej - powiedział Kerry. - Nie kupiłbym go, gdybym nie był pijany. Aidan zdawał się mieć przed sobą przyszłość i pomyślałem, że to może być dobra inwestycja. Jak się okazało, zwróciła mi się z nawiązką szybciej, niż się spodziewałem.

- Sprzedałeś obraz niejakemu Maurice'owi Blandfordowi. A może komuś innemu. Mógł to być Abberton albo...

- Miałaś rację za pierwszym razem. Maurice Blandford. Co, robiłaś mu laskę?

- Nie. Jeśli on naprawdę istnieje, jeśli ma laskę, którą można zrobić, to nie.

- Każdą laskę można zrobić - odparł Kerry. - Możesz zaufać posiadaczowi świętego egzemplarza.

- Rozumiem, że mówisz o zapasowym fiucie, który trzymasz w słoiku na specjalne okazje.

- Jeśli dla ciebie to było specjalne...

Cholera. Powinna była to przewidzieć. A tak sama była sobie winna.

- Czy Aidan Seed wynajął cię, żebyś śledził Ruth Bussey?

- Ty czy wielmożny Neil Dunning: zasada jest ta sama. - Kerry wziął łyk drinka, który wyglądał na porto, po czym uśmiechnął się współczująco do Charlie. - Ty masz nawet gorzej, skoro nie możesz przyjść nazajutrz z nakazem. Spójrz prawdzie w oczy, jesteś

skończona. To ci się spodoba: Dunning zapytał mnie, czy można ufać tobie i Waterhouse'owi. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nie martw się, wstawiłem się za wami. Jeśli poprawi ci to humor, to Dunning gównu ode mnie dostanie. Z nakazem czy bez nakazu. Więc nie możesz mnie oskarżyć o grę nie fair.

Pierwszy raz od początku rozmowy Kerry przybrał poważny wyraz twarzy.

- Nie jestem Czerwonym Krzyżem, kotku. Pomagam ludziom dopiero po podpisaniu czeku. Poza tym niczego nie mówię i o nic nie pytam. Bo ja, widzisz, nie jestem ciekawski. To najlepsza cecha, jaką można mieć w tej delikatnej profesji. Czy ja cię spytałem, kim jest Maurice Blandford? - zakończył tryumfalnym tonem.

- Poznałeś go? - zapytała Charlie. - Czy przysłał kuriera po obraz i przelał pieniądze bezpośrednio na twoje konto? Tak było, mam rację? Nie wydało ci się to dziwne?

- Jediną rzeczą, jaka wydaje mi się dziwna, są twoje pytania. Twoje i Dunninga. Składając je wszystkie do kupy, powiedziałbym, że Aidan jest jakoś zamieszany w tajemniczą śmierć, która spędza Dunningowi sen z powiek. Może Blandford też miał w niej udział, ale nie wiem jaki i nic mnie to nie obchodzi. Jak mówiłem, najpierw podpisujemy czek.

- Pewnie nie masz w domu wyciągu bankowego z numerem konta?

Kerry zarżał.

- Właśnie to w tobie uwielbiam: delikatna woń desperacji, twój niepowtarzalny zapach.

Charlie się nie poddawała.

- Ile dostałeś za ten obraz? Coś około ośmiu tysięcy funtów?

- Jeśli czekasz, aż zapytam, skąd to wszystko wiesz, to się nie doczekasz - powiedział Kerry. - Nie wtrącam się w cudze sprawy w obawie przed konfliktem interesów. - Uniósł swoją szklanę i stuknął się z Charlie. - Muszę dbać o swojego sponsora, swoją wcześniejszą emeryturę. Moje nazwisko świetlistymi literami na fasadach klubów komediowych...

- Sponsora? Poklepał ją po dłoni.

- W życiu wszystko sprowadza się do tego, po czyjej stajesz stronie. Ty jesteś po stronie Waterhouse'a i dlatego masz już z głowy

karierę i życie miłosne. Ja? Trzymam stronę swoich klientów, bo w końcu to oni mnie karmią.

- Powiedziałeś „sponsor” w liczbie pojedynczej. - Kerry był zbity z tropu. Teraz to Charlie zatryumfowała. - Pieniądze cię lubią, Kerry. Najpierw kupujesz obraz nieznanego nikomu malarza za tysiąc? Dwa? I nagle obcy człowiek oferuje ci za niego osiem, choć miałeś go zaledwie tydzień.

- Wytargowałem dziesięć tysięcy - poprawił ją. - I nie wytrzymałem całego tygodnia.

Charlie wierzyła mu, gdy mówił o swoim braku ciekawości. Ale wiedziała też, że jak większość mężczyzn, musiał zawsze udowodniać, że wie więcej, musiał trzymać ster.

- A potem znajdujesz klienta, który mocno przepłaca za twoje usługi - ciągnęła, mając nadzieję, że dobrze zgadła. - Płaci ci tyle, że możesz zacząć myśleć o rzuceniu pracy i spędzeniu reszty życia na obrażaniu kilkusobowych publiczności w obskurnych pubach i klubach w całym kraju. Nie Aidan Seed. Powiedziałeś, że go nie lubisz, więc to nie on kupił twoją lojalność. To Mary Trelease, mam rację? Ona zapłaciła ci za śledzenie Ruth Bussey.

Mary, ze swoim wyrafinowanym akcentem i wykształceniem z Villers, tak bardzo nie na miejscu w osiedlu Winstanley. Któż inny?

- Albo Gemma Crowther - dodała Charlie na wszelki wypadek. - Która funduje ci powrót do starej pasji? Mary czy Gemma?

- Żadna z nich. - Kerry wyglądał na zadowolonego z siebie. - Chyba że któraś z nich zostawiła testament, o którym nic nie wiem.

- Co powiedziałeś?

- Grubo się mylisz. - Każde słowo wypowiedział powoli i wyraźnie, jakby mówił do imbecyla.

Udawaj, że już wiesz. Udawaj, że wiesz to, co on wie lub co sądzi, że wie.

- Czy Aidan Seed zabił Gemmę Crowther? I Mary Trelease? Kerry zmrużył powieki. Przypominał teraz wygrzewającego się na słońcu kota.

- Mogę ci powiedzieć tyle: jesteś o krok przed swoim kolegą z Londynu.

- Dunning nie wiedział, że Mary Trelease nie żyje - powiedziała Charlie, świadoma swojego szaleńczego tętna.

- Sprawiał wrażenie lekko pogubionego - zgodził się Kerry.

- Mówił o niej tak, jakby ciągle żyła. Pytał cię, czy ją znasz. - Charlie nie wiedziała, dokąd zmierza, ale kierunek wydawał się jej słuszny. Żałowała, że nie ma z nią Simona. - Powiedziałeś mu, że Trelease nie żyje?

Kerry uniósł w górę otwarte dłonie.

- Nie mam obowiązku go poprawiać. Nawet jeśli wróci jutro z nakazem, jak obiecał, nie dostanie żadnych informacji ode mnie ani z mojego nieskazitelnego biura. Nikomu nic nie mówię.

- Chyba że zobaczysz podpisany czek. Wiem - powiedziała Charlie z niecierpliwością w głosie. - No dobrze, w takim razie ile? Jaka jest twoja cena za wszystko, co wiesz o Aidanie Seedzie, Mary Trelease...

- Charlie, złotko, nie poniżaj się. Nie będziesz mogła sobie tego wliczyć w koszty.

- ... i Marcie Wyers.

Ostatnie nazwisko zmyło uśmiech z jego twarzy.

- O nią Dunning cię nie pytał, co? Śmiało, podaj swoją cenę.

- Jestem poza twoim zasięgiem - odparł Kerry. - Finansowo, bo jeśli proponujesz płatność w naturze... - Spojrzał na piersi Charlie i oblizwał dolną wargę. - Mogę się zastanowić.

- Jasne. Ciągle masz w sypialni imitację lamparciej skóry?

- Lamparcia skóra jest bardzo sexy, seniorita.

- Nie, jeśli są na niej zaschnięte płatki śniadaniowe. - Mówiąc to, Charlie przypomniała sobie, z kim ma do czynienia. Nie dostanie żadnych informacji z mojego nieskazitelnego biura. Kerry Gatti nie miał nic wspólnego ze słowem „nieskazitelny”. Był takim samym zadowolonym z siebie flejtuchem, jak zawsze. U jego stóp leżała otwarta aktówka. Trzymał ją między nogami.

Charlie podsunęła swój likier w jego stronę.

- Zamówię sobie prawdziwego drinka - powiedziała. Gdy wstawała, Kerry otworzył książkę. Może faktycznie interesowały go czarne dziury. Oby kiedyś do takiej wpadł.

Przy barze Charlie pokazała odznakę dwóm młodym mężczyznom, którzy stali obok niej.

- Dam wam dwadzieścia funtów na łebka, jeśli się do mnie przychrzanie - powiedziała. - Na tyle głośno, żeby cały pub was słyszał. Opieprzcie mnie za wpychanie się bez kolejki.

- Że co? - spytał jeden z nich, najwyraźniej nie najbystrzejszy.

- Pokaż forszę - odezwał się jego kumpel. Upewniając się, że Kerry jest pochłonięty lekturą, dała każdemu po dwadzieścia funtów. Zaczęli się śmiać.

- Tylko na tyle was stać? - spytała. Wcale nie potrzebowała oscarowych kreacji, wystarczyło trochę głośnej agresji. Wyglądali na takich, co powinni dać sobie radę. W końcu jednak musiała postraszyć ich aresztowaniem za kradzież i jeden z nich, ten odrobinę inteligentniejszy, zaczął na nią pokrzykiwać. Za głośno, naprawdę się wczuł w rolę, ale to nie miało znaczenia. Charlie pozwoliła, by obrażał ją przez jakieś pół minuty, a w końcu odeszła od baru, mówiąc: - Dobra, nieważne. Nie chcę żadnych problemów. - Gdy wracała do stolika, wykrzykiwał pod jej adresem jakieś obelgi. Ciężko pracuje na swoją dolę, sukinsyn. Usłyszała, jak barman grozi, że wywali go z baru, jeśli się nie przymknie.

- Co to było? - Kerry wyglądał na rozbawionego. - Gdzie twój drink?

- Szkoda życia - odparła krótko.

- No tak, słyszałem, że przestałaś lubić ryzyko. Daj mi pieniądze, zamówię ci coś.

- Nie dam ci żadnych pieniędzy. - Charlie powstrzymała się przed zapytaniem, co dokładnie słyszał. Czy chodziło mu o jej odejście z wydziału kryminalnego? Czyżby ludzie uważali, że zrobiła to ze strachu? - Jak chcesz, to ty i twój sponsor możecie postawić mi wódkę z sokiem pomarańczowym.

Kiedy tylko odszedł do baru, chwyciła jego aktówkę nogami i przyciągnęła do siebie. W środku była książka pod tytułem Głos i aktor, płyta DVD z drugim sezonem serialu The Wire, iPod, kilka kompaktów - Rush, Pink Floyd i Genesis - i dwie cienkie, niebieskie koperty. Charlie otworzyła jedną z nich i zobaczyła nazwisko Aidan Seed. Na sekundę zamarła, bo nie przywykła do rozwoju wydarzeń zgodnego z jej pragnieniami.

Wsunęła obie koperty pod bluzkę i skrzyżowała ręce przed sobą, idąc w stronę schodów prowadzących do toalety. Zamiast jednak wejść na piętro śladem pijanej dziewczyny z grubymi łydkami i w ubrudzonych błotem szpilkach, poszła na koniec korytarza, gdzie obok drzwi do męskiej toalety była jeszcze jedna para drzwi z napisem „Wyjście awaryjne”. Charlie nacisnęła na srebrną belkę i wyszła na dziedziniec pełen pustych skrzyń i kontenerów.

Pobiegła przed pub, przez parking i na ulicę. Jej audi stało dwoma kołami na chodniku, pod latarnią. Wyjmując koperty spod bluzki, skierowała pilota w stronę samochodu i nacisnęła guzik. Ani śladu reakcji.

- Otwórz się - jęknęła przez zaciśnięte zęby.

Spróbowała jeszcze raz. Nic. Jeszcze raz i jeszcze. Cholera. Obejrzała się za siebie. Kerry'ego ciągle nie było.

Otworzyła samochód kluczem, uruchamiając autoalarm. Syrena brzmiała jak nagłośniona piła przecinająca metal. Ludzie na ulicy rzucali jej podejrzliwe spojrzenia, wołając coś, czego nie słyszała, ale też zupełnie tego nie żałowała.

Pocąc się pomimo chłodu, jeszcze kilka razy wcisnęła guzik otwierający zamki. Bez skutku. Spróbowała z guzikiem zamykającym, to samo. Bateria była kompletnie wyczerpana. Nie mając zapasowej, Charlie wiedziała, że nie wyłączy alarmu.

Znowu spojrzała za siebie przez ramię i tym razem zobaczyła Kerry'ego. Stał na parkingu, rozglądając się na wszystkie strony. Schowała się za murkiem, który oddzielał teren pubu od ulicy, a gdy zza niego wyjrzała, zdążyła dostrzec, że Kerry pobiegł na tył lokalu. Wiedziała, że szybko wróci, nie znajdując jej tam.

Nie mając czasu na myślenie, Charlie porzuciła swój szlochający samochód i pobiegła z powrotem do pubu. Ścisnęła mocno koperty, by nic z nich nie wypadło. Było raczej mało prawdopodobne, że Kerry wróci do środka. Wiedząc, co Charlie zrobiła, nie wpadłby na to, że nigdzie się nie ruszyła.

Pobiegła schodami na górę, do damskiej toalety, gdzie odepchnęła na bok parę oburzonych, pijanych nastolatków i zamknęła się w kabinie.

Nie otworzyła kopert od razu. Była zbyt zajęta oddychaniem. W dodatku wydawało się jej, że robi to pierwszy raz od bardzo dawna. Ciągle słyszała ten cholerny autoalarm. Gdy w końcu minął ból głowy, a pokryta graffiti kabina toalety przestała tańczyć jej przed oczami, Charlie była gotowa przeczytać to, co ukradła Kerry'emu.

Jedna koperta zawierała informacje o Ruth Bussey, a druga o Aidanie Seedzie. Z tej pierwszej Charlie nie dowiedziała się niczego nowego: ewangelicka rodzina, firma projektująca ogrody, trzy wyróżnienia. Większość informacji zebranych przez Kerry'ego dotyczyła Gemmy Crowther i Stephena Eltona. Było dużo relacji z

procesu sądowego. Charlie wyobrażała sobie, jak dumny musiał być z siebie Gatti, gdy wyniuchał ten smaczny kąsek.

Otworzyła drugą kopertę i tutaj znalazła nowe informacje: szczegóły dotyczące lat szkolnych Aidana i ojca, który zmarł na raka płuc. Wertowała kartki w poszukiwaniu czegoś istotnego. Nowotwór u matki - również płuca. Ojczym...

Charlie nie opanowała krzyku. Ojczym Aidana Seeda. To było to. Wyjęła z torebki telefon i zadzwoniła do Simona. Poczta głosowa. Jasna cholera. Gdzie on się podziewał? Nigdy nie zapominał o swoim telefonie, był zbyt znerwicowany. Dla niego każde nieodebrane połączenie stanowiło na zawsze straconą szansę. Była to jedna z rzeczy, z których Charlie nieustannie drwiła, I z tego, że nikt nie dzwonił do niego częściej niż matka.

Ktoś spuścił wodę w sąsiedniej kabinie, Charlie odczekała, aż dźwięk spuszczonej wody ucichnie i znowu wybrała numer Simona. Tym razem nagrała wiadomość:

- Ojczym Seeda nazywa się Len Smith. Jest w otwartym zakładzie karnym w Long Leighton w Wiltshire, gdzie odsiaduje wyrok dożywocia za morderstwo popełnione w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Udusił kobietę. - Kerry nie napisał w swoim raporcie, czy ofiara była naga i w łóżku, ale Charlie mimo to wiedziała. Policzyła szybko w głowie: Aidan Seed miał trzydzieści dwa lata, gdy w 1999 roku pojawił się o nim artykuł w „Timesie”, czyli w 1982 miał piętnaście.

- Smith zamordował swoją partnerkę w ich domu - nagrywała dalej. - Nie muszę ci mówić, gdzie: Megson Crescent piętnaście. Mieszkali tam z pasierbicą i dwoma pasierbami. Aidan i jego rodzeństwo. - Na wypadek, gdyby Simon miał takie same trudności z uwierzeniem, jak ona, Charlie dodała: - Nie wymyślam tego. Aidan mieszkał w tym domu, ale w końcu z niego uciekł. Kobieta, za której śmierć Len Smith odsiaduje dożywocie, nazywała się Mary Trelease.

W kopercie były kopie zdjęć z gazet, ziarnistych, ale dość wyraźnych, by Charlie zobaczyła, że Mary Trelease zabita przez Lena Smitha w niczym nie przypominała Mary Trelease, którą ona poznała. Którą poznała w tym samym domu, gdzie mieszkała i zginęła tamta Mary Trelease. Przybliżyła do twarzy najwyraźniejszą fotografię. Widziała już gdzieś tę kobietę, ale gdzie? Czy to możliwe? Pierwsza Mary Trelease nie żyła od dwudziestu sześciu lat. Smith miał teraz lat

siedemdziesiąt osiem, jak zanotował Kerry. Kilkakrotnie odmawiano mu zwolnienia warunkowego.

Charlie miała już włożyć telefon z powrotem do torebki, gdy zauważyła na ekranie ikonkę koperty. Wiadomość. Jak długo tam była? Kiedy ostatni raz sprawdzała? Nacisnęła „1”, by ją odsłuchać, spodziewając się, że to będzie Simon, ale zamiast niego usłyszała - z dużym zaskoczeniem - głos Ruth Bussey.

Rozdział 25

Środa, 5 marca 2008

- Niech pan tu poczeka - mówię kierowcy, wysiadając z taksówki, która właśnie zatrzymała się przed Garstead Cottage. - Proszę nie wyłączać silnika. - Mijam biegiem wyciętą z kartonu krowę z żółtym kolczykiem w uchu i walę pięściami w tylne drzwi chaty. Słyszę ulubioną piosenkę Mary, Survivor. W końcu otwiera drzwi, mrużąc oczy, jakbym stała w świetle, a ona wyszła po długim czasie przebywania w ciemności. Nie spodziewała się mnie zobaczyć.

- Musisz stąd uciekać - mówię jej. - Nie mam czasu na tłumaczenia. Taksówka stoi przed domem. Pojedź gdzieś, dokądkolwiek. Do domu matki Marthy.

- Cecily? - Patrzy na swoje bose nogi, nie rusza się. Ma na sobie podarte dzinsy i czarną koszulę poplamioną farbami. Mam ochotę złapać ją za kołnierz i odepchnąć na bok.

- Co się dzieje? - pyta mnie. Coś muszę jej powiedzieć.

- Zadzwoiłam na policję w Lincoln. Dwa ogrody, które zaprojektowałam, zostały zdewastowane: rozkopana ziemia, powyrywane rośliny. Jeden zniszczono minionego lata, drugi wczoraj rano. - Mniej niż sześć godzin po śmierci Gemmy Crowther.

Mary otwiera szeroko oczy.

- Chata Cherubina?

- Nie. Dwa z trzech ogrodów, za które dostałam nagrody. - Nie mogę tego zrozumieć i nie chcę. Ponad moje siły jest wniknięcie w umysł człowieka, który atakuje coś tak pięknego i naturalnego jak ogród. Coś tak wyjątkowego. Właściciele zasadzą nowe rośliny, ale nie będzie to ten sam ogród. Nie ma dwóch takich samych ogrodów.

Nie mogę poddać się smutkowi, nie teraz, kiedy muszę być bystra i uważna.

Mary chwyta za framugę.

- Tobie też to zrobił.

- Posłuchaj, nie mamy czasu. On tu jedzie. Uciekaj!

- Nie zostawię cię...

- Nie masz wyboru! Teraz ci nie wyjaśnię. Musisz mi zaufać, tak jak ja zaufałam tobie. Podaj mi numer swojej komórki, zadzwonię, jak tylko będę mogła.

- Daj mi parę minut - mówi Mary i znika w środku. Sekundy ciągną się w nieskończoność. Kierowca taksówki wyłącza silnik. Daje mu sygnał, żeby z powrotem go uruchomił.

Gdy Mary znów pojawia się w drzwiach, ma na sobie buty i kurtkę, a w dłoni trzyma torbę podróżną w kolorze khaki.

- Zostawiłam ci numer na stole w kuchni, przy telefonie. Weź klucze. - Wkłada mi je do ręki. - Zadzwoń do mnie. - Grzebie w torebce, zdecydowanie zbyt wolno. Mam ochotę krzyknąć, żeby się pośpieszyła. - Pojedź ze mną - mówi. - Możemy obydwie...

- Nie mogę. Jedź do swoich rodziców i...

- Do moich rodziców? - Mary mruga na mnie w ciemności.

- Pojedź do mojego domu. - Wyjmuję z torebki swoje klucze i rzucam je w jej stronę. - Zadzwoń na policję i poproś, żeby ktoś z tobą czekał.

W końcu wsiada do taksówki.

- Zadzwoń - mówi przed zamknięciem drzwi. - Uważaj na siebie.

Patrzę, jak samochód zawraca, jedzie długą ścieżką po dyskretnie ułożonych progach zwalniających przypominających małe pagórki i w końcu wyjeżdża przez główną bramę szkoły. Gdy znika za horyzontem, biegnę z powrotem do domku. Mary zostawiła otwarte drzwi, przez które wciąż słychać muzykę. Biegnę do jadalni i przekręcam klamkę, lecz drzwi nie ustępują. Próbuję w drugą stronę i nic. Są zamknięte na klucz. Sięgam ponad framugę, ale go tam nie znajduję. Na oślep przesuwam palcami po wąskiej półce. Po kluczu nie ma ani śladu.

Wracam biegiem do kuchni, gdzie widziałam wcześniej inne klucze wiszące na haczykach przymocowanych do drewnianej szafki. Tak - pięć metalowych haczyków przykręconych do drewna. Więcej niż pięć kluczy. Wypróbowuję każdy z nich, ale żaden nie pasuje. Będę musiała wybić okno.

Przebiegam obok stołu kuchennego, na którym Mary namalowała swój numer komórkowy. Obok bezprzewodowego aparatu leży cienki pędzel z niebieską końcówką. Na zewnątrz nie ma żywej duszy. Widzę światła w kilku oknach głównego budynku szkoły, tego z wieżą, ale wydają się one oddalone o milion kilometrów.

Na tyłach Garstead Cottage jest ciemniej niż z przodu, bo nie dochodzi tutaj światło z drogi. Jest tu okno, które musi być oknem jadalni - tylko ono ma właściwy rozmiar. Schylam się, by podnieść z

ziemi duży kamień, lecz nagle gwałtownie się cofam. Nie mogę wziąć do ręki kamienia i go rzucić. Po prostu nie mogę tego zrobić. Czym jeszcze można wybić szybę? Moje buty nie są dostatecznie ciężkie, nie mam też nic w torebce.

Rowery przed domem. Biegnę do głównego wejścia i obok rowerów znajduję coś jeszcze lepszego niż kamień: żelazną pompkę. Chwytam ją i wracam pod okna jadalni.

Właśnie mam cisnąć pompką w szybę, gdy nagle milknie muzyka. Waham się, wsłuchując w otaczającą mnie gęstą ciszę. Niecałe pięć sekund później zgiełk powraca: ta sama piosenka, powtarzana w kółko i na okrągło.

- Pomocy! - krzyczę w pustkę. - Pomocy! - Nie ma reakcji.

Rzucam żelazną pompką w okno, wkładając w to wszystkie siły. Szkło rozpada się na kawałki, z których większość wpada do pokoju. Używając pompki, wybijam pozostałe w ramie okna wystające kawałki szyby. W końcu wchodzę do środka i odgarniam na bok ciężkie zasłony. Powietrze w środku pełne jest czegoś, co na pierwszy rzut oka biorę za małe, kolorowe ptasie pióra, ale faktycznie są to kawałki płótna zdmuchnięte ze szczytu sterty przez wiatr, który wpuściłam, wybijając szybę. Oto mam przed sobą ogromny, łuszczący się i zawalający twór, który wygląda, jakby wyrastał z podłogi: góra zniszczonych obrazów. I farba, którą Mary ją oblała... Schylam się i dotykam palcami małej, niebieskiej kałuży: jest jeszcze mokra. Jeszcze więcej farby, odkąd byłam tu ostatnio. Podnoszę palce do nosa i wącham.

Nie jest to rodzaj farby, której ktokolwiek użyłby do malowania obrazów. Zapach jest zbyt intensywny, chemiczny. Patrząc na stół. Stojące na nim puszki farby, te same, które widziałam, gdy byłam tu z Mary, są okrągłe i szerokie. Dulux. Do malowania ścian, nie płócien. Do maskowania jeszcze gorszego zapachu pod spodem. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Żadna ze ścian w Garstead Cottage nie jest pomalowana takim odcieniem błękitu. Ani żółci. Ani czerwieni.

Z walącym sercem nachylam się, by dotknąć czerwonej plamy. Konsystencja jest inna. Wącham palce i krzyczę. Krew.

Rzucam się na stertę obrazów i zaczynam ją burzyć, odgarniając na bok, przerzucając jej części rękami, starając się dotrzeć do środka. Dokopuję się do wewnątrz, wypluwając po drodze kawałki płótna. Co kilka sekund podnoszę twarz, by zaczerpnąć powietrza. Zagłębiam się

i prę, aż dotykam czegoś twardego i zimnego, co nie może być obrazem ani częścią ramy.

Zaciskam na tym czymś dłoń i wyciągam na zewnątrz: młotek. Na jego srebrnej główce widzę zaschniętą krew. Odrzucam go z obrzydzeniem na drugi koniec pokoju i dalej kopię. Muszę mieć rację, muszę...

Dotykam ręki.

Namalowany uśmiech, paznokiec, kawałek szaroniebieskiego nieba.

Gdy Mary mnie tu przyprowadziła, zobaczyłam paznokiec. Myślałam, że jest częścią obrazu, ale się myliłam. Był prawdziwy.

Rozgrzebuję rękami resztę sterty, aż ostatecznie się rozpada i wreszcie go widzę.

- Aidan! - wołam przez łzy. Wybacz mi. Tak bardzo mi przykro.

Ma na wpół przymknięte oczy i usta zaklejone błyszczącą, brązową taśmą. Odrywam ją w nadziei na to, że Aidan się poruszy albo wyda jakiś dźwięk. Nic. Boję się patrzeć na jego nieruchomą, bladą twarz, by nie zobaczyć, że jest nieruchoma zbyt długo. Żył jeszcze wczoraj wieczorem, nawet dzisiaj. Krowy wyjące na polu za oknem... Wydawało mi się, że jedna z nich cierpiała ból. Niski jęk, który - jak sądziłam - wydała z siebie Mary... To Aidana słyszałam, Aidana jęczącego w agonii. To z niego życie uchodziło w kroplach krwi, którą wzięłam za czerwoną farbę na kremowym dywanie. Dlaczego go nie zobaczyłam? Dlaczego się nie spostrzegłam?

Pod prawym barkiem jest w jego koszuli ciemny otwór, czarny na krawędzi, jakby materiał się spalił. Postrzelony - jest postrzelony. Ma otwarte bezwładnie usta i widzę w nich coś kolorowego, większego od języka. Dotykam delikatnie i wyjmuję. To gąbka w kolorze brzoskwini, podobna do tej, którą zakneblowała mnie Gemma Crowther. Ona też użyła taśmy do paczek, żeby zamknąć mi usta i unieruchomić gąbkę. Na krótką chwilę paraliżuje mnie dokładność tej rekonstrukcji, lodowata fala strachu zalewa mnie od stóp do głów. Myślałam, że gdy poznam prawdę, lęk minie, ale tak się nie dzieje. Jest jeszcze gorzej.

Aidan nie zniszczył moich ogrodów ani obrazów Mary. Okłamała mnie. Powiedziała mi, że jej wystawa, która nigdy nie doszła do skutku, ta, którą Aidan zmyślił, składała się z osiemnastu obrazów. Czy zapomniała, że mi o tym mówiła, gdy pokazywała listę kupców z

wystawy Aidana w TiqTaq? To nie była oryginalna lista, ale przepisana przez nią wersja. Rozpoznałam jej „M”, pamiętając podpis pod Abbertonem. Osiemnaście obrazów na wystawie Aidana, osiemnaście pustych ram w jego warsztacie, każda upamiętniająca obraz, który ktoś wściekle zdewastował.

W swojej historii zamieniła się z nim miejscami, odwróciła role. Uczyniła go niszczycielem, a siebie ofiarą.

Ja też skłamałam. Czy Mary uwierzyła mi, że boję się o jej życie i dlatego każę wyjechać z Garstead Cottage? Czy byłam przekonująca?

Ciężko dysząc, wypuszczam gąbkę z dłoni i wycieram ją o spodnie, aż skóra zaczyna mnie szczypać.

Muszę zadzwonić po karetkę. Nie na policję - policję wzywa się, gdy jest już za późno, a jeszcze nie jest za późno, nie może być.

Rzucam się do drzwi, zapominając, że są zamknięte, a ja nie mam klucza. Nie mogąc ich otworzyć, idę do okna, ślizgając się na leżących wszędzie fragmentach obrazów. Szykuję się do skoku przez okno i upadku na trawę.

- Witaj, Ruth - mówi z zewnątrz drżący, zniekształcony głos. Krzyczę ze strachu, czując się tak, jakby sama noc do mnie przemówiła.

Z ciemności wyłania się sylwetka i podchodzi coraz bliżej. Chuda, poorana twarz, która zapada się pod ciężarem tryumfującego uśmiechu niczym człowiek próbujący unieść w górę zbyt ciężki puchar. Mary. Ma na twarzy wyraz tak maniackalnej, ledwie powstrzymanej euforii, że znowu krzyczę, jeszcze zanim dostrzegam pistolet w jej dłoni.

Rozdział 26

5/3/08

Kate Kombothekra miała kluczyki w dłoni, otwierając drzwi domu.

- Masz - powiedziała, wkładając je Charlie w dłoń.

- Na pewno mogę pożyczyć? Nie wiem, kiedy uda mi się go oddać.

- Nie ma problemu. Pójdę jutro do szkoły z chłopcami na piechotę. Dobrze nam to zrobi, ale nie mów Samowi, że to powiedziałam. Kiedy on to zasugerował, prawie go udusiłam. Mała prośba: gdybyś mogła nie palić w...

- Postaram się - zawołała Charlie przez ramię. Zamykając drzwi kierowcy, usłyszała jeszcze, jak Kate mówi:

- Albo przynajmniej otwórz...

Charlie nacisnęła klakson. Kierując jedną ręką, drugą wyjęła z torebki telefon i wybrała ostatnio wykręcony numer.

- Villers - powiedział kobiecy głos po trzech dzwonekach. - Mówi Claire Draisey.

- Halo, tutaj znowu Charlie Zailer. Jakieś postępy?

- Niestety nie. Mamy tu małe zamieszanie, wicedyrektor jest na spotkaniu. Obdzwoniłam wszystkich, którzy przyszli mi do głowy, i nikt nie widział Simona Waterhouse'a na oczy. Na pewno tu jest?

- Nie jestem pewna. Wiem tylko, że tam się wybierał. - Charlie zadzwoniła do Villers po tym, jak próbując złapać Simona pod komórką, usłyszała nagraną wiadomość, na końcu której podany był numer alarmowy - numer Claire Draisey, jak się okazało. Draisey powiedziała Charlie, że na terenie Villers bardzo niewiele telefonów ma zasięg, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że tam właśnie jest Simon.

- Muszę zwolnić tę linię - odparła Draisey, wzdychając. - Jest pani z Culver Valley, zgadza się?

- Tak. Detektyw Waterhouse też.

- Czyli nie macie nic wspólnego z londyńską policją.

- Z londyńską policją? - Charlie poczuła zastrzyk adrenaliny.

- Tak. Powiedziano mi, że do nas jadą. Ja naprawdę nie wiem w tym momencie więcej od pani. Grupa naszych dziewcząt pojechała obejrzeć Juliusza Cezara w Globe Theatre. Właśnie sprawdzałam na

parkingu i minibus jeszcze nie wrócił, więc jesteśmy mocno zaniepokojeni...

- Nie marnowałabym pani czasu, gdyby sprawa nie była ważna - powiedziała Charlie. - Na pewno wszędzie pani sprawdziła?

- Nie - odparła szczerze Draisey. - Nie powiedziałam, że sprawdziłam. Rozmawiałam z tymi pracownikami, do których udało mi się dodzwonić. To wszystko, co mogę dla pani zrobić, przykro mi. Nie zamierzam przeczesywać o tej porze całego terenu szkoły w poszukiwaniu pani kolegi. Czy ma pani pojęcie, jak wielkie jest nasze imperium? - Ostatnie słowo wprost ociekało sarkazmem. - Zajęłoby mi to prawie całą noc.

- A Garstead Cottage? - spytała Charlie.

- Niby co? - odparła szorstko Draisey. - Wynajmuje je prywatny lokator, któremu nie zamierzam przeszkadzać. Więc jeśli...

- Proszę poczekać - powiedziała Charlie. - Dostałam wiadomość, by zadzwonić do kogoś, kto moim zdaniem może być w niebezpieczeństwie. Gdy wybrałam podany numer, dodzwoniłam się do taksówkarza, Michaela Durtnella. Pracuje w firmie, która nazywa się N&E Cars.

- Newsham i Earle - potwierdziła Draisey. - To korporacja, z którą współpracujemy.

- Właśnie. - Charlie wypuściła powietrze, które trzymała w płucach. Postęp. - Powiedział, że dwa razy dzisiaj wyjeżdżał z Garstead Cottage, za każdym razem z inną pasażerką. Obydwie w trakcie jazdy kazały mu zawrócić i obydwie zachowywały się bardzo dziwnie. Sądzę, że jedną z tych osób jest kobieta, która do mnie dzwoniła. Detektyw Waterhouse może już być...

- Sierżancie Zailer, czy mogę pani przerwać? - Draisey brzmiała na wycieńczoną, mówiła ciszej niż jeszcze przed chwilą. - Powinnam była się domyślić w chwili, gdy powiedziała pani, że jest z Culver Valley. Przestałam już trzeźwo myśleć przez ten zaginiony minibus i pogłoski o nadjeżdżających policjantach z Londynu. Wiem na pewno, że obecna lokatorka Garstead Cottage ma teraz gościa - kobietę.

Musiała to być Ruth Bussey.

- Wiem również, a pani pewnie nie, że lokatorka ta ma zwyczaj zadrażniania lokalnej policji, wzywania jej bez potrzeby i ogólnie utrudniania im życia. Wygląda na to, że dzisiaj padło na panią. Jeśli się nie mylę, to ma też dom w pani okolicach.

- Jak ona się nazywa? - spytała Charlie, z podniecenia jeszcze bardziej dodając gazu.

- Jeśli pani nie wie, to nie sędzę, bym mogła...

- Mary Trelease?

Ciężkie westchnięcie.

- Skoro pani wiedziała, po co mnie pani pyta?

- Właśnie do was jadę - powiedziała Charlie. - Gdy dotrę na miejsce, poproszę panią o...

- Będę albo zbyt zajęta, albo pogrążona w głębokim śnie - zabrzmiała stanowcza odpowiedź. - Szczerze odradzam pani tę podróż. Nie jest pani pierwszym funkcjonariuszem policji, któremu to powiedziałam, i nie będzie pani pierwszym, który pożałuje, że mnie nie posłuchał, i zarwie noc bez powodu. Dobranoc, sierżancie.

- Mary Trelease zginęła w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku - krzyknęła Charlie w słuchawkę, ale Claire Draisey zdążyła się rozłączyć.

Aż do autostrady Charlie jechała dwa razy szybciej, niż to było dozwolone. Gdy już na nią wjechała, wybrała numer Coral Milward.

- Tu Charlie Zailer.

- Gdzie jesteś do kurwy nędzy? Gdzie jest Waterhouse? Trudno uwierzyć, że gramy w tej samej drużynie. Za kogo wy się kurwa macie, że mnie tak traktujecie? Jakbym w ogóle nie istniała.

- Myślę, że Simon jest w Villers - powiedziała jej Charlie. - Ja też tam teraz jadę.

- Teraz, kochanie, jedziesz do mojego biura.

- Przykro mi, ale nic z tego - odparła Charlie.

- Powinni byli się was pozbyć dwa lata temu. Ja bym to zrobiła. Teraz na pewno to zrobią, jak już im powiem to, co mam do powiedzenia na wasz temat. Kto raz daje dupy, zawsze będzie dawał dupy. Wezmę te wasze nędzne kariery, waszą przyszłość i wszystko, co macie, i wetknę sobie w mój tłusty tyłek, a potem znowu wysram. Więc lepiej...

Charlie wyłączyła telefon. W tej samej drużynie? Zabawne, wcześniej jakoś Milward nie uważała ich za partnerów. Ani słowem nie wspomniała o tym, że wysyła ludzi do Villers. Pomimo zapewnień Claire Draisey, Charlie nie miała pewności, że ktoś z londyńskiej policji faktycznie wybiera się do szkoły. Postanowiła trzymać się pierwotnego planu i jechać do Garstead Cottage, nawet jeśli miałoby

ją to kosztować posadę. Ruth Bussey i Mary Trelease tam były - tak powiedziała Claire Draisey.

Charlie włączyła system grający i usłyszała coś, co brzmiało jak koncert na żywo - rześiste oklaski i krzyki, elektroniczna muzyka niemal zagłuszona przez dłonie i głosy. Gdy owacje ustały, odezwał się męski głos. Nie przedstawił się, ale Charlie się domyśliła, że jest dyrektorem albo jednym z nauczycieli w szkole, do której chodzili synowie Kate. Był to szkolny koncert na płycie kompaktowej. Mężczyzna dziękował poprzedniemu zespołowi za syntezatorową interpretację Dziesięciu zielonych butelek.

Tytuł utworu otworzył klapkę w mózgu Charlie. Wzięła gwałtowny wdech i wyłączyła radio. Sześć zielonych butelek - tak brzmiał tytuł jednego z obrazów Aidana wystawionego w TiqTaq. Pewnie... nie. To zbyt absurdalne. Zapomniała o kierowaniu i zjechała dwoma kołami na sąsiedni pas, jednocześnie uświadamiając sobie kilka innych szczegółów. W końcu wróciła na swój pas, ignorując wściekle klaksony pozostałych kierowców. Tak, było to absurdalne, ale miała rację. Musiała mieć rację.

Widziała w domu Mary kilka nieoprawionych obrazów. Jeden z nich przedstawiał mężczyznę, kobietę i chłopca siedzących przy stole, na którym stało kilka pustych butelek po winie. Zielonych butelek. Charlie ich wtedy nie policzyła, ale teraz mogła się założyć, że było ich sześć. Widziała też obraz z kobietą patrzącą w lustro. Tą samą kobietą z obrazu z butelkami. I ze zdjęć w materiałach Kerry'ego Gattiego. Dlatego Charlie jej twarz wydała się znajoma - widziała ją wcześniej na ścianie w domu Mary. Twarz pierwszej Mary Trelease, tej, która zmarła w 1982 roku. Kobieta patrząca w lustro... Jeszcze inny tytuł, który Charlie widziała w katalogu z wystawy Aidana, brzmiał Która najpiękniejsza? Lustreczko, powiedz przecie: która najpiękniejsza w świecie?

I obraz, który Ruth Bussey widziała w jednym z pokoi przy Megson Crescent, przedstawiający chłopca piszącego na ścianie „Joy Division” - to musiał być Routine Bites Hard, kolejny z tytułów Aidana. Pierwszy wers najsłynniejszej piosenki Joy Division, Love Will Tear Us Apart, utworu, który Charlie słyszała tysiące razy. Zaśpiewała ją sobie teraz pod nosem, usiłując zebrać te przedziwne fragmenty w jakąś całość

W 1982 roku Len Smith zabił swoją partnerkę, Mary Trelease, zgodnie z oficjalną wersją zdarzeń. W 2000 pierwsza wystawa Aidana Seeda kończy się sukcesem, po którym decyduje się on rzucić malarstwo. Charlie pomyślała o zdjęciu, które pokazała jej Jan Garner - fotografii w katalogu przedstawiającej obraz. Podaż i popyt: kobieta na schodach patrzy w dół na chłopca. Nie skupiała się wtedy na ich twarzach, ale wiedziała, że to te same osoby, które widziała na nieoprawionych obrazach w domu Mary: pierwsza Mary Trelease i... to musiał być młody Aidan. A starszy mężczyzna? Czy był nim Len Smith, ojczym Aidana? Smith miał jeszcze drugiego pasierba i pasierbicę, brata i siostrę Aidana. Czy to oni byli na obrazie wiszącym na piętrze w domu przy Megson Crescent? Para grubasów z ciemnymi brwiami? Tak - to musieli być oni. Gdy sobie ich teraz przypominała, widziała podobieństwo między nimi a Aidanem.

Mary skopiowała obrazy z wystawy. Nie, nie są moje. Tak wtedy powiedziała. A chwilę później przyznała, że jednak je namalowała. Teraz Charlie zrozumiała. Mary własnoręcznie przemalowała prace Aidana, przedstawiła identyczne sceny, choć efekt końcowy był jednak bardzo różny od stłumionej, boleśnie realistycznej wizji Seeda. Charlie walnęła tryumfalnie dłonią w kierownicę, rozwiązując kolejną zagadkę: obrazy w domu Mary były nieoprawione, bo takie musiały być. Ludzie, którzy oprawiali płótna Mary - Saul Hansard i później Jan Garner - widzieli wystawę Aidana. Natychmiast by się spostrzegli, co robi Mary, gdyby zaniósła obrazy do nich.

Dlaczego? Po co malowała cudze obrazy?

Charlie zapaliła papierosa, czując, że jej mózg pracuje na zwiększonych obrotach. Dziewięcioro kupców: Abberton, Blanford, Darville, Elstow, Goundry, Heathcote, Margerison, Rodwell i Winduss. Ich adresy nie istniały i oni sami też nie. Nie było żadnej Ruth Margerison z Garstead Cottage. Chata Garstead Cottage należała do Villers, dawnej szkoły Mary.

I Marthy. Martha Wyers też była dziewczyną z Villers.

Charlie poczuła na plecach nieprzyjemny dreszcz, jakby ktoś musnął ją wzdłuż kręgosłupa zimnymi palcami. Z jaką osobą miała tu do czynienia? Z jakim umysłem? Czy to możliwe, że Mary wykupiła wszystkie obrazy Aidana, podając fałszywe nazwiska? Wszystkie z wyjątkiem trzech płócien kupionych przez Saula Hansarda, Cecily

Wyers i Kerry'ego Gattiego, a Charlie wiedziała, że przynajmniej dwa z nich odkupił niedługo potem Maurice Blandford.

Opowiadając sobie tę historię, Charlie zdecydowała, że jest zbyt nierealna. Mary Trelease została zabita w domu przy Megson Crescent 15 w 1982 roku. W 2008 roku inna kobieta, ale nazywająca się tak samo, mieszka w tym samym domu. Już sam ten fakt dostatecznie mroził krew w żyłach. Nie każdy, pomyślała Charlie, zdolny jest wymyślić taki scenariusz i zamienić go w czyn. Prawie wszyscy lubią horrory, ale prawie nikt nie wprowadza ich w życie.

I co się działo między 1982 a 2008 rokiem? Jak ta opowieść radzi sobie z dwudziestosześcioletnią przerwą? Rozmowa o pracę, podczas której kobieta zakochuje się w nieznanym sobie mężczyźnie Píše o nim książkę. Później znów go spotyka, gdy „Times” publikuje artykuł o młodych artystach. Początkowo nic sobie z tego nie robi, ale upływa trochę czasu i jej obsesja się nasila. Kobieta wynajmuje prywatnego detektywa, który mówi jej, że ojczym mężczyzny siedzi w więzieniu za zabicie niejakiej Mary Trelease, a ona oczywiście pamięta obraz pod tytułem Morderstwo Mary Trelease. Tyle tylko, że to płótno mówi co innego o prawdziwym sprawcy zbrodni. Nie w oczywisty sposób - obraz nie przedstawia aktu przemocy - ale subtelnie. Tak więc kobieta, nasza bohaterka, sądzi, że jedynie ona zna prawdę.

Każdy, kto zna się na opowieściach, wie, że tylko najważniejsza postać może zajmować tę uprzywilejowaną pozycję: wiedzieć wszystko, podczas gdy inni nie wiedzą nic. Taka wyłączność dobrze działa na ego, pomyślała Charlie, ale w ostatecznym rozrachunku musi stanowić dla nieodwracalnie zatrutej duszy przeszkodę w powrocie do zdrowia Oto była kobieta, która po nieudanej próbie samobójstwa namalowała siebie martwą i z pętlą na szyi. Tak chciała wyglądać albo sądziła, że na taki stan sobie zasłużyła

Charlie przypomniała sobie Ruth Bussey i jej ćwiczenia na odbudowanie pewności siebie, jej niezdolność - mimo zaleceń poradnika - do zawieszenia korzystnych zdjęć samej siebie obok fotografii Charlie. Przez minione dwa lata Charlie też unikała patrzenia na swoje zdjęcia, unikała bycia fotografowaną, jeśli tylko było to możliwe. O ile większą nienawiść trzeba żywić do tego, kim się jest, było i będzie, by całą energię włożyć w namalowanie siebie samej wykrzywionej i pokonanej przez śmierć?

Czy z taką właśnie historią miała do czynienia?, zastanawiała się Charlie. Kobieta, która głęboko sobą gardzi, mimo iż ma nieograniczoną fortunę, by kupować dzieła sztuki, zatrudniać prywatnych detektywów, spełniać każdą zachciankę? Pomimo wielkiego talentu, dzięki któremu mogłaby osiągnąć wszystko, gdyby tylko patrzyła przed siebie, zamiast oglądać się przez ramię? Jednak nie potrafi patrzeć w przyszłość i na tym polega jej tragedia. Ma tylko jedną, starą opowieść, ale boi się jej końca. Dlatego prowadzi gierki, ukrywa prawdę, jednocześnie dając do zrozumienia, że coś jednak wie, zmuszając do gry w chowanego. Musi prowadzić tę grę, bo gdy dobiegnie końca, nic jej nie zostanie.

Jest przekonany, że cię zabił.

Nie mnie.

Kobieta, która wie, jak sprawić, byś czuł się niezaspokojony, która umie wymyślać postaci i nazwiska, które nie istnieją. Osoba, która bez względu na to, jak sama się określa i jak spędza czas, zawsze będzie przede wszystkim autorką historii.

Martha Wyers.

- Powiedziano mi, że detektyw konstabl Dunning stawi się u nas osobiście z nakazem w dłoni - powiedział Richard Bedell, wicedyrektor Villers.

- I tak też się stanie - odparł Simon, który nie był do końca szczery i pozwolił Bedellowi dalej tkwić w przekonaniu, że on i Dunning pracują razem. Bedell był młodszy od Simona i miał na sobie wypłowiałe dzinsy, kremowy polar i mokasyny. Simon musiał sobie ciągle przypominać, że nie rozmawia z wyjątkowo pewnym siebie licealistą, który pilnuje gabinetu pod nieobecność ojca. Pokój był tak duży, że w większości normalnych szkół stanowiłby aulę. Simon próbował znaleźć wygodną pozycję na pękatym szezlongu w kolorze śliwki i nieustannie musiał podnosić głos, by Bedell go słyszał z drugiego końca ogromnej drewnianej podłogi pokrytej beżowym dywanem.

Przerośnięte biurko wicedyrektora pokryte było z jednej strony stertami rozpadających się książek z ćwiczeniami - czerwonych i ciemnozielonych, cienkich albo grubych - a po drugiej telefonami i kubkami. Bedell miał trzy aparaty telefoniczne - wszystkie stacjonarne - i dwa razy tyle kubków. Dwa z nich, granatowo - żółte, miały nadruk z logo szkoły. Na dywanie pod biurkiem leżał zwój czarnych kabli od

telefonów, komputera, drukarki i faksu. Rozplątanie przewodów zajęłoby wiele lat.

- Proszę tylko o to, by skierował mnie pan do Garstead Cottage - powiedział Simon. - Jeśli panna Trelease nie chce ze mną rozmawiać, to nie musi. Poczekamy na detektywa Dunninga, aż przyjedzie z nakazem. Chciałbym jednak spróbować. Jak już panu tłumaczyłem, martwię się o jej bezpieczeństwo.

- Z kolei ja już panu tłumaczyłem, detektywie Waterhouse, że zostałem zawiadomiony, że Mary nie chce rozmawiać z panem ani z żadnym z pańskich kolegów i nie życzy też sobie pańskiej obecności w jej domu. Na samą myśl o tym wpadła w histerię i nie mogę sobie pozwolić... - Bedell zamilkł i połknął ziewnięcie, marszcząc podbródek. - Może to panu wyjaśnię - powiedział tak, jakby postanowił wyświadczyć Simonowi specjalną przysługę. - Egan i Cecily Wyers byli dla nas niezmiernie szczodrzy przez te wszystkie lata. Villers to nie Eton, Marlborough czy inne szkoły prywatne, o których być może pan słyszał. Nie mamy nieograniczonych rezerw pieniężnych, z których moglibyśmy korzystać w cięższych chwilach. Gdy spada liczba uczniów, jak to się dzieje ostatnio, a za nią wpływy z czesnego, wówczas jesteśmy w kropce. Potrzebujemy wsparcia ze strony takich rodziców, jak Wyersowie - tylko dzięki nim mamy nowiusieńką salę teatralną. - Wyrzucił ręce w górę, zachęcając Simona, by ten wyobraził sobie, jaką katastrofą byłaby dla szkoły konieczność funkcjonowania bez tego nowego nabytku. - Częścią umowy z naszej strony jest Garstead Cottage, gdzie Mary może w spokoju wykonywać swoją pracę. W związku z tym zadam panu to samo pytanie, które zadałem już detektywowi Dunningowi: czy nakaz sądowy i wszystko, co się z nim wiąże, jest konieczny? Bo - nie będę kłamał - na pewno nie zostanie przyjęty dobrze przez Egana i Cecily

- Czy pan i pani Wyers mają jakiś szczególny związek z Mary Trelease? - spytał Simon.

Bedellowi opadła szczęka.

- Słucham?

Simon powtórzył pytanie.

- Czy wy się między sobą w ogóle porozumiewacie? Wyjaśniłem detektywowi Dunningowi całą tę, dość osobliwą, sytuację.

Simon zastanawiał się nad najlepszą odpowiedzią, gdy Bedell dodał:

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to zadzwonię do detektywa Dunninga. Nie wspominał nic o pańskiej wizycie i...

- Widział pan moją odznakę - powiedział Simon. Zamierzał dostać się do tego domku, nawet jeśli oznaczało to konieczność związania Bedella kablem telefonicznym. - Czy Dunning mówił panu, że zamierza przesłuchać Mary Trelease w sprawie morderstwa?

Bedell zamknął oczy i nie otwierał ich przez dobre kilka sekund.

- Nie, nie mówił. To absolutna katastrofa.

- Zakładam, że chodzi panu o ofiarę morderstwa - powiedział Simon. - Nazywała się Gemma Crowther. Została zastrzelona we własnym domu w poniedziałek w nocy. Zabójca wybił jej zęby i na ich miejsce powbił w dziąsła haczyki do wieszania obrazów.

Bedell się wzdrygnął, podrapał palcem po nosie i wstał.

- Detektywie Waterhouse, przyznam bez bicia, że Mary ma swoje problemy, to nie ulega wątpliwości. Geniusz ma swoją cenę. Ale ona na pewno nikogo nie zabiła. Oskarżanie jej o morderstwo to już przesada.

- O nic jej nie oskarżam - odparł Simon. - Chcemy tylko zadać kilka pytań, to wszystko. Jej i kilku innym osobom. Do postawienia zarzutów jeszcze daleka droga. - Geniusz ma swoją cenę. Co za paskudne motto. Czyżby tę cenę opłacało się ludzkimi zębami, na litość boską?

- Zadzwonię do detektywa Dunninga i spytam, kiedy tu będzie - powiedział Bedell, podnosząc jedną z trzech słuchawek i ciężko wdychając. - Wiedziałem, że coś takiego w końcu się stanie.

- Wiedział pan, że Mary Trelease będzie zamieszana w śledztwo w sprawie morderstwa?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie jestem prostakiem, detektywie Waterhouse. Wiedziałem, że będziemy mieli kłopoty, to wszystko. Odziedziczyłem ten układ z domkiem zamieszkanym przez Mary. Gdybym wtedy tu pracował, stanowczo bym mu się sprzeciwił. Pewne dotacje nie są warte związanych z nimi kosztów. Mamy tyle skarg od rodziców, że powinniśmy stworzyć osobny etat dla kogoś, kto by je rozpatrywał. Jak wyjdzie na jaw ta ostatnia informacja, będziemy po uszy w szambie, przepraszam za wyrażenie.

Słowa Bedella nie były w pełni zrozumiałe dla Simona, który wiedział tylko tyle, że nie podoba mu się rysowany przez

wicedyrektora obraz. Bedell utkwiał wzrok w biurku, bez przekonania przesuwając leżące na nim kartki.

- Jaki jest numer do Dunninga? - spytał z irytacją w głosie.

- Zostawiłem telefon w samochodzie - skłamał Simon, klepiąc się po kieszeniach. Odkąd przyjechał do Villers, nie miał zasięgu. Denerwowało go to, jakby ta chwilowa niedostępność mogła przypadkowo doprowadzić do katastrofy u bliskich mu osób. Wyobrażał sobie zbolaty głos swojej matki: „Próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałeś...”.

- Wiem, gdzie go mam - powiedział Bedell. - Proszę poczekać. - Wyszedł z gabinetu. Simon słyszał jego skrzypiące buty, a potem dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Simon zdawał sobie sprawę, że straci szansę dostania się do Garstead Cottage, jak tylko Bedell skontaktuje się z Dunningiem. Nie mógł dłużej czekać.

Wyszedł na korytarz i zszedł po schodach vis - a - vis drzwi do gabinetu Bedella. Otworzył drzwi, przez które wcześniej wicedyrektor wprowadził go do środka, wyszedł na zewnątrz i zatrzasnął je za sobą. W dal ciągnęła się długa droga oświetlona latarniami. Po obu jej stronach wyrastały duże, murowane budynki. Jak trudne mogło być znalezienie drewnianego domku? Nic w pobliżu nie pasowało do opisu Garstead Cottage.

Jeszcze będąc w gabinecie Bedella, Simon widział przez okno oświetlone podwórko otoczone długimi, jednopoziomowymi barakami z ciemnymi, drewnianymi ścianami. Wyglądały niemal dalekowschodnio. Czy Garstead Cottage było jednym z nich?

Poszedł na tył budynku, gdzie natrafił na jeszcze jedną ścieżkę prowadzącą do czegoś, co z odległości dwustu metrów przypominało drogowskaz. Było tam znacznie ciemniej, zbyt ciemno, by Simon mógł przeczytać znaki, gdy w końcu do nich dotarł. Drogowskaz był słupem, od którego odstawało kilka tabliczek zakończonych strzałkami. Na jednej widniał napis „Teatr im. Cecily Wyers”. Inna kierowała do „Głównego budynku”, ale dopiero trzecia tabliczka sprawiła, że Simon chwycił za słup i przebiegł palcami po każdej literze: „Darville”. Tuż pod nią zobaczył skierowaną w tę samą stronę tabliczkę z napisem „Winduss”.

Z tego, co wiedział, były to nazwiska osób, które kupiły obrazy Aidana Seeda. Osób, które mieszkały pod fikcyjnymi adresami. Stojąc przez chwilę samotnie w ciemności i ciszy pod tym dziwnym

obiektem przypominającym białe drzewo, Simon czuł się jak idiota, który nie wie, co robić i co myśleć.

Miał do wyboru pięć dróg. Próbował wyteńczyć wzrok, by zobaczyć, dokąd prowadzą, ale każda momentalnie nikła w czarnym mroku. Nie widział też baraków. W końcu postanowił pójść za drogowskazem z napisem „Stajnia”, zgadując, że Garstead Cottage mogło być dawniej domem osoby zajmującej się końmi.

Przeszedł przez pole, za którym betonowa droga się zwężała, zamieniając w bitą ścieżkę. Ale przynajmniej wciąż był na jakiejś drodze. Simon minął kępę niewielkich drzew i wyszedł na kolejne pole. Gdy poczuł wilgoć na stopach, spojrzał w dół i zobaczył, że idzie po trawie. Gdzie się podzielała ścieżka? Urwała się czy on z niej zboczył? Zobaczył w oddali ciemne kształty i ruszył w ich kierunku. Stajnia. Czytając ten znak, Simon sądził, że znajdzie budynek zaadaptowany na potrzeby laboratorium chemicznego lub językowego albo przestrzeni sypialnianej dla uczniów, a tymczasem zbliżając się do niego, nie tylko słyszał, ale i czuł nosem obecność koni. Nie było tu Garstead Cottage.

Miał już zawrócić, gdy zza stajni dobiegł go dźwięk przypominający stłumiony krzyk. Pobiegł naokoło przysadzistych budowli, rozejrzał się na wszystkie strony, lecz niczego nie zobaczył.

- Halo! - zawołał. - Jest tu kto?

Tym razem usłyszał chichot i poszedł w jego kierunku. Po zaledwie kilku krokach zatrzymało go coś twardego. Ogródzenie sięgające mu do pasa.

- Kurwa - wymamrotał, słysząc kolejną rundę śmiechu.

Po chwili dostrzegł coś, co - jako jedyne w tym miejscu - nie było ciemne: trzy małe, pomarańczowe kropki wyglądające tak, jakby były przyłączone do stojącej nieopodal czarnej masy drzew. Żarzące się końcówki papierosów.

Nie odrywając od nich wzroku, Simon poszedł w stronę drzew. Będąc ciągle zbyt daleko, by zobaczyć twarze, usłyszał:

- O rety, bardzo, bardzo przepraszamy. Totalnie wiemy, że będziemy miały mega przechłapane...

- Powinien nas pan ukarać - powiedziała druga dziewczyna. - Wtedy nie popełnimy drugi raz tego samego błędu. - Po tej przedziwnej deklaracji zabrzmiała następna fala chichotu.

- Nie jestem nauczycielem - odparł Simon pozbawionym ludzkich ciał głosom. - Jestem z policji. Palcie sobie, ile wlezie.

- Nie wierzę! Co policjant robi w środku nocy na terenie Villers?

- Ale akcja! - skwitowała trzecia dziewczyna.

Teraz Simon był bliżej i widział już ich twarze. Wyglądały na szesnaście lat i były ubrane w piżamy, bez żadnych dodatkowych okryć. Trzęsły się z zimna między kolejnymi atakami śmiechu.

- Szukam Garstead Cottage - powiedział.

- W takim razie po co pan tu łązi? - spytała pogardliwie jedna z dziewcząt.

- Może i lepiej - zauważyła druga. - Lepiej nie chodzić do Czary Mary, panie policjancie.

- Tasha!

- No co? Nie mam racji? Przecież ona jest jakąś totalną wariatką.

- Mówicie o Mary Trelease? - spytał Simon.

- O Jezu, to pewnie jego dziewczyna!

- Może przyszedł ją aresztować albo co...

- Gdzie jest ta chata? - spróbował jeszcze raz. - Czy któraś z was może mi pokazać?

Odpowiedzią była salwa pełnego zgorszenia rechotu.

- Jaaasne! Miałybyśmy totalnie przerąbane, jakby nas ktoś złapał na spacerze w piżamach.

- Ona się boi Czary Mary. Ja panu pokażę, jak tylko dopalę fajka.

- Flavia, ale z ciebie ściemniara! Przecież ty też się jej boisz.

- Chyba ty.

- Czego się boicie? - spytał Simon. Miał wielką nadzieję, że Dunning nie pojawi się właśnie teraz, by przyłapać go wśród drzew na pogaduszkach z trzema skąpo odzianymi nastolatkami.

- O Jezu, on nic nie wie!

- Totalnie pan nam nie uwierzy, jak panu powiemy.

- Ona podrzyna gardła dziewczynom ze szkoły i wypija ich krew.

- Po tych słowach kolejna salwa śmiechu.

- Ja nie wierzę, że ona istnieje. Nigdy jej nie widziałam, a jestem tu od trzynastego roku życia.

- Nie, na serio. Nie pije krwi dziewczyn, ale faktycznie wychodzi tylko w nocy.

- To akurat mogę zrozumieć. Też bym się mega wstydziła pokazywać za dnia, gdybym miała taką twarz.

- Zaczęła się głodzić i jak cały tłuszcz zniknął z jej ciała, to skóra nagle oklapła i została jej twarz osiemdziesięcioletki. Serio.

- Jest legendą tej szkoły.

- Tradycja ustnych przekazów - powiedziała jedna z dziewczyn, zniżając głos dla efektu. Wszystkie trzy zawyły z radości. Simon domyślał się, że naśladują jednego ze swoich nauczycieli.

- Zamknij się, wariatko! Jak przez ciebie stracę przepustkę, to się totalnie załamie.

- Przecież nie będą nas karać za pomaganie policji.

- Zamknij się, ja mu powiem. On nie ma czasu na słuchanie dwóch małolat. - I do Simona: - Nie wiemy na pewno...

- Wiemy. Słyszałam, jak panna Westaway rozmawia o tym z panią Dean.

- To mogą być tylko skłamliwe ploty.

- Chciałaś powiedzieć „kłamliwe”. Nie ma takiego słowa, jak „skłamliwe”. Przepraszam w imieniu mojej odurzonej współlokatorki - powiedziała dziewczyna stojąca najbliżej Simona. - To nie plotki, tylko ponura prawda. Czary Mary miała chłopaka, który ją rzucił, nie? Tak się zdołowała, że próbowała się zabić. Powiesiła się w Garstead Cottage.

- I on przy tym był, ten jej chłopak - wtrąciła inna.

- A, no tak. Zapomniałam. Tak, ściągnęła go tutaj, żeby ostatecznie z nim zerwać. - Dziewczyna, która miała na imię Flavia, chyba że Simon się pogubił i to była Tasha, narysowała w powietrzu niewidzialny cudzysłów. - Jak przyjechał, to stała na stole w jadalni, a na szyi miała sznur przywiązany do lampy czy czegoś...

- Do żyrandola! To był żyrandol!

- Tak, jasne. Żyrandol w drewnianej chatce.

- Słyszałam, że to był żyrandol.

- Nieważne. No więc on wezwał karetkę i zabrali Mary, ale w drodze do szpitala umarła. Normalnie umarła. Nie miała tętna i dopływu tlenu do mózgu przez trzy minuty...

- Dziesięć minut.

- Proszę cię, nikt nie wraca do żywych po dziesięciu minutach. Widziałam Czary Mary. Jest dziwna, ale żadne z niej warzywo.

O czym to ja mówiłam? Aha: sanitariusze z karetki przywrócili ją do życia. Miała niby mieć uszkodzony mózg, ale nie miała. Normalnie

nic jej nie było. Chociaż nie do końca, bo właśnie wtedy stała się Czary Mary. Zmieniła imię i nazwisko.

- Zaczekaj - przerwał jej Simon. - Jak to? Na jakie?

- Mary Trelease.

- Ksywka Czary Martha nie miałyby sensu.

- Martha? - Gdyby pewność siebie tych trzech dziewczyn i ich skąpe odzienie nie wprawiały Simona w zakłopotanie, spytałby bardziej stanowczo.

- Martha Wyers, tak się nazywała. Ale po tym, jak umarła i wróciła do żywych, nie pozwalała nikomu tak na siebie mówić. Bo Martha nie żyła.

- Jezu! Straszne. Ta historia zawsze mnie totalnie rozwała - powiedziała jedna z dziewczyn, obejmując się mocno rękoma.

- Jechała na każdego, kto nazywał ją Martha. Nawet jej matka i ojciec musieli się przełączyć na Mary.

- Jechała? - przerwał jej Simon. Musiał spytać.

- Co? A, to takie powiedzenie.

- Tłumaczenie dla osób spoza Villers: wściekała się na wszystkich, którzy używali jej dawnego imienia.

- I totalnie schudła. Wcześniej była grubaską.

- Marniała w oczach, co? I wszystko dla swojego ukochanego.

Simon nie mógł trzeźwo myśleć, słuchając ich trajkotania.

- Wiecie, dlaczego nazwała się Mary Trelease?

Spojrzały po sobie, pierwszy raz od dłuższego czasu nie mając nic do powiedzenia.

- Nie - powiedziała jedna z nich, ewidentnie wkurzona tym, że Simon przyłapał ją na niewiedzy. - A co to ma za znaczenie? Nazwisko jak każde inne.

- Owszem, Flavio Edno Seawright. - Salwa śmiechu.

- Po zmartwychwstaniu zmieniła nie tylko imię i nazwisko - powiedziała Flavia, próbując odwrócić uwagę od swojego drugiego imienia.

- A, no tak. To już było megadziwne.

- Dawniej była pisarką, nawet wydali jedną jej książkę.

- Można ją wypożyczyć w naszej bibliotece.

- Mieszkała chyba wtedy w Heathcote.

- Nie, Margerison.

Simon zrozumiał wreszcie drogowskazy. Nazwy pensjonatów.

- To, w którym mieszkała domu, jest totalnie nieistotne. Była pisarką, ale po tym, jak się powiesiła i jej nie wyszło, nie napisała już ani słowa. Zamiast tego zaczęła malować. Ja osobiście nigdy jej nie widziałam, ale mnóstwo dziewczyn twierdzi, że w nocy kręci się po terenie szkoły, paląc papierosy, cała umazana farbą...

- Czy Damaris Clay - Hoffman kiedyś jej nie poprosiła o papierosa?

- Damaris Clay - Hoffman to megaściemniara.

- Gdzie jest ten dom? - spytał Simon. - Nie musicie ze mną iść, tylko mi pokażcie. - Chciał podejść do niego dyskretnie, nie w towarzystwie szczebioczącego chóru.

W chwili gdy Flavia pokazała ręką w lewo, noc przeszył nagły hałas, jakby mała eksplozja

- O Boże! - powiedziała, chwytając Simona za ramię - Już nawet nie żartuję. To był chyba pistolet.

Rozdział 27

Środa, 5 marca 2008

- Głupi błąd - mówi Mary. - Powiedziałaś: „Jedź do swoich rodziców”. Miałaś na myśli dom Cecily. Po twoim wyrazie twarzy poznałam, że już wiesz. Nie umiesz kłamać, Ruth.

Ból przeszywa całe moje ciało. W jego wnętrzu jest kula, kawałek metalu.

Widziałam, jak leci w moją stronę, zbyt szybko, bym mogła się ruszyć. Leżę na podłodze. Wyciągam rękę w stronę Aidana, ale jest za daleko.

- Za to ty... umiesz kłamać świetnie - udaje mi się powiedzieć.

- Martha to ty.

- Nie. Martha umarła. Jej serce przestało bić. Jej umysł przestał działać. Nie można umrzeć i być potem tą samą osobą. Należę do niewielu żyjących ludzi, którzy wiedzą, że to niemożliwe.

- Abberton... nazwiska... - Próbuję podnieść głowę, by spojrzeć na swoje ciało, lecz sprawia mi to zbyt silny ból. Nie mogę się ruszać i jednocześnie myśleć, a muszę teraz myśleć.

- Co?

- Aidan nie zniszczył twoich obrazów. Ty zrobiłaś to jemu. Kupiłaś... - Nie mogę mówić.

Mary patrzy na mnie. Czuję się lekka. Nie jestem już osobą, ale nic nieważącą falą bólu. Mój umysł zaczyna jednostajnie szumieć. Łatwo byłoby dać się ponieść temu kojącemu dźwiękowi.

- Nieprawda - mówi Mary. - Aidan zabrał wszystkie moje obrazy i pociął je na kawałki.

- Nie. - Z trudem łapię oddech. - Nazwiska... Nazwy pensjonatów...

- Milcz! - krzyczy Mary. - Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. To on. On zrobił to mnie.

- Kupiłaś jego obrazy, podając te nazwiska. - Każdy oddech jest walką, lecz bez niej nie miałabym niczego, żadnej woli przetrwania. - Kazowałaś mu... tu przyjechać... - Mój umysł wypełnia się słowami, których nie będę miała siły wypowiedzieć. Nie chciał cię więcej widzieć, więc go przekupiłaś, pięćdziesiąt tysięcy za obraz. - Przestał malować przez to, co mu zrobiłaś.

Wracają do mnie sceny z historii, którą opowiedziała mi Mary. W połowie prawdziwej, w połowie fałszywej. Otwarte drzwi do chaty.

Aidan wchodzący do środka, szukający Marthy. Znajdujący ją na stole, nad stertą swoich obrazów, ze sznurem na szyi. Czy najpierw mu powiedziała, a potem skoczyła? Przeżył zatem dwa wstrząsy, połączone ze sobą w jeden nokautujący cios. To dlatego początkowo nie mógł się ruszyć, dlatego nie pośpieszył jej z pomocą. Był zdruzgotany, sparaliżowany.

- Moje ogrody. - Z każdym słowem zalewam się potem. - Nie Aidan. Ty je zniszczyłaś. Pierwszy zeszłego lata, żeby ukarać mnie za... galerię Saula. Przestraszyłam cię. Nie cierpisz... nie mieć... kontroli. - Drugi po rozmowie z Charlie Zailer w poniedziałek, gdy powiedziała ci, że jestem dziewczyną Aidana. Dałaś mi w prezencie Abberton, niczego nieświadoma: kolejna utrata kontroli. Kolejna kara.

- A co z twoim martwym chłopakiem? - mówi zniecierpliwiona Mary, pochylając się nade mną. - Co powiesz o tym, co on zrobił?

Zamykam oczy. Wiem, czego nie zrobił. Nie okłamywał mnie. Pozwolił sobie na to dopiero później, jednak nawet wtedy nie kłamał mi w żywe oczy. Policji owszem, ale przede mną nigdy.

- Zabił Mary Trelease - dyszę. - Dawno temu. - Mówił prawdę, wyznając mi to w hotelu Drummond. Jeszcze zanim powiedziałaś mi o Abbertonie, zanim jego wyznanie mnie obezwładniło. Kiedy jeszcze mi ufał.

Kobieta, która dla mnie jest tylko Mary, nachyla się nad moją twarzą, odgarniając pistoletem swoje włosy.

- O jakiej Mary Trelease mówisz? - pyta. - Kogo masz na myśli?

- Nie wiem.

- No właśnie. To nie twoja sprawa. Powinnaś była zniknąć. Przecież dałam ci szansę, odesłałam cię. - Odbieram to jako oskarżenie o niewdzięczność. Jest oburzona moją postawą. - Cokolwiek ci się wydaje, jesteś w błędzie.

Uruchamia się we mnie gniew, równie intensywny jak ból.

- Wiem wszystko, oprócz tego, kim była. Mieszkała przy Meg - son Crescent piętnaście. Tam Aidan ją zabił. - W sypialni. Była naga, leżała na środku łóżka, Aidan zacisnął dłonie na jej szyi...

- Zabił ją i pozwolił, by ojczym wziął winę na siebie - mówi cierpliwym tonem Mary, zbliżając swoją twarz do mojej, bym ją dobrze widziała. - Jego ojczym siedzi w więzieniu od dwudziestu sześciu lat. Aidan zostawił go tam na pastwę losu, ani razu go nie

odwiedził, nie napisał ani jednego listu. Co teraz o nim sądzisz? - Jej słowa omijają mnie, nie zapuszczając korzeni.

- Dom - mówię z bólem w płucach. - Dlatego go kupiłaś. Dlatego zmieniłaś nazwisko.

Mary celuje we mnie z pistoletu. Zamykam oczy i czekam, aż strzeli, ale nic się nie dzieje. Gdy znów na nią patrzę, widzę, że się nie ruszyła. Pistolet też nie.

- Dlaczego? - pyta.

Nie mogę odpowiedzieć. Nie wiem, ile krwi straciłam, ale wrazenie krwotoku jest ciągle. Czuję się przezroczysta. Pusta.

- Wybór należy do ciebie. Możesz mówić albo umrzesz.

- Nie! Proszę, nie... - Odwracam głowę w bok.

- Myślałaś, że to groźba? - Mary się śmieje. - Chodziło mi o to, że jeśli zaczniesz opowiadać, to nie wyzioniesz ducha, dopóki nie skończysz. Żeby mógł działać twój mózg, serce musi bić. Musisz pozostać przy życiu.

Mary ma rację. Nie wszystko, co mówi, jest kłamstwem. Historia Aidana i Marthy do momentu, gdy się powiesiła, była prawdziwa. Z wyjątkiem... tak, nawet to, że Mary pisała do Aidana, ganiąc go za to, jak traktuje Marthę. Nie była to dosłowna prawda, ale symbolicznie wierna faktom. Na tyle wierna, na ile Mary mogła sobie pozwolić, nie ujawniając swojej prawdziwej tożsamości. Każdy człowiek jest wewnętrznie podzielony. Zwłaszcza jeśli jest zmuszony żyć w nieznośnym bólu. Ta Mary, która pisała pełne złości listy do Aidana - choć wtedy jeszcze nie miała na imię Mary - była inteligentną częścią Marthy Wyers, tą, która widziała prawdę: ich związek nie miał przyszłości, Aidan nie kochał jej tak, jak ona kochała jego.

Nic dziwnego. Trudno jest kochać kobietę, która w jednej chwili deklaruje wieczną miłość, a w drugiej wściekle cię atakuje.

- Powiedz mi to, co uważasz, że wiesz na mój temat - mówi Mary. Siada obok mnie i podciąga nogi do klatki piersiowej, opierając pistolet na kolanach. Gdybym mogła ruszyć prawą ręką, chwyciłabym go.

Wszystkiego się domyśliłam, złożyłam układankę w całość, jadąc tu taksówką. Teraz muszę to zrobić jeszcze raz, by zmusić mózg do działania.

- Wezwij pogotowie - mówię. - Nie pozwól nam umrzeć.

- Aidan nie żyje już od dłuższego czasu - odpowiada rzeczowo Mary.

- Nie - jęczę. - Proszę cię. Jeszcze nie jest za późno. - Martha wróciła do żywych. Aidan nie może umrzeć. Nie uwierzę w to.

- Rozejrzyj się. Jedno krwawiące ciało, jedno martwe i jedna łupina, która od lat prawie nie żyje. Nikt, kto by na nas obiektywnie spojrział, nie zgodziłby się z twoją oceną, że nie jest za późno. Dla nas trojga. - Mary wykręca kosmyk swoich włosów.

- Prywatny detektyw - mówię szeptem. - Powiedział ci... o ojczymie Aidana... w więzieniu za zabicie Mary Trelease. Widziałaś obraz... - Nie. Nie mogę się teraz pomylić, nie mogę marnować słów ani powietrza w płucach. - Kupiłaś go, Morderstwo Mary Trelease. Kupiłaś i zniszczyłaś, tak jak pozostałe.

- Nie - protestuje Mary. - Jestem artystką. Nie niszczę dzieł sztuki. Wyobrażam sobie ten obraz. Mężczyzna i kobieta w łóżku. Nadzy, przynajmniej ona. Mężczyzna zaciska dłoń na jej szyi. Można go rozpoznać jako Aidana, więc Mary - Martha - wiedziała, że Len Smith nie był zabójcą.

- Dlaczego ją zabił? - pytam ją, nie wiedząc, czy moje słowa są w ogóle słyszalne. Czuję się wyziębiona na całym ciele. Lodowata.

- Gdyby chciał, żebyś wiedziała, toby ci powiedział. - Mary się uśmiecha.

- Martha. Nie. Była. Już. Sama. - Wydycham słowa pojedynczo. Uda mi się. Dotrwam do końca. - Sojuszniczka. Kolejna kobieta, którą Aidan... skrzywdził. Mary Trelease.

Mary odkłada pistolet za plecy i opiera się na rękach,

- Pokaż mi człowieka, który przeszedł piekło, a ja pokażę ci psychiatrę - mówi. - Sojuszniczka to dobre słowo. A ty, Ruth? Ciebie Aidan też skrzywdził, czyż nie? Prowadził z tobą grę, mieszał ci w głowie. I jest jeszcze Stephen Elton. - Wyjmuje z kieszeni paczkę czerwonych marlboro i zapala papierosa. - Wszystkie kobiety skrzywdzone przez mężczyzn są moimi sojuszniczkami. Wszystkie. Gdybyśmy się zorganizowały, stanowiłybyśmy najsilniejszą armię świata.

- Zmieniłaś nazwisko na Mary Trelease. Kupiłaś... dom... - Muszę coś mówić, by nie myśleć o swojej bezsilności.

- Może przewinę trochę do przodu, co? - mówi Mary z niecierpliwością. - Przeprowadziłam się do Spilling, gdy

dowiedziałam się, że Aidan tam mieszka. Co za człowiek wraca do miejsca, w którym przeżył traumatyczne dzieciństwo? Zastanów się nad tym. - Odwracam twarz od jej papierosa. Nawet bez dymu ciężko jest mi oddychać. - Megson Crescent piętnaście to dom, w którym się wychował. Musiałam go mieć, więc przekupiłam właścicieli.

- Nazwałaś się Mary Trelease.

- Oficjalnie zmieniłam nazwisko na Trelease. Nazywam się Mary Trelease.

- Zaczęłaś malować, bo malowanie było... jego. - Mamrocę pod nosem, próbując przytrzymać przy sobie odpływające myśli. Dotrwa; do końca. - Nie wystarczyło ci, że zniszczyłaś jego pracę. Wszystko... co było dla niego ważne...

- Co? Ruth!

Klepie mnie po twarzy.

- Jestem - mówię. Sprawiam jej ulgę, bo Mary chce usłyszeć ode mnie swoją historię. - Malowałaś. Zabrałaś to Aidanowi. Przywłaszczyłaś sobie. Byłaś w tym dobra. Lepsza.

- Tak - potwierdza Mary z naciskiem. - Byłam od niego lepsza. Ja się nigdy nie poddam. Wystarczy, że spojrzysz na moje pochodzenie, a zrozumiesz, dlaczego. Psychoterapeutka, do której chodziłam, ta, która kazała mi spisać swoją historię w trzeciej osobie - wiesz, co jeszcze mi powiedziała?

Próbuję pokręcić głową, ale bez skutku. Moje ciało jest zdrętwiałe, oderwane od bólu. Nie czuję nic, jestem świadoma tylko swoich myśli: delikatnych, migocących nitek, których staram się nie wypuścić z rąk.

- Dziewięćdziesiąt pięć procent jej pracy polega na odwracaniu krzywd wyrządzonych ludziom przez rodziców, gdy byli dziećmi. Dziewięćdziesiąt pięć procent. - Mary jest wściekła. - Dasz wiarę? Należałam do pozostałych pięciu procent, do niewielkiej mniejszości. Zaczęłam z pozycji bezpieczeństwa i szczęścia: kochająca mama i kochający tata, a potem ich zhańbiłam, wnosząc w nasze życie samobójstwo i obłęd. Pieniądze i najlepsze wykształcenie, jakie tylko można sobie było wymarzyć. Zawsze wierzyłam w swój talent i możliwości. Aidan nie. Jego dzieciństwo było osiemnastoletnim wyrokiem więzienia.

- Dlaczego? - Walczę, by nie stracić przytomności.

- Pewnie nie było aż tak źle, dopóki jego matka nie umarła. Chociaż jeszcze przed jej śmiercią byli ubodzy i mieszkali w slumsach. Widziałaś ten dom, przecież to ruderka. Nie dałoby się w niej hodować zwierząt, a co dopiero ludzi. Ojczym Aidana, Len, ten w więzieniu, był cały czas pijany, agresywny. Typowy mieszkaniec osiedla komunalnego. Wszyscy moi sąsiedzi przy Megson Crescent byli wersjami Lena Smitha albo kogoś z jego rodziny. - Słyszę jej śmiech. - Zapukaj do dowolnych drzwi, a ktoś będzie chciał ci sprzedać broń i nauczyć, jak z niej korzystać. Od urodzenia Aidan żył w zagrożeniu ze strony swojego otoczenia. Dlatego tak łatwo się poddaje. Dlatego on nie żyje, a my żyjemy. - Nie...

- Poddał się, jak tylko Gemma Crowther wpuściła mnie do domu. Zobaczył mnie i dał za wygraną.

- Ty ją zastrzeliłaś. Nie Aidan.

- Miała mój obraz. On jej go dał.

Zmuszam się do otworzenia oczu, świadoma, że usłyszałam właśnie przyznanie się do winy.

- Niestety zapomniałam o tobie, widząc ten obraz - mówi Mary. - O tobie, to znaczy o tobie i o niej, o waszej historii. Przypomniałam sobie zbyt późno, jak już nie żyła. A powinna była cierpieć. Wolałabyś, by umarła w cierpieniach, prawda?

Są takie kary, których nie powinno się wymierzać nikomu, nawet Gemmie Crowther. Śmierć. Tortury. Nikt na nie nie zasługuje. Nikt nie ma prawa wydawać takich wyroków.

- Nie? - Mary sprawia wrażenie poirytowanej. Jej twarz jest rozmyta, już nie widzę jej wyraźnie. - W takim razie ucieszy cię wiadomość, że ani trochę nie cierpiała. - Wybucha chichotem, wysokim, jak u małej dziewczynki. - I tak się dla ciebie postarałam - mówi. - A raczej dałam instrukcje Aidanowi i dopilnowałam, by je wykonał. To on uprawia obrazy, nie ja. - Jej śmiech tym razem brzmi nisko, jakby wychodził z głębi krtani. - Nie ma nic zdrożnego w pragnieniu i dokonywaniu zemsty. To całkowicie naturalne. Wiesz, co powiedziała Cecily? Ona i Martha strasznie się pokłóciły w drodze powrotnej z wystawy Aidana, na której Cecily kupiła jeden z obrazów - chociaż długo się nim nie nacieszyła, bo spotkał go niefortunny wypadek. W każdym razie, zanim jeszcze Martha wymyśliła sposób na udaremnienie sukcesu Aidana, powiedziała Cecily, że pragnie, by poniósł porażkę, by nie sprzedał się ani jeden obraz. Upadek Aidana

był dla niej ważniejszy od jej własnego powodzenia. To pytanie powinna była zadać dziennikarka z „Timesa” - nie „życie czy kariera”, ale „twój sukces czy czyjaś porażka”. - W krótkiej chwili między ostatnim a pierwszym dźwiękiem piosenki

Survivor słyszę cichuteńki trzask żarzącego się tytoniu, Mary zaciąga się papierosem.

- Cecily zacytowała jakiegoś słynnego pisarza, który powiedział kiedyś, że najlepszą zemstą jest dobrze pisać. „Masz swoją pasję, Martho. Talent Aidana nie stanowi dla ciebie zagrożenia, nie powinnaś się napędzać pragnieniem jego klęski. Możesz osiągnąć sukces, nie oglądając się na niego”. Tak powiedziała. Czy kiedykolwiek słyszałaś większą brednię? Dobre pisanie najlepszą zemstą? Co za głupota! Lepszą niż zabicie kogoś albo zbombardowanie jego domu? Wątpię.

Osiemnaście pustych ram. Aidan zrobił ramy do obrazów, które stracił, które Mary zniszczyła. Dlaczego nie chce się do tego przyznać?

- Wiem, dlaczego - mówię.

- Co? Wiesz, dlaczego co?

Czuję jej twarz blisko swojej, jej oddech. Wykrzywiam usta w uśmiechu. Mam ochotę zadać jej ból.

Mogę to powiedzieć tylko w duchu, nie na głos, samej sobie opowiem tę historię, Dla Mary malowanie było na początku zemstą na Aidanie, sposobem na udowodnienie, że potrafi pobić go w jego własnej dyscyplinie, ale z czasem nabrało większej wagi. Była dobra, wręcz wybitna. Nawet ona, w swej bezgranicznej rozpacz, potrafiła dostrzec w swoich obrazach jakąś wartość. Po pewnym czasie - może po kilku miesiącach, może po latach - systematyczne niszczenie kolejnych obrazów Aidana i dorzucanie ich do sterty przestało jej wystarczać. Widziała, że się rozwija i jest coraz lepsza. Malowanie przestało być talentem Aidana, a stało się jej mocną stroną. Cięcie płócien na kawałki nie było już w jej odczuciu atakiem na niego, ale na siebie samą, na owoce własnej pracy. Nie chciała tego ciągnąć, coś musiało się zmienić.

Zacząła malować inne obrazy, nie tylko kopie prac Aidana. Stworzyła te, które u niej widziałam - przedstawiające dawnych mieszkańców jej domu i serię z Abbertonem. Te płótna nie były

dziełem Aidana, ale go dotyczyły. Opowiadały o tym, co Mary mu zrobiła. Miały dla niej wielkie znaczenie, dawały świadectwo.

- Przestraszyłaś się... - mówię i momentalnie milknę, chwytając powietrze w płuca. - Zdałaś sobie sprawę... - Chcę jej powiedzieć, że wiem, co czuła.

- Co? Z czego sobie zdałam sprawę? - Potrząsa mną, wydobywając ze mnie jęk bólu. Moje ciało dostaje ostatni zastrzyk energii, by z nim walczyć. Korzystam z tej okazji, by powiedzieć: - Zrozumiałaś. .. jak by to było, gdyby... ktoś zniszczył twoje obrazy. Najgorsza rzecz... to, co zrobiłaś Aidanowi. Miałaś poczucie winy. - I dlatego nie chcesz się przyznać. Nie możesz znieść tej skruchy, wiedząc już, jak strasznego czynu się dopuściłaś.

- Nie uznaję poczucia winy - odpowiada szybko Mary. - Moja terapeutka mówi, że to bezużyteczna emocja.

Teraz widzę, co się wydarzyło: jej poczucie winy i wstydu zamieniło się w paranoję, że Aidan się o niej dowie: gdzie mieszka, co robi. Bała się, że odwdzieczy się jej tym samym, i nie stać jej było na podjęcie tego ryzyka. Zapobiec takiemu obrotowi spraw mogła tylko w jeden sposób: nie sprzedawać swoich obrazów, zachować pełną kontrolę. Przerazało ją to, co mógłby jej zrobić Aidan. Bała się kary, na którą - w głębi duszy wiedziała to - zasługuje. Jednocześnie jednak nie potrafiła zwalczyć w sobie chęci ponownego zbliżenia się do niego, gdy wiedziała już, gdzie jest. Chciała wnikać w jego życie, czaić się na obrzeżach jego świata, ledwie dając o sobie znać.

Przynosiła swoje obrazy do Saula, wiedząc, że Aidan kiedyś dla niego pracował, pamiętając, że Saul kupił jeden z obrazów Aidana. Mary musiała mieć wszystko, co miał Aidan, łącznie ze wsparciem ze strony Saula.

Nie jesteś psychiatrą.

Ale mogłabyś być. Bez trudu. Nie potrzebowałabym żadnego szkolenia. Wystarczyłoby mi doświadczenie, które mam, i mózg, który też mam,

Wiem, że mam rację. Mary postanowiła ukraść życie Aidanowi za karę, bo w jej mniemaniu on ukradł życie Marthy. Wprowadziła się do jego miasta, zamieszkała w jego rodzinnym domu, podjęła się jego dawnej pracy i zaczęła obracać wśród dawnych znajomych, jak

Saul - wszystko to bez jego wiedzy. Chodziło w równym stopniu o karę, jak i bliskość. Mary chciała go mieć na wyciągnięcie ręki. Jej

plan działał doskonale, aż ja go zniweczyłam w momencie, gdy Saul posłał mnie do Aidana. Wtedy przeszłość i teraźniejszość z wielkim hukiem się ze sobą zderzyły. Ale Mary musiała wiedzieć, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Co innego mogło się zdarzyć? Chcę zapytać Mary, jak sobie wyobrażała koniec swojej historii z Aidanem, nim ja się w niej pojawiłam, ale mój język leży na dnie ust niczym ołowiany odważnik. Zaszła jeszcze jedna zmiana: przestała grać piosenka. Przestała na dobre, choć nadal słyszę ją w głowie. Muzyka i tekst odbiły się trwale na ciemnych ścianach mojego umysłu niczym zimne ognie na tle nocnego nieba.

Jak to możliwe, że muzyka umilkła? Mary jest tu, gdzie była. Sama zdaje się nie zauważać nagłej ciszy.

- Wstań powoli i unieś ręce nad głowę.

Wstań? Ja nie jestem w stanie ruszyć nawet palcem. Po chwili zdaję sobie sprawę, że głos, który usłyszałam, należy do mężczyzny, i że ten mężczyzna mówi do Mary.

Pomoc. Nadeszła pomoc

Zmuszam się do otwarcia oczu, ale w pierwszej chwili widzę jedynie włosy Mary na tle jej pleców. Odwróciła się ode mnie. Nagle wydaje z siebie dziki skowyt i rzuca się w jego stronę. On przykucnął w rogu pokoju. Ma pistolet. Powala Mary na ziemię.

Waterhouse. Detektyw Waterhouse. Mówi do mnie, nie odrywając wzroku od Mary.

- Już dobrze, Ruth. Karetka jest w drodze. Nic ci nie będzie. Trzymaj się.

Mary czołga się po podłodze jak pająk, bierze do rąk leżący obok Aidana młotek. Patrzę na Waterhouse'a, ale ledwie go widzę przez łzy.

- Co zamierzasz zrobić z tym młotkiem, Mary? - Mówi spokojnym głosem, który przynosi mi ulgę - Odłóż go.

- Nie.

- Jeśli spróbujesz go użyć, strzelę bez zastanowienia.

Kilka sekund później słyszę chrzęst kości. Widzę tylko jednolitą szarość.

- No proszę. Użyłam go na sobie i nie strzeliłeś. Kłamczuch. Mam kontynuować? Mam jeszcze dziewięć palców: Abberton, Blandford,

Darville, Elstow, Goundry, Heathcote, Margerison, Rodwell, Winduss. - Mary zanosi się histerycznym śmiechem.

- Spróbuj się pogodzić z tym, że to już koniec - mówi do niej Waterhouse.

Słyszę kroki, zbyt ciężkie, by mogły należeć do niej. I jej głos:

- Tracisz czas. Nawet jeśli jeszcze ma puls, to zaraz go straci. Momentalnie odzyskuję przytomność. Dlaczego to powiedziała? Zapewniała mnie, że Aidan nie żyje. Kłamała?

Czekam, aż Waterhouse wypowie słowa, które tak bardzo pragnę usłyszeć. Ale on milczy, a ja nie mam siły go zapytać.

Jeśli żyje, to i tak wkrótce umrze. Mary uważa, że nie przeżyje. To może być moja ostatnia szansa.

Aidan, nie winię cię za to, że mi nie ufałeś. Nie zasługuję na twoje zaufanie.

Jeśli będę udawała, że ja i Aidan jesteśmy ostatnimi ludźmi na świecie i wmuszę w niego swoje słowa, to może mnie usłyszysz.

W Londynie, gdy wyznałeś mi prawdę o Mary Trelease, nie powiedziałam tego, co chciałeś usłyszeć: że kocham cię bezwarunkowo, choć wcześniej ty powiedziałeś to mnie. A następnego dnia, gdy zapewniałam cię, że widziałam obraz Mary Trelease namalowany w dwutysięcznym siódmym roku... tłumaczyłam ci, że nie mogłeś jej zabić, że ją znam. Opisałam ci ją, opisałam Marthę Wyers. Rozpoznałeś ten rysopis - włosy, znamię pod dolną wargą - i wiedziałeś. W tej pierwszej chwili zrozumiałeś wszystko: że Martha przybrała imię i nazwisko kobiety, którą zabiłeś, a to oznaczało, że o wszystkim wiedziała. Wiedziała i była w Spilling, знаła Saula i jego galerię. Zataczała coraz węższe kręgi. Myślałeś, że jestem z nią, nie z tobą, że biorę udział w spisku. Jej kolejny trik. Jak twoja wyprzedana wystawa, sukces, w który wierzyłeś aż do chwili, gdy powiedziała ci prawdę.

Zdawałeś sobie sprawę, do czego jest gotowa się posunąć, by cię zniszczyć. A jeśli poszłaby na policję? W dodatku zwierzyłeś się przede mną, przed osobą, której już nie ufałeś. Podejrzewałeś, że ona i ja wspólnie postanowiłybyśmy posłać cię do więzienia za morderstwo?

Szybko jednak dostrzegłeś wadę tej teorii: była zbyt prosta. Mary nie poszła na policję. Wiedziałeś o tym, bo detektywi nie zainteresowali się twoimi zeznaniami. Ja też nie złożyłam donosu, nie

od razu. Poza tym kochałam cię, wiedziałeś to. Czuleś. Zaczęłeś wierzyć, że może to nie gra z mojej strony, że mówię prawdę. Czy wysłanie mnie do jej domu po obraz było testem? Jeśli jestem niewinna - rozumowałeś - jeśli nie jestem z nią w zмовie, to z pewnością nie zdołam zdobyć Abbertona. Ale gdy się z nim pojawiłam, to co sobie wtedy pomyślałeś? Że to wszystko jest zbyt łatwe: artystka, która nie chciała sprzedać mi swojego obrazu, nagle postanawia dać mi go w prezencie? Jednak nawet wtedy twoja miłość do mnie nie pozwalała ci uwierzyć, że jestem po jej stronie.

A może miałeś na myśli zemstę? Zamierzałeś zrobić jej to, co ona zrobiła tobie? Dlatego chciałeś zdobyć jej obraz? By go zniszczyć? Czy może chciałeś tylko go zobaczyć? Dopóki ci o tym nie powiedziałam, nie wiedziałeś, że ona maluje. Interesował cię jej styl? Chciałeś wiedzieć, czy jest dobra? Snułeś w duchu wizje zabicia jej, gdy dowiedziałeś się, że zatytułowała swój obraz Abberton? Wyrażnie się z ciebie naśmiewała. Znając Mary, znając Marthę, wiedziałeś, że doprowadzi to do końca, że po Abbertonie przyjdzie czas na Blandforda, Darville'a, Elstowa i resztę: nieistniejących nigdy kupców twoich prac.

To, co powiedziałeś mi w warsztacie po wyjściu Waterhouse a i Charlie Zailer: że jeśli nie zabiłeś Mary Trelease, to może dopiero to zrobisz - czy to była groźba pod adresem Mary? Miałam jej powiedzieć, że nazwałeś ją suką i radzisz, by wyjechała jak najdalej ze Spilling? Nie, było w tym coś więcej. Chwilę wcześniej Waterhouse powiedział mi dokładnie, jak umarła prawdziwa Mary Trelease - uduszona, naga, w łóżku. Ty nie zamierzałeś nigdy dzielić się ze mną tymi okropnymi szczegółami. Myślę, że wtedy przyszła ci do głowy myśl: jeśli zostaniemy razem, to prędzej czy później odkryję całą prawdę. Chciałeś mnie chronić. Wiedziałeś, że będę przerażona, gdy zaczniesz mówić o przewidywaniu przyszłości - odpychałeś mnie od siebie, by nie zatruć mnie sobą i swoją zbrodnią. A może chciałeś mnie przestraszyć, bo byłeś zły?

Me ufałam ci na tyle, by powiedzieć całą prawdę. Przyznałam się do tego, że poszłam na policję, ale nie wspomniałam, że rozmawiałam z Charlie Zailer, kobietą, której zdjęcia pokrywają ścianę mojej sypialni. Nigdy też nie opowiedziałam ci całej historii o tym, dlaczego przestałam pracować u Saula.

Wcale nie musiałeś wysyłać groźby pod adresem Mary. Ona i tak się ciebie bała, wręcz obsesyjnie. Regularnie wzywała policję do Garstead Cottage, kazała sprawdzać, czy się tam nie czaisz, by się na niej zemścić. Nie była w stanie uwierzyć, że kara nie czeka na nią na każdym kroku. Nie potrafiła sobie wyobrazić świata, w którym człowiekowi może ujść płazem tak poważna zbrodnia. Nie ma dla niej najmniejszego znaczenia to, co zrobiła Gemmie Crowther - w jej oczach to sprawiedliwość. Ale z barbarzyństwem, z jakim potraktowała twoje obrazy, nie może się pogodzić. Właśnie dlatego nie mogła wytrzymać, gdy słyszała, jak wymawiam te dziewięć tytułów, stąd jej reakcja w galerii Saula na moje pytanie „Kim jest Abberton?”.

Na targach sztuki na twoją prośbę opisałam ten obraz: zarys ludzkiej sylwetki, bez wyraźnej płci, a w środku strzępy pomalowanego materiału. Kawałki twoich płócien: to tym wypełniła ludzki kształt. Chciałeś, bym zdobyła Abbertona, bo potrzebowałeś dowodu, że nie kłamię, czy pragnąłeś odzyskać swoje obrazy, choćby w strzępach? Może i to, i to. Myślę, że wolałeś mieć kawałki swojego obrazu, niż pozwolić, by zostały u niej.

Słyszę kolejny trzask łamanej kości.

- Przestań - mówi Waterhouse. - Jak możesz to sobie robić?

- To proste. Nie maluję lewą ręką.

Wyraz twojej twarzy, gdy powiedziałam ci, że dostałam od Saula adres Mary... Dopiero wtedy dowiedziałeś się, że zamieszkała w twoim dawnym domu, w którym zabiła Mary Trelease. Musiałeś widzieć, że mówię prawdę, że ten adres nic dla mnie nie znaczy, ale rozumiem, jak trudno jest pozbyć się wątpliwości, gdy ta już zapanuje korzenie. Po tym, jak zareagowałam na twoje wyznanie, nie wierzyłeś, że moja miłość jest bezwarunkowa. A Mary - Martha - wiedziała, co zrobiłaś. Wiedziałeś, że prędzej czy później użyje tej wiedzy, wykorzysta swoją przewagę.

- Trzymaj się, Ruth. Karetka niedługo tu będzie. - Waterhouse do mnie mówi. Ja chcę wiedzieć tylko, czy Aidan żyje. Dlaczego nie chce mi powiedzieć?

- Nie jesteś tak bystry, jak myślisz - słyszę głos Mary.

- To znaczy jak?

- Pojechałam za tobą do Londynu. Śledziłaś Aidana. Nie widziałeś mnie, zaprowadziłaś prosto pod dom Gemmy Crowther.

- To ty ją zabiłaś - mówi Waterhouse.

- Nie ja. Aidan. - Wie, że jestem zbyt słaba, by zaprzeczyć. Sprawia jej to przyjemność: kłamie w mojej obecności, wiedząc, że nie mogę jej powstrzymać.

- Masz w dłoni młotek, którym wytłukłaś jej zęby i na ich miejsce wbiłaś haczyki - mówi Waterhouse.

- Wszystko to zrobił Aidan. Po co miałabym ją zabijać? On pragnął zemsty za to, co Crowther zrobiła jego dziewczynie. To zrozumiałe.

- Jeśli to on trzymał pistolet, to jakim cudem został postrzelony? - Następuje dłuższa cisza. - Nie masz na to odpowiedzi, co?

- Nie twierdę, że jego nie postrzeliłam. Twierdę, że nie zabiłam Gemmy. - Waterhouse ją rozgniewał. - Marny z ciebie Sherlock Holmes. Ale nie martw się, nikt tego od ciebie nie oczekuje. Mogę ci wszystko opowiedzieć.

- Słucham.

- Od czego tu zacząć? Aidan musiał sam dowiedzieć się prawdy o Gemmie i Stephenie. Ruth nie pisnęła mu o nich ani słowa. Dasz wiarę? Ani słowa. Taki związek jest skazany na porażkę. Jeśli nie chciała, żeby się dowiedział, nie powinna była trzymać w domu tylu pamiątek po traumie. Ale to bardzo częste zachowanie. Wiedziałeś o tym?

- Nie.

Mam wrażenie, jakbym słyszała ich rozmowę z większej odległości, jakby nadawało ją radio w mieszkaniu sąsiadów. Mogłabym teraz bez trudu odpłynąć poza zasięg ich głosów.

- Aidan znalazł pod jej łóżkiem pudełko pełne artykułów prasowych o procesie Gemmy.

Kiedy? - chcę zapytać. Mogę się domyślić: po targach sztuki, gdy się do mnie wprowadził. Przeszukał mój dom, szukając dowodów na to, że jestem w zмовie z Mary.

- Wstukał nazwiska Gemmy i Stephena w internecie i znalazł to, czego się spodziewał - mówi Waterhouse'owi Mary. - Przeczytał o ich ataku na Ruth, ale osoba Gemmy pojawiała się też w innym kontekście: na stronach kwaków. W ten sposób dowiedział się, na jakie uczęszcza spotkania. I sam zaczął na nie chodzić. Chciał się dowiedzieć, czy to ta sama Gemma Crowther, która nieomal zabiła jego dziewczynę.

- Opowiedział ci to wszystko, gdy celowałaś do niego z pistoletu?

- Nie musiał mówić niczego, czego nie chciał. To samo dotyczy mnie. Mówię to wszystko, bo mam na to ochotę. - W głosie Mary jest głęboka pogarda.

- I co? Ustalił, że to ta sama Gemma Crowther? - pyta Waterhouse.

- Nie od razu. Dopiero gdy wspomniała, że mieszkała dawniej niedaleko Lincoln. Zapytał ją, dlaczego przeprowadziła się do Londynu. To był sprawdzian, który miał pokazać, czy się zmieniła. Jeśli tak, myślał, to powie mu prawdę - wyzna, jaką krzywdę wyrządziła Ruth, skruszy się i zapewni, że jest już innym człowiekiem. A przynajmniej przyzna się, że siedziała w więzieniu, nawet jeśli nie powie, za co. Ale tego nie zrobiła. Zmyśliła jakieś kłamstwo o potrzebie zmiany otoczenia. Wtedy Aidan wiedział, z kim ma do czynienia. - Mary wybucha śmiechem. - Gemma była uzdrowicielką. Wiedziałaś o tym? Co za hipokrytka! Świat nie będzie jej opłakiwał, to pewne.

- Dlaczego Aidan dał Gemmie Crowther twój obraz? - pyta Waterhouse.

Cisza. Chyba że rozmawiają, ale ja już ich nie słyszę. Na dźwięk głosu Mary odczuwam ulgę.

- Powiedział, że nawzajem na siebie zasługują. Gemma i Abberton. - Słyszę jej płacz. - Jakby obraz mógł być podmiotem moralnym i na coś zasługiwać. Aidan powiedział, że w poniedziałek zamierzał spotkać się z nią po raz ostatni. Nie chciał mieć więcej do czynienia ani z nią, ani ze mną. Zamierzał zostawić jej Abbertona, bo wydawało mu się to „odpowiednie”. W ten sposób pozbywał się nas obu raz na zawsze.

- To ma sens - mówi Waterhouse. - To dlatego kazałaś mu zamknąć Abbertona w bagażniku samochodu. Nie chodziło ci tylko o wrobienie Aidana w morderstwo Gemmy, ale też o symboliczny gest. Chciałaś mu pokazać, że nie pozbędzie się ciebie tak łatwo,

Waterhouse ma rację, prawda, Mary? Chodziło ci o to, żeby policja znalazła w jednym miejscu coś twojego i coś, co należało do Aidana. Jego samochód, twój obraz.

Aidan wiedział, że się ciebie nie pozbędzie. Akurat tej nauczki nie musiałaś mu dawać. Dlatego zgłosił się na policję i wszystko zeznał, jak tylko dowiedział się, że i ja planuję zwrócić się do nich o

pomoc. Teraz, gdy o tym myślę, jestem pewna, że tamtego dnia mnie śledził. Powiedziałam mu, że jadę do dentysty, ale ja nie umiem kłamać. Miał rację, nie ufając mi. Zwierzył mi się, a ja go zdradziłam. Nie od razu, ale w końcu jednak to zrobiłam, gdy nie mogłam już dłużej znieść niepewności. Od samego początku, od naszej wspólnej nocy w Londynie był przekonany, że prędzej czy później się złamię. I gdy nadeszła ta chwila, był na nią przygotowany, miał już w głowie swoje oficjalne przyznanie się do winy. Tylko w ten sposób mógł zachować panowanie nad sytuacją.

Praktycznie wysłał policję do twojego domu, Mary. Chciał sprawdzić, co im powiesz. Skoro zamierzałaś znowu zniszczyć mu życie, to chciał mieć to z głowy jak najszybciej. Próbował zmusić cię, byś wyłożyła karty na stół. Przecież mogłaś powiedzieć Waterhouse'owi i Charlie Zailer całą prawdę, że kiedyś nazywałaś się Martha Wyers, że Mary Trelease to imię i nazwisko kobiety, którą Aidan zabił. Mogłaś powiedzieć im o obrazie na wystawie Aidana, Morderstwo Mary Trelease.

Co przedstawiał ten obraz? Wiem, że pamiętasz. Ależ musiałaś się wściec, gdy twój prywatny detektyw powiedział ci o śmierci Mary Trelease. Miałaś w rękach dowód zbrodni Aidana - miałaś go i zniszczyłaś. Jak twardy był to dowód? Dziwię się, że nie spróbowałaś go skopiować, przecież zajmowałaś się już wtedy malarstwem. Musiałaś pamiętać to płótno w najmniejszych szczegółach. Czy zrobiłaś szkic, żeby nie zapomnieć, co widziałaś?

Nie dostaję odpowiedzi. Nikt nie słyszy krążących w mojej głowie pytań.

Co przedstawiał ten obraz, Aidanie? Pewnie nic oczywistego. Nie zaryzykowałbyś takiego tytułu, gdyby namalowana scena zbyt wiele zdradzała. Nie mógł pokazywać ciebie, jak dusisz Mary Trelease - Jan Gamer czy Saul Hansard zaczęliby zadawać pytania. Więc co tam było?

Powiedziałeś policjantom, że zabiłeś Mary, opisałeś sposób i miejsce zbrodni. Ale kobietą, którą im opisałeś, była Martha - wiedziałeś, że to ją znajdą całą i zdrową przy Megson Crescent piętnaście. To musiał być moment, gdy nie byłeś pewien. Zaryzykowałeś: albo powie im, co wie, i pokaże dowody, albo będzie milczała, a wtedy policja odrzuci twoje zeznania jako produkt chorej wyobraźni człowieka, który patrzył im prosto w oczy i twierdził, że

zabił kogoś, kto nie jest martwy. Chciałeś, by wzięli cię za wariata, a nie, by wysłali do więzienia.

Jak tylko powiedziałeś mi, że zabiłeś Mary Trelease, natychmiast tego pożałowałeś, widząc moje przerażenie. Jednak nie mogłeś tego cofnąć, nie da się cofnąć czegoś tak poważnego. Gdybyś próbował obrócić swoje wyznanie w żart, nie uwierzyłabym ci. Widziałam przecież, w jakim jesteś stanie. Twoją jedyną nadzieją było obrócenie wszystkiego w stwierdzenie unieważnione istnieniem kobiety nazywającej się Mary Trelease.

Kierowała tobą jednak nie tylko chęć chronienia siebie, ale też zrzucenia ciężaru z barków, co w końcu zrobiłeś, idąc na policję i mówiąc prawdę. Mimo iż musiałeś kłamać, mimo iż przemilczałeś tak wielką część historii, że w rezultacie opowiedziałeś całkiem inną, to i tak wyznałeś rzecz najważniejszą: zabiłeś Mary Trelease, udusiłeś ją w jej łóżku. Musiało ci sprawić ogromną ulgę powiedzenie tego po tylu latach poczucia winy i milczenia. Zrzuciłeś z siebie ciężar, ale miałeś zawór bezpieczeństwa w postaci żywej Mary Trelease pod adresem, który podałeś jako miejsce zbrodni.

Mary nie powiedziała im, co wie. To by oznaczało oddanie kontroli nad sytuacją, a na to nigdy by sobie nie pozwoliła. Wiedziałaś, że przemilczała twój dawny czyn, bo żaden policjant nie wypytywał cię o prawdziwą Mary Trelease, a jednak zdawałeś sobie sprawę z tego, że groźba nie zniknęła, że Martha Wyers tak po prostu nie zniknie. Pamiętałeś, jak zawzięcie potrafiła się ciebie ucześcić, jak zażarcie przywłaszczała sobie wszystko, co twoje. Nadal mieszkała przy Megson Crescent, nadal znała twoją przeszłość i tak już miało zostać, chyba żebyś ją zabił, a tego nie mogłeś zrobić. Nie jesteś zabójcą.

Nie wiem, dlaczego dawno temu zabiłeś kobietę, ale wiem, że nie jesteś zabójcą.

- Ja wrobiłam Aidana? To on jest mordercą: zimnym, wyrachowanym mordercą. Udusił kiedyś kobietę. Sam wam o tym powiedział, ale byliście zbyt głupi, by go posłuchać.

Martha ma rację: chciałeś się przekonać, czy Gemma Crowther żałuje swojego czynu, czy się zmieniła. Ale zmiana nie jest możliwa bez przyznania się do winy. Właśnie to próbowałeś zrobić w Londynie. Może by ci się udało, gdybym udzieliła ci wsparcia. Tymczasem ja cię zawiodłam.

Chciałeś zobaczyć odmienioną Gemmę Crowther, by samemu przekonać się, że taka zmiana jest możliwa. Jeśli ona odkupiła swój grzech, to ty też mogłeś tego dokonać. Na pewno zastanawiałeś się też nad Martha. Tak. Dlatego powiedziałeś jej o Gemmie i o tym, że miałeś nadzieję dostrzec w niej zmianę. Czy liczyłeś, pomimo wycelowanego w ciebie pistoletu, że Martha przeprosi cię za krzywdę, którą ci wyrządziła? Tak. Wiem, jak działa umysł ofiary, bo sama nią jestem. Człowiek może pogodzić się z tym, że ktoś zadał mu nawet najgłębszą ranę, ale zupełnie nie do zaakceptowania jest całkowity brak skruchy.

Martha nie powiedziała, że jest jej przykro. Oczywiście! Czy pomyślałeś wtedy, że jesteś lepszy od niej? A może zacząłeś się zastanawiać, czy człowiek w ogóle potrafi być dobry? Czy uznałeś, że jesteś tak samo zepsuty jak Martha i Gemma, skoro nie odważyłeś się w pełni przyznać do zbrodni i pozwoliłeś, by kto inny wziął odpowiedzialność na siebie? Czy powiedziałeś wtedy to, co trzeba było powiedzieć, by skłonić Marthę do pociągnięcia za spust? Ulżyło ci, gdy w końcu strzeliła?

- Jaką kobietę zabił Aidan? - Głos Waterhouse'a pływa gdzieś pod powierzchnią mojej świadomości. - Mary! Powiedziałaś, że zabił kobietę? Jaką kobietę?

- Mnie! Mnie zabił!

- Simon! - Trzeci głos. Nie mój. Kobiety. Muszę znowu otworzyć oczy. Gdy mi się to w końcu udaje, widzę odwracającego się Waterhouse'a, Charlie Zailer stojącą za oknem i Mary rzucającą się po pistolet. Nie...

Ma teraz i pistolet i młotek, który jednak trzyma jakoś koślawo.

- Bussey żyje, Seed nie - mówi Waterhouse.

Wdech. Wydech. Myślę sobie, że powinnam przestać, jeśli chcę umrzeć. Samobójstwo: grzech. Czy samobójcą jest też człowiek, który przestaje oddychać, któremu oddychanie przychodzi z takim trudem? Jeśli istnieje Bóg, to czy ma w tej kwestii jakiś pogląd?

- Aidan żyje - mówi szybko Mary. - Gdyby nie żył, to ja też byłabym martwa, a nie jestem.

- Mary, odłóż pistolet i młotek - odzywa się Charlie Zailer. - Przed domem stoi karetka. To się musi skończyć.

- Aidan żyje! Sprawdźcie. Słyszę ruchy, a po kilku chwilach:

- To prawda. Jest tętno.

Zalewa mnie uczucie ulgi. Aidan, na zewnątrz stoi karetka. Wytrzymaj jeszcze trochę.

- Nie podchodź do mnie! - Mary wyje jak dzikie zwierzę. Stoi za plecami Waterhouse'a, przyciskając mu do głowy lufę pistoletu. Ręka jej się trzęsie, a palec wskazujący ślizga się po cynglu. - Zabiję go, jeśli zrobisz jeszcze jeden krok.

- Trzymasz na muszce mojego narzeczonego - mówi Charlie. - Wiedziałaś o tym? Pamiętasz, że o nim rozmawialiśmy? Zastanawiałaś się, czemu nie wybrałabym go do sportretowania.

- Nie obchodzi mnie, kim jest. Stój, gdzie stoisz, albo go zastrzelę. Nie żartuję!

- Kocham go. Mamy się pobrać, mimo że wszyscy nasi znajomi uważają to za bardzo zły pomysł.

- Zamknij się!

- Ale dla mnie nie jest zły, bo tylko z Simonem jestem szczęśliwa. Po tym, co przeszłam, zasługuję chyba na odrobinę szczęścia. Wiesz, o czym mówię, prawda? Mówiłaś, że wiesz. Dobrze cię rozumiem, Martha. Moje życie było w rozsypce z powodu mężczyzny...

- Nie nazywaj mnie tak!

- ...ale miałam fart i znalazłam wyjście z rozpacz. Teraz mam szansę na szczęście i... To znaczy my z Simonem jeszcze nie jesteśmy razem szczęśliwi, chociaż znamy się od lat. Na razie marnujemy tylko czas.

Mary wymachuje pistoletem i celuje w Charlie. Młotek wypada jej z lewej dłoni. No tak: ma połamane palce.

- Odłóż broń, Mary - mówi Waterhouse.

- Milcz! - Głos tak jej drży, że ledwo można ją zrozumieć. - Milcz albo zginiesz, jak Gemma. Nie jak ci dwoje. Ich nie chciałam zabić. Ruth jest moją przyjaciółką.

- Nie chciałaś zabić Aidana? - pyta Charlie. - Postrzeliłaś go w klatkę piersiową.

- Nie w klatkę, tylko w ramię. Celowałam wyżej. Wcale nie zamierzałam strzelać, ale on nie chciał...

- Czego nie chciał?

- Przyznać, że mnie kocha.

Słyszę serię okropnych odgłosów, które trudno znieść: raz piskliwych, to znowu zachrypłych. Czy to możliwe, że wszystkie one wydobywają się z ust Mary? Brzmią nieludzko.

- Aidan i Ruth potrzebują pomocy lekarzy - mówi łagodnym tonem Charlie. - Martha, pozwolisz im wejść, prawda?

- Martha nie żyje!

- Przecież nie chciałaś ich zabić...

- Jeśli was posłucham, to co się ze mną stanie?

- Więzienie. Wiesz, nie jesteś głupia. Ale będziesz mogła tam malować. Albo pisać, jeśli wolisz. Dopilnuję tego. Zaopiekuję się tobą, tylko najpierw odłóż pistolet.

- Co z obrazami, które mam w domu? Co z nimi będzie? Następuje cisza, która wydaje się trwać i trwać.

- Nic. Będą czekały, aż wyjdiesz. A wyjdiesz. Musisz zaufać...

- Jak długo?

- Nie wiem. Wobec okoliczności łagodzących... może pięć lat.

- Kłamiesz! - Mary wymachuje pistoletem w powietrzu, nie mogąc zdecydować, kogo obrać za cel. - Pięć lat za morderstwo i dwukrotne usiłowanie zabójstwa? To za mało. Jak długo? Powiedz prawdę.

- Będziesz mogła trzymać w więzieniu część obrazów - mówi Charlie. Pierwszy raz słyszę w jej głosie strach. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś...

- Ale wszystkich nie będę mogła zabrać? Wszystkich moich obrazów?

- Oddaj mi broń, a dopilnuję, żeby pozwolili ci wziąć wszystkie, co do jednego.

- Widzieliście, ile ich jest. - Głos Mary drży. - Nie zmieszczą się do jednej celi. Nie będę mogła ich zabrać.

- Są różne więzienia, w niektórych nie ma cel. Zwłaszcza więzienia dla kobiet. Niektórzy więźniowie dostają osobne pokoje. Czasem muszą je dzielić z innymi ale pomieszczenia bywają spore.

- Jak w pensjonacie Villers.

- To prawda, Mary - odzywa się Waterhouse. - Dopilnujemy, żebyś miała dość miejsca na obrazy.

- Kłamiecie. Obydwoje kłamiecie - mówi Mary, już spokojniejsza.

- Nie szkodzi. Nie mam wam tego za złe. - Podnosi pistolet i przykłada lufę do swojej skroni. Gdy znów się odzywa, słyszę, że jest uśmiechnięta, mimo iż stoi odwrócona plecami do mnie. - No, Martha

- mówi. - Tym razem bez pomyłek.

- Nie! - krzyczy Charlie.

- Myślę, że tak - odpowiada Mary i pociąga za spust.

Rozdział 28

12/3/08

- Prokurator nie ruszy ręką, jeśli się bardziej nie postaramy - powiedział Proust. Kubek z napisem „Najlepszy dziadek świata” leżał na boku. Inspektor toczył go po blacie biurka w tę i z powrotem, co kilka sekund stukając uchwytem w drewno. - Nie pomaga nam wcale dziwny zwyczaj Aidana Seeda przyznawania się do morderstw, których nie było. Nadal nie wytłumaczył nam w wyczerpujący sposób, dlaczego powiedział, że zabił jedną kobietę, choć w rzeczywistości zabił zupełnie inną.

- Jest ciągle w kiepskim stanie, sir - odezwała się Charlie. - Ruth Bussey wyjaśniła to w jego obecności. Byłam przy tym. Widziałam, że potwierdza jej słowa. Seed żałował, że przyznał się przed Bussey do zabicia Trelease. Przestraszył się wyjawienia prawdy po tylu latach, ale wiedział już wtedy, że Martha Wyers zmieniła nazwisko na Mary Trelease, więc postanowił obrócić to, co miało być początkiem prawdziwego wyznania - „zabiłem Mary Trelease” - w twierdzenie, któremu łatwo można było zaprzeczyć.

- Charlie wzruszyła ramionami. - Wiem, że się to panu nie podoba, ale jest w tym sens.

- Jeśli tak pani uważa, sierżant Zailer, to szczerzę pani współczuję.

- Już to przerabialiśmy - powiedział niecierpliwie Simon

- Nie każdy umysł pracuje w ten sam sposób, co pański, sir. Proust rzucił Charlie spojrzenie, które rezerwował dla najpodlejszych zdrajców.

- Nawet jeśli przyjmujemy wyjaśnienia Bussey i Seeda oraz poprawione zeznania tego drugiego, i tak będziemy mieli pod górę, jeśli Len Smith będzie trwał przy swoim - powiedział Sam Kombothekra.

- Prokuratura nie lubi chodzić pod górę, sierżancie. Wie pan to równie dobrze jak ja. Oni wolą lekkie spacerki nad rzeką.

Sam zrobił smutną minę i przytaknął.

- W ich oczach Smith jest zabójcą, ale nie kłamcą.

- On nie jest zabójcą - powiedział Simon. Nie interesowały go oczy innych ludzi i nieistniejące rzeczy, które nimi widzieli. Po zeszłym tygodniu interesowało go to w jeszcze mniejszym stopniu. Większość ludzi to idioci, nawet ci, których stopień i doświadczenie

zdają się dowodzić inteligencji. Coral Milward była tak owładnięta chęcią oskarżenia Stephena Eltona o zamordowanie Gemmy Crowther, że zmarnowała Bóg wie ile czasu na podważanie według niej „podejrzenie solidnego alibi”. Tymczasem było solidne, bo Elton mówił prawdę.

Elton - Simon wiedział to od Colina Sellersa - nałogowo korzystał z usług prostytutek, zarówno męskich, jak i damskich. („Ten posuchy nie zazna, farciarz jeden. Świat należy do niego, obydwie półkule”). Po wysprzątaniu sali w Domu Przyjaciół złożył wizytę u jednej ze swoich stałych dziewczyn, szesnastolatki, która dzieliła kawalerkę z trzema innymi nielegalnymi imigrantkami. Alibi Eltona było jednocześnie jego motywem: Gemma Crowther wiedziała o jego zwyczaju i nieraz groziła, że wyjawি prawdę przed resztą kwaków, jeśli nie będzie wypełniał posłusznie jej rozkazów. W efekcie był jej domowym niewolnikiem. Elton popełnił głupstwo, przyznając się przed Milward do powtarzających się fantazji, w których morduje Gemmę. Przyznał jednak, że nie mógłby tego zrobić, bo ją kochał. „Zgodzisz się, że to dobry powód, żeby kogoś zaciukać”, powiedział Simonowi Sellers bez cienia ironii w głosie.

Mary Trelease nie została w ogóle przesłuchana. Jej długa i złożona opowieść o spotkaniu z londyńskim detektywem, której wysłuchała Ruth Bussey, była całkowicie zmyślona. Dunning wielokrotnie stał pod drzwiami domu przy Megson Crescent 15, ale nikt mu nie otworzył. Gdy w końcu wszedł siłą, Trelease i Bussey były już w drodze do Garstead Cottage. Simon dowiedział się tego od detektywa konstabla Kevina Prothero, najnowszego podwładnego sierżant Milward, któremu przypadło w udziale załatwianie najbardziej kłopotliwych spraw. Dwoma spośród nich były osoby Simona i Charlie.

Od ostatniej środy Milward rozmawiała z Simonem raz, przez telefon. Nie przeprasząc go, wyjaśniła, jak bardzo była przekonana do roli Eltona jako głównego podejrzanego, i podała mu swoje powody tonem osoby, którą zapomniała, że dowiedziono jej błędu. Jej „dziękuję” brzmiało nieszczerze i ogólnie. Simon wolałby wyrazy wdzięczności z doklejoną wzmianką o śmiertelnym ryzyku, jakie podjął on i Charlie, przy okazji doprowadzając do końca jej kryminalne śledztwo.

- Spójrzcie na to, co wiemy - powiedział Proust, - Smith miał problemy z prawem przez większość życia. Bijący żonę alkoholik, hazardzista. Seed ma czyste konto.

- I dlatego każdy normalny człowiek uwierzyłby bardziej jemu niż Smithowi - zauważył Simon. - Len Smith nie miał powodu zabijać Mary Trelease. - Nie spodziewał się tego. Nie w pierwszym dniu od powrotu do pracy. A jednak był w samym środku zdarzeń, jakby ani na chwilę nie wypadł za burtę. Bronił swojego punktu widzenia, jak dawniej. Niepopularnego punktu widzenia, jak zawsze Proust nie był durniem - z pewnością wiedział już dokładnie, do jakiego stopnia działania Simona i Charlie stanowiły samowolkę.

Gdy zostali wezwani do biura Mroźnego, oboje nie mieli złudzeń: szykował się mocny opierdol. Nic oficjalnego - wszak Proust, ani żaden z jego przełożonych, nie chciałby podpisywać się swoim nazwiskiem pod zawieszeniem albo zwolnieniem oficerów, których prasa bulwarowa ogłosiła bohaterami - ale na pewno coś, co da im do zrozumienia, że jeszcze długo będą płacić za grzech przerośniętego ego.

Przez całą drogę do przeszklonego gabinetu Prousta ćwiczyli swoje ustne rezygnacje. Sam Kombothekra był nie mniej zdziwiony od nich, gdy inspektor zagaił najzwyczajszą rozmowę, jak gdyby Simon i Charlie ani na chwilę nie wypadli z grafiku.

- Smith miał powód, by ją zabić - powiedział Kombothekra do Simona. - Przez prawie rok wykorzystywała seksualnie jego pasierba. Wiem, co zaraz powiesz; on sam wykorzystywał go na długo, nim Trelease pojawiła się w ich domu...

- Byłby prawdziwym hipokrytą, zabijając ją za coś, co sam robił przez wiele lat - przerwał mu Proust,

- On tak by na to nie patrzył - odparł Kombothekra. - Aidan był jego własnością i tyle. Nikt inny nie miał prawa go dotykać. Mary Trelease też należała do niego i go rozgniewała. Zupełnie zrozumiałe, że postanowił ją udusić.

- Tyle tylko, że jej nie udusił - powiedział Simon. Kombothekra mówił dalej, jakby mu nie przerwano.

- Powtarzało się to co wieczór. Trelease czekała, aż Smith straci przytomność, i dobierała się do Aidana. W oczach Smitha jego czyn był sprawiedliwy. Jest z siebie dumny. „Zabiłbym każdego, kto

położyłby rękę na moich dzieciakach" - tak mi powiedział i to samo powtarza od początku odsiadki każdemu, kto zechce go słuchać.

- Ludzie, którzy wypluwają takie brednie, to ci sami, którzy mają gdzieś dobro swoich dzieci - zauważyła Charlie. - Tacy mówią o zabijaniu, bo tylko to im pozostaje.

- Jeśli Smith nie dbał i nie dba o Aidana Seeda, to czemu jest gotowy siedzieć za przestępstwo, którego nie popełnił? - spytał Proust.

- On o niego dba - odparł Simon, - Wielu zwyrodnialców kocha swoje dzieci.

- Wstyd - dorzuciła Charlie. - Proste. Brat i siostra Seeda twierdzą, że Smith rozleciał się na kawałki po śmierci ich matki. Był typowym zakompleksionym osiłkiem. Gdy stracił swój worek treningowy, nie radził sobie z samotnością. Zaczął więcej pić, sprowadził Aidana do swojej sypialni i do łóżka. Mary Trelease została w tym łóżku uduszona w środku nocy. Jak Smith miał wyjaśnić policji, że spał w nim razem z nią i ze swoim pasierbem? Taki facet, jak on, wołał pójść do więzienia za coś, czego nie zrobił. - Charlie kręciła głową z niesmakiem. - Aidan miał dwanaście lat, gdy umarła Pauline Seed. Możecie sobie wyobrazić, jak chłopiec w jego wieku musiał się czuć, będąc zmuszanym - pod groźbą przemocy - do dzielenia łóżka z ojczymem?

- Brat i siostra nie są pewni, ale oboje sądzą, że Smith zaczął wykorzystywać Seeda natychmiast po śmierci jego matki - powiedział Simon. - Żadne z nich nie próbowało go powstrzymać. Nie byli pewni, czy faktycznie dzieje się coś złego, a poza tym sami żyli w permanentnym strachu przed Smithem. Na szczęście dla nich oboje byli starsi i musieli znosić jego obecność krócej, w końcu wynieśli się z domu.

- Aidan nie miał tyle szczęścia - odezwała się Charlie. - Ci dranie zostawili go samego, swojego młodszego brata. Oczywiście, że Smith wykorzystywał go seksualnie, ale nawet gdyby tego nie robił, to i tak wiedzieli, na jakie życie go skazuje. Aidanowi nie wolno było wychodzić z domu, chyba że do szkoły, a i to tylko od czasu do czasu. Najczęściej Smith trzymał Aidana z dala od szkoły, a blisko siebie, dla towarzystwa. Nie mógł przyprowadzać do domu znajomych - gdy jeszcze miał znajomych. Jak tylko zaczął się chować we własnej skorupie, szybko o nim zapomnieli.

- I tak nikogo by nie przyprowadzał - powiedział Simon. - Żaden dwunastolatek nie chciałby pokazać kolegom, że dzieli łóżko z ojczymem. - Simon doskonale znał potrzebę ukrycia przed kolegami nawet najdrobniejszych szczegółów z życia rodzinnego. On wstydził się swoich boleśnie sztywnych rodziców i wiszących wszędzie w domu obrazków Dziewicy Maryi.

- Cokolwiek Smith zrobił lub nie zrobił, nie ma wątpliwości, że Seed wiele dla niego znaczy - powiedział Kombothekra. - Mimo że Seed nigdy nie odwiedził go w żadnym z więzień, w których siedział, Smith nie traci nadziei, że kiedyś to się zmieni. Za każdym razem, gdy z nim rozmawiam, prosi mnie, żebym przekazał jego pasierbowi tę samą wiadomość. Nigdy nie mówi o pozostałej dwójce. Myślę, że zapomniał o ich istnieniu. Sir, jeśli spojrzy pan na to z punktu widzenia Charlie i Simona, ta wiadomość może być sposobem Smitha na zapewnienie Seeda, że zamierza do końca go kryć. Nawet jeśli kłamie tak naprawdę dla własnego dobra, to zrozumiałe, że chce, by Aidan myślał inaczej, jeśli cały czas ma nadzieję na pojednanie.

- Tak łatwo pana przekonać, sierżancie? - warknął Proust. - Zanim pojawili się tu Waterhouse i sierżant Zailer, mówił pan coś zgoła innego. „Powiedzcie Aidanowi, że nie pozwolę nikomu go skrzywdzić - nigdy nie pozwalałem i nigdy nie pozwolę”. Zgodził się pan ze mną, że Smith odnosił się w tych słowach do morderstwa Mary Trelease, czyż nie?

- A jeśli wziąć tę wiadomość dosłownie? - zaproponował Simon. „Nigdy nie pozwalałem”: to faktycznie mogło dotyczyć uduszenia Trelease, ale równie dobrze może chodzić o krycie Seeda i wzięcie odpowiedzialności na siebie. Ale co ze zdaniem „nigdy nie pozwolę”? Smith nie ma dostępu do Seeda, niby jak miałby ochronić go przed krzywdą? Nie przeszkodził Marcie Wyers w postrzeleniu go. „Nigdy nie pozwolę” to z jego strony zapewnienie, że zamierza do końca kryć swojego pasierba.

- Mówimy o zapijaczonym troglodycie, Waterhouse. Precyzja wyrażania myśli prawdopodobnie nie jest jego priorytetem.

- Akurat jeśli o to chodzi, sir, to Smith nie miał alkoholu w ustach od ponad dwudziestu lat - wtrącił Kombothekra, sprawiając, że Proust uderzył mocniej kubkiem w stół.

- Uważam, że się pan myli, sir - powiedział Proustowi Simon.

- Sądzę, że Smith bardzo uważnie sformułował swoją wiadomość dla sierżanta Kombothekry: dał Seedowi do zrozumienia, że nie wyjawia tajemnicy, ale ubrał to w słowa pozornie oznaczające tylko to, że to on zabił Mary Trelease. Fakt pochodzenia z osiedla komunalnego nie odbiera człowiekowi zdolności wypowiadania dwuznacznych twierdzeń.

- Nie uważasz, że Smithowi mogło dać do myślenia przyznanie się Seeda do zabójstwa, jego chęć ujawnienia prawdy? - zapytał Simona Kombothekra. - Słyszałem, jak ten człowiek mówi o Seedzie.

- Sam rozejrzał się po pokoju z przepaszającym wyrazem twarzy.

- Nikt z was nie może tego powiedzieć. Ja to wiem z pierwszej ręki. Seed to jego cały świat. Dobrze, wiem, że tak naprawdę nie jest jego światem, że Seed nie chce mieć z nim nic wspólnego, ale w mniemaniu Smitha Seed jest wszystkim. Całym sensem jego życia jest nadzieja, że pewnego dnia Aidan się z nim pojedna. Simon ma rację - Smith nie jest głupi. Wie, że Seed nie musiał po tylu latach przyznawać się do zabójstwa. Po co miałyby podtrzymywać to tak zwane krycie, wiedząc, że Aidan go sobie nie życzy?

- Ostatnie dwadzieścia lat jego życia, spędzone w jednej śmierdzącej dziurze po drugiej, polegało wyłącznie na kryciu Seeda - powiedział Simon z udawaną cierpliwością, na którą nikt z obecnych nie dawał się nabrać, o czym on sam doskonale wiedział. - OK, może częściowo dbał też o siebie: wstydził się przyznać, że spał w jednym łóżku z pasierbem. Ale przez te wszystkie lata siedzenia w celi na pewno wymyślił sobie inną historię, znacznie dla siebie lepszą, w której on gra rolę bohatera poświęcającego się dla Aidana. Zarówno siostra, jak i brat Seeda mówili, jak bardzo Smith kochał Aidana. Za bardzo.

Kombothekra przytaknął.

- Też to od nich słyszałem. Kerry'emu Gattiemu mówili to samo.

- Gatti to pieprzony kłamca - rzuciła Charlie kamiennym głosem. Simon zakrył dłonią uśmiech. Charlie ze wściekłością odkryła, że w wersji zdarzeń podawanej przez Gattiego ten dobrowolnie przekazał jej obydwie koperty. Zaprzeczył też innemu jej twierdzeniu: że w momencie ich spotkania w pubie w Rawndesley Gatti nie wiedział jeszcze, iż Martha Wyers zmieniła nazwisko na Mary Trelease. Gatti walczył o zachowanie twarzy z nie mniejszą zaciętością niż Len Smith.

Simon powiedział:

- Gdyby Smith powiedział teraz prawdę i Seed zajął jego miejsce w więzieniu, to na co cała jego ofiara? - Spojrzał na Kombothekrę. - Masz dzieci. Nigdy nie powstrzymujesz ich przed zrobieniem czegoś, do czego świerzbią je dłonie, bo uważasz, że wiesz lepiej niż one, co jest dla nich dobre?

- Może Smith chce, by jego wersja była prawdziwa - odezwała się Charlie. - Zabicie Mary Trelease działa lepiej na jego dumę: udusił dziewczynę, przyłapując ją na molestowaniu jego nastoletniego pasierba. Jest bohaterem w swoich oczach i w oczach wszystkich kumpli, z którymi od wczesnych lat osiemdziesiątych wymienia się opowieściami życiowymi. Założę się o wszystko, co mam, że Smith też wykorzystywał Aidana seksualnie. Może nie potrafił się powstrzymać i głęboko sobą gardził. O ile faktycznie go kochał, to mógł siebie znienawidzić. Jeśli powie światu i sobie, że to Trelease była zwyrodniała, a on położył kres jej przemocy, zabijając ją, to wtedy odkupi swoją winę.

- Właśnie - przytaknął Simon. - Pomyślcie o innej wersji tej historii: przez lata Smith wykorzystuje seksualnie pasierba, którego kocha, bo jest samotny i nie radzi sobie po śmierci żony. W końcu znajduje sobie nową dziewczynę - Mary Trelease, bileterkę w kinie, której własne dzieci zostały przejęte przez opiekę społeczną, alkoholicką i heroinistkę. Smith wprowadza ją do rodzinnego domu, do swojego łóżka, ale mimo to nie potrafi pozbyć się Seeda. Każe mu spać razem z nimi...

- Aidan był jego maskotką - powiedziała Charlie.

- Czymkolwiek by był, Smith nie chciał żyć bez niego. Może nawet przestał go wykorzystywać, gdy jego potrzeby seksualne zaczęła zaspokajać Trelease, ale i tak kazał mu leżeć z nimi i słuchać, jak uprawiają seks. - Simon nie odrywał wzroku od Prousta. Wiedział, że według Charlie wstydził się mówić o seksie i nie lubił jej badawczego spojrzenia, gdy to robił. Czuł się wtedy jak kosmita pod mikroskopem.

- Czytał pan zeznania brata i siostry, sir - rzekła Charlie. Słyszając jej łagodny ton, Simon zdał sobie sprawę, że cały czas mówił podniesionym głosem. Zachowaj spokój. Najpierw go gdzieś znajdź, a jak już znajdziesz, to trzymaj. - Aidan wychodził z sypialni, żeby przed nimi uciec, ale Smith wychodził za nim nagi, przerywając seks z

Trelease, żeby zaciągnąć go z powrotem. Jeśli on był w łóżku, to i Aidan musiał w nim leżeć - taka była żelazna zasada. Jego brat i siostra wielokrotnie widzieli to na własne oczy. Obydwoje twierdzą też, że Smith był wprawdzie agresywny, ale też mocno wystraszony.

- Obydwoje mówią, że Smith nie mógł zasnąć, jeśli Aidan nie leżał obok niego - dodał Kombothekra, zaglądając do notatek. - Miał napady paniki. Możliwe, że po nastaniu Trelease nic się pod tym względem nie zmieniło.

- Szkoda, że nie możemy wsadzić za kraty brata i siostry Seeda - wymamrotał Proust. - Chociażby za przedstawianie siebie w roli tak samo pokrzywdzonych jak on. Gdy na scenie pojawiła się Trelease, oboje byli już jedną nogą poza domem. Nie mogli pójść na policję, gdy już się wyzwolili? Nie, nie oni - ci woleli wpaść od czasu do czasu na herbatkę i ciastka, pooglądać sobie jego udrękę i dać dyla do domu.

- Tylko że zamiast herbaty i ciastek raczej tanie wino i kokaina, sir - powiedziała Charlie.

- Zbaczamy z kursu - przerwał te rozważania Simon. - To oczywiste, że Smith nie powie prawdy: że zniszczył życie swojemu pasierbowi, a potem wprowadził do domu kobietę, której odebrano już prawo do opieki nad dziećmi, tym samym niszcząc je jeszcze bardziej. Smith mógł potrzebować Seeda jako maskotki, ale ta potrzeba stawiała Aidana na drodze Mary Trelease i Smith dobrze o tym wie. Noc w noc czekała, aż Smith straci przytomność, i narzucała się małemu Aidanowi, który w końcu stracił cierpliwość i raz na zawsze położył temu kres, co jestem w stanie zrozumieć. I co wtedy robił Smith? Odsypiał butelkę whisky na drugim krańcu materaca, śliniąc się w przesiąkniętą potem poduszkę? Kto by chciał opowiedzieć o sobie taką historię? Smith będzie się trzymał swojego kłamstwa jak koła ratunkowego, bez względu na to, co może od niego chcieć Seed.

- I właśnie dlatego jesteśmy w kłopotliwym położeniu - powiedział Proust, stawiając w końcu pionowo swój pusty kubek. Doskonale zdawał sobie sprawę, jaką ulgę sprawił wszystkim, przerywając stukanie uchwytem o blat biurka; Simon widział to w wyrazie jego twarzy. - Dziękuję ci, Waterhouse, za jasne zdefiniowanie stanu rzeczy. Len Smith będzie się trzymał swojej wersji zdarzeń. Aidan Seed, jak tylko odzyska siły na trzymanie się czegokolwiek, z pewnością będzie się trzymał swojej, a prokuratorzy

uczepią się swojego prawa do skończenia pracy o trzeciej, bo siedząc dłużej przy biurkach, dostają, jak wiadomo, krwotoku z nosa.

- Powiedziałaś inspektorowi o obrazie? - spytała Charlie Kombothekrę.

- Na pani miejscu nie polegałbym na sierżancie Kombothekrze w kwestii przekazywania informacji. Oszczędzilibyśmy sporo czasu i energii, gdyby jego poszukiwania - rzekomo wyczerpujące, choć teraz widzę, o które znaczenie tego słowa mu chodziło - ujawniły dwudziestosześcioletnie morderstwo.

- Szukałem wśród nierozwiązanych spraw, sir - bronił się Kombothekra. - Nie istnieje baza danych z nazwiskami ofiar. Jak miałem znaleźć...?

- O jakim obrazie mowa? - Proust zwrócił się do Charlie. Simon powstrzymał się przed gorzkim westchnięciem. Beznadziejna sprawa. Po co Charlie w ogóle próbowała?

- Nie jestem pewna, czy ten obraz istnieje, ale jeśli istnieje, to może pomóc nam w rozwiązaniu zagadki.

- Rozumiem - odparł Proust, czekając, aż Charlie dostrzeże, jak bardzo gorszy go to, co przed chwilą usłyszał. Jego zgorszony wyraz twarzy przypominał nieco spojrzenie zarezerwowane dla zdrajców. Pierwsze zdradzało obrzydzenie wywołane głupotą, drugie - obrzydzenie nielojalnością, ale to była jedyna różnica. - Czyli zostało nam pocieranie lampy i czekanie na dzina?

- Aidan Seed namalował obraz pod tytułem Morderstwo Mary Trelease. Martha Wyers zniszczyła go wraz z innymi, więc nie wiemy, co przedstawiał, ale Ruth Bussey wierzy, że było na nim coś znaczącego, i skłaniam się ku temu, by się z nią zgodzić. Musiało być na nim coś obciążającego Aidana, skoro Martha Wyers, dowiedziawszy się od Kerry'ego Gattiego, że ojczym Seeda siedzi za zamordowanie Mary Trelease, była przekonana, że to nieprawda. Seed nie ma na razie sił, by odpowiedzieć na wszystkie pytania, i nie jestem pewna, kiedy je odzyska, ale...

Charlie przerwała i spojrzała na Simona, który przytaknął. Udało się jej dotrzeć tak daleko - niech już Mroźny usłyszy resztę.

- Po zniszczeniu wszystkich obrazów z wystawy Seeda Trelease namalowała kopię każdego z nich.

- Siedemnaście z nich znaleźliśmy w jej domu - Wtrącił Kombothekra. - Brakuje tylko jednego. Może pan się domyślić, którego.

- Jestem prawie pewna, że w momencie gdy Mary - przepraszam, Martha - zdała sobie sprawę, że zniszczyła obraz, który mógł stanowić obciążający Aidana dowód, natychmiast namalowała kopię z pamięci. To logiczne założenie, skoro tak samo zrobiła z pozostałymi siedemnastoma płótnami wystawionymi w TiqTaq. - Charlie zrobiła pauzę, by złapać oddech, po czym powiedziała: - Ruth Bussey jest tego samego zdania, sir.

- No cóż. - Głos Prousta był granitowy - W takim razie sprawa jest rozstrzygnięta

- Sir, jeśli uda nam się odnaleźć ten obraz i pokazać go Lenowi Smithowi... Wiem, że płótno niczego nie udowodni, ale gdybyśmy użyli go jako narzędzia do przekonania Smitha, by zaczął mówić...

- Pamięta pani sierżant, jak siedzieliśmy razem w hałaśliwej kafejce i powiedziała mi pani, że nie nadaje się do wydziału kryminalnego? Skłaniam się ku temu, by się z tą opinią zgodzić. Wtedy się nie skłaniałem, ale teraz się skłaniam. Mówi pani o obrazie, który może nie istnieć. Pytaliście o niego rodziców Marthy Wyers?

- Nie potrafili nam pomóc, sir - powiedział Kombothekra. Cecily i Egan Wyersowie byli zakłopotani wszystkim, co miało związek z obrazami ich córki, które już postanowili sprzedać za jednym razem po upływie odpowiednio długiego czasu. Mimo tego, co zrobiła Martha, Simon był ich decyzją wstrząśnięty. Słowem, którego po śmierci Marthy pan i pani Wyers używali najczęściej w związku ze swoją córką, było „zażenowanie”. Egan Wyers był szczególnie rozwścieczony tym, że Martha wykorzystwała ich służących, by zdobyć wszystkie obrazy z wystawy Aidana, po czym kupiła ich milczenie pieniędzmi, które dostała od niego. Wydawał się bardziej gniewać o to niż o popełnione przez jego córkę morderstwo. Za każdym razem, gdy jego żona próbowała oplakiwać śmierć swojego jedyne dziecko, krzychał na nią, że płacz już nie ma sensu, skoro nic nie da się na to poradzić.

- Nie ma takiego obrazu w Garstead Cottage ani w Villers - powiedział Kombothekra. - Rozmawiałem z wicedyrektorem, Richardem Bedellem, który właściwie przyznał, że nawet gdyby szkoła miała jakieś obrazy Marthy Wyers, a tak nie jest, to już dawno

by je wyrzuciła do śmieci. Sporo się nasłuchałem o niewyobrażalnej krzywdzie wyrządzonej szkole przez rodzinę Wyersów. Podobno Martha miała w zwyczaju wałęsanie się po terenie Villers i nagabywanie dziewcząt, którym mówiła, że umarła i zmartwychwstała. Wiele uczennic się jej bało, a niektóre zaczęły tak obsesyjnie myśleć o mieszkającej na terenie szkoły dziwaczce, że nie starczało im zapału do nauki. Kierownictwo szkoły nie mogło jednak nic zrobić ze względu na szczodre dotacje od Wyersów. Musieli pozwolić Marcie korzystać z chaty.

- Chciwość spowodowała ich upadek - oznajmił Proust. - Nie będzie mi on jednak spędzał snu z powiek. Villers jakoś przetrwało całą katastrofę, czego nie da się powiedzieć o Mary - Marcie - Wyers - Trelease, czy jak tam się ona zwała. - Widząc, że pozostali dziwnie na niego patrzą, dodał: - Jej los też nie leży mi na sercu. Zatem czy mamy jakiś pomysł na dalsze kroki? Inny niż poleganie na pogłoskach o istnieniu kopii jakiegoś obrazu?

- Może udałoby się nam przekonać Seeda, żeby odwiedził Smitha w więzieniu? - zaproponował Kombothekra.

- To wykluczone. - Simon spojrzął na Charlie, przekonany, że go wesprze, ale widząc jej wyraz twarzy, stracił tę pewność. - Nie mów mi, że uważasz to za dobry pomysł - powiedział. - Po tym, co ten bydlak mu zrobił, zamierzasz namawiać Seeda, żeby wpadł do niego na pogawędkę?

- Może by mu nie zaszkodziło stanąć twarzą w twarz ze Smithem - odparła Charlie. - Powiedzieć mu prawdę i zażądać tego samego. Spójrz tylko, dokąd zawiodły go kłamstwa i uciekanie od rzeczywistości. Ruth Bussey jest za otwartym postawieniem sprawy. Może nawet Seed jej posłucha, nawet jeśli początkowo będzie niechętny. Jestem za tym, żebyśmy przedstawili ten pomysł Aidanowi, zamiast chronić go, jak dzieciaka.

- A jeśli nie uda mu się wyciągnąć prawdy ze Smitha? Wtedy do wszystkiego, czego doświadczył, dojdzie jeszcze uczucie porażki i będzie to nasza wina.

- Sądzę, że to ma sens - odezwał się Proust. Celowo unikał słowa „dobry”, by nie zatruwać umysłu Kombothekry pochwałami. - Nie przejmuj się, Waterhouse. Nie będziesz musiał nikogo do niczego przekonywać. Sierżant Zailer świetnie da sobie radę bez twojej nachalnej pomocy.

- Sir, nie pracuję już dla pana.

- Nie - powiedział Simon. - Jeśli taka jest decyzja, to ja to zrobię. Wiem, że nie jestem... - Zamilkł.

- Ta lista jest długa, prawda? - zadrwił Proust. - Lista przymiotów, które cię nie dotyczą. Ale na pierwszym miejscu rzeczy, które cię nie dotyczą, jest od tej pory śledztwo w sprawie Aidana Seeda. - Proust otworzył szufladę biurka i wyjął z niej coś, co wyglądało na dużą książkę. Tyle że nie było książką, ale... O, cholera...

- Tak, Waterhouse. Nowiutki, z lśniącą okładką i nietkniętym grzbietem. Najnowszy atlas drogowy Wielkiej Brytanii. Kupiłem go za dziesięciofuntowy banknot, który znalazłem w koszu na śmieci przy kopiarni niedługo po naszym ostatnim tete - a - tete.

- Sir, chyba nie...

- Na świecie są dwie kategorie ludzi, Waterhouse: ci, którzy przyznają się do swoich błędów i starają się je naprawić, oraz ci, którzy dokonują wstecznej korekty w głowie, udając, że nic złego się nie stało. W przypadku sukcesu twierdzą, że stali za nim od samego początku. Do porażki się nie przyznają. - Proust oparł się wygodnie w swoim krześle i skrzyżował dłonie na brzuchu. - Ja należę do pierwszej kategorii. Jeśli się pomylę, biorę ciężar na siebie i staram się naprawić swój błąd.

Wszyscy troje - Simon, Charlie i Kombothekra - gapili się na niego z bezgranicznym zdumieniem.

- W tym konkretnym wypadku stwierdzam nie bez satysfakcji, że nie mogłem zachować się lepiej, więc nie mam czego naprawiać - ciągnął Mroźny. - Cokolwiek mówili mi o tobie nasi koledzy z Londynu, ja twardo stałem na stanowisku, że można ci ufać i że zostanie to dowiedzione. Choć inni wątpili, ja cały czas wiedziałem, że wrócisz tu, gdzie twoje miejsce. Jak by to wyglądało, gdybyś się dowiedział, że przydzieliłem sprawę pani Beddoes i jej różnorakich wykroczeń Sellersowi i Gibbsowi? Do niczego takiego się nie posunąłem. Oparłem się licznym sugestiom ze strony kolegów, którzy pozostaną anonimowi - tutaj Proust rzucił gniewne spojrzenie na Kombothekrę - by ukraść ci twoje śledztwo. Wszyscy wiecie, że mam i ja swoje wady, ale nielojalność nie jest jedną z nich.

Wyciągnął atlas w stronę Simona.

- Szczęśliwej podróży, Waterhouse. Niech ci wiatry sprzyjają.

Rozdział 29

Wtorek, 1 kwietnia 2008

- Myślisz, że dobrze mu idzie? - pytam Saula chyba po raz dwudziesty. Siedzimy w samochodzie Sama Kombothekry na parkingu przed więzieniem Long Leighton, czekając na powrót Aidana, Charlie i Sama.

- Myślę, że lepiej niż dobrze - mówi Saul dwudziesty raz. - A ty? Dasz sobie radę z tym, co przed tobą?

- Jeśli Aidanowi się uda, to mnie też. - Wczoraj oddałam całą kolekcję poradników psychologicznych księgarni, w której je kupiłam. Dziś rano zdjęłam ze ściany zdjęcia Charlie Zailer. Wszystko to było sztuczne. Prawdziwy jest postęp, jakiego dokonaliśmy z Aidanem od tamtej nocy w Garstead Cottage. Prawdziwy i niemały.

Saul klepie mnie po dłoni.

- Powiem ci coś, co miałem zachować dla siebie. Obiecałem to Aidanowi - mówi.

- Co? - Moje serce znów przeszywa strach, - Ustaliliśmy, że nie będziemy mieli przed sobą już żadnych tajemnic. Kiedy ci...

- Aidan zamierza poprosić cię, żebyś za niego wyszła. Dzisiaj, później. Bez względu na to, co się tutaj wydarzy. Ma w kieszeni pierścionek zaręczynowy. Co odpowiesz?

Obezwładnia mnie uczucie ulgi.

- Zgodzę się. Oczywiście.

- Dobrze. Wiedziałem, że tak powiesz.

- Więc czemu psujesz mi niespodziankę?

- Wystarczy już niespodzianek - mówi Saul. - Przy odrobinie szczęścia w najbliższym czasie już nic was nie zaskoczy.

Otwieram drzwi, widząc Charlie Zailer idącą w naszą stronę. Coś jest nie tak. Na jej twarzy rysuje się determinacja, a jej krok jest zbyt szybki.

- Chodźcie ze mną - mówi.

- Nie chcę go widzieć - odpowiadam w panice. - Aidan nie chce, żebym...

- Nie zobaczysz Lena Smitha. Nawet się do niego nie zbliżysz.

- Czy z Aidanem wszystko w porządku?

- Świetnie mu idzie. Wspaniale.

- Więc co...?

- Lepiej, żebyś to zobaczyła. Zakładam, że żadne z was nie ma przy sobie paszportu ani prawa jazdy.

- Nie.

Saul kręci głową.

- W takim razie zostawcie wszystko w samochodzie: portfele, torebki, wszystko.

- Ale...

- Posłuchajcie mnie. Dopóki tu nie wrócimy, nazywacie się Tom Southwell i Jessica Whiteley. Oboje przyszlście na rozmowę o pracę - nauczyciel angielskiego, wydział edukacyjny. Daliście paszporty dzisiaj rano, oni je mają. Teraz wyskoczyliście tylko na lunch. OK?

Już mam powiedzieć, że nie mogę tego zrobić, gdy słyszę Saula:

- OK. - Patrzę na niego wymownie za plecami Charlie, ale on mnie nie zauważa. Jest zbyt zajęty mamrotaniem „Tom Southwell” pod nosem.

Gdy stoimy już przy oszklonej stróżówce wbudowanej w wysokie ogrodzenie z siatki drucianej, Charlie mówi pewnie swoje imię i nazwisko, w takim samym stopniu do nas, jak do niedoinformowanego strażnika.

- Ma pan już mój dowód. O, tam jestem. - Pokazuje swoje nazwisko na liście. - Aha, to nie pan tu był, tylko kolega? Przepraszam.

- Nie ma problemu.

- My tak samo - mówi Saul ostrożnym tonem. - Tom Southwell i Jessica Whiteley.

- Zapraszam - mówi strażnik. Musi nam otworzyć trzy furtki. W końcu Charlie zapewnia go, że wiemy, jak iść, i zostajemy sami.

- A dokąd idziemy? - pytam.

- Cierpliwości, Ruth - uspokaja mnie Saul. Znów rzucam mu krzywe spojrzenie. To on podobno nie lubi niespodzianek. Cały Saul.

- Do wydziału edukacji - mówi Charlie.

- Ja nie chcę uczyć angielskiego w więzieniu. Co się dzieje?

Dochodzimy w końcu do szerokiego korytarza z pomalowanymi na zielono ścianami. Przypomina mi się ostatni raz, gdy szłam korytarzem za Charlie Zailer. Wydaje mi się, jakby było to wieki temu. Podobnie jak tam, również i tutaj na ścianach wiszą obrazy, dzieła więźniów, niektóre świetne. Charlie zatrzymuje się przed jednym z nich. Gdy na nie patrzę, serce podchodzi mi do gardła.

- To ona - mówię, czując taki sam strach, jaki spłynąłby na mnie, gdyby nagle stanęła przede mną we własnej osobie, powróciwszy z zaświatów. Rozpoznałabym jej styl w każdej sytuacji. Poznają też ten obraz z opisu Aidana.

- Mieliśmy rację - mówi Charlie. - Przepraszam. Wiem, że to dla ciebie wstrząs, ale musiałaś to zobaczyć. Nie mogłam ci go nie pokazać. Mieliśmy rację, a mój szef się mylił. Były szef - poprawia się.

- Morderstwo Mary Trelease - mamrocę pod nosem. - Więc zrobiła kopię. Ale... skąd się tu wziął...?

- Odwiedziła Smitha w więzieniu - wyjaśnia Charlie. - Kiedy tu jechaliśmy, przyszło mi to do głowy, że mogła to zrobić. Czemu nie? Chciała jak najbardziej zbliżyć się do Aidana, o ile nie wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem. Wiedziała, że Aidan nie utrzymuje kontaktów ze Smithem. Nie mogła się powstrzymać.

- Pytałaś Lena Smitha? Charlie kręci głową.

- Są u niego Sam i Aidan. Ja go nie widziałam. Poprosiłam jednego ze strażników o listę gości Smitha. Była na niej Martha Heath - cote. Heathcote to jej pensjonat w Villers; sprawdziłam to. Ten strażnik był bardzo pomocny. Pamiętał, że Smith się załamał po tej wizycie. Wszyscy sądzili, że go ucieszy, bo wcześniej ani razu nikt do niego nie przyszedł, ale było inaczej. Panna Heathcote przyniosła mu dwa prezenty, z którymi nie chciał mieć nic wspólnego. Poprosił pracowników więzienia, by je spalili. Jednym był obraz, drugim książka.

- Słońce skute lodem - mówię.

- Tak. Teraz jest w bibliotece więziennej - mówi Charlie. - Tutaj też mają ograniczone środki. Nie wyrzuciliby książki, która mogła wylądować w bibliotece, ani obrazu, który nadawał się do powieszenia na ścianie.

- Nie jest podpisany - mówię, gapiąc się na płótno. Aidan mi je opisał, ale czymś zupełnie innym jest widzieć je, a właściwie jego replikę, własnymi oczami. Obraz przedstawia sypialnię w nocy. Pokój jest ciemny, ale wpada do niego trochę światła przez zasłony. Światła, które wygląda na wczesnoporanne. W łóżku leżą trzy osoby. Starszy mężczyzna śpi w przepoconym podkoszulku, leżąc na boku z głową na pożątkłej poduszce poplamionej śliną. Pośrodku leży naga kobieta. Ma szeroko otwarte oczy, a na jej szyi wyraźnie widać siniaki. Nie

jestem pewna, czy dla osoby niewtajemniczonej byłoby oczywiste, że kobieta nie żyje. Obok niej młody mężczyzna lub starszy chłopiec, ubrany w T - shirt i szorty, siedzi oparty o ścianę, obejmując podciągnięte pod brodę kolana, i płacze. Chłopiec patrzy w oczy osoby oglądającej obraz. Aidan. Doskonale oddała to, jak musiał wtedy wyglądać, jak musiał się czuć.

- On to musi zobaczyć - mówię. - Czy tym obrazem będzie mógł udowodnić, co się stało, jeśli... jeśli jego ojczym się nie przyzna?

Charlie kręci głową.

- Nie, ale nie będzie miał takiej potrzeby. Smith zrobi to, o co go Aidan poprosi. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Też tak sędzę - pociesza mnie Saul, ściskając moją rękę. - Nawet gdyby podpisała go właściwym tytułem... - mówi

Charlie.

- Jak to „właściwym tytułem”? - Patrzę uważnie, ale nigdzie go nie widzę. Na płótnie nie ma żadnych napisów.

- Myślałam, że nazwie go Morderstwo Mary Trelease - ciągnie Charlie. - Nie rozumiem, czemu tego nie zrobiła. Trochę jakby zabrakło jej odwagi.

- Jaki mu dała tytuł? - pyta Saul, zbliżając twarz do ściany, by zajrzeć na tył obrazu. No taki tytuł musi być tam, jeśli w ogóle gdzieś jest.

Ostrożnie, oburącz, Charlie zdejmuje płótno ze ściany i odwraca, pokazując naklejoną z tyłu etykietkę. Łzy wypełniają mi oczy, gdy widzę odręczne pismo Mary i słowa, które nic nie mówią Charlie i Saulowi, które nie będą miały znaczenia dla Aidana. Słowa, które rozumiem tylko ja.

Druga połowa żyje dalej.